



# MALACHAI

OFFICER

KIEDY ZŁO PRZESTAJE PRZERAŻAĆ, ZACZYNA KUSIĆ

Karolina Dominiak

 **Feeria**  
stories

# MALACHAI

OFFICIAL

Karolina Dominiak

 **Feeria**  
stories

**Książka przeznaczona dla osób 18+. Ze względu na to, że poruszone tematy, tj. przemoc, uzależnienia, używki, traumatyczne przeżycia, sceny erotyczne, mogą urazić czytelników – proszę o zachowanie ostrożności przy lekturze.**

**Dla wszystkich grzesznych:  
pamiętajcie, że ogień nie tylko pali, ale i ogrzewa.**



## 0.

Carmen Clark natarczywie i wręcz obsesyjnie skubała plaster na palcu wskazującym. Był brudny i lepki, choć przykleiła go zaledwie parę godzin wcześniej. Odklejał się z jednej strony, ale postanowiła, że go nie ściągnie. Przynajmniej dopóki nie wróci do domu. Zdażył też do cna przemoknąć, podobnie jak jej ubrania, kiedy w najgorszym deszczu czekała na pociąg, który jak zwykle nie przyjechał na czas.

Spóźnił się pechowe trzynaście minut.

O godzinie dwudziestej cztery był wypełniony po brzegi. Ubrania przemoczonych pasażerów parowały. Okna zostały uchylone, by wpuścić do środka chociaż odrobinę rześkiego powietrza, a mimo to nad głowami wciąż unosił się nieprzyjemny zapach mieszaniny najróżniejszych perfum, papierosów i potu.

Była na siebie zła, może nawet wściekła za to, że rano nie zabrała parasolki, chociaż zapowiadało się na oberwanie chmury. Czuła się tak, jakby ktoś wylał na nią kubel zimnej wody. Dżinsowe spodnie z wysokim stanem jeszcze bardziej przylegały do ud, a biała bawełniana bluzka stała się krępująco prześwitująca. Z tego powodu dociskała do piersi czerwoną skórzaną torebkę, w której wciąż dzwonił i dzwonił telefon.

Carmen nie miała szans sprawdzić, kto tak bardzo chce się z nią skontaktować. Ledwie sekundę po tym, jak z trudem wyciągnęła telefon, pociąg zatrzymał się gwałtownie na przedostatniej stacji, przez co komórka wyslizgnęła jej się z rąk. Pochyliła się niechętnie, przypadkowo ocierając się przy tym o mężczyznę obok. Gdy posyłał Carmen zde gustowane, oburzone spojrzenie, metalowe drzwi rozsunęły się z nieznośnym piskiem.

Stała do nich przodem, przez co zacinający deszcz uderzał w jej twarz. Ludzie przepychali się, szturchali ją w ramiona, wymieniali niepoehlebne spojrzenia i przekleństwa, jednak nie zwracała na to uwagi – ponieważ kiedy tylko ponownie się wyprostowała, dojrzała w oddali sylwetki trzech mężczyzn. Stali w dość dyskretnym miejscu – tuż przy opuszczonych kontenerach, dlatego na pierwszy rzut oka trudno było ich zauważyć. Może z tego właśnie powodu spieszący się pasażerowie, którzy kręcili się po stacji, nie zdołali ich dojrzeć. Ale Carmen niefortunnie spojrzała w tamtym kierunku.

Nie wiedziała, co mieli w sobie takiego, że nie potrafiła oderwać od nich wzroku, choć naprawdę chciała. Może chodziło o tę ciemną aurę, która się wokół nich unosiła i z którą, bądź co bądź, sama miała wiele wspólnego. A może o fakt, że wydawali się znacznie ciekawszy niż towarzystwo w pociągu. Byli podobnego wzrostu, ale jeden z nich się wyróżniał, ponieważ był po prostu pełen mroku i zarazem bardzo wyraźny. Jakby grał główną rolę. Pozostała dwójka odgrywała bohaterów drugoplanowych.

Z zaciekawienia wyteżyła wzrok i dostrzegła jeszcze jedną osobę. Ktoś w skulonej pozycji leżał na ziemi.

I wcale jej się to nie spodobało.

Serce Carmen momentalnie podeszło do gardła. Nie wiedziała, czy powinna tylko stać w ciszy, czy zacząć rozpaczliwie wołać o pomoc. Dobiegł do niej zniekształcony krzyk jednego z nich; tego, który najbardziej przykuwał uwagę. Brzmiał groźnie, władczo i stanowczo. Widziała jego twarz, ale było zbyt ciemno, a oni stali zbyt daleko, aby mogła dostrzec więcej szczegółów.

Jedno było pewne – uśmiechał się, a uśmiech ten już na pierwszy rzut oka wywoływał dreszcze w dole kręgosłupa i na zawsze zapadał w pamięć. Białe, lśniące w nikłym świetle latarni kły szczyrzyły się w najbardziej arogancki sposób, jaki mogła sobie wyobrazić. Poruszał się z wrodzoną pewnością siebie. Nawet gdy sięgał po coś zza paska spodni.

Żrenice Carmen rozszerzyły się nienaturalnie, jakby ktoś wstrzyknął do jej organizmu adrenalinę, gdy ze znacznym opóźnieniem dotarło do niej, że mężczyzna okręcał na wskazującym palcu pistolet. Wyglądał na kogoś, kto wie, jak obchodzić się z bronią, kiedy przechadzał się wokół niczym drapieznik nad upolowaną ofiarą.

W końcu od niechcenia wycelował w leżącą postać.

Zamknęła oczy i instynktownie odwróciła głowę. Zakryła uszy, gotowa na głośny dźwięk wystrzału, który mógłby zwalić ją z nóg, ale nic takiego nie nadeszło. Wokół nadal panowała paraliżująca

cisza, a jedynym odgłosem były chaotyczne uderzenia jej przerażonego serca. Strach tkwiący głęboko w niej podpowiadał, by nie otwierała oczu, by przeczekała to tak, jakby nic się nie stało. Ze stresu żołądek skurczył się do takiego stopnia, że Carmen miała ochotę zwymiotować.

Powtarzając sobie, że od dawna nie ma w niej tej przestraszonej dziewczynki, którą była kiedyś, zdecydowała się otworzyć oczy.

Ktoś krzychał.

Ktoś uderzał.

Ktoś się bronił.

Ktoś strzelał.

Wszystko działo się za szybko i zbyt intensywnie, by mogła zarejestrować każdy ruch oraz osobę za niego odpowiedzialną. Była pewna tylko tego, kto wystrzelił – facet, który wyglądem coraz bardziej przypominał diabła w ludzkiej postaci, jakby stopniowo się w niego przeistaczał. Odwrócił głowę, a spojrzenie jego pustych oczu obiegło jej sylwetkę od stóp do głów, aż poczuła się całkowicie obnażona. Uśmiechnął się złowieszczo, unióśł dłoń i pomachał w jej kierunku, falując palcami.

On też ją widział. Mogła ludzi się, że tak nie było, ale tym gestem tylko to potwierdził.

Tak jak przypuszczała, to nie on brudził sobie ręce pospolitymi sprawami. Szepnął coś do jednego z chłopaków, który momentalnie zaczął biec w kierunku pociągu. To działo się naprawdę. Prywatny koszmar Carmen Clark. Jakby w życiu brakowało jej nieszczęść.

Zalała ją fala słabości. Panikowała tak bardzo, że powoli traciła umiejętność swobodnego oddychania. W głowie Carmen wszystko świeciło na czerwono, wszystko krzychało i wszystko zamieniało się w wykrzykniki. W ustach miała tylko jedno słowo. *Nie! NIE! Nie, nie, nie i jeszcze raz nie!*

To nie mogło dziać się naprawdę. A jednak, gdy tylko dyskretnie uszczypnęła się w rękę, wciąż miała przed sobą ten sam widok. Rozejrzała się rozpaczliwie na boki i zorientowała się, że została sama w wagonie. Modliła się w duchu, żeby konduktor zamknął te przeklęte drzwi, nim sama dołączy do osoby wykrwawiającej się na chodniku.

Bacznie obserwowała sylwetkę chłopaka. Z każdą sekundą znajdował się coraz bliżej. Instynktownie cofnęła się, przez co wpadła na okno po drugiej stronie. Zaciśnęła spocone ze stresu dłonie na metalowej barierce, bo wydawało jej się, że za moment zemdleje. Kolana ugięły się pod nią, nie mając siły dłużej utrzymać ciężaru ciała. Krew w jej uszach szumiała intensywnie, jakby czaszka miała eksplodować.

Cały czas na niego patrzyła. Był już tak blisko, niemal na wyciągnięcie ręki...

I wtedy drzwi zaczęły się zasuwać. Odetchnęła z ulgą, jednak w powietrzu wciąż unosił się niepokój. Nie czuła się bezpiecznie. Ani trochę. Nawet jeśli dobiegł do drzwi w tej samej sekundzie, w której się zamknęły. Na głowie miał kaptur, który przysłaniał połowę jego twarzy, przez co nie widziała żadnych szczegółów. Prócz oczu. One błyszczały w ciemności. W przypiływie złości uderzył pięścią w szybę, bezgłośnie krzyząc.

Ostatnią rzeczą, którą zobaczyła przed odjazdem, był krzyż na jego dłoni.

Skrzypnięcie, zgrzyt i pisk – pociąg ruszył, a on zniknął jej z oczu.

Miała nadzieję, że już na zawsze.

# 1.

Nie kontrolowała się.

Nogi same zaprowadziły ją pod odpowiedni adres. Ręce drżały tak bardzo, że z trudem udało jej się wcisnąć klucz w zamek i choć starała się nim kręcić, coś było nie tak. W głowie Carmen kotłowało się tak wiele myśli, że dopiero po upływie paru chwil zaczęła racjonalnie myśleć. Chwyliła klamkę, by sprawdzić swoją teorię.

Otwarte.

Tylko jakim cudem? Zamykała je. Na pewno. Zawsze sprawdzała dwa razy. Niepewnie pchnęła drzwi, zaglądając do środka. Korytarz był jak ciemna próżnia, ale w jednym z pokoi paliło się nikłe światło, co potwierdzało teorię, że ktoś jest w środku. Przełknęła nerwowo ślinę, która smakowała strachem, i postawiła pierwszy niepewny krok. Z szafki na buty zgarnęła doniczkę z uschniętym kwiatkiem.

Szła przed siebie z dumnie uniesionym podbródkiem. Była silną kobietą wychowaną przez wpływowego mężczyznę. Odziedziczyła wiele jego cech, głównie tych złych, ale dzięki temu jakoś radziła sobie w życiu. I zamierzała też stawić czoła czającym się w podświadomości lękom. Im bliżej pokoju się znajdowała, tym wyraźniej słyszała, że ktoś kroczy w jej stronę.

Zatrzymała się i zamarła z uniesioną dłonią – gotowa do ataku. Doniczka jednak wyslizgnęła jej się z dłoni i roztrzaskała się na panelach z nieprzyjemnym dla uszu dźwiękiem, w chwili, kiedy obok pojawiła się męska sylwetka. Carmen zamrugała gwałtownie. Zamiast niepokojącego uśmiechu, którego się spodziewała, dostrzegła lekko zadarte w łagodny sposób kąciki ust, co pozwoliło jej odetchnąć z ulgą.

To nie był żaden z tych chłopaków.

Stał przed nią James Cameron Clark, jej brat, człowiek, który miał nietypową zdolność – znikał z dnia na dzień, by powrócić w wielkim stylu, kiedy brakowało mu pieniędzy na przeżycie. I chociaż usilnie próbowała przypomnieć sobie, kiedy widziała go ostatni raz, nie potrafiła. Może było to poprzedniej zimy, a może wcześniej. W każdym razie uciekł na bardzo długo. Tak długo, że trudno było się przyzwyczaić do jego nowego wyglądu, który sprawiał, że prezentował się bardziej groźnie. Przez moment nawet nie widziała w nim własnego brata, tylko zupełnie obcego faceta.

Przyglądała się więc uważnie wszystkim szczegółom, szukając w nim czegoś znajomego. Ale wszystko wydawało się nowe – urosły mu włosy i w modnym stylu wygolił je po bokach, ubierał się jakoś inaczej, stwierdziłaby, że bardziej luzacko, jakby na dobre zwał spod ręki ojca i tym samym przestał być elegancikiem; miał też kolczyk w uchu symbolizujący bunt. W ciszy zastanawiała się, czy zmienił się również z charakteru. Wciąż był lekkoduchem? Nadal dbał o nią pomimo drobnych konfliktów, czy kompletnie o niej zapomniał? I przede wszystkim, czy w ogóle będą w stanie choć w niewielkim stopniu znów dogadywać się jak kiedyś?

On natomiast wlepił w nią zielone oczy w kształcie migdałów. Ściągnął zarośnięte brwi w jedną linię. Wiedział, że jest zła. Doskonale znał jej reakcje – a teraz zaciskała mocno usta, aż skóra wokół nich zrobiła się biała.

– Powitanie na miarę Clarków, robaczku – odezwał się jako pierwszy, przeczuwając, że siostra nie jest w stanie wydusić choćby słowa, ponieważ trwała w bezruchu z lekko rozchylonymi ustami i zdziwieniem wymalowanym na twarzy. Nie spodziewała się go. Ani teraz, ani w ogóle. Była pewna, że tym razem wyjechał na dobre.

Carmen też nie spuszczała z niego wzroku, jakby nie dowierzała, że to naprawdę on.

– Nie cieszysz się na mój widok? – rzucił rozbawiony, po czym rozłożył szeroko ramiona. Granatowa koszula w kratę, którą miał na sobie, zafalowała pod wpływem tego ruchu. Czekał trzy sekundy, nim dotarło do niego, że Carmen nie wpadnie mu w objęcia. Wzruszył więc ramionami i wcisnął dłonie w kieszenie dresów, żeby wyglądać bardziej luzacko.

Próbowała się uśmiechnąć, bo obecność Jamesa cieszyła ją jak nigdy wcześniej, ale nie potrafiła. Wyszedł z tego tylko krzywy grymas. Po jej policzkach spływał czarny tusz, a wilgotne ubrania nadal ciasno przylegały do ciała. Była obrazem nędzy i rozpaczony i w niczym nie przypominała już Carmen Clark, jaką zapamiętała.

– Carmen, co się dzieje? – W jego głosie pojawiła się szczerza troska, jakby już sam jej widok powiedział mu, że coś jest nie tak. Wzruszyła ramionami. Spróbowała go wyminąć bez zbędnych słów, ale w porę uczeplił się jej ramienia. Byli podobnego wzrostu, kiedy nosiła szpilki, więc od razu nawiązali kontakt wzrokowy. – Mów. Albo dzwonię do ojca.

Carmen parsknęła śmiechem, przekonana, że tylko żartuje, bo z tatą miał mniej wspólnego niż ona – przecież zawsze sprawiał większe problemy, pakował się w niewłaściwe towarzystwo i podejmował najgorsze dla siebie decyzje. Dlatego częściej się kłócili, niż normalnie rozmawiali. Ale James Cameron wydawał się zbyt poważny na żarty. Chyba naprawdę mógłby na nią donieść. Uniósł brwi wyczekująco i jednocześnie wolną dłonią poprawił kryształowy kolczyk w lewym uchu. Odchrząknął głośno.

Milczała. I milczeć chciała już do końca życia, bo huk wystrzału wciąż odbijał się w jej głowie echem, przez co wszędzie było jej głośno.

– Ktoś ci coś zrobił? – ciągnął temat. Potrząsnęła głową. *Nie*, pomyślała. *Ale komuś innemu stała się krzywda*. A ona tylko patrzyła. Szarpnęła ramieniem, dzięki czemu uścisk brata zelżał. Ruszyła do kuchni, pozostawiając za sobą tylko stukot obcasów. – Kurwa, Carmen, pogadaj ze mną.

– Teraz? – prychnęła z wyrzutem, czym całkowicie go zaskoczyła. Od razu zrozumiał przekaz. Była na niego zła. Bo zniknął bez słowa. Bo przestał się odzywać. Bo nie odbierał nawet telefonów. Bo ją zostawił, jakby nic nie znaczyła.

Stała przy szafce, by wyciągnąć z niej butelkę whisky z logiem firmy ojca. Sięgnęła również po kieliszek, napełniła go i prędko opróżniła. Skrzywiła się tylko raz, choć alkohol palił jej przełyk. Odwróciła się i spojrzała na Jamesa, kiedy starając się rozładować atmosferę, rzucił z uśmiechem:

– Mnie już nie polejesz?

Spojrzenie Carmen było odpowiedzią na to pytanie – rozbawione i zarazem ostre jak stłuczone szkło, o które mógłby się pokaleczyć.

– Teraz nie mamy już o czym rozmawiać – powiedziała tylko słabym głosem.

– Carmen...

– Spieprzyłeś, James! – warknęła z prawdziwym wyrzutem. Przez moment wydawało mu się, że ten dźwięk zdoła go odepchnąć. – Gdzie byłeś? Zapomniałeś, że masz rodzinę?

– Ja... Ehm... – dukał niepewnie, drapiąc się po karku. – Trochę nabroilem, okej?

*Nic nowego*, pomyślała. Ale co zrobił tym razem? Za mocno zabalował? Rozbił czyjeś auto po pijaku? Pożyzył pieniądze od niewłaściwych ludzi? Scenariuszy było wiele i w każdym z nich Cameron odegrałby świetną rolę rozpieszczonego chłopca ze zbyt dobrym mniemaniem o sobie, bo tatuś ma władzę oraz pieniądze, więc on również.

– Ale to naprawię. Obiecuję. Po prostu ze mną porozmawiaj, jeśli coś się stało.

– W porządku – zgodziła się. – Pogadajmy o tym, że właśnie widziałam, jak jakiś świr kogoś postrzelił, a potem wysłał po mnie swojego kolegę. Pogadajmy o tym, że nie mam pojęcia, co z tym zrobić. I o tym, że... – urwała. Zagryzła policzek do środka. Dopiero, kiedy wypowiedziała te słowa na głos, zrozumiała, jak absurdalnie brzmiały. Speszyła się. Również dlatego, że James patrzył na nią, jakby nie wierzył w to, co słyszy.

„I o tym, że się boję”, chciała powiedzieć, ale w zamian rzuciła tylko: – Nieważne.

Machnęła ręką.

– Pamiętasz, jak wyglądali? – spytał. Nic więcej nie przyszło mu do głowy. Carmen zmarszczyła brwi. Wahala się. Pamiętała aż za wiele. Głównie jego. I ten uśmiech na miarę diabła, który na długo zapadał w pamięć. Ale uznała, że lepiej będzie zapomnieć. Wzruszyła obojętnie ramionami. – Skup się. To ważne.

Zaskoczona uniosła wzrok i wydeła dolną wargę, gdy James chwycił ją za ramię w taki sposób, jakby chciał wyrzucić na niej presję.

– Jeden z nich miał tatuaż na ręce – odpowiedziała. Ten obraz wciąż nawiedzał ją za każdym razem, kiedy zamykała oczy. Jakby wytatuowała go sobie na mózgu. – Krzyż. Gdybyś chciał wiedzieć.

James kiwnął głową. Do jego ust przykleił się dziwny uśmiech i może nawet zbladł. Ale Carmen nie miała głowy, żeby to drażnić. Chciała zostawić go w kuchni, ale gdy tylko się poruszyła, zatrzymał ją, stawiając krok w bok.

– Pójdiesz z tym na policję? – spytał z nutą wątpliwości w głosie.

– Nie wiem – burknęła nieuprzejmie.

– Carmen – mruknął przejętym głosem. Patrzył na nią uważnie, jakby starał się wedrzeć do jej głowy. Odniosła wrażenie, że wolałby powiedzieć coś innego, ale ostatecznie powiedział: – W tym mieście ludzie się nie zabijają.



– Czyżby? – Parsknęła śmiechem, niemal opluwając się jadem, którego miała w sobie aż nadto. Kiwnęła jednak głową i wysiliła się na uśmiech. Może miał rację. Może nie stało się nic wielkiego. Może tylko sobie coś ubzdurała.

Wyszła z powrotem na korytarz. Kilka razy upewniła się, że zamknęła drzwi, by nikt nie mógł przedostać się do środka bez zaproszenia. Miała ochotę się rozpłakać, ale żeby do tego nie dopuścić, zacisnęła mocno usta, oddychając przez nos. Chciała wyc i skamleć z bezradności.

Wiedziała jednak, że kiedy tylko rozchyli usta, krzyk ten nie będzie miał końca.

• • •

Malachai Yordan utożsamiał się z pogodą. Porywczą i zmienną, zupełnie jak on.

Zadarł głowę ku czarnemu niebu i pozwolił, by krople deszczu roztrzaskały się na jego twarzy niczym łzy samego Boga, który oplakuje utratę kolejnej duszy. Próbował wyglądać na niewzruszonego, choć w środku był najzwyczajniej zły. Wściekłość opanowała go od stóp do głów i nie chodziło już tylko o to, że męczył się we własnym cieple, a bardziej o fakt, że nic nie poszło tak, jak planowali.

Odwrócił głowę, kiedy po krótkim truchcie dołączył do nich Holden, z którym niefortunnie dzielił tę samą krew. Nie wyglądali nawet podobnie. Byli swoimi przeciwieństwami, które wcale się nie przyciągały. Jediną rzeczą, jaka naprawdę ich łączyła, był niebieski kolor oczu, choć nieidentyczny. Oczy Kaia były ciemniejsze, jakby zasłane chmurami, natomiast Holden chował w nich czyste niebo.

Holden jak zawsze miał to analizujące, powątpiewające spojrzenie, które wbijał w twarz młodszego brata, przez co na środku jego czoła pojawiły się dwie zmarszczki. Nic nie mówił, choć wydawało się, że do powiedzenia ma najwięcej.

Kai wyminął brata, niby przypadkiem szturchając go w ramię. Na szybko zlustrował sylwetkę trzeciego chłopaka, Cartera Evansa, który ze złością zrzucił z głowy kaptur i potarł o siebie zmarznięte od niskiej temperatury i stresu dłonie. Podobnie jak reszta miał na sobie czarne ciuchy, a poza tym okulary w cienkich złotych oprawkach. Jego ścięte przy skórze włosy, pofarbowane na jaskrawo biały kolor, kontrastowały z niebem pełnym chmur.

– Ja pierdolę – sapnął, beznamiętnie gapiąc się na asfalt, lśniący od zabarwionej na czerwono wody. – Gratuluję, Kai. Spierdoliłeś kolejną robotę.

Śmiał się, choć posiłek, który zjadł przed akcją, podchodził mu do gardła. Nigdy nie był zwolennikiem przemocy, ale życie zmuszało go, by czasami ją oglądał. Zerknął na przyjaciela i poklepał go po barku, nim Malachai kucnął przy powiększającej się kałuży krwi. Nawet się nie skrzywił, gdy umoczył w niej palce, a potem przybliżył je do twarzy, obserwując, jak zastyga między liniami papilarnymi. Coraz intensywniejszy wiatr targał jego ciemnymi włosami, które niemal zlewały się z mrokiem, a oczy lśniły w blasku pojedynczych świateł.

– Super – westchnął ze znużeniem, po czym przechylił głowę w kierunku kolegi, obdarowując go spojrzeniem z dołu. – Gdzie moja nagroda?

Nie doczekał się odpowiedzi, ponieważ Holden wkroczył między nich, próbując jak zawsze ratować kryzysową sytuację. Chwycił brata za kaptur bluzy i siłą podciągnął go do pionu tak, że stanęli twarzą w twarz – on śmiertelnie poważny oraz Malachai poważnie rozbawiony.

– Powiedz chociaż, że żyje. Nie chcę mieć kogoś na sumieniu – jęknął z boku Carter i choć zwracał się do Holdena, to Kai udzielił mu wyjaśnień.

– Nie, kurwa. Nie żyje. Zdechł. Trup. Widzisz? – wyrzucił cały zdyszany. Nie znał więcej słów na oznajmienie im, że pozbawił kogoś życia. I nawet się tym nie przejął. Mógł dopisać do listy kolejną rzecz, która odróżniała go od dobrych ludzi. Śmierć innych go nie obchodziła, o ile nie wpływała na jego życie.

Trącił czubkiem buta bezwładne ciało, wyginając usta w grymasie obrzydzenia.

– Co to było, Kai?! Oszalałeś? – uniósł się Holden, choć w tej sytuacji może nie powinien. Wplótł kościste palce między kosmyki przydługich blond włosów i zaczął niespokojnie krążyć dookoła. Tylko on wykazywał oznaki przejęcia.

Kai parsknął niekontrolowanie. *Już dawno*, pomyślał, ale tylko wzruszył ramionami. Nie chciał się w to zagłębiać, bo to zawsze budziło jego wewnętrzne demony, które nosiły imiona po największych lękach, jakie w sobie skrywał. Obojętność była lepszym wyjściem.

Holden przystanął tuż obok, tak, że mogli ponownie zajrzeć sobie w oczy, choć Kai był o kilka centymetrów niższy. Kiedy stawali naprzeciwko siebie, wyglądali jak anioł i diabeł. Obaj gotowi do ostatecznej walki na śmierć i życie, byle tylko ocalić ludzkość lub pozostawić ją w zgliszczach ognia piekielnego.

– Broń nie miała być naładowana – stwierdził szatyn, licząc, że takie wyjaśnienie wystarczy i Hol-

den wreszcie przestanie tak karcąco mu się przyglądać.

Carter wciąż stał przy aucie z rękoma schowanymi w kieszeniach ulubionej luźnej bluzy.

– Miało nie być nabozi. Prawda, Carter? – mruknął. W jego głosie pojawiło się zdenerwowanie połączone z histerią i paniką. Może trochę się przejął. Nie z powodu tego biedaka, który wciąż leżał u jego stóp niczym manekin. Obawiał się tylko gniewu, jaki najpewniej na niego spadnie.

Podszedł do kolegi i szarpnął go za materiał bluzy, sprawiając tym samym, że w końcu nawiązali kontakt wzrokowy. Widząc zmieszanie w zielonych oczach przyjaciela, wycofał się. Wyładowywał złość na niewłaściwej osobie. To on był problemem, nie Carter. A Carter przecież nie zasługiwał na takie traktowanie.

– Nie wiem – westchnął białowłosy, stawiając krok w tył. – Pogubiłem się.

Kai zaśmiał się pod nosem i pokręcił głową.

– Co z podglądaczką? – rzucił w kierunku brata. Pochwycił jego spojrzenie, przejęte, może trochę spanikowane na samą wzmiankę o dziewczynie. – Sporo widziała.

– A co ma być? – burknął Holden. Bał się tego, do czego zmierza Malachai.

– Skoro sobie z nią nie poradziłeś, to chętnie sam ją znajdę – odpowiedział natychmiast Kai, uśmiechając się w charakterystyczny sposób, który zdradzał, że w jego głowie rodzi się złowieszczy plan. Postawił krok w przód, dzięki czemu zbliżył się do brata tak, że niemal stykali się nosami. Zadarł głowę, żeby ich spojrzenia się odnalazły. – Przyda mi się rozrywka.

Tak jak przypuszczał, podziałało. Holden zacisnął usta w wąską linię, napiął szczękę, a w jego niebieskich oczach pojawiła się isierka złości. Chwycił brata za przemoczoną koszulkę i odepchnął z łatwością na odległość ramion. Kai zarechotał, dumny z tego, że wyprowadził go z równowagi.

– Ten bajzel – zaczął Holden, palcem zarysowując okrąg wokół nich i martwego mężczyzny – to twoja sprawka. Ona nie ma z tym nic wspólnego. Daj jej spokój! – Jego zachrypły głos zawisł w powietrzu. Holden na nowo stał się oazą spokoju. Pomimo tego, że czuł się tak, jakby przez ostatnie minuty przybyło mu kilka lat.

– Poprawka – westchnął Kai. – Ona nie miała z tym nic wspólnego, dopóki nie pojawiła się na naszej drodze. Teraz ma z tym wiele wspólnego, Hol. I nie, nie zdam się na łut szczęścia, głupio licząc, że pójdzie grzecznie spać.

– Daj jej spokój, Kai – wycodził Holden ze zdenerwowaniem, akcentując każde słowo. W tej samej chwili kosmyk jasnych włosów zawirował w powietrzu, po czym opadł na lewą część twarzy, przesłaniając widok na jego przejętą twarz.

– Oczywiście. Sorka. Zapomniałem, że masz dzisiaj bohaterską fryzurę – ironizował Malachai, przewracając oczami. Zaśmiał się ponownie w taki sposób, jakby nie stało się nic poważnego. Kątem oka zerknął na przyjaciela, który wołał milczeć niż pakować się między dwie tykające bomby, jakimi byli bracia Yordan. Ale Kai miał dla niego inny plan, więc rzucił:

– Carter, ty też uważasz, że Holden jest naiwny?

– Carter, ty też uważasz, że Kai jest idiotą? – przedrzeźnił go brat, starając się zabrzmieć bardziej komicznie. Nie mógł dłużej trzymać tego w sobie, choć było to dla niego oczywiste, że tylko rozjuszy Kaia. I wcale się nie mylił. Oczy szatyna zmrużyły się groźnie. Próbował posłać Holdenowi jedno ze swoich zadziornych spojrzeń, ale nie wywołało to żadnej reakcji. Znał ten wzrok i zdążył nauczyć się skutecznie go ignorować.

– Kretyn – prychnął pod nosem Malachai, a zaraz po tym uśmiechnął się triumfalnie.

– Fiut.

– Cipa.

– Kutas.

Malachai rozchylił usta, szykując kolejne obraźliwe słowo, ale Carter niespodziewanie opadł na jego bark, ciężko dysząc, jakby coś zważyło go z nóg. Twarz miał bledszą, niemal zlewała się z odcieniem włosów, a na czole lśniło kilka kropel deszczu.

– Fajnie, że tak się kochacie, ale typ odstawia *The Walking Dead*.

Za te słowa otrzymał od kolegów zdeorientowane spojrzenia. Westchnął, przewracając oczami z zażenowania. Czy naprawdę tak ciężko było się domyślić, o co mu chodziło? Nie. Nawet dzieciaki z podstawówki zrozumiałyby przekaz. Ale bracia Yordan jarzyli wolniej niż żarówki.

– On się, kurwa, rusza! – wyjaśnił piskliwym głosem, wskazując brodą na umarlaka.

To wystarczyło, by wreszcie zaprzestali szczeniackiej kłótni, która nie miała najmniejszego sensu. Odwrócili się synchronicznie. Razem spojrzeli na postać na ziemi. I rzeczywiście, Carter się nie mylił. Mężczyzna poruszał nieznacznie głową, mamrotał coś pod nosem i mrugał chaotycznie, jakby próbował

pojąć, co się wydarzyło.

Kai patrzył na niego jak zahipnotyzowany. To on miał teraz władzę, trzymał życie mężczyzny w garści. Mógł o wszystkim zdecydować. I to go zafascynowało. Przez jego młodą twarz nie przebiegł cień emocji, z wyjątkiem tego, że prawy kącik ust drgnął i uniósł się. Kai bez słowa kucnął obok. Syknął przez zaciśnięte zęby, jakby to on miał w brzuchu dziurę, gdy obiegił wzrokiem zmoczony i nasiąknięty krwią materiał ubrania.

– Och, to musi boleć – powiedział miłym głosem i uśmiechnął się zupełnie nie jak on, przypominając przyjaznego chłopaka, który wzbudza sympatię. Końcówką pistoletu zadarł kawałek koszuli mężczyzny, dzięki czemu zobaczył dokładnie symetryczną ranę po kuli. Tamten kiwnął głową na potwierdzenie, kiedy Kai przytrzymał go za ramię, żeby więcej nie wierzgał kończynami. – Pozwól, że ci ulżę.

Oczy nieznajomego załaty się paniką w tej samej chwili, w której Kai przystawił lufę do jego czoła. Skamłąc z przerażenia pod nosem, usiłował ostatkiem sił chwycić nadgarstek swojego oprawcy. Malachai zawisł nad nim i szepnął prosto w twarz:

– Ostatnia szansa. Gdzie nasza kasa?

Holden drgnął niespokojnie, gotowy interweniować, ale Kai zbył go machnięciem ręki, jakby chciał zapewnić, że tylko się zgrywa, żeby osiągnąć cel. Ku zaskoczeniu wszystkich ta taktyka zadziałała. Mężczyzna kiwnął głową w stronę opuszczonego budynku za ich plecami, na co Kai wyszczerzył się wygodnie.

– Widzisz, jednak potrafisz współpracować – powiedział z udawaną ekscytacją, klepiąc nieznajomego po ramieniu. Wyprostował nogi i wciąż pochylając się nad ofiarą, wcisnął dwa palce w otwartą ranę. Minęła prawie minuta w akompaniamencie niewyraźnych jęków, nim sięgnął kuli. Wyciągnął ją i uniósł w kierunku lampy, żeby lepiej widzieć, a później na pamiątkę wcisnął ją w kieszeń czarnych dżinsów.

Przekroczył wijące się z bólu ciało, by dołączyć do brata i przyjaciela. Nie mógł jednak znieść agonalnych odgłosów za plecami. Docisnął palce do uszu i zamknął oczy, ale to wcale nie pomogło. Zerknął przez ramię na mężczyznę, po czym od niechcienia uderzył butem w bok jego brzucha, wywołując tym samym kolejny wrzask.

– Ja pierdolę, stul pysk.

Miał wrażenie, że od tych nieznośnych hałasów za moment eksploduje mu głowa. Atakowała go migrena. Nie mógł skupić się nawet na własnych myślach, które były w morderczym nastroju. Dał mężczyźnie ostatnią szansę, żeby się przymknął. Policzył od dziesięciu w dół i każda z tych sekund była przepełniona żalonym skamleniem. Z tego powodu wycofał się tylko po to, by z półobrotu kopnąć mężczyznę w głowę.

Spodziewał się, że ujrzy krwawą miazgę w postaci kości czaszki i kawałków mózgu, ale ciało mężczyzny tylko uniosło się na ułamek sekundy, a później z powrotem opadło na ziemię. Kai pochylił się nad nim i przy tym nadepnął butem ranę. Od razu tego pożałował, ponieważ ofiara w ostatnim odruchu rozchyliła usta, wypływając przed siebie sporą ilość krwi.

Malachai zacisnął ze złości szczękę. Ręką starł z twarzy czerwoną maź i z wymuszonym uśmiechem odwrócił się do pozostałej dwójki. W samą porę, by zobaczyć, jak sinozielony Carter wymiotuje pod swoje buty.

– Och, co za powrót do przeszłości – mruknął Kai rozbawiony i kolejny raz, dla pewności, przejechał materiałem bluzy po policzkach, ustach i podbródku.

Właśnie wtedy w umyśle Holdena pojawił się obraz sprzed lat, jakby przeżywał to kolejny raz. I może tak właśnie było, bo to wydarzenie tkwiło w nim tak głęboko, że nie potrafił się od niego odciąć. Wizja przerażająco bladej twarzy brata, z oczami bez wyrazu i krwią rozbryzganą na młodej twarzy. Poczuł, jak nagle jego klatka piersiowa się zapada. Coś na nowo się w nim stłukło. Przeszłość biła w nim niczym drugie serce. Była nienaprawialna i nie mógł z nią nic zrobić.

Policzył do dziesięciu, by się uspokoić, chociaż jego dłonie bardzo drżały.

Instynktownie złapał Kaia za ramiona i odciągnął daleko w tył. Mocno przytrzymał jego łokcie, kiedy on z całej siły próbował wydostać się z blokującego ruchy uścisku. Ale to właśnie cały Malachai Yordan – z nagłymi wybuchami złości, które są w stanie zniszczyć świat i z pokreconym charakterem nie do odgadnięcia. Raz słodki chłopiec, raz dziki mężczyzna.

Nigdy nie był taki sam.

– Brawo! – krzyknął Holden, po czym zaczął klaskać tak głośno, że zadźwięczało im w uszach. – Chcesz jeszcze coś doszczętnie spierdolić, Malachai?

Specjalnie użył pełnej formy imienia brata, ponieważ wiedział, jak bardzo go nienawidzi. Stali

ramię w ramię, a ich nierówne oddechy się mieszały.

– Zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego rodzice mnie tak nazwali? – spytał Kai, olewając wcześniejsze słowa. Odwrócił się twarzą do Holdena i spojrzał mu w oczy. – To tak, jakby oczekiwali ode mnie, że będę zły. I wiesz, braciszku, może mieli rację.

*Mój anioł, pomyślał. Anioł śmierci.*

Holden stał z otwartymi ustami, zastanawiając się, co powiedzieć. Kai dopowiadał sobie historię, która nie była prawdą. To właśnie zamierzał mu przekazać. Ale nie zdążył.

– Wiecie, że na świecie mamy siedem miliardów ludzi? – Kai zadał kolejne pytanie, zbijając znajomego i brata z tropu. – Siedem. Miliardów. Ludzi. A ty wariujesz, bo zabiliśmy jednego?

Tryknął starszego brata w bark.

– My? – parsknął załamany Holden. Spuścił głowę i zaczął masować palcami powieki, żeby nieco się uspokoić. – Nie my. Tylko TY! Sam. Bo jak zawsze robisz, co ci się podoba!

Blondyn stracił ostatnie resztki cierpliwości. W przypiływie złości popchnął brata, który zatoczył się i cudem uniknął bliskiego spotkania ze zwłokami. Holden poczuł, jak przez każdy kawałek jego ciała przechodzą ciarki, kiedy również zawiesił wzrok na trupie. Widok był okropny, ale nie na tyle, by zastąpić wspomnienie zakrwawionego Malachai'a pomiędzy ciałami rodziców. Zamknął na moment oczy z nadzieją, że to pomoże odsunąć wspomnienia w głąb umysłu.

Kai wyminął go, przewracając oczami w najbardziej ostentacyjny sposób.

– Gdzie ty się wybierasz? – syknął Holden, kiedy złapał Kaia za ramię, żeby go powstrzymać. Czuł, jak wszystko w nim zaczyna wrzeć z bezradności, bo nie potrafi zapanować nad własnym bratem. Malachai uniósł tylko brwi z rozbawieniem.

– Priorytety, Hol. Pamiętasz? – mruknął, a z jego ust wydostało się znudzone ziewnięcie. – Przyszliśmy tu po kasę. Nie jesteśmy jebaną fundacją, żeby je rozdawać.

– Mam gdzieś ten brudny szmal! – ryknął Holden na całą okolicę z nadzieją, że jakimś cudem dotrze do brata, do jego zdrowego rozsądku. Złapał go za ramiona, spojrzał w mu oczy i potrząsnął nim. – Właśnie zabiłeś człowieka, pieniądze nie mają teraz znaczenia!

Malachai miał na ten temat inne zdanie.

– Mieliśmy jedno zadanie. Zgarnąć pieniądze – zaczął spokojnie Kai, jakby zwracał się do kogoś, kto mógłby nie zrozumieć. – Nie przypominam sobie, żeby ktoś wspominał, że nie wolno nam zabijać.

– A Biblia? „Nie zabijaj” to jedno z przykazań!

Kai z trudem powstrzymał się, by nie parsknąć śmiechem w twarz brata.

– Sorka, Hol. Nie znam – westchnął Kai obojętnym tonem. Wzruszył ramionami, podkreślając tym samym stosunek do słów wypowiedzianych przez Holdena. Przekaz był jasny. Miał to wszystko gdzieś. Ogólnie obowiązujące zasady go nie interesowały.

Łamał je i stwarzał własne.

Kai odwrócił się, wyciągnął z bagażnika baniak z benzyną i bez pośpiechu rozlał ją dookoła, łącząc nie z drogą do opustoszałego budynku. Wpadł do niego jak huragan. Po kilku minutach poszukiwań w ręce wpadło mu to, czego szukał – skórzana walizka pełna kasy. Wybiegł na zewnątrz, unosząc ją wysoko ponad głowę.

– Panowie, jesteśmy bogaci! – krzyknął. Jego entuzjazm podzielał tylko Carter, który nagle się rozpromienił. – Znowu!

Opuścił ręce, by sięgnąć do kieszeni. Wyszukał w niej zapalniczkę, po czym kucnął i podpalił fragment podłoża. Wyprostował się i szybko dobiegł do pozostałych. Kiedy znalazł się wystarczająco blisko, złapał ich za ramiona i szarpnął ku dołowi. Razem runęli na glebę. Carter zarył skronią o asfalt, mamrocząc coś pod nosem. Holden natomiast poczuł, jak skóra na jego dłoni zdziera się, szpecąc tatuaż w kształcie krzyża. Otworzył usta, by nakrzyczeć na brata, ale w gnieniu oka odebrało mu mowę.

Wszyscy w tym samym momencie zobaczyli, jak budynek staje w płomieniach. Ledwie parę sekund później wokół rozległ się hałas wybuchu, który ich oszołomił. Dźwięki zaczęły zlewać się w całość i brzmiały jak melodia z zarysowanej płyty. Pomarańczowe jęzory ognia pochłaniały ściany oraz gałęzie na drodze, skutecznie przedostając się w prostej linii do ciała mężczyzny.

– O Jezu, ale smród! – jęknął Carter, dociskając twarz do asfaltu, bo wilgotna od deszczu ziemia pachniała lepiej niż odór palonego mięsa. Szczególnie jeśli przypomnieć sobie, że to ludzkie mięso.

Radosny rechot Kaia nie pasował do sytuacji. Rozłożył szeroko ramiona, gdy przewrócił się na plecy. Znów gapił się w czarne niebo, które utożsamiał z własną duszą. Odchrząknął, kiedy wreszcie zapanował nad śmiechem i wciąż rozbawiony spytał:

– Zgłodniałem, a wy?

## 2.

Cisza panująca na korytarzu tylko podkreślała ich grobowe nastroje.

Malachai krążył niespokojnie wzdłuż pomieszczenia – od prawej do lewej i z powrotem. Dla rozluźnienia wplątał palce w kosmyki ciemnych włosów, szarpiąc za końcówki, aż odczuł przyjemny ból. Prawie nie mrugał, kiedy uważnie obserwował stojącego pod ścianą Holdena oraz Cartera, który jako jedyny z ich trójki siedział na krześle, wpatrując się w ekran telefonu.

Mijały sekundy, a następnie długie minuty, podczas których żaden z nich się nie odzywał. Zupełnie tak, jakby nagle wszystkie wspólne tematy, wspomnienia i żarty przestały istnieć. Jakby coś między nimi pękło i nieodwracalnie się zmieniło. Jakby nagle stali się nieznajomymi, bo ktoś wymazał przeszłość.

Kai odniósł wrażenie, że minęła wieczność, zanim drzwi za jego plecami się otworzyły. Automatycznie odwrócił się w samą porę, by zobaczyć postawną sylwetkę wyłaniającą się z wnętrza klubu, którą na krótki moment oświetliły kolorowe neonowe światła.

Mężczyzna poruszał się jak typowy bokser – był lekko zgarbiony, jakby przerośnięte mięśnie na karku nie pozwalały mu się całkowicie wyprostować, a mimo to kroczył dumnie z rękoma schowanymi w kieszeniach płaszcza, bujając się przy tym na boki. Już z daleka biło od niego zimno, a zaledwie jednym lodowatym spojrzeniem obniżył temperaturę w pomieszczeniu o kilka stopni. Przeszedł obok, zostawiając za sobą stukot drogich mokasynów. Nawet nie zwrócił na nich uwagi. Jakby nic nie znaczyli.

A w jego oczach Malachai Yordan chciał znaczyć wszystko.

Dlatego to on wystartował jako pierwszy, jakby całe jego życie od tego zależało. Wpadł do pokoju jak nieprzewidywalny, silny podmuch wiatru. Zatrzymał się dokładnie przed mężczyzną, czym zasłużył sobie na jego obojętne spojrzenie. Poczul się przez to ważny. Uśmiechnął się, choć całym jego ciałem wstrząsnął dreszcz. I nawet go to nie dziwiło, ponieważ to działo się niemal zawsze, kiedy w pobliżu zjawiał się były bokser – Ivan Yordan.

Siedział już przy biurku. Ręce opierał na blacie, przez co napięty materiał na ramionach sprawiał, że wyglądały jeszcze potężniej. Miał zaczesane do tyłu włosy w odcieniu ciemnego blondu – zupełnie jak tata Malachaia, i może właśnie dlatego tak często widział w Ivanie samego siebie. W sposób naturalny współgrały z kilkudniowym zarostem nadającym mężczyźnie nieco niedbały wygląd. Spod jego granatowej koszuli wystawał złoty łańcuch i to właśnie na nim Kai zawiesił spojrzenie.

– Cześć, wujaszku – powiedział radośnie jak zawsze, by nie zdradzić od razu, że nawalił. Wyprostował się, ściągając łopatki, bo nagle pod wpływem ostrego spojrzenia Ivana poczuł się malutki jak mrówka, którą każdy mógłby zgnieść. A on pragnął być wielki.

Ivan nie uraczył go nawet krótką odpowiedzią. Nie wysilił się również na uśmiech. Obrócił się za to na krześle i przez ramię odpalił telewizor w kącie pomieszczenia, przez co Kai momentalnie zbladł. Dojrzał reportera, który relacjonował sytuację z miejsca łudzaco przypominającego to, w którym niedawno byli. Strażacy w tle wciąż gasili ostatnie płomienie, a na dolnym pasku pogrubione litery formowały się w jedno zdanie: „Uliczna mafia znowu atakuje”.

Malachai parsknął niekontrolowanie, czym przerwał ciszę.

– Och, błagam, mafia? – prychnął urażony. – Obrażają nas.

Ivan odkaslnął porozumiewawczo, jakby chciał tym postawić go do pionu. Pozwolił, by telewizor wciąż grał, ale na ekran już nie patrzył. W zamian przeniósł wzrok na sylwetkę bratanka i uniósł wyczekująco brwi. Palcami lewej dłoni stukał w szkiełko zegarka zdobiącego prawy nadgarstek. Tik-tak. Tik-tak. Tik-tak. Kai wręcz słyszał, jak wujek odlicza mu sekundy.

– I tak nikt tego nie ogląda – dodał po chwili Kai, zupełnie nieplanowanie, byle tylko uniknąć wyjaśnień. Zgarnął z blatu pilota i wyłączył wiadomości, choć reporter rozmawiał właśnie z policjantem prowadzącym sprawę. W pokoju na nowo zapanowała nieprzyjemna cisza. Malachai pragnął się jej prędko pozbyć, więc położył na biurku walizkę i przesunął w kierunku wujka.

– Twoja kasa – powiedział z dumą w głosie, żeby odciągnąć myśli Ivana od tego, co przeszkrobał. I chyba zadziałało, ponieważ na sam widok góry pieniędzy usta mężczyzny zastygły w szerokim uśmie-

chu, a ledwie sekundę później podobny wyraz zagościł również na twarzy Kaia. – Tak, jak prosiłeś.

– Poważnie? – burknął nagle Holden.

Dopiero wtedy Kai przypomniał sobie, że brat stoi pod ścianą i obserwuje wszystko z boku. Jakby był tam tylko ciałem, ale nie duszą. Ivan odwrócił do niego głowę i zlustrował go spojrzeniem. Gestem ręki nakazał, by kontynuował, więc Holden dodał bez zastanowienia:

– Tak po prostu odpuścisz mu to, że znowu wszystko skomplikował?

Malachai zaśmiał się cicho pod nosem, choć w rzeczywistości poczuł się tak, jakby Holden wbił mu szpilkę w serce.

– Zamknij się, Hol! – jęknął tylko, posyłając bratu groźne spojrzenie, gdy ten na nowo odpalił telewizor. Na szczęście sceneria się zmieniła. Obskurna, ciemna uliczka ustąpiła miejsca klimatycznej destylarni, reportera oraz gliniarza zastąpił dumny przedsiębiorca, a nagłówek głosił: „Clark to od lat marka premium”.

Ostry głos Ivana przeciął powietrze między nimi, gdy wypowiedział jedno imię: Carter. Zwracał się do Cartera, choć ten starał się za wszelką cenę w tej rozmowie nie uczestniczyć. Dlatego z wrażenia wypuścił telefon z dłoni, który spadł ekranem do dołu. Skrzywił się, modląc się w duchu, by szyba przeżyła to starcie z podłogą, po czym uniósł głowę.

– Może ty opowiesz o tym, co się stało? – spytał Ivan nadzwyczaj łagodnym tonem.

Carter wzruszył ramionami. Wolał się w to nie mieszać, bo wyszedłby na tym najgorzej. Milczenie było w porządku, kiedy w grę wchodziła rodzina Yordanów.

– Kai zabił twojego klienta! – wypalił Holden na jednym wydechu, za co Carter był mu wdzięczny. Ale tylko przez parę sekund, nim dotarło do niego, z czym to się wiąże. Wycofał się w cień, przeczuwając, że starszy z braci odblądził właśnie granat.

– Nie „zabiłem” – odpowiedział natychmiast Kai i nakreślił w powietrzu cudzysłów. – Bardziej „dobiłem”. A potem posprzątałem, więc dlaczego w ogóle o tym gadamy?

– Może dlatego, że ciągle zwracasz na nas uwagę? – warknął Holden. – Ktoś wreszcie się do nas przyczepi.

– O co ta afera? Wszystkie dowody zniknęły – zapewnił szatyn. Patrzył na wujka, na jego zmrużone oczy i napięte mięśnie twarzy, przeczuwając kłopoty. Po chwili spojrzał wymownie na brata. Uśmiechnął się triumfalnie w ten wyróżniający go sposób, a to nie oznaczało nic dobrego. – Prawie.

– Co to znaczy „prawie”? – rzucił twardo Ivan i podniósł się do pionu w taki sposób, jakby zamierzał jednym ruchem ręki zrzucić wszystkie przedmioty z biurka. Kai wzdrygnął się i odruchowo się cofnął, żeby zwiększyć dystans.

– Mieliszmy podglądaczkę – wyjaśnił od razu Malachai. Cały czas wlepił rozbawione spojrzenie w spiętą twarz brata, który aż poczerwieniał od zaciskania szczęki. – Związała, bo nasz Hol wciąż jest dobrym chłopcem i ratuje dziewczyny przed kłopotami. Brzmi znajomo?

Kai wiedział, co powiedzieć, by bez podawania szczegółów trafić prosto w brata. Holden zrobił duży krok w przód, chcąc zrównać się z bratem. Otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale Carter na czas chwycił go za kaptur bluzy i zrezygnowany pokręcił głową.

– Dlaczego więc nadal tu stoisz, Kai? – odezwał się Ivan, wbijając w bratanka przenikliwe spojrzenie. Oparł dłonie na krawędziach biurka i pochylił się w jego stronę. – No, już! Zajmij się nią. Tylko tym razem bądź grzeczny.

– Ale... – wybełkotał Holden. Wiedział jednak, że został zepchnięty na przegraną pozycję i nic nie wskazywało na to, że jeszcze wysunie się na prowadzenie.

– Z ogromną przyjemnością, wujaszku – odpowiedział Kai i dla zabawy stanął na baczność.

Na jego ustach zakwitł cwaniacki uśmieszek. Odwrócił się tak, że stanął twarzą w twarz z bratem. Zacisnął palce na jego barku, wręcz boleśnie, ale udawał, że to tylko przyjacielski gest, nie żadna zaczepka. Nachylił się do ucha Holdena i wyszeptał:

– Sprawdźmy, kto znajdzie ją pierwszy?

– Nie bawię się w twoje chore gierki! – uniósł się Holden i w przypiływie złości zrzucił z siebie dłoń młodszego brata. Wzajemnie zmierzyl się spojrzeniami, które balansowały na granicy utraty kontroli. Jak zwykle odpuścił jako pierwszy. Skierował się do wyjścia, jednak nieustępliwy Kai chwycił go jeszcze za nadgarstek.

– Dam ci trochę przewagi, Hol – mruknął zachęcająco, po czym zarzucił bark na jego ramię. – Tym razem będę za tobą!

Holden zdecydował się na niego spojrzeć. I już wiedział, że nadchodziły kłopoty, ponieważ Kai wyglądał tak, jakby w głowie szukał wszelkich możliwych sposobów, które pomogą mu odnaleźć dziew-

czynę i sprawić, że jej życie stanie się koszmarem.

A w tym Malachai Yordan nie miał sobie równych.

• • •

Poprawił daszek czapki, żeby skuteczniej ochronić się przed deszczem. Kolejny dzień z rzędu rozętała się ogromna ulewa, a on stał pod gołym niebem w dżinsowej kurtce, która zdążyła przemoknąć do ostatniej nitki i przez to stała się znacznie cięższa. Nie był sam, bo towarzyszył mu Carter. Nie z własnej woli. Został do tego zmuszony.

– Kurwa, Kai. Może sobie odpuścimy, co? – mruknął białowłosy i naciągnął szczelniej kaptur na głowę, jednak to już nie pomagało. Obserwował z krzywą miną, jak woda kapie z materiału tuż przed jego nosem. Z każdą sekundą odczuwał coraz większy wewnętrzny chłód, więc przestępował z nogi na nogę, żeby trochę się rozgrzać. Malachai w odpowiedzi posłał mu tylko szybkie, pogardliwe spojrzenie na znak, że nie zgadza się na ten pomysł. Stąpął przed siebie, bo w oddali dostrzegł oślepiające światła nadjeżdżającego pociągu. Spuścił głowę, żeby daszkiem osłonić twarz przed blaskiem lamp. Zignorował fakt, że niezadowolony z takiego obrotu spraw przyjaciel westchnął pod nosem i trącił go pięścią w rękę.

– Jedziemy! – powiedział Kai, podekscytowany wycieczką, jaka ich czekała. By podkreślić swoje dobre nastawienie, klasnął w dłonie. Cieszył się tylko on. Złapał Cartera za ramiona i popychając go w przód, ruszył za nim, jakby byli jedną osobą.

Pociąg zatrzymał się z nieznośnym piskiem, wywołując niewielki podmuch powietrza. Kai obserwował uważnie numery na drzwiach, by żadnego nie przeoczyć. Wagon ósmy – to właśnie jego szukał. I okazało się, że niefortunnie znajdował się mniej więcej w środku, a to nieco kolidowało z jego pomysłem.

Wskoczyli wraz z Carterem do środka, przepychając się w drzwiach z nieznanymi osobami, a kiedy ktoś komentował ich niekulturalne zachowanie, zgodnie pokazywali środkowe palce. Kai rozejrzał się – raz w lewo, raz w prawo, próbując objąć spojrzeniem cały ciasny wagon. Ludzi było bardzo dużo, a mimo to nie dostrzegł wśród ich twarzy tej, której szukał.

– Trzeci dzień ciągasz mnie po tym zasranym, śmierdzącym pociągu i nadal się łudzisz, że ją spotkamy? – prychnął Carter, stając przy koleźce. Kai zbył go machnięciem ręki. Przeszedł się po całym wagonie, a kiedy dotarło do niego, że tu jej nie znajdzie, zawołał Cartera.

Przenieśli się do siódemki, ale tam też nie zauważyli nikogo choć w niewielkim stopniu podobnego do osoby, której szukali. Później była szóstka i piątka, w której pojawiła się iskierka nadziei. W drugim rzędzie, tuż przy oknie miejsce zajmowała dziewczyna. Przyciągnęła uwagę Kaia, ponieważ miała długie rude włosy, a to głównie one zapadły mu w pamięć.

Serce Malachai przyspieszyło niespodziewanie, co było dla niego dość nietypowym zjawiskiem. Zwykle biło wolno, jakby powoli umierało. Ale adrenalina i nutka podniecenia w żyłach zrobiły swoje. Znowu poczuł, że żyje. Zaszumiało mu w głowie od nadmiaru doznań.

Ruszył przed siebie zbyt gwałtownie, by Carter zdołał go powstrzymać. Z obrzydzeniem na twarzy przecisnął się między stojącymi pasażerami. W tamtej chwili nie przejmował się zbyt zapachem ludzkiego potu, który wdierał się do nozdrzy, ani tym, że odbijał się od przypadkowych ciał niczym piłeczka kauczukowa.

Zmniejszył dzielący go od dziewczyny dystans. Zrobił to w przeciągu paru sekund. Zawahał się, kiedy stał już tak blisko, że miał ją na wyciągnięcie ręki. Mógłby bez problemu chwycić między palce jej ładne włosy i wyprowadzić na zewnątrz, by zająć się nią tak, jak prosił Ivan. Zamiast tego położył tylko dłoń na ramieniu nieznanemu.

Zdziwiona odwróciła do niego twarz, a on natychmiast poczuł, jak ulatnia się z niego cały entuzjazm. To nie była ona. Nie była nawet trochę podobna. Kiedy stał tak blisko, zauważył, że nawet kolor włosów się nie zgadza. Pofarbowała je, żeby udawać rudzielca. Uśmiechnął się krzywo zaraz po tym, jak z jego ust wymyknęło się westchnienie.

– Sorka – burknął, jakby był obrażony, bo nieznanemu przyglądała mu się, wyraźnie oczekując wyjaśnień. – Pomyłka. W dodatku fatalna.

Zebrał tyłek i ze spuszczoną głową wrócił do Cartera.

– Jeśli nie jest głupia, to już tu nie wróci – stwierdził Carter, widząc zawiedzioną minę Kaia, która rzadko pojawiała się na jego twarzy. Poklepał go po ramieniu, żeby dodać mu otuchy. Wystarczyło jedno spojrzenie w niebieskie oczy Kaia, by dotarło do niego, że nie zamierza odpuścić. Wręcz przeciwnie, dopiero się rozkręcał.

Bez słowa ruszył w przeciwną stronę, ponownie przeszukując wagony, w których już byli. Wrócili do ósemki. Kai przystanął w pół kroku. Podobnie jak Carter, z tą różnicą, że on zatrzymał się, ponie-

waż wdepnął nowymi butami w kałużę tuż przy toalecie, a zaraz po tym zza drzwi wyłonił się obleśny, spocony mężczyzna z ulanym brzuchem na wierzchu.

– Kurwa – sapnął białowłosy. – Wpadłem w siura.

Carter uniósł stopę i lekko się pochylił, oglądając dokładnie podeszwę buta, żeby oszacować szkody. Nie trwało to jednak zbyt długo, bo nagle Kai szarpnął jego ramię, przez co poleciał w tył, odbijając się boleśnie od przesuwanych drzwi.

– Słyszałeś?! – podniósł głos. Szarpnął przyjaciela za rękaw, by ten zwrócił na niego uwagę, bo Kai wbijał tępy, ale jednocześnie błyszczący wzrok w odległy punkt. – Wpadłem przez ciebie w siura! Wisisz mi nowe buty.

– Kupię ci nawet dwie pary. Tylko się ucisz, skarbeczku! – polecił szatyn, dociskając palec wskazujący do ust.

Nie bez powodu starał się zachowywać normalnie i bezgłośnie. Mrugając chaotycznie, wbijał palące spojrzenie w dziewczynę, która właśnie wsiadła do pociągu. Poruszała się dość szybko, z wrodzonym wdziękiem omijając pasażerów. Nie patrzyła im w oczy. Jedyne omiatała wzrokiem kolejne twarze, jakby je prześwietlała. Był niemal pewny, że czegoś lub kogoś wypatruje. Miał nadzieję, że chodzi o niego. Prędko spuścił głowę, dzięki czemu skrył twarz pod daszkiem czapki. Odczekał dziesięć sekund, nim ponownie zadarł podbródek.

Siedziała blisko. Zbyt blisko. A miejsce za jej plecami było puste, jakby na niego czekało.

– To ona – wyszeptał drżącym głosem, choć nie miał pewności, czy Carter w ogóle to zrozumiał. Nie skupiał się już na otaczającym świetle, bo liczyło się tylko to, że wreszcie ją znalazł. Swoją upragnioną ofiarę.

– Jesteś pewny? – spytał Carter.

Oczywiście, że tak! Bardziej niż kiedykolwiek w swoim życiu. Był pewny tych rudych włosów, które spięła w wysoką kitkę, nietypowych rysów twarzy i czerwonej szminki na ustach. Nie odpowiedział. Zostawiając kolegę w tyle, czmychnął obok niej zwinnie jak kot i opadł na miejsce za nią.

Do jego nozdrzy wdarł się zapach jej perfum. Łagodny, ale jednocześnie z pazurem. A zaraz po tym usłyszał dźwięk telefonu – klasyczny dzwonek łączący wszystkich posiadaczy iPhone'a, który znał aż za dobrze. Przechylił głowę w bok, dzięki czemu dojrzał, jak dziewczyna grzebie w przewieszanej przez ramię saszetce, by znaleźć źródło zamieszania. Wyciągnęła komórkę, ale wtedy nieświadomie upuściła brelok.

Kai przydepnął go butem i przysunął bliżej siebie. Skrzyżował ramiona przed sobą i słuchał uważnie, by nie pominąć żadnego szczegółu rozmowy, który mógłby się później przydać. Dziewczyna nie wyglądała na zadowoloną. Bardziej na poirytowaną i zmęczoną. Ta rozmowa chyba prowadziła do kłótni, bo ciągle podnosiła głos. A Malachai rozmyślał tylko nad jednym: „Kim jesteś, Cam? Facetem? Koleżanką? Kimś z rodziny?”, ponieważ to imię cały czas padało z jej ust, jakby było słowem kluczem. Za każdym razem jej głos brzmiał jadowniczo, z czego wywnioskował, że chyba nie przepadała za rozmówcą. Rozłączyła się w tej samej chwili, w której głos z głośników oznajmił, że zbliżają się do ostatniej stacji. Podniosła się gwałtownie, wciskając telefon do tylnej kieszeni dżinsów.

Kai ponownie spuścił głowę i zjechał tyłkiem w dół, próbując w ten sposób się schować.

To nie był jeszcze odpowiedni moment, by się poznali. Czekał na lepszą okazję. Ich pierwsze spotkanie powinno być wyjątkowe. Musiała zapamiętać je na dobre. Aż do słodkiej śmierci, która prędko otuli ją ramionami.

Drgnął, kiedy w pośpiechu dotknęła nogą jego zgiętego kolana, rzucając przy tym ciche „przepraszam”. Poczuli, jak całym jego ciałem wstrząsa piorunujący dreszcz, a nawet na niego nie spojrzęła. Tylko machnęła ręką w przeproszającym geście i zniknęła w mroku na zewnątrz. Dopiero gdy stracił ją z pola widzenia, schylił się po breloczek i wstał.

Przyjrzał się dokładnie zawieszce. Podrzucił ją w powietrzu, a kiedy ponownie wylądowała w jego dłoni, wyszczerzył się zwycięsko.

Był o jeden krok bliżej.

I wciąż o jeden krok za daleko.



### 3.

Carmen siedziała w gabinecie terapeutki i przez ostatnie kilka minut zastanawiała się nad tym, czy naprawdę tam jest, czy uczestniczy w życiu jak każdy inny człowiek, czy może tylko udaje, żeby zlać się z tłumem. Beznamiętnym wzrokiem wpatrywała się w czarne wskazówki zegara, które poruszały się leniwie i nadzwyczaj wolno, jakby złośliwie czas strasznie się wydłużył. Myślała tylko o tym, jak bardzo nienawidziła tego miejsca.

Bardzo. Bardzo. Bardzo.

Bardzo. Podobnie jak siebie.

Słyszając swoje imię, wreszcie spojrzała na kobietę po czterdziestce, która przed nią siedziała. Na jej wysuszone od rozjaśniania końcówki włosów, na źle spiłowane paznokcie w nudnym, brązowym jak fotel kolorze i okropną marynarkę w kratę. Wzdrygnęła się na ten widok, choć starała się nie dać tego po sobie poznać.

– W porządku. – Westchnęła Amanda Lloyd, dostrzegając, że i tym razem będzie trudno wyciągnąć coś sensownego z pacjentki. Stuknęła długopisem o krawędź grubego zeszytu w kratkę. – Zacznijmy od czegoś prostego. Podobno wrócił twój brat. Dogadaliście się?

– Nie jest wart tego, by o nim rozmawiać.

Amanda przyjęła to niemiłe burknięcie z nadzwyczajną obojętnością.

– W takim razie o czym wolałabyś dziś porozmawiać?

Carmen stłumiła w sobie prychnięcie. Pochyliła się do przodu i oparła łokcie na kolanach, wbijając w terapeutkę obojętne, chłodne spojrzenie pozbawione emocji.

O nim, pomyślała. O jego wyjątkowym uśmiechu, który najpewniej powstał w piekle. O tych pustych oczach i ciemnych włosach przypominających mroczną aureolę. O tym, że nie potrafiła wyrzucić go z głowy, choć naprawdę się starała. O tym, że bezustannie o nim myślała, nawet jeśli nie chciała. I o tym, że widziała go za każdym razem, kiedy zamykała oczy.

A minął już tydzień. Albo tylko tydzień.

Opadła z powrotem na oparcie niewygodnego fotela i zarzuciła nogę na nogę.

– Istnieją tysiące miejsc, w których wolałabym właśnie być – powiedziała w końcu, gdy udało jej się zepchnąć w dalsze zakamarki umysłu wspomnienia związane z tym przerażającym mężczyzną. – Na przykład Karaiby. Impreza. Moje mieszkanie. Nawet dom rodzinny. Wszędzie, byle nie tu.

Amanda uśmiechnęła się, unosząc tylko lewy kącik ust.

– To zrozumiałe – odpowiedziała natychmiast łagodnym tonem dobrej osoby, po czym przełożyła zeszyt do drugiej ręki. – Niestety los nas związał i to twoja jedyna szansa, żeby sobie pomóc. Niedługo muszę przedstawić wyniki terapii. Wiesz, że sporo od tego zależy.

Oczywiście, że wiedziała. Nawet za dobrze. Cała jej przyszłość została położona na szali. To, jak miało dalej potoczyć się życie Carmen, zależało w ogromnej mierze od słów terapeutki. Mogła ją uratować lub całkowicie zniszczyć. Dlatego Carmen tak często przed nią grała, pokazując, że ma się świetnie. Nie mogła przecież odkryć, jak źle jej z samą sobą, że tak naprawdę silna kobieta, którą udaje, jest zaledwie maską kryjącą złamaną przez życie dziewczynę.

To jednak nie sprawiało, że Carmen miała ochotę opowiadać obcej osobie o tym, co zrobiła. Nie chciała wracać do najgorszych chwil swojego krótkiego życia. Nie mogła sobie na to pozwolić, ponieważ kolejny raz sprowadziłaby na siebie lawinę poczucia winy, smutku oraz żalu. Samo wspomnienie tamtego wydarzenia wywoływało dreszcze i sprawiało, że miała ochotę zwymiotować z nerwów.

– Ja... Po prostu... – zaczęła niepewnie, gubiąc się we własnych myślach. Przejechała dłonią po zmęczonej od zmartwień twarzy i ponownie spojrzała na Amandę. – Wiem. I opowiem o tym. Potrzebuję tylko czasu. Ciężko zrzucić taką bombę.

Kobieta kiwnęła głową na znak zgody, po czym obie przypieczętowały tę niepisaną umowę nikłymi uśmiechami. Carmen poczuła jednak, że wcale tego starcia nie wygrała, gdy Amanda bez słowa wyrwała ze środka zeszytu kartkę, którą później podała dziewczynie wraz z eleganckim długopisem. Carmen okręciła go w dłoni. Automatycznie przewróciła oczami, dostrzegając niewielki napis „Clark” oraz

logo firmy.

Typowa zagrywka jej ojca.

– Pozwól, że jednak zostaniemy trochę w tym temacie.

*Oczywiście*, pomyślała Carmen. Jakżeby mogła nie pozwolić?

– Napisz na kartce wszystkie uczucia, jakie towarzyszyły ci tamtego dnia.

Wiele wtedy czuła. Głównie procenty szumiące w głowie. A poza tym złość. Zbyt dużo złości jak na tak drobne ciało. Może odrobinę zazdrości. I jak zawsze ogromną potrzebę ratowania kogoś, na kim jej zależało. Westchnęła, niepotrzebnie zgadzając się na wykonanie zadania. Założyła pasmo rudych włosów za ucho, zacisnęła wargi i pochyliła się nad kartką.

Nagle odniosła dziwne wrażenie, że wyrzuciło ją z rzeczywistości, jakby była błędem. Czuła się w świecie jak intruz. Widziała tylko biały papier, na którym niezgrabnie rysowała pionowe kreski, a to z niezrozumiałego powodu strasznie ją zmęczyło, więc przymrużyła na moment powieki. Kiedy po upływie kilku sekund na nowo otworzyła oczy, wciąż siedziała w tym samym miejscu, ale powietrze wydawało się znacznie chłodniejsze, choć słońce zaglądało do środka przez uchylone okno. Zamrugowała szybciej, zaskoczona faktem, że jakimś cudem udało jej się zapełnić całą kartkę. Przekrzywiła szyję, żeby lepiej widzieć, ponieważ na papierze powtarzało się osiem liter.

Razem łączyły się w wyraz, którego nigdy dotąd nie знаła, więc nie potrafiła go rozszyfrować. Brzmiał jak magiczne zaklęcie zwiastujące przekleństwo.

*Malachai.*

Czy to możliwe, że sama to napisała? Bez niczyjej pomocy? Bez znajomości znaczenia tego słowa? Już je gdzieś widziała czy wymyśliła? Przeszedł ją dreszcz. Zupełnie tak, jakby jakaś niewidzialna siła chwyciła ją za ramię, pozostawiając po sobie tylko paraliżujące uczucie mrozu. Z wrażenia upuściła długopis i prędko rzuciła spojrzeniem za siebie. Pusto. Tylko kot z obrazu na ścianie bacznie ją obserwował.

– Przepraszam – mruknęła do kobiety, po czym w ułamku sekundy podniosła się do pionu. Musiała stamtąd jak najszybciej wyjść, bo chyba powoli traciła zmysły. Czuła się w tym miejscu coraz gorzej. Jakby tam nie pasowała. Jakby jej tam nie chciano. Albo gorzej – jakby ktoś przywoływał ją ku sobie.

Amanda powiodła za nią zaskoczonym wzrokiem, gdy Carmen zgarniała z podłogi swoją czerwoną torebkę.

– Muszę już iść – oznajmiła słabym głosem. – Właśnie sobie o czymś przypominałam.

Kłamała, nietrudno było to zauważyć. Wiedziała o tym zarówno Carmen, jak i terapeutka, która mimo to pozwoliła jej wyjść. Carmen odetchnęła z ulgą, chwytając za klamkę. Otworzyła drzwi, postawiła zaledwie jeden krok i momentalnie się cofnęła, odbijając się od czegoś twardego. Zadarła podbródek, by dojrzeć, co stanowi przeszkodę.

A raczej „kto”.

Serce podeszło jej do gardła – chciała je wyciągnąć i wyrzucić z całym tym strachem, którym ociekało. Stał przed nią. Dokładnie tak, jak go zapamiętała. Nie dostrzegła zbyt wielu szczegółów mogących bardziej zobrazować jego twarz, jakby się przed nią chował. Ale widziała dokładnie te pamiętliwe oczy lśniące każdym odcieniem grzechu oraz uśmiech, który momentalnie zmroził ją całą.

Patrzył na nią jak na jedną ze swoich ofiar. Wyglądnie. To było tak intensywne doznanie, że aż poczuła gwałtowny ścisk żołądka. Spróbowała uciec w głąb pomieszczenia, ale błyskawicznie zacisnęła palce na jej nadgarstku, ciągnąc ją w swoją stronę. Ten uścisk palił żywym ogniem. Była pewna, że zostawi po sobie mroczne znamię. Poczuła na skórze zły dotyk.

Dotyk samej śmierci.

Pisnęła cicho, kuląc się w sobie. Zacisnęła szczelnie powieki z nadzieją, że w ten sposób przed nim ucieknie. I nagle solidny niczym kajdanki uchwyt zelżał. Wokół zrobiło się spokojniej, a jej serce przestało odbijać się od żeber, chcąc popełnić samobójstwo. Rozchyliła usta, nabierając w płuca więcej powietrza. Odliczyła w myślach do trzech i otworzyła oczy.

Carmen Clark nadal siedziała na krześle przed swoją terapeutką, ściskając w spoczonej i sztywnej dłoni długopis.

Nie rozumiała, co się stało. Jakim cudem to wydawało się tak realne? I dlaczego wciąż czuła na nadgarstku niepokojący ból? Śladu nie było, ale dla pewności i tak przejechała opuszkami palców po miejscu, które rzekomo ścisnął tamten chłopak. Zjechała wzrokiem na kartkę. Wciąż widniał na niej ten sam napis. I właśnie wtedy coś do niej dotarło.

Czy to możliwe, aby to było jego imię?

Czy jej najgorszy koszmar właśnie tak się nazywał?

Carmen nie знаła odpowiedzi na pytania, które zaczęły szturmować jej umysł. W tamtej chwili była pewna jedynie tego, że to wcale nie koniec.

Ponieważ był to zaledwie początek jej końca.

Końca, jakiego nigdy dotąd sobie nie wyobrażała.

• • •

To była długa sesja. Wydawała się trwać znacznie dłużej niż zwykle, choć na zegarze odliczyło się równe sześćdziesiąt minut. I kiedy Carmen wreszcie opuściła gabinet, poczuła, jak bardzo jest zmęczona. Odniosła wrażenie, że przez palce przeleciało jej kilka lat. Dla upewnienia się, że wciąż jest starą, złą sobą, spuściła głowę i wbiła wzrok w rude kosmyki włosów, sprawdzając, czy przypadkiem nie osiwiała.

Ruszyła żwawym krokiem i cudem wysiliła się na przyjazny uśmiech do recepcjonistki. Stukot jej szpilek rozbrzmiewał na korytarzu, mieszając się z dźwiękami dochodzącymi ze źle nastawionego radia. Przystanąła, bo przez bałagan w głowie przebiły się dwa znaczące słowa, które niemal wbiły ją w ziemię.

Morderstwo.

Podpalenie.

Świat nagle zawirował. Uleciało z niej powietrze, więc przytrzymała się lady, by nie paść na ziemię. Przycisnęła dłoń do czoła, które wydało się rozpalone. Odczekała paręnaście sekund i unikając ciekawskich spojrzeń, wyszła z budynku. Patrzyła pod nogi, nie przed siebie, idąc w prostej linii. Była tak skupiona na swoich chaotycznych myślach oraz na kolejnej fali pytań, jaka pojawiła się w głowie, że nie zorientowała się nawet, w którym momencie ktoś do niej dołączył.

Wzdrygnęła się, czując na ramieniu czyjś dotyk.

Odruchowo zamachnęła się torbą, która z hukiem odbiła się od obcego ciała. W odpowiedzi usłyszała stłumiony jęk, a zaraz po tym radosny śmiech. Brzmiał znajomo.

– Jezu, co ty taka nerwowa ostatnio? – sapnął Cameron, rozmasowując dłonią bok brzucha, co świadczyło o tym, że właśnie w to miejsce trafiła Carmen. Nie umiała go przeprosić, choć czuła, że powinna. Na szczęście nie wyglądał na obrażonego. Jego zielone, kocie oczy zaszyły łzami rozbawienia, od których ładnie lśniły, a usta formowały się w szczerym uśmiechu.

Wzruszyła tylko ramionami w ramach odpowiedzi.

– Co tu robisz, Cam? – westchnęła i rozejrzała się podejrzliwie wokół. Stali przy parkingu; od razu oślepiły ją światła jego czerwonego auta. – Nie szlajasz się z kumplami jak zawsze?

James machnął ręką, wydymając dolną wargę, jakby go tymi słowami uraziła.

– Pomyślałem, że cię odbiorę, żebyś nie musiała tłuc się pociągami – oznajmił, szczerząc się od ucha do ucha. Nie poznawała go. Czym sobie na to zasłużyła? Nie miała pojęcia, ale wydawało jej się, że James nie robił tego bezinteresownie. Był od niej starszy zaledwie o trzy lata, więc zdążyła go rozpracować. Nauczyła się o nim przede wszystkim tego, że jeśli wyciągał do kogoś pomocną dłoń, zazwyczaj liczył, że otrzyma coś w zamian. Ale co tym razem mogła mu ofiarować? Nie zamierzała jednak w tym grzebać. Gdy gestem dłoni zasugerował, by się ruszyła, wsiadła do samochodu, a on tuż za nią.

Nie odezwała się słowem nawet wtedy, kiedy ruszyli wąskimi ulicami miasta. Czuła na sobie palące spojrzenie brata, które powoli doprowadzało ją do szału, więc odwróciła do niego twarz i uniosła wyczekująco brwi.

– Pomogło? – spytał, najpewniej nawiązując do wizyty u terapeutki. Tylko ją tym wzburzył, więc na moment zacisnęła usta w wąską linię, by uspokoić myśli, nim się odezwie.

– Nie. Nie pomogło – westchnęła załamana. Oparła głowę o szybę, tępo wpatrując się w uciekający krajobraz. Jak na złość w tym temacie tylko on mógł ją zrozumieć. – Jak mam o tym opowiedzieć, Cam?

Naprawdę chciała poznać rozwiązanie tej zagadki, której nie potrafiła rozwikłać od miesięcy. Może wtedy byłoby jej znacznie łatwiej.

Tym razem to ona przyglądała się prawemu profilowi twarzy brata. Był całkowicie skupiony na drodze, przez co spinał szczękę. Brązowe włosy odstawały w każdą możliwą stronę, tworząc artystyczny nieład, a srebrny kolczyk w uchu lśnił w ostatnich promieniach słońca. Był młodszą kopią ich ojca. James Cameron Clark był całkowitym przeciwieństwem Carmen, która przy nim czuła się po prostu zimna i nijaka.

– Jakby to nie była nasza historia – odpowiedział ze stoickim spokojem, poruszając przy tym szczupłymi ramionami. – Wiem, że cię to męczy.

– A ciebie, Cam? – spytała natychmiast. – Zachowujesz się tak, jakby...

– Widzisz, robaczku, jeśli o czymś nie myślisz, nie musisz się tym zamartwiać – przerwał siostrze. Wolał zgasić tę rozmowę niż znów odtwarzać w głowie przebieg tamtej feralnej nocy, która zmieniła ich na zawsze.

Carmen roześmiała się nerwowo. To było idealne hasło pasujące do Jamesa – mogłoby stanowić jego definicję, bo zazwyczaj mało się czymkolwiek przejmował. Nawet ważnymi sprawami. Na co dzień wolał je olewać z nadzieją, że jeśli będzie robił to wystarczająco długo – znikną. Jak w jego pamięci.

– ...jakby nie była twoją dziewczyną – dodała mimochodem, żeby sprawdzić jego reakcję.

James przytknął usta.

– Bo nią nie była – burknął z irytacją, torpedując Carmen ostrym wzrokiem. – Chciała odejść, pamiętasz? Do innego.

Postanowiła zamilknąć, bo co mogłaby odpowiedzieć? Że dał Selene sporo powodów, by zostawić go w cholerę? Wyciągnęła telefon i pośpiesznie wpisała w wyszukiwarkę zlepek ośmiu liter, które nie chciały wylecieć jej z głowy. Szukała znaczenia – najpierw natknęła się na informację, że to imię proka, później znalazła coś ciekawszego. „Mój anioł” głosiła najprostsza definicja.

*Anioł śmierci*, dodała w myślach.

Uniosła głowę i spięła się momentalnie, gdy dotarło do niej, że wcale nie wracają do domu. Samochód skręcił w dzielnicę, w której widziała tamtą straszną scenę, więc automatycznie wcisnęła się mocniej w fotel. Rozpaczliwie rzuciła spojrzeniem po ulicach, szukając w przypadkowych osobach znaków szczególnych tamtych trzech chłopaków. Nerwy załapały ją całą, wypierając umiejętność racjonalnego myślenia. Serce podeszło jej do gardła, a żołądek zawiązał się w ciasny supeł bólu.

– Co tu robimy? – spytała szybko, oblizując usta, które nagle stały się suche, jakby cała woda z jej organizmu wyparowała. Odruchowo zablokowała drzwi i choć narobiła przy tym niezłego hałasu, James nie odwrócił wzroku od drogi.

– Mój kumpel tu pracuje. Chciałem go odwiedzić – wyjaśnił, zerkając przelotnie na niewielką, wyblakłą już literkę „C”, która zdobiła jego środkowy palec. Carmen miała dokładnie taką samą. Podobnie jak ich ojciec. Ten tatuaż był jak znak rozpoznawczy Clarków. – Mówiłem ci o tym, pamiętasz?

Nie pamiętała, bo przez ostatnie dni obawiała się własnego cienia, przez co była nieobecna jak nigdy wcześniej.

– Nie? – Zdziwiła się. – Nie mówiłeś.

– Nie? – powtórzył za nią. – To mówię teraz.

– A jestem ci do tego potrzebna, bo...? – mruknęła zdziwiona i jednocześnie zrezygnowana.

– Bo zrobiłaś się straszną nudziarą. Wyjdź do ludzi, Carmen! Oni nie gryzą!

*Oni tylko polykają w całości*, pomyślała. Wcisnęła się w fotel i milczała, dopóki nie dojechali na miejsce. Wmawiała sobie, że może Cameron ma rację. Zdziczała, odkąd pojawiła się po zmroku w nieodpowiednim miejscu. Unikała kontaktu z innymi, tylko zamykała się w swoim pokoju, bo był bezpieczną przystanią wolną od potworów.

Kiedy wysiadła z samochodu, na dworze było już ciemno, a jedyne źródło światła stanowiła latarnia, której żarówka cały czas mrugała, przywołując na myśl mrozące krew w żyłach sceny z horrorów. Z każdej strony otaczały ją obskurne, nieodświeżone kamienice oraz mury ozdobione graffiti. Na jednym z nich widniało hasło pobudzające wyobraźnię – „piekło jest puste, a wszystkie bestie są tutaj”. Po ulicy echem niosły się doniosłe głosy mężczyzn zmieszane ze śmiechem, choć Carmen nie dostrzegła w okolicy nikogo.

Miała ochotę wiać nogi za pas i uciekać w siną dal, jednak zmusiła się do tego, by ruszyć za bratem. James otworzył przed nią drzwi, ale nim przekroczyła próg, zajrzała do środka przez dużą szybę, która eksponowała wszystko, co działo się w środku.

W salonie były tylko dwie osoby. I w oczy Carmen od razu rzucił się jeden z chłopaków. Akurat wciągał na siebie śnieżnobiałą koszulkę, a następnie bardzo powoli narzucił na barki ciemnobrązową skórę, uważając przy tym, by nie podrażnić świeżego tatuażu na ramieniu. W ułamku sekundy zauważyła gumkę od bokserek, która wystawała spod zwisających z tyłka jasnych džinsów. Chłopak szybko podciągnął je za szlufki, poprawił pasek ze złotą kłamrą, a później nasunął na nos okulary z ciemnymi szklami, chociaż słońce już dawno zaszło.

James sprowadził ją z powrotem na ziemię, gdy delikatnie szarpnął ją za ramię. Zamrugła mocno z nadzieją, że to pomoże jej się ogarnąć. Weszła do środka tuż za bratem, choć w przeciwieństwie do niego nie zrobiła tego w tak spektakularny sposób, bo on wszedł do lokalu jak stały bywalec. Nie wiedziała, jak powinna się zachować, więc tylko przystanęła przy Cameronie z krzywym uśmiechem.

Chłopak przeglądał się w lustrze, podziwiając nowy tatuaż. Z tej odległości mogła dojrzeć, że był

to zgrabny, prosty napis, który głosił „family first”. Niesforne kosmyki jasnych włosów chłopaka opadały, przysłaniając lewą część surowej twarzy. Odwrócił głowę, kiedy tylko drzwi za Carmen się zamknęły. Nie widziała jego oczu, ale czuła, że patrzył prosto na nią.

Zdecydowanie za długo.

– Nie pierdol, że wróciłeś! – odezwał się obcy głos.

Carmen przesunęła wzrokiem po pomieszczeniu, lokalizując właściciela tego przyjemnego głosu. Siedział na obrotowym krzeselku bez oparcia, trzymając w dłoni maszynkę do robienia tatuaży, którą powoli czyścił. Jego włosy były krótko przystrzyżone, zaledwie na milimetry, i miały niemal platynowy odcień współgrający z jasną cerą. Rękawy ciemnoszarej bluzy podciągnął pod łokcie, eksponując wytatuowane ramiona.

– Wow. Myślałem, że tym razem wcięło cię na dobre – dodał jeszcze ze szczerym uśmiechem, nim James zdążył zareagować. – Przyszedłeś znów wkraść się w łaski...

James, który w tym czasie usiadł na krześle naprzeciwko kolegi, zarzucając nogę na nogę, szturchnął Cartera w kolano na znak, żeby nie kończył. Później, by nie dać po sobie poznać, że nieco się zdenerwował, pochylił się, by móc zerknąć na wzorniki i kolorowe tusze. Oderwał się od tej czynności, kiedy usłyszał za plecami wymowne chrząknięcie siostry.

– Racja – mruknął bardziej do siebie niż do nich. Odwrócił się przez ramię i wskazał dłonią na Carmen, zachęcając ją tym samym, by podeszła bliżej. Woląta jednak bacznie im się przyglądać, jakby dzięki temu mogła rozpracować tę dziwną rozmowę. – Wcześniej chyba nie było okazji, żebyście się poznali. To moja siostra – wyjaśnił, po czym przeniósł rękę w kierunku kolegi – a to Carter.

Carmen uśmiechnęła się krzywo, machając ręką na powitanie, choć zrobiła to bez entuzjazmu. W tej samej sekundzie Carter zadarł głowę, dzięki czemu ich spojrzenia spotkały się po raz pierwszy. Nie rozumiała tej nagłej zmiany w jego zachowaniu. W mgnieniu oka przestał się uśmiechać, a na wąskie usta wypełznął nieprzyjazny grymas. Patrzył na nią intensywnie, niemal jak zahipnotyzowany, i niekontrolowanym ruchem trącił przedmioty na stoliku.

W momencie, w którym czarny tusz wylał się na jego szare, dresowe spodnie, jęknął:

– O cholera!

Nie wiedziała, czy była to reakcja na ubrudzenie ciuchów, czy na jej widok. Nie zastanawiała się nad tym, ponieważ tuż obok niej zjawił się blondyn w okularach zaalarmowany dziwnym zachowaniem kolegi. Minął ją z obojętną miną. Oparł tyłek o parapet, ponownie poprawił klamrę paska i skrzyżował ramiona na torsie. Czuła, jak przy tym skanował ją wzrokiem, jakby była wybiegowym zwierzakiem.

– Powinnaś stąd wyjść. – Dobiegł do niej beznamiętny, zachrypły głos i wiedziała, że nie należał ani do Jamesa, ani do Cartera. Miała wrażenie, że tylko ona usłyszała te słowa i przez krótki moment była w stanie uwierzyć, że sobie to wymyśliła. Dopóki ponownie się nie odezwał równie niskim tonem:

– To nie miejsce dla dziewczyn takich jak ty.

*Czyli jakich?*, pomyślała, tłumiąc w sobie śmiech. Zepsuty?

– Słucham? – spytała oburzona, kiedy powróciła do niej pewność siebie. W przypływie śmiałości odwróciła się i spojrzała na niego, mrużąc powieki. Linia jego szczęki była perfekcyjnie zarysowana i wydawało się, że przecięłaby papier. Policzki nieznanomego lekko się zapadały, przez co twarz przypominała trochę podobizny wyryte w skałach. Włosy nadal opadały mu na twarz, ale mimo tego dostrzegła cień uśmiechu na ustach.

– Wybacz, Holden czasami nie potrafi się zachować – odezwał się Carter, zwracając na siebie uwagę. Znowu wyglądał na miłego chłopaka, choć w jego zielonych oczach tliła się niepewność. Holden rzucił mu wymowne spojrzenie, jakby chciał bez słów wymienić się z nim spostrzeżeniami.

Carter wiedział doskonale, co zaprzętało Holdenowi głowę. Ale nie mógł nic zrobić, ponieważ na działanie było już za późno.

Drzwi wejściowe otworzyły się szeroko, odbijając się ze skrzypnięciem od ściany, pozwalając, by do środka dostało się chłodne powietrze. A wraz z nim przez próg przeleciało bezwładne ciało, które poturlało się aż pod nogi Jamesa, który momentalnie podniósł się do pionu. Minęło kilka sekund w przerażającej ciszy, zanim wokół rozległ się stukot butów, a zaraz po tym w pomieszczeniu pojawiła się jeszcze jedna osoba, na widok której Holden rzucił pod nosem wiązaną przekleństw.

Nowo przybyły najpierw zacisnął zakrwawione palce na futrynie, pozostawiając po sobie czerwone ślady, a dopiero później wyłonił się z cienia. Pewnym, ciężkim krokiem ruszył w głąb pomieszczenia, bujając się na boki, jakby odtwarzał w głowie jakąś melodię. Zatrzymał się niecały metr od ledwie przytomnej postaci. Postawił jedną nogę w tył z zamiarem wymierzenia kopniaka.

– Przestań! – krzyknął Carter drżącym głosem, zagradzając mu drogę. Stał przed nim sztywno

z uniesionymi ku górze dłońmi, po czym szepnął: – Nie jesteśmy sami.

To wystarczyło, by go pohamować. I przy okazji zbić z tropu.

Niechętnie oderwał tępe spojrzenie od ofiary i rzucił nim dookoła, aż jego niebieskie oczy spoczęły na twarzy Carmen, która próbowała pohamować drżenie brody. Dokładnie przyglądała się niemal czarnym, potarganym włosom, pustym ślepiom bez cienia emocji i ustom, które jak na zawołanie wygięły się w chłopięcym uśmiechu. Ale nie to było najgorsze. Najbardziej sparaliżował ją widok śladów krwi na młodej, oliwkowej twarzy. Gapiła się w niewielkie rozmazane kropelki, jakby mogła tym wzrokiem sprawić, że wyrują się w skórze na dobre. A on najwyraźniej to wyczuł, bo przejechał po policzkach rękawem bluzy, która również miała na sobie czerwone smugi.

– Sorka – mruknął. – Tylko się zgrywamy.

Carmen pragnęła jak najszybciej uciekać, ale jej nogi odmawiały posłuszeństwa, jakby nie miała nad nimi kontroli. Dlatego tylko stała jak zaklęta i obserwowała z zafascynowaniem, jak pochylał się nad nieznanym, po czym złapał go za fraki i siłą podniósł do pionu. Poklepał mężczyznę po ramieniu w kumpelskim geście i od niechcienia odstawił go na wolne miejsce obok Jamesa. Więcej się nie odezwał.

Skończył lustrować ją gorącym spojrzeniem i kiwnął porozumiewawczo głową do Holdena, nie zapominając przy tym uśmiechnąć się w charakterystyczny sposób. Na ten widok Carmen poczuła mdłości. Zauważyła jeszcze, że puścił oczko do jej brata, co całkowicie ją zaskoczyło. Zupełnie tak, jakby nie-  
złe się znali.

Holden jak na polecenie odepchnął się od parapetu i ruszył za szatynem. Nim jednak dorównał mu kroku, zatrzymał się przy dziewczynie. Zsunął okulary do połowy nosa i spojrzał na nią oczami ciemnymi jak atramentowe niebo.

– Uciekaj – szepnął z troską.

Spuściła wzrok i dopiero wtedy dojrzała tatuaż w kształcie krzyża na jego dłoni. To był ostatni element, który pozwolił jej ułożyć w całość układankę. To byli oni. Wszystko wewnątrz niej doskonale o tym wiedziało, ale próbowała temu przeczyć. Dłużej nie mogła ciągnąć oszukiwania samej siebie. Miała przed sobą dowód.

Holden wyminął ją, a ona wciąż stała jak słup soli. Nie mogła ruszyć nawet palcem – tak bardzo sparaliżował ją strach. Do tego czasu lubiła myśleć, że niczego się nie boi, że jest twarda i bez serca, jednak wtedy zrozumiała, że jej największym lękiem był chłopak, który jednym groźnym uśmiechem niszczył ją tak, jak jeszcze nigdy nie była zniszczona.

I jak na złość w całym tym roztargnieniu wyhaczyła jego spojrzenie, nim zniknął w drugim pomieszczeniu razem z Holdenem. To było jak ostatnie ostrzeżenie.

– Ja... Ehm... Muszę wyjść – wydusiła tylko łamiącym się głosem. Nawet nie spojrzała na brata. Odwróciła się i wybiegła na zewnątrz, jakby brała udział w wyścigu. Przez chwilę słyszała za sobą jego wołanie i prośby, by zaczekała, ale nie chciała go dłużej słuchać. Nogi same prowadziły ją w nieznanym kierunku. Rozejrzała się rozpaczliwie po okolicy, której nawet nie kojarzyła, a co za tym idzie, nie czuła się w niej ani trochę bezpiecznie. Wręcz przeciwnie, miała niepokojące wrażenie, że utknęła w pułapce bez wyjścia. Wszystkie światła w kamienicach były wyłączone, jakby całe miasto nagle w strachu poszło spać. Chciała się rozpłakać z bezradności, jednak z całej siły próbowała tego uniknąć.

Carmen Clark uwielbiała tłumić w sobie emocje.

Zacząła biec w nieznanym kierunku, a w międzyczasie bombardowała brata niezliczoną ilością wiadomości, które nie miały najmniejszego sensu. Zatrzymała się na rogu dwóch ulic, by James mógł ją bez problemu znaleźć. Wydawało jej się, że uciekła wystarczająco daleko, dlatego pozwoliła sobie wreszcie odetchnąć z ulgą. Docisnęła dłoń do drżącej piersi, łapiąc w płuca spore ilości powietrza.

Słyszając niepokojący szelest, ponownie rzuciła spanikowanym spojrzeniem wokół. Czuła strach, który bił w niej niczym drugie serce, gdy wsłuchiwała się w towarzyszącą jej ciszę. Słyszała dokładnie swój oddech, który zaczął się urywać, gdy ujrzała na horyzoncie wyłaniającą się z mroku postać. Zupełnie tak, jakby ciemność oddała światu swoje potomstwo o ludzkich kształtach. Nie dało się go nie zauważyć – mężczyzny, który dorobił się charakteru. A do tego miał w sobie ten ukryty smutek.

Zamknęła oczy i pokręciła głową.

Powtarzała w myślach, że to tylko sen lub nierealna wizja, która za moment minie.

Ale nic takiego się nie stało, ponieważ był to jej najgorszy koszmar, który działał się naprawdę, a ona odgrywała jedną z dwóch głównych ról.

## 4.

Wszystko w głowie Carmen krzyczało, że to on.

Koszmar w ludzkiej skórze, z którym musiała się wreszcie zmierzyć.

Nabrała w płuca gwałtowny haust powietrza, jakby to był pierwszy i zarazem ostatni oddech, na jaki zasłużyła. Strach paraliżował każdy jej zmysł, przez co znowu nie mogła się poruszyć. Odniosła wrażenie, że wrosła w ziemię już na dobre, zapuszczając korzenie tak głęboko, jak stare drzewo, którego nie da się przesadzić. W ciszy i bezruchu obserwowała, jak dystans między nimi zmniejszał się w zastraszającym tempie, aż wreszcie chłopak znalazł się tak blisko, że bez problemu mógłby ją złapać.

Ale tego nie zrobił.

Smuga światła z mieszkania jednej z kamienic padła prosto na jego twarz, tworząc na niej szachownicę światła i cienia. I wcale nie wyglądał tak strasznie, jak zapamiętała. A może tylko sprawiał takie wrażenie. Ciemne włosy pozostawił w nieładzie, jakby niedawno zmierzwił je w roztargnieniu ręką. Tym razem uśmiechał się – niegroźnie, wręcz chłopięco, dzięki czemu w policzkach formowały się ledwie zauważalne dołeczki. Przypominał upadłego anioła. Był niemal nienaturalnie przystojny, niezapomniany. Tylko w jego oczach wciąż pozostawało coś niepokojącego. Coś, co idealnie nadawało się do odegrania roli sadysty, mordercy, a przede wszystkim samego Lucyfera.

Z pewnością był jak przedwczesna zapowiedź śmierci. Już jednym spojrzeniem sprawił, że przez głowę przeleciały jej wszystkie klatki z nędznego życia, a potem zobaczyła w odbiciu niebieskich oczu swoje martwe ciało w kałuży krwi. Tyle miało po niej pozostać.

Z tą okropną wizją Carmen przymknęła powieki, zebrała się w sobie i zrobiła krok w tył.

– Twój samochód stoi po drugiej stronie budynku – odezwał się nagle, burząc grubą ścianę milczenia, która stanowiła ostatnią przeszkodę między nimi. Brzmiał nieco inaczej, niż sobie to wyobrażała. Znacznie łagodniej i spokojniej, a jego głos nie był przesiąknięty złowieszczą chrypą.

Kiwnęła głową na znak, że rozumiała.

– Czekam na kogoś – mruknęła zbywająco, po czym zerknęła przez ramię z nadzieją, że na horyzoncie pojawi się jej brat. Niestety natknęła się tylko na swój cień, na którym było widać, jak bardzo się trzęsła. Nie wiedziała, czy to przez mróz, który ją przeszył, czy po prostu ze strachu. Splotła ramiona pod piersiami, kuląc się w sobie, jakby dzięki temu miała zniknąć. W odpowiedzi chłopak wyszczerzył się, ukazując rząd zębów, z których jeden szczególnie się wyróżniał, bo przypominał kiel brutalnego zwierzęcia. Mógłby z łatwością rozciąć aortę.

– Ja też – odpowiedział, poruszając swobodnie ramionami, a w myślach dodał: *na ciebie*. Ale o tym nie musiała wiedzieć. Jeszcze. Wsunął dłonie do kieszeni dżinsów, szukając breloczka, który zgubiła. – Poczekamy razem?

Carmen zwróciła oczy ku czarnemu niebu. *Za jakie grzechy?*, miała ochotę wydzierać się do osoby na górze, ale odpowiedź była oczywista. Miała na sumieniu wiele, w tym jeden poważny grzech, i powoli uświadamiała sobie, że może on, ten mroczny chłopak, był adekwatną do tego uczynku karą.

– Sorka. Gdzie moje maniery? – kontynuował, drapiąc się po czubku głowy, jakby było mu głupio, że popełnił taką wtopę. Później docisnął dłoń do mostka i dorzucił wesoło: – Cześć, jestem Kai.

Ponownie uleciało z niej całe powietrze, gdy te trzy literki składające się na jego imię wbiły się do umysłu niczym gwoździe do trumny. Było w nich coś owianego tajemnicą, przez co nie potrafiła skupić się na niczym innym. Analizowała je długo, bo brzmiały dość znajomo, nim wpadła na rozwiązanie zagadki.

– Kai jak... Malachai? – Niemal wypluła te słowa, jakby były trucizną, którą przez przypadek połknęła. Miała wrażenie, że wyobraźnia płata jej figle, że utknęła w serialu lub filmie, grając bohaterkę z nadprzyrodzonymi mocami. Bo jaka była szansa na to, że w głowie Carmen to imię pojawi się zupełnie znikąd?

Skrzywił się, słysząc to, w jaki sposób wypowiedziała zlepek ośmiu liter.

– Wystarczy Kai – burknął, przy czym zabrzmiał znacznie mroczniej. Mimo tego kulturalnie wyciągnął do niej dłoń, ale nie była w stanie jej ucisnąć. Na jego twarzy pojawił się grymas, a w oczach

załśnił cień rozczarowania. Odniosła wrażenie, że staje się coraz bardziej roztargniony i zirytowany.

Zapadła krępująca cisza.

Carmen czuła, jak ślizgał się wzrokiem po jej sylwetce, jakby była ofiarą, którą zamierzał pożreć. Widziała to w jego oczach. Ten niepohamowany głód i chęć dominacji, a oprócz tego wrodzoną pewność siebie, która mogłaby zawładnąć całym światem. Obserwował długie, ogniste włosy, które z powiewem wiatru wpadały jej do ust i plątały się na rzęsach. Usta podkreślone czerwoną szminką. Zielone tęczęwki pełne łęku, który dawał mu poczucie przewagi.

Ona natomiast ponownie rozejrzała się niecierpliwie na boki, bo zabrakło jej śmiałości, by dłużej mu się przyglądać – jakby jego widok mógł wypalić oczy. W oddali zarysowała się męska sylwetka, która truchtem zmierzała w ich kierunku. Gapiła się w to jedno miejsce z nadzieją, że przyspieszy czas. Pozwoliła sobie odetchnąć z ulgą, kiedy dotarło do niej, że to Holden.

Zjawił się niczym anioł stróż.

– Ładnie cię proszę, Kai, jeden krok w tył! – rzucił w przestrzeń na moment przed tym, jak sam wcisnął się między nich, udając ścianę. Dla pewności ulokował dłoń na ramieniu brata, żeby w razie potrzeby łatwo go powstrzymać. Dyszał ciężko, jakby przebiegł znacznie dłuższy dystans niż w rzeczywistości, a kosmyki blond włosów niemal całkowicie przysłoniły jego surową, wygiętą w grymasie niezadowolonej twarzy. Odgarnął je do tyłu wolną ręką.

Malachai posłusznie wykonał polecenie brata i bawiąc się w najlepsze, uniósł dłonie na wysokość piersi w aktorskim popisie.

– Wyluzuj, Hol – mruknął, po czym strzepnął z siebie dłoń blondyna. Kiedy sięgał do kieszeni spodni, patrzył prosto w oczy brata tak, jakby chciał odczytać jego następne ruchy. Natrafił na foliowe papierki, opakowanie gum do żucia i klucze do domu, nim poczuł między palcami breloczek. – Chciałem tylko zwrócić jej własność.

Dyskretnym kiwnięciem brody wskazał na Carmen, która przyglądała im się z szeroko otwartymi oczami. Podrzucił breloczek w powietrzu, kierując go prosto w dłonie dziewczyny i z nonszalanckim uśmiechem spytał:

– To twoje, prawda?

Carmen chwyciła zawieszkę w ostatniej chwili. Obróciła przedmiot w dłoniach, przyjrzała mu się z każdej strony i z wrażenia otworzyła usta. W tamtej chwili nie przejęła się nawet czerwoną smugą na krawędzi, ponieważ w głowie miała tylko jedno pytanie.

Jakim cudem to trafiło w jego ręce?

Nie potrafiła się jednak odezwać, choć pragnęła poznać odpowiedź. Z błyskiem łęku w wąskich źrenicach zerknęła na równie zdezorientowanego Holdena. On najwyraźniej też nie rozumiał, jak do tego doszło.

– Och, zapomniałem – odezwał się ponownie Kai. Zrobił krok w przód, zmniejszając dzielący go od brata dystans, dzięki czemu mógł zacisnąć palce na jego ramieniu, wbijając je boleśnie w ciało. Począł na moment, w którym Holden obdarzy go spojrzeniem. Dopiero wtedy pochylił się do niego tak, że ich twarze znajdowały się na tym samym poziomie i szepnął:

– Wiadomość z ostatniej chwili: prześcignąłem cię.

Holden patrzył na Kaia w taki sposób, jakby nie docierało do niego nic prócz bicia serca.

– Sorka, Hol – westchnął z udawanym smutkiem. – Jest moja.

Jednym niesamowicie szybkim i sprawnym ruchem odepchnął brata tak, że ten całkowicie nieprzygotowany na taki obrót wydarzeń zatoczył się w tył. Kai zyskał przewagę. Miał krótką drogę, na końcu której czekała na niego słodka nagroda. Ruszył prosto na Carmen. Było w nim coś nieludzkiego, kiedy sunął w jej kierunku niczym najstraszniejsza zjawia.

Instynktownie zaczęła się cofać. I jak na potwierdzenie jej domysłów, wszechświat udowodnił, jak bardzo jej nienawidził. Patrząc prosto w oczy, które zdawały się płonąć gniewem, zahaczyła obcasem o nierówną nawierzchnię. Runęła na asfalt, zdzierając skórę na dłoniach.

Kai syknął przez zacisnięte zęby, jakby odczuł za nią ten ból.

– Pomogę ci wstać – zaproponował grzecznie. – Szkoda twoich pięknych rączek.

Zaraz po tym na jego ustach ponownie zagościł uśmiech, który pochodził prosto z piekła. Był już blisko. Wystarczyło, by się pochylił, złapał ją i rzeczywiście pomógł podnieść się do pionu, choć nie była pewna, czy w tych okolicznościach ustoi o własnych siłach. Ale Holden jak zawsze popsuł mu całą zabawę, ciągnąc go w tył. Później wyskoczył przed brata i napał na niego, by zmusić go do ruszenia z miejsca, bo wydawało się, że zastygł jak przepiękny posąg.

– Idziemy – wycedził blondyn, a następnie zerknął za siebie na przerażoną dziewczynę. Była



prześlągnięta strachem do tego stopnia, że choć powinna się podnieść i zwać, nie mogła się do tego zmusić.

Malachai w odpowiedzi zarechotał – histerycznie, głośno i gardłowo, co tylko przyprawiło zmarznięte ciało Carmen o kolejne dreszcze. Z sercem podchodzącym do gardła i tętnem wysoko ponad normą obserwowała pełne zła oczy mężczyzny, które wbijały się w nią niczym sztylet.

– Możesz uciekać, ale przede mną się nie ukryjesz!

Jego głos niósł się po cichej okolicy. Słowa te utknęły w umyśle Carmen, gdzie odbijały się echem. Zupełnie tak, jakby już zawsze miała je pamiętać.

– Nie istnieje żaden sposób, byś zniknęła gdzieś, gdzie cię nie znajdę.

Zaśmiał się, ciężko oddychając. Bo chociaż stawał niewielkie kroczki w tył, tak, jak chciał tego Holden, to wciąż napierał na brata, jakby za moment miał mu się wyrwać i dokończyć swoje dzieło. Widziała nadal jego zadowoloną twarz, choć stopniowo chowała się w cieniu, kiedy się oddalali. Z każdą sekundą ich sylwetki się zmniejszały, a mimo to wzdrygnęła się, gdy ciszę wokół przerwał niepokojący szept, odbijający się od ścian budynków.

– Dogonię cię, kochanie.

*A kiedy to zrobię, pomyślał rozmarzony, przepadniesz. Na zawsze.*

Zamknęła oczy, odcinając się od tych wydarzeń. Otworzyła je po paru sekundach, wmawiając sobie, że jest już zupełnie inną osobą – silną i nieustraszoną. Przewróciła się na kolana i powoli podniosła do pionu, bo nie mogła wstać w inny sposób. Kiedy w kącikach oczu załśniły jej pierwsze łzy, oślepiło ją jasne światło. Odruchowo zakryła twarz ręką, gotowa bronić się przed jego atakiem.

– Wsiadaj, robaczku. – Słyszac znajomy głos, przejechała wierzchem dłoni po twarzy, ścierając z niej ostatnie oznaki po swoich słabościach. Robiła wiele, byle nie wyglądać na przestraszoną, choć jej białka nadal były zaczerwienione.

Gdy przyzwyczaiła się do światła, dostrzegła, że za kierownicą siedział Cameron.

Chciała odetchnąć z ulgą, ale ze stresu powietrze wciąż stawało jej w gardle. Pośpiesznie zajęła miejsce pasażera i zatrzasnęła za sobą drzwi. Trzy razy upewniła się, czy aby na pewno nikt z zewnątrz nie będzie w stanie ich otworzyć. Czekala, aż ruszą z miejsca, ale auto wciąż stało. James wrzucił bieg na luz, posyłając jej niepewne spojrzenie.

– Jedno pytanie. Szczera odpowiedź. Dobra? – mruknął bez przekonania. Kiwnęła głową, chociaż nie miała ochoty opowiadać, dlaczego jest w takim stanie. – Wpakowałaś się znowu w jakieś gówno?

Uniósł się. Może niepotrzebnie, ale wmawiał sobie, że po prostu się martwi. Postanowił się uspokoić, gdy ujrzał jej zaszkłone oczy. Uśmiechnął się pokrępijaco z nadzieją, że Carmen to odwzajemni. Nie doczekał się tego. Potrząsnęła natychmiast głową, bo nie potrafiła się odezwać, jakby niewidzialna siła ścisła ją za gardło.

– Dlaczego więc jesteś na celowniku Kaia Yordana?

Zastanawiała się, jakim cudem znało go całe miasto z wyjątkiem jej. Ona nie miała pojęcia o jego istnieniu, dopóki przypadkiem nie stanęła mu na drodze. Mogłaby nazywać to przeznaczeniem.

– Znasz go? – krzyknęła zupełnie nieplanowanie. Nagle uderzyła w nią fala gorąca, a serce na nowo zaczęło niespokojnie odbijać się od żeber, jakby planowało je połamać.

– Tylko z opowieści – westchnął słabo, naginając prawdę. – Krąży wiele historii...

Carmen wolała o nich nie słuchać, więc machnęła ręką na znak, że ich rozmowa dobiegła końca. Wcisnęła się mocniej w fotel. Mętym wzrokiem wpatrywała się w krajobraz, który zmieniał się za szybą, zastanawiając się, czy kiedykolwiek uda jej się uwolnić. Po dłuższej chwili wraz z bólem głowy wniosek nasunął się sam.

Nie podda się bez walki.

• • •

Drzwi od salonu tatuażu ponownie otworzyły się z upiornym skrzypnięciem, a już sekundę po tym do środka wpadł Malachai. Zachwiał się na nogach, ale dzięki temu, że przytrzymał się ściany, nie upadł na kolana. Odwrócił się przez ramię, poprawiając jednocześnie wygnieciony materiał bluzy, i posłał bratu gniewne spojrzenie.

Holden deptał mu po piętach, jakby zmienił się w jego cień.

Napięcie niczym deszczowe chmury wisiało nad nimi już od dawna, ale w tamtej chwili Carter Evans odniósł wrażenie, że za moment zaleje ich śmiertelny deszcz w kolorze krwi. Odczuł kłopoty w kościach, a ich opary osiadły na jego płucach. Zerknął na kolegów z uniesionymi brwiami, oczekując wyjaśnień.

Niewiele sobie z tego zrobili. Olali go, jakby był tylko powietrzem. Wciąż stali w przejściu, mie-

rząc się wzrokiem, a z ich jasnych oczu niemal leciały iskry, które mogłyby podpalić cały budynek.

Odchrząknął, jednak to też nie sprawiło, że zwrócili na niego uwagę.

– Wyglądacie tak, jakbyście chcieli się pozabijać – stwierdził oczywistość. Nie było w tym nic nowego. Tacy już byli. Raz na jakiś czas musieli skoczyć sobie do gardeł, żeby później skakać za sobą w ogień.

Podniósł się z obrotowego krzeselka. Pchnął je nogą, przez co przesunęło się parę centymetrów w bok. Najpierw przyjrzał się Kaiowi. Jego zmrużone oczy i zaciśnięte usta nie zwiastowały nic dobrego. Zawsze tak wyglądał, gdy rozsadzał go gniew. Carter przeniósł spojrzenie na starszego z braci – na napięte mięśnie twarzy i gwałtownie unoszącą się, a następnie ciężko opadającą klatkę piersiową. To była rzadko spotykana odsłona Holdena, która wskazywała na to, że Malachai przekroczył granice jego opanowania. To Holden jako pierwszy odwrócił wzrok. Kai momentalnie uczynił to samo, jakby próbował naśladować ruchy brata.

– Czy zabicie członka rodziny za utrudnianie zadania jest legalne? – zastanawiał się na głos Malachai. Holden z bezradności docisnął dłonie do twarzy i odchylił ją w tył. Carter natomiast zdołał jedynie cichutko wydusić imię przyjaciela w upominający sposób. – Nie? A powinno być.

Kai potrząsnął głową na boki, po czym trącił Holdena w bark.

– To była ona! – jęknął. – Znalazłem ją!

– Nie! – ryknął Holden, a swoim podniesionym tonem zbił pozostałą dwójkę z tropu. Rzadko tak bardzo się unosił. Zazwyczaj następowało to w sytuacjach, gdy Kai porządnie zalał mu za skórę. – To ona niefortunnie znalazła ciebie! Miała pecha, bo ze wszystkich miejsc w tym gównianym mieście wybrała akurat to, w którym się pojawiłeś!

Malachai westchnął ze znużenia. Odchylił głowę na lewo tak, jakby zamierzał oprzeć ją o bark. Spojrzał ku górze, aż jego białka zdrząły. Rozwahał, czy drzemka będzie odpowiednim wyjściem, bo wszystko wskazywało na to, że monolog Holdena pełen wyrzutów może potrwać jeszcze długo. A on naprawdę miał już dość tych pouczających wywodów. Zawsze brzmiały bardzo podobnie.

– Nazwałbym to...

– Błagam, tylko nie pierdol o przeznaczeniu – westchnął załamany Holden, nim Kai zdołał dokończyć swoją wypowiedź. Ale to właśnie miał na myśli. To słowo idealnie tłumaczyło to, że los ponownie spletał ich drogi.

– Dlaczego ci tak zależy, Hol? – spytał Kai, wyrzucając z siebie to, co krążyło mu po głowie. Nie rozumiał motywacji brata względem obcej dziewczyny. Zmrużył oczy i wbił analityczne spojrzenie w twarz Holdena. Patrzył na niego w milczeniu, próbując połączyć kropki, dopóki nie drgnęła mu powieka. A to było niemal jak niemy okrzyk „Bingo!”. – Och, serduszko zabiło mocniej? Jest w twoim typie. Wygląda trochę jak...

– Nie wymawiaj tego imienia – wtrącił Holden, a wraz z ostatnim słowem jego dotąd pewny głos najzwyczajniej się załamał. Niebieskie oczy zamieniły się w ocean smutku. Wbijał w brata błagające spojrzenie, choć doskonale wiedział, że niewiele tym zdoła.

– Jak jej było? – mruknął Kai, robiąc zamyśloną minę. Zerknął na Cartera, jakby oczekiwał, że mu podpowie, ale ten tylko odwrócił wzrok. Nie chciał się w to mieszać, to był zakazany temat. Poza tym atmosfera i bez tego była już gęsta, a z każdą kolejną sekundą odnosił dziwaczne wrażenie, że ściany budynku zaczynają się do nich przybliżać.

– Selene, no tak! – krzyknął Malachai, klaszcząc z podekscytowania w dłonie. – Szkoda, że spotka ją podobny los.

To wystarczyło, aby Holden stracił resztki cierpliwości. Nim zdążył pomyśleć, stał już pod ścianą, dociskając drżące ze śmiechu ciało Kaia do ściany. To była prowokacja. Wiedział to doskonale, a jednak dał się podejść. Kiedy nieco oprzytomniał, postawił krok w tył, luzując uścisk na ubraniach brata. W zamian zacisnął dłonie w pięści tak mocno, że poczuł paznokcie wbijające się w skórę.

– Myślisz, że ona też wpadnie ci do łóżka, jak ją obronisz? – prychnął ciemnowłosy, spinając łopatki, bo po zderzeniu ze ścianą trochę rozboleły go plecy.

– Opuść, Kai – szepnął z boku Carter, postanawiając, że to odpowiedni moment, by przerwać tę bezsensowną kłótnię. Stał w bezruchu i starał się nawet na ułamek sekundy nie spuszczać ich z oka. Obawiał się, że jeśli przestanie na nich patrzeć, to prędko wywołają kolejną wojnę światową. Właściwie nie wiedział, co powinien o tym wszystkim myśleć. Był pośrodku. Żaden wybór nie wydawał się odpowiedni.

Dlatego, odkąd pamiętał, tkwił między „dobrym Holdenem” a „złym Malachaiem”.

– Nie tak mieliśmy się nią zająć, braciszku – zadrwił Kai, trąc brata w ramię. Holden pokręcił

głową, zagryzając usta. Powtarzał sobie, że w tej sytuacji tylko spokój go uratuje, ale do spokoju miał już za daleko.

– A jak chciałeś się nią zająć? – rzucił z irytacją w głosie. – Malachai?

Wypowiedzenie tego imienia zadziało tak, jak przypuszczał. Kai zadarł głowę i wbił w niego spojrzenie pełne pogardy. Zaciśnął zęby na dolnej wardze, tłumiąc w sobie złowieszczy pomruk, i napiął szczękę tak, jakby sprawdzał, jak długo wytrzyma pod naciskiem.

– Srak.

Kai nie byłby sobą, gdyby nie wyszczerzył się triumfalnie. Spojrzał na starszego brata, ale nie mógł zbyt długo na niego patrzeć, ponieważ coś zaczęło piec go w klatce piersiowej. Zerwał się gwałtownie z miejsca. Zrobił pierwszy krok, a potem kolejny i kolejny, jednak Holden nie zamierzał tak łatwo go puścić. W ostatniej chwili uczeplił się jego nadgarstka.

Kai zatrzymał się, ale nie potrafił się odwrócić.

– Gdzie idziesz? – spytał Holden tonem zapożyczonym od ich ojca.

– Po nią – odpowiedział natychmiast, jakby tylko na to czekał. Dopiero wtedy zerknął za siebie, żeby ujrzeć reakcję brata. Jego uśmiech rósł proporcjonalnie do tego, jak usta Holdena opadały w smutny łuk. Kai zaśmiał się z nadzieją, że rozładuje tym atmosferę i wymruczał:

– Żartowałem. Teraz twoja kolej.

Klepnął Holdena w ramię, jakby niemo chciał przekazać „Dasz radę”. Wyszedł na zewnątrz. Nie był ani smutny, ani szczęśliwy.

Po prostu był i ta myśl go niszczyła.

## 5.

Malachai Yordan uwielbiał być w centrum uwagi, bo czuł się wtedy niezniszczalny.

Z tego powodu miał w klubie szczególne miejsce: prywatną lożę nad głowami imprezowiczów, z której mógł w spokoju nadzorować wszystko to, co działo się pod jego nosem. Z obojętną miną obserwował wirujący do głośnej muzyki tłum. To była nudna impreza. Nie niosła za sobą żadnych doznań, więc postanowił, że rozrywkę zafunduje sobie sam.

Uderzając podeszwą buta o czarne płytki, wystukiwał rytm piosenki. Kręcił głową na boki, poszukując wśród nieznanym ludzi odpowiedniej osoby. Nie mogło paść na byle kogo. Musiał mieć chociaż najbardziej błahy powód, by działać. Niewinnych nie tykał, bo to byłoby nudne. Wodził uważnym wzrokiem po całej sali. Mijały sekundy, które zmieniały się w minuty, doprowadzając go niemal do szaleństwa.

I wtedy ich zobaczył – dwóch szarpiących się małolatów. To mu wystarczyło. Lepsza okazja tego wieczoru mogła się nie trafić.

Wsunął dłoń do szarych džinsów i uśmiechnął się rozanielony, wyczuwając pod palcami nóż. Jego wyobraźnia zaczynała pracować na najwyższych obrotach, podkrecając w nim ekscytację. Odwrócił się na pięcie, ruszając w stronę drzwi, ale momentalnie się zatrzymał, bo ktoś już stał w ich progu. Dziewczyna. Szczupła i zgrabna, o oliwkowej karnacji, ciemnych oczach i czarnych, falujących włosach, które opadały na piersi.

– Masz gościa, kotek – oznajmiła uprzejmie Sybil. – Strasznie niecierpliwy.

Trochę go tym zainteresowała.

Zaczął zastanawiać się, kto był na tyle bezczelny, by mu przerywać.

– Zaskocz mnie – mruknął bez ekscytacji, po czym zrezygnowany opadł na kanapę. Przyglądał się w milczeniu, jak jej opięte skórzanymi spodniami biodra kołysały się, a pasma włosów podskakiwały, kiedy poruszała się z gracją, nim zniknęła na korytarzu.

Rozłożył szeroko ramiona na oparciu kanapy. Odchylił głowę, dzięki czemu mógł obserwować mieniące się na suficie światła w najróżniejszych kolorach. Czekał, choć czekać nienawdził. Udało mu się doliczyć do trzynastu i właśnie wtedy w pomieszczeniu na powrót rozległ się charakterystyczny stukot szpilek.

Sybil szła jako pierwsza, ciągnąc za sobą cherlawego chłopaka. Wystarczyło jedno spojrzenie. Poznał go od razu po mozolnym chodzie, irytującym szuraniu butów, jakby nie miał siły unosić stóp, oraz po rezygnacji malującej się na młodej twarzy. Czerwono-zielona koszula w kratę falowała z każdym ruchem, a kolczyk w uchu przechwytywał światła.

Malachai był pod wrażeniem jego odwagi. Tego, że po tym wszystkim był gotowy stanąć z nim twarzą w twarz, a to mógł już uznać za wyczyn. Innym rzadko się to udawało.

– James, James, James – westchnął, powtarzając to imię, jakby miało specjalne znaczenie. Potrząsnął głową z uznaniem i wygiął usta w grymas pełen zachwyty. Klasnął nawet w dłonie, by podkreślić, jak bardzo uradowało go to spotkanie. – Zastanawiałem się, kiedy mnie odwiedzisz. Wróciłeś z moją kasą?

Chłopak zaprzeczył ruchem głowy. Sam nie wiedział, skąd wzięł w sobie odwagę, by dobrowolnie stawić się jak na zawołanie u samego diabła, wisząc mu sporą sumkę za narkotyki, które obiecał opchnąć po znajomych, a które w zamian wylądowały w toalecie, gdy wpadły w ręce Michaela Clarka. Dlatego wiedział, że ratunku u ojca nie znajdzie. Pozostała mu tylko Carmen.

– Szkoda – rzucił z udawanym przejęciem Kai. – Teraz będę musiał zrobić ci krzywdę.

Słyszając te słowa, James wbił w niego złężnione spojrzenie. W jego zielonych oczach pojawiła się jeszcze większa panika, gdy dojrzał, że Kai ze znużeniem obraca w dłoni nóż, choć wciąż nawiązywali kontakt wzrokowy. Przełknął powoli ślinę, która parzyła przelyk. Powtarzając sobie, że da radę, odsunął gwałtownie puf i usadowił się na nim.

– Przegadajmy to – powiedział z pewnością w głosie, której sam się po sobie nie spodziewał. Kaia też to zaskoczyło, bo momentalnie zaprzestał zabawy z ostrym narzędziem i odłożył je na stół. Pochylił

się do Jamesa, opierając łokcie na kolanach, i złączył dłonie.

– Minuta – stwierdził Malachai. – Ty gadasz, ja słucham.

James kiwnął głową, a na jego twarzy pojawiła się ulga, dlatego Kai dorzucił z powagą:

– Potem pozwolę ci zdecydować, jak chcesz pocierpieć.

Mina chłopaka momentalnie zrzędnęła, a nikły uśmiech rozplynął się w trymiga.

– Nawaliłem. Wiem – zaczął drżącym głosem. Zupełnie bez przekonania.

Z tego powodu Kai przestał zwracać na niego większą uwagę. Zerknął na dziewczynę, która przyglądała im się z boku i skinieniem głowy zachęcił ją, by podeszła bliżej. Sybil usiadła przy nim, kładąc dłoń na jego kolanie. Zrzuciła nogę na nogę i również obserwowała chłopaka, który z każdą sekundą wyglądał na coraz bardziej zestresowanego.

Ta publika go peszyła. Liczył na spotkanie z jedną osobą. Więcej gapiów nie potrzebował.

– Wiesz, że straciłem towar. Nie mam twojej kasy – przerwał, dostrzegając, jak Kai niecierpliwie zerka na zegarek zdobiący nadgarstek. Nudził się. Widział to w jego jasnych oczach. I jak na potwierdzenie tego z ust Malachai'a wydostało się ziewnięcie, które choć pozornie niewinne, okazało się zwiastunem kłopotów.

Już sekundę później James niemal wyłożył się na stole, gdy Kai pociągnął go ku sobie za rękę. Jedną dłonią podsunął rękaw koszuli chłopaka do łokcia, a drugą stabilnie i mocno dociskał do blatu, utrudniając jakikolwiek ruch. Zgarnął swój nóż motylkowy i dla zabawy zaczął wciskać ostrze w szpary między palcami Camerona.

James zerknął na Sybil, szukając w niej ratunku, ale tylko wzruszyła ramionami.

– Który palec? – zastanawiał się na głos Kai. Posłał spojrzenie dziewczynie obok, czym oddał decyzję w jej ręce. Uśmiechnęła się, po czym przycisnęła się bardziej do jego boku i zerknęła na stół. Wydeła usta, udając zamyślenie, gdy Kai stuknął płaską częścią noża o każdy palec po kolei, jakby prezentował wszystkie opcje.

– Środkowy? – zaproponowała, a on od razu się z nią zgodził. Przesunął balisong w prawo, powoli naciskając ostrzem na skórę. James jęknął w przestrzeń, a zaraz po tym z jego ust wydostał się przepełniony strachem krzyk:

– Mam propozycję!

Kai zawahał się w tym samym momencie, w którym zobaczył pierwsze krople krwi. Odchylił się, by widzieć przerażoną twarz chłopaka w pełnej okazałości. Uniósł wyczekująco brwi, bo najzwyczajniej był ciekaw tego, co jeszcze wymyślił Cameron. Ten jednak milczał, jakby zabrakło mu języka w gębie, więc Kai ponownie wcisnął w ranę nóż.

Okazało się, że James gadał proporcjonalnie do zadawanego mu bólu, bo wypalił naraz:

– Odpracuję u ciebie ten dług.

Nie minęła nawet sekunda, a Malachai zaniósł się głośnym śmiechem, do tego zaraźliwym, bo chwilę później dołączyła do niego Sybil. Dawno nikt go tak nie rozbawił. Śmiał się tak, jakby usłyszał niezły żart, który na długo zapada w pamięć. Tak intensywnie, że rozboleł go brzuch, a w kącikach oczu załśniły łzy rozbawienia. Teatralnie zgarnął je palcami.

Cameron jednak wciąż był śmiertelnie poważny.

– Och, sorka, to nie był żart? – wybełkotał Kai, nadal dławiąc się chichotem.

Rozchylił usta, wypuszczając z nich powietrze, a to pozwoliło mu się nieco uspokoić. Jego nastrój ponownie się zmienił, wskakując na kolejny poziom. Nie był już rozbawiony, tylko maksymalnie zirytowany. Sprawnym ruchem złapał kark Jamesa, po czym docisnął twarz chłopaka policzkiem do blatu, a ona od razu poczerwieniała.

– Nie jesteś tyle wart – zaśmiał się, kręcąc głową z niedowierzania. – Co najwyżej mogę wytrzeć tobą podłogę.

James miał tylko krótką chwilę na zastanowienie. Musiał działać szybko, jeśli chciał uratować swój nędzny tyłek. Improvizował, uznając tę opcję za ostatnią deskę ratunku.

– Ja może nie, ale... – urwał, bo kątem oka dostrzegł ostrze noża, gdy Kai przesunął nim po jego policzku, w górę i w dół, nie wyrządzając przy tym żadnej krzywdy. Jeszcze. Póki co trochę z nim pogrywał. Sprawdzał, jak długo wytrwa, nim posika się z wrażenia w gacie. – Co jeśli powiem, że mam dla ciebie prezent?

Tymi słowami kupił sobie dodatkowy czas. Jeszcze przez parę sekund czuł na skórze chłód ostrza, a potem ogarnęła go nagła ulga. Kai odsunął się, a on mógł w spokoju się wyprostować. Siedząc przed sobą, wymieniali się znaczącymi spojrzeniami. Próbował wyglądać na niewzruszonego, gdy Kai intensywnie lustrował go wzrokiem, jakby próbował zdecydować, czy warto mu ufać.

Malachai opadł plecami na oparcie, zarzucając ramię na talię Sybil. Wyszczrzył się w swój firmowy sposób. I był to rodzaj uśmiechu, którego nie dało się odwzorować. Był przeznaczony tylko i wyłącznie dla jednej osoby. Dla władcy piekieł na ziemi.

– Wtedy powiedziałbym, że uwielbiam prezenty.

• • •  
To zdecydowanie nie była dobra pora na imprezę, choć kalendarz wskazywał piąty dzień tygodnia, początek weekendu, z którego nie potrafiła się cieszyć. Siedziała w jednej z łóż, choć wcale nie chciała tam być. Tylko liczne prośby Camerona jakimś cudem wyciągnęły ją z domu. Najwyraźniej nie chciał bawić się sam, ale w tamtej chwili Carmen była marną towarzyszką. Podtrzymywała ścianę. A przynajmniej tak się właśnie czuła. Została sama wśród co najmniej setki całkowicie obcych ludzi, a takie sytuacje zawsze przynosiły jej dyskomfort.

James ulotnił się tuż po zamówieniu drinków, nim zdążyła go powstrzymać.

Gdzie się podział? Nie wiedziała.

Najpierw szukała go w ściśniętym tłumie, ale w końcu jej się znudziło. Oplatając się rękoma w pasie, obserwowała obce twarze. W głowie miała jedną myśl: nie pasowała za bardzo do dziewczyn, które przebywały z nią w tym samym pomieszczeniu. Podobnie jak one miała szpilki na nogach, ale oprócz tego mało je łączyło. Carmen nie eksponowała zbyt wiele ciała, ponieważ założyła czarne, kryjące rajstopy, spódniczkę w podobnym odcieniu i gruby, czerwony sweter, który współgrał ze szminką na ustach. Włosy przrzuciła na jedno ramię, żeby jej nie przeszkadzały. Nie tańczyła. W zamian machała stopą w rytm szybkiej piosenki.

Nie wiedziała, ile czasu spędziła na beznamiętnym gapieniu się przed siebie. Ocknęła się z tego dziwnego stanu zawieszenia dopiero, kiedy obraz przysłoniły długie i zgrabne nogi opięte skórzanymi spodniami. Carmen sunęła wzrokiem ku górze – przez koronkowy gorset, kształtne usta i ciemne loki, aż zatrzymała się na brązowych oczach, które również uważnie pochłaniały każdy milimetr jej twarzy.

Uniosła brwi w pytającym geście, bo nie za bardzo rozumiała, dlaczego nieznajoma dziewczyna podsunęła w jej kierunku szklankę ze złocistym alkoholem oraz białą serwetkę.

– Nie zamawiałam drinka – mruknęła niemilo, pragnąc jak najszybciej pozbyć się towarzystwa. Już chyba wolała samotność niż użeranie się z tą dziwaczką. Ciemnowłosa jednak najwyraźniej nie zamierzała tak prędko odpuścić. Kręcąc głową z rozbawieniem, splotła ramiona przed sobą, podkreślając tym samym dekolt.

– To prezent – stwierdziła Sybil. Powtarzała sobie, że musi wytrzymać jeszcze chwilę z tym sztucznie przyjaznym uśmiechem, który doczepiła do ust, choć w środku cała krzyczała z irytacji. – Na koszt firmy.

Jeszcze. Chwilę.

– Podziękuję – odburknęła Carmen, nawet na nią nie patrząc, co tylko dodatkowo zezłościło Sybil. Przewróciła dyskretnie oczami, gdy rudowłosa na powrót podsunęła szklankę bliżej niej. To sprawiło, że straciła resztki cierpliwości. Niesiona tylko gniewem, bez namysłu docisnęła dłoń do nadgarstka dziewczyny, blokując dalsze ruchy.

Carmen posłała nieznajomej ostre spojrzenie, jakby sygnalizowała ostatnie ostrzeżenie.

– Słuchaj, lisico – zaczęła Sybil znudzonym tonem. W międzyczasie leniwie przeżuwała balonową gumę. Uśmiechnęła się łagodnie, jakby nie stało się nic złego. Poluzowała uścisk, odsunęła się i opierając dłonie na stole, pochyliła się w kierunku rudowłosej. – Prezentów od niego nie można nie przyjąć.

– Niby od kogo? – prychnęła rozbawiona Carmen, bo wyobraziła sobie mężczyznę, który ma o sobie zbyt wysokie mniemanie. Nienawidziła takich oślizłych typków. Nie zdążyła docisnąć dłoni do ust, więc parsknęła śmiechem w okrągłą buzię Sybil, czym zasłużyła sobie na jej karcące spojrzenie.

Sybil chrząknęła porozumiewawczo, zjeżdżając wzrokiem na serwetkę. To była wskazówka, dzięki której Carmen wreszcie sięgnęła po chusteczkę. Odwróciła ją na drugą stronę, bo ta pierwsza była pusta. I nagle jej serce zmieniło rytm, niemal zamierając. Uśmiech zniknął z ust w ułamku sekundy, a kąciki załamały się w smutnym grymasie. Mrugała chaotycznie, gdy przyglądała się zaledwie dwóm pochyłym słowom, jakby miały nabrać nowego znaczenia.

„Widzę cię”.

Przełknęła nerwowo ślinę, bo nagle wszystko stało się jasne. Stała na równe nogi, aż zawiroowało jej w głowie. Znów próbowała namierzyć wzrokiem brata, ale najwyraźniej zapadł się pod ziemię albo wystawił ją dla jakiejś panienci. Kiedy świat wokół wreszcie przestał się kręcić, obrzuciła kolejnym spojrzeniem całe pomieszczenie, dzięki czemu w umyśle rozwiały się ostatnie domysły.

Stał tam wyglądając w każdym calu... nierealnie.

Malachai jedną dłoń zaciskał na metalowej barierce, a drugą uderzał w swoją pierś zgodnie z melodią. Carmen odniosła wrażenie, że właśnie w tym rytmie biło jej serce – całkowicie zależne od niego. Jakby trzymał je w garści, decydując o tym, czy powinno nadal wygrywać takt. Zaczęła poważnie obawiać się, że kiedy tylko piosenka ucichnie, a Kai przestanie wybijać jej rytm, najzwyczajniej umrze.

Poza tym jednym szczególnym ruchem nie ruszał się, jakby był wyrzeźbiony i zaklęty na dobre w skale. Patrzył prosto na nią. Wiedziała to, bo to spojrzenie było tak intensywne, że niemal przecinało ją w pół. Nie zamierzała pokazać słabości, dlatego też spoglądała na jego sylwetkę, jakby to była jej ostatnia misja na ziemi. Przegranie tej bitwy nie wchodziło w grę. Dla lepszego efektu zadarła podbródek w prowokujący sposób i po prostu się uśmiechnęła.

Kai z chęcią dołączył do tej zabawy. Pomachał do niej, falując palcami, a ona w odpowiedzi odwzorowała to w ten sam symboliczny sposób. Tym samym dała mu kolejny dowód na to, że wcale nie jest bezbronną dziewczynką, za jaką ją miał.

– Chcę z nim porozmawiać – wycedziła nagle Carmen.

W pierwszym odruchu Sybil roześmiała się perliście. Szybko jednak dotarło do niej, że rudowłosa mówi w stu procentach poważnie, gdy dojrzała jej skoncentrowaną na jednym punkcie twarz. Tym punktem był Malachai. I wcale jej się to nie spodobało.

– Och, lisico – westchnęła, po czym położyła dłoń na ramieniu Carmen, jakby chciała dodać jej otuchy. – Ale on aktualnie nie chce rozmawiać z tobą.

Jeszcze, pomyślała Carmen i tym samym postanowiła, że zrobi wszystko, by stało się wprost przeciwnie. Role się odwrócą. To on będzie chciał rozmawiać z nią, a ona z nim.... niekoniecznie. Wywróciła oczami w ostentacyjny sposób. Chwyciła szklankę ze stołu. Nie spuszczając z Kaia wzroku, docisnęła czerwone usta do przezroczywej krawędzi i spróbowała trunku. Była w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach pewna, że to alkohol jej ojca. Z tego powodu odwróciła naczynie do góry nogami, wylewając całą zawartość na parkiet.

Zrobiła to perfidnie, na oczach Malachai, który wykrzywił twarz w grymasie niezadowolenia.

Odwróciła wzrok jako pierwsza. Zrzuciła w charakterystyczny sposób włosy na ramię, gdy wymijała Sybil, i pewnym siebie krokiem ruszyła w stronę wyjścia. Z każdym jej twardym stąpieniem Malachai odnosił wrażenie, że trzęsie się cała ziemia. Obserwował ją z pełnym podziwem, coraz częściej dostrzegając w niej dobrego przeciwnika, nie ofiarę.

Nie tylko on skupił na niej całą swoją uwagę.

Holden pomyślał, że los ponownie z niego zakpił, gdy w tłumie mignęły mu rude włosy. Od razu wiedział, że to ona. Nie dało się jej nie poznać.

Z tego powodu zbiegł po schodach, a kiedy znalazł się na dole, zaczął przeciskać się między ludźmi, przy okazji posyłając im złośliwe spojrzenia. Wreszcie stanął na środku – sam, choć zewsząd otaczali go imprezowicze. Rozejrzał się uważnie na boki, dzięki czemu znów ją dojrzał. Znalazł się przy niej najszybciej, jak potrafił. W ostatniej chwili złapał ją za nadgarstek, nim udało jej się zniknąć.

Carmen Clark cała zeszytniała na samą myśl, że to Malachai zmienił zdanie i postanowił ją dorwać. Wszystko wewnątrz niej krzychało, by się nie odwracała, bo to zbyt wielkie ryzyko, spojrzeć diabłu w oczy z tak bliskiej odległości. Zaciśnęła mocno powieki, próbując wmówić sobie, że to nie dzieje się naprawdę, jednak kiedy wreszcie je otworzyła, nadal stała w tym samym miejscu, a jego dotyk wciąż parzył jak płonąca zapałka.

Zaczęła żałować każdej podjętej wcześniej decyzji. Dlaczego tak bardzo chciała go sprowokować? Dlaczego mimo tego, że powinna się go bać, chciała sprawdzić, jak blisko piekła mogła się znaleźć, nim doszczętnie spłonie za własne grzechy? Znała tylko jedną odpowiedź na te pytania. Wciąż miała w sobie cząstkę, która pragnęła jedynie destrukcji.

A Malachai Yordan był uosobieniem zniszczenia.

– Poważnie? – spytał zachrypniętym głosem Holden, bo w jego ustach z nerwów nagle zabrakło śliny. Odchrząknął, by brzmieć naturalniej. – Co jest z tobą nie tak, że ciągle na nas wpadasz?

Po tym łagodnym tonie wiedziała już, że jej najgorsze przypuszczenia nie stały się prawdą. Odechnęła z ulgą, choć całe ciało wciąż drżało tak bardzo, jakby miała się rozpaść na kawałki. Odwróciła się przez ramię. Zagryzła policzek od środka i po prostu patrzyła na chłopaka, tak jak wcześniej na Malachai. Tym razem miał na głowie czapkę z daszkiem i kaptur, dlatego nie mogła dokładnie dojrzeć wyrazu jego twarzy, ale momentalnie wyobraziła sobie jego spiętą szczękę i ściągnięte w niezadowolonym grymasie brwi.

– Może to wy wpadacie na mnie? – westchnęła z przekąsem.

Holden postawił krok w tył. Jasne światło przebiegło przez jego twarz. Dopiero wtedy zobaczyła oczy – granatowe, pełne nieustającego gniewu i smutku. W jej sercu z hukiem otworzyły się drzwi, które zamknęła dawno temu na klucz, a po drugiej stronie zobaczyła niebo.

Nieoczekiwanie zalała ją fala gorąca.

Świadomość, że również na nią patrzył, była niemal bolesna. Uważnie lustrował ją wzrokiem z oddechem więznym w gardle. Carmen Clark miała taki rodzaj urody, który sprawił, że coś złapało go za serce, kiedy zobaczył ją tamtego feralnego wieczoru z potarganymi włosami i załzawionymi oczami.

– Gdzie ten trzeci? – spytała. – Też tutaj, czy chodzicie czasem osobno?

Holden uśmiechnął się, próbując powstrzymać śmiech.

– Carter? – zastanowił się na głos, na co skinęła głową. – Pewnie powstrzymuje Kaia.

Wzruszył obojętnie ramionami. Powiedział to w taki sposób, jakby tylko żartował, choć doskonale wiedziała, że w tych słowach było ziarno prawdy. Spuściła głowę, dzięki czemu przypomniawszy sobie, że wciąż ścisła jej rękę. Spróbowała się wyrwać, ale od razu odpuścił, gdy dostrzegł jej nieudolne próby.

– Odprowadzę cię – zaproponował, choć nie zamierzał przyjmować sprzeciwu.

Carmen natomiast było już wszystko jedno. Cameron i tak zostawił ją na pastwę losu. Zgodziła się lekkim skinieniem głowy, bo czuła, że Holden stoi po jej stronie. Ulokował dłoń na dole pleców dziewczyny, sugerując, że powinna się ruszyć. Zrobiła to bez wahania, nie oglądając się za siebie. Szedł za nią niczym wierny ochroniarz, dając Carmen poczucie bezpieczeństwa. Zatrzymali się dopiero na korytarzu.

Holden ze zdenerwowaniem nachalnie naciskał przycisk windy, co rusz rzucając za siebie podejrzliwie spojrzenia, jakby przeczuwał, że kłopoty zbliżają się wielkimi krokami. Metalowe drzwi rozsunęły się po niecałej minucie. Przepuścił Carmen, a sam stanął przed nią, jakby chciał uchronić ją przed całym złem świata.

Nie przewidział jednak, że nim spokojnie zjadą w dół, ktoś zatrzyma drzwi od windy.

Zło.

We własnej osobie.



## 6.

Wślizgnął się do środka zwinnie niczym czarny kocur zwiastujący pecha. Uśmiechał się przy tym w taki sposób, jakby upolował mysz, która nadzwyczaj mu się spodobała, ale nie po to, by od razu ją zjeść, tylko najpierw zamęczyć na śmierć. Kątem oka zerknął na brata – stał sztywno z rękoma splecionymi na torsie. Zatrzymał się tuż przy nim. Dzieliła ich niewielka różnica wzrostu, więc bez problemu stykali się ramionami. Oboje w ciszy patrzeli przed siebie, gdy niewielki ekran wskazywał malejące piętra.

Carmen miała wrażenie, że za moment już na dobre postrada zmysły – tak niecodzienną mieszankę tworzyli. Holden pachniał jak najczystsze niebo, natomiast Kai... jak mokra ziemia pełna szkieletów. Dusili ją, nawet się przy tym nie starając. Wystarczyła sama obecność, która sprawiała, że serce podchodziło jej do gardła, jakby chciało opuścić ciało i uciec możliwie jak najdalej. Doskonale czuła pierwsze kropelki potu na karku i to, jak miękkie miała kolana.

Żaden z nich nie zwracał na nią uwagi, jakby nawet jej tam nie było. Mimo wszystko zdawała sobie sprawę z tego, że doskonale pamiętają o tym, że stoi obok.

– Holden – zaczął twardo Malachai, przekręcając głowę w kierunku blondyna. Posłał mu uśmiech, który nie trwał zbyt długo. Na Carmen nie spojrział. – Już wychodzisz?

Holden kiwnął głową z krzywym grymasem na ustach. W myślach gorączkowo liczył sekundy do momentu ponownego rozsunęcia się drzwi. Minęło ich dokładnie siedem.

Siedem sekund w piekle.

Na dole od razu chwycił rękę Carmen. Pociągnął ją za sobą niczym balon targany przez wiatr. Ale tylko on przekroczył próg windy. Dziewczyna została w środku, bo Malachai zrobił krok i tym samym zagroził jej jedyną drogę ewakuacji. Wyprostował się do granic możliwości, zasłaniając niemal całkowicie sylwetkę brata. Carmen z perspektywy, w której się znalazła, widziała jedynie zaskoczenie malujące się na twarzy Holdena.

– Zgaduję, że drink ci nie smakował – rzucił szeptem Malachai, wykrzywiając usta w smutnym łuku. Nachylił się ku niej. Przez ten znikomy ruch znalazł się bliżej niż kiedykolwiek wcześniej, czym tylko utwierdził ją w przekonaniu, że istnieje naprawdę. Nie był wytworem jej chorej wyobraźni, tylko człowiekiem z krwi i kości. Z tej odległości widziała niemal wszystkie szczegóły – lekko zadarty nos, kremowy odcień skóry, niebieską barwę oczu, całkiem duże źrenice i pieprzyk na szyi, tuż przy krtani. – Sorka. Następnym razem bardziej się postaram – mruknął z nutą zawodu w głosie. Puścił do niej oczko, jakby chciał potwierdzić tym swoje słowa. A potem się uśmiechnął, tak, jak kolega uśmiecha się do dobrej znajomej po opowiedzeniu żartu. Carmen przez moment odniosła wrażenie, że ziemia pod jej nogami zadrżała. Takie miłe gesty do niego nie pasowały. – Dodam swoje serce, bo jest zimne jak lód.

Nie wiedząc, jak się zachować, skinęła dyskretnie głową, czym dała mu znać, że zrozumiała przekaz. Przez kolejne sekundy obserwowała, jak bracia wymieniają się spojrzeniami. Kai czerpał z tej sytuacji radość. Holden natomiast napiął mięśnie, czując, że wszystko wewnątrz niego zaczyna wrzeć ze złości.

– Carmen, spadaj stąd – mruknął do dziewczyny przez zaciśnięte zęby. Zabrzmiało to dość niemiło, ale nie potrafiła stwierdzić, czy naprawdę miał taki zamiar, czy wywołały to nerwy. Zamrugła gwałtownie na te słowa, próbując przełknąć gulę w gardle.

– Co? – jęknęła słabo. Nagle z nadmiaru bodźców jej mózg postanowił się zbuntować i w efekcie przestał normalnie funkcjonować, przez co nie rozumiała najprostszych słów.

– Ogłuchłaś?! – warknął wyższym tonem Holden, ponieważ z każdą sekundą ogarniała go coraz większa irytacja. Carmen drgnęła, słysząc jego podniesiony głos, który wcale do niego nie pasował. Spuściła głowę, dzięki czemu dostrzegła, że blondyn trzyma już dłoń na ramieniu brata, gotowy pozbyć się przeszkody. – Spadaj stąd, póki jeszcze możesz.

Chciała to zrobić. Posłuchać go i grzecznie wykonać polecenie. Bo to właśnie podpowiadały jej resztki racjonalności, jakie się w niej obudziły. Ale kiedy tylko poruszyła nogą, by ruszyć z miejsca, Kai roześmiał się swobodnie, a ten dźwięk na nowo ją sparaliżował. Był niczym trucizna, która zwinnie prze-

dostawała się żyłami prosto do serca. Zamarła z szeroko otwartymi oczami.

– Wow, Hol, zwolnij – westchnął ze spokojem Malachai. – Jesteś niegrzeczny.

On też zjechał wzrokiem na dłoń brata. Palce Holdena wbijające się w jego ubrania przeszkadzały mu tak bardzo, że musiał się ich jak najszybciej pozbyć. Złapał nadgarstek blondyna i jednym sprawnym ruchem odciągnął go od siebie, sygnalizując, że tak bliski kontakt jest dla niego znaczną przesadą.

– Chciałaś ze mną rozmawiać – zwrócił się ponownie do Carmen, olewając brata. Objechał ją ciekawskim spojrzeniem od drżących nóg po zęby zaciśnięte na czerwonych ustach. – Jestem. Cały do twojej dyspozycji.

Malachai rozłożył szeroko ramiona, a zaraz po tym znów mrugnął do niej okiem.

Żołądek Carmen wywinął fikołka, kiedy Holden wbił w nią spojrzenie pełne niedowierzania. Chyba go zaskoczyła. A może się na niej zawiódł. Ona też miała ochotę zdzielić się z otwartej dłoni w czoło za to, że wcześniej wyjechała z tak bezmyślnym tekstem. Rozmawiać? Z nim? To było jak misja samobójcza.

– Jakoś straciłam ochotę – odpowiedziała markotnie. Nie miała odwagi patrzeć na niego podczas swojej wypowiedzi, dlatego gapiała się na czubki szpilek. Właściwie nawet nie wiedziała, dlaczego te słowa wypelzły z jej ust. Nie zastanowiła się nad tym, jak bardzo mogą go rozjuszyć.

Ku jej zaskoczeniu, Malachai jedynie parsknął, jakby naprawdę go rozbawiła. Postawił krok przed siebie, zwracając dziewczynie przestrzeń osobistą. Okręcił się, zajmując miejsce obok brata. Patrzeli na nią oboje. Pochłaniali ją wzrokiem – kawałek po kawałeczku, centymetr po centymetrze, milimetr po milimetrze, aż odniosła wrażenie, że nic z niej nie zostało.

Więcej się nie odezwali. Stali jak sklepowe manekiny na wystawie, gdy czmychnęła obok, udając się do wyjścia. Kai odwrócił głowę w samą porę, by zobaczyć, jak zamykają się za nią szklane drzwi. Stukot jej obcasów jeszcze przez parę sekund odbijał się od ścian, nim wokół zapanowała nieprzyjemna cisza.

– To jakiś rodzaj zadośćuczynienia? – odezwał się Kai niskim, gardłowym głosem, jakby chrypa utknęła mu w gardle. Holden nawet nie drgnął. Słuchał go, ale starał się ze wszystkich sił, by nie dać się sprowokować. – Nie pomogłeś ani rodzicom, ani Selene, więc chcesz pomóc jej?

Te słowa wystarczyły, aby świat Holdena ponownie zaczął się rozpadać i nie wiedział już, czy powinien dalej go trzymać, czy wreszcie puścić. Nienawidził, gdy ktoś wspominał o rodzicach oraz o jego miłości w taki sposób, ponieważ to sprawiało, że myślał o wszystkich rzeczach, które powinien był zrobić, by im pomóc, a których nie zrobił. Samo wspomnienie tkwiło w nim jak drzazga. Nie mógł się jej pozbyć i udawać, że nie istnieje, bo ciągle dawała o sobie znać.

Spojrzał na Malachaia z żalem w oczach, nie mogąc pojąć, jakim cudem własny brat wbił mu nóż prosto w serce, i tak już pokaleczone. Odsunął się, jakby Kai dosłownie dźgnął go ostrym przedmiotem. Miał w sobie niebezpieczną mieszankę bólu i rozczarowania, która mogła eksplodować w najmniej oczekiwanym momencie.

– Nic już nie mów – sapnął bez energii, dociskając dłonie do ust.

Kai cały czas uśmiechał się szyderczo, dumny z tego, że tak mu dogryzł.

– Wiesz co? – odezwał się po chwili, dostrzegając, że Malachai zamierza jednak coś dodać. Kai przymknął prędko usta i w ciszy czekał na to, co Holden zamierza mu przekazać. – Żal mi cię, Kai. Zgrywasz czarny charakter tylko po to, by zaimponować wujkowi, ale Ivan ma to gdzieś. Nigdy nie będziesz dla niego wystarczająco dobry! Zawsze znajdzie się ktoś lepszy od ciebie!

Holden poklepał brata po plecach w uspokajający sposób, który zadziałał wręcz odwrotnie. Rozwścieczył go tym, bo Kai poczuł się jak bezbronny dzieciak, a nienawidził się tak czuć. Musiał udowodnić sobie, że Holden nie ma racji. Przymknął powieki, budząc w sobie największe demony. A potem wrzasnął, jakby przemawiała przez niego złowroga siła. Krzyk ten niósł się po całym korytarzu, szybując schodami na zmianę w górę i w dół.

Malachai bez namysłu rzucił się na Holdena, nim ten zdążył się na dobre oddalić. Zrobił to z taką siłą, że momentalnie runęli na ziemię. Holden, tracąc równowagę, źle postawił krok i w efekcie tego niefortunnie sturlali się piętro niżej. Odczuł momentalnie, jak skóra na jego twarzy starła się o któryś ze stopni. Obrócił się na plecy, co okazało się błędem, ponieważ teraz to Kai nad nim górował, pomimo faktu, że był młodszy, chudszy i nieco niższy. Z niezwykłą łatwością docisnął kolana do ramion Holdena, siadając na nim okrakiem. Nawet się nie zawahał. Po prostu uderzył go pięścią w twarz. Jednym ciosem trafił w prawy policzek, poprawiając ranę po zderzeniu z podłogą, a drugim w lewe ucho.

Ból był tak silny i niespodziewany, że Holden odczuł go w całej głowie.

– Powtórz – wydyszał wściekle Malachai. Nie był już bratem Holdena. Był złoczyńcą, na którego

się kreował. Pusty. Pełen złości. Martwy. Odpowiedziała mu cisza, co tylko nakręciło w nim spiralę nieopanowanego gniewu. – Powtórz, Hol!

Widownia nie miała dla niego znaczenia. Nie przejął się parą, która wyminęła ich, jakby wcale nie próbowali się jawnie pozabijać. Zaciśnął palce na bluzce Holdena, przyciągnął go do siebie i ponownie dzielił w środek nosa, aż usłyszał strzyknięcie kości.

Twarz Holdena zalała się krwią. Odruchowo docisnął dłoń do miejsca, od którego odbiła się pięść brata. Krew spływała mu między palcami. Piekły go wargi. Czuł metaliczny smak w ustach. Wściekły zaczął kopać i wierzcąc nogami, aż w końcu udało mu się zrzucić z siebie Kaia, który zdezorientowany wylądował obok niego. Zamienili się miejscami. Holden błyskawicznie przytrzymał mu ręce i na nim usiadł, blokując dalsze ruchy.

Gdyby nie to, że kątem oka dostrzegł z boku dwie znajome sylwetki, prawdopodobnie uderzyłby brata w twarz i w ciosie tym zawarty byłby cały smutek, jaki go wypełniał, a potem najpewniej żałowałby tego do końca życia.

– Pogrzało was? – krzyknął Carter, biegnąc w ich stronę. Gdy znalazł się wystarczająco blisko, złapał Holdena pod pachy i odciągnął go w tył, choć ten wcale nie protestował. – Ile wy macie lat, co? Bo zachowujecie się ostatnio jak gówniarze.

Malachai czuł, jak zaczyna oddychać z trudem, jakby właśnie przebiegł długi maraton. W przeciwieństwie do brata nie starał się podnieść do pionu. Usiadł i oplótł kolana ramionami. Wyszczerył kły triumfalnie, chociaż nie miał powodów do świętowania. Odczekał parę sekund, nim zdecydował się wstać. Otrzeptał koszulkę z kurzu i brudu, który zdążył na niej osiąść. Więcej się nie wysiłał, bo krocząca za Carterem Sybil wreszcie zbliżyła się na tyle, by obrzucić go zaniepokojonym spojrzeniem.

– Kotek? – szepnęła, jakby chciała się upewnić, czy nie ucierpiał. Kiwnął tylko głową, co zrozumiała jako zapewnienie, że u niego wszystko w porządku.

– Do trzech razy sztuka, Hol – przemówił. – To ostatni raz, kiedy puściłem ją żywą.

Holden nie miał ochoty dłużej go oglądać. Starł wierzchem dłoni krew spod nosa i podciągnął spodnie, bo nieco zsunęły się z bioder. Ruszył z miejsca, a kiedy wymijał brata, niby przypadkiem trącił go ramieniem w bark, po czym szepnął:

– Daj znać, kiedy wróci mój brat.

Ale on tam ciągle był. W swoim ciele. Po prostu nie był tym, za kogo miał go Holden.

Malachai roześmiał się głośno, jakby ktoś z obecnych opowiedział mu bardzo zabawny żart, którego nigdy wcześniej nie słyszał. Przez parę sekund obserwował, jak sylwetka Holdena powoli się zmniejsza, aż całkowicie zniknęła mu z oczu.

– Czy wam też ona przypomina... – zaczęła Sybil, choć nie dane było jej dokończyć, bo wokół nagle zagrzmiął obojętny ton Kaia, gdy rzucił od niechcenia:

– Wiem.

Nie mówiąc nic więcej, wrócił na najwyższe piętro i tanecznym krokiem dołączył do bujającego się tłumu.

• • •

Carmen nie czuła swojego serca, jakby się rozpląnęło, choć wiedziała, że bez niego nie byłaby w stanie dalej funkcjonować. Nie słyszała również swoich myśli. Była omamiona strachem, który niespodziewanie wślizgnął się w każdy najmniejszy zakamarek umysłu. Zaciśkała dłonie na kierownicy tak mocno, że pobielaly jej knykcie. Cały czas patrzyła przed siebie, ale miała wrażenie, że za moment przestanie cokolwiek widzieć, dlatego znacznie zwolniła, irytując tym innych kierowców. Oślepiły ją światła nadjeżdżających z naprzeciwka aut, więc zmrużyła oczy.

Uciekła. Jak największy tchórz. Zostawiła Camerona tak, jak on wcześniej porzucił ją. Bez wyjaśnień. Chociaż może nie powinna się obwiniać – w końcu to on zaciągnął ją do tego przekłętą klubu i zawiązał się bez słowa. Czy więc na pewno mogła nazwać swoje zachowanie ucieczką? Malachai pozwolił jej odejść. Po prostu. Nie zareagował, gdy wymykała się z windy. Nie protestował, choć mógł prędko udaremnić ucieczkę.

Ale dlaczego? Musiał mieć powód.

Odruchowo spojrzała w lusterko, gdy zmieniała pas, i właśnie wtedy dojrzała w odbiciu charakterystyczny żółto-czarny samochód. Siedział jej na ogonie. Podążał za nią, nawet kiedy skręcała w wąskie, najmniej uczęszczane uliczki miasta. Lęk na nowo podszedł dziewczynie do gardła, nabierając niemal fizycznych cech. Smakował gorzko i cierpko. Żołądek Carmen zawiązał się w supełek, bo umysł zaczął podsuwać najgorsze wizje. Odczuła mdłości.

Krażyła w kółko, byle tylko nie wracać do domu. Wreszcie zebrała się w sobie i postanowiła

zakończyć zabawę w kotka i myszkę. Wjechała na parking pobliskiego marketu, zajmując miejsce na tyłach. Auto zaparkowało tuż za nią. To tylko utwierdziło Carmen w przekonaniu, że miała rację – ktoś ją śledził.

Zgasiła światła i powolnie wyciągnęła kluczyki ze stacyjki. Korzystając z otaczającej ją ciemności, sięgnęła do schowka, bo przypomniała sobie, że przecież wozila w aucie zarejestrowaną na ojca broń, którą otrzymała na osiemnaste urodziny. Schowała ją nieco pod materiałem swetra, żeby nie rzuciła się w oczy.

Wysiadła z wrodzoną gracją – najpierw wysuwając z auta lewą nogę, potem prawą. Żwawym krokiem podeszła do drugiego kierowcy. Szyba opadła niemal od razu. Carmen uniosła drżącą z nerwów dłoń, ściskając między palcami pistolet. Starła się wyglądać twardo i niewzruszenie, by nie dać po sobie poznać, że tak naprawdę nie ma zbyt wiele wiedzy w tym temacie.

Ujrzała krótko obciętego chłopaka ze złotymi okularami na nosie. Uśmiechał się przyjaźnie, choć jego mina momentalnie zrzędała, gdy dotarło do niego, co się dzieje. I dobrze. Carmen i tak nie wierzyła w szczerą intencję Cartera.

– Jezus Maria, kobieto! – sapnął nerwowo, po czym oparł pewniej plecy o fotel i uniosł dłonie, by pokazać, że nie ma złych zamiarów. – Nie strzelaj. Niosę pokój!

Carmen miała ochotę roześmiać się na dźwięk jego spanikowanego głosu. Brzmiał jednak na tyle szczerze, że zdecydowała się opuścić broń. Chłopak westchnął z ulgą i teatralnie przetarł dłonią czoło, jakby ścierał z niej niewidzialny pot.

– Możecie w końcu zostawić mnie w spokoju? – warknęła wciąż niesiona pewnością siebie. W odpowiedzi usłyszała cichy chichot, który nieudolnie próbował stłumić. Zaciśnęła usta, nie mogąc pojąć, co tak bardzo go rozbawiło.

– W tym sęk – powiedział z opanowaniem. – Holden chce z tobą porozmawiać.

Zaciekawiał ją tym. Zaczęła się zastanawiać, co jeszcze mógł przekazać jej Holden Yordan. Kolejne „Spadaj stąd, póki możesz”? A może tym razem najprostsze „Uciekaj”? Zamierzał podarować jej instrukcję, jak poradzić sobie z diabłem w skórze młodego faceta? Uniosła brwi wyczekująco, ale Carter najwyraźniej nie miał w planach wyjaśnić, co dalej.

– I myślisz, że tak po prostu z tobą pojedzie? – spytała, biorąc się pod boki. Naprawdę zastanawiała ją, czy uważał, że jest aż tak głupia i naiwna.

Carter przechylił lekko głowę na lewą stronę. Obserwował jej twarz, którą skrywała pod grubą maską obojętności. I myślał o tym, że nie zasługiwała na gniew Kaia. Właściwie nikomu tego nie życzył. To było jak przegrana na starcie. Malachai zaliczał się do najbardziej nieprzewidywalnych osób, jakie znał, a jego umysł był tak mrocznym miejscem, że Carter często zastanawiał się, jakim cudem ten chłopak ze sobą wytrzymuje. Kai nigdy nie łamał składanych obietnic, a co za tym idzie, Carmen Clark miała najwyczejniej przesrane.

Ponieważ Malachai założył, że stanie się jedną z jego ofiar.

Uśmiechnął się kolejny raz w łagodny sposób, licząc, że to pomoże ją udobruchać.

– Jak chcesz – westchnął, kiedy nie dostrzegł na napiętej twarzy dziewczyny zmiany. Żaden mięsień nawet nie drgnął. Przez moment wyglądała jak skała. Odpalił na nowo samochód. – Jeśli ktoś ma ci pomóc, to my. Znamy go najlepiej. Ale kumam. Powodzenia w walce o życie.

Carter zasalutował teatralnie. Wciąż się szczerzył, kiedy powoli zamykał okno. Wrzucił wsteczny bieg. A Carmen w tym czasie czuła się nadzwyczaj rozdarta. Wahala się i miała do tego prawo. Część jej podpowiadała, że powinna wiać, a druga, ta bardziej lekkomyślna, że może warto mu zaufać. Pochyliła się, by zobaczyć Cartera. Patrzyła na jego autentyczny uśmiech oraz zielone oczy, które przypominały wiosnę.

Widziała w nim coś prawdziwego.

Obiegła auto po półkole, choć szpilki strasznie to utrudniały. Szarpnęła za klamkę w ostatniej chwili i wsiadła do samochodu, wypierając fakt, że to był beznadziejny pomysł.

– Ach, wiedziałem, że mam dar przekonywania! – powiedział radośnie, jakby komuś odpowiadał. Bardziej sobie niż jej.

Jechali w milczeniu w akompaniamencie klubowej muzyki, do której Carter chaotycznie kiwał głową, jakby chciał ją urwać. Carmen była na tyle zmęczona, że nawet nie zorientowała się, w którym momencie stanęli w miejscu. Nie znała nawet adresu. Wysiadła zaraz za chłopakiem i podążyła za nim aż na ostatnie piętro bloku, gdzie rozsunął potężne drzwi.

Weszła do środka z dziwnym niepokojem w brzuchu. Rozglądała się na boki z obawą, że lada chwila jej oczom ukaże się Malachai z diabelskim uśmieszkiem na ustach. Dlatego nie dostrzegła zbyt

wielu szczegółów. Jedyne terrarium oraz czarno-białe zdjęcie przedstawiające ich trójkę. Gdzieś po drodze między jej nogami czmychnął rudy kot.

Carter kiwnął głową w kierunku następnych drzwi. Zajrzała niepewnie do środka i wtedy go zobaczyła.

Był tam. Holden Yordan siedział na krawędzi łóżka z łokciami opartymi na kolanach. Pochylał się do przodu, dzięki czemu kosmyki blond włosów niemal w całości zasłaniały jego twarz. Wyglądał jak zakłęty. Tak jakby ktoś wyrzeźbił w skale rozmyślającego nad sensem życia filozofa. Miał wymiętą, trochę brudną od piachu koszulkę i ślady krwi na rękach.

– Jestem – sapnęła słabo, przez co zabrzmiała jak ktoś zupełnie obcy. Zakasłała, by szybko wrócić do naturalnej barwy głosu. – Nie wiem dlaczego, ale tu jestem.

Nieśmiało przekroczyła próg pokoju. Zacisnęła dłonie na krawędzi drewnianej komody i wygodnie się o nią oparła, choć w żadnym stopniu nie czuła się komfortowo. Wciągnęła usta do środka, ale szminka nie smakowała zbyt dobrze, nawet w tym stresie.

Holden uniósł głowę, słysząc kobiecy głos. Dłonią zaczesał włosy do tyłu, dzięki czemu Carmen zobaczyła zdarty do krwi policzek, rozcięcie na wardze i czerwone ślady pod nosem. Nie miała jednak odwagi spytać, co się stało. Domyślała się, że to Kai go tak urządził. Nie miał litości nawet dla własnego brata.

Serce Carmen stanęło niemal w gardle, kiedy Holden wstał i zupełnie niespodziewanie ruszył w jej kierunku. Zatrzymał się przy niej – tak blisko, że do jej nozdrzy wdarł się intensywny zapach męskich perfum. Był na tyle wysoki, że bez zadzierania głowy widziała zaledwie pokrytą zarostem, mocno zarysowaną szczękę i podbródek. Wstrzymała powietrze, bo bez ostrzeżenia nachylił się nad nią, a ona zwyczajnie tej bliskości się przestraszyła. Stała sztywno, kiedy wyciągał z szuflady świeżą koszulkę. Odszedł na parę kroków, zwracając jej przestrzeń.

Złapał za kołnierzyk bluzki, którą miał na sobie, i błyskawicznie się jej pozbył. Równie szybko wcisnął się w śnieżnobiały T-shirt. Carmen starała się patrzeć wszędzie, byle nie na niego, a i tak kątem oka dostrzegła wytatuowaną na jego mostku datę.

Dziesiąty czerwca dwa tysiące trzynastego roku.

– Powiem ci, dlaczego tu jesteś, Carmen – odezwał się w końcu. Podziękowała za to w duchu, bo ta krępująca cisza powoli doprowadzała ją do szału. Dopiero wtedy zatrzymała na nim spłoszony wzrok, dając mu do zrozumienia, że słucha. – Chcesz po prostu przetrwać, więc dam ci ważną radę.

Kiwnęła głową, by kontynuował.

– To małe miasto. Nie ma w nim miejsca dla ciebie i Kaia. Dlatego powinnaś wiać. Pomogę ci, jeśli pozwolisz.

Miała wrażenie, że się przesłyszała. Spojrzała na niego znacznie pewniej niż wcześniej. Stał z dłońmi schowanymi w kieszeniach i ze spuszczoną głową. Jego delikatnie posklejane włosy znów opadły na twarz – w świetle lamp wydawały się ciemniejsze. Nie spuszczał z niej wzroku, a jego oczy przypominały ciemne, bezgwiazdne niebo.

– Nie rozumiem, dlaczego chcesz mi pomóc – powiedziała, unikając zderzenia z jego słowami. Woląca to przemilczeć, niż wyjść na opryskliwą. – Nie znamy się.

*Ponieważ jesteś jak ona*, pomyślał, ale nie miał odwagi tego powiedzieć.

Holden nie ukrywał rozbawienia, a Carmen próbowała zrozumieć, dlaczego tak głupkowato się uśmiecha. W końcu się zaśmiał. Dźwięk ten odbił się od ścian i uderzył prosto w nią. Rozchyliła usta, ale nagle zabrakło jej słów, jakby jej głowa nie należała już do niej.

– Znam za to Kaia. Od zawsze – oznajmił, akcentując ostatnie słowo, jakby miało ukryte znaczenie. – Dla niego to czysta zabawa. Będzie cię gonił, dopóki cię nie znajdzie, a uwierz mi... na pewno to zrobi.

– Nie mogę uciec – wycedziła, choć przez ułamek sekundy pomyślała, że to kusząca opcja. Zostawić problemy i rozpocząć nowe życie. Czy tak właśnie uznał Cameron, zanim zniknął? Nie była jednak nim. Nie potrafiła wszystkiego porzucić, zapominając również o rodzinie. Holden momentalnie zmrużył oczy i zacisnął usta w wąską linię. Wyglądał tak, jakby dokładnie analizował każde słowo. Nie odezwał się, co Carmen uznała jako przyzwolenie do dalszej przemowy, więc dodała:

– Dzięki za troskę. Naprawdę. Ale potrafię o siebie zadbać.

Holden kolejny raz się zaśmiał, zbijając ją z tropu.

– Skoro tak mówisz – westchnął, po czym wywrócił oczami.

W tej samej chwili wyświetlacz telefonu, który spoczywał na łóżku, podświetlił się. Holden zerknął na ekran, przeklął cicho pod nosem, a następnie schował telefon w tylną kieszeń dżinsów. Zrobił parę

kroków w przód, aż zatrzymał się przy Carmen. Ulokował dłoń na dole jej pleców, przez co przeszły ją ciarki. Pochylił się lekko, a kosmyki jego włosów musnęły skórę na karku dziewczyny.

– Pamiętaj, że cię ostrzegałem – szepnął tuż nad jej uchem.

Carmen przełknęła z trudem ślinę. Miała wrażenie, że jej ciało nagle skamieniało. Nie była w stanie się ruszyć, jakby rzucił na nią zaklęcie. Zrobiło jej się nadzwyczaj gorąco. Mimo wahań zadarła głowę i spojrzała prosto na jego twarz, ponieważ nie chciała, by pomyślał, że ją onieśmiela. Na jego ustach błąkał się uśmiech – nie tak przerażający jak Kaia, ale też nie tak szczery jak Cartera.

– Odwiozę cię – oznajmił, a już sekundę później ją wyminął, wchodząc do drugiego pokoju połączonego z kuchnią. Jego władczy ton sprawił, że od razu za nim ruszyła.

Carter poderwał się z krzesła, słysząc dźwięk otwieranych drzwi. Spojrzał na dwójkę, a potem gwałtownie za siebie, ponieważ ktoś zaczął dobijać się do środka.

## 7.

W pomieszczeniu nieoczekiwanie rozległo się głośne pukanie.

Carmen momentalnie wzdygnęła się na ten intensywny dźwięk, a w efekcie tego nieświadomie postawiła krok w przód. Wpadła z impetem na Holdena, który nagle zamarł w bezruchu, jakby ktoś wcisnął na pilocie przycisk „pauza”. Jej twarz wylądowała na miękkiej, białej koszulce blondyna, a materiał przyjemnie połaskotał ją w skórę.

Holden wymienił z Carterem porozumiewawcze spojrzenia, bo doskonale zdawali sobie sprawę z tego, kto stoi po drugiej stronie drzwi. Również Carmen była tego niemal boleśnie świadoma, dlatego próbowała odsunąć od siebie te mroczne myśli. Nieudolnie. Mogła starać się z całych sił, a oczami wyobraźni i tak widziała go w progu. Jej serce zaczęło bić znacznie mocniej.

– CAAARTER! – Męski krzyk odbił się od ścian. – Wpuść mnie. To ja!

Cała trójka przestała mieć jakiegokolwiek wątpliwości.

To był Kai. We własnej osobie.

Carmen go nie widziała, ale samo wspomnienie jego gniewnych oczu i aroganckiego uśmiechu sprawiło, że nogi się pod nią ugięły. Automatycznie zrobiła krok w tył, jakby już zmierzał prosto na nią. Zaciśnęła palce na futrynie drzwi, by nie paść z wrażenia na podłogę. Pragnęła tylko jednego: zniknąć. Wyparować. Przestać istnieć. Byle tylko nie musieć ponownie stawiać mu czoła. Swoim dziwnym zachowaniem zasłużyła sobie na spojrzenie Holdena.

Przyłożył palec do ust, chcąc przekazać jej bez słów, żeby milczała.

Nie musiał nawet o to prosić. Nie pisnęłaby słówka, bo za bardzo sparaliżowała ją kolejna fala strachu, która już chyba na dobre zakotwiczyła się w mózgu.

– Zrób coś – wyszeptał niemal bezdźwięcznie Holden w kierunku Cartera.

– A co ja niby mam, kurwa, zrobić? – oburzył się krótkowłosey, wyrzucając bezradnie ręce ku górze. Podskoczył delikatnie w miejscu, gdy wokół niczym wstrząs rozniosło się kolejne, potężne uderzenie pięścią w metal. – Udawać, że nie ma mnie w domu, chociaż wszędzie pałą się światła? – dodał, po czym na pokaz postukał się palcem po czole.

– Zatrzymaj go.

Carter prychnął. Bardziej z bezradności, choć brzmiało to dość zabawnie.

– Jak? – spytał przez zaciśnięte zęby. Jak zawsze spadała na niego brudna robota i wcale mu się to nie podobało. Chciał tylko chwili spokoju. Bez dwójki braci toczących jawną wojnę o nieznaną dziewczynę. Przewrócił ostentacyjnie oczami.

– Nie wiem, Carter – westchnął załamany Hol. – Ale jeśli ktoś może go uspokoić, to tylko ty.

Carter wypuścił z ust powietrze pełne frustracji. Wreszcie pokiwał posłusznie głową na znak zgody, bo wiedział, że Holden ma rację. Musiał działać szybko. Nie miał zbyt wiele czasu na wymyślenie wspaniałego planu, więc zwinnym ruchem zrzucił z siebie koszulkę, ujawniając wytatuowaną pierś. Przejechał dłonią po kosmykach krótkich włosów, a następnie ściągnął okulary i odłożył je na stół. Obraz przed nim stał się mniej wyraźny. Właściwie widział głównie dwie rozmazane plamy, kiedy Holden ciągnął za sobą Carmen do drugiego pokoju.

Wydał z siebie cichy okrzyk bojowy, żeby dodać sobie otuchy, kiedy podchodził do drzwi. Próbuując wyglądać na całkowicie zaspanego, rozsunął ślamazarnie metalowe drzwi, aż jego oczom ukazał się zniecierpliwiony Malachai, który tupał chaotycznie nogą w podłogę.

– Wow, Kai – mruknął przeciągle, przejechał dłonią po twarzy i ziewnął od niechcienia. – Co tu robisz? Właśnie kładłem się spać – dorzucił, drapiąc się po tyle głowy, dokładnie tam, gdzie miał wytatuowany niewielki napis.

– Sam? – spytał Malachai z wyrzutem, przez co Carter poczuł się tak, jakby popełnił jakąś zbrodnię. Szatyn rozglądnął się podejrzliwie po pokoju, wchodząc do środka jak do siebie.

– Nie – odpowiedział od razu Carter, czym zwrócił na siebie uwagę przyjaciela. Kai zatrzymał się w pół kroku i obdarował go uważnym spojrzeniem, unosząc brwi. – Z tobą. Liczyłem, że przyjdiesz.

Malachai wzruszył tylko ramionami, uśmiechając się półgębkiem na te słowa. Doszedł do

łazienki, otworzył drzwi i zajrzał do środka, jednak ku jego rozczarowaniu nikogo tam nie znalazł. Przez następne kilka sekund gapił się na przejście prowadzące do kolejnego pokoju, a właściwie do sypialni Cartera. Przez szczelinę widział, że paliło się w nim światło i strasznie go to zaintrygowało. Nim Carter zdążył zareagować, Kai złapał za klamkę. Bez ostrzeżenia wparował do środka.

Ale tam też był pusto. Zmarszczył brwi.

– Byli tu? – rzucił luźno, odwracając się w stronę kolegi. Carter spojrział na niego pytająco, jakby nie zrozumiał, o co został zapytany. – Holden i jego nowa dziewczyna? Ta ruda? Pomagacie jej, choć może nas w bardzo prosty sposób pograżyć.

– Co ty pieprzysz? – uniósł się Carter, krzyżując ramiona na torsie, dzięki czemu wyglądał znacznie potężniej. – Wpadasz w paranoję, skarbeczku. Wdech i, kurwa, wydech.

– Jak widzisz, aktualnie nikogo nie pieprzę – odpowiedział znudzonym tonem. – Jestem tutaj. Wybrałem ciebie.

Podszedł do lodówki i wyciągnął z niej puszkę red bulla. Otworzył ją i niemal jednym łykiem wlał w siebie całą zawartość, jakby był nadzwyczaj spragniony. Zwilżył usta. Zgniół opakowanie w dłoni, a potem rzucił nim przed siebie, trafiając prosto do kosza niczym najlepszy sportowiec. Usiadł przy okrągłym stole, bujając się na drewnianych nóżkach krzesła.

– Sybil przeniosła imprezę do siebie – oznajmił. – Kazałem Holdenowi podrzucić jej towar, ale po piętnastu nieodebranych połączeniach od niej wnioskuje, że jeszcze tam nie dotarł – kontynuował ze spokojem, na co Carter kiwał głową na znak, że przyswaja te informacje.

Czuł się źle z tym, że musi go okłamywać. Ale robił to również dla niego, ponieważ nie chciał, by Malachai doprowadził się do jeszcze większej ruiny. I tak zbierał się już z dna i szło mu to jak krew z nosa. Z tego powodu Carter często zastanawiał się nad tym, czy Kai w ogóle pragnie powstać. Nie zamierzał zdradzić mu prawdy, bo przewidywał, że to rozpętałoby piekło.

– Zastanówmy się, gdzie w takim razie jest nasz Holden? – myślał na głos Kai. Zrobił zamyśloną minę, wysuwając do przodu dolną wargę. – Jakies pomysły? Zabrał dziewczynę na pierwszą randkę? Szkoda, że przy okazji to będzie też ostatnia.

Carter zachłysnął się śliną, sprawiając tym samym, że Kai zmrużył podejrzliwie oczy.

– Trafiłem? – wypalił podekscytowany. – To trochę smutne, że muszę pozbyć się pierwszej dziewczyny po Selene, którą polubił.

– To już obsesja, wiesz? – westchnął Carter. W końcu odsunął krzesło i usiadł przy koledze, bo przeczuwał, że zbyt prędko nie uda mu się go wyprosić. Oparł łokieć na blacie, a brodę na dłoni, mając idealny widok na Kaia.

Ekspresowo pożałował swoich słów, bowiem kącik ust Kaia drgnął w niepokojący sposób, a następnie uniósł się w rozmarzonym uśmiechu. Niebieskie oczy mężczyzny załśniły z ekscytacji, ponieważ ta obsesja dopiero się rozpoczynała. Ledwo się rozkręcał.

– Dlaczego nie chcesz jechać do Sybil, tylko wyręczasz się Holdenem?

– Sybil może poczekać – stwierdził beznamiętnym głosem. – Obecnie interesuje mnie inna dziewczyna.

I pechowo interesowała również jego brata.

• • •

W jego towarzystwie czuła się nieswojo. I gdyby musiała to dokładniej opisać, powiedziała, że jest to jakiegoś rodzaju uczucie niebytu, nierzeczywistości. Uczucie nicości. Zupełnie tak, jakby obserwowała wszystko sprzed ekranu telewizora, ale nie brała w tym udziału. A przecież naprawdę tam była. Całą sobą. Siedziała obok niego, widziała to samo oraz oddychała tym samym skażonym powietrzem.

– Każda inna osoba na twoim miejscu próbowałaby uciec. – Jego spokojny, niski głos przebił ciszę i gdyby nie fakt, że poruszał niewygodny temat, pewnie byłaby mu za to wdzięczna, ponieważ w tym wspólnym milczeniu czuła się niekomfortowo.

Poruszyła się w fotelu. Nagle znowu poczuła się jak w swoim ciele, jakby z powrotem wstąpił w nie duch. Odwróciła głowę, decydując się na niego spojrzeć. On natomiast nawet na nią nie zerknął. Cały czas z pełnym skupieniem wpatrywał się w drogę. Przyglądając się tej nietypowej twarzy, która niewątpliwie zapadała w pamięć, zauważyła, że mięsień w jego szczęce drgał, a włosy ponownie opadły na czoło.

– Ale nie ty – dodał znacznie ciszej, jakby nie był do końca pewny, czy chce, aby to usłyszała. W odpowiedzi wzruszyła ramionami.

Carmen Clark miała dość uciekania, ponieważ robiła to przez całe życie. Uciekała przed obowiązkami. Przed problemami. I przede wszystkim przed... sobą. Ale ta pogoń nie miała sensu. Bez względu



na to, jak daleko się oddalała, wciąż tkwił w niej ten mroczny załazek, którego nie rozumiała, a którego bardzo pragnęła się pozbyć. Na marne.

Skinął głową. Lewy kącik jego wąskich ust dygnał w gotowości, ale uśmiech zniknął z twarzy chłopaka tak szybko, jak się pojawił. I znów spłynęła na nich cisza przerywana jedynie jazgotem pracującego silnika, gdy przyspieszał. Wreszcie, kiedy Carmen odpuściła sobie wyczekiwanie na kontakt wzrokowy, Holden przekręcił głowę i na nią spojrzał. Nagle nie potrafiła znaleźć w sobie odwagi, by to odwzajemnić, choć czuła, że intensywnie się jej przygląda.

– Dlaczego ty nie uciekłeś, skoro Malachai jest taki zły? – spytała, pragnąc jak najprędzej pozbyć się tej niezręczności, która wisiała nad nimi niczym ostrza.

Holden zaśmiał się swobodnie, jakby powiedziała coś zabawnego. Zmarszczyła brwi, nie rozumiejąc, co go tak bawi.

– Nie mogę go zostawić – mruknął z cieniem uśmiechu na ustach. – To mój brat.

Z wrażenia, jakie wywarła na niej ta informacja, zachłysnęła się śliną. To był dla niej ogromny szok. Nie mogła pojąć, jakim cudem tak różniące się od siebie osoby dzieliły tę samą krew. Całkowite przeciwieństwa. Jak dwa krańce świata. Jak niebo i piekło. Jak jasność i ciemność. Jak anioł i diabeł.

– Brat?! – powtórzyła po nim zszokowana, podnosząc znacznie głos. Sama nie wiedziała, dlaczego ten fakt tak bardzo ją zdziwił. Przecież ona i James też bardzo się różnili i momentami wcale nie zachowywali się jak rodzeństwo. – I nie możesz go powstrzymać?

W tym właśnie tkwił największy problem. Ponieważ Malachai Yordan był typem człowieka, nad którym nie dało się tak łatwo zapanować. Był nieprzejednany i niepokonany.

Powaga tej rozmowy nie powstrzymała Holdena przed zaśmianiem się pod nosem. Pokręcił głową rozbawiony, jakby opowiedziała mu żart. Nie potrafiła go rozszyfrować. Był tajemnicą, której nie da się racjonalnie wytłumaczyć, zagadką bez rozwiązania. Nie odpowiedział, co dodatkowo wzbudziło w niej ciekawość. Pragnęła poznać więcej szczegółów ich braterskiej więzi, bo wydawała się dość silna.

Telefon Holdena kolejny raz zaczął wibrować. Ekran podświetlił się, ukazując nową wiadomość. Już chyba dziewiątą. Niechętnie spojrzał na wyświetlacz, odczytując jedną z nich, i gwałtownie skręcił w główną ulicę.

Carmen poczuła, jak zalewa ją kolejna fala stresu. Była zdezorientowana. Obawiała się, że może wcale nie usiłował jej pomóc, że tylko grał, by uspić czujność, i że właśnie wiozł ją prosto do Malachaia. Zaczęła panikować. Umysł Carmen był wielkim chaosem, ale nie chciała dać tego po sobie poznać. Gdy zatrzymali się pod wysokim, szklanym budynkiem, zacisnęła mocno powieki, jakby to mogło sprawić, że stanie się niewidzialna.

– Muszę coś załatwić – odezwał się łagodnie. – Daj mi pięć minut. I nie wysiadaj z auta – dodał, akcentując ostatnie słowa, co odebrała jako polecenie. Z tylnego siedzenia zgarnął czapkę z daszkiem, zaczesał włosy do tyłu i wcisnął ją na głowę. Spojrzenie jego niebieskich oczu schowało się w cieniu, a na widoku pozostała jedynie mocno zarysowana szczęka.

– Nie możesz mnie tu zostawić – zaprotestowała piskliwym głosem, gdy otworzył drzwi. Do środka przedostało się chłodne powietrze, które wywołało gęsią skórę na jej ciele. Holden stał już na zewnątrz, kiedy wbiła w niego rozeźlony wzrok. Oparł rękę na masce i pochylił się, zaglądając do środka.

– A jednak to zrobię – odpowiedział natychmiast, przy czym uśmiechnął się zalotnie.

– Wyglądasz w tej czapce jak ciota! – prychnęła w odwecie. Rozbawiony Holden potrząsnął głową.

– A ty nadal ładnie. Nawet jak się tak złościysz.

Patrzyła na niego z szeroko otwartymi oczami, a on tylko ponownie uniół kąciki ust i mrugnął do niej jednym okiem. Wcisnęła się w fotel i przymknęła powieki, powtarzając sobie, że ucieczka naprawdę nie była dobrym pomysłem.

A może jednak była?

• • •

Holden wbiegł po schodach na pierwsze piętro. Już na dole słyszał głośnie, dudniącą w uszach muzykę, która najpewniej bez problemu mogłaby zatrzęść całym budynkiem. Po korytarzu kręcili się nieznanemu mu ludzi – głównie mężczyźni w koszulach i obcisłych spodniach oraz kobiety w kusych sukienkach. Odruchowo obejrzał się w oknie, przez co zrozumiał, że w swoich startych, wyblakłych dżinsach, białej koszulce i sportowej czapce na głowie całkowicie tam nie pasował.

Przy drzwiach zauważył postawnego mężczyznę w czarnym garniturze, który bacznie wszystko obserwował. Holden spróbował się obok niego prześlizgnąć, jednak ten od razu mu to uniemożliwił, kładąc wielką dłoń na jego ramieniu. Holden zrobił krok w tył i spojrzał na ochroniarza ze zmarszczonymi

brwiami, bo ten lustrował go nieprzychylnym wzrokiem.

Holden poczuł się przez to jak ktoś gorszy, co było u niego nowością.

– Wybacz, koleś – mruknął zduszonym głosem mężczyzna. – Nigdzie nie wejdiesz.

Koleś, pomyślał Holden i prychnął pod nosem z rozbawieniem, choć tego nie planował. Jak to zabawnie brzmiało w ustach tak wielkiego mężczyzny. Przewrócił oczami, niezadowolony z takiego rozwoju sytuacji. Rozejrzał się, a gdy na horyzoncie zobaczył znajomą twarz, wyszczerzył się cwaniacko.

– Chyba jednak wejdę – odpowiedział, machając do koleżanki.

W ich kierunku zmierzała dziewczyna. Z każdym zgrabnym krokiem kołysała biodrami, a czarne loki podskakiwały tak samo jak piersi. Poruszała się tak, jakby była właścicielką całej planety. Pomalowane wyrazistą czerwoną pomadką usta ułożyły się w zalotnym uśmiechu, gdy uwiesiła się na ramieniu mężczyzny. Ta poza tylko podkreślała jej długie nogi.

– To mój gość – szepnęła uwodzicielsko. – Wpuść go.

W ten właśnie sposób bez kolejnych spięć Holden przekroczył próg mieszkania. W dużym, przestronnym apartamencie panował półmrok, dlatego nie mógł przyjrzeć się uczestnikom imprezy. Widział tylko, że jak zwykle było ich sporo. Ruszył za dziewczyną, gdy bez słowa złapała go za nadgarstek, prowadząc do pokoju – jak się później okazało, sypialni. Zatrzasnęła za nimi drzwi, a kiedy się odwracała, na jej młodziutką twarz opadły kosmyki ciemnych włosów.

– Holden – zaczęła zmysłowym głosem. – Naprawdę miło cię znów widzieć, choć spodziewałam się twojego brata.

Sybil wyglądała na zawiedzioną. I wcale go to nie zaskoczyło. Nie był Kaiem, a to przecież jego pragnęła nieprzerwanie i od dawna. Miała zaledwie dwadzieścia jeden lat, a już głęboko tkwiła w tym toksycznym, nielegalnym świecie, który każdego dnia pochłaniał ją coraz bardziej, odbierając ostatnie kawałki duszy. Nie pamiętał dokładnie momentu, gdy się poznali. Po prostu któregoś przeklętego dnia zakręciła się wokół Kaia. I została. Chyba na dobre.

Stała przed nim. Zdecydowanie za blisko. Ulokowała dłonie na jego klatce piersiowej i na powitanie musnęła go ustami w policzek, pozostawiając na nim czerwony ślad po szmince.

– Wiesz, gdzie podziewa się Kai? – spytała, opadając na miękką pościel. Rozłożyła szeroko ręce, opierając dłonie na krawędziach materaca, po czym zarzuciła nogę na nogę. Dzięki temu Holden dostrzegł krwiste szpilki na jej nogach. – Nudzę się.

Nudziła się. W pieprzonym pałacu pełnym gości.

Wzruszył ramionami, nie mając ochoty na głupie pogawędki. Sybil prędko wyhaczyła moment, gdy mięsień na poważnej twarzy blondyna zdrzął w roztargnieniu, więc rzuciła luźno:

– Bez urazy, Hol. Ty też jesteś ładniutki.

Od ścian pomieszczenia odbił się perlisty śmiech Sybil. Słyszając ten dźwięk, Holden spojrzał na nią spod niesforenego kosmyka włosów. Patrzył na ładną, okrągłą buzię i brązowe niczym mocna kawa oczy, myśląc tylko o tym, że pogubiła się w życiu, a on nie zdążył jej pomóc.

Chowając głęboko w sobie budzący się w nim syndrom bohatera, bez słowa wyciągnął z kieszeni przezroczysty woreczek z kokainą i podał go dziewczynie. Odebrała go szybko, niby przypadkiem muskając skórę jego dłoni. Uśmiechnęła się ze szczerą wdzięcznością. Czuł w nozdrzach słodki zapach jej ciała i włosów. Próbował przebrnąć przez sztorm swoich myśli, ale w tamtej chwili było to niemożliwe. Zupełnie tak, jakby utknął w łódce na rozszalałym morzu.

Nim się obejrzał, Sybil na nowo stała przed nim.

– Interesy z tobą to przyjemność – mruknęła niczym kotka, puszczać mu oczko. Odliczoną sumę wsunęła w tylną kieszeń spodni Holdena i przejechała czubkiem języka po czerwonych ustach. Uśmiechnęła się krzywo, bo tylko na tyle było go stać. Wyminął ją i zostawił samą, gdy właśnie stwierdzała, że zabawa właśnie się zaczyna, choć w głębi czuł, że to mogło skończyć się naprawdę źle. Wręcz tragicznie.

Na szczęście w głównym pomieszczeniu nie było tylu ludzi, by musiał się między nimi przeciskać do wyjścia. Brnął do przodu ze spuszczoną głową, aż ktoś na niego wpadł. Zadarł głowę, dzięki czemu ujrzał przed sobą burzę rudych włosów. Od razu zawrzało w nim ze złości. Bez zastanowienia złapał ją za ramię i popchnął do przodu.

– Mówiłem, żebyś nie wysiadała z samochodu – wycedził wściekle.

– Minęło więcej niż pięć minut – zauważyła słusznie.

Miała rację. Stracił rachubę czasu. Zacisnął usta, by nie powiedzieć czegoś, czego później mógłby żałować. Kroczył za nią niczym wierny pies. Nagle zatrzymał się gwałtownie, ponieważ usłyszał, jak ktoś w tłumie uparcie wypowiada jego imię. Głos ten sprawił, że cały zeszytniał. Wszystkie myśli w głowie Holdena się od niego oddaliły. Naprawdę nie chciał się odwracać i zrobił to dopiero, gdy Carmen przysta-

nęła tuż obok.

Otaczało ich trzech mężczyzn – wszyscy potężni i umięśnieni.

– Holden – powtórzył jeden z nich, wypowiadając to imię jak stary przyjaciel. Stał pośrodku towarzyszy z dumnie wypiętą klatką piersiową i uniesionym podbródkiem. Przy nich wyglądał na nieco starszego. Miał jasne, krótkie włosy ścięte niemal przy skórze, zmarszczki wokół ust i okrągły kolczyk w chrząstce ucha. – Już uciekasz?

– Jak widać – odpowiedział obojętnie Holden, patrząc na nich spod byka, jakby w ogóle go nie interesowali. Musiał udawać, bo w rzeczywistości jeden z nich rozpałił w nim ogień; ponieważ był przypomnieniem o najgorszych chwilach w życiu Holdena. Kolejny raz delikatnie popchnął Carmen, chcąc wreszcie wyprowadzić ją z budynku. Sam też pragnął jak najszybciej się stamtąd ulotnić, ponieważ narastała w nim złość.

– Daj spokój. Usiądź z nami. Powspominamy stare czasy.

– Mam lepsze rzeczy do roboty, Ryan – odburknął, przeciskając się przez tłum.

Pomimo głośnej muzyki słyszał za plecami ich kroki. Starał się to ignorować, choć wszystko w jego głowie krzyczało, że to się nie uda. Nie mówił nic więcej, ale Carmen poczuła, jak zacisnęła pięść na dole jej pleców. Przeczynała, że coś jest na rzeczy, coś poważnego, bo nawet przy Kaiu Holden nie wyglądał na tak poważnego i spiętego zarazem.

– Proszę, wracaj do auta – szepnął błagalnie, kiedy w końcu przystanął i odwrócił ją do siebie, tym samym przysłaniając jej widok.

Carmen spojrzała najpierw na niego, a później na trójkę chłopaków za jego plecami. W jej głowie zapaliło się czerwone światło, ponieważ ich nieszczerze uśmiechy jasno sygnalizowały, że z ich strony był to zaledwie początek prowokacji. Poczuła dziwną potrzebę odwzajemnienia się Holdenowi za to, co dla niej robił. W tej chwili. Wspięła się na czubki szpilek, by zobaczyć coś więcej niż same końcówki ich głów. Dzięki temu dostrzegła, że Ryan patrzy prosto na nią.

– A twoja panna? – odezwał się, podnosząc głos, żeby przebić się przez muzykę.

Holden zaśmiał się, kręcąc głową, jednak nie miało to nic wspólnego z radością, bardziej z bezradnością. Mięśnie na jego szyi napięły się do takiego stopnia, że spod skóry wyrosły grube, pulsujące żyły. Zanim udało mu się odwrócić, Carmen ulokowała dłoń na jego spiętym ramieniu w troskliwym geście i zrobiła krok do przodu. Instynktownie złapał dziewczynę za nadgarstek, jednocześnie starając się zapanować nad sztormem, który się w nim rozszalał.

– Widzę, że masz swój typ – kontynuował Ryan aroganckim tonem. – Wygląda jak... Selene.

Słyszając to imię, Carmen zamarła. Świat nagle zatrzymał się w miejscu.

– Życie ci niemiłe, Ryan? – warknął Holden i zacisnął dłonie w pięści, wciskając paznokcie w skórę. Musiał się uspokoić, a widok triumfu na twarzy Ryana tylko go przybijał. Ku jego zdziwieniu po paru chwilach blondyn uniósł ręce, jakby składał broń.

– Masz rację, Hol – stwierdził, przybierając łagodniejszy ton. – Co u Kaia? Nadal obwinia się o śmierć rodziców?

To było dla Holdena zbyt wiele. Poczuł, jak zalewa go fala gniewu, która wyklucza racjonalne myślenie. Jego żyły niemal wrzały, a krew w nich przelewała się tak szybko, jakby za moment miała wypłynąć na wierzch, powodując, że wreszcie się wykrwawi i umrze. Zacisnął szczękę i zrobił krok naprzód. Starał się wyglądać na twardego, ale ledwie poskładany ponownie się rozpadł.

W głowie Carmen huczało od bodźców, a serce biło jak oszalałe, gdy obserwowała, jak Holden bierze zamach. Chwyciła go za łokieć w ostatniej chwili, nim wymierzył Ryanowi cios. Zerknął na nią całkowicie dezorientowany. Miała nadzieję, że potrafi czytać z oczu, ponieważ oczy Carmen były teraz bardziej zielone niż zwykle i przepełnione determinacją. Przechyliła głowę i zwyczajnie się uśmiechnęła. A potem zgarnęła z blatu szklanę z napojem i chlusnęła zawartością prosto w uradowaną twarz Ryana.

Z satysfakcją przyglądała się, jak jej wyraz diametralnie się zmienia.

Holden roześmiał się, zakrywając usta pięścią. Trwało to zaledwie sekundy, ponieważ parę chwil później poczerwieniał na twarzy. Patrzył na gniewną minę Ryana oraz na to, jak mocno zaciskał usta, jakby próbował nie wybuchnąć. Miał tylko krótki moment na zastanowienie – zostać tam i rozpętać prawdziwą wojnę, czy się wycofać, chociażby ze względu na niczego nieświadomą Carmen.

Podejmując najrozsądniejszą decyzję, chwycił ją mocno w pasie, przerzucił przez swoje ramię i w okamgnieniu dopchał się do wyjścia.

– Mówiłem, żebyś nie wysiadała z auta – fuknął.

– Widziałeś jego minę? – mruknęła w odpowiedzi. Postawił ją na ziemi, kiedy znaleźli się na zewnątrz. Krew w jej żyłach znów płynęła we właściwym kierunku, jednak nadal czuła rozszalałą ją

od środka adrenalinę. – Wystarczyłoby zwykłe „dziękuję”.

Holden parsknął bezradnie, odchylając głowę w tył. Kolejny raz złapał ją za nadgarstek, ciągnąc za sobą, jednak zaparła się na tyle mocno, że był zmuszony przystanąć. Odwrócił się przez ramię w samą porę, by ujrzeć, jak stała w bojowej pozycji ze skrzyżowanymi ramionami. Przyglądała mu się bacznie, przez co odniósł wrażenie, że ma wypisane na czole wszystkie swoje tajemnice – w dodatku czcionką numer siedemdziesiąt dwa.

– Wiesz, Carmen, śmierć ciągnie się za tobą jak cień! – krzyknął, niesiony emocjami.

Wzdrygnęła się, słysząc ten ton. Od czubków palców aż do głowy przebiegł po niej nieprzyjemny dreszcz. Przestraszył ją fakt, że Holden tak łatwo ją rozgryzł. A może wiedział o niej znacznie więcej, niż przypuszczała. Zabrział tak, jakby doskonale znał jej ohydny sekret.

Niektóre tajemnice jednak były bezpieczne tylko wtedy, gdy ich posiadacz był martwy.

## 8.

Wspomnienia były jak latające ostrza i czuł się niebezpiecznie, kiedy tak się do nich zbliżał. A wtedy stawały się niemal namacalne, przez co Holden był ich boleśnie świadomy. Miał w głowie tak ogromny bałagan, że nie potrafił poświęcić uwagi jednej, konkretnej myśli. Do tej pory starał się unikać rzeczy i osób, które przypominały mu o śmierci rodziców, by oszczędzić sobie cierpienia, jednak w tamtym momencie wszystko wróciło do niego ze podwójną siłą.

Z przerażeniem rosnącym równo z gulą w gardle Carmen obserwowała ekspresowo zwiększającą się prędkość na panelu. Nie miała jednak odwagi się odezwać, kiedy widziała zaciśniętą, drgającą z nerwów szczękę Holdena oraz jego zmrużone oczy pełne złości. Wyglądał tak, jakby gorączkowo nad czymś rozmyślał, a jednocześnie przypominał kogoś, kto ma w głowie pustkę, bo nieustannie pędzące myśli wyłączyły umysł.

– Kim on był? – spytała cicho, ponieważ sama nie była pewna, czy to dobry pomysł.

W głębi duszy wiedziała jednak, że jedyną odpowiedzią, jaką uzyska, będzie cisza.

Nie myliła się. Holden Yordan wolał milczeć niż wyrzucić z siebie wszystko to, co od dawna w nim gniło, sprawiając, że dzień po dniu umierał.

Obraz za szybą przelatywał przed oczami Carmen w nadludzkim tempie. Na drodze byli sami. Powoli zaczęła obawiać się tego, że stopa Holdena nawet na moment nie drgnęła na pedale gazu. Zaciskał mocno dłonie na kierownicy, a mimo to dojrzała, jak bardzo drżały. Patrzył przed siebie, ale Carmen odniosła wrażenie, że tak naprawdę nic nie widzi. Zupełnie tak, jakby był tu zaledwie ciałem, ale nie duszą oraz umysłem.

– Holden! – podniosła głos. Brzmiała ostro i głośno, z taką pewnością, jakby jej głos miał się ucieleścić i stanąć tuż obok. – Zwolnij, albo to ty nas zabijesz.

Roześmiał się w odpowiedzi, a dźwięk ten był tysiąc razy smutniejszy od łez. Nie wiedziała przecież, że wolałby zginać, niż tkwić na tym świecie pełnym fałszu, obłudy i ludzi, którzy nie potrafili mu pomóc. Że wolałby umrzeć, byle tylko jego rodzice mogli wrócić z zaświatów, ponieważ jedynie oni potrafiliby naprawić jego brata.

Ale nic w świecie nie było sprawiedliwie.

Dlatego Holden pędził pustą drogą. Nie wiadomo gdzie, byle tylko uciec od wspomnień, i tak naprawdę nie wiadomo z kim. Nagle zrozumiał, że to nie miało najmniejszego sensu. Bez względu na to, jak szybko się poruszał, nie potrafił wyslizgnąć się ze szponów przeszłości.

Ponieważ przeszłość była jego umysłem.

Przeszłość była jego ciałem.

Przeszłość była jego sercem.

Była po prostu nim.

Zahamował tak gwałtownie, że ciało Carmen poleciało do przodu, i gdyby nie fakt, że miała zapięte pasy, mogłaby wypaść przez przednią szybę. Drgnęła, kiedy Holden wyszarpnął kluczyki ze stacyjki i wysiadł w ciszy. Ruszyła za nim, a kiedy znalazła się na zewnątrz, zauważyła, jak chłopak krąży niespokojnie w kółko z odchyloną głową.

Patrzył w gwiazdy z nadzieją, że wskażą mu odpowiednią drogę, by wyzbyć się bólu; że dostrzeże tam znak, który sprawi, że przestanie mieć ochotę się unicestwić. Ale niebo było ciemne, zasnut grubymi chmurami, niemal martwe, więc nie potrafił dojrzeć nic, tylko niekończącą się, wszechogarniającą czerń, która pukała do jego serca.

– Możesz ze mną rozmawiać albo nie, ale jestem tu – powiedziała spokojnie Carmen, uśmiechnęła się przyjaźnie i postawiła krok w jego stronę. Wzdrygnął się na sam dźwięk jej głosu, jakby nagle przypomniał sobie, że też tam jest. Spuścił głowę, wlepiając w dziewczynę spojrzenie ciemnoniebieskich oczu. Było w nich coś gorszego niż łyż. I pustka. Ogromna jak ocean. Pustka, w której można utonąć.

– Naprawdę chcesz wiedzieć, kim on był? – sapnął.

Miała wrażenie, że jego głos zanikał. Ledwie brzmiało to jak słowa. A jednak zrozumiała, o co pytał, i kiwnęła głową w odpowiedzi, choć nie wiedziała, dlaczego tak bardzo pragnie poznać prawdę.

Kierowała nią zwykła ciekawość, wścibskość, czy po prostu chęć pomocy?

– On... To znaczy... Ehm... Jego ojciec zabił moich rodziców.

Holden Yordan rzucił na Carmen największą porażkę swojego życia.

Miała wrażenie, że nagle wszystko ucichło – świergot ptaków, szczenie psów, szum samochodów, a nawet całe miasto. I jej serce. Ono też zamarło. Wokół było cicho jak we śnie. Bała się odezwać, ponieważ tak naprawdę nie знаła słów, które mogłyby wyrazić to, co odczuła w tamtym momencie. Przez chwilę stała z rozchylonymi ustami i po prostu na niego patrzyła.

– Ja... – jęknęła. – Przepraszam. Nie wiem, co powiedzieć.

Obserwowała, jak powoli mięśnie jego twarzy stają się mniej napięte. I nawet się uśmiechnął, chociaż trwało to zaledwie sekundy. Kiwnął głową. Nie miał jej tego za złe. Wolał usłyszeć prawdę, zamiast wysłuchiwać głupich zapewnień, że wszystko się ułoży. Ruszył z powrotem do auta, ale nim ją wyminął, przystanął tuż obok.

– Po prostu uważaj, kogo oblewasz drinkiem – mruknął głosem pozornie pozbawionym emocji, ale jednocześnie ich pełnym. Był rozdarty. Na zmianę czuł wszystko i nic. – Nie obronię cię przed wszystkimi złymi facetami.

– A ty nie jesteś zły? – wypaliła, zagryzając policzek od środka.

Spojrzał na nią z błyskiem w oczach, które niemal mówiły: „Nie wiem, ty mi powiedz”.

• • •

Noc jak zawsze nie niosła mu ukojenia, mimo że pragnął wreszcie odpocząć. Demony przeszłości jednak nigdy nie spały, wisiały nad nim niczym fatum, trwały w nim i przeciwko niemu, otwierając na nowo ledwo zabliźnione rany. Cały czas przewracał się z boku na bok z nadzieją, że zmęczenie wreszcie wygra z pędzącymi w jego głowie myślami. Niestety za każdym razem, kiedy chociaż na moment przyrył powieki i czuł, że nadchodzi sen, otwierał oczy jeszcze szybciej, niż je zamknął. Cały czas widział to samo.

Najgorsze wspomnienie.

Swój największy koszmar, który nieprzerwanie trwał.

• • •

Dokładnie pamiętał dzień, w którym TO się stało.

Było gorąco. Tak upalnie, że większość ludzi zaszyła się w domach, czekając, aż przyjdzie wieczór i przyniesie im odrobinę ulgi. Zanosilo się na burzę.

Pamiętał, jak z uśmiechem na ustach wchodził do domu, i pamiętał, jak szybko ten uśmiech zniknął z jego twarzy. Później wszystko działo się jak w zwolnionym tempie. Pamiętał, jak bardzo chciał biec, ale nogi nawet nie ruszyły się z miejsca. Pamiętał przeraźliwie bladą i pozbawioną wyrazu twarz ojca, która na stałe wryła się gdzieś głęboko w jego umysł, nie pozwalając o sobie zapomnieć. Pamiętał szeroko otwarte oczy taty, które straciły blask, i rozchylone usta, jakby zastygły w bezruchu, gdy walczył o ostatni oddech.

Potem było tylko gorzej.

Pamiętał leżącą przy nim mamę z kałużą krwi wokół głowy. Pamiętał jej nienaturalnie wygiętą rękę i pozlepiane czarne włosy. Pamiętał białą sukienkę, która powoli stawała się coraz bardziej czerwona. Pamiętał również dźwięk serca pękającego w jego piersi, który odbijał się echem od pozbawionych życia ścian domu. Pamiętał, jak chciał głośno krzyczeć, aż do momentu, w którym stracił głos, a jego struny głosowe się zerwą, ale zamiast tego po prostu stał.

Stał i patrzył na swojego młodszego brata, który znalazł się pomiędzy nimi. Na jego nieobecny wyraz twarzy. Na niebieskie oczy pozbawione emocji, jakby nagle zapanowała w nich pustka. Na krew rozbryzniętą na młodej twarzy i białej koszulce. Na drżące dłonie poplamione czerwoną mazią. Na gwałtownie unoszącą się klatkę piersiową. Na spływające po rozgrzanych policzkach łzy, które mieszały się z krwią i wpały mu do ust.

Nie pamiętał jednak, kiedy zadzwonił po pomoc, ani kiedy dokładnie wynieśli z domu zwłoki rodziców. Nie potrafił też przypomnieć sobie, jakie były pierwsze słowa, które skierował do Malachaia. Nie pamiętał, w którym momencie wujek zabrał ich z domu.

Później nie był w stanie przestać płakać. I płakać miał już do końca życia.

• • •

Wyszedł z domu w środku nocy, nie mogąc dłużej znieść cierpienia w pojedynkę. Szedł przed siebie z rękami schowanymi w kieszeniach szarej bluzy i z kapturem szczelnie zaciągniętym na głowę. Jego nogi same wiedziały, dokąd zmierzać, choć tymi ścieżkami nie przechadzał się już od dawna. Buzujący w żyłach Holdena gniew zmieszany z żalem doprowadził go na cmentarz.

W miejsce, gdzie umierała nadzieja i kończyło się ludzkie życie.

W powietrzu wisały niepokój, przerażająca cisza i wszechobecny smutek. Zapalone znicze rozświetlały skąpane w mroku alejki. Holden czuł zapach palonego wosku, a także dreszcze na całym ciele, jakby dostał wysokiej gorączki. Bał się tego jak niczego innego na świecie. Bardziej niż śmierci i sennych koszmarów, które wciąż go nawiedzały. Ale po prostu musiał to zrobić, by w końcu spokojnie ruszyć naprzód i pogodzić się z bolesną stratą.

Z każdym kolejnym krokiem przestawał czuć swoje serce. Szedł automatycznie, jak zakłęty. Wydawało mu się, że ten marsz trwa wieki i że utknął gdzieś w labiryncie, z którego nie ma wyjścia. Tak długo szukał odpowiedniego nagrobka, a gdy wreszcie pokonał długą drogę i dotarł we właściwe miejsce, bał się unieść wzrok.

Siedział więc przez niecały kwadrans na starej, przegniłej od deszczu ławce, ze spojrzeniem wbitym w swoje sportowe buty. Starał się zapanować nad szybko bijącym sercem i przyspieszonym oddechem. W dłoniach, które zrobiły się lepkie ze stresu, obracał zapalniczkę znaną z bocznej kieszeni bojówek. Odnalazł w sobie odrobinę odwagi, by sięgnąć po znicz, zapalić go i odstawić na miejsce.

Później zerknął przed siebie.

Lustrował spojrzeniem imiona, wspólne nazwisko i datę śmierci. Nie mógł uwierzyć, że od tego wydarzenia minęło aż dziesięć lat.

Bo Holden Yordan utknął w miejscu. Zatrzymał się, nie chcąc dalej bez nich biec. Wydawało mu się, że czas stanął, że znalazł w pokoju martwych rodziców zaledwie chwilę temu.

– Cześć, wam! Mamo i tato – szepnął. Głos mu się załamał, więc zakasłał głośno. Sam do końca nie rozumiał, dlaczego to robi, ale miał wrażenie, że gdzieś na górze była osoba, która mogła go wysłuchać. A Holden milczał zbyt długo. – Przepraszam. Przepraszam, że dopiero teraz zdobyłem się na odwagę. Jestem tchórzem, wiem. Powtarzałem sobie, że mogę wypierać waszą śmierć, dopóki tu nie przyjdę, i proszę, oto jestem. Wasz starszy syn godzący się z tym, że już was przy nas nie ma.

Holden nagle zamilkł. Przełknął gulę w gardle. Wlepił wzrok w niebo i dostrzegł, jak pojawia się na nim kolejna gwiazda. Była jak znak, że mimo fizycznej nieobecności jego rodzice wciąż czuwali nad swoimi dziećmi.

– Boże, jak to żałośnie brzmi... – westchnął, zdobywając się na lekki uśmiech. Schował twarz w dłonie. Przez zmęczenie ta sytuacja zaczynała go bawić. Gadał do martwych, licząc na odzew. Świat chyba oszalał.

Nagle gdzieś z boku usłyszał szelest, więc zdziwiony odwrócił się przez ramię.

– Dla mnie brzmi całkiem w porządku.

To był Malachai. Zatrzymał się w cieniu, przez co Holden zobaczył jedynie, jak pokazuje rządęk zębów w uśmiechu. Zmarznięte dłonie chował w kieszeniach dżinsowej kurtki i żeby nieco się rozgrzać, bujał się na piętach. Holden zauważył, że brat ma na sobie spodnie dresowe, jakby szybko zerwał się ze snu.

– Widziałem, jak wychodzisz – odezwał się ponownie, wyczuwając, że w najbliższym czasie Holden nic nie powie. Tylko się w niego wpatrywał z rozchyłonymi ustami, jakby nie dowierzał, że stał przed nim prawdziwy Kai. – Mogę?

Kai zajął miejsce obok, kiedy w ramach przyzwolenia blondyn skinął delikatnie głową. Przez chwilę trwali w ciszy, ale nie czuli się z tym źle. Potrafili ze sobą milczeć. I czasami wychodziło im to znacznie lepiej niż rozmowa.

– Minęło dziesięć jebanych lat, a nadal mam wrażenie, że to tylko chory sen. – To Malachai zabrał głos jako pierwszy. Nie wiedział, dlaczego postanowił się odezwać, bo od lat uparcie usiłował przemilczeć ten temat, jakby nie istniał. Czuł jednak, że powinien to zrobić; zapewnić brata, że w tym cierpieniu nie jest sam, że ma kogoś, kto przeżywał to razem z nim, choć na swój własny, odmienny sposób. – Byli z ciebie dumni, wiesz to, prawda? – dodał ciszej.

Kai znów był jego bratem – tym, który miał w sobie uczucia i nie bał się ich okazywać. Tym, który wspierał go mimo tak dużych różnic charakterów. Tym, który po prostu trwał obok. Niestety coraz rzadziej ukazywał światu to oblicze, jakby z każdym kolejnym dniem zanikało. Holden obawiał się dnia, w którym resztki człowieczeństwa Malachaia bezpowrotnie przepadną.

Odsuwając od siebie te niepokojące myśli, uśmiechnął się, ponieważ nagle poczuł się lżej, jakby Kai pomógł mu dźwigać połowę krzyża.

Usta Malachaia natomiast wygięły się w smutnym łuku. Zdawał sobie sprawę z tego, że on, w przeciwieństwie do brata, nie był dumą rodziny. Raczej porażką. A pomimo tego codziennie żałował tych niewypowiedzianych do rodziców słów, które cisnęły się na usta, jednak nigdy z nich nie wypłynęły.

Miał im tak dużo do powiedzenia, odkąd odeszli. Pragnął przekazać im, że wybacz im to, jak okropnie go traktowali, chociaż pozostała mu w sercu wielka dziura, której nie potrafił niczym zapełnić.

– Byli dumni z *nas* – mruknął Holden, na co Kai drgnął niespokojnie. Te słowa sprawiły, że spojrział na starszego brata. Pokręcił przecząco głową, za wszelką cenę tłumiąc w sobie gorzki śmiech, który próbował go udusić.

– Zawsze sprawiałem im problemy. Pokłóciłem się z nimi, zanim... wiesz – wypalił szybko, a w głowie dopowiedział: „zanim ich zabito”. Nie potrafił jednak tego z siebie wyrzucić.

W zamian dla rozluźnienia zaczął obracać w dłoni nóż. Zbyt długo zapatrzył się na wygrawowany na rękojeści napis. Yordan. Nic więcej. Tylko nazwisko. W efekcie tego ostrze niespodziewanie zetknęło się z jego skórą, pozostawiając po sobie niewielkie rozcięcie wzdłuż linii życia. To było jak zły omen.

– Przepraszam, że nic wtedy nie zrobiłem – dodał ze skruchą.

Wciąż miał o to do siebie żal – o brak reakcji. Nadal często w jego głowie, szczególnie gdy patrzył na brata, pojawiała się wspomnienie tamtego przekłętego dnia. Analizował je na wszelkie sposoby. Odtwarzał bieg wydarzeń i za każdym razem zachowałby się inaczej niż wtedy. Zrobiłby coś, cokolwiek, zamiast beczynnie stać z rozdziawionymi ustami.

– Nie mogłeś nic zrobić – zapewnił Holden, spuszczać głowę. – Nikt nie mógł.

Malachai miał inne zdanie.

Mógł. Mógł zrobić tak wiele.

– On... wrócił, Kai – oznajmił blondyn po chwili milczenia, czym skutecznie przyciągnął uwagę brata. Kai z wrażenia wypuścił nóż z dłoni. Ostrze idealnie wbiło się w glebę. Oboje doskonale wiedzieli, kogo Holden miał na myśli, a jednak dorzucił jeszcze: – Ryan wrócił. Widziałem go.

Kai odniósł wrażenie, że nagle cały świat zaczął kręcić się w przeciwną stronę.

Holden spojrział na brata ze ściągniętymi brwiami, obawiając się jego reakcji. Nigdy nie wiedział, czego się po nim spodziewać – wybuchów złości, czystej agresji czy opanowania. Było tak ciemno, że udało mu się zobaczyć tylko białe zęby Kaia, gdy stopniowo się uśmiechał.

A uśmiech ten bez wątpienia oznaczał to, że ma już w głowie jakiś szatański plan.



## 9.

Cierpiał na bezsenność i okazała się ona okrutną przyjaciółką. Jedyną rzeczą, która tak naprawdę pozwalała mu funkcjonować, była niezliczona ilość kofeiny, jaką w siebie wlał. Miał ciężkie powieki, jakby ktoś zawiesił na nich kamienie. Jasne światła w klubie raziły jego oczy, a serce biło jak oszalałe, gubiąc jednolity rytm.

Nieobecny siedział wśród chłopaków oraz Sybil. Dziewczyna wisiała na jego ramieniu, ale w tym stanie nawet mu to nie przeszkadzało. Pozwolił jej na te publiczne czułości. Wszystko, byle coś poczuć. Impuls. Podniecenie. Cokolwiek. Był jednak pusty jak wydmuszka. Starał się wrócić do żywych, słuchać rozmów, uczestniczyć w nich i czasem się uśmiechać, ale wszystko wokół zlewało się w jeden niezrozumiały szum.

Coś nieoczekiwanie się w nim obudziło, kiedy w tłumie zarejestrował znajomego mężczyznę. Pamiętał go doskonale – jego krótko ścięte blond włosy, jasne oczy, każdy tatuaż na ramionach i kolczyk w uchu. Drgnął niespokojnie, niemal podskakując na skórzanej kanapie. Z wrażenia prawie się w nią wgniół. Zamrugnął, próbując przekonać samego siebie, że naprawdę go widzi. Mina mu zrzedła, gdy ich nienawistne spojrzenia wreszcie się spotkały.

– To są, kurwa, jakieś żarty! – wrzasnął na cały głos, zwracając na siebie uwagę wszystkich towarzyszy.

Najmocniej czuł na sobie zdeorientowany wzrok Cartera. Olał jednak zbędne wyjaśnienia. Podniósł się w ułamku sekundy, zrzucając z siebie ledwie kontaktującą dziewczynę, a następnie ruszył naprzód niczym czołg.

Chciał niszczyć. Nie tylko innych, ale również... siebie. Chyba najbardziej.

Ryan naprawdę stał przy barze, wyglądając dokładnie tak, jak go zapamiętał. W skórzanej kurtce i spranych dżinsach prezentował się dość... zwyczajnie. Pochylał się nad blatem i z gwiazdorskim uśmiechem zagadywał ładną barmankę. Kościstymi palcami wystukiwał na ladzie melodię szybkiej, energicznej piosenki, która stanowiła już tylko tło dla rozgrywającej się akcji.

– Sorka, nie obsługujemy tutaj takich śmieci jak ty – warknął Kai, automatycznie zaciskając dłonie w pięści. Rzucił spojrzeniem ponad głowę Ryana, żałując, że nad barem nikt nie zawiesił takiej informacji. Ryan nawet się nie poruszył, był zwarty i sztywny, choć poczuł za plecami czyjąś obecność.

Holden wolał stać obok, by w razie potrzeby pohamować tykającą bombę, jaką był Malachai. Dlatego przystanął za nim, bawiąc się w jego cień. On po lewym boku, Carter po prawym. Obaj gotowi interweniować.

– Poważnie? – spytał Ryan. Nie musiał się odwracać. Znał ten głos. Jednak odwrócił się przez ramię i od razu wyszczerzył się cwaniacko, widząc trójkę starych znajomych. *Malachai Yordan jak zawsze z obstawą*, pomyślał. To było do przewidzenia. Ściągnął brwi, jakby nad czymś rozmyślał. – Co w takim razie wy tu robicie, durnie?

Ryan zaśmiał się swobodnie, kręcąc głową.

Kai nawet nie próbował zachować spokoju. Momentalnie całe jego ciało spięło się z nerwów, a twarz znacznie poczerwiała – nie ukryły tego nawet przyciemnione światła. Poczuł, jak brat łapie go za ramię, ale ten gest go nie powstrzymał. Działając instynktownie, wyciągnął z kieszeni nóż i ścisnął go tak mocno, że ponownie przeciął swoją skórę. Skrzywił się tylko na ułamek sekundy, ponieważ miał w sobie coś z masochisty, a to prowadziło do tego, że często nieświadomie robił sobie krzywdę.

Kilka kropel krwi pociekło wzdłuż jego dłoni i skapnęło na parkiet. Wytarł pośpiesznie skaleczoną rękę o szorstki materiał spodni, by Holden nie nabrał podejrzeń, że znów się ranił.

– Wyjdiesz sam, czy mam cię stąd wywlec? – zapytał Kai.

Liczył na drugą opcję. Tak długo marzył o tym, by stanąć z Ryanem twarzą w twarz i pokazać, do czego tak naprawdę jest zdolny. W jego przypadku chyba nawet do zabójstwa. Wiele razy wyobrażał sobie pozbawione życia oczy Ryana, jego zakrwawioną twarz i brak pulsu. I kiedy znów o tym pomyślał, na jego usta wypełznął rozanielony uśmiech.

W odpowiedzi Ryan znów się roześmiał. Stał centralnie przed Kaiem. Byli zbliżonego wzrostu,

więc na pierwszy rzut oka mieli też równe szanse. Ich twarze znajdowały się na tym samym poziomie, gdy mierzyli się spojrzeniami pełnymi strzelających iskier. Żaden z nich nie zamierzał odpuścić. To była ich wspólna cecha. Upór. Trwali tak w ciszy z oddechami więznącymi w gardle, dopóki w pobliżu nie pojawił się Ivan.

– Ej, wujaszku! Zobacz, kto nas odwiedził! – krzyknął Kai, unosząc maksymalnie głos, by przebić się przez wyjąca w uszach muzykę. Stał na palcach, dzięki czemu wychylił się zza wysportowanej sylwetki Ryana i machnął dłonią w kierunku wuja. – Powiniennem mu wpierdolić na powitanie?

Ivan przystanął gwałtownie. Spojrzał na chłopaków. I chociaż od razu zauważył nieproszonego gościa, najdłużej przyglądał się swojemu bratankowi. Po jego spiętej posturze przewidywał, że to właśnie on jest prowadzonym kłótni. Analizował sytuację w milczeniu, próbując ją zrozumieć, bez wtrącania się. Czekał z nadzieją, że sytuacja się nie rozwinie, choć doskonale wiedział, że Malachai już dawno stał się jego kopią, a co za tym idzie – nie odpuszczał.

– Ivan! – rzucił z entuzjazmem Ryan. – Mam do ciebie sprawę!

– Chyba pomyliłeś lokale – odburknął mężczyzna.

Nie potrafił nawet patrzeć na tego chłopaka bez powracania do wspomnień – był podobny do ojca, co przypominało Ivanowi o jego utraczonej przyjaźni oraz zdradzie. Oparł potężne ramię o blat i pochylił się nad Ryanem, by móc bez problemu go zrozumieć. Gwałtownie złapał go przy tym za kark, wbijając palce w skórę, co wywołało nagły grymas na twarzy chłopaka.

Nie spodziewał się tego.

– Pozwolę ci stąd wyjść w jednym kawałku, ale nie radzę tu wracać – dodał znacznie łagodniej. Mrugnął okiem do blondyna i powoli rozluźnił chwyt. Odszedł tylko kawałek, a potem odwrócił się, jakby nagle przypomniało mu się coś ważnego. Zerknął na Ryana przez ramię i rechocząc głupkowato, rzucił:

– Pozdrowienia do więzienia. Dla ojczulka!

Malachai wyglądał tak, jakby za moment miał zacząć dopingować wuja – tak bardzo chciał, by jeszcze bardziej ujawnił swoją ciemną stronę, którą pewnego pięknego dnia podzielił się z Kaiem. Mógłby postawić na niego całą swoją kasę, bo wiedział, że każde starcie z Ivanem Yordanem zawsze kończyło się jego zwycięstwem. Dlatego brał z niego przykład.

– Och, tak mi przykro. – Zaśmiał się Kai prosto w ociekającą zdezorientowaniem twarz Ryana. Blondyn jednak bardzo szybko przybrał obojętną minę, udając, że to starcie z Ivanem wcale na niego nie wpłynęło. Odkaszlnął, wygładzając dłonią materiał kurtki.

– Świetnie! – krzyknął za niktącem w tłumie mężczyzną. – Z narkotykami poradzę sobie sam! Nie potrzebuję waszej zasranej łaski!

Kai zmrużył oczy, przyglądając się znajomemu z zainteresowaniem. Próbował wdrzeć się do jego umysłu, zrozumieć, co ma na myśli, i perfidnie to wykorzystać. Ale Ryan podobnie jak on był pozamykany na wiele zamków. Nie dało się go łatwo rozgryźć – tym bardziej, że nie rozmawiali od lat i Kai zdążył zapomnieć, jak kiedyś dogadywali się bez słów. Mimo to wciąż wbijał palące spojrzenie w plecy blondyna, gdy nie mówiąc nic więcej, zaczął kierować się do wyjścia.

Malachai dostrzegł w tym szansę na słodką zemstę.

Zapewniając brata i przyjaciela, że wszystko w porządku, sam ulotnił się z zasięgu ich wzroku. Przyspieszył kroku, gdy zgubił w tłumie sylwetkę Ryana. Przeciskał się między nieznanymi, uważając, by z nikim nie nawiązać fizycznego kontaktu, aż dotarł do wyjścia. Rześkie powietrze uderzyło w jego rozgrzaną twarz. Przebiegł spanikowanym wzrokiem po okolicy.

Ryan stał przy swoim samochodzie, odpalając niezdarnie papierosa, jakby robił to pierwszy raz. Zaciągnął się akurat, gdy Kai przystanął obok.

– Masz ochotę na umowę z diabłem? – spytał Malachai z błyskiem w oku.

Ledwie sekundę później Malachai Yordan uśmiechnął się niczym rekin, a w jego spojrzeniu załśniły wszystkie odcienie grzechu.

• • •

Kilka łyków alkoholu i świat należał do niej.

Tym razem do klubu dotarła sama – bez asysty Camerona. Gdyby ktoś spytał, czy ich relacja w końcu wróciła na właściwe tory, z pewnością by zaprzeczyła. Odniosła wrażenie, że nie tylko nadal się nie dogadywali, ale też James znacznie się wycofał i nawet próbował jej unikać bez podania konkretnej przyczyny. Sama też nie próbowała zawrzeć rozejmu. Bardzo dobrze zapamiętała fakt, że ostatnio ją wystawił, a następnego dnia zachowywał się tak, jakby nic się nie stało. Nie odpowiedział nawet na pytanie, gdzie tego wieczoru się zapodziało. Pozostało jej snucie domysłów.

Carmen wirowała wśród tłumu całkowicie obcych osób. Gdy jej umysł zaczynał błędzić, zawsze znajdowała sposób, by go zagłuszyć. Tak było również tym razem. Przestała myśleć, oddając się w objęcia rozrywki. Nie chciała pić dużo – tylko tyle, żeby odrobinę się zrujnować. Pragnęła, aby ciało poczuło się tak samo fatalnie jak głowa.

Od dłuższej chwili czuła, że ktoś ją obserwuje, jakby była na celowniku. Obróciła się wokół własnej osi, przez co rude włosy rozsypały się na jej twarzy niczym wysuszone liście. Strzepnęła je prędko ręką i właśnie wtedy go zobaczyła. Holden stał parę metrów dalej z lekkim uśmiechem, ale smutnym. Było w nim coś nowego. Mimo że miał na sobie czarną koszulę, a także płaszcz w tym samym kolorze, światło szalało w nim niczym pożar.

Był złoty, złoty, złoty.

Nie ruszyła się z miejsca. Nie chciała dać mu tej satysfakcji. Dlatego to Holden podszedł do niej. Zauważyła, że miał starannie zaczesane do tyłu włosy i znacznie większy zarost niż wtedy, gdy widziała go ostatni raz. Zanim się odezwał, pokręcił rozbawiony głową. Jakby nie dowierzał, że znów na siebie wpadli.

Może ich skrzywdzone dusze wzajemnie się przyciągały. A może był to kolejny przypadek, w którym nie należało się doszukiwać drugiego dna.

– Lubisz sprowadzać na siebie problemy, co?

Wzruszyła obojętnie ramionami.

Carmen Clark po prostu *była* wielkim problemem. Dla wszystkich. Nawet dla siebie. Z tego powodu odpowiedź na zadane pytanie wołała olać, jakby nic nie usłyszała. Ignorowanie trudnych dla niej tematów było wygodne. Nie musiała się niepotrzebnie dołować.

– Zgaduję, że skoro jesteś tu ty, to w pobliżu kręci się też twój szalony brat? – westchnęła, odgarniając włosy za uszy.

Spodziewała się tego – obecności Malachaia w tym miejscu. I może właśnie dlatego się tu pojawiła, żeby go sprowokować, sprawdzić, do czego naprawdę jest zdolny, i dowiedzieć się, czy spełnia swoje obietnice. Miała już dość ciągłego ukrywania się, oglądania za siebie przy każdym podejrzanym dźwięku. Nie chciała dłużej zaprzętać sobie głowy diabelskim uśmiechem rozdzierającym duszę w pół oraz niebieskimi oczami, które mogłyby łamać kości jednym spojrzeniem. A jednak nie potrafiła o tym zapomnieć.

Holden skinął głową.

– Nie jest w... zbyt dobrym nastroju – mruknął. Nie miał pojęcia, dlaczego podzielił się z nią tą informacją. Chyba liczył na to, że Carmen potraktuje te słowa jako przestrożę lub sugestię, że powinna stamtąd wyjść. W zamian dziewczyna parsknęła cichym śmiechem. *A czy on kiedykolwiek bywa w humorze?*, miała ochotę spytać, ale zacisnęła usta.

Nagle straciła ochotę na dalsze imprezowanie. Bez słowa odwróciła się do Holdena plecami, zarzucając przy tym włosy na jedno ramię. Zamierzała odejść w milczeniu, bez wyjaśnień, ale ponownie usłyszała jego głos. Głośny i wyraźny, jakby stał tuż przy niej, a nie parę metrów dalej.

– Tak bardzo nie lubisz siebie? – spytał.

Przystanęła gwałtownie, jakby słowami pociągnął ją z powrotem w swoją stronę. Nie znała prawidłowej odpowiedzi na to pytanie. Było chyba znacznie gorzej. Czasami szczerze się nienawidziła.

– Może – szepnęła słabo, bardziej do siebie niż do niego. Wołała, żeby Holden nigdy nie dowiedział się, jak fatalne miała zdanie o własnej osobie.

Ruszyła znacznie szybciej niż wcześniej. Pragnęła jak najszybciej wydostać się z tej klatki, bo nagle odniosła wrażenie, że ściany z każdej strony zbliżają się do niej. Uderzyła w nią fala gorąca. Wszystkie negatywne emocje, które uparcie w sobie skrywała, wypłynęły na wierzch, zaczęły ją przytłaczać i coraz mocniej naciskały na klatkę piersiową, przez co oddychała z trudem. Poczowała odrobinę ulgi, gdy znalazła się bliżej wyjścia, a chłodny wiatr z zewnątrz ponownie zmroził jej uczucia. Tak niewiele dzieliło ją od drzwi. Załedwie krok. Chciała przedostać się na zewnątrz, ale ktoś to uniemożliwił.

Na ramieniu Carmen zacisnęły się czyjeś palce z taką siłą, że skóra wokół nich pobielała i zaczęła nieznośnie piec. Miała wrażenie, że dotyka jej jakaś piekielna bestia, nie człowiek. Przeszył ją lodowaty dreszcz, jakby miała w sobie kilogramy skutych lodem skał. Stała spięta z sercem podchodzącym do gardła i zapartym tchem. Bała się unieść głowę, ponieważ doskonale zdawała sobie sprawę, z kim ma do czynienia.

Wpadła prosto w ramiona diabła.

– Wybierasz się gdzieś, kochanie? – Jego nonszalancki ton musnął skórę przy uchu dziewczyny, gdy pochylił się ku niej. Poczwała we włosach oddech mężczyzny, a do nozdrzy wdarł się całkiem ładny

zapach perfum. W reakcji cała zeszywniała, jakby zaklął ją w posąg.

– Wychodzę – powiedziała twardo, co zabrzmiało również bardzo sztucznie.

Podniosła wzrok. Malachai Yordan wyglądał na nieco roztargnionego. Miał włosy w nieładzie, jakby zabawił się z nimi potężny wiatr, a także nieobecne spojrzenie. Jego uśmiech wydawał się niewinny, kiedy dociskał zęby do dolnej wargi. Nie zamierzała jednak nabierać się na to złudzenie. Odniosła wrażenie, że myślami był daleko, gdzieś na krawędzi.

– I nawet się nie przywitałaś? – mruknął. Przeniósł na nią wzrok. Niebieskie tęczęwki wbiły się w twarz Carmen niczym miliony igiełek. Czowała, jak te jasne ślepie podpalają ją od środka. – Trochę mnie zawiodłaś, Carmel.

Nie panując nad własnymi odruchami, przewróciła oczami.

– Carmen – poprawiła go ostrym głosem. W efekcie zmarszczył brwi, a między nimi pojawiła się pionowa zmarszczka. Przechylił lekko głowę na bok, patrząc na nią jeszcze intensywniej. Tym wzrokiem mógłby powalić ją na ziemię. Kiwnął głową, jakby w końcu zrozumiał, co miała na myśli. Uśmiechnął się. Znów łagodnie.

– Zatańcz ze mną, Carmen – szepnął błagalnym tonem. Zaskoczył ją tym tak bardzo, że z wrażenia rozchyliła leciutko usta. – Udawaj, że świat nie istnieje i zatańcz ze mną.

Miała ochotę wybuchnąć głośnym śmiechem, ale powstrzymała się z obawy przed jego gniewem. Zatańczyć? Z nim? To było absurdalne! Co on sobie myślał? Że się zgodzi? Chciała odpowiedzieć, jednak w tamtym momencie wszystkie właściwe słowa wyleciały jej z głowy.

Kai puścił ramię Carmen, dzięki czemu poczuła, że wreszcie może swobodnie oddychać. Zwrócił jej również przestrzeń osobistą, stawiając krok w tył. Spojrzał na nią, przejeżdżając koniuszkiem języka po wargach. Ślizgał się po niej wzrokiem. Od rudych włosów, zielonych oczu i krwistoczerwonych ust, po odkryte ramiona i zgrabne nogi.

Carmen Clark była idealną ofiarą.

– Nie zrobię ci dzisiaj krzywdy. Obiecuję – dodał jeszcze, przykładając rękę do piersi, by wyglądać na prawdomównego. Drugą dłoń wyciągnął w kierunku dziewczyny, licząc w duchu na to, że się jej złapie. Carmen patrzyła na nią przez kilkanaście sekund tak intensywnie, jakby za pomocą spojrzenia chciała wypalić w niej dziurę. A później ją ścisnęła. Była szorstka i silna.

I po tym nie było już odwrotu.

Carmen Clark pokonała pierwszy stopień do piekła, a Malachai Yordan miał wodzić ją na pokuszenie, więc dyskretnie się uśmiechnął. Odniosł swoje małe zwycięstwo.

To było jak zbyt realny sen, który wprawiał jej ciało w stan wielkiego przerażenia. Cała zeszywniała, czując się obco we własnym ciele, gdy trzymała go za rękę. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego mu uległa. Próbowwała znaleźć wytłumaczenie, ale każde wydawało się niejednoznaczne. Może powodował ją strach przed jego nieprzewidywalną reakcją, a może fakt, że Malachai Yordan po prostu ją fascynował. Samą obecnością zmuszał ją do rozważań nad tym, co sprawiło, że stał się złym człowiekiem.

Carmen nie mogła poradzić sobie z natłokiem pytań, które kłębiąc się pod czaszką, przyprawiły ją o ból głowy. Czy Kai urodził się potworem? Czy od początku tkwiło w nim diabelskie nasienie? A może świat go do tego zmusił? Chciała to wiedzieć. Pragnęła być pierwszą osobą, której uda się rozwiązać zagadkę, jaką był, bo do tej pory doszła do jednego wniosku: w tym mężczyźnie kryła się święta trójca – piękna twarz, piękne ciało, koszmarny charakter.

Stanął za nią i przycisnął zimny policzek do czubka jej głowy. Dłonie położył na biodrach Carmen, przez co mógł swobodnie kołysać nimi w rytm piosenki. Z każdą kolejną sekundą skutecznie burzył ostatnie milimetry przestrzeni między nimi, a Carmen nie potrafiła temu zaradzić, bo sama świadomość, że za nią stoi, paraliżowała jej zmysły. Oddech Kaia na karku za bardzo ją dekoncentrował. Starła się wsłuchać w muzykę, ale jego bliskość zbyt ją rozpraszała.

W pewnym momencie obrócił ją tak, że stanęła przed nim – bezwiednie jak marionetka. Miała idealny widok na jego spokojną twarz, przez którą przelatywała tęcza światła. Uśmiechnął się przyjaźnie, jednocześnie przygryzając dolną wargę. Udowodnił tym samym, że najpiękniejsze istoty to te najbardziej zabójcze. Naraz zawrzały w niej tysiące emocji, sprawiając, że z ich nadmiaru zawirowało jej w głowie.

I co ona miała począć? Odwzajemnić uśmiech czy rozplakać się z bezsilności?

Odetchnęła z ulgą, kiedy ktoś nieświadomie przerwał tę niezręczną sytuację. Nie cieszyła się jednak zbyt długo, ponieważ obcy mężczyzna zatoczył się i szturchnął ją w ramię z taką siłą, że wpadła na klatkę piersiową Kaia. Na szczęście złapał Carmen za ramiona, powstrzymując przed upadkiem, choć odniosła wrażenie, że w miejscu, gdzie spoczywały jego palce, pozostaną dziury w ubraniu.

Zazwyczaj nietrudno było ją zdenerwować. Ale to zdarzenie w połączeniu z bliskością Kaia

wystarczyło, by w ułamku sekundy podnieść do maksimum temperaturę jej ciała. Rozpętał się w niej niszczycielski huragan. Odwróciła się bojowo i spojrzała na nieznanego z błyskawicami w zielonych oczach.

– Może jakieś „przepraszam”, chamie? – syknęła. Czuła, że Kai stoi za nią, jakby zamierzał jej bronić, ale nie zareagował. Był pełen podziwu dla agresji, jaka w niej tkwiła, jednak nie pokazywał tego na zewnątrz. Skakał znudzonym spojrzeniem od Carmen do mężczyzny, czekając na rozwój sytuacji.

– A czy ja mam wypisane na czole „spełniam życzenia”? – odburknął nieznamy głosem pozbawionym emocji. Zerknął na Carmen, a ona poczuła się jeszcze bardziej niekomfortowo niż wtedy, gdy Kai pożerał ją wzrokiem. Poczuła na sobie siłę tego spojrzenia.

– Nie. – To jedno słowo opuściło usta Kaia, roztrząskując się w jej uchu. Niski, grobowy ton wywołał na skórze Carmen dreszcze. Niewątpliwie zwiastował kłopoty. Przechyliła lekko głowę na bok, aby widzieć Kaia kątem oka. – Ale zaraz możesz mieć wypisane „jestem kurwą”.

– Ha! Dobrze – zarechotał nieznamy.

Carmen przesunęła się w bok, gdy mężczyzna spróbował ich wyminąć. Zrobiła to dla własnego spokoju. Nie chciała dalej brnąć w ten bezsensowny konflikt, zwłaszcza że obok stał niezrównoważony Malachai. Nim mężczyzna zniknął w tłumie na dobre, poklepał Kaia po ramieniu, po czym wyszeptał do niego parę słów. Malachai słuchał go uważnie z rozchyłonymi ustami.

To był ostateczny zapalnik.

Carmen widziała, jak rozbawiony wyraz twarzy Kaia znika, zamieniając się w najprawdziwszą pogardę i złość. Zauważyła też, że jedną dłoń schował do kieszeni dżinsów, jakby to był wyuczony odruch. Drugą automatycznie zacisnął w pięść.

Nie знаła go, ale była pewna, że właśnie tak wyglądał, gdy ktoś zalał mu za skórę.

– Sorka. Możesz powtórzyć? – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Niestety nie kumam języka idiotów.

Carmen, nie panując nad odruchami, parsknęła w głos, sprawiając, że Kai popatrzył na nią przez krótką chwilę z błyskiem w jasnych oczach, jakby był dumny. Gdy dotarło do niej, co zrobiła, miała ochotę pacnąć się w sam środek czoła. Czy ona naprawdę się zaśmiała? Z tekstu Kaia? Wmawiała sobie usilnie, że wcale jej nie rozbawił, że to nerwy tak na nią wpłynęły.

– Pilnuj. Swojej. Dziewczyny. Bo. Za. Dużo. Szczeka – odpowiedział mężczyzna, wyraźnie akcentując każde słowo. Carmen znów nieświadomie zarechotała. *Dziewczyny*, pomyślała. *A to dobre!* Nim zdążyła się opanować, Kai stał już przed nieznanym kilka metrów dalej, więc musieli się przesunąć, gdy nie patrzyła.

Nagle wśród kolorowych lamp załśnił nóż, który Malachai wyciągnął z kieszeni.

Carmen widząc to, poczuła się słabo. Wraz z powietrzem uleciało z niej całe rozbawienie. To była poważna sytuacja – taka, która mogła doprowadzić do tragedii. Zebrała w sobie dość siły, by zareagować. Kiedy przeciskała się przez gromadzący się wokół tłum, Kai zaciskał palce na rękojeści. Drugą dłonią chwycił kołnierzyk mężczyzny, który sekundę później z hukiem odbił się plecami od blatu. Jęknął przeciągle z przymkniętymi oczami, a gdy je otworzył, wzdrygnął się, widząc przed twarzą ostrze oraz rozmarzony uśmiešek.

– Ochrona! – ryknął, szarpiąc się z całych sił. Malachai jednak wyglądał tak, jakby ten pokaz nie robił na nim wrażenia. Niewzruszony przytrzymał ofiarę tak, by mu nie uciekła. Przewrócił oczami, po czym prychnął znudzony:

– Koleś, ale to ja jestem ochroną!

Carmen przyglądała się tej scenie, czując wyrzuty sumienia. To na niej spoczywała wina. Znów ktoś cierpiał z jej powodu. Nie wiedziała, co powinna zrobić, by uspokoić Kaia, a w tamtej chwili wydawał się... niezniszczalny. Rozpaczliwie rozejrzała się dookoła, ale nigdzie nie zauważyła Holdena, a to on był ostatnią deską ratunku. Obok nie było nawet Cartera. Postanowiła więc improwizować.

Niewiele myśląc, złapała Kaia za nadgarstek ręki, w której trzymał nóż. Ostrze, znajdujące się na wysokości oka mężczyzny, zadrżało razem z przedramieniem Malachai, gdy mocno nim szarpnęła. W efekcie poczuła, jak cały spiął się w obawie przed dotykiem. Ta chwila słabości, na którą sobie pozwolił, trwała zaledwie sekundy. Później na nowo każdy mięsień w jego ciele spiął się gotowy do dalszej walki.

– Malachai – szepnęła w końcu z bezradności. Słyszając to imię, spuścił głowę. Nagle nie mógł złapać oddechu. Dusił się w środku. Miał wrażenie, że wypowiedziała słowo z zakazanego języka, o którym nigdy wcześniej nie miał pojęcia. Jej głos tak delikatnie otulał litery jego imienia, że umierał trzy razy w ciągu sekundy.

– Nie nazywaj mnie tak – warknął wściekle, po czym wyszarpnął rękę z uścisku dziewczyny. Jego oczy były jak za mgłą, jakby uciekł gdzieś daleko i zgubił drogę. Mięśnie na twarzy Kaia jednak nieco zelżały, jak gdyby szykował się do ściągnięcia złej maski. – Jestem Kai. Dotarło, czy ci przeliterować?

Skinęła głową, chociaż nie zamierzała się stosować do wydanego polecenia. Obecność Malachaia miała na nią dziwny wpływ. Z jednej strony czuła przed nim strach oraz respekt, ale jednocześnie budziła się w niej niecodzienna pewność siebie i odwaga. To mogło ją zgubić.

– Zgłoś się później grzecznie po wpierdol. Albo sam cię znajdę – mruknął Kai do nieznanego, po czym poklepał go po piersi i przesunął się w bok, zwracając mu wolność. Mężczyzna prędko zebrał się z blatu i zaczął zwiewać, gdzie raki zimują. A Malachai patrzył na niego z triumfalnym uśmiechem, dopóki nie zniknął mu z oczu.

Sam też pragnął się ulotnić, bo obudziło się w nim coś, co na nowo zaczęło pożerać go od środka w całości. Ciało, duszę, umysł. Po prostu wszystko. Postawił więc najtrudniejszy, pierwszy krok, szykując się do kolejnej ucieczki przed własnymi demonami, jednak równie szybko przystanął.

Usłyszał za plecami głos Carmen.

– Dlaczego tak bardzo się zdenerwowałeś?

*Jakby to miało znaczenie*, pomyślał. Taki już był. Ale czy ta odpowiedź komukolwiek by wystarczyła? Szybko się denerwował, bo tak było mu łatwiej pozbyć się niechcianych emocji. Tak było łatwiej zapomnieć o wszystkim, co od zawsze w nim umierało. Spuścił głowę i zaśmiał się w odpowiedzi, dzięki czemu wokół jego ust pojawiły się zmarszczki przypominające nawiasy.

– Bo należysz do mnie, Karmelku – rzucił szybko, po czym obliznął usta. Uśmiechnął się niemal niezauważalnie, ponieważ bardzo mu się ta ksywka spodobała.

Carmen zamrugnęła gwałtownie. Patrzyła na niego ze zmarszczonym czołem, bo nie potrafiła uwierzyć w to, że te słowa naprawdę wyszły z jego ust. Brzmiały niedorzecznie, jak tandetny tekst z głupiej książki dla nastolatek. Tym razem to ona się roześmiała, traktując to jak nieudany żart. Spoważniała po paru chwilach, gdy napotkała niebieskie oczy, które mogłyby zwiastować nadejście burzy.

On się nie zgrywał. Traktował ją jak własność, bo to on decydował o tym, czy przeżyje.

– Nie jestem twoją własnością. I nigdy nie będę – powiedziała stanowczo, przewracając oczami, co niesamowicie go zirytowało.

Zacisnął usta w wąską linię. Pochylił się tak, że bez problemu mogła zobaczyć każdy detal jego twarzy. Kolorowe światła tańczyły na jego skórze, tworząc na niej piękne i niepowtarzalne mozaiki. Kolejny raz obserwowała zmiany, jakie w nim zachodziły. Przestał być spięty – wydawał się raczej wyluzowany. Na ustach błąkał się chłopięcy uśmiech pełen szczerego rozbawienia, a oczy błyszczały jak lampy.

Wzdrygnęła się, kiedy nieoczekiwanie uniośł dłoń, a już sekundę później poczuła paraliż w całym ciele, bo Kai złapał jej podbródek w dwa palce. Bez najmniejszego problemu zadarł brodę dziewczyny, dzięki czemu spojrzała mu prosto w oczy.

– Jeśli będę musiał, wytnę swoje imię na twojej skórze, żebyś zrozumiała, że jesteś moja.

Dla podkreślenia wiarygodności tych słów, nakreślił kciukiem niewielką literę „K” na policzku Carmen, jakby już na zawsze ją oznaczał. A po wszystkim zalotnie puścił jej oczko.

Odsunął się, zabierając dłoń z ciała dziewczyny.

Carmen czekała na jego śmiech zwiastujący, że tylko żartował. Ale żaden kącik ust Kaia nawet nie drgnął. Wtedy zrozumiała, że mówił prawdę, a to sprawiło, że jej serce zaczęło bić znacznie szybciej i mocniej, tracąc normalny rytm. Instynktownie się cofnęła. Potrzeba ucieczki od niego stała się tak intensywna, że aż rozboleły ją całe nogi. Coś jednak nie pozwalało, by tak szybko się poddała i pozwoliła mu nad sobą górować.

– Jesteś szalony – szepnęła. Nie usłyszał słów Carmen, ale wyczytał je z ruchu warg.

– Ta. Jestem – przyznał, udając przejętego. Jakby odkryła jego największą tajemnicę. – Robię masę złych rzeczy i jestem w tym naprawdę dobry.

Zrobił krok w jej kierunku. To wystarczyło, by dystans między nimi zmniejszył się niemal do zera. Właśnie w tym momencie ciało Carmen znów zeszytywniało i nawet jeśli pragnęła uciec, nie mogła się do tego zmusić. Panowała jedynie nad swoim umysłem, w którym wszystko ostrzegało ją przed złem. Organizm natomiast odmawiał posłuszeństwa – straciła nad nim kontrolę.

– Dlatego... – urwał, jakby nagle stracił głos. Zachrypiły ton Malachaia zawisł w powietrzu, tuż przy jej uchu, gdy powoli odgarnął z twarzy Carmen kosmyk włosów. Zaciągnął się zapachem perfum dziewczyny, a ona tylko mu się przyglądała. Nic więcej nie mogła zrobić. – Powinnaś ode mnie uciekać, Karmelku!

Odsunął się. Carmen jednak wciąż nie potrafiła się ruszyć, jakby ktoś zamienił ją w ozdobny posąg. Miała wrażenie, że jej umysł zacina się za każdym razem, gdy któryś z piekielnych braci nakazuje jej uciekać. Nie mogła przetworzyć tej informacji, chociaż był to prosty przekaz.

Nie musiał powtarzać tego drugi raz. Kiedy odzyskała panowanie nad ciałem, ruszyła przed siebie. Co kilka kroków odwracała się, by jeszcze go zobaczyć. On też na nią patrzył. I wiedział, że powinien na nią uważać. W jej zielonych oczach płonął bowiem ogień piekielny, który sprawiał, że upadały królestwa, a każdy krok wprawiał planetę w przeciwny ruch.

Zapatrzył się na nią do tego stopnia, że poczuł się jak w transie, z którego wyrwało go dopiero poczucie czyjejs obecności przy boku. Nie musiał poruszać głową, by zrozumieć, kto do niego dołączył. Świadomość tego, kto stał obok, wywołała na jego ustach uśmiech.

– Rozumiem już, co w niej widzisz, braciszku – powiedział, trykając Holdena po kumpelsku w łokieć. – I wiesz, może pozwolę jej żyć.

*Z naciskiem na „może”,* pomyślał, posyłając bratu jeden z tych uśmiechów zarezerwowanych dla najbliższych osób.

## 10.

Malachai próbował się skupić. Pochylał się nad stołem pełnym pieniędzy, które udało mu się zebrać w ciągu ostatniego tygodnia. Patrzył na nie z ogromnym zainteresowaniem, a potem miał papier między palcami. Usiłował je policzyć, ale za każdym razem kończyło się tak samo – gubił się gdzieś w połowie i musiał zaczynać od początku. Nie chodziło tutaj nawet o jego zdolności matematyczne, ale bardziej o chaos w głowie, który utrudniał mu normalne funkcjonowanie. Nie pomagała też brunetka stojąca za plecami.

Właściwie nie wiedział, dlaczego się z nią spotkał.

Chyba z nudów.

Sybil pochyliła się nad nim i delikatnie musnęła ciepłymi wargami kark. Nie poczuł nic prócz jeszcze większej frustracji. Rzucił ze złością banknoty na stół, a następnie opadł na skórzaną kanapę niczym kłoda. Westchnął ciężko, ale Sybil się tym nie przejęła. Nie zważając na to, jak bardzo jest podminowany, ponownie pocałowała go w szyję, a jej włosy poślaskotały jego skórę. Starła się go rozluźnić, jednak nie pomagał nawet zapach jej perfum, który sam wybrał.

Kai przewidywał, że za moment puszcza mu hamulce.

– Przestań – jęknął, odsuwając się kilka centymetrów w bok. – Nie widzisz? Pracuję.

Głową wskazał na stos banknotów. Wrócił do poprzedniej czynności. Nachylił się nad stołem, opierając łokcie na kolanach. Przyłożył palce do skroni i zaczął je lekko masować, jakby to miało pomóc mu się skupić. Myślał intensywnie, choć nie wychodziło z tego nic sensownego. Wzrokiem wodził za biodrami Sybil, które kołysały się od prawej do lewej, gdy podchodziła bliżej.

– Teraz się mną zainteresujesz? – spytała, zgarniając z blatu kupkę pieniędzy. Podrzuciła je w powietrze, tworząc zielony deszcz, który powoli na nich spadł. Zachichotała, ale Kai nie wyglądał na zadowolonego. Dla niego to nie było zabawne. – Nudzę się.

Usiadła obok. Zbyt blisko. Momentalnie poczuł, że się dusi.

– To znajdź sobie jakieś zajęcie – odpowiedział z wyczuwalną irytacją w głosie. Nawet na nią nie patrzył, by bardziej się nie denerwować. Sybil spróbowała dotknąć wierzchem dłoni jego twarzy, jednak w porę złapał ją za nadgarstek. Trochę boleśnie, ale jej to nie przeszkadzało. Przez lata znajomości przyzwyczała się do jego brutalności. Może nawet ją lubiła. Uśmiechnęła się zalotnie. – Niezwiązane ze mną.

Pozwoliła na to, by pracował w ciszy przez kilka minut. Później zaczęła nucić pod nosem melodię, której nie znał, choć brzmiała jak typowa piosenka z radia. Wierciła się w miejscu, ciągle się do niego zbliżając, i wdychała teatralnie, by zwrócić na siebie uwagę. Nieświadomie osiągała przeciwny skutek.

Kai powoli tracił kontrolę.

– Czy Holden spotyka się z tą rudą? Podróbka Selene? – spytała w końcu. Dopiero wtedy odwrócił głowę i posłał jej dziwne spojrzenie. Wiedziała doskonale, jak go podejść. W geście triumfu założyła nogę na nogę i wydeła pomalowane na brązowo usta, udając zamyśloną. Teraz to ona chciała go ignorować.

Tylko Malachai Yordan nie pozwalał się lekceważyć. Nigdy.

– Skąd ten pomysł? – podłapał temat. Uniósł brwi w zamyśleniu. Pozytywna odpowiedź nie wchodziła w grę. Wiedziałyby to. Chyba. Ostatnio nie dogadywał się z bratem zbyt dobrze. I na samą myśl, że Holden miał przed nim tajemnice, poczuł ukłucie złości.

Carmen Clark miała należeć do niego. Za wszelką cenę.

– Informacje kosztują – mruknęła, przenosząc kosmyki włosów z ramion na plecy. Uśmiechnęła się dumnie, czując, że minimalnie wysunęła się na prowadzenie. To była jej szansa na dostanie tego, czego chciała.

Kai przewrócił oczami. W normalnych okolicznościach pewnie odpuściłby gierki Sybil. Znał je zbyt dobrze, bo sam wiele ją nauczył. Ale coś podpowiadało mu, że nie powinien. Uniósł się lekko, by przeszukać kieszenie džinsów. Po paru sekundach z tylnej kieszeni wyciągnął woreczek z białym proszkiem. Narkotyki na czarną godzinę.

To była przecież Sybil. Zrobiłaby wszystko, aby impreza w jej głowie nie ustała.

Gdy się wyprostował, znów siedziała niebezpiecznie blisko. Przypominała trochę modliszkę, która



zamierzała pożreć go w całości. Nie zareagował, kiedy poczuł na ustach słodkie wargi dziewczyny. Napierały mocno i gorąco. Pozwolił jej na to. W zamian też odwzajemnił pocałunek, chociaż to była ostatnia rzecz, na jaką miał wtedy chęć. Sytuacja rozwijała się jak zawsze szybko. Czuł, jak dłoń dziewczyny wędruje do jego rozporka, a on nie odczuwał ani grama podniecenia.

Był wypłukany z wszelkich uczuć.

Zbyt wiele demonów zaprzętało mu głowę, by mógł skupić się na czymś tak przyziemnym, jak kobiecy dotyk.

Przeniósł usta na kark Sybil, równocześnie zsuwając z jej ramienia ramiączko bluzki. Wplótł palce w ciemne włosy dziewczyny i mocno nimi szarpnął, powodując, że zadarła podbródek. Patrzyła mu prosto w oczy. Wciąż prowokująco, choć dotarło do niej, że dała się podejść.

– Nic więcej dzisiaj nie dostaniesz – sapnął. – Mów.

Z ust Sybil wydostało się westchnienie pełne niezadowolenia.

– Przyjechał z nią na moją imprezę – powiedziała oschle, wrywając się z uścisku Kaia, gdy tylko go poluzował. Poprawiła dłonią nieco potargane włosy, naciągnęła z powrotem ramiączko i przejechała palcami po ustach, ścierając pozostałości po szmince. – Widziałam też, jak niedawno gadali w samochodzie. Łazi za nią jak za Selene. Co z nim nie tak?

Kai potrząsnął głową, nie chcąc w tej chwili rozgrzebywać przeszłości. Liczyły się tylko informacje, jakie otrzymał. Sama wzmianka o Carmen obudziła w nim nadzieję. Jego oczy załśniły z dzikością. To był znak. Szczęśliwy dzień, na który niecierpliwie czekał. W ciągu sekundy podniósł się do pionu jak porażony prądem.

– Kotek, dlaczego ci na niej tak zależy? – spytała smutno Sybil, widząc rosnące w nim podekscytowanie. Czuła zazdrość, która sprawiała, że spadała jej samoocena. Zaczynała się zastanawiać, w czym Carmen była od niej lepsza, skoro wzbudzała tak duże zainteresowanie Kaia.

Nie odpowiedział, bo sam nie wiedział, co mógłby powiedzieć.

W geście rozpaczki spróbowała złapać go za rękę, by już zawsze z nią został, ale poruszał się zbyt szybko. Była skazana na porażkę. Zawsze przegrywała z jego demonami. Patrzyła na niego z zawiedzioną miną, gdy z nadludzką szybkością opuszczał klub.

Zostawił ją samą.

O tej godzinie na parkingu stało tylko jedno auto, które ostatnio dzielił z Holdenem. Wsiadł do środka. Najpierw włączył muzykę, która kołła jego myśli, a następnie zaczął przeglądać historię nawigacji, aż natknął się na nieznany adres. Uśmiechnął się do siebie i nie marnując więcej czasu, odpalił silnik. Na miejsce dojechał w przeciągu dziesięciu minut, starając się unikać sygnalizacji świetlnej.

Zatrzymał się pod blokiem. I to okazało się strzałem w dziesiątkę.

Nie wiedział, jak długo siedział w samochodzie, obserwując okolicę, ale na dworze powoli zmierzchało. Niemal usnął, nim ujrzał rudowłosą dziewczynę. Nie była sama. Stał przy niej wysoki mężczyzna. Nawet z daleka wyglądali na radosnych, żywo dyskutując. Kiedy uświadomił sobie, kto jej towarzyszy, z wrażenia rozdziawił usta. To był Holden. Nie miał żadnych wątpliwości. Zasłaniał swoją twarz kapturem i czapką z daszkiem, ale Kai poznałby wszędzie sposób, w jaki się poruszał. Ze złości zacisnął dłoń na kierownicy, wydając z siebie zachrypnięty pomruk.

Holden go wykiwał.

A Malachai nie zamierzał pozostać mu dłużnym.

Pośpiesznie sięgnął po telefon, odszukał odpowiedni numer telefonu, który na szczęście kiedyś zapisał, i wcisnął zieloną słuchawkę. Nie musiał długo czekać.

Odebrał niemal od razu.

– Dzień dobry, James – zaświergotał radośnie Kai. – Czas na spłatę długu.

Nadszedł czas na wyłonienie zwycięzcy.

• • •

Tego wieczoru nie potrafiła znaleźć sobie w mieszkaniu miejsca – krążyła po pokojach jak nakręcona, potem wpadała do kuchni, jakby miała w tym głębszy cel, by na końcu wrócić z powrotem do sypialni. Była sobota. James już dawno w dziwnym pośpiechu wyszedł na imprezę, jakby pragnął za wszelką cenę znaleźć się w innym miejscu. Ale czy mogła go to obwiniać? Absolutnie nie. Sama wciąż trzymała go na dystans. Dlatego szwendał się z kumplami, dzięki czemu pierwszy raz od kilku tygodni została sama w domu i powoli zaczęła żałować tej pochopnie podjętej decyzji.

Carmen Clark czuła bowiem niepokój, który przepływał przez całe jej ciało, niczym przepowiednia, że wydarzy się coś złego.

Z tą myślą na nowo przekroczyła próg kuchni z zamiarem zaparzenia świeżej herbaty, bo ostatnia

zdażyła wystygnać w kubku. Elektryczny zegarek wbudowany w kuchenkę pokazywał równo północ, gdy wstawiła wodę. Oparła się o blat i ze znużoną miną zaczęła wystukiwać paznokciami wymyślony rytm. Telefon, który z przyzwyczajenia schowała do tylnej kieszeni dżinsów, rozdzwonił się tak niespodziewanie, że z wrażenia podskoczyła w miejscu, uderzając kolanem o szafkę.

Serce Carmen momentalnie zabiło szybciej.

Niechętnie sięgnęła po komórkę. Jej oczy spoczęły na wyświetlaczu i otworzyły się szerzej, kiedy zobaczyła nadchodzące połączenie od nieznanego numeru. Postanowiła je zignorować, wmawiając sobie, że to nic ważnego. Odłożyła telefon na blat. Nie minęła minuta, a ekran ponownie się podświetlił, tym razem sygnalizując nową wiadomość.

*Od Nieznany: MNIE SIĘ NIE IGNORUJE*

Carmen z trudem przełknęła ślinę, która parzyła niczym ogień. Nie miała już wątpliwości, do kogo należał ten numer. Odpowiedź była oczywista. Rozejrzała się podejrzliwie dookoła, bojąc się, że za chwilę poczuje obok obecność nieproszonego gościa. Była zdana tylko na siebie. Aby uspokoić huragan myśli, zawzięcie powtarzała, że nie istnieje żadna szansa na to, że ktoś niezauważenie wdarł się do środka.

A jednak miała wrażenie, że Kai jest nadzwyczaj blisko, jakby stał za nią i ciepłym oddechem muskał odkryty kark.

Wzdrygnęła się, słysząc znów tę samą melodię. Niepewnie zerknęła na wyświetlacz. Kolejne połączenie, świadczące o tym, że jest bardzo niecierpliwym. Nie wiedziała jednak, co powinna zrobić, więc postąpiła dość nierozważnie – odebrała dla świętego spokoju.

– Czego chcesz, świrze? – warknęła głosem pełnym gniewu. Słyszała szum oraz krótki, chrapliwy oddech, który sprawił, że wszystkie włosy na jej ciele stanęły dęba.

– Och, Karmelku – westchnął rozanielony. Carmen wyobraziła sobie, jak uśmiecha się w swój własny sposób, potrząsając głową z rozbawieniem. Skarciła się w myślach, że w ogóle o nim pomyślała. Nie wiedziała, skąd ten obraz tak nagle pojawił się w jej głowie. – Nie wiesz, że nieładnie tak obrażać innych? Gdybym coś czuł, mógłbym się przejąć.

Przewróciła oczami.

– Poważnie, Malachai. Czego chcesz? – rzuciła zirytowana całą tą szopką. Bawił się, to było pewne. Skradał się powolutku jak drapieжник. Stopniowo skracał ich dystans, by ostateczne spotkanie smakowało jak najlepiej. Jak wygrana.

– Ciebie – mruknął z pewnością. – Zawsze ciebie. Jeszcze tego nie zauważyłaś?

Przymknęła powieki, po czym nabrała w płuca tak dużą ilość powietrza, że niemal się zakrztusiła. Chciała zachować spokój. Trzymać nerwy na wodzy, by nie użyć nieodpowiednich słów. Ale była w domu całkowicie sama i powoli przestawała wierzyć w to, że mogła czuć się w tym miejscu bezpiecznie. Obserwowała swoje dłonie. Drżały jak po porządnej dawce adrenaliny. Od chaotycznie krążących myśli zawirowało jej w głowie.

– Wybacz – odpowiedziała po chwili namysłu i idąc jego tokiem myślenia, dodała od niechcenia: – Spóźniłeś się. Ktoś już mnie zarezerwował.

Po drugiej stronie wreszcie zapanowała cisza, jakby tymi słowami go zagięła. Nie słyszała żadnych oznak mogących świadczyć o tym, że wciąż był przy telefonie. Docierał do niej tylko dźwięk jej własnego serca, które boleśnie objęło się o klatkę piersiową. Chciała się rozłączyć, ale los miał dla niej inne plany.

Malachai po kilkunastu sekundach milczenia zaniósł się swobodnym śmiechem.

– Wiesz, Karmelku, chodzi o to, że nie ma lepszych ode mnie. I jestem coraz bliżej. – Niski, złowieszczy głos Kaia przyprawiał ją o dreszcze. Przejechała dłonią po twarzy, wsłuchując się w jego ciężkie kroki. Odniosła wrażenie, że nie słyszała ich tylko przez telefon, ale również w pobliżu. – Czujesz?

Automatycznie pokręciła głową, choć wiedziała, że on przecież nie zobaczy jej reakcji.

– Błefujesz – prychnęła, chcąc brzmieć obojętnie, jakby jego zaczepki po niej spływały. Musiała grać i właśnie przez to przekonanie nieświadomie coraz bardziej plątała się w sieci, jaką zarzucał, by ją schwytać.

– Można powiedzieć o mnie wiele złego, ale nie kłamię w poważnych sprawach.

Carmen rozchyliła usta, zdziwiona tym wyznaniem.

– Tik-tak. Tik-tak – powtarzał jak zapętloną piosenkę. Miał rozbawiony głos, jakby czerpał radość z jej strachu, co tylko podnosiło poziom jej irytacji. Na zmianę była wściekła i przerażona. – Słyszysz? Twój czas ucieka!

Zachwiała się, uderzając kością ogonową o blat, kiedy Kai podniósł głos niemal do krzyku. Jęk-

nęła tak cicho, by tego nie usłyszał, a potem docisnęła dłoń do obolałego miejsca. Wypuściła powietrze przez usta, zbierając się na odwagę. Zamierzała mu się przeciwstawić.

– Jeśli uważasz, że mnie tym przestraszysz, to grubo się mylisz, Malachai – oznajmiła szybko. Wylewała z siebie słowa tak ekspresowo, jakby obawiała się, że w pewnym momencie zapomni swoich myśli. – Rozłączam się.

– Nawet nie pró...

Zrobiła to. Rozwścieczyła diabła. Wcisnęła czerwoną słuchawkę i odłożyła telefon na blat. Uśmiechnęła się dumnie, bo wygrała to starcie. Jednak tak bardzo skupiła się na głosie Malachai, że nie zorientowała się, że czajnik zaczął niemiłosiernie wyć, jak dziecko domagające się uwagi. Zalała herbatę, a następnie pochyliła się nad gorącym napojem, ponieważ nagle zrobiło jej się zimno. Odczuła bowiem chłód dochodzący z korytarza. Marszcząc czoło w zaskoczonym grymasie, wychyliła się z kuchni.

Drzwi wejściowe były otwarte i zapraszały do środka.

Zamarła. Serce tak wysoko podeszło jej do gardła, że mogłaby je zwrócić.

Najlepiej samemu Bogu.

Niewiele myśląc, chwyciła z szafki nóż kuchenny. Dystans dzielący ją od drzwi pokonała błyskawicznie w przeciągu paru sekund. Zatrzasnęła je mocno, upewniając się, że tym razem na pewno przekręciła zamek. Oglądając się za siebie, wróciła do kuchni. Cały czas łudziła się, że to tylko wytwór wyobraźni. Niemożliwe, by Kai otworzył te cholerne drzwi. Po prostu musiała ich nie zamknąć, a sprawcą zamieszania był tylko hulający na dworze wiatr.

Kiedy podeszła do blatu po herbatę, telefon ponownie zaczął wibrować.

*Od Nieznany: Jak myślisz – zamknęłaś mnie w środku czy na zewnątrz???*

Carmen niemal słyszała w głowie jego poważny ton oraz szyderczy śmiech. W umyśle widziała również oczy Kaia, które śmiały się razem z nim, choć płonął w nich niebieski ogień. Poczuli się słabo, więc bezsilnie opadła na blat, przez co przypadkowo zrzuciła kubek na podłogę. Roztrzaskał się na kafelkach, tworząc na nich mozaikę. Na szczęście w porę stąpnęła w tył, ratując się przed oparzeniem pierwszego stopnia. Przyłożyła dłoń do mostka i oddychając miarowo, wyrzuciła z siebie kilka niecenzuralnych słów.

W tej samej chwili wokół rozległo się intensywne pukanie, które wzbudziło czujność Carmen. Ogarnęło ją uczucie niepokonanego strachu, który zakleszczył się głęboko w niej. Pragnęła uciekać – jak najdalej, jak najszybciej, byle z dala od tego uczucia. Ale nie mogła, ponieważ przejmowało nad nią kontrolę. Stawała się nim.

Na powrót chwyciła w drżące dłonie nóż. Wyszła na wąski korytarz, stawiając kolejne kroki w przód. Wbiła wzrok w ciemność, bo tylko to jej pozostało.

– Otwórz! To ja! Nie wziąłem kluczy!

To był Cameron.

Słyszając znajomy głos, pozwoliła sobie odetchnąć z ulgą. Bez wahania przekręciła klucz i wpuściła brata do środka. Nigdy tak bardzo nie cieszyła się na widok Jamesa. Lekki uśmiech pojawił się na jej ustach, ale zszedł z nich równie szybko. Zobaczyła, jak brat wpada do swojego pokoju, przeszukując szafki.

– Na dworze piździ złem – mruknął.

*Dosłownie*, pomyślała Carmen, gdy instynktownie zerknęła na drzwi.

– Widziałaś moją... dobra, nieważne. Już mam!

W ciszy obserwowała, jak James narzuca na ramiona czarną kurtkę. Wiedziała już, że nie zamierzał zostać na dłużej. Wrócił tylko na chwilę, bo o czymś zapomniał. Udowodnił to, całując ją mocno w policzek jak na pożegnanie. Za moment znów miała zostać sama. Ta myśl zjadała ją od środka i nie pozwalała normalnie oddychać. Mogła oczywiście próbować zatrzymać brata, ale nie chciała obarczać go swoimi problemami, bo sam miał ich zbyt wiele.

Nie prosiła go o ratunek, ponieważ nigdy tak naprawdę nie chciała być ratowana.

Zielone oczy Carmen zawiesiły się na plecach Camerona, kiedy żywym krokiem zmierzał do wyjścia. Widziała, jak otwierał drzwi, a zaraz po tym jej świat zaczął się walić.

Próbowała się ruszyć, kiedy głowa Jamesa zderzyła się ze ścianą, a ciało zachwiało się na bok, po czym powoli osunęło na ziemię, ale nie była w stanie nic zrobić. Mogła tylko stać i patrzeć na osobę, która wyłoniła się zza bezwładnej sylwetki brata.

Kilka sekund zajęło jej przetworzenie tego, że mężczyzną w progu drzwi jest Malachai Yordan. Stał z błyskiem w oczach, które w znikomym świetle lampy wydawały się bardziej niebieskie niż niebo; z szelmowskim uśmiechem błakającym się na ustach. Niewątpliwie skrywał w sobie grzechy od jeden do

siedem.

– Sorka, James – mruknął tak, jakby nie chciało mu się otwierać ust. Z obrzydzeniem na twarzy wyminął ciało chłopaka, dodając pod nosem: – Doceniam starania, ale zrozum, że nigdy cię nie lubiłem.

Carmen słyszała każde słowo. Wzbudził jej ciekawość.

– Czy wy...? – Tylko tyle była w stanie z siebie wydusić.

– ...znamy się? – dokończył za nią, unosząc pytająco brwi. Nie odpowiedziała, bo jej gardło się ścisnęło. Zupełnie tak, jakby to on zacisnął palce na krtani. – Jasne! Jak myślisz, Karmelku, dlaczego tu jestem? Nie chwalił się, że wykorzystał cię jako kartę przetargową?

Zamknęła oczy, pragnąc zniknąć i raz na zawsze odciąć się od informacji, które spadły na nią jak lawina. Nie potrafiła się z nich wygrzebać, choć dzielnie walczyła. Wszystko powoli układało się w całość. Dotarła do niej przerażająca prawda. Coś, co wywołało u niej zawroty głowy. Coś, co sprawiło, że kolana zmiękły, a w oczach niezniszczalnej dziewczyny pojawiły się prawdziwe łzy.

Jej brat ją wykorzystał.

Dlaczego się zdziwiła? James przecież uwielbiał nieczyste zagrywki. Dlaczego to tak zabolowało? James przecież uwielbiał ją ranić.

– Nie zbliżaj się! – krzyknęła, wymachując na oślep nożem, gdy Kai wykonał ku niej następny ruch. Wydawał się niewzruszony faktem, że ktoś jawnie mu grozi. To było dla niego jak rutyna. Kącik jego ust drgnął. Wyglądał tak, jakby całym sobą starał się tłumić spazmy śmiechu, jakie w nim narastały.

– Jesteś naprawdę urocza, kiedy próbujesz się bronić – powiedział, uśmiechając się olśniewająco. Brzmiał mniej mrocznie niż przez telefon, ale jego głos wciąż miał w sobie nutkę zła. – Podchodzę bliżej, co z tym zrobisz?

Kolejny krok miażdżący przestrzeń między nimi. Powietrze wydawało się gęstsze od ich oddechów, które mieszały się w jedność. Szydził z niej i nawet tego nie ukrywał. Uniósł dłonie na wysokość piersi, jakby oznajmiał, że ma dobre zamiary.

– Nie. Zbliżaj. Się – powtórzyła, tym razem szeptem, ponieważ głos Carmen z każdą sekundą tracił na sile i pewności. Jakby Malachai odbierał jej całą energię. I niczym potwierdzenie jej domysłów oblizal usta, sygnalizując, że szykował się do ataku.

– Wiesz, że dziewczynki nie powinny bawić się ostrymi przedmiotami?

Nie mogła oderwać od niego wzroku, chociaż bardzo chciała patrzeć gdzieś indziej niż w te pełne zła oczy. Jeden jego ruch wystarczył, by wytrącić nóż z jej rąk. Nie spodziewała się tego, a powinna. Nie zdążyła się nawet poruszyć. Ostrze niefortunnie zetknęło się ze skórą na dłoni. Poczowała pieczenie, dlatego syknęła niekontrolowanie. Zaraz po tym zobaczyła pierwszą krew.

– Widzisz? – sapnął pouczająco, kręcąc głową z politowaniem. Przydepnął nóż butem, by więcej po niego nie sięgała. – Można zrobić sobie krzywdę.

Spróbowała przewrócić szafkę na buty, ale refleks Kaia był wystarczająco dobry, by zatrzymać mebel ręką i odepchnąć go w przeciwnym kierunku. Wraz z tym wszystko w głowie Carmen zaświeciło na czerwono. Każda komórka w ciele starała się uciekać. Z tego powodu bez namysłu wbiegła do łazienki, zamykając się od środka.

Przez szybę w drzwiach zobaczyła, że Kai zatrzymał się centralnie przed nim.

– *One way or another I'm gonna get you* – zanucił radośnie. Widziała cień odbijający się na panelach. Zrobiła krok do tyłu i przypominając sobie o tym, że miała przy sobie telefon, napisała jedną wiadomość.

*Do Holden: Kai tu jest.*

Zmarszczyła brwi, słysząc dźwięk nowej wiadomości, ponieważ to nie ona ją dostała.

– Wow, Carmel – mruknął podekscytowany. Zwalczyła w sobie chęć, by go poprawić, akurat gdy dodał: – Jesteś bardzo spostrzegawcza. Tak, jestem tu. I wiesz, co? To ja mam telefon Holdena. Przykro mi, nie zostanie twoim bohaterem.

Uderzył pięścią w drzwi. Zrobił to tak mocno, że dygnęły w zawiasach, jakby zamierzały się przed nim pokłonić. Carmen podskoczyła wraz z nimi, jakby byli jednością. Cały czas panicznie rozglądała się po pomieszczeniu z cichą nadzieją na to, że wreszcie znajdzie coś, czym mogłaby się bronić. Jak się okazało, łazienka była jednak wypełniona bezużytecznymi rzeczami. Złapała więc za ręcznik i docisnęła go do wciąż krwawiącej rany.

Spojrzenie zatrzymała na drzwiach. Wciąż widziała jego buty, kiedy krążył w tę i w tę. Od prawej do lewej i na odwrót. Niecierpliwość buchała z niego chyba na całą okolicę. Wreszcie przystanął grzecznie. Ulokował dłonie na drzwiach i oparł na nich czoło. Carmen natomiast docisnęła do nich plecy w obawie przed tym, że za moment staną otworem.

– Wychodzisz? – westchnął. Słyszała, jak palcami wystukiwał rytm piosenki, którą wcześniej zaśpiewał, ale miało to złowieszczy wydźwięk niczym muzyka z horroru.

– Nie ma mowy.

Roześmiał się głośno w odpowiedzi, a dźwięk ten uwił sobie gniazdo w umyśle Carmen. Już chyba na stałe. Śmiał się tak intensywnie, że z coraz większym trudem przychodziło mu normalne oddychanie. Wciąż ubawiony wałnął otwartymi dłońmi w drewno. Dokładnie trzy razy, jakby przywoływał Krwawą Mary. W końcu jego cień się poruszył. Usiadł pod drzwiami ze zgiętymi kolanami, na których oparł łokcie.

– Dobra. Poczekam – stwierdził obojętnie. – Zastanawiałaś się kiedyś, ile czasu można wytrzymać bez jedzenia i picia? – wypowiadał na głos swoje myśli. Mówił szybko, a bałagan w głowie Carmen tylko potęgował uczucie otępienia. Musiała mocno się skupić, by zrozumieć każde ze słów, którymi ją zalewał. – Zgaduję, że niedługo się przekonamy.

Wiedział doskonale, że jej plan nie miał sensu i wciąż tu udowadniał.

– Cameron! – krzyknęła, bo nagle ją ołśniło. – Cameron, słyszysz mnie? Musisz wstać!

Malachai milczał przez kilkanaście sekund, które dla Carmen trwały znacznie dłużej. Przez moment, zaledwie krótką chwilę nawiedziła ją myśl, że może czystym przypadkiem go zagięła. Nie miała jednak pojęcia o tym, że Malachai Yordan nie dawał się zaskakiwać i zawsze był przygotowany na każdą ewentualność.

– Poważnie? – parsknął szczerze rozbawiony. – Liczysz na gościa, który spłacił tobą swój dług? – wypowiadając te słowa, z jego ust wymknęło się ziewnięcie. Nawet nie kłopotał się, by zakryć usta. Nie odpowiedziała, bo miał rację. James nie był osobą, na której powinna polegać. Wiedziała to już od dawna, a i tak głupio się łudziła. – Jak chcesz. Lepiej dla niego, żeby nie wstał.

Kai wrzuszył ramionami. Słyszała skrzypnięcie paneli, gdy podnosił się na nogi. Zaraz po tym ponownie uderzył w drzwi. Wzdrygnęła się na ten dźwięk, bo przeszył ją cała. Z wszelkich sił zaciskała usta, byle nie wybuchnąć głośnym, żalonym płaczem oznaczającym jedynie słabość. Zamknęła oczy, próbując zablokować strach, który na nowo dobijał się do odmetów jej umysłu.

– Dalej, Karmelku – stęknął Kai. – Wyjdz. Nie musisz się bać.

Kolejny silny trzask spowodował, że Carmen przestała się kontrolować. Łzy mimowolnie spływały po jej policzkach, jednak prędko starła je rękawem bluzy. Docisnęła również dłoń do ust, by nie wydostał się z nich żaden dźwięk. Nie mogła dać mu przewagi.

– Odejdz. Proszę – wybełkotała łamiącym się głosem.

– Nie mogę – odpowiedział natychmiast. Zrobił parę kroków w tył, ale nawet nie łudziła się, że zrezygnował ze swojej śmiertelnej gry. Już sekundę później kopnął z impetem w drzwi, które poruszyły się pod wpływem tej siły. – W tym problem! Jesteś ostatnim dowodem. A takie dowody się niszczy.

Malachai Yordan właśnie do tego dążył. Pragnął ją zrujnować, w każdy możliwy sposób, bo to wychodziło mu najlepiej – ranienie ludzi i sprawianie, że pozostawały z nich jedynie marne strzępy.

Uderzał w drzwi podeszwą buta długo i nieprzerwanie, jakby był do tego zaprogramowany. Po kilkunastu próbach osiągnął swój cel – wyważył je z zawiasów. Wpadł do środka niczym najpotężniejsze tornado, a gdy tylko zobaczył Carmen – kruchą i przestraszoną – jeszcze bardziej się wyszczerzył. To był władczy uśmiech pełen kpiny, pewności siebie i przede wszystkim pogardy. Nie tylko względem niej, ale także świata.

Omiótł wzrokiem sylwetkę Carmen, skanując ją kawałek po kawałeczku, jakby chciał dostrzec każdy szczegół – nawet taki, którego nie widać na pierwszy rzut oka. Wyglądała dość zabawnie w dużej bluzie, spiętych włosach i z lękiem w zielonych oczach. Krew odpłynęła z jej twarzy, szpecąc ją potworną bladością. Kątem oka zerknęła na ciało brata, które nawet się nie poruszało – nie potrafiła stwierdzić, czy żyje. Pewne było tylko to, że nie może jej pomóc.

Wiedziała też, że prędko mu nie wybaczy.

Kai podszedł bliżej, burząc ostatni mur między nimi. Bez ostrzeżenia złapał ją za ramię, boleśnie wbijając palce w materiał ubrania. Doskonale знаła ten zły dotyk, który wywoływał dreszcze w dole kręgosłupa. Ostry wstrząs powędrował po każdym nerwie w jej ciele. Zamknęła oczy, szykując się na mocne szarpnięcie, ale nie nastąpiło. Zamiast tego Kai nachylił się nad nią, tak, że poczuła na sobie jego oddech.

– Tęskniłaś? – szepnął zaczepnie.

Carmen Clark przełknęła ślinę. Była na przegranej pozycji i właśnie spełniał się jej najgorszy koszmar, który przeistoczył się w ludzką formę. Ponieważ Malachai Yordan był demonem ze snów, najprzystojniejszym ze wszystkich upadłych aniołów.

## 11.

Obserwowała go z szaleńczo bijącym sercem. Nie miała odwagi się odezwać, dlatego tylko na niego patrzyła. W pełnym skupieniu, jakby był zakazanym dziełem sztuki ukrytym w podziemiach muzeum. Dzięki temu zauważyła kilka istotnych faktów. Malachai Yordan był panem ciemności. Nosił zapach krwi oraz śmierci niczym najlepsze perfumy. W jego pustych oczach królował lód, a w żyłach ogień.

Palił się jasno światłem tysiąca słońc.

– Mam coś na twarzy? – spytał nagle, przerywając milczenie, które trwało, odkąd siłą wpakował ją na miejsce pasażera w samochodzie. Odruchowo przejechał palcami po prawym policzku, ale przy tym nie oderwał wzroku od drogi. W spokoju zaciskał dłonie na kierownicy.

Na jego ustach błąkał się luzacki uśmiech, a to skłoniło Carmen do rozmyślań nad tym, czy Malachai Yordan kiedykolwiek przestawał się uśmiechać. Choćby na chwilę. I im dłużej mu się przyglądała, tym bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że najzwyczajniej w świecie grał. Przed nią, przed ludźmi i chyba również przed samym sobą.

Rozgryzła go rewelacyjnie.

Każdego dnia przylepiał do ust najpiękniejszy ze wszystkich uśmiechów na świecie i poza światem, by zamaskować to, jak fatalnie czuł się w środku – niemal martwo. Tylko stabilne bicie serca wciąż nieznośnie przypominało o tym, że żyje.

– Co zamierzasz ze mną zrobić? – szepnęła, chociaż nie była pewna, czy chce poznać odpowiedź. Miała ochotę odwrócić wzrok, ale było w nim coś, co sprawiało, że tego nie zrobiła. Wzbudzał zainteresowanie, kryjąc w sobie same tajemnice.

Dopiero kiedy po długiej chwili dobiegł do niego damski głos, zerknął na Carmen. I choć przypominało to obojętne zerknięcie na osobę, która nie wzbudza w nim emocji, jego spojrzenie było tak intensywne, że momentalnie zmroziło ją od wewnątrz, jakby w środku niej zapanowała zima. Przez kilkanaście sekund po prostu na nią patrzył ze zmarszczonym czołem. On też pragnął ją rozszyfrować, bo wydawała się równie zawiła, co on.

Wiedział doskonale, że Carmen Clark zdecydowanie nie jest poezją, do której ktoś mógłby wzdychać. Nie była też ulepiona z pięknych słów, przez które miękną serca. Jej uśmiech nie był jasny jak słońce, a w tych zielonych oczach nie błyszczały gwiazdy. W zamian unosiła koślawo kąciki ust, prezentując wymuszony uśmiech złamanego człowieka, a jej oczy tonęły w smutku. Była więc prawdziwa. Surowa. Pełna wad.

Była najgorszą wersją siebie.

Tak właśnie się czuła, gdy dotarło do niej, że musi zmierzyć się z rzeczywistością, zamiast zamykać ją na lata w klatce. I nie chodziło nawet o to, że wpadła w pułapkę diabła, a o fakt, że przyczynił się do tego James – jej starszy brat, osoba, która powinna ją chronić, jednak postanowiła ją upokorzyć. Nie potrafiła pojąć tego, że posunął się tak daleko. Czy w ogóle mu na niej nie zależało?

Kai grał nieco na zwłokę, przedłużając milczenie, ponieważ do tej pory nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji. Gonienie za nią aż do utraty tchu i ściganie jej niczym myśliwy na polowaniu było fajną zabawą, rozrywką oraz ucieczką przed własnymi demonami. A one nigdy nie odchodziły, tylko czasami chowały się w ciszy, by później na nowo się uaktywnić.

– Może będę cię torturował – stwierdził obojętnie, poruszając ramionami.

Zauważył, że się zamyśliła.

– Może w zamian mnie wypuścisz? – spytała z nadzieją w głosie, naiwnie ludząc się, że Kai nagle zmieni zdanie. Zauważyła, jak na ułamek sekundy kącik jego ust uniósł się o milimetr, kiedy rozbawiony jej pytaniem, potrząsnął głową. Uciekła wzrokiem w dół, wlepiając go w paznokcie. – Wasz sekret jest bezpieczny.

W przeciwieństwie do niej. Ją od bezpieczeństwa dzieliła długa, kręta droga.

– Wiesz, kiedy można utrzymać sekret w tajemnicy? – zapytał, po czym przechylił lekko głowę w bok, by zobaczyć Carmen kątem oka. – Kiedy jedno z nas będzie martwe.

– Och, czyli jeśli to ja zabiję cię pierwsza... – rozmyślała na głos, robiąc minę, która na myśl przywołała filozofa dumającego nad początkiem świata.

Kai w odpowiedzi roześmiał się swobodnie, jakby walnęła głupotę. Brzmiał jak piękna metafora, której nigdy nie udało jej się zapisać, bo zbyt szybko ulatniała się z umysłu.

– Możesz spróbować – mruknął od niechcienia. Do jego młodej twarzy wciąż przylegała ciężka maska obojętności. I albo zwyczajnie jej się przewidziało, albo mięsień przy ustach Kaia naprawdę drgnął, by upiększyć go zalotnym uśmiechem. Stłumił w sobie ten dziwny odruch, zaciskając mocniej palce na kierownicy, ponieważ nie chciał jawnie przyznać, że minimalnie go rozbawiła.

Odniosła wrażenie, że Malachai Yordan rzuca jej wyzwanie. A ona zawsze podejmowała rękawicę, nawet jeśli nie miała żadnych szans. Była przecież uosobieniem autodestrukcji. Uśmiechnęła się dyskretnie, po czym spuściła głowę, zakrywając twarz pasmami rudych włosów, by to zatuszować.

– Właśnie wpadłem na świetny pomysł! – oznajmił Kai z entuzjazmem, stukając palcami o krawędź kierownicy. Kolejny raz kąciki jego ust zadarły się ku górze, przez co naturalnie zaznaczyły się zmarszczki wokół nich. – Jesteś głodna? Bo ja umieram z głodu.

Niczym w odpowiedzi na pytanie brzuch Carmen wydał z siebie charakterystyczny dźwięk, choć czuła, że jej żołądek już dawno zacisnął się w supeł. Rozchyliła usta, a parę sekund później je zamknęła, uświadamiając sobie, że tak naprawdę nie ma nic do gadania. Jej zdanie go nie obchodziło. Skręcił nagle, zbaczając z głównej drogi. Zjechali na obszerny parking przydrożnej knajpy.

Zaparkował gdzieś na tyłach. Odtwarzając w głowie pogadanki mamy na temat bycia dżentelmem w towarzystwie kobiet, obszedł auto dookoła i otworzył przed Carmen drzwi. Spojrzała na niego zdziwiona, gdy wyciągnął do niej dłoń, by pomóc jej wysiąść. Ona jednak prychnęła i wywracając oczami, wyszła na zewnątrz o własnych siłach.

Rozejrzała się po okolicy. W niedalekiej odległości zobaczyła wielki, neonowy szyld z nazwą lokalu, kilka aut obok, głównie ciężarówek, oraz mężczyznę, który palił papierosa przed wejściem. To miejsce zdecydowanie nie przypadło Carmen do gustu. Poczowała chłód, więc objęła się ramionami. Kai najwyraźniej to zauważył, ponieważ chwycił jej nadgarstek, ciągnąc ją za sobą, jakby oznajmiał wszystkim, że Carmen Clark jest jego zdobyczą.

Kiedy spróbowali przekroczyć próg lokalu, zatrzymał ich nieznajomy mężczyzna. Wyciągnął z ust ledwie tłącego się peta i zgasił go o ścianę budynku. Nim Carmen zdążyła się zorientować, stał już obok jej boku, ślizgając się obleśnym wzrokiem po jej kobiecej sylwetce od góry do dołu, a potem od dołu do góry, przez co ogarnęły ją nieoczekiwane mdłości. Z wrażenia nogi Carmen się popłatały.

– Powoli, panienko – sapnął zachryple.

Od razu poczuła na karku papierosowy oddech, który zaczął ją dusić. Wzdrygnęła się, czując na ubraniu jego palce. Zacisnęła mocno powieki z nadzieją, że wreszcie zniknie z tego przeklętego świata, ale wciąż tam tkwiła. Duszą i ciałem. Żałowała tego bardziej niż zwykle, gdy w powietrzu zawisł upiorny śmiech nieznajomego, który przyprawił ją o gęsią skórę.

I kiedy odniosła wrażenie, że wszystkie włosy na jej ciele stają dęba, a w ustach odczuła znajomy smak strachu, Kai odwrócił się przez ramię. Obdarował mężczyznę tak lekceważącym wzrokiem, pełnym pogardy oraz czystej wściekłości, że Carmen nigdy nie chciałaby znaleźć się na jego miejscu. A przecież sama miała na pieńku z samym władcą piekieł.

– Powoli? – parsknął Malachai wymuszonym śmiechem. Jednym ruchem wysunął się na przód, a jego ramię przysłoniło Carmen widok. – Powoli to łamie się kości, wiesz?

Carmen drgnęła w miejscu, choć to nie jej ręka została boleśnie wykręcona. Przymknęła powieki na krótką chwilę, a ten czas wystarczył, by mężczyzna, kierowany zwykłym odruchem, zgiął kolana, gdy jego przedramię wyginało się pod dziwnym kątem.

Przesunęła wzrokiem w bok.

Mina Kaia zdradzała jedno – cierpienie innych sprawiało mu przyjemność. Jego niebieskie oczy zabłyszczały, a z ust uciekł gardłowy śmiech. Kopnął mężczyznę w udo, dzięki czemu sprowadził go poziom niżej. Nieznajomy klęknął przed nim jak przed królem. Później złapał go za podbródek, zaglądając w ślepia.

– Sorka – mruknął. Zmieniał się na jej oczach. Przeistaczał się z wilka w potulną owieczkę. Uśmiechnął się łagodnie do swojej ofiary, po czym dodał: – Problemy z agresją. Między nami wszystko git?

Nie doczekał się odpowiedzi, bo tym razem to Carmen pociągnęła go w głąb pomieszczenia, pragnąc tylko, by zakończył to przedstawienie. Wpadli do środka, zwracając na siebie uwagę niewielkiej grupy gości. Już na starcie poczuła zapach starego oleju, który sprawił, że wykrzywiła twarz w grymasie

niezadowolenia.

Naprawdę nie chciała tam być, ale innego wyjścia nie miała. Mogła tylko liczyć na to, że los w końcu się do niej uśmiechnie i podsunie jej drogę ucieczki.

Usiedli w najmniej uczęszczanej części lokalu, tak, by nikt niepożądany im się nie przyglądał. Kai opadł na kanapę naprzeciwko Carmen, a następnie oparł łokcie na blacie, wpatrując się w stare, zdarte w niektórych miejscach menu. Wyglądał tak, jakby rzeczywiście rozważał zamówienie posiłku, choć Carmen nie była pewna, czy chciałyby napić się w tym miejscu chociażby wody.

– Ja stawiam – odezwał się, uderzając palcami o krawędź stołu. – Nazwijmy to... Hm...

Zagryzł dolną wargę i zwrócił oczy ku brudnemu sufitowi, szukając w głowie odpowiednich słów. Jego czoło przecięła pionowa zmarszczka, gdy tak intensywnie nad czymś dumał. Po upływie kilkunastu sekund klasnął w dłonie, oznajmiając tym samym, że wpadł na właściwą myśl. Wyszczerył się triumfalnie, dodając:

– Ostatnią wieczerzą.

Carmen zachłysnęła się własną śliną. On natomiast zarechotał. Śmiał się głośno i nieprzerwanie, niemal do rozpuku, aż rozboleł go brzuch. Opanował się po paru głębszych wdechach. Wytarł łzy z kącików oczu i puścił jej oczko jakby nigdy nic.

• • •

Nie miała apetytu. Beznamiętnym wzrokiem wpatrywała się w talerz pełen jedzenia, ale nie potrafiła nic przełknąć. W gardle miała bowiem własne serce ociekające strachem. Myślami była daleko – w miejscu, w którym kończy się świat. Nic nie miało większego znaczenia, gdy siedział przed nią on. Uosobienie zła. Najstraszniejszy demon. Ulubieniec diabła. Koszmar, z którego nie mogła się obudzić, nawet jeśli mocno szczypała się w udo.

– Wiesz, Carmel, to prawie tak, jakbyśmy byli na randce – powiedział, czym przerwał panującą między nimi ciszę. Słyszając, że kolejny raz pomylił jej imię, wbiła paznokcie w materiał spodni. Wywróciła oczami, a później groźnie na niego spojrzała. A przynajmniej miała nadzieję, że tak to wyglądało. – Sorka. Carmen. Ciągle mi się myli.

Analizując wypowiedziane słowa, ponownie obiegała wzrokiem młodą twarz mężczyzny.

Malachai Yordan był naprawdę przystojny, jak na potwora. Jego oczy miały kolor morza z pocztówki wysłanej przez kogoś, kto kocha, jednak nie na tyle, by zostać. Były jedynym jasnym punktem na jego twarzy, chociaż cały czas błyszczał w nich mrok. I kiedy tak im się przyglądała, dojrzała w nich świat w płomieniach, a w nim bezgłośnie krzyki, ciała pochłaniane przez żar i wino zmieszane z krwią. Patrzyła w te oczy i widziała same ostrzeżenia. Wszystko, co nieuniknione.

*Jak diabeł może kryć się w kimś, kto wygląda jak anioł, kiedy się uśmiecha?*, pomyślała.

– Każdą swoją ofiarę zabierasz na randkę, KIA? – mruknęła, wyraźnie akcentując ostatnie słowo. Puściła do niego oczko, gdy zdziwiony zadarł podbródek. Machnęła lekceważąco ręką. – Sorka. Kai. Ciągle mi się myli.

Przez krótką chwilę wyglądał tak, jakby walczył sam ze sobą, by nie wypowiedzieć na głos swoich myśli. Wciągnął usta, po czym odchrząknął. Równocześnie wbił w nią analizujące spojrzenie, jakby chciał rozłożyć ją na czynniki pierwsze – ściągnąć ubrania, zedrzeć skórę i dobrać się do kości. Wreszcie poważny wyraz jego twarzy ustąpił, a kąciki ust zadarły się w kolejnym olśniewającym uśmiechu.

– Ty jesteś pierwsza – stwierdził, poruszając obojętnie ramionami. Carmen rozchyliła usta, a potem docisnęła rozłożoną dłoń do mostka.

– Och, poważnie? – wydusiła, robiąc zaskoczoną minę. – Czym sobie zasłużyłam na taki zaszczyt, Malachai?

Słyszając swoje pełne imię, automatycznie zacisnął usta, jakby te dwie rzeczy szły ze sobą w parze. Brzmiało jak klątwa wypowiedzana z nienawiścią w sercu. Przymknął powieki, ale niski, złowrogi głos w jego głowie wciąż powtarzał to przeklęte imię, którego nie znosił. Lubił je jeszcze wtedy, gdy rodzice żyli, a świat wydawał się poukładany od A do Z. Jednak kiedy stał przy ich martwych ciałach z wyrzutami sumienia, że nie pomógł, a krew na policzkach mieszała się ze łzami porażki, przysięgł sobie, że już nigdy więcej nie pozwoli, aby ktoś tak się do niego zwracał.

To imię już na zawsze zamarło na ustach matki i odeszło razem z nią.

Tego dnia przekonał się, że to konieczne. Ta ciemność. To był jedyny sposób na przetrwanie w świecie pełnym bestii gorszych od niego. Sposób, by stać się silniejszym od tego, który tak bezwzględnie i nieodwracalnie go skrzywdził. Ta myśl pochłonęła jego umysł, serce oraz głowę. Zakorzeniła się w nim na stałe i powoli stała się po prostu nim. Dopuszczał do siebie siłę i pozwolił, aby płynęła w jego żyłach.



Tak właśnie powstał Kai – pan życia i śmierci.

Normalny chłopak z szaleństwem w oczach.

Z całych sił starał się nie zareagować tak porywczo jak zawsze, a mimo to Carmen wiedziała, że wyprowadziła go z równowagi. Nietrudno było zauważyć po nerwowym zachowaniu Kaia, że wbiła mu szpilę. Musiała tylko ustalić, z jakiego powodu tak bardzo nie lubił, gdy używała tego imienia.

Uniósł powieki. Nie wyglądał już na wkurzonego, bardziej... rozbawionego sytuacją.

– Chciałem cię lepiej poznać – odpowiedział na pytanie, które tak długo wisiało nad ich głowami, że Carmen zdążyła o nim zapomnieć. Oparł łokcie na stole i pochylił się w przód, zbliżając swoją twarz do jej. Zgarnął z talerza dziewczyny frytkę, a następnie wepchnął ją sobie do ust i powolnie ją przeżuwał, mruknął niewyraźnie:

– Zanim cię zabiję.

Znów się roześmiał. Dźwięk ten utknął gdzieś pod jej czaszką, odbijając się w głowie nieustępującym, głośnym echem. Uśmiechnęła się krzywo. Nie zamierzała zareagować na te słowa, ponieważ nie chciała, aby ponownie poczuł się zwycięzcą.

– I co niby mam ci powiedzieć? – prychnęła z krzywym grymasem. Zarzuciła nogę na nogę. Było jej już wszystko jedno. To spotkanie miało skończyć się w jeden sposób: jego wygraną. Cały czas znajdował się tak blisko, że czuła ciepły oddech we włosach i duszący zapach perfum. – Rozmiar buta? Miseczkę stanika? Czy może...

– Zdradź mi swój sekret.

Carmen zachłysnęła się śliną, kiedy dotarł do niej sens jego wypowiedzi.

– Sekret? – spytała słabym, drżącym głosem. Trochę zbyt szybko. – Nie mam żadnego sekretu – zapewniła po chwili, kiedy nagły sztorm w jej głowie zaczął się uspokajać. W głosie jednak wciąż pozostała nuta zdenerwowania, która sprawiła, że Kai wyraźnie się tym zainteresował.

I patrzył na nią tak, jakby... wiedział. Wiedział wszystko.

Gdy zaglądał w ładne oczy, zielone niczym las skropiony deszczem, dostrzegał w nich siebie, ponieważ również kryły w sobie ciemność. Wwiercał w nią niezwykle intensywne spojrzenie, jakby siłą usiłował przebić się przez wszelkie mury obronne, jakie postawiła w swoim zepsutym umyśle.

– Kłamiesz – stwierdził w taki sposób, jakby to było oczywiste. Odsunął się od niej i zrezygnowany opadł na kanapę. Jęknął z zawodem. – Każdy ma jakiś sekret.

Nie spuszczał z niej wzroku, nawet na sekundkę. A ona uciekała spojrzeniem w bok, bojąc się tej konfrontacji. Czekał więc w ciszy na jakąkolwiek reakcję. Poruszyła się niespokojnie, a do jej ust przywarł nieszczerzy uśmiech. I to utwierdziło Kaia w przekonaniu, że skrywała prawdę nie tylko przed nim, ale również przed światem. Zaintrygowała go w sposób, którego nie potrafił sensownie wytłumaczyć.

– W porządku. Ja zacznę – westchnął niezadowolony, wywracając przy tym teatralnie oczami. Językiem przesunął po dolnej wardze. – Jestem socjopata. Wiem. Sensacja.

Cały czas przed nią grał. Perfekcyjnie opanował umiejętność udawania zaskoczenia. Zachowywał się tak, jakby dopiero odczytano mu diagnozę. Podobnie jak wcześniej ona, docisnął dłoń do mostka, rozchylając usta, które i tak błyszczały rozbawieniem. Ostatecznie po paru sekundach uśmiechnął się szeroko, co przywiodło jej na myśl postać Jokera.

– Najważniejsze jednak jest to, by lubić siebie, a ja... lubię siebie.

Carmen wyczuła w tym szczerość, co nieco ją zdziwiło. Bo jakie było prawdopodobieństwo, że diabeł pokaże skrawek swojej prawdziwej twarzy?

– Dlaczego taki jesteś?

Musiała o to spytać, nim... umrze.

– Nie urodziłem się taki – odpowiedział zgodnie z prawdą. A przynajmniej w syntezie z własnymi myślami. – Ale kiedy stoisz nad martwymi ciałami osób, którym zawdzięczasz życie, a ich krew szpeci twoją twarz – przerwał, aby wskazać palcem na swoją buzię – coś w tobie pęka, zmienia cię na całe życie. Bezpownotnie.

Skrzywiła się natychmiast, gdy ta wizja pojawiła się znienacka w jej umyśle.

– Nie jest ci ani trochę przykro, że jesteś tym złym?

Malachai wybuchnął śmiechem. Tym razem odniosła jednak wrażenie, że nie spowodował tego napad wesołości, a po prostu chęć ukrycia emocji.

– Dlaczego mam przeproszać za potwora, którym się stałem? – spytał i wraz z tym jego twarz nagle stała się poważna niczym kamienny posąg. – Nikt nie przeprosił mnie za sprawienie, że taki jestem.

Carmen była zaskoczona tym wyznaniem. Szokował ją sam fakt, że w niewielkim stopniu się przed nią otworzył, oraz że z taką łatwością opowiedział o tym, co go spotkało. Jakby to nie była jego

historia. Szczerze mu tego zazdrościła, ponieważ sama nie potrafiła nawet pomyśleć o przeszłości bez chęci wbicia paznokci w skórę, a co dopiero o niej rozmawiać.

Zamrugła szybko. Niemal widziała, jak dzięki temu buduje się między nimi niewidzialna nić porozumienia. Wbrew pozorom byli do siebie całkiem podobni.

– Twoja kolej, Karmelku – mruknął, zgarniając z jej talerza kolejną frytkę. – Przekonaj mnie do siebie. Spraw, że zapagnę dać ci drugą szansę.

Milczała przez dłuższą chwilę. Do tej pory skrywała wszystko głęboko na dnie – tam, gdzie tajemnica zastygła w bezruchu przykryta grubą warstwą kurzu i niepamięci. Z reguły przyznaniem się do nieodwracalnego błędu, który zniszczył jej życie, mogłaby tylko odstraszyć potencjalnych rozmówców. Ale to był przecież Malachai Yordan. Chodzący paradoks. Zajmował ostatnie miejsce na liście osób, które powinny ją oceniać.

W porównaniu z nim wcale nie była tak okropnym człowiekiem.

Wzięła głęboki oddech. Musiała pozbierać myśli, nim wyrzuciła z siebie ledwie krótkie:

– Ja...

Oczy Malachaia zabłyszczały zadowoleniem, dzięki czemu była już pewna. On wiedział.

Czekał. Pragnął tylko, by wypowiedziała to na głos, potwierdzając przypuszczenia.

– ...zabiłam kogoś.

Zrobiła to. Wypowiadała się. I to nie było komu, bo samemu diabłu.

Czy przyznanie się przed nim do grzechów mogło skutkować rozgrzeszeniem?

Właśnie to pytanie krążyło wśród bałaganu w głowie Carmen, gdy zapadła martwa cisza. Zagryzła wargę z taką siłą, że poczuła w ustach metaliczny posmak, co przyniosło odrobinę ulgi. Ból przypominał lekarstwo. Siedziała ze spuszczoną głową, ponieważ najzwyczajniej w świecie obawiała się na niego spojrzeć. Był bowiem kwintesencją zła, które powróciło do niej ze zdwojoną mocą.

Kai przyglądał się jej przez cały czas zaintrygowany słowami, jakie wypowiedziała, bo zawisły nad nimi niczym czarne wrony będące złym omenem.

Carmen nienawidziła wracać do tamtego momentu. Do chwili, która doszczętnie zrujnowała jej życie, robiąc z niej złego człowieka. A może to zdarzenie tylko uwypukliło i zsumowało wszystkie negatywne cechy, jakie w sobie miała. Właściwie do tej pory efektownie wypierała to wspomnienie z umysłu. Jakby nigdy się nie wydarzyło. Jakby nie należało do niej, tylko do kogoś innego. Albo jakby było tylko złym snem, z którego zawsze wybudzała się z przeraźliwym krzykiem.

– Dalej, Karmelku, opowiedz mi, jak zgrzeszyłaś – mruknął Kai na zachętę.

Zdecydowała się na niego spojrzeć. Nie wiedziała, dlaczego otworzenie się przed nim okazało się tak łatwe. Przypominało terapię – tylko sto razy skuteczniejszą. Kiedy tylko rozchyliła usta, wypłynął z nich rwący potok słów, który sprawił, że poczuła się znacznie lżej. Jakby przyznanie się do winy uwolniło ją od demonów krążących nad głową.

Mówiła długo i chaotycznie.

Obrazy wracały do niej stopniowo. Kłótnia wywołana przez jej własnego brata. Fakt, że nie był jedyną osobą, która brała w tym udział. Jej chłopak Brad i wspólna koleżanka. On z przerażeniem w oczach oraz ona z determinacją wypisaną na twarzy. Jego prośby – by nie wydała go przed rodzicami, bo to zrujnowałoby mu przyszłość. James popierający najlepszego kumpla. I Carmen. W samym środku awantury, zupełnie niepotrzebna, a jednak zawiniła najbardziej. Parę mocnych słów, jej trudny charakter i potrzeba ratowania innych wystarczyły, aby to zrobiła. Popchnęła znajomą.

Selene. *Nazywała się Selene*, pomyślała, odkopując to imię spod grubej warstwy kurzu. Selene upadła na podłogę i już nigdy się nie podniosła.

A tym samym Carmen Clark spadła na samo dno, gdzie czekało tylko potępienie.

– Wow, wiedziałem, że jest w tobie coś wyjątkowego. – Głos Kaia przepełniony ekscytacją przebił się przez chmury czarnych myśli w umyśle Carmen, kiedy skończyła monolog. To spowodowało, że wreszcie przestała skubać wystającą skórkę na serdecznym palcu. Uniosła głowę. Od razu tego pożałowała, ponieważ Malachai uśmiechał się tak, jakby był z niej dumny. Jakby zło wygrało z dobrem, w efekcie czego na świecie już na zawsze miała zapanować ciemność. – Mówisz, że jestem tym złym, a prawdziwy potwór kryje się w tobie.

To nie było prawdą.

– Przestań – jęknęła żałośnie. Musiała być silna. Nie mogła pozwolić sobie, aby jej to wmówił. Nagle poczuła upał, przez co zaczęła oddychać z trudem. To ją stresowało. Bardziej niż cokolwiek innego na świecie. – Nie jestem jak ty. Nie zrobiłam tego specjalnie. Selene...

Imię, które padło z jej ust, znacznie go ożywiło. Drgnął w miejscu, po czym oparł łokcie na blacie i znów był zbyt blisko. Przechylił głowę, wodząc spokojnym spojrzeniem po twarzy Carmen, jakby chciał nakłonić ją do kolejnych zwierzeń. A przecież wiedział już wszystko, co było potrzebne. Perfekcyjnie rozwiała jego wątpliwości, dając mu nad sobą potężną przewagę.

– ...miała uszkodzony kark. Mogła umrzeć w każdej chwili.

*Zabawne*, pomyślał. To było naprawdę zabawne wytłumaczenie tego, że pozbawiła kogoś życia. I to nie byle kogo, tylko Selene, którą znał. Selene, która umawiała się z jego bratem. A potem nagle zniknęła bez słowa. Przepadła jak kamień w wodzie. A on właśnie rozwiązał zagadkę jej tajemniczego zaginięcia.

– Och, Karmelku – westchnął, jakby załamała go postawa dziewczyny. Nachylił się jeszcze bardziej. Pragnął, by dokładnie widziała jego usta, gdy wypowiadał kolejne słowa. – Ale umarła przez cie-

bie.

I choć to zdanie wywołało nagły ból w jej sercu, wiedziała, że miał rację. Mogła to wypierać, ale taka była prawda. To ona odebrała życie dziewczynie, która na to nie zasługiwała. Jego słowa uderzyły w nią z siłą kuli armatniej i już zawsze miały ją nawiedzać. Były jak zderzenie ze ścianą, po którym nie potrafiła się pozbierać. Poczwała łyzy – próbowały wydostać się na zewnątrz, jednak walczyła z całych sił, by nie rozpaść się przed Kaiem na ostre kawałki.

Odwróciła szybko głowę, ale Kai w porę złapał Carmen za podbródek, zmuszając do ponownego spojrzenia w jego oczy, które przypominały martwy ocean. Jej natomiast lśniły od powstrzymywanych emocji, ale jednocześnie wydawały się nieobecne. Zupełnie tak, jakby ulotniło się z nich wszystko to, co człowiecze.

– Holden – sapnęła słabo, gdy w głowie pojawiło się pewne wspomnienie. Ryan mówił o Selene w towarzystwie Holdena. – Znał ją, prawda?

Kai kiwnął dyskretnie głową. Nie zamierzał jednak brnąć w ten temat, bo czuł, że to zbędne. W milczeniu patrzył na Carmen, która zdawała się rozlatywać. To był kolejny cios od świata. Wiedza, że ktoś tak dobry i jasny jak Holden Yordan cierpiał z powodu kogoś tak zepsutego i ciemnego jak ona. Nie musiała o tym słyszeć – po prostu wiedziała, że odebrała mu część szczęścia.

– Wiesz, wcale nie dziwi mnie to, że James brał w tym udział – stwierdził Kai. Zmienił temat, bo nagle widok załamanej dziewczyny przestał sprawiać mu satysfakcję, choć tego właśnie pragnął. Rozebrać ją z resztek dobroci. – Niezły z niego gnojek, nie sądzisz?

Nie odpowiedziała. Wciąż nie przetworzyła tego, że własny brat poświęcił ją, by pozbyć się własnych problemów. James Cameron naprawdę był dupkiem. Boleśnie to rozumiała. Wcześniej zawsze starała się go wybielać.

– A co z Bradem? Nadal jesteście razem? – spytał z ciekawości, jakby to była najważniejsza informacja z całej historii. W odpowiedzi pokręciła głową, a on kolejny raz wyszczerzył kły w geście triumfu. – W takim razie to kutas. Nie potrafił docenić, co dla niego zrobiłaś.

Malachai Yordan by to docenił. Z pewnością.

– Skoro spowiedź przed diabłem mam już za sobą, możemy już iść? – przerwała mu. Przetarła wierzchem dłoni powieki, chcąc upewnić się, że nie wydostała się spod nich żadna łza. – Wolę już umrzeć niż patrzeć, jak bardzo cię to ucieszyło.

Spoglądał na nią przez parę sekund, pochłaniając wzrokiem każdy centymetr jej twarzy.

– Powinnaś być z siebie dumna. Przetrwałaś. Nie każdy ma w sobie tyle siły.

Carmen zamruwała gwałtownie. Czy on ją właśnie pochwalił? Nie mogła w to uwierzyć. Odniosła wrażenie, że te słowa utknęły gdzieś między jej uchem a mózgiem, dlatego nie mogła ich w pełni zrozumieć. Brzmiał... szczerze. Było w nim jednak coś, przez co nie umiała mu zaufać.

Nie czekając na reakcję dziewczyny, wstał, sięgnął do kieszeni, po czym rzucił na blat kilka banknotów. Później wyciągnął rękę w stronę Carmen, a ona ścisnęła ją bez wahania, by nie miał żadnych podejrzeń, ponieważ wyczuła idealny moment, aby uzyskać przewagę. I kiedy przestał pilnować jej spojrzeniem, pośpiesznie zgarnęła ze stołu widelec. Wcisnęła go w rękaw bluzy.

Nadszedł jej czas na walkę.

A Carmen Clark była królową bitew.

• • •

Serce podchodziło jej do gardła, przez co odnosiła nieznośne wrażenie, że lada moment będzie w stanie wypluć je na bruk. Ze stresu ręce Carmen stały się nieprzyjemnie lepkie, a na karku pojawiły się kropelki potu. Powietrze było zbyt gęste, by swobodnie oddychać. Obawiała się, że plan, jaki ułożyła w głowie, może nie wypalić. Czekala sekundy, a następnie minuty, starając się znaleźć odpowiedni moment na ucieczkę. I gdy samochód wreszcie zwolnił, by skręcić w prawo, wysunęła z bluzy tajną broń.

– Wybrałaś niewłaściwą dziewczynę – szepnęła na tyle głośno, by ją usłyszał.

Później działała tak ekspresowo i chaotycznie jak w przyspieszonym filmie. Wzięła go z zaskoczenia i sama zdziwiła się, że poszło tak gładko. Malachai nie zdążył w porę zareagować, kiedy z impetem wbiła widelec w jego udo. Wszedł w skórę łatwo jak w masło. Wnętrze samochodu wypełniło się najpierw jękiem bólu, a następnie przekleństwem, które Kai rzucił pod nosem. Przez to wszystko stracił panowanie nad autem, które zaczęło niebezpiecznie zjeżdżać na przeciwległy pas, którym z naprzeciwną pędził inny wóz. Światła raziły Kaia w oczy do tego stopnia, że nie potrafił się skupić, dopóki nie przyzwyczaił się do jasnych smug na drodze. Jedną ręką chwycił za kierownicę, w ostatnim momencie unikając bliskiego spotkania z maską auta. W jego uszach zabrzmiał dźwięk klaksonu, gdy zahamował, aby zjechać na bok.

Nie mogła marnować czasu. Z oczami wielkimi jak dwie monety wyskoczyła z pojazdu i od razu runęła na ziemię. Ciężar ciała oparła na rękach. Kosmyki rudych włosów na ułamek sekundy przysłoniły jej widok. Nie musiała patrzeć w dół, by wiedzieć, że skóra na jej dłoniach zdarła się do krwi, a miękka ziemia wdarła się do ran. Podniosła się tak szybko, jak upadła. Rzuciła rozbieganym wzrokiem po okolicy, szukając punktu zaczepienia.

Ostatecznie zaczęła bezmyślnie biec przed siebie prosto w głąb lasu. Potykała się o własne nogi, depcząc po gałęziach, które pękały niczym kości. Zwisając nisko szarpały również jej ramiona oraz nogi. Zimne powietrze kłuło w płucach. Z każdym krokiem jej oddech stawał się coraz płytszy, a nogi odmawiały posłuszeństwa. Przystanęła, by móc swobodnie zaczerpnąć powietrza. Oparła dłonie na korze drzewa i ze zmęczenia zgięła się w pół. Gdy nieco zapanowała nad reakcją organizmu, odwróciła się za siebie.

Nie było tam żadnego śladu po Kaiu.

To jednak ani trochę jej nie uspokoiło.

Ciemno, zimno i głucho. To wszystko wyostrzało jej zmysły. Bezustannie rozglądała się dookoła ze strachem. Carmen wciąż była w desperacji – cała rozedrgana. Wydawało jej się, że jest w kropce. Wciągnęła powietrze nosem. Jej stopa poślizgnęła się na wilgotnej trawie. Krzyknęła, choć może nie powinna. Dźwięk ten jednak samoistnie wydostał się z jej ust, gdy rozchyliła je, żeby zaczerpnąć powietrza. Oparła się silnej pokusie wołania o pomoc.

Bo kto miałby jej tej pomocy udzielić?

Wokół panowała przecież osobliwa cisza. Ptaki nie śpiewały. Wiatr nie szarpał drzew. Jedyne dźwięki dochodziły gdzieś z daleka. Wstrzymała oddech i zmarszczyła brwi. Docisnęła pięść do ust. Jak sparaliżowana obserwowała, co się dzieje. Słyszała jakiś niepokojący dźwięk. Kroki? Tak. Zwinne i ciche jak bieg pantery. Ale coś jeszcze – coś rozedrganego i wściekłego. Pomruk. Niski. Gardłowy. Niecierpliwy.

Nie pozwalał jej ustać pomimo bólu w każdej części ciała, pomimo dręczącego poczucia, że ucieka na marne; ponieważ Malachai Yordan był bliżej, niż przypuszczała. Stanął na drodze Carmen, wyłaniając się z ciemności niczym jej element. Nikłe światło latarni oświetlało jego plecy, przez co wyglądał tak, jakby ktoś obrysował kontur sylwetki złotą kredką. W środku jednak wciąż pozostawał niezmiennie czarny. Jak tunel bez końca.

Nawet w tych ciemnościach widziała jego dzikie spojrzenie – wzrok człowieka zdesperowanego, zdolnego do wszystkiego. Oczy diabła. Odsunęła się, jakby w ułamku sekundy mógł przeskoczyć dzielący ich dystans i się na nią rzucić. Z nagłą determinacją ruszył naprzód. Z każdym jego krokiem Carmen coraz dalej się cofała.

Krew w niej zawrzała. Chlupotała. Syczała. Płynęła wartko w całym ciele, łaskocząc żyły, aż ostatecznie dotarła do mózgu. Zaległa tam pod postacią odorującą, spienionej masy, która zaburzyła jej racjonalne myślenie. Ogarnęła ją pustka. Była jak dom, do którego nikt nie zapuka. Nigdy.

– Wow, naprawdę nie potrafisz uciekać – stwierdził z kpiną.

Patrzyła na niego zamiast pod nogi. Z tego powodu potknęła się o kamień i straciła równowagę. Spodziewała się zderzenia z ziemią, ale z mroku wyłoniła się ręka Kaia i chwyciła ją w pasie. Z niezwykłą łatwością ciągnął Carmen w stronę auta. Zupełnie tak, jakby ważyła tyle, co skrzynka piwa. Czuli oddech Kaia, kiedy szamotała się, próbując się wyswobodzić. W głowie jej się kotłowało. Próbowała wymyślić coś, co mogłaby zrobić, by odzyskać skradzioną wolność. Ale jej umysł zamienił się w próżnię.

Mimo niezliczonych prób przegrała to starcie. Kai pchnął ją na maskę samochodu, a kiedy przyległa do niej niczym druga warstwa metalu, ułokował dłoń na jej smukłej szyi. Zacisnął lekko palce, jakby sprawdzał, czy jego ręka pasuje w to miejsce. I wydało mu się, że jest stworzona tylko po to, by ścisnąć Carmen za gardło.

– Mam ci połamać nogi, żebyś przestała uciekać? – spytał z powagą w głosie, choć lekki uśmiešek na jego ustach temu przeczył. Przysunął ciepłe wargi do jej policzka, niszcząc niczym dynamit ostatnią przestrzeń, jaka ich dzieliła. Obraz przed Carmen wirował. Nie wiedziała, czy było to spowodowane paraliżującym strachem, czy bliskością Malachaia.

Trwali tak przez kilkanaście sekund w całkowitej ciszy, dopóki nie została ona zaburzona przez dzwonek telefonu w kieszeni Kaia. Sięgnął niechętnie po komórkę, odebrał, po czym umieścił ją między uchem a barkiem. Usłyszał głos pełny spokoju.

– To naprawdę zły moment, braciszku – powiedział, a zaraz po tym z jego ust wydostało się znużone ziewnięcie.

Przeniósł ciężar ciała na zranioną nogę. Od razu przeszył go ból, który dotarł do mózgu, ale Kai

nawet się nie skrzywił. Zdażył przywyknąć do tego tępego uczucia tumaniącego zmysły. Z rany wypłynęła ciepła strużka krwi, barwiąc materiał spodni. Zacisnął usta, a jego dłoń sunęła od szyi Carmen, przez linię szczęki, aż do policzka, który pogładził kciukiem.

– Gdzie ty do cholery jesteś, Kai? – krzyknął Holden. Kai odniósł wrażenie, że tylko mu się to wyrwało. Ponieważ Holden Yordan spędził z nim tyle lat, by wiedzieć, że lepiej go nie prowokować. Kai wyrzucił teatralnie oczami, poruszając ustami, jakby naśladował brata. – I dlaczego nie odbierasz?

– Sorka. Mam rękę we krwi, więc trudno odblokować mi telefon.

Spojrzał z wyrzutem na sprawczynię zamieszania. Carmen Clark była przyczyną jego pecha. Zwiastowała nieszczęścia tak dobrze, jak on sam. I potrafiła też wspaniale grać. Dlatego uśmiechnęła się niewinnie, jakby bez słów chciała mu przekazać, że nie zrobiła nic złego. Nieco go tym rozbawiła, ale stłumił śmiech.

Przed całym światem zgrywała świętą. A przy nim pokazywała rogi.

– Czy ona...

– ...żyje? – dokończył za brata. – Kiedy ostatnio sprawdzałem, wciąż miała puls.

Carmen zamknęła gwałtownie oczy, gdy dłoń Kaia na nowo znalazła się na jej gardle. Przechylając lekko głowę, ucisnął dwoma palcami prawej dłoni, wskazującym oraz środkowym, zagłębienie na szyi, tuż pod żuchwą. Liczył uderzenia, jakby odmierzał czas do końca. Niemal widział krew przelewającą się w żyłach, która zalewała jego palce.

Wyobrażenia bywała dla niego piękna, dopóki nie płała mu figli, pokazując piekło.

– Nic jej nie jest. W przeciwieństwie do mnie, ale dzięki za troskę – dodał po chwili, gdy również ze strony Holdena zaatakowała go cisza. Słyszał jedynie nierówny oddech brata, jakby bardzo się zmęczył. Postanowił więc, że wykład na temat dobrego zachowania wygłosi sobie sam. Przyjmując prześmiewczy ton, rzucił: – Tak, wiem. Nie rób głupot, Kai. Wróć do domu. Obgadamy to. Zrobimy z ciebie dobrego człowieka. BLA. BLA. BLA. Sorka, dalej nigdy nie słuchałem. Do zobaczenia niedługo.

Połączenie urwało się na dobre.

Odsunął się od Carmen z niechęcią wymalowaną na twarzy. Dopiero kiedy jego ręka zniknęła z jej ciała, dziewczyna wypuściła z ust powietrze. Ostatni raz rozejrzała się po okolicy. Wokół nadal panowały pustki. Była tylko ona. On. I niepohamowana potrzeba zerknięcia na niego. Kiwnął głową w kierunku drzwi, choć czuł, że Carmen w oszołomieniu przygląda mu się spod przymrużonych powiek, jakby chciała na niego wpłynąć.

– Wsiądziesz sama czy potrzebujesz pomocy? – mruknął, otwierając przed nią drzwi.

Patrzyła to na niego, to na auto, jakby nie mogła się zdecydować. Westchnęła, wciskając się do środka. Kai zapiął jej pasy, co wydało się Carmen nieco nadopiekuńcze jak na niego. On jednak chciał mieć pewność, że już mu nie zwieje. Kulejąc na jedną nogę, obszedł samochód i zajął miejsce za kierownicą.

Jechali w ciszy zbyt długo. Milczenie do niego nie pasowało. Przez ten krótki czas, który wspólnie spędzili, Carmen zdażyła się przekonać, że oprócz bycia niesamowicie irytującym, Malachai był również okropnym gadułą. Mówił wiele i głównie o sobie.

– Jak się czujesz? – zagaiła niepewnie. Wzrok Carmen samoistnie zjechał na jego dziurawe spodnie i czerwoną plamę wokół nich.

– A jak myślisz? – westchnął. – Jakbyś wbiła mi widelec w udo.

Carmen z nieznanego powodu wybuchnęła śmiechem. Może ją to trochę bawiło, a może czuła się bezradna. Nie mogła uwierzyć, że naprawdę to zrobiła. I w dodatku zamiast noża jako swoją broń wybrała widelec. Gdzie ona miała wtedy głowę? Na pewno nie na karku.

Malachai zerknął na nią przelotnie i też się roześmiał – pod nosem, co wydało jej się niewinne. I właśnie wtedy zrozumiała, że ma poważne kłopoty nie tylko dlatego, że Kai jest na nią wściekły, a jej życie zależy od jego humoru, ale również dlatego, że na sam dźwięk jego śmiechu serce Carmen zadrżało.

– Jesteś strasznie problematyczna – spostrzegł słusznie. Zupełnie jak on.

– Może to znak, że powinieneś mnie oszczędzić? – zadała pytanie, odwracając twarz w jego stronę. Oczekiwała odpowiedzi, ale Kai uparcie milczał. Nawet na nią nie spojrzał, więc obserwowała, jak szczęka chodzi mu na boki. Zdecydowała się na zmianę taktyki. Jeśli ucieczka nie wypaliła, musiała spróbować czegoś innego. – Mogę ci się przydać.

Z wrażenia pomylił pedał gazu z hamulcem. Auto stanęło gwałtownie na środku drogi.

– Niby do czego? – parsknął. Odkasznął, bo poczuł się tak, jakby ość utknęła mu w gardle. W dodatku w poprzek. Zgrywał ubawionego, ale Carmen dostrzegła cień zaskoczenia w niebieskich

oczach, gdy wreszcie uraczył ją spojrzeniem.

– Nie doceniasz mnie, Malachai...

Wtedy pojawił się problem. Doceniał ją – jej zawziętość, chęć życia, nieustępliwość i walkę niczym odważna lwica. Chyba nawet za bardzo.

– ...potrafię wiele zdziałać na ładne oczka.

Z tym akurat musiał się zgodzić, choć tylko w duchu, ponieważ nawet jego stalowe mięśnie twarzy z niewyjaśnionych powodów nieco zelżały, gdy para zielonych niczym wiosna oczu rzuciła na niego sieć. Albo zakłęcie, spod którego wpływu musiał się jak najszybciej wyswobodzić.

– Wcale nie są takie ładne – mruknął zadziornie, ponownie ruszając w trasę. Potrząsnął głową niczym mokry pies. – Zobaczymy – rzucił od niechcienia. Teraz to on sprawdzał, czy Carmen nabierze się na jego gierki. Zerknął na nią przelotnie. To wystarczyło, by zobaczył, jak kącik jej ust drgnął w weselszym grymasie. – Póki co twoje życie jest w moich rękach, więc lepiej nie testuj więcej moich granic.

Nim zdążyła zareagować, samochód stanął na parkingu przed niskim budynkiem. Uniosła wzrok i zauważyła, że był to sklep całodobowy. Instynkt nakazał jej drgnąć, kiedy Kai otworzył przed nią drzwi i czekał, aż wysiądzie. Jedną dłonią wystukiwał rytm o maskę auta. Spojrzeniem powiódł na swoje zalane krwią buty, które wcześniej były białe.

– Naprawdę muszę? – mruknęła. Usta Carmen ozdobił dziewczęcy uśmiech. Taki, dzięki któremu chłopcy tracili głowy. – Od uciekania przed tobą bolą mnie nogi, Malachai. Chętnie poczekam.

– Myślisz, że jestem głupi? – warknął. W ułamku sekundy przeszedł jakąś dziwną przemianę, jakby kokon sztuczności pękł, pokazując prawdziwą twarz Kaia. Zmarszczył gniewnie brwi, a jego szczeka na parę chwil szczelnie się zacisnęła. W zniecierpliwieniu tupnął nogą.

Carmen jednak wciąż go prowokowała. Tak bardzo, że mentalnie stanął na krawędzi, tuż nad przepaścią, i pierwszy raz od dawna miał ochotę się w nią rzucić, ciągnąc Carmen na samo dno. Nie odpowiedziała na pytanie, jakie między nimi zawisło. Tylko skrzyżowała ramiona pod piersiami, patrząc na Kaia z czystą obojętnością.

Tak właśnie Malachai Yordan stracił kontrolę.

– W porządku. Chętnie ci pomogę – bąknął. Brzmiał obco, jakby przemawiała przez niego diabelska siła. Jednym sprawnym ruchem szarpnął Carmen za ramię, powodując, że – chcąc nie chcąc – musiała wysiąść. A właściwie wylecieć na zewnątrz. W porę złapała się drzwi. Gdyby nie refleks, runęłyby przed Kaiem niczym podwładna przed królem. I tym samym zostałyby poniżona jak nigdy wcześniej.

Malachai rozchylił usta i mrużąc lekko oczy, obdarował ją spojrzeniem. Obserwował, jak odgarania z twarzy kosmyki włosów, które pod wpływem nagłego ruchu zamieniły się w rudą kurtynę, za którą kryła się jej blada twarz. To, jak z gracją próbowała utrzymać równowagę. I jak bardzo próbowała ukryć fakt, że przegrała to starcie. W jego oczach wyglądała dość niezdarnie, dlatego cmoknęła powietrze:

– Och, Karmelku, uważaj, bo kiedyś przypadkiem możesz zaryć głową o beton.

Siłą wyszarpnęła ramię z uścisku Kaia. Przerzuciła włosy na lewe ramię i z wrodzoną pewnością siebie ruszyła w stronę budynku. Zostawiła go w tyle. Za sobą słyszała jego ciężkie kroki, gdy pokonywał tę samą drogę jak cień. Wyminął ją dopiero przed wejściem, by uchylić drzwi i wpuścić ją do środka. W środku nie było żywej duszy. Tylko oni i siedzący przy ladzie chłopak, który z zaciekawieniem przeglądał coś na telefonie.

– Gotowa na *show*? – spytał, trącając ją zaczepnie w ramię.

Prędko uświadomiła sobie, że nawet w najśmielszych wyobrażeniach ani trochę nie była przygotowana na to, co zaplanował. Zrobił najzwyczajszą rzecz: bez pytania złapał ją za rękę. Inaczej niż zwykle. Tym razem splótł ich palce. I choć dla niego było to równie niekomfortowe, ponieważ nie lubił czuć na sobie dotyku innych, żaden mięsień twarzy go nie zdradził. Carmen szła równo z nim, ramię w ramię, chociaż w trampkach była od niego niższa i w dodatku stawiała znacznie mniejsze kroki.

Malachai odchrząknął głośno, by zwrócić na siebie uwagę kasjera.

– Cześć – przywitał się miło, machając do chłopaka za ladą. Gdy jednak ten go zbył, nieco się zdenerwował i już ostrym tonem spytał: – Pracujesz czy się opierdasz?

Sprzedawca wreszcie uniósł leniwie głowę. Obrzucił ich niechętnym wzrokiem, jakby był niezadowolony z ich obecności i z tego, że mu przerwali. I to wystarczyło, by pękła kolejna struna dzieląca Malachaia od wybuchu. Niesiony złością walnął otwartą dłonią w blat, co skutecznie pobudziło kasjera. Jego oczy otworzyły się szerzej, gdy w końcu dojrzał nie tylko dłoń pokrytą zaschniętą krwią, ale również przesiąknięte nią dżinsy.

– Czy... wszystko w porządku? – sapnął chłopak drżącym głosem.

– Jasne – zapewnił Kai, posyłając pracownikowi przyjazny uśmiech. – Sorka za kłopot. Zabawna sytuacja – mówił bez planu. Dłonią rozmasował kark. – Moja dziewczyna podczas kłótni przez przypadek ugodziła mnie widelcem. Prawda, kochanie?

Szturchnął Carmen w łokieć, wytrącając ją z transu. Do tej pory stała obok, ale odnosiła wrażenie, że w żaden sposób nie bierze udziału w tej rozmowie. Kiedy Kai pociągnął ją ku sobie, poleciała niczym piórko na wietrze, wpadając prosto na jego klatkę piersiową. Cała się spięła, gdy objął ją ramieniem, ale zamiast pokazać, jak bardzo jej się to nie podoba, uśmiechnęła się krzywo. Kiwnęła głową.

– Tak to bywa, kiedy sam się podkładasz, *kochanie*.

*O Boże, jak to niedorzecznie brzmi*, pomyślała. A jednak wypowiedziała to ostatnie słowo z wyraźnym akcentem, jakby chciała podkreślić, że też bierze udział w tym przedstawieniu. Kai natychmiast przekreślił głowę, unosząc wysoko brwi w zdziwieniu, a później zalotnie mrugnął do niej lewym okiem.

Kasjer wydawał się zbyt zaskoczony tą dziwną sytuacją, aby odpowiedzieć.

– Znajdzie się dla mnie bandaż i woda utleniona?

Minęła co najmniej minuta, zanim otrzymał to, o co poprosił. Uprzejmie dziękując za pomoc, zapłacił i zabrał swoje zakupy. Carmen odzyskała świadomość dopiero na zewnątrz, gdy jej twarz zmroził wiatr. Znowy wyslizgnęła się z uścisku Kaia, tym razem bez żadnych przeszkód. Zupełnie tak, jakby sam też pragnął odzyskać swoją przestrzeń osobistą.

– Co to było? – spytała z wyrzutem.

Kai w odpowiedzi parsknął śmiechem, kręcąc głową z rozbawieniem.

– Improwizacja – mruknął, akurat gdy z powrotem dotarli pod samochód. Tylko tyle. Albo aż tyle. Nic więcej. Później wisiało nad nimi już tylko milczenie.

Carmen obserwowała, jak w całkowitym roztargnieniu Kai jeszcze bardziej rozdarł spodnie, by ułatwić sobie dostęp do świeżej rany. Wyglądała paskudnie, cała mokra od krwi, która rozpląnęła się na boki, gdy wylał na zranienie wodę utlenioną. Nawet się nie skrzywił, jakby przejaw bólu nie miał prawa istnieć w jego zamkniętym świecie. Później nieudolnie próbował zawiązać bandaż, pomagając sobie nawet zębami, jednak za każdym razem coś się plątało i nic nie szło po jego myśli.

Zaklął pod nosem, oddychając ciężko. Odchylił głowę i oparł ją na szybie.

– Mogę pomóc – zaproponowała Carmen. Starła się pohamować śmiech, który rozsadał ją od środka na widok tego, jak nieporadny jest Kai. Spojrzał na nią szybko, jakby dopiero przypomniał sobie, że siedzi obok. – Jeśli poprosisz.

Uśmiechnął się, potrząsając głową. Nie chciał dać za wygraną. Znowu spróbował na własną rękę poradzić sobie z opatrunkiem, ale resztki bandaża utknęły mu między zębami. Wyglądał zabawnie, a to sprawiło, że Carmen niekontrolowanie się zaśmiała. A później przysunęła dłoń do ust, tłumiąc śmiech. Kai odwrócił głowę w jej stronę. Uraczył ją chłodnym spojrzeniem, ale przez to, że jednocześnie wypluł z ust nici, nie podziałało.

– Możesz? – sapnął cicho. Carmen pokręciła głową, więc dodał szeptem: – Proszę?

To wystarczyło, by ją przekonać. Prośba z ust diabła była jak wyróżnienie. Pochyliła się nad nim i szybko uporała się z tym, co jemu zajęłoby najprawdopodobniej jeszcze sporo czasu. Zerknął na nią pełen podziwu, że tak łatwo sobie z tym poradziła, i w geście podziękowania puścił Carmen oczko.

– Chyba nieczęsto musisz radzić sobie z ranami – zauważyła. Kiwnęła głową.

– Zazwyczaj to ja zadaję innym ból.

Wraz z tym wyznaniem atmosfera znacznie zgęstniała. Świat Carmen na nowo się zachwiał. Kąciki ust załamały się w markotnym grymasie. Odwróciła głowę, bo nagle patrzenie na radosną, beztroską twarz Malachaia sprawiło, że w jej głowie pojawiły się okropne wizje. Krew. Zniszczenie. Śmierć. Dotarło do niej również to, że właśnie tak miał wyglądać jej koniec.

Odliczała więc wszystkie upływające minuty, ponieważ wiedziała, że będą one ostatnimi.



Carmen Clark wiedziała doskonale, że wybiła najczarniejsza godzina. Natomiast Malachai Yordan uznał, że nastał idealny czas na zemstę. A dokładniej – trzecia w nocy, która od zawsze zwiastowała kłopoty. O tej porze bowiem nie działo się nic, co dobre. Demony wypełzały z głów, siejąc spustoszenie, a złe duchy przejmowały kontrolę nad umysłami.

Przez niewielkie okno Carmen zauważyła Holdena. Stał w rozciągniętej bluzie i dresach, z rękoma skrzyżowanymi na klatce piersiowej, tuż obok zakapturzonego Cartera. Mieli wspólne myśli. Obawiali się najgorszego. Jednak tak jak zawsze, gdzieś w Holdenie budziła się część, która wierzyła w brata i mimo masy okropnych uczynków, jakie miał na koncie, bezustannie szukała w nim dobra. A ono praktycznie nie istniało. Zostawiło po sobie jedynie strzępki na znak, że kiedyś tam było. W sercu.

Za biurkiem siedział Ivan. Miał na sobie granatową koszulę i czarne spodnie, wciąż elegancki mimo późnej pory. I niesamowicie zmęczony. Z jego szyi jak zawsze zwisał złoty łańcuch z krzyżykiem, który odbijał światła żarówek, a prawy nadgarstek ozdabiał drogi zegarek. Oczy mężczyzny lśniły na niebiesko w lustrze zawieszonym na ścianie. Na jego twarzy powoli pojawiała się roztargnienie, jakby z kolejnymi sekundami tracił resztki cierpliwości.

Boczne drzwi otworzyły się w samą porę. Wokół rozległo się nieprzyjemne dla uszu skrzypięcie, nim ponownie się zatrzasnęły. Wiatr na krótki moment wdarł się do środka, pobudzając wszystkich jednocześnie, w tym również Kaia. Czuł się tak, jakby ktoś wstrzyknął mu podwójną dawkę adrenaliny bezpośrednio do żył.

– Niespodzianka! – krzyknął z ekscytacją.

Pociągnął Carmen za sobą z niesamowitą łatwością. Poddała się. Przestała walczyć, czekając jedynie na szybką śmierć. W efekcie utraciła kontrolę nad własnym ciałem. Upadła prosto na kolana, przez co usłyszała strzyknięcie kości. Gdyby nie podparła się rękoma, pewnie wylądowałaby na twarzy. Miała wrażenie, że zamiast na podłogę spada prosto w czarną czeluść, na końcu której czeka na nią tylko kostucha.

Holden momentalnie drgnął, chcąc ruszyć jej na pomoc, ale Carter złapał go za ramię, czym skutecznie go powstrzymał. Zrezygnowany pokręcił głową na znak, że nie ma sensu się w to wtrącać. To był przecież Kai. Trudno stawało się po innej stronie niż jego. A Carter przecież zawsze się za nim wstawiał. Nawet jeśli zdanie miał całkowicie odmienne.

– Zostaw ją, Kai – warknął Holden, mierząc brata morderczym wzrokiem.

Aby zrobić mu na złość, Kai wplótł palce w rude włosy Carmen. Tym gestem pokazał, kto ma władzę w tym starciu. On. Tylko on. Nikt inny.

– Bo co, braciszku? – powiedział przez śmiech.

Naprawdę rozbawiały go te poważne tony, które przybierał głos Holdena. Wydawał się taki... przejęty. Przejęty losem dziewczyny, która nic dla nich nie znaczyła. Nic. Z obojętną miną zrobił parę kroków w przód, aż zatrzymał się centralnie przed bratem. Czubki ich butów się stykały, gdy Kai zajrzał mu w oczy z wesołym uśmiechem. Ledwo się powstrzymywał przed roześmianiem się prosto w twarz Holdena.

– Przestań zgrywać bohatera – rzucił beznamiętnie, a już sekundę później odepchnął Holdena, niby zaczepie, a jednak włożył w to wystarczająco siły, by blondyn zachwiał się na nogach. – Nic mi nie zrobisz, prawda? Jestem twoim bratem. A kim jest dla ciebie Carmen?

Czekał na sensowną odpowiedź, ale ona nie nadeszła.

– Właśnie. NIKIM. Nie zastąpi ci Selene – mówiąc to, specjalnie zerknął w stronę Carmen. Dociśnął palec do ust, niemo zapewniając, że jej sekret jest z nim bezpieczny. – Zastanów się lepiej, po której stronie stoisz.

Na sam dźwięk tego imienia Holden się wzburzył. W przypiływie złości zmieszanej z wciąż żywym żalem zacisnął palce na materiale koszulki Kaia. Szarpnął nim raz, ale bardzo mocno, jakby chciał w ten sposób doprowadzić go do porządku. Wiedział jednak, że to nie zadziała. Widział bowiem, że oczy Malachai są jedynie chaosem. I tak jak przypuszczał, Kai w odpowiedzi ponownie zarechotał,

a odgłos ten odbił się od pustych ścian.

Z widocznym niesmakiem na twarzy ściągnął z siebie dłonie Holdena. Odwrócił się i znów podszedł do Carmen. Pochylił się, dzięki czemu mógł złapać jej podbródek między dwa palce. Siłą zmusił ją do tego, aby na niego spojrzała. W oczach miała tylko strach, a to napawało go radością.

– Przecież nieźle się bawiliśmy. Prawda, Karmelku?

Carmen czuła, że wszyscy przyglądają się jej, jakby była dzikim, niespotykanym zwierzęciem, które nagle wtargnęło na ulice miasta. Policzyła w myślach od dziesięciu w dół i zebrała się na odwagę, by spojrzeć na Holdena, bo był jej jedynym ratunkiem.

Oczy Carmen płonęły łzami. Holden zobaczył w nich również obrzydzenie i zarzut zdrady, a to zmroziło go od stóp do głów. Miał wrażenie, że za moment wypełzną z oczodołów, by spytać „Dlaczego na to pozwoliłeś, Holden?”. Przecież miał ją chronić.

Odpowiedź była prosta: ponieważ nie potrafił zapanować nad własnym bratem.

– Kai. Gadaj. Natychmiast – warknął w końcu Ivan. Te trzy słowa wystarczyły, aby Kai przypomniał sobie o obecności wuja. Wyprostował się natychmiast i stanął na baczność niczym żołnierz przyjmujący rozkazy. – Wyciągasz mnie z łóżka o trzeciej w nocy, bo...?

Ivan posłał mu gniewne, puste spojrzenie, gdy podnosił się z fotela.

– To ona – odpowiedział z dumą. – Nasz zagubiony dowód. Mieliśmy się nią zająć.

– Nie my, tylko ty, Kai! – wtrącił Holden.

– Skoro tak ładnie prosisz, to się nią zajmę, braciszku – mruknął Kai. Wciąż prowokował i łapał za słówka. Dla podkreślenia swojej przewagi puścił Holdenowi oczko.

Później jego dłoń powędrowała do kieszeni spodni, z której wysunął nóż. Przyłożył ostrą końcówkę do gładkiej twarzy Carmen. Delikatnie przejechał ostrzem po zaplamionych od łez policzkach, podbródka i szyi. Testował ją. Sprawdzał, czy choćby mrugnie, ale zamiast tego bacznie obserwowała każdy ruch, bojąc się, że przetnie jej skórę.

– Może małe głosowanie? – spytał, przerywając idealną symfonię ciszy z szaleńczo bijącym sercem Carmen. Odwrócił się przez ramię, wlepiając wzrok w brata i przyjaciela. – Co powinienem z nią zrobić? – zastanawiał się na głos, kucając przed nią. Wolną dłoń ulokował na jej szyi, po czym ścisnął ją, sprawiając, że Carmen automatycznie uniosła głowę. – Ręka do góry, kto głosuje za podejrzeniem gardła?

Tym razem zjechał nożem na krtań Carmen. Przymknęła powieki. Wiedziała, że wystarczy zaledwie jeden szybki ruch, by uleciało z niej życie.

– Carter? Holden? Nikt? – mówił dalej. Wyglądał na coraz bardziej zirytowanego. Gdy znów odpowiedziała mu tylko cisza, wyrzucił z podekscytowaniem: – Udušenje! Ach, nie ma seksowniejszego sposobu na śmierć!

Malachai się nie uśmiechał. On pokazywał kły. Z rozmarzonym wyrazem twarzy.

– Kiedy zaciskasz palce na szyi ofiary... – kontynuował. Nóż zamienił na swoją dłoń. Złapał w nią smukłą szyję Carmen. – Kiedy kontrolujesz jej ostatni oddech... – Ścisnął mocniej, aż odniosła wrażenie, że za moment naprawdę przestanie oddychać. – Patrzysz w oczy i widzisz, jak powoli umyka z nich życie...

Kai przesunął dłonią aż do linii zuchwy. Czuł dokładnie, jak dziewczyna z trudem przetyka ślinę. Siłą zmusił ją, by zadarła podbródek. W zielonych oczach zalśniło więcej łez. Miała wrażenie, że lada moment wypłyną i zaleją wszystko niczym czarny deszcz.

– Przestań, Kai! – huknął niespodziewanie Holden, a potem ściszył ton: – Proszę.

– A ty, Karmelku? Jak chciałybyś zginąć? – ciągnął Kai, ignorując brata. – Jakieś specjalne życzenia?

– Na pewno nie z twoich rąk – szepnęła. Kiedy dotarło do niej, że wypowiedziała swoje myśli na głos, momentalnie przymknęła usta. Przełknęła nerwowo ślinę. Zerknęła na Kaia, kiedy zaniósł się szczerym śmiechem. Kręcąc głową z rozbawieniem, niby przypadkiem wypuścił nóż z drugiej ręki. Wbił się w podłogę tuż obok dłoni Carmen, przyprowadzając ją o mały zawał.

– Koniec tej szopki!

W uszach Kaia zahuczał stanowczy głos, który zawsze budził w nim respekt. Kątem oka zobaczył, że Ivan również przycupnął przy dziewczynie. Szybkim ruchem dłoni odgarnął z jej twarzy zbłąkane kosmyki włosów. Chciał lepiej ją zobaczyć. Musiał rozwiać wątpliwości. Carmen jednak zabrakło odwagi, aby na niego spojrzeć.

Bo był jak większa, mroczniejsza wersja Malachaia.

– Puść ją, Kai – rozkazał oschle.

Ivan ją znał, o czym przekonał się, gdy chwilę lustrował ją badawczym wzrokiem. Niewątpliwie już ją widział – może nie na żywo, ale na pewno na jakimś zdjęciu. Wszystko się zgadzało. Oczy. Nos. Włosy. Kształt szczęki. Rysy twarzy.

Kai zmarszczył brwi. Wydawało mu się, że tylko się przesłyszał. Modlił się o to w myślach do Boga, w którego nie wierzył. Przecież musiał źle zrozumieć. Ale im dłużej przyglądał się Ivanowi, tym szybciej z jego ust znikał triumfalny uśmiech. Stał w bezruchu z rozchyłonymi ustami.

– Ale... dlaczego?! – jęknął niczym niezadowolone dziecko.

Ivan całkowicie go zignorował. Wyprostował się, po czym podał Carmen rękę.

– Musisz nam wybaczyć – zwrócił się do dziewczyny, która wreszcie zdecydowała się uściskać jego szorstką męską dłoń. Pomógł jej wstać, jednak jej nogi wciąż drżały tak bardzo, że ledwo utrzymywała równowagę. Trudno jednak było jej uwierzyć w szczere intencje kogokolwiek z nich. – Malachai jest narwany. Często popełnia błędy. Musiał nie wiedzieć.

*Ale czego?* To pytanie krążyło nie tylko po głowie Carmen, ale zaprzętało również umysł Malachai. Całkowicie się pogubił.

– Co tu się dzieje? – krzyknął zniecierpliwiony Kai, by każdy mógł go usłyszeć, ponieważ przez ostatnie minuty czuł się niewidzialny i wykluczony, jakby ktoś wywalił go z uczestnictwa w życiu. – Czego nie wiedziałem?

Tymi słowami zasłużył sobie na uwagę wuja. Ten uraczył go jednym z tych groźnych spojrzeń, które miał w zanadru. Podszedł do bratanka i z całej siły wałnął go w tył głowy. Kai syknął z bólu, choć nie to zabolowało go najmocniej. Bardziej ucierpiał jego umysł. Poczul się poniżony. Nie kontrolując własnych odruchów, pozwolił na to, aby jego oczy się zaszkliły.

– Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę z tego, kim ona jest?

Nie. Do tej pory była tylko jego ofiarą. Przeszkodą.

Pokręcił głową.

– Carmen Clark. Mówi ci to coś? – spytał Ivan. Wydawał się znacznie spokojniejszy, ale mięśnie na jego twarzy wciąż drgały w nerwach. Kai wzruszył obojętnie ramionami. Coś dzwoniło, ale nie wiedział, w którym kościele. Nie miał głowy ani do imion, ani do nazwisk. – To córka mojego przyjaciela. Tego, który dostarcza nam alkohol do klubu.

Tego dnia wszystko działo się zdecydowanie zbyt szybko, jakby ktoś przewinął taśmę do przodu. Carmen jeszcze nie zdążyła pogodzić się z myślą, że jednak przetrwa ten koszmar, a już uderzyła w nią myśl, że jej tata ma bliskie kontakty ze złymi ludźmi. Ale to wyjaśniałoby wszystkie podejrzane spotkania, na które nie miała wstępu. Nie chciała w tamtym momencie zaprzętać sobie tym głowy. Miała już wystarczająco wrażeń jak na jedną noc.

– Jeśli spadnie jej z głowy choć jeden włos, policzymy się, Kai – zagroził wuj.

Carmen skupiła całą swoją uwagę na sylwetce Malachai. Stał ze spuszczoną głową, poruszając nieznacznie podbródkiem. Wyglądał tak, jakby czekał na karę za nieodpowiednie zachowanie albo aż Ivan wyśle go do kąta. Nic nie mówił, tylko grzecznie słuchał, bawiąc się kawałkiem zakrwawionego bandaża.

Próbowała. Naprawdę próbowała zrozumieć jego postępowanie. Chciała znaleźć powód, przez który stał się tak wybrakowany. Starła się nawet dostrzec w nim coś dobrego, ale wtedy Malachai Jordan cały składał się z największego zła świata.

– Holden, zadbaj o to, aby Carmen dotarła bezpiecznie do domu.

Blondyn skinął posłusznie głową, przepuścił dziewczynę i wyszedł tuż za nią. Kai drgnął momentalnie, gotowy podążyć za nimi jak sprytny cień, ale Ivan zagroził mu drogę.

– Wybierasz się gdzieś? – spytał niezwykle niskim głosem. Otwartą dłonią uderzył Kaia w bok policzka. Ledwo go to zabolowało, przypominało bardziej łaskotanie, ale w pomieszczeniu i tak rozległ się dźwięk przypominający kłaśnięcie.

To wystarczyło, by Malachai przypomniał sobie, że od dawna jest już na dnie.

Uparcie patrzył na drzwi, za którymi zniknęła Carmen. Był wojownikiem, a ona bitwą, którą nieustannie przegrywał. Był diabłem, a ona jego najgorszym koszmarem. Musiał sprawić sobie łapacz złych snów.

• • •

Był środek nocy. Świat pogrążył się w przerażającej ciszy, jakby wokół nikogo nie było. Jakby nie było nawet jej. Ani jego. Przestała czuć swoje serce. Nie czuła też swojej głowy. Nie słyszała swoich myśli, które rozbiegły się w najczarniejsze, najbardziej zakurzone zakamarki umysłu. Nie potrafiła się uspokoić. Ręce Carmen cały czas drgały z nadmiaru emocji, a nogi odmawiały posłuszeństwa.

Podczas drogi powrotnej nie pisnęła ani słowa. Była zbyt złęczniona, zbyt zaskoczona, zbyt przytłoczona. Zamiast rozmawiać, zaciskała równocześnie usta oraz powieki z nadzieją, że nie rozpadnie się na kawałki przed Holdenem, który również milczał. A to byłoby dla niej jak upadek. Ujma na honorze. Porażka.

Przecież zawsze była taka silna – za wszystkich prócz siebie.

– Carmen – szepnął Holden, dotykając łagodnie jej ramienia, jakby chciał, by wreszcie wróciła z krainy zamyślenia.

Potrząsnęła energicznie głową. Stali już pod drzwiami jej mieszkania, choć nie mogła przypomnieć sobie, kiedy tam dotarli. Głowę miała spuszczoną, przez co kosmyki rudych włosów opadały na jej twarz jak kurtyna kryjąca tajemnicę. Wcześniej szalał w niej ogromny pożar, mieniający się pomarańczowo-czerwonymi iskrami gorąca, ale teraz wydawała się zimna jak lód. Przyczyna tego była oczywista.

Malachai Yordan ugasił ogień tłący się w jej duszy, pozbawiając ją tym samym naturalnego żaru. Została więc niemal bez życia.

– Nic się nie stanie, jeśli będziesz płakać.

Czy Holden Yordan czytał jej w myślach? Tak właśnie założyła, gdy wypowiedział te słowa, ponieważ o niczym innym nie marzyła tak bardzo jak o tym, by dać upust emocjom. Chciała utonąć w oceanie łez bezsilności, ale nie mogła przecież okazać słabości. Nawet jeśli czuła, że w środku umarła, musiała grać obojętną na to, co ją spotkało.

Nazywała się przecież Carmen Clark. To nazwisko zobowiązywało do bycia twardym – niemal niezniszczalnym. Bez względu na to, czy miało się styczność z niebem, czy z piekłem; cierpiało się czy radowało; w tej rodzinie nie płakano. Nigdy.

Ale Holden widział matowe od strachu oczy dziewczyny i cierpiał wewnątrz, bo nie potrafił dłużej w nie patrzeć, gdy pojawiały się w nich łzy. Zauważywszy jego troskliwe spojrzenie, Carmen przetarła twarz, po czym uśmiechnęła się, wkładając w to tyle siły, na ile było ją wtedy stać. A kiedy wreszcie przestała unosić kąciki ust, odniosła wrażenie, że trwało to wieczność.

– Czy Kai zrobił ci krzywdę? – spytał Holden zupełnie zniecałkiem, a Carmen, pogrążona w zamyśleniu, totalnie zapomniała o jego obecności, więc odruchowo się wzdrygnęła.

Jak miała mu na to odpowiedzieć? Nie wiedziała. Fizycznie? Nie. Psychiczenie? Tak. Wyrządził w jej umyśle większą krzywdę niż ostatnie lata życia, w których wcale nie miała tak łatwo, jak mogłoby się wydawać. Pieniądze nie załatwiały wszystkiego. Wystarczały na zachcianki, ale co najważniejsze – nie można było za nie kupić szczęścia. A tego właśnie brakowało Carmen Clark.

Uniosła głowę i wlepiła w niego spojrzenie.

Carmen Clark była królową własnego piekła, które stworzyła w umyśle. Była mądra jak diabeł, dwa razy przebieglejsza i trzy razy piękniejsza, nawet w takiej sytuacji. Piękno to pochodziło zewsząd. Nie miało nic wspólnego z modelkami z okładek gazet. Była zniewalająca przez to, w jaki sposób myślała. Była piękna przez iskry w oczach. Była piękna dzięki swojej umiejętności sprawiania, że ludzie się uśmiechali, nawet jeśli ona była smutna. Nie była piękna tylko ze względu na coś tak nietrwałego jak wygląd. Była piękna głęboko w duszy.

I chowała to wszystko za kotarą autodestrukcji.

Nie mogła się ruszyć, jakby jej nogi ugrzęzły w lodzie, którego chłód przeszywał do szpiku kości. Nie mogła zbyt długo patrzeć na Holdena, dlatego znów spuściła wzrok, speszona jego intensywnym spojrzeniem pełnym troski. Nie rozumiała tego. Nikt przecież się nią nie przejmował, a jeśli już próbował, zawsze kończyło się tak samo – zostawała sama, jeszcze bardziej złamana niż wcześniej.

Strach powoli się z niej ulatniał, ustępując miejsca dzikiej wściekłości. Tak ogromnej, że miała ochotę krzyknąć, dopóki nie zedrze gardła. Chciała walić pięściami w ścianę, aż się pokruszy, i taranować wszystko na swojej drodze. Bezradność ją przytłaczała. Dlatego przysięgła sobie, że to dopiero początek tej historii.

Zapragnęła zniszczyć ostatnie resztki człowieczeństwa, które krył w sobie Malachai.

– Kai zawsze próbuje popisać się przed wujkiem – powiedział Holden, tak jakby usiłował nieudolnie usprawiedliwić zachowanie brata. Ale chyba tylko sobie próbował wmówić, że jakiegokolwiek powody mogłyby wytłumaczyć poczynania Malachai. Westchnął zrezygnowany. Ciężka mu dusza, poczucie winy, a w dodatku dźwigał na ramieniu nie swoje grzechy. – To jego chora ambicja.

Skinęła głową. Odwróciła się z zamiarem odejścia, ale usłyszała ponownie jego głos.

– Mogłem temu zapobiec.

Skrucha, z jaką mówił Holden, miała niemal fizyczny kształt. Kształt złamanego serca.

Zerknęła na niego przez ramię, bo obudziła się w niej głupia potrzeba zapewnienia go, że nie

mógł nic zrobić. Wina pasowała Kaiowi prawie jak T-shirt. Holden miał czyste ręce.

Stał sztywno z dłońmi schowanymi w kieszeniach dżinsów. Każdy mięsień w jego ciele drgał niebezpiecznie, jakby za moment miał przebić skórę. Czuł żyły pulsujące pod jej cienką warstwą. Całą swoją uwagę poświęcał Carmen, jakby była północą, a on kompasem.

– To nie twoja wina. – Uśmiechnęła się lekko, by choć w taki sposób go pocieszyć.

Holden przyjął do siebie te słowa, ale trudno mu było w nie uwierzyć. Coś w jego umyśle nadal podpowiadało mu, że poważnie nawalił, bo mimo różnicy wieku nie potrafił wystarczająco wpłynąć na brata, by ten przestał ze wszystkimi pogrywać.

– Rozumiem, dlaczego wciąż przy nim jesteś – mruknęła cicho. Nie była przekonana, czy w ogóle powinna to powiedzieć. Łudząc się, że Holden jednak nie usłyszał, wcisnęła klucz w zamek, ale nie chciał się przekręcić. Drzwi znów były otwarte. I na ironię, w pierwszej chwili pomyślała, że to Malachai wkradł się do środka. – Myślę, że pod tą grubą warstwą zła kryje się zagubiony chłopak.

Drgnęła, kiedy drzwi nagle zamasyżycie się otworzyły. Przestała patrzeć na Holdena. Kątem oka zauważyła tylko, że uśmiechnął się lekko, jakby swoimi słowami nieco mu ulżyła. Spojrzała na Jamesa, który stał w progu z dziwną miną. Trudno było stwierdzić, czy jego twarz wykrzywiła się w złości, czy w niepowstrzymanej chęci odkupienia win. Przez moment patrzyli na siebie w całkowitej ciszy – on na jej potargane włosy oraz zaszkłone oczy, ona na osobę, której nie poznawała.

– Wynoś się stąd – powiedziała oschle. Uciekła wzrokiem w bok. Nie miała odwagi patrzeć bratu w oczy, kiedy wyrzucała go na bruk, ale to było jedyne właściwe wyjście. James jednak stał i nawet się nie ruszał, jakby dopiero przetwarzał sens tego, co usłyszał. – Wiem o wszystkim. Zabieraj swoje rzeczy i zniknij. To wychodzi ci najlepiej.

– Carmen...

Zacisnęła usta w wąską linię, kiedy złapał ją rozpaczliwie za nadgarstek.

– Dług za drągi? – prychnęła, przez co pojedyncze kosmyki włosów poszybowały ku górze. – Tyle jestem warta? Powiedz chociaż, ile dokładnie.

– Carmen, proszę – jęknął bezradnie. – Wszystko ci wytłumaczę.

– O co chodzi? – wtrącił Holden z charakterystycznym dla niego spokojem, przypominając tym samym, że nigdzie się nie ruszył. Podszedł bliżej. Zatrzymał się za plecami Carmen, jakby chciał w razie potrzeby być dla niej oparciem.

– Nie słyszałeś? – zdziwiła się. Gdy przekręciła lekko głowę na prawą stronę, przed sobą miała twarz Holdena. Zbyt blisko swojej. Przełknęła nerwowo ślinę, próbując uciec myślami od tego, jak dobrze prezentował się z tak bliska. Niebieskie oczy przypominały dwie wypolerowane kule, usta były kształtne, a wydatną szczękę otulał zarost. – Mój brat chciał sprzedać mnie twojemu. Zabawne, co?

– Przestań, Carmen – jęknął załamany Cameron. – Po co mu to mówisz?

Właściwie nie wiedziała.

Holden jednak wiedział, jak się po dżentelmeńsku zachować. Broniąc jej honoru, stanął przed nią. Schowała się za jego ramionami jak za kuloodporną ścianą. Wyglądem przypominały nieco anielskie skrzydła. A potem wzdrygnęła się, sycząc cichutko przez zęby, ponieważ pięść Holdena zderzyła się z twarzą jej brata. A tego się nie spodziewała.

James akurat łapał się za policzek, kiedy Carmen wychyliła się zza ciała Holdena.

– Powiedziała, żebyś się wynosił – odezwał się ponownie blondyn. Carmen, nie mogąc wyjść z podziwu na widok Holdena, który choć minutę wcześniej ciskał w jej brata błyskawicami, znów był opanowany i niewzruszony. – Bądź facetem, weź to na klatę i uszanuj jej decyzję.

– Nie wtrącaj się – syknął niezadowolony James, trąc piekącą wargę.

Carmen zignorowała ich dalszą dyskusję na temat tego, co kto powinien zrobić. Zabrała z dotychczasowego pokoju Jamesa jego torbę, której nadal nie rozpakował po przyjeździe, a potem wróciła na zewnątrz i przerzuciła ją przez metalową barierkę zewnętrznej klatki schodowej. Prosto na ziemię.

Nagle wszystkie dźwięki wokół ucichły jak na rozkaz.

– Zwariowałaś?! – wydarł się Cameron, podbiegając do krawędzi. Zacisnął dłonie na poręczy i wychylił się, jakby chciał upewnić się, czy na pewno to zrobiła. Nie wiedział, dlaczego w ogóle liczył, że było inaczej. Znał ją. Była nieprzewidywalna jak pogoda w maju. – Nie możesz mnie wyrzucić!

– Właśnie to robię! – odkrzyknęła równie wściekła. Spojrzała na Holdena przez mgłę szaleństwa. A potem znów na brata. Uśmiechnęła się sztucznie. – Proszę bardzo, Cam! Jesteś wolny. Spłacę twój dług, ale nigdy więcej nie chcę cię widzieć.

– Daj mi chwilę... – rzucił James błagalnym tonem. Spróbował złapać ją za rękę, ale zwinnie się wyślizgnęła.

– Nie tego chciałeś?! – wydarła się. – Pozbyć się długu?

– Posłuchaj, to nie tak...

– A jak, Cameron? – westchnęła załamana. Docisnęła dłoń do powiek, by zrzucić z siebie trochę frustracji. Dotarło do niej, że ta rozmowa nie ma sensu. – Po prostu się wynoś.

James jednak ani drgnął.

– Dopilnuję, aby się stąd zawinął – oznajmił Holden, przyglądając się Jamesowi z niesmakiem. Najwyraźniej wszyscy nienawidzili Jamesa Camerona. Następnie Holden chwycił go sugestywnie za bark.

– Nie – zaprotestowała Carmen. Zbyt szybko. – Zostaniesz? Nie chcę być dzisiaj sama.

Holden skinął głową, jakby tylko czekał na to zaproszenie. Zniknęli za drzwiami. Holden Yordan nie musiał przecież wiedzieć, że nie chodziło tylko o jeden wieczór, bo Carmen Clark od zawsze nienawidziła samotności – była dla niej najgorszą karą. A teraz w tej samotności krył się diabeł.

Holden był rozdarty. Kiedy wszedł do domu, na zewnątrz powoli świtało. Czas zdecydowanie prześlizgnął mu się przez palce – godziny spędzone w towarzystwie Carmen zleciały zbyt szybko. Przy niej mógłby się zatrzymać. Życie jednak toczyło się dalej. Mimo wczesnej godziny już na wejściu usłyszał głośną muzykę, która wydobywała się z pokoju brata na piętrze. Nie zastanawiając się, wbiegł po schodach, złapał za klamkę i bez uprzedzenia wtargnął do środka.

Nawet nie zdziwiło go to, że sypialnia wyglądała tak, jakby przed chwilą przeszło przez nią tornado. Wszystko wałało się na podłodze – nie tylko meble, ale również ubrania i inne przedmioty, które się z nich wysypały. Kai uwielbiał niszczyć, gdy coś nie szło po jego myśli. To właśnie był jego sposób na odreagowanie. I w głębi duszy, widząc ten rozgardiasz, Holden ucieszył się, że padło na rzeczy martwe, zamiast na ludzi lub na samego Malachai.

Kai siedział w bałaganie jak dziecko wśród porzucanych zabawek. Opierał się plecami o ramę dębowego łóżka, głaszcząc swojego czarnego psa, który leżał na jego kolanach. Kai zawsze wolał towarzystwo zwierząt – dogadywał się z nimi bez słów, lepiej niż z ludźmi. Dżinsy wciąż miał brudne od krwi, a z szyi zwisał srebrny łańcuszek z wygrawerowaną na zawieszce datą śmierci ich rodziców.

Uśmiechał się łagodnie, jakby nie był jednym z wcieleń diabła. Pierwsze promienie słońca przedostające się przez okno padały na jego twarz, tańcząc w ciemnych włosach. W takich momentach przypominał bardziej niewinnego, beztroskiego chłopca, którym był tak dawno temu, że świat postanowił o nim zapomnieć.

I nadać mu nową tożsamość.

Holden zapatrzył się na ten przyjemny widok, zastanawiając się, jak wyglądałoby ich życie, gdyby rodzice wciąż żyli. Czy Kai oddałby się swojej naturze? Pozwoliłby urosnąć ziarenku zła, które w nim tkwiło, czy walczyłby dalej, by być dobrym? Tak wiele mogłoby się zmienić.

– Musiałeś to zrobić? – rzucił podniesionym głosem Holden, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Tylko pies na niego spojrzał, bo Kai przestał go głaszczyć. – Nie mogłeś choć raz, *raz* odpuścić?

Malachai zrobił to, czego można było się spodziewać: wyśmiał Holdena.

– Naprawdę chcesz o tym gadać? – westchnął słabo, wzruszając obojętnie ramionami. – Musiałem. Chciałem. Taki miałem kaprys. Wybierz sobie odpowiedź, dobra?

Kai przyglądał się starszemu bratu lekko zmrużonymi oczami, gdy ten usiadł naprzeciwko. Holden miał jasne jak słoma włosy zaczesane w tył, jasne oczy, wypełnione po brzegi dobrem, i jasny uśmiech. Był wyraźny, spokojny, złoty. Był jego całkowitym przeciwieństwem.

Malachai Yordan był tylko czarny, czarny, czarny. W środku, a także na zewnątrz.

– Nie jesteś taki, Kai – rzekł Holden. – Nie zabijasz ludzi.

– Może taki właśnie jestem – odpowiedział natychmiast Kai, ostro jak brzytwa, wierząc się w miejscu, jakby podłoga zamieniła się w gorącą lawę. – Może jestem znacznie gorszy.

W takich momentach Holden na nowo odnosił wrażenie, że zło zamknęło Kaia w klatce, by mieć nad nim kontrolę. Nie wiedziało jednak, że zdobył klucz do wydostania się. Demony straszły go tylko przez chwilę, później zaczęły przed nim uciekać. Już się ich nie bał. O północy grał z nimi w karty. Dlatego też nawiedzał innych z pistoletem w rękę i oślniewającym uśmiechem na ustach, który zbijał ludzi z tropu. Bo jak ktoś z takim uśmiechem mógł siać spustoszenie?

Podobał mu się strach w oczach ofiar i krzyk. Bezustannie miał ochotę na krew i zemstę.

– Och, błagam, nie trać czasu na próby zmienienia mnie na lepsze. To się nie uda.

Raz zepsuta rzecz nigdy nie będzie już taka sama jak dawniej. A on był zepsuty w każdym znaczeniu tego słowa, w każdym calu ciała i umysłu. Po prostu cały roztrzaskany, nieposkładany. On, Malachai Yordan. Tak właśnie mógłby się trafnie opisać.

– Carmen na to nie zasługiwała.

Podobnie jak Selene. I do czego to doprowadziło? Do śmierci. Ludzie przy nich po prostu umierali, dlatego tak trudno było im się przywiązywać. Na końcu i tak zawsze kogoś tracili. Rodziców, miłość, siebie.

Kai ponownie się roześmiał, a Holden nie potrafił zrozumieć tego zachowania.

– Nie mi to rozstrzygać – mruknął Kai głosem pozbawionym emocji, po czym zrobił zamyśloną minę. – Zastanawiam się tylko, gdzie był jej anioł stróż? – urwał, wprowadzając trochę dramaturgii. – No, tak! Nie było cię, bo zawsze jesteś krok za mną. To chyba nie wróży dobrze waszemu związkowi.

– Jestem za tobą, bo ciągle po tobie sprzątam! – warknął Holden przez zaciśnięte zęby. W jego głosie pojawiła się złość. Odczuł gniew, który powoli wypełniał jego ciało. Musiał się uspokoić, by nie wszcząć kolejnej wojny między nimi.

Malachai został ulepiony ze stalowych kul, a Holden był rozbłyskami słońca, dlatego zawsze przegrywał.

– Przesadzasz, Hol – westchnął Kai z rozbawieniem. Holden zauważył dziwny blask w jego oczach. Nigdy wcześniej go nie widział. – Przecież bym jej nie zabił.

To było zaskakujące wyznanie. Dla ich obu.

– Czemu? – zastanawiał się na głos blondyn. – Bo ją polubiłeś?

Pomieszczenie na nowo wypełniło się rechotem Kaia. Śmiał się tak, jakby usłyszał bardzo dobry żart, który śmiało może dalej opowiadać w innym towarzystwie.

– Sorka, mówisz o sobie? Bo chyba się pogubiłem – wybełkotał, krztusząc się śmiechem. – To ty się ślepo zakochujesz.

Holden przyglądał mu się z politowaniem, wzrokiem, który niemal wymusza reakcję.

– Myślisz, że nagle zacznę mieć uczucia?

Przez ostatnie lata jedyną emocją, jaką dosadnie odczuwał, był nieprzemijający, trwały ból, który miał źródło głęboko sercu. Z czasem nauczył się z nim żyć, a nawet go zagłuszać, kiedy mocno się starał. Cierpienie wciąż było jak gorące piętno wypalone na jego skórze, ale nie przeszkadzało mu tak jak kiedyś. Smutne spojrzenie Holdena jednak cały czas nie dawało mu spokoju i sprawiało, że czuł się niekomfortowo. Mógł być obojętny na cały świat, ale nie na własnego brata.

– Wiesz, braciszku, powiem ci coś zupełnie szczerze – mówił dalej Kai, gdy nie otrzymał odpowiedzi na zadane wcześniej pytanie. Aby podkreślić swoją prawdomówność, przycisnął prawą dłoń do lewej piersi. – Ona nie jest dla ciebie. Może wygląda jak ognista anielica, ale w środku... diabeł. Mówię ci. Znam się na ludziach. I na ich skrywanych tajemnicach. A jej sekret jest paskudny.

Jak charakter Malachai Yordana.

Holden słuchał go ze zmarszczonymi brwiami. Błądził wzrokiem po twarzy brata z nadzieją, że siła jego przenikliwego spojrzenia otworzy przed nim wrota do umysłu Kaia. Chciał poznać więcej szczegółów, ale Kai udał tylko, że zamyka usta na kłódkę i wyrzuca daleko klucz. Tam, gdzie nikt nigdy nie będzie mógł go znaleźć.

– Dlatego znikniemy z jej życia – oznajmił Holden.

Dopiero na te słowa Kai się ożywił. Tak szybko? Przecież dopiero weszli w nie z brudnymi buciorami. I mieli odpuścić? Już? Kiedy Holden dowiedział się, że wcale nie była święta? Że była... zupełnie jak on? Dopiero się rozkręcał. Nie rozgryzł jej. Przynajmniej nie w stu procentach. A naprawdę chciał rozebrać ją na czynniki pierwsze, dowiedzieć się, co jeszcze skrywała przed światem i ile tak naprawdę miała trupów w szafie.

Kiwnął głową na znak, że się zgadza. Holden jednak nie mógł zobaczyć, że za plecami splótł ze sobą dwa palce. Kłamał. Oczywiście, że kłamał. Malachai Yordan był przecież jednym wielkim kłamstwem. Chłód bił od niego na kilometr, jednak Holden chciał wiernie przy nim marznąć.

W nieskończoność.

• • •

– Spadłaś mi jak gwiazdka z nieba.

Carmen, słysząc te słowa i całkiem znajomy głos, który puściła w niepamięć, przestała uparcie przeszukiwać jaskrawo różową torebkę w celu odnalezienia kluczy. Trochę ją zamurowało – znieruchomiała jak ściana, choć ściany przynajmniej zazwyczaj trzymają pion. Carmen miała wrażenie, że jeśli to nie okaże się koszmarem, to z wrażenia się przewróci. Przystanąła w pół kroku, czując, jak ożywają w niej niemiłe wspomnienia. Dźwięk obcasów rytmicznie odbijających się od betonu ustał.

Została tylko cisza. Ona i on.

Stał pod ścianą, tuż przy drzwiach do mieszkania.

– A ty napatoczyłeś mi się pod nogi jak najzwyklejszy śmieć – odburknęła, gdy na powrót w jej oczach załśniła pewność siebie. Musiała go zignorować i nie dać się złamać złym doświadczeniom. Wreszcie odnalazła klucze. Zrobiła dwa kroki, a kiedy spróbowała przekręcić klucz w zamku, poczuła na nadgarstku dotyk jego palców.



– Nie tęskniłaś, Carmen? – mruknął leniwie, przechylając głowę w jej stronę. Nie miała jednak w sobie na tyle samozaparcia, by nie spojrzeć mu w oczy, co oczywiście okazało się dla niej zgubne. Prędko odwróciła wzrok. Nie chciała ulec pod wpływem pary ciemnych oczu, które iskrzyły się jak węgielki. – Wiele się zmieniło. Chyba mamy do pogadania.

Ale Carmen wcale nie chciała z nim dyskutować. Ani teraz, ani nigdy.

– Puść – powiedziała ostro, ostrzegawczo, zjeżdżając spojrzeniem na swoją dłoń uwięzioną w dość delikatnym męskim uścisku.

To właśnie zrobił Bentley Cole.

Posłuchał jej.

Nie mogła przypomnieć sobie, w którym momencie swojego beznadziejnego życia widziała go ostatni raz, ale jedno było pewne – jeśli pojawił się tak znieczeka, musiała mieć kłopoty. Przecież ich drogi przecięły się z konkretnego powodu: kiedy wszedł do domu, w którym z jej powodu zginęła Selene. I widział wtedy Carmen w najgorszym z możliwych stanów, zapłakaną, z potarganymi, popłatany na końcach włosami, bo ze stresu ciągle ich dotykała. Po prostu załamana.

Był wtedy wyrozumiały. Wzbudzał zaufanie i – przede wszystkim – uwierzył jej.

Gdy rozmyślała o początkach ich znajomości, zdążył zabrać rękę, ponieważ go o to poprosiła, a on przecież nie był z tego rodzaju facetów, którzy siłą biorą to, na co mają ochotę, po czym schował ją do kieszeni spodni tak, że kciuk pozostał na zewnątrz. Był miłym, lubianym w szerszym gronie gościem, choć jeśli było to konieczne, potrafił też pokazać swoją gorszą stronę. Dla wyższych celów.

– Czego chcesz, agencie Cole? – westchnęła. Wiedziała, że mężczyzna nie odpuści, nie odejdzie bez tego, po co się tutaj zjawił. Dlatego wołała współpracować, by szybciej mieć go z głowy. Otworzyła drzwi. Pozwoliła, aby policjant wszedł za nią do środka. Drzwi zatrzasnęły się ze skrzypnięciem.

– Doszły do mnie pewne plotki. Prosto z półświatka – wyjaśnił, omijając konkretną odpowiedź. Carmen zerknęła na niego przez ramię, nim obróciła się tak, by widzieć go w całości.

Coś się w nim zmieniło. Jego rysy twarzy spoważniały, jakby przez ostatni rok miał na głowie wiele ciężkich spraw. Czarne włosy, które kiedyś kręciły się na czole, nieco przyciął. Ale jedna rzecz nie uległa zmianie – spojrzenie jego ciemnych oczu nadal sprawiało, że chciało się mu wyznać wszystkie grzechy.

Uniosła brwi, wyczekując rozwinięcia, bo nic nie rozumiała.

– Yordan podobno ma nowy ulubiony cel.

Wyłączyła się, gdy tylko usłyszała to przekłete nazwisko. Zawirowało jej w głowie, dlatego przysunęła się do szafki i leciutko zacisnęła na krawędzi palce. Zadarła pewnie podbródek, ponieważ nie chciała przed nim pokazać, że ta informacja wywołała w niej sprzeczne emocje. Patrzyła na mężczyznę, który odplącał się tym samym. A potem uśmiechnął się z nutką cwaniactwa, po czym wyszeptał:

– Ciebie.

Z ust Carmen nieplanowanie wymknęło się westchnienie bezsilności. Nie wiedziała już, czy powinna skłamać, czy jednak wyznać prawdę, by poczuć się odrobinę lżej. W ciszy zastanawiała się, czego chce od niej agent specjalny i dlaczego ta sprawa musi dotyczyć akurat Malachaia Yordana. W dodatku dorwał ją w chwili, gdy nie chciała dłużej rozmyślać o Kaiu. A jednak na samą wzmiankę o nim coś ścisnęło ją w żołądku, bo wyobraziła sobie jego lubieżny uśmiech i blask zła w oczach tak jasnych, jak bezchmurne niebo.

– Proponuję współpracę, Carmen – kontynuował mężczyzna, bo pewne było to, że w najbliższym czasie dziewczyna nie zamierza mu odpowiedzieć. Wskazywały na to zaciśnięte mocno usta, które stworzyły cienką linię, jakby za wszelką cenę powstrzymywała głos w gardle. Zaciekawiona uniosła jedynie brwi. – Wystaw mi go.

Niemal udławiła się śliną, która zrobiła na nią zamach.

– Mam się do niego przykleić? – wydusiła w końcu, powstrzymując śmiech, bo ta prośba była absurdalna, choć również kusząca. – A w zamian dostanę ubezpieczenie i polisę na życie?

Agent Cole potwierdził jej słowa lekkim skinieniem brody.

– Świetnie. Biorę tę robotę! – powiedziała z udawaną ekscytacją i nawet klasnęła w dłonie. – Od kiedy zaczynam?

Mina Carmen oczywiście przeczyła temu, co wygadywała.

– Nie chcesz się od niego uwolnić? – spytał Cole z niesamowitą lekkością, jakby rozmawiali o pogodzie, a nie o niebezpiecznym człowieku, który był zdolny chyba do... wszystkiego. Nawet do łamania własnych zasad. Bentley doskonale wiedział, jak ją podejść, by chociaż przemyślała sprawę. – Wiesz, że inaczej nie da ci spokoju? Mamy go na oku od kilku lat i wiesz co? Facet ma plecy. I spryt.

Ciężko przymknąć go na dłużej. Ty jesteś szansą, Carmen.

Kiwnęła dyskretnie głową. Nie mogła się z tym nie zgodzić. Czuła, że po wczorajszej nocy Kai wcale sobie nie odpuścił. Ba! Obawiała się, że ta mała przegrana tylko bardziej go nakręciła. Mimo tego milczała. To nie była decyzja, którą mogła podjąć ot tak, bez chwili namysłu. Miała dwie opcje – zgodzić się z nadzieją, że ten koszmar prędko przeminie, lub odmówić, łudząc się, że Malachai znajdzie sobie nową zabawkę.

Wybawienie przyniósł jej dźwięk intensywnego pukania do drzwi.

Drgnęła, wytrącona z transu, który nosił jego imię. Wbiła wzrok w drzwi. Również Bentley wpa-trywał się w nie, jakby mogły otworzyć się samoistnie, bez niczyjej pomocy. Chwycił za klamkę, ale nim otworzył, jakby był u siebie, posłał Carmen znaczące spojrzenie.

– Policja na pewno doceni twoje starania. Może nawet zapomni o błędach z przeszłości – powiedział ze spokojem, puszczając do dziewczyny oczko. Carmen otworzyła usta zaskoczona. Tego właśnie się bała. Bentley Cole musiał ożywić wspomnienia, przypominając jej o śmierci Selene. To przecież on przesłuchiwał ją godzinami. I jako jedyny jej wierzył. – Przemysł to, dobrze?

– Och – westchnęła najpierw, bo żadna inna reakcja nie przyszła jej do głowy. – Uważasz, że korzystniejsze będzie wkopanie go niż współpraca z nim?

– Rób, co słuszne, Carmen – odpowiedział. – Zdobądź jego zaufanie. Mam przecucie, że masz na to duże szanse. A potem go zniszcz. Oczywiście z moją pomocą. Czy to nie jest kusząca wizja?

W ten sposób pozbyłaby się go raz na zawsze. I w jej życiu wreszcie zapanowałby spokój.

Tylko czy Carmen Clark tak naprawdę potrzebowała harmonii? Zawsze wolała balansować na granicy ryzyka. Lubiła gubić się w oparach adrenaliny oraz niebezpieczeństwa, bo wtedy w końcu czuła, że nie jest martwa w środku. A Malachai Yordan był przecież definicją chaosu.

– Co, jeśli się zgodzę? – spytała niepewnie. Trudno było jej uwierzyć w to, że na poważnie rozważa współpracę z policją i spiskowanie za plecami Kaia.

– Dostaniesz wolność – oznajmił.

Drzwi uchyliły się, a Carmen Clark kolejny raz tego dnia poczuła, że jej serce staje z przerażenia. Ostrożnie zrobiła krok w tył, kryjąc się za postawną sylwetką Bentleya. Nie miała jednak dokąd uciec, nie miała gdzie tak naprawdę się schować. Nie miała przed sobą nic, tylko ciemność. W progu stał po prostu on.

Malachai Yordan. Ze swoim własnym planem.

Uśmiechał się niewinnie, jakby nie miał na sumieniu tysiąca grzechów. Starał się wyglądać niewzruszenie, ale coś ścisnęło go w żołądku i jednocześnie sprawiało, że jego ręce stały się nieznosnie lepkie. Było to dla niego nowe i nieznanne doznanie. Zupełnie tak, jakby podświadomie się denerwował, a przecież od dawna nie doświadczył stresu. Był przekonany, że ujrzy Carmen, jednak zamiast tego natrafił na mężczyznę, którego nie kojarzył.

Ten widok wybił go z rytmu.

– Kim ty, kurwa, jesteś? – warknął Kai. Wydawało mu się, że dostrzegł w nim coś znajomego, jakby gdzieś się spotkali, ale nie mógł sobie przypomnieć, gdzie dokładnie.

– A ty kim, kurwa, jesteś? – przedrzeźnił go Bentley. Znał odpowiedź. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, kto przed nim stoi. Takiego mrocznego wyglądu się nie zapominało; Malachai Yordan miał oczy jak deszcz i włosy jak fale, a ciemność w nim była wielka jak niejeden ocean.

– Cześć, jestem Kai – powiedział, szczerząc się szeroko i dumnie. Dla podkreślenia, że mówi o sobie, docisnął dłoń do mostka, a już parę sekund później schował dłonie w kieszenie dzinsów. Mięśnie na jego twarzy rozluźniły się, przez co znów wyglądał jak miły chłopak z sąsiedztwa.

– Och, racja – westchnął Ben ze znużoną miną. Nie zrobiło to na nim żadnego wrażenia. Wręcz przeciwnie, nawet nieco go rozbawiło, więc prawie niezauważalnie uniósł kąciki ust. – To ty.

– Świetnie. – Kai klasnął w dłonie. – Już o mnie słyszałeś.

Malachai również się uśmiechnął. Tym razem jego wrodzony urok osobisty, który często wykorzystywał na swoją korzyść, bo usypiał czujność innych, nie zadziałał. Poczul się zignorowany, co bardzo go uraziło, więc zacisnął mocniej szczękę, uwydatniając w ten sposób mocno zarysowaną linię żuchwy. Przez niecałą minutę wymieniał się wrogimi spojrzeniami z mężczyzną, próbując wygrać to starcie.

Bentley Cole jednak był mocnym zawodnikiem. Kai postanowił potraktować go tak, jakby był powietrzem.

– Od wczoraj ciągle o tobie myślę, Karmelku – wyznał szczerze.

Zaprzątała mu umysł, choć starał się nie wspominać swojej porażki. A jednak Carmen Clark była wszędzie. I musiał to zwalczyć. Widział ją przez ramię mężczyzny, który uparcie stał w miejscu, jakby

nie chciał zostawić jej samej. Był jak druga wersja Holdena o ciemnych włosach. Stała na końcu korytarza w blado żółtym sweterku, dżinsach z rozdarciem na kolanie i włosach spiętych w wysokiego kucyka. Największą uwagę przykuwały jednak oczy dziewczyny.

Oczy pozbawione blasku, ponieważ Malachai go nieświadomie wyssał.

– Pogadamy? – spytał uprzejmie.

– W porządku – odpowiedziała szybciej, niż pomyślała. Mogła pożałować tej decyzji, ale chciała też przekonać się, co ma jej do powiedzenia sam diabeł. Skinęła ledwo zauważalnie głową, kiedy Bentley posłał jej troskliwe spojrzenie, sprawdzając, czy na pewno się na to zgadza. To mu wystarczyło. Odszedł bez słowa.

Kai natomiast uśmiechnął się triumfalnie, jakby bez większych starań wygrał to starcie. Wszedł za Carmen do, jak się domyślał, jej pokoju, w którym pachniało popularnymi damskimi perfumami. Stała pod oknem, krzyżując ręce na klatce piersiowej. Przez to rękawy jej swetra delikatnie zadarły się ku górze, a Kai ujrzał rany na ciele dziewczyny. Poczł coś dziwnego. Coś jak wyrzuty sumienia. Były gorzkie jak trucizna.

– Czego chcesz, Malachai? Jeszcze ci mało?

Przymknął powieki i zacisnął usta, starając się zignorować fakt, że po raz kolejny wypowiedziała jego pełne imię na głos. To go zjadało i ciągnęło w najgłębsze szczeliny piekła.

– To moja sprawa? – spytał cicho. Zrobił krok do przodu, dzięki czemu znalazł się bliżej, po czym chwycił jej rękę, niezwykle delikatnie jak na niego, i przejechał koniuszkiem palca po jednej z ran. Carmen drgnęła pod wpływem jego dotyku. To wydawało się takie... nierzeczywiste. – Trochę mi wczoraj odbiło. Tak naprawdę nie chciałem cię skrzywdzić.

Parsknęła szczerym śmiechem.

– Poważnie? Dla mnie wyglądało to trochę inaczej – warknęła niesiona złością, bo wspomnienia wczorajszej nocy tylko z tym uczuciem się kojarzyły. Cofnęła się, by zwiększyć między nimi dystans. Bliskość Kaia ją dusiła, jakby znów zaplatał palce na jej szyi z zamiarem pozbawienia jej życia.

– Przeżyłaś. To coś znaczy, nie sądzisz?

Kolejny raz zachichotała, co niesamowicie go zirykowało.

– Och, wybacz. Mam być wdzięczna za to, że pozwoliłeś mi żyć? – prychnęła. Czowała czystą wściekłość pochodzącą z głębi duszy. Wspomnienia z kilku ostatnich tygodni wróciły do niej ze zdwojoną siłą i powoli przebijały żelazny mur, który stanowił granicę jej wytrzymałości.

Była burzą. Nagłą. Potężną. Gwałtowną. Niszczycielską.

– Wiem – westchnął lichy, jakby pogodził się z własnymi błędami. – Porwałem cię i planowałem zabić, ale nie widzisz, że teraz próbuję cię przeprosić?

Carmen przyglądała mu się swoimi zielonymi oczami. Poważnymi i niezgłębionymi. Musiała przyznać, że coś się w nim zmieniło. Nie potrafiła stwierdzić co, ale miała pewność, że się nie myli. Może chodziło o jego zaczerwienione spojówki, jakby usilnie hamował łzy. Albo o fakt, że na jego policzkach pojawił się lekki zarost. Albo o to, że ubrał czarną koszulkę, która opinała jego mięśnie.

Wyglądał na silnego i dzikiego.

– Przyjmuję przeprosiny – odpowiedziała. – Możesz już iść.

Posłał jej kwaśny uśmiech. Nie spodziewał się, że tak prędko będzie chciała się go pozbyć. To sprawiło, że poczuł się nadzwyczaj urażony, ponieważ wcześniej nikt nawet nie próbował go lekceważyć. Dlatego nie zamierzał odpuścić i tak po prostu odejść. Znowu się do niej zbliżył. Tym razem zatrzymał się tak blisko, że ich klatki piersiowe się stykały. Człł, jak oddech Carmen staje się coraz cięższy i płytszy. Nie odwróciła od niego wzroku. Opanowało go uczucie odrealnienia, jakby cały świat nagle się od niego oddalił.

– Trochę o nas myślałem. Głównie o tym, co mi wyznałaś – mruknął. Kątem oka zauważył, że zgarnęła ze stolika długopis i mocno ścisnęła go w dłoń, jakby była gotowa zaatakować go z zimną krwią. Ten widok wywołał na jego ustach szczery uśmiech, który pojawiał się naprawdę rzadko. Przyłożył prawą dłoń do jej policzka. Przeszył ją chłód, jakby właśnie dotykała jej śmierć. – Byłabyś idealną partnerką w zbrodni.

Otworzyła gwałtownie i szeroko oczy, jakby nagle coś jej się przypomniało. Musiała się powstrzymywać, by nie roześmiać mu się prosto w twarz. Zamiast tego zadarła podbródek, by zrównać ich spojrzenia. Patrzyła na niego prowokująco, a to niemal doprowadzało go do furii. Zazwyczaj ludzie unikali jego wzroku, zamiast wgapiać się w niebieskie oczy. Ona natomiast nie bała się zaglądać w tęczęwki pełne demonów.

– Nie jestem taka jak ty.

Kai roześmiał się bez wahania, pokazując rząderek zębów, z których jeden wyglądał jak kieł. Uniósł rękę i zrobił krok w tył. Jeszcze tak rozbawionego go nie widziała. Musiała przyznać, że takiej reakcji się nie spodziewała. Malachai za każdym razem zaskakiwał ją czymś nowym i nieznanym.

– Myślę, że jesteś dokładnie taka sama jak ja. Tylko to wypierasz – powiedział, gdy udało mu się opanować śmiech. Sprawiał, że Carmen balansowała na krawędzi. Nachylił się nad nią i złapał w dłoń jej podbródek. Przeszły ją dreszcze. – Powiedz, ile razy zabijałaś mnie w myślach? – wyszeptał, dokładnie przyglądając się twarzy Carmen. – Och, nawet teraz to robisz, prawda?

Chwycił rękę dziewczyny i wyszarpnął z niej długopis. Bezwiednie rzucił go na ziemię.

– Co chciałaś mi nim zrobić? – zastanawiał się. – Narysować szlaczki na szyi?

Rozbawiony i zarazem pewny siebie wyraz twarzy Kaia sprawiał, że miała ochotę coś rozwalić. Najlepiej jego lekko zadarty nos.

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Może chciałam wcisnąć ci go głęboko do gardła, żebyś się udławił.

Po tych słowach Malachai rozchylił usta, na które automatycznie wypełznął szeroki, zadziorny uśmiech. To był kolejny dowód na to, że miał do czynienia z silną, pewną siebie kobietą, która nie pozwalała, by nią pomiatano. Podniósł rękę do jej twarzy, by odgarnąć za ucho kosmyk włosów, który wydostał się z gumki. Tym samym musnął kciukiem policzek dziewczyny.

– To rani uczucia, których nie mam – mruknął i teatralnie przyłożył dłoń do piersi. Carmen nie zdążyła odpowiedzieć. Usłyszeli skrzypnięcie paneli.

– Braciszku, jesteś tu? – krzyknął Kai, przypominając sobie nagle, że Holden siedział w samochodzie. Jak na zawołanie pojawił się w progu. Przydługie kosmyki jasnych włosów opadały na lewą część jego twarzy. W czarnych spodniach i ciemnej bluzie wyglądał trochę jak prywatny ochroniarz. – Jak długo tam stałeś i podsłuchiwałeś? To trochę niekulturalne.

Kai wiedział, że Holden się nie odezwie, dlatego nie patrzył na niego zbyt długo. Po paru sekundach przeniósł spojrzenie na złkniętą twarz Carmen. To go uspokajało, chociaż nie potrafił tego zrozumieć. Była muzeum pełnym rzeczy, o których chciała zapomnieć, a on pragnął jej o nich przypominać.

Carmen miała w sobie potencjał. Widział w niej ciemność. Zamierzał to wykorzystać i sprowadzić ją na złą drogę. Pragnął zniszczyć wszystko, co znała i kochała, aż jedynym schronieniem, jakie jej pozostanie, będzie on.

– Przemyśl moją propozycję, Karmelku – wymruczał cicho, tak, by tylko ona mogła go usłyszeć, po czym dodał z rozmarzonym uśmiechem: – Ze mną możesz rządzić tym światem.

Nie chciał dłużej tkwić w tym niezręcznym trójkącie emocjonalnym, dlatego wyminął Holdena i odszedł. Carmen przez parę długich sekund nie potrafiła się ruszyć. Patrzyła tylko na jego szerokie plecy, które napinały się z każdym stawianym krokiem.

Holden bez słowa ruszył za nim. Posłusznie jak zawsze.

– Holden – szepnęła tak, jakby nie miała siły się odezwać. Blondyn przystanął, ale nie miał odwagi się odwrócić i ponownie na nią spojrzeć. Jej widok sprawiał, że coś go mocno i nieprzerwanie dusiło. Nie mógł pozwolić sobie na słabość w jej obecności, choć czuł się dobrze w jej towarzystwie. Musiał jednak myśleć racjonalnie, a ona to utrudniała. – Co teraz?

– Nic – burknął obojętnie. – To koniec. Mam nadzieję, że więcej się nie zobaczymy.

Kłamał. Naprawdę nie chciał, aby to skończyło się, nim sprawdzi, do czego mogło doprowadzić, ale musiał trzymać Malachaia na dystans, by nie doprowadzić do kolejnej tragedii. Brak uczuć w jego głosie sprawił, że w Carmen obudził się lęk przed tym, że Kai wyjawiał mu jej sekret. Może dlatego Holden nie chciał mieć z nią nic wspólnego – ponieważ przypadkiem odebrała mu kogoś ważnego.

– W porządku – zgodziła się niechętnie, po czym skinęła głową. Musiała zacisnąć usta, by powstrzymać łzy, które załśniły w jej oczach. Sama nie wiedziała, dlaczego tak zareagowała na jego słowa. Może liczyła na to, że w jej pogmatwanym życiu wreszcie pojawił się ktoś, kto pomógłby jej poskładać się do kupy. – Ratowanie mnie nigdy nie było twoim obowiązkiem.

Holden wyszedł, a Carmen odniosła wrażenie, że straciła grunt pod nogami, przez co zaczęła powoli spadać w przepaść.

Malachai Yordan nie lubił zwlekać. Z tego właśnie powodu zamierzał od razu wcielić w życie swój plan.

Zatrzymał auto na parkingu akurat wtedy, gdy z budynku wyłoniła się ona – jego główny cel. Od razu rzuciła się w oczy, jakby jej ciemna aura była fizyczna. Skupiał się tylko na jej długich, wyprostowanych i rudych włosach. Na kształtnych, podkreślonych czerwoną szminką ustach; zresztą jak zawsze, bo nie widział, by kiedykolwiek wybrała inny kolor. Na krótkiej bluzce bez ramiączek i obcisłych spodniach, co w duecie idealnie podkreślało wszystkie kobiece krągłości.

– Dzień dobry, Karmelku! – zaświergotał radośnie, wychylając się przez okno, by mogła go zobaczyć. A widziała go doskonale, jakby stał tuż przed nią zamiast siedzieć w aucie. Dojrzała go w tej samej chwili, w której podjechał bliżej, jakby miała w głowie radar, który wyczuwa go na odległość. I przed nim ostrzega.

Mimo świadomości, że czai się obok, zamarła w bezruchu. Cała zeszywniała, a na sam dźwięk niepokojąco zachrypniętego oraz nadzwyczaj wesołego głosu wzdłuż kręgosłupa przebiegły jej dreszcze. Wstrzymała oddech, starając się przekonać do tego, że może tylko pogrywa z nią wyobraźnia. Długo walczyła ze sobą, aby ponownie spojrzeć w tamtym kierunku. A gdy wreszcie znalazła w sobie odwagę i to zrobiła, ziemia niemal się pod nią osunęła.

Carmen uszczypnęła się w rękę z nadzieją, że obudzi się z krzykiem.

Ale Kai naprawdę tam był. W każdym skrawku rzeczywistości. Obserwował bacznie jej ruchy, jakby był do tego zaprogramowany. Miała wrażenie, że jego lśniące na słońcu, niebieskie oczy sunęły po niej wraz z każdym niepewnym ruchem jej ciała, do którego musiała się zmuszać. Usta Kaia rozciągały się w diabelskim uśmiechu – zdziwiłaby się, gdyby tak nie było. Ciemnymi włosami targał wiatr, robiąc w nich chaos, a zarost podkreślał idealnie linię szczęki.

– Wsiadaj – krzyknął wciąż uradowany.

Gdy wreszcie zapanowała nad swoim ciałem, zrobiła parę kroków do przodu, chociaż jej nogi niesamowicie drżały. Zatrzymała się kilka centymetrów przed samochodem. Rozchyliła usta z zamiarem odezwania się, ale nagle widok osoby po drugiej stronie ulicy odebrał Carmen mowę. Poczuli się tak, jakby nagle uleciało z niej powietrze, przez co została z niej jedynie pomarszczona skóra.

Bentley Cole. To on uważnie im się przyglądał, jakby chciał w ten sposób podsłuchać rozmowę, choć dzieliła ich zbyt duża odległość, by mógł cokolwiek zrozumieć. Chyba że potrafił czytać z ruchu warg. A kiedy przechwycił spanikowane spojrzenie Carmen, porozumiewawczo kiwnął do niej głową, chcąc się przywitać.

– Nie – powiedziała hardo. Nie miała jednak pewności, czy wypowiedziała to słowo do Kaia, czy jednak do Bena, z nadzieją, że może ją usłyszy. Jedno było pewne. Obaj się do niej przyczepili i powoli zaczynała gubić się w tym, który ogon był gorszy. Musiała udawać przed nimi silną, nawet jeśli w środku rozpadała się na kawałki.

Kai potraktował to jak żart, dlatego się roześmiał. Humor Carmen nie pozwalał jej nawet się uśmiechnąć. Utknęła na krawędzi między dobrą a złą decyzją.

– Nigdzie z tobą nie jadę – stwierdziła, patrząc na niego z gniewem w zielonych oczach.

– Wsiadaj – powtórzył Kai bardziej zirytowany, bardziej roztargniony, po prostu bardziej pod każdym względem. Jego głos był mocniejszy oraz wyraźniejszy, jakby skupił się na tym, by zabrzmieć złowieszczo. – Jeśli myślisz, że będę cię prosił, to się mylisz...

Carmen rozchyliła usta, pragnąc coś odpowiedzieć, ale w tej samej chwili Kai dodał:

– ...zrób to dobrowolnie albo będę musiał znów cię porwać.

I wcale by mu to nie przeszkadzało.

– A może powinienem wspomnieć Holdenowi, co naprawdę przytrafiło się jego ukochanej Selene? – dodał jeszcze. Spojrzał ku niebu, udając zamyślenie. To zdecydowanie był as w rękawie Malachai Yordana. Rzucił go na stół z cwaniackim uśmiechem, bo doskonale wiedział, że znów wysuwa się na prowadzenie. – Chyba zmieniliby o tobie zdanie, nie sądzisz?

– Jesteś podły, Malachai – sapnęła wściekle.

– Nie – rzucił natychmiast, kręcąc głową. Wyraz jego twarzy jednoznacznie wskazywał na to, jak bardzo jest rozbawiony. – Jestem po prostu niesamowicie przekonujący.

Wiedziała, że Malachai nie odpuści, bo gdy tylko postawiła krok w tył, otworzył z rozmachem drzwi, wysuwając na zewnątrz jedną stopę. Jego spojrzenie było tak silne, że odniosła wrażenie, że wciągnie ją do środka bez żadnego wysiłku. Rozejrzała się wokół, panicznie szukając Bentleya, bo nagle wydał jej się bardzo potrzebny.

Wciąż stał w tym samym miejscu. Obserwował. Wyciągał wnioski. Analizował. I nagle kiwnął głową, jakby podjął decyzję za nią. Westchnęła, licząc w duchu na to, że źle to odczytała. Prawda była jednak inna. Bentley naprawdę podzielał zdanie Kaia. Chciał, aby wsiadła do auta, bo dzięki temu stawała się dla niego ważniejsza i bardziej przydatna. Przekonała się o tym, gdy dostała nową wiadomość. Nie musiała nawet zerkać na ekran, by wiedzieć, że to Bentley do niej pisał – trzymał w dłoni komórkę.

*B.C.: To nasza szansa.*

*Nasza?*, pomyślała, tłumiąc śmiech. To brzmiało wręcz... niedorzecznie. Ale obudziła się w niej jej racjonalna strona, która podpowiadała, że to może rzeczywiście nie jest tak zły pomysł, że jeśli pomoże policji znaleźć sensowne dowody na nielegalne działania Malachai, któremu jak dotąd wszystko uchodziło płazem, to może się od niego uwolni. Na zawsze. I będzie mogła wymazać go z pamięci jak źle napisane słowa na kartce.

Spędzanie czasu z Kaiem określiłaby jako ostatnią rzecz na świecie, jaką chciałyby zrobić przed śmiercią. I można byłoby to potraktować jako ironię, bo czasami wydawało jej się, że to właśnie Malachai Yordan jest zagładą odbierającą ludzkie życie. Nigdy nie była go pewna. Nie potrafiła przewidzieć, jak się zachowa, kiedy nie będzie posłuszna.

Zajęła miejsce pasażera. Przez kilkanaście dłużeńych się sekund przyglądał się jej w niepokojącej ciszy, jakby szukał w niej czegoś nowego. Czuliła się z tym dziwnie i potwornie. Jej całe ciało drżało pod jego natarczywym spojrzeniem, bo wydawało się, że wzrokiem połyka ją niczym bestia swoją ofiarę.

– Wiesz, Karmelku, tak między nami: Holden do tej pory obwinia się o to, co stało się z Selene. Biedaczek się nie pozbierał. Może ty mu pomożesz?

Ta wiadomość sprawiła, że żołądek Carmen wywinął się na drugą stronę. Przymknęła oczy, próbując się uspokoić, bo z nerwów jej noga zaczęła nierytmicznie drgać, ale wtedy pod powiekami pojawiła jej się wizja martwej twarzy Selene i zestresowała się jeszcze bardziej.

– Czego jeszcze ode mnie chcesz? – spytała, zmieniając niewygodny temat. W końcu zdecydowała się podarować mu odrobinę uwagi i spojrzała na niego. Jediną rzeczą, którą dokładnie widziała, były jego cholernie niebieskie oczy. Chciała odwrócić głowę, ale coś jej na to nie pozwalało, bo choć pełne zła, potrafiły hipnotyzować. Były też zwyczajnie smutne. Zupełnie jak jej.

Gdyby ktoś spytał, nie potrafiłaby określić, jak długo patrzyli na siebie z czymś nieodgadnionym w oczach. Ale z każdą mijającą sekundą powoli odbierało jej dech, jakby Kai bez wysiłku zawiązywał na jej szyi niewidzialny drut nabity ostrymi kolcami, które wpijały się boleśnie w skórę. Tak właśnie opisywały to niespotykane uczucie. Zauważyła, jak drapieźnie oblizwał usta.

– Jeszcze z tobą nie skończyłem – stwierdził, odwracając głowę, by znów patrzeć na drogę, bo to na tym powinien się skupić, nie na jej oczach. – Uwierz, będziesz wiedziała, kiedy to się stanie.

Zamierzał wyssać z niej wszystko, co dobre, aż zostanie tylko zło żywiące się resztką jej zniszczonego człowieczeństwa oraz wyczerpanej duszy.

– Co to w ogóle znaczy? – spytała nieco piskliwym głosem, bo ta wypowiedź zasiała w niej obawę o przyszłość, jaka ją czekała. Nieumyślnie zagryzła wargę. Kiedy zorientowała się, że to zrobiła, przejechała językiem po zębach, spodziewając się tego, że zostały na nich czerwone ślady po szmince.

– Mam co do ciebie szczególne plany.

Carmen chyba nawet nie chciała wiedzieć, co miał na myśli, dlatego więcej nie odezwała się słowem. Wlepiała wzrok w zmieniający się za szybą obraz, starając się nawet nie zerkać w jego kierunku. Ale to okazało się nadzwyczaj trudnym zadaniem, jakby Kai miał w sobie magnes, który skutecznie ją przyciągał. Przymknęła więc powieki, wsłuchując się w muzykę zagłuszaną przez jazgot silnika.

Otworzyła je kilka minut później, zaniepokojona tym, że wciąż jada. Zobaczyła, że znajdują się na drodze prowadzącej poza miasto. Otaczały ich drzewa, nic więcej. Nie minęli nawet żadnego samochodu. Zaczęła wiercić się w fotelu, gdy lęk na nowo zagnieździł się w jej żołądku. Uderzyły w nią wszystkie wspomnienia z ich ostatniej podróży, gdy Malachai prowadził ją na pewną śmierć.

Raz już oszukała przeznaczenie, drugim razem na pewno się nie uda.

– Boisz się? – spytał, gdy zerknął na nią kątem oka.

– Nie – prychnęła z ironią. – Mam przerażony wyraz twarzy, bo super się z tobą bawię.

Kai postanowił zignorować przytyk, chociaż odgryzłby się z ogromną chęcią. Zamierzał jednak zgrywać grzecznego chłopca, aby nie wzbudzać podejrzeń odnośnie tego, co naprawdę planował. A to był dopiero pierwszy etap planu.

– Hej – mruknął łagodnie, co kompletnie do niego nie pasowało. Zdziwiła się, gdy niespodziewanie położył dłoń na jej kolanie, które drgnęło pod wpływem tego dotyku. Poruszyła nogą, zrzucając z siebie rękę Kaia. – Nic ci nie zrobię. Jesteś bezpieczna.

Z pewnością. Była bezpieczna, dopóki nie budziła się w nim ta cząstka, która nie zamierzała spocząć, dopóki świat nie zaleje się krwią, w tym ona. Przełknęła ślinę i skinęła głową. Nie uwierzyła mu, chociaż próbowała przekonać samą siebie, że jego intencje są szczerze. Wiedziała, że ze względu na Ivana nie mógł jej tknąć. Przynajmniej jeśli nadal chciał wkupić się w łaski mężczyzny.

Kątem oka zauważyła, jak nerwowo spogląda we wsteczne lustro. Lśniło błękitem jego spojrzenia. Zaciekawilo ją to, że w jego oczach pojawiła się delikatna oznaka zdenerwowania, więc obejrzała się przez ramię. I nagle wszystko stało się jasne. Obserwował uważnie auto, które siedziało im na ogonie. Carmen wiedziała, kto je prowadzi, i momentalnie też poczuła się spięta do granic.

Malachai wcisnął mocniej pedał gazu. Przyśpieszyli. Samochód za nimi jednak wciąż utrzymywał stałą prędkość, bo kierowca nie chciał dać się przechytrzyć. Kai uważnie obserwował pojazd. Na ulicy byli tylko oni, co dawało mu wiele możliwości. Zamiast dalej zwiększać prędkość, gwałtownie przycisnął piętą hamulec. Auto zatrzymało się tak, jakby miało unieść się na dwóch przednich oponach. Carmen niemal uderzyła o deskę rozdzielczą, ale w porę odepchnęła się od niej wyprostowaną ręką. Od siły odrzutu włosy zasłoniły całą jej twarz – wpadły nie tylko w oczy, ale również w usta i nos. Kiedy odgarnęła je do tyłu, zobaczyła, jak Kai z impetem otwiera drzwi.

– Co się dzieje? – spytała, udając, że nic nie wie.

– Ktoś za nami jedzie – oznajmił znudzonym głosem. Carmen jednak przeczuwała, że właśnie nad jego ciałem i umysłem kontrolę przejmowała agresja. Dlatego zaciskał mocno pięści, a szczęka przesuwała się na boki. Nie kłopotał się, by zatrzaskać za sobą drzwi. Obszedł auto dookoła, a każdy jego krok trząśł ziemię jak wielkie tsunami.

– Masz paranoję! – krzyknęła Carmen zza szyby, sprawiając tym samym, że na krótki moment pochylił się, aby na nią spojrzeć. Nawet się uśmiechnął, ale w taki sposób, jakby bawiła go jej naiwność.

– Och, Karmelku, zaraz zobaczysz moją paranoję – odpowiedział, wciąż się szczerząc. To był znak, że w jego zbłąkanym umyśle właśnie rodził się potworny plan. Nim zdążyła mrugnąć, Kai stał już na środku ulicy, w samotności, gotowy na bliskie spotkanie z kierowcą drugiego auta, jakby było mu wszystko jedno. Rozłożył szeroko ramiona, czekając na to, co zaplanował dla niego los.

Carmen Clark była pod wielkim wrażeniem tego, jak wielka potrzeba autodestrukcji rządziła działaniami Malachai. Jakby wolał umrzeć niż żyć z własnymi demonami. I z przykrością stwierdziła, że momentami, kiedy życie kopało ją w tyłek i spychało na dno, miała podobnie. Śmierć wydawała się najłatwiejszym rozwiązaniem.

Z oddechem więznącym w gardle obserwowała, jak z sekundy na sekundę dystans między chłopakiem a pędzącym samochodem się skracał. I nie wiedziała, co z tym faktem począć. Jedyne uczucia, jakimi darzyła Kaia, to strach, ale nie mogła przecież pozwolić mu na kontynuowanie tego przedstawienia, bo trochę obawiała się, że skończy się ono najgorszym z możliwych scenariuszy.

Otworzyła drzwi, po czym niemal wypadła na ulicę skąpaną w ciszy przerywanej dźwiękiem pracującego silnika. Słyszała nieznośny pisk hamulców, a światła nadjeżdżającego auta raziły ją w oczy tak bardzo, że przez moment nic nie widziała.

– Malachai! – krzyknęła rozpaczliwie. I wygrała, ponieważ Kai obdarował ją pustym spojrzeniem. A może jednak przegrała, ponieważ kiedy tylko dotarło do jego uszu własne imię, stracił czujność. Znow coś się w nim budziło, by prędko uschnąć, jakby miał w sobie chorobę, która w każdym przypadku kończy się śmiercią.

Gdy ponownie spojrzął przed siebie, było zdecydowanie za późno, by sam mógł odskoczyć w bok. To kierowca samochodu zareagował w porę, skręcając gwałtownie na przeciwległy pas, dzięki czemu uniknęli zdarzenia. Kai z wreszcie odczuwalnie bijącym sercem obrócił się i jeszcze przez parę chwil obserwował oddalający się samochód.

– Zadowolona? – rzucił oschle do Carmen. Podszedł bliżej, złapał ją za ramię i spojrzął głęboko w zielone oczy, jakby chciał odgadnąć, co chodzi jej po głowie; czy też tak bardzo łaknie adrenaliny, czy choć w niewielkim stopniu przejęła się jego losem. – Wszystko zepsułaś.

– Chciałaś... – zaczęła niepewnie – tu umrzeć?

Serce Carmen stanęło, a potem zabiło trzy razy mocniej, kiedy zadarła podbródek. Kai, unosząc zaledwie jeden kącik ust, ślizgał się wzrokiem od jej oczu aż po wargi, nim parsknął cicho pod nosem, ukazując rząd zębów.

– Chciałem umrzeć wiele razy – odpowiedział spokojnie, jakby to był najbardziej błahy temat. – Ale los ma dla mnie inny plan i nigdy na to nie pozwala. To chyba kara.

A może było wręcz przeciwnie. Może tak naprawdę chciał żyć. Tylko lepiej.

Nic nie odpowiedziała, bo niby co miałyby mu powiedzieć? Że czasami też czekała na wybawienie, jakim miała być dla niej śmierć? Że w żaden inny sposób, niż igrając z życiem, nie mogła poczuć, że nie jest już martwa? Że tylko niebezpieczeństwo pokazywało jej, że żyje?

Podobnie jak on wsiadła do auta. Ruszyli w dalszą podróż, a zaraz po tym usłyszała nietypowy, przytłumiony dźwięk, który przypominał nieco walenie pięścią w drzwi.

Zaalarmowana odwróciła się przez ramię. Nie zobaczyła za sobą nic oprócz tylnego siedzenia, na którym leżały okulary przeciwsłoneczne i dzinsowa kurtka. Kai akurat skręcił w ledwie widoczną pełną ścieżkę, po czym zatrzymał samochód, bo dotarł do celu.

Znaleźli się w głębi lasu.

Wysiadła za nim. Wysokie korony drzew przysłaniały promienie słońca, przez co odczuła nagły i nieprzyjemny chłód, który wbijał się w skórę jak igły. Potarła zmarznięte ramiona, gdy jej szczęka zaczęła drżeć z zimna. I wtedy Kai zrobił coś, czego nigdy by się po nim nie spodziewała. Wyciągnął z samochodu swoją kurtkę, a następnie stanął przed Carmen – tak blisko, że na ułamek sekundy zapomniała, że świat wciąż istnieje. Narzucił ubranie na jej nagie ramiona i uśmiechnął się przyjaźnie.

– Dbaj o siebie. Potrzebuję cię żywej.

Było w nim coś nowego. Nie wydawał się już tak mroczny i przerażający jak zawsze. To wrażenie nie trwało jednak zbyt długo. Kolejny raz usłyszała ten dziwny dźwięk, aż się wzdrzygnęła. Zdezorientowana zerknęła na Kaia, który stanął przy bagażniku i kiwnął do niej głową, by podeszła bliżej. Jej żołądek zawiązał się w supełek. Nie chciała już znać rozwiązania zagadki, jaką stał się ten odgłos.

Malachai podniósł klapę bagażnika, a oczom Carmen okazał się młody chłopak. Był równie przerażony co ona. Z wrażenia zrobiła krok w tył. Odczuła jeszcze większy chłód, dlatego szczelnej otuliła się kurtką, która była cała przesiąknięta Kaiem, bo pachniała jak zło. Z oddechem uwięzionym w płucach obserwowała, jak Malachai wyszarpuje nieznanego na zewnątrz. Zaciśnął palce na jego ramieniu tak mocno, że chłopak momentalnie klęknął.

Nie miała odwagi się odezwać.

– Poznaj Dana – odezwał się Kai, przerywając tym samym żalosne stękanie chłopaka, które huczało mu w głowie, tylko zwiększając jego irytację. – Dan to mały ćpun, ale ciężko idzie mu spłacanie swoich długów. Dlatego damy mu nauczki na przyszłość.

– My? – wysapała, czując, jak ziemia się pod nią rozstępuje. Nie mogła tego pojąć.

– Dlatego tutaj jesteś, Karmelku – powiedział w taki sposób, jakby to było oczywiste. Puścił chłopaka i podeszedł bliżej Carmen. Miała wrażenie, że obraz przed jej oczami się rozmazuje i wiruje. Zaczęła szybko mrugać. Próbowwała połączyć fakty, ale umysł Carmen się zaciął i nic już nie wiedziała. – Masz specjalną okazję, by zdecydować, co mam z nim zrobić.

Otworzyła usta z wrażenia.

– Puścić wolno? – rzuciła wątpliwie.

Malachai potrząsnął głową na znak, że się nie zgadza.

– Proszę, nie pozwól, żeby mnie skrzywdził – jęknął żałośnie Dan, czym zasłużył sobie na mocne kopnięcie w tył pleców. Pochylił się, asekurując się dłońmi przed upadkiem. Zadarł brodę, by wlepić w Carmen smutne, błagalne spojrzenie. Nie mogła zbyt długo na niego patrzeć, dlatego przeniosła spojrzenie na twarz Kaia. Szczerzył się szeroko, ukazując zęby i zmarszczki wokół ust. Jego oczy lśniły, jakby zgromadziły w sobie wszystkie gwiazdy.

– Stul pysk, Dan – ryknął Kai głosem, który pochodził z najgorętszych czeluści piekieł.

Odwrócił się w stronę chłopaka. Szybkim i zwinnym ruchem na dobitkę uderzył go łokciem w twarz, z taką siłą, że Dan przechylił się na lewą stronę. Z jego nosa jak z armaty wystrzeliła ciepła krew prosto na buty Carmen. Zamknęła oczy i zaciśnęła usta, by nie pisnąć. Miała ochotę się rozpłakać, ale za wszelką cenę starała się tego uniknąć.

– Nie wiesz, że nieładnie jest przerywać, gdy dorośli rozmawiają?

– Przestań. – Jej słaby głos odbił się od pni drzew i niczym spłoszone ptaki poszybował ku górze, dzięki czemu brzmiał znacznie głośniejszy i wyraźniejszy. Narodził się w niej krzyk, który wzbierał z każdą chwilą, by wydostać się na zewnątrz. Jeszcze moment, a nie potrafiłaby go w sobie stłumić. – Co mam



zrobić?

Nie mogła uwierzyć, że dała się w to wciągnąć.

Malachai oderwał spojrzenie od swojej ofiary. Odwrócił się do Carmen, obszedł ją dookoła i stanął za nią, tak blisko, że czuła, jak jej plecy stykają się z jego klatką piersiową nabuzowaną emocjami. Niezwykle subtelnym ruchem odgarnął włosy z ramienia dziewczyny, przesuując koniuszkami palców po skórze. Zaraz po tym poczuła na szyi coś zimnego. Dopiero po chwili zorientowała się, że w miejscu, gdzie niedawno spoczywała dłoń Kaia, teraz znajdowało się ostrze noża. Nawet nie drgnęła w obawie przed tym, że przez jeden gwałtowny ruch stanie się jej krzywda.

– Wszystko zależy od ciebie – wyszeptał niemal do ucha Carmen, gdy się nad nią pochylił. Zadrżała, kiedy jego oddech zakołysał jej rudymi włosami. – Ty albo on. Tylko jedno z was wyjdzie z tego bez szwanku.

Z początku miała wrażenie, że się przesłyszała.

– Nie możesz mnie tknąć, pamiętasz? – przypomniała, dzięki czemu na krótki moment osiągnęła minimalną przewagę. To był argument, którego Malachai nie mógł podważyć, jeśli nie chciał narażać się wujkowi.

Odwróciła głowę. W efekcie tej lekkomyślności wargi Kaia zetknęły się z jej policzkiem, niemal odznaczając się na nim jak blizna. Serce Carmen podchodziło do samego gardła, jakby za moment miała je wypluć. Kręciło jej się w głowie od nadmiaru emocji. Czuła się tak, jakby wypięła za dużo alkoholu. Z tą różnicą, że to Kai mieszał w jej umyśle.

– Ciebie nie – odpowiedział zgodnie z prawdą. W kolejnej sekundzie owinał łokieć wokół jej szyi i przyciągnął bliżej siebie. Bezwiednie oparła się o jego brzuch. – Ale mogę nagle przypomnieć sobie, że James wciąż nie spłacił długu. To kupa kasy, wiesz? Skończyłby gorzej niż Dan dzisiaj.

Zacisnęła dłonie na przedramieniu Kaia, starając się go od siebie odepchnąć. Nie mogła swobodnie oddychać. Miała wrażenie, że się dusi. Znów spojrzała na młodego chłopaka, który wciąż przyciskał dłoń do zakrwawionego nosa. Widziała łzy w jego oczach, przez które coś ścisnęło ją za serce. Wahala się tylko kilka sekund. Nawet go nie знаła. Nie mogła pozwolić, by James ucierpiał. Nawet jeśli to on po części ją w to wpakował. Nawet jeśli nadszarpnął jej zaufanie. Nawet jeśli nie potrafiła na niego patrzeć bez chęci naplucia mu w twarz.

Decyzja była oczywista. Wybrała swoje dobro, ponieważ od zawsze było wiadomo, że Carmen Clark jest paskudną egoistką.

– Jak będzie, Karmelku? – szepnął Kai, zahaczając ustami o kark rudowłosej.

– Przepraszam – mruknęła niemrawo w kierunku biednego Dana, którego mina wskazywała na to, że doskonale wiedział, co go czeka. Po prostu gniew diabła. Uniósł na nią wzrok, niemal wypalając w niej dziurę. Ona natomiast nie mogła na niego patrzeć, bo kiedy to robiła, czuła się winna. Jej serce rozdarło się na pół. Kai poluźnił swój uścisk, dzięki czemu wreszcie mogła się ruszyć.

– Dobry wybór – powiedział z entuzjazmem, jeszcze bardziej się ożywiając. Zgrabnie ją wyminął i wraz z radosnym półobrotem klasnął w dłonie. – Jednak potrafisz się bawić!

– Nie chcę na to patrzeć – mruknęła niemrawo, a potem odeszła. Niedaleko, bo jemu nie dało się uciec. Poza tym nie miała siły wsiąść do auta. Osunęła się na ziemię, oparła o oponę i podciągnęła kolana niemal pod brodę. Później po prostu się rozplakała, rozkleiła, rozpadła. Łzy spływały jej po policzkach, ustach i brodzie, lądując na szyi oraz kurtce Kaia. Nieporadnie je ścierała, dopóki wreszcie nie ustały. Przycisnęła dłonie do uszu, starając się wyrzucić z głowy dźwięki pięści uderzającej w ciało, który mieszał się z dźwiękiem łamania pojedynczych kości.

Siedziała z zaciśniętymi powiekami i zakrytymi uszami, dopóki nie usłyszała ciężkich kroków. Otworzyła oczy w samą porę, by zobaczyć, jak Kai się przy niej zatrzymuje. Wyciągnął do niej rękę, żeby pomóc jej wstać. Przez kilkanaście sekund wpatrywała się w jego dłoń, na której znajdowały się ślady krwi, a wszystkie cztery kostki były obdarte z warstwy skóry. Nie chciała go dotykać, bo wywoływał w niej tylko odrazę, dlatego postanowiła podnieść się o własnych siłach. Starła się nie patrzeć za jego plecy, ale jej spojrzenie samoistnie tam powędrowało. Ujrzała wystającą zza samochodu nieruchomą rękę.

Nagle uleciało z niej powietrze. Zakręciło jej się w głowie i straciła równowagę. Nim runęła na ziemię, Kai oplótł rękę wokół talii dziewczyny i stabilnie ją przytrzymał. Odniosła wrażenie, że chciał trzymać ją w swoich ostrych szponach już na wieki.

– Zabiłeś go? – wydukała, choć wybrzmiało to tak cicho, że sama zaczęła się zastanawiać, czy na pewno się odezwała. Obraz przed nią powoli przestawał wirować. Starła się skupić na niebieskich oczach Malachaia, które były jedynym jasnym punktem na jego twarzy. Widziała w nich magię. Czarną

i brudną. Nie potrafiła jednak patrzeć w nie zbyt długo, ponieważ kontrastowały z rozbryzganą w najróżniejsze wzory krwią na jego twarzy. I musiała przyznać, że to było ciekawe połączenie.

Malachai Yordan, błękit tęczy oraz krwista czerwień.

– Nie – mruknął tak, jakby to było oczywiste, po czym otworzył przed nią drzwi i pomógł wsiąść do środka. Przetarł twarz rękawem bluzy. – Przecież wciąż nie spłacił długu.

Skinęła głową, próbując ułożyć to wszystko w umyśle. Myśli Carmen jednak rozbiegły się w najczarniejsze zakamarki umysłu, a tam wołała się nie zapuszczać, bo mogłaby zabłądzić albo... zbłądzić. Kai zajął miejsce za kierownicą kilka sekund później.

– Zostawimy go tak? – spytała na poważnie. Kai przekręcił głowę. Triumfalnie wpatrywał się w zaszkłone, zaczerwienione oczy i trochę rozmazany tusz na twarzy Carmen. Spróbował zetrzeć kciukiem pozostałości makijażu, ale momentalnie się cofnęła.

– Niedaleko jest przystanek – stwierdził, a następnie oderwał od niej spojrzenie i przekręcił kluczek w stacyjce. – Powinien się tam doczłapać, zanim przyjedzie kolejny autobus.

Zamilkła. Zapadała się tak głęboko w mrok, że niemal nie widziała już słońca. Coraz bardziej i coraz szybciej zbliżała się do piekła.

To miasto kochało noc.

A Carmen Clark potrzebowała przerwy. Całkowitego resetu. Nadal nie potrafiła ochłonąć po tym, jakiego wyboru musiała dokonać kilka dni wcześniej. Lęk uwił sobie ogromne gniazdo głęboko w niej i nie pozwalał normalnie funkcjonować. Bez względu na to, gdzie była i co robiła, nie potrafiła o tym zapomnieć. Strach nie tylko w niej tkwił. Strach był nią, a ona była strachem. Pragnęła jedynie wyłączyć myśli oraz stracić kontrolę nad swoim ciałem.

Dlatego założyła na siebie najładniejszą bluzkę bez ramiączek, skórzane spodnie i czerwoną kurtkę, dzięki której mogła się wyróżniać. Pomalowała się w nadzwyczaj szybkim tempie, a piętnaście minut później stała już pod wejściem do jedyne go klubu w mieście. Zamierzała bawić się tak, jakby jutra miało nie być. Nie obchodziło jej nawet to, że było to miejsce, które po części należało do przeklętego Malachaia Yordana.

A może o to właśnie chodziło – o świadomość, że znów go zobaczy, bo bez względu na to, jak bardzo nie chciała się do tego przyznać, każde spotkanie z nim wywoływało w niej niebywałą ekscytację i sprawiało, że czuła się mniej martwa niż zwykle.

Nim zdążyła przekroczyć próg, usłyszała podniesiony męski głos. Potem łkanie. To skutecznie przykuło jej uwagę. Rozejrzała się dookoła, aż jej spojrzenie zatrzymało się na dwójce ludzi. Postawny mężczyzna w kapturze na głowie stał parę metrów dalej, wrzeszcząc na drobną, skuloną dziewczynę. Kiedy Carmen lepiej im się przyjrzała, zobaczyła, że nieznajomy zaciskał wytatuowaną dłoń na ramieniu swojej towarzyszki i mocno nią szarpał, jakby była tylko balonikiem puszczonego na wietrze. Ledwie kilka sekund później nieznajomy odepchnął od siebie partnerkę, która upadła na ziemię.

– Gdzie on jest?! – ryknął nieprzyjemnym tonem. Takim, przed którym chce się jak najdalej uciekać. – Tylko tyle chcę wiedzieć. Gdzie on jest?!

Chociaż wokół krążyło pełno ludzi, nie zareagował nikt. Ten widok sprawił, że w żyłach Carmen zaczęła pulsować wściekłość. Całkowicie wypełniła ją chęć walki. Żwawym krokiem ruszyła z miejsca. Maszerowała, dopóki nie znalazła się przy parze. Szybkim ruchem odepchnęła mężczyznę, który ledwie drgnął. Później kucnęła przy nieznajomej i podała jej rękę. Dziewczyna zerknęła na nią oczami pełnymi gorzkich łez.

I wtedy Carmen zrozumiała, że nie była zupełnie obca. Już ją widziała. Raz, góra dwa razy, w klubie, tuż przy boku Kaia, jakby należała do niego z własnej inicjatywy. Prezentowała się mniej ładnie niż podczas ich ostatniego spotkania. Miała rozmazany makijaż, potargane włosy i rozcięcie na wardze, które nasuwało tylko jedną myśl.

Carmen wstała i wbiła w nieznajomego palące spojrzenie pełne gniewu.

– Może zmierzysz się z kimś, kto ma z tobą jakiejkolwiek szanse? – wycodziła bez namysłu. W odpowiedzi usłyszała głośny rechot, który tylko spotęgował jej wściekłość. Zrobiła krok do przodu, by znaleźć się bliżej mężczyzny. Zadarła podbródek i spojrzała mu prosto w oczy. A on tylko szczyrzył kły, jakby zdobył nagrodę.

– Jesteś aż taką pizdą, że musisz wyżywać się na dziewczynie? – powiedziała z wahaniem. Już nie była taka waleczna, kiedy świdrował ją przeszywającym wzrokiem. Te słowa podziały na niego jak płachta na byka.

– Woah, przyszedłem pogadać w imieniu Ryana – mruknął, unosząc obie dłonie na wysokość piersi. Słyszając to imię, Carmen rozchyliła usta w zdziwieniu. Zastanawiała się, czy chodzi o tego samego chłopaka, którego spotkali z Holdenem. To nie mógł być przypadek. – Ale ta kurwa nie chce nic powiedzieć! – Piekłac się, wskazał brodą na poważnie przestraszoną dziewczynę. – Chcesz być następna?

Mężczyzna postawił przed siebie tak wielki krok, jakby zamierzał na nią wskoczyć. Otworzyła usta, aby odpowiedzieć, może nawet go wyśmiać, ale obok niej z klęczek podniosła się brunetka. Zaczęła rozpaczliwie ciągnąć ją za rękaw kurtki.

– Chodź. Nie brnij w to – jęknęła. – Nic mi nie jest.

Ale Carmen Clark nawet przez ułamek sekundy nie pomyślała o tym, by odpuścić.

– Dalej, damski bokserze – mruknęła prowokująco i aby podkreślić swój bojowy nastrój, skrzyżowała ręce na klatce piersiowej. Cały czas słyszała głos dziewczyny, ale za bardzo skupiała się na złości, aby dotarł do niej sens jej słów. Mężczyzna znów zarechotał głośno. Wziął zamach, jakby to była dla niego normalka. Carmen przymknęła oczy, przewidując najgorsze, ale nic się nie stało.

Nie dostała w twarz. A tego się właśnie spodziewała.

– Kiedy przestaniesz sprowadzać na siebie kłopoty? – Usłyszała znajomy głos.

Postanowiła unieść powieki. Uśmiechnęła się z ulgą. Zobaczyła Holdena, który stabilnie trzymał mężczyznę za ramiona. Mimo że nieznajomy niesamowicie się szarpał, nieco chudszy od niego blondyn bez problemu uniemożliwiał mu wydostanie się z uścisku. Wreszcie go puścił i odepchnął z taką siłą, że ten padł prosto na ręce i sturlał się po schodach stopień niżej.

– Lepiej, żebym więcej cię tu nie widział – powiedział Holden. Jego głos jak zawsze brzmiał spokojnie. – Nie tolerujemy tutaj damskich bokserów.

Kolega Ryana roześmiał się kretyńsko, kręcąc głową z rozbawieniem.

– Luz – mruknął od niechcenia i jednocześnie wstał. – Przekaż bratu, że Ryan czeka.

Holden przełknął nerwowo ślinę, bo nic nie rozumiał. Nie miał jednak okazji spytać, na co czeka najbardziej zniechęcony przez niego gość i jaki związek ma z tym Kai, bo nieznajomy ulotnił się, gdy tylko Holden na moment odwrócił wzrok. Czuł się... zdezorientowany, jakby ominęło go coś ważnego, coś, o czym powinien wiedzieć, ale nie został wtajemniczony.

Nie wiedział, dlaczego wciąż go to dziwiło. Malachai przecież często pomijał go w swoich szalonych planach.

– O co mu chodziło? – zwrócił się do Sybil, która od razu uciekła wzrokiem w bok, byle nie musieć się przed nim spowiadać. I tak nie miała pojęcia, w co znowu wplątał się Kai. Choć bardzo tego chciała, nie była powierniczką jego sekretów. Malachai Yordan po prostu bywał w jej życiu, kiedy miał na to ochotę. Dlatego korzystała z każdej wspólnej chwili najlepiej, jak tylko mogła, bo wciąż bała się tego, że kiedyś mu się znudzi. I znów zostanie sama.

Szczególnie teraz, gdy Kai znalazł sobie smakowity kąsek, jakim była Carmen Clark.

– Nie mnie powinieneś o to pytać – burknęła niemiło. Nie tłumacząc nic więcej, ruszyła w stronę klubu. Pragnęła tylko znaleźć Kaia, by pozbyć się tego strachu, który się w niej zaległ. Tylko on potrafił jej w tym pomóc. Kątem oka widziała, że Carmen oraz Holden idą za nią, szepcząc między sobą. Sybil w tę rozmowę nie włączyli.

Żadne z nich nie wiedziało jednak, że całą sytuację obserwowała jeszcze jedna osoba.

• • •

Kiedy emocje zaczęły opadać, Carmen nie czuła się pewna, czy wydarzenia sprzed chwili na pewno miały miejsce. Była roztrzęsiona, ale nie chciała, by ktokolwiek to zauważył. W jej żyłach wciąż płynęła adrenalina i jak życiodajna siła ożywiała mięśnie. Krew powoli wracała do kończyn, choć Carmen nadal miała wrażenie lodowatej pustki w sobie. Zrobiła kilka głębokich wdechów, żeby się uspokoić, i niemal zakrztusiła się tym nagle schwytanym w płuca powietrzem.

Próbowała skupić wzrok, by namierzyć Holdena, który zapewnił, że za moment przyniesie jej drinka, który na pewno ukoi jej zszargane nerwy. Obok niej wciąż siedziała Sybil, która bezustannie rozglądała się na boki, jakby na kogoś czekała. Carmen całkowicie ignorowała jej obecność, dopóki brunetka nie stanęła na równe nogi, trącając przy okazji kolano Carmen.

Sybil wpatrywała się z nadzieją w osobę, która zmierzała w ich kierunku. On jednak nie za bardzo skupił się na niej, choć wpadła mu w ramiona, owijając ręce wokół pasa, bo przy nim zawsze czuła się bezpiecznie. Przyczepiła się do niego jak do ulubionego pluszaka w dzieciństwie. On jednak bez ostrzeżenia zacisnął palce na nadgarstku Carmen, zmuszając ją, by wstała. Odniosła wrażenie, że dotyka jej kostucha, która pragnie zabrać ją w zaświaty.

– Sorka. Muszę ją na chwile porwać – zwrócił się do Sybil, ale nie doczekała się z jego strony choćby jednego spojrzenia.

– Dokąd? – wysapała dziewczyna drżącym głosem. Dopiero wtedy raczył na nią spojrzeć i na ułamek sekundy się skrzywił, bo od razu zauważył jej zaczerwienioną pękniętą wargę. A Kai nie lubił, gdy Sybil cierpiała z jego powodu. Szczególnie fizycznie. W tamtej chwili jednak jej obecność nieco kolidowała z jego planem. Przejechał kciukiem po niewielkiej ranie, po czym cmoknął ją w skroń.

– Załatwię to. Tak jak lubisz – odpowiedział cicho, wywołując u niej lekki uśmiech. Dłonią wygładził jej długie czarne włosy. – Poczekaj grzecznie. Niedługo do ciebie wrócę.

Carmen skupiła się na tym, że zna ten głos doskonale. Sam dźwięk tego niepokojącego tonu sprawił, że momentalnie zeszytniała. Nie panowała nad swoim ciałem, dlatego Kai bez problemu pociągnął

ją za sobą. Rozejrzała się nieprzytomnie, aż wreszcie widok się wyostriżył. Malachai Yordan szedł przed nią z wrodzoną pewnością, przedzierając się przez tłum imprezowiczów. Puścił jej rękę, gdy znaleźli się na korytarzu z tyłu budynku. Po przeciwnej stronie znajdowały się kolejne drzwi. Kai otworzył je z cichym skrzypnięciem.

– Niespodzianka! – krzyknął i zrobił krok w bok, by ułatwić dziewczynie przejście.

Spojrzała do środka, chociaż strach podpowiadał jej, że nie powinna tego robić. Automatycznie się wycofała i przyłożyła dłoń do ust. Serce w piersi Carmen zaczęło walić tak mocno, że każde uderzenie odbijało się głośnym echem w jej głowie. Poczowała się słabo, więc zacisnęła palce na przedramieniu Kaia, zapominając o tym, jak bardzo boi się jego dotyku.

W niewielkim pomieszczeniu na brudnej podłodze leżał mężczyzna, a dokładniej kumpel Ryana. Miał związane za plecami ręce i tak zmasakrowaną twarz, jakby przed chwilą zaliczył bliskie spotkanie z kosiarką. Widok ten sprawił, że coś w żołądku Carmen się poruszyło. Zacisnęła usta i przełknęła powoli ślinę, zwalczając chęć wymiotowania.

– O matko! Co to ma znaczyć? – spytała tak cicho, że przez chwilę nie była pewna, czy na pewno się odezwała. Jej głos był przytłumiony, bo wciąż zakrywała usta dłonią.

– To twój prezent – mruknął Kai w odpowiedzi.

Carmen postanowiła lepiej przyjrzeć się Kaiowi, byle tylko nie patrzeć na zmaltretowanego chłopaka. Widok Malachai'a wciąż ją peszył, choć nie był już tak niecodzienny. Uśmiechał się szeroko, dzięki czemu dokładnie widziała jego kości policzkowe. Oczy lśniły jak dwa księżycy. Patrzyli na siebie przez krótką chwilę, podczas której rozplynęła się w Carmen fala przyjemnego chłodu, jakby zło zapraszało ją do wspólnego tańca.

– Wybacz, że nie zdążyłem owinąć go kokardką.

– Zwariowałeś? – pisnęła.

Wzruszył ramionami, myśląc o tym, że już dawno postradał zmysły. Nie zostało w nim nic z normalności. Przekroczył próg pokoju. Carmen ponownie obiegła sylwetkę Kaia wzrokiem. Wcześniej nie zwróciła uwagi na to, że krew pokrywała jego dłonie, sięgając niemal przedramion, jakby wsadził ręce w wiadro z czerwoną farbą. Zerknęła na swój nadgarstek i dojrzała smugi w podobnym kolorze na skórze. Ponownie odczuła mdłości.

– Widziałem, co zrobił. Daję ci niepowtarzalną okazję do odegrania się – zmienił temat, olewając jej wcześniejsze pytanie. Kucnął nad mężczyzną i szarpnął go za włosy, powodując tym samym, że uniósł głowę. Spojrzenie miał rozbiegane. Białka nabiegły mu krwią i mamrotał coś pod nosem. – Świetnie. Ocknąłeś się – dodał i poklepał go po brudnych od czerwonej cieczy, opuchniętych policzkach. – Wolę, kiedy moje ofiary kontaktują.

Malachai dźwignął się na nogach, przekroczył masywne ciało, a potem bez mrugnięcia okiem wymierzył kolejny kopniak w brzuch. Chłopak przewrócił się na bok, kuląc się do pozycji embrionalnej. Z jego ust na ziemię skapnęła gęsta ślina zmieszana z krwią.

– Czego chciał Ryan? – spytał Kai uprzejmie. Nie otrzymał jednak żadnej reakcji, więc ponownie się pochylił, szarpiąc ofiarę za włosy. – Widzisz? Milczenie działa tylko na twoją niekorzyść, więc spytam jeszcze raz. Czego chciał Ryan?

Tracił cierpliwość. Uznał, że przydupas Ryana najwyraźniej nie zasłużył na ulgowe traktowanie, jakie dotychczas mu fundował. Sięgnął po swój ukochany nóż, po czym wycelował ostrą końcówką mniej więcej na wysokość oka chłopaka. Ostrze od gałki ocznej dzieliły zaledwie milimetry, a kiedy chłopak mrugał, rzęsy zahaczały o chłodny metal.

– Chciał... chciał tylko... – dukał bez składu. – Sprawdzić, czy coś załatwiłeś.

Malachai wybuchnął śmiechem, przez co jego ręka się zatrzęsła. Ostrze noża zjechało niżej, kreśląc niewielką ranę tuż pod podbitym okiem.

– Przekaż mu, proszę, że odezwę się do niego, jeśli będę miał ochotę.

Carmen nie wiedziała, dlaczego już tak długo uczestniczy w tej makabrycznej scenie. Postanowiła to zmienić. Korzystając z tego, że Kai chwilowo był zajęty kimś innym, zrobiła krok w tył i natrafiła na futrynę. Musiała tylko po cichu wyjść i rzucić się biegiem przed siebie.

– Nigdzie nie idziesz, Karmelku – rzucił do niej, nim zdążyła postawić kolejny krok.

*Czy on ma oczy z tyłu głowy?, zastanawiała się w myślach. Albo nadzwyczaj wrażliwy słuch, który wylapywał każdy szelest?*

– Zostajesz i bawisz się ze mną.

Najpierw stała sztywno, ale gdy tylko zaczął się do niej odwracać, znów się cofnęła. Prowokowała go, doprowadzając niemal na granicę, której na razie nie mógł przekroczyć. Ale lubił się z nią bawić. Dla-

tego pozwolił jej na to, by opuściła pomieszczenie. Dał Carmen parę sekund przewagi, zanim ruszył za nią niczym drapieżnik za ofiarą.

W stresie wydawało jej się, że stawia duże, szybkie kroki, ale w rzeczywistości nie wystarczyły one, by mogła się mu wyślizgnąć. Kai dogonił ją bez większego problemu. Chwycił ją za ramię, niemal wypalając w nim ognistą dziurę, a potem obrócił tak, że przez chwilę stali twarzą w twarz. Wiedziała, że walka z Kaiem nie ma sensu, bo zawsze kończy się tak samo: przegraną. Dlatego pozwoliła, aby ponownie wprowadził ją do pomieszczenia.

Kolega Ryana siedział już pod ścianą z kolanami podciągniętymi pod brodę.

Kai natomiast wyciągnął nóż w stronę Carmen, by jej go podać. Nie chwyciła go. Bez przerwy wpatrywała się w podłogę, jakby było tam coś godnego uwagi.

– Dalej, Karmelku – mruknął niczym kocur, kiedy dotarło do niego, że nie otrzyma od niej reakcji, jakiej oczekuje. – Wyglądałaś tak, jakbyś chciała go zabić. – Niechętnie trącił chłopaka butem, a ten w efekcie otworzył gwałtownie oczy, jakby nagle oprzytomniał. – Gdyby nie pojawił się twój bohater, pewnie też byś oberwała.

*Jakim cudem o wszystkim wie?*, zastanawiała się. Nie obdarowała go nawet krótkim spojrzeniem. Nienawidził, gdy ktoś go lekceważył, dlatego powoli narastała w nim irytacja. Znow się do niej zbliżył. Podniósł kciukiem jej podbródek, zmuszając tym samym do tego, by uniosła głowę. Wlepiła w niego spojrzenie zielonych oczu, w których zalśniły łzy. Miała wrażenie, że się rozpada, gdy przejechał palcami po jej rozgrzanych policzkach, dzięki czemu poczuła na skórze jeszcze ciepłą krew.

– Dlaczego mi to robisz? – wychlipała żałośnie. Coraz trudniej przychodziło jej panowanie nad łzami. Nie chciała jednak okazać przed nim słabości. Nie mogła mu pokazać, jak fatalny ma na nią wpływ. I jak bardzo czasami to lubi.

– Bo chcę cię złamać – rzucił, jakby to było oczywiste. – Pokaż mi swoje szaleństwo.

Wściekła się. Wszystko, co przez niego przeszła, skumulowało się w prawdziwą furję. Odepchnęła go, a potem zaczęła atakować. Pięściami, paznokciami i łokciami. Nie obchodziło ją nawet to, czy trafia. Kai stał niewzruszony i po prostu się roześmiał. W pewnym momencie uderzyła go w twarz, zawierając w tym całą złość. Z jego ust wymknął się stłumiony jęk. Udawany. Zamilkł, gdy przytrzymał szczękę, a parę sekund później na nowo zaniósł się głośnym śmiechem.

– Mówiłem ci już, że wyglądasz gorąco, kiedy się złościš? – mruknął, a zaraz po tym przejechał językiem po ustach, na których namalował się zadziorny uśmiech.

Zamachnęła się, by uderzyć go w twarz po raz drugi, jednak w porę złapał jej nadgarstek w powietrzu. Uniosła więc prawą rękę, ale również przed tym ciosem udało mu się obronić. W ich oczach żarzyła się nienawiść, wielka i gorąca, jakby nadeszło apogeum. Malachai zwinnie ją wyminął i stanął tuż za nią. Odgarnął włosy z jej ramienia i pochylił się, przez co jego oddech uderzył ją niemal boleśnie w skórę – był jak tysiące igieł. Po całym ciele Carmen przeszły dreszcze.

– Właśnie o to mi chodziło – powiedział z uznaniem. – Chcesz się ode mnie uwolnić, Karmelku? Stań się potworem. Jak ja.

– Ona? – prychnął nagle mężczyzna. Udało mu się podnieść do pozycji siedzącej. Krew nadal spływała po jego twarzy, ale powoli zaczęła na niej zastygać. Wydawał się odrobinę bardziej przytomny niż kilka minut wcześniej. – To tylko jakaś panienka. Nie może mi nic zrobić. Jest cienka.

Kai słyszał, jak Carmen przełknęła nerwowo ślinę. Jej oddech znacznie przyspieszył ze złości i tym razem nie spowodowała tego bliskość Kaia. Znajdowała się coraz bliżej granicy, zza której nie było powrotu. Coraz bliżej strony, której nienawidziła ujawniać, bo była jej największą porażką. Coraz bliżej Carmen bez hamulców, która z niewyjaśnionych dotąd powodów lubiła oraz ceniła zło.

– Karmelku – wymruczał Kai nisko do jej ucha. Carmen starała się skupić, ale wszystko w niej szalało. Jej myśli rozbiegły się w najciemniejsze zakamarki, od których dawno temu się odcięła. Miała przed sobą tylko mrok, który wydawał się przyjemny i bezpieczny. – Zrób to.

Utknęła w samym środku bitwy między dobrem a złem.

Mogła to zrobić, ale czy powinna?

– Widzisz? – zarechotał nieznajomy. – Łaski są słabe. Ta suka nic mi nie robi.

Carmen Clark się rozlała. Była miękka jak plastelina i to Malachai Yordan zaczynał z niej lepić same straszne postacie. Zerwały jej się wszelkie hamulce. Nie myślała, po prostu działała. Miała wrażenie, że ktoś kierował jej ciałem. Była tam, wiedziała, co robi, i chociaż to wydawało się złe, nie potrafiła nad sobą zapanować. Wreszcie odebrała od Kaia nóż i zamachnęła się z zamiarem wbicia ostrza w nogę mężczyzny.

Ale wtedy drzwi się otworzyły. Carmen zobaczyła Holdena i nagle oprzytomniała. Jakby był kła-

wiszem „stop”. Wzięła to za kolejny dowód na to, że jest jej aniołem stróżem.

– Carmen, czy ty... – urwał blondyn, dokładniej przyglądając się scenerii, jaką miał przed sobą. Nie mógł w to uwierzyć. W szoku patrzył na Carmen i swojego brata. Krew była wszędzie. Na ich ubraniach, rękach i twarzach.

Kai nie zamierzał odpuścić. Zrobił krok do przodu i znów znalazł się blisko niej.

– Straciłaś szansę – szepnął zawiedziony – ale ja zawsze dokańczam swoje sprawy.

Odwrócił się, dzięki czemu na widoku miała tylko jego plecy, które spięły się, gdy sięgnął za pasek od spodni, a sekundy później wymierzył pistoletem w ofiarę. Nacisnął na spust bez mrugnienia okiem. Dźwięk wystrzału złał się z głośnym krzykiem, a na ciele Carmen pojawiła się gęsia skórka.

Nie chciała patrzeć na wijące się z bólu ciało. Zaciśnęła mocno powieki, jakby to miało sprawić, że zniknie. Zaskoczona wypuściła nóż z dłoni. Odbił się z hukiem od podłogi, lądując niecały metr dalej, tuż przy butach Kaia, więc się po niego schylił. Wytarł ostrze o spodnie.

Carmen nie mogła dłużej tego znieść, dlatego po prostu wybiegła.

Holden patrzył za nią, ale nie potrafił się ruszyć. Zrobił to dopiero wtedy, gdy zatrzymał się przy nim Malachai. Jak zwykle na jego ustach gościł szeroki, złośliwy uśmiech, który zwiastował zwycięstwo, ale tym razem kryło się tam coś jeszcze. Prawdziwy diabeł.

– Mówiłem ci, że Carmen nie jest święta, braciszku – odezwał się szatyn, klepiąc brata po ramieniu. – Niebo nie odbiera już od niej telefonów, ale chętnie zobaczę ją w piekle.

Holden nie wytrzymał. Pękła w nim ta ostatnia nitka, która zawsze stanowiła granicę między spokojem a nerwami. Złapał Kaia za materiał bluzy i z łatwością docisnął go do najbliższej ściany, ponieważ Kai nawet się nie stawiał, jakby tylko na to czekał. Holden natomiast oddychał ciężko, przez co jego nozdrza rozszerzały się przy każdym kolejnym wdechu i wydechu. Kosmyki jasnych włosów opadły mu na czoło. Poczzerwieniał na twarzy. Zaślepiła go czysta złość.

– W co ty pogrywasz, Kai? – ryknął na całe gardło.

Malachai bez problemu odepchnął go od siebie. Wyprostował się i przejechał dłonią po bluzie, jakby chciał strzepnąć z niej kurz. Znalazł się tak blisko Holdena, że niemal stykali się czołami. Byli jak dwa rozjuszone byki, które walczą o dominację. Przez chwilę milczeli.

– Co tu jeszcze robisz, Hol? – spytał Malachai, olewając temat. – Carmen potrzebuje trochę dobra, zanim znów pokażę jej zło.

Po tych słowach mrugnął porozumiewawczo do brata i wyszczerzył się triumfalnie. To był jego mały sukces. Tak jak przypuszczał, Holden odpuścił, nim zdążyła zapłonąć w nim prawdziwa złość. Hol odepchnął go, po czym wycofał się i zniknął na korytarzu. Kiedy sylwetka brata zniknęła Kaiowi z zasięgu wzroku, trącił butem ciało, które przewróciło się z boku na plecy. Mężczyzna znów jęknął.

– Sorka za kulkę – powiedział do chłopaka z miłym uśmiechem na ustach, który nijak pasował do okoliczności. – Sam rozumiesz, musiało wyglądać wiarygodnie. Dorzucę ci bonus.

Sięgnął do tylnej kieszeni spodni, z której wyciągnął spory plik pieniędzy. Odliczył umówioną stawkę, dodając do niej kilka stówek za poświęcenie. Sekundę później banknoty poszybowały ku górze i niczym deszcz opadły na brudną od krwi posadzkę.

– Wrócę za pięć minut – oznajmił, obracając się jak gwiazda filmowa na czerwonym dywanie. – Lepiej, jeśli cię tu nie zastanę.

Dla Malachai to nie był koniec zabawy. Wyszedł na zewnątrz, po czym oparłszy się o ścianę budynku, obserwował żalosne poczynania brata.

Spanikowany Holden wybiegł na zewnątrz, spodziewając się, że właśnie tam zostanie Carmen. I rzeczywiście, siedziała na krawężniku przed klubem i niedbale pociągała nosem. Wyglądała jak siedem nieszczęść. Holden miał wrażenie, że dźwięk jego pękającego serca było słyhać w całym mieście.

Kucnął przed nią bezszelestnie. Uniosła głowę, a sekundę później po prostu się w niego wtuliła. Bez słowa. Bez pytania. Bez pozwolenia. Ale wcale mu to nie przeszkadzało. Może nawet na to czekał. Przytrzymał ją silnymi ramionami, a ona w tym uścisku rozbiła się na malusieńkie kawałki.

– Przepraszam – szepnął w jej potargane włosy. – Przepraszam, że nie potrafię cię przed nim ochronić.

Carmen nie odpowiedziała. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, że tak naprawdę nie chodziło o to, że Holden nie potrafił ochronić jej przed swoim bratem. Problem tkwił w tym, że momentami sama nie chciała się przed nim bronić. Dlatego mięknąc w ramionach Holdana, patrzyła na zadowolonego Kaia.

Okazało się, że ciemność była tym, czego najbardziej potrzebowała.

Noc nie przynosiła snu.

Carmen nie była w stanie zasnąć. Od ponad godziny przewracała się z boku na bok, starając się zmusić chociażby do krótkiej drzemki. Jednak kiedy tylko przymykała powieki, budził się w niej niepokój. Tak wielki, że mógłby wypełnić całą sypialnię, stopniowo zgniatając jej klatkę piersiową. Leżała więc na plecach z ręką schowaną pod poduszką i bez celu gapiła się w sufit.

Telefon, który spoczywał na szafce obok, nieoczekiwane się podświetlił. Z racji tego, że nie miała nic lepszego do roboty, sięgnęła po niego i spojrzała na wyświetlacz. Zobaczyła powiadomienia o tym, że ktoś polubił wszystkie jej zdjęcia na Instagramie – bez wyjątku, a było ich dwanaście. Miała też parę nowych komentarzy.

Wystarczyło, że zerknęła na zdjęcie profilowe użytkownika i już wiedziała. To był Kai. Znow się z nią bawił. Jak kot sztuczną myszą.

Pomyślała o nim i coś natychmiast załaskotało ją w brzuchu, ale nie w sposób, w jaki odczuwa się przyjemne motylki. Bardziej przypominało to wirujące nieprzerwanie tornado, szturmujące duszę i niszczące wszystko na swojej ścieżce.

Nie mogła się powstrzymać i po prostu weszła na jego konto. Nie miała przecież nic do stracenia. Szczególną uwagę zwróciła na cztery zdjęcia. Na dwóch z nich towarzyszył mu pupil – czarny pies rasy amstaff. Na kolejnym widać było tylko mocno zarysowaną szczękę Malachaia, gdy gryzł policzek ciemnowłosej dziewczyny. Wiedziała już, że to Sybil. Najbardziej jednak zszokowało ją to najnowsze, bo najbardziej ze wszystkich odzwierciedlało prawdziwą naturę chłopaka. Miał na nim zakrwawioną dłoń i większą część ubioru. Podpis brzmiący „Nie panikuj, to PRAWDZIWA krew” nieco ją rozbawił.

Trochę się zdziwiła. Zobaczyła Kaia z zupełnie innej strony. Dotąd nie zdążył jej pokazać.

Zadygotała, kiedy komórka niespodziewanie wydała z siebie dźwięk. Z wrażenia upuściła ją prosto na swoją twarz. Mruknęła coś pod nosem i ponownie spojrzała na wyświetlacz. Miała nową wiadomość prywatną. Odczytała ją z szaleńczo bijącym sercem.

*TheRealDevil94: ŚPISZ?*

Była zbyt złąkniona, żeby odpisać, dlatego tylko wpatrywała się w tych kilka literek, jakby nagle miały nabrać nowego sensu. Dokładnie jednaście sekund później na ekranie pojawiły się kolejne wiadomości. Jedna za drugą.

*TheRealDevil94: ????????*

*TheRealDevil94: Zgadnij, kto się nudzi.*

*TheRealDevil94: JA!*

*TheRealDevil94: JA się nudzę.*

*TheRealDevil94: Potrzebuję twojej uwagi.*

Niemal zachłysnęła się własną śliną. Momentalnie poderwała się z miejsca i zapaliła nocną lampkę, jakby to miało sprawić, że wszystkie niepokoje i lęki wreszcie się rozmyją. Nie wiedziała, co powinna zrobić – odpisać i sprowadzić na siebie kolejne piekło, czy po prostu go olać. Zdawała sobie jednak sprawę z tego, że Malachai Yordan nie odpuszcza tak łatwo. Zdążyła się o tym przekonać. Dlatego dała mu to, czego chciał.

I może w głębi duży też pragnęła jego uwagi.

*carmenclark\_: PRZESTAŃ. Próbuje spać.*

Kai odczytał wiadomość w tej samej sekundzie, w której ją otrzymał. Wiedziała już, że podobnie jak ona wpatrywał się w otwarty czat.

*TheRealDevil94: MEH*

*TheRealDevil94: Spanie jest dla słabych.*

*TheRealDevil94: Zejdź na dół.*

Carmen przelknęła powoli ślinę, która zdawała się wyżerać jej gardło niczym najniebezpieczniejszy kwas. Tego się nie spodziewała. Umysł dziewczyny nagle się zaciął, jakby wdarł się do niego wirus. Nie chciała dopuścić do siebie myśli, że Kai najprawdopodobniej stoi pod jej mieszkaniem. Ale zdążyła



się już przekonać o tym, że w takich kwestiach nie kłamał.

*carmenclark\_*: *Nigdzie się nie ruszam.*

*TheRealDevil*: *Nie zmuszaj mnie, żebym po ciebie przyszedł.*

Czyli nie miała wyjścia. Mogła z nim walczyć, ale w starciu z Kaiem Yordanem zawsze przegrywała. Postanowiła więc odpuścić sobie próby. Poddała się, ot tak. Dla świętego spokoju wcisnęła na siebie czarne dresy z trzema paskami po boku, białą luźną koszulkę i sportowe różowe buty. Zablockowała telefon i schowała go do kieszeni spodni. Wyszła z mieszkania prosto na lodowate powietrze, które na moment ją zmroziło.

Nie chciała przyznać, że w rzeczywistości to jego widok tak na nią zadziałał.

Od razu go zobaczyła. Opierał się o maskę auta ze skrzyżowanymi na torsie rękoma. Rękawy bluzy podwinął do łokci, dzięki czemu ujrziała zegarek i skórzaną bransoletkę na jego nadgarstku. Włosy pozostawił w nieładzie, jakby niedawno się przebudził, więc kilka kosmyków opadało mu na czoło. Wyglądał przez to łagodniej i bardziej chłopięco. Mrok jednak odbijał się od niego jak światło od lustra.

Zbiegła po schodach i zatrzymała się parę metrów przed nim. Do jej uszu dobiegła stłumiona muzyka, do której Kai kiwał rytmicznie głową.

– Tęskniłaś? – odezwał się nagle, czym ją zaskoczył, bo wydawało się, że nawet jej nie zauważył. Ale było inaczej. Widział Carmen już wtedy, gdy jej ogniste włosy zatańczyły na chłodnym wietrze. Uniósł głowę i wyszczerzył się, ukazując zęby. – Nie?

– Co tu robisz?! – powiedziała głośno i wyraźnie na wypadek, gdyby miał nie zrozumieć. – Chcesz znowu wymusić na mnie zrobienie czegoś złego?

Malachai w odpowiedzi roześmiał się i pokręcił głową.

– Uznaj to za randkę.

– Randkę? – parsknęła. Odkaslnęła, żeby brzmieć normalnie, chociaż wzbierał w niej śmiech. – Jesteś odrażający. Nigdy nie umówiłabym się z kimś takim jak ty.

Poczuł się trochę urażony. Może nie był Holdenem, ale też potrafił być czarujący.

– Mów, co chcesz. – Wzruszył od niechcenia ramionami. – Najważniejsze, że i tak wsiądziesz do samochodu – dodał z lekkim uśmiechem na ustach. Carmen przez kilkanaście sekund gapiała się na dołeczki, które pojawiły się w jego policzkach.

– Skąd ta pewność? – spytała, chociaż przeczuwała, że może tego pożałować.

Kai znów poruszył ramionami. Odepchnął się od maski auta i w przeciągu krótkiej chwili zmniejszył dzielący ich dystans niemal do zera. Bez butów na obcasie była od niego znacznie niższa, więc zadarła głowę, by nie zerwać z nim kontaktu wzrokowego. Przejechał językiem po wargach i delikatnie się do niej schylił.

– Możesz wsiąść dobrowolnie – mruknął obok jej ucha, dłonią wskazując drzwi auta. Poczula, jak przeszywa ją dziwny chłód, który tym razem całkowicie ją rozbudził. – Jeśli tego nie zrobisz, chętnie ci pomogę.

Aby podkreślić swoją przewagę, Kai chwycił jej nadgarstek.

– Miejmy to już za sobą – westchnęła i przewróciła oczami.

Carmen nie rozumiała, dlaczego tak łatwo mu ulega. Bez dyskusji wyminęła go i przy okazji zachłysnęła się zapachem jego perfum. Bez słowa zajęła miejsce pasażera. Kai wsiadł do auta parę sekund później. Odjechali z piskiem opon, pozostawiając za sobą chmurę siwego dymu, który powoli nikł w powietrzu.

Carmen wcisnęła się w fotel. Starła się posprzątać bałagan, jaki zapanował w jej głowie – nosił jego imię. Nie potrafiła się jednak skupić, ponieważ Malachai podśpiewywał pod nosem piosenkę *Everybody* i pstrykał rytmicznie palcami. Przymknęła powieki, chcąc się na moment wyłączyć. Na chwilę. Na sekundkę. Ze zdenerwowania zaczęła skubać paznokciami skórę na dolnej wardze, aż wreszcie zerwała ją do krwi. Oblizła usta i poczuła na języku metaliczny smak.

– Możesz przestać to robić? – mruknął pośpiesznie Kai i tym samym sprowadził ją z powrotem na ziemię. Otworzyła oczy w samą porę, by zobaczyć, jak na oślep odnalazł jej dłoń, oderwał od ust i przełożył na kolano.

– Och, przepraszam. Czy to cię denerwuje? – prychnęła ironicznie, wywijając mocno oczami. Odwrócił na moment głowę, by posłać jej szybkie, gniewne spojrzenie. Potem znów przeniósł wzrok na pustą drogę i skręcił w leśną uliczkę. Carmen miała złe wspomnienia z takimi miejscami, ale postanowiła tego nie komentować.

– Cholernie – odburknął.

Z każdą kolejną sekundą brnęli coraz głębiej w las. Wokół panował całkowity mrok. Otaczały ich

drzewa, jednak z czasem było ich coraz mniej. Wreszcie oczom Carmen ukazała się panorama całego miasta. Wlepiła wzrok w maleńkie światełka w oddali, a później wysiadła. Zrobiła cztery duże kroki i znalazła się na skraju prawdziwego urwiska. Gleba ugięła się pod ciężarem jej butów i osunęła w dół. Instynktownie się cofnęła i wpadła prosto na Kaia. Albo w niego.

– Podziwiasz widoki, kochanie? – spytał i uśmiechnął się, zagryzając wargę.

– Nazwij mnie tak jeszcze raz, a srogo pożałujesz – warknęła.

Wszystko w jej głowie świeciło na czerwono, próbując zmusić ją do odsunięcia się od niego. Ciało jednak odmawiało posłuszeństwa. Nie była w stanie się ruszyć. Odwróciła lekko głowę dopiero wtedy, kiedy dotarł do niej dźwięk przypominający przeładowanie broni. Chwilę później usłyszała wystrzał. Kilka ptaków opuściło gałęzie drzew i poszybowało wysoko w górę.

Serce Carmen niemal wyskoczyło z piersi, chcąc uchronić się przed tym szaleństwem. Bała się, że to ona oberwała. Ale gdy spuściła wzrok na swoje ubrania, nie dostrzegła ani rany, ani śladów krwi.

– Chcesz spróbować?

Odwróciła się tak, że doskonale widziała jego twarz. Usta Kaia rozciągały się w zadziornym uśmiechu, a oczy w świetle księżyca wydawały się bardziej szare niż niebieskie. Sunęła wzrokiem od twarzy mężczyzny do dłoni, w której obracał pistolet. Podsunął rękę w jej kierunku. Wahala się. To było coś nowego, w niewielkim stopniu ekscytującego. Zawsze zastanawiała się, jakie uczucie towarzyszyło ludziom, którzy pociągali za spust. Jemu z pewnością pustka. Ale co mogła poczuć ona? Adrenalinę? Strach? Pewność?

Wokół byli tylko oni, więc mogła się o tym przekonać.

Przytaknęła głową. Kai wyszczerzył się jeszcze bardziej, gdy podawał dziewczynie naładowaną splotkę. Odebrała ją niepewnie i ponownie stanęła do niego plecami. Uniosła prawą dłoń, która wydawała się znacznie cięższa. Przyłożyła palec do spustu, po czym przymknęła lewe oko, ale nie potrafiła zmusić się do wystrzału. Coś ją blokowało.

Usłyszała, jak Malachai głośno wzdycha ze zniecierpliwienia, a potem poczuła, że zatrzymał się niebezpiecznie blisko niej. Jej plecy stykały się z klatką piersiową chłopaka. Między nimi nie zmieściłaby się nawet kartka papieru. Kai przytrzymał stabilnie łokieć Carmen, by więcej nie drgał. Nakierował ją na jedno z bliżej rosnących drzew.

– Teraz – szepnął, a oddech z jego ust poruszył jej włosami. Carmen ponownie opuściła powieki. I wreszcie to zrobiła. Wokół rozległ się nieznośny dźwięk, który przyprawił ją o dreszcze. Siła wystrzału była tak wielka, że przez chwilę miała wrażenie, że odrzut wyrwał jej ramię. Otworzyła oczy i zobaczyła, że ledwie musnęła konar drzewa. – Widzisz? To wcale nie było tak trudne.

– Bo to tylko drzewo – westchnęła. Nieruchomy obiekt, nie żywy człowiek.

I wtedy w jej głowie pojawiła się mroczna myśl, której nie potrafiła się przeciwstawić. Malachai Yordan pogrywał z nią od samego początku. Dlaczego więc ona nie mogła trochę poigrać z nim? Nadal trzymała pistolet. To ona miała kontrolę. Narodziła się w niej odwaga, której nigdy wcześniej tak intensywnie nie czuła.

Odwróciła się gwałtownie, w efekcie czego zahaczyła nosem o materiał jego bluzy. Uniosła rękę, która nie drgała już tak jak wcześniej. Czuła się pewniej. Miała pełną kontrolę nad sytuacją. Przycisnęła pistolet do piersi Kaia. Wokół było tak cicho, że bez problemu słyszała dźwięk jego kołatającego serca. Patrzył na nią z góry w pełnym skupieniu. Naparła na niego łufą, przez co postawił parę kroków w tył, aż wpadł na samochód.

– Wow – wydyszał na jednym wydechu. Pobrmiewała w tym nuta podziwu. Oblizal wygłodniałe usta, bo nagle stały się suche, a potem zacisnął je. – Będiesz się teraz mścić? Bo to całkiem gorące, ko...

– Nawet nie kończ – przerwała mu.

– ... CHANIE!

Sunęła łufą pistoletu po jego barku i szyi, aż wreszcie zatrzymała ją przy linii szczęki. Kai odchylił głowę. Niespodziewanie chwycił jej nadgarstek, sprawiając, że jeszcze mocniej docisnęła broń do jego skóry. Bardzo powoli przełknął ślinę, ale nawet na sekundę nie spuścił z niej prowokującego spojrzenia, w którym błyszczały wszystkie grzechy świata. Czuł coraz większy nacisk, jakby splotka miała za moment przebić na wylot jego żuchwę. Ale wciąż był opanowany.

– Zrób ze mną, co chcesz – wychrypiął. – Jestem cały twój.

Carmen odsunęła się nieznacznie, ale wciąż znajdowała się wystarczająco blisko, by trzymać pistolet przy jego szyi. Obrzuciła go dziwnym, nieco zdezorientowanym spojrzeniem, i uniosła jedną brew. Próbowała wyczytać cokolwiek z twarzy Kaia, ale przybrała ona kamienny wyraz, którego nie sposób było rozszyfrować.

– Nie boisz się śmierci? – spytała cicho, zastanawiając się, jak sama odpowiedziałaby na to pytanie. Chyba obawiała się momentu, w którym do jej drzwi zapuka kostucha. Czy Kai podzielał to zdanie? Cały czas ją przecież zadziwiał.

Każda inna osoba na jego miejscu wpałaby w panikę, błagając o litość. Ale nie on. Malachai Yordan stał niewzruszony i wciąż uśmiechał się w irytujący, niepowtarzalny sposób. Był w stu procentach gotowy na los, jaki miał go spotkać. Nawet jeśli oznaczało to utratę życia... nie bał się. Ani trochę. Wręcz przeciwnie. Carmen wydawało się, że ten dziwny blask w jasnych oczach był przejawem tego, że Kai Yordan na to czekał.

– Od dawna czuję, jakbym już nie żył – wyznał szczerze, po czym poruszył beztrząsramionami. Próbował wyglądać wesoło, ale Carmen dostrzegła w tym coś smutnego.

Smutek tak wielki, że mógłby zniszczyć świat.

– Poza tym... Czym jest śmierć w porównaniu z wiecznością w piekle? – dodał po chwili z olśniewającym uśmiechem.

Malachai Yordan wyglądał na osobę, której wiecznie doskwiera przeszywający chłód. Osobę, która potrzebowałaby tysięcy przytuleń, by wreszcie coś poczuć. Osobę, która poprosiłaby o dwa stopnie więcej w piekle. Osobę, która z dumą i ekscytacją zastąpiłaby szatana.

– To jak, Karmelku? Odważysz się to zrobić?

Zrozumiała, że znów z nią pogrywa. Był pewny siebie, bo doskonale wiedział, że Carmen nie byłaby w stanie pociągnąć za spust. Nawet jeśli ku temu wodziły ją myśli. Nawet jeśli nie znosiła go z całego serca. Nawet jeśli zasłużył na taki los.

Dlatego Kai tak bardzo się szczerzył. Dlatego jego oczy lśniły.

– Wiesz, jaka jest między nami różnica, Malachai? – rzuciła hardo, po czym uniosła podbródek chłopaka, by bez problemu móc zajrzeć mu w oczy. Przymknęła powieki na ułamek sekundy i zacisnęła usta, starając się odpędzić z głowy głos, który powtarzał to przekłete imię. Brzmiało dziwnie w jej ustach. Niemal go nie rozpoznał. – Nawet jeśli chciałabym cię skrzywdzić, nie zrobię tego, bo mam sumienie.

Odsunęła pistolet i wcisnęła go w jego dłoń. Z ust Kaia wydostało się głośnie prychnięcie, które przerodziło się w radosny śmiech. Wyprostował się, by schować broń za pasek spodni. Później znów obdarował ją agresywnym spojrzeniem. W ciemności jego oczy wydawały się po prostu czarne, jakby ktoś zamalował je ołówkiem.

– Zmienisz zdanie, kiedy z tobą skończę.

Puścił jej oczko, wyminął ją i wsiadł do samochodu. Mózg Carmen zaczął działać na najwyższych obrotach. Zaczęła się zastanawiać, co to w ogóle miało znaczyć, co miał na myśli i jak zamierzał z nią skończyć. Pośpiesznie zajęła miejsce pasażera. Odwróciła głowę i wlepiła w niego wzrok, który kłuł niczym igłą.

– Skończysz ze mną? – wydusiła. – W jakim sensie?

Musiała to wiedzieć, choć nie była pewna, czy ta informacja cokolwiek zmieni.

– W każdym, Carmen – westchnął, jakby odpowiedź była oczywista, a ona powinna się jej domyślić. Nawet na nią nie spojrział. To nie były słowa, których oczekiwała. Właściwie niczego nie wyjaśniły. Patrzyła na niego wyczekująco, ale chociaż miał rozchylone usta, nie zamierzał brnąć w ten temat. Dlatego też zamilkła.

*Złamię cię, dodał w myślach. A po wszystkim będziesz błagać o więcej.*

Czy Carmen Clark kiedykolwiek postępowała racjonalnie?

Absolutnie nie.

I może to właśnie było tym niewyjaśnionym powodem, dla którego nie potrafiła odmówić Holdenowi, gdy zaprosił ją na imprezę w rodzinnym domu. Swojej decyzji pożałowała jednak bardzo szybko. Gdy tylko weszła do środka, odczuła silną potrzebę wyrwania się z tamtego miejsca, jakby każdy element domu był obłany wrzątkiem. Zwalczyła wielką chęć ucieczki, rozciągnęła usta w szerokim, wymuszonym uśmiechu i ruszyła do przodu, trzymając blondyna pod rękę.

Miała wrażenie, że na moment wszyscy zgromadzeni zamarli jak pod wpływem magicznego zaklęcia rzuconego przez szaloną wiedźmę. Każdy, bez wyjątku, patrzył prosto na nich. Poczła się z tym dziwnie, jakby byli królem i królową balu – uwielbianymi bądź znienawidzonymi. Albo parą celebrytów na czasie, których przez moment podziwiał cały świat.

I przede wszystkim... jakby razem znaczyli znacznie więcej niż nic. W kwestii Holdena się to sprawdzało. Znaczył wiele. Dla wszystkich. Carmen była tylko marnym dodatkiem, który nie wnosił nic nowego, a wręcz przeciwnie – ciągnął tego chłopaka ku upadkowi.

Już na wejściu jako dobry gospodarz zatrzymał ich Ivan. Wcześniej widziała go tylko raz, ale śmiało mogła stwierdzić, że znów wyglądał nienagannie; w granatowym garniturze podkreślającym jego jasnoniebieskie tęczy, które były ładnie podobne do oczu Malachaia; w obcisłej koszuli o podobnym odcieniu; z idealnie ułożonymi włosami w kolorze ciemnego blondu. Składał się z samych ostrych konturów, ale to wrażenie zniknęło, kiedy tylko się uśmiechnął.

– Carmen! – powiedział z entuzjazmem. Złapał jej dłoń i lekko się pochylił, by jak prawdziwy dżentelmen musnąć ustami jej skórę w geście powitania. Następnie wyprostował się i schował ręce do kieszeni spodni, co dodało mu nieco luzackiego charakteru. Już nie wyglądał tak groźnie, jakby przeszkadzał mu cały świat. – Twój tata nie mógł dotrzeć. Podobno zajmuje się jakimś problemem...

Carmen wciągnęła usta do środka, by nie parsknąć durnym śmiechem. Nie chciała urazić Ivana, ale gdy w głowie mignęła jej myśl, że tym problemem był po prostu jej brat, który nie potrafił dojrzeć, ogarnęło ją szczere rozbawienie. Odruchowo kiwnęła głową, potwierdzając w ten sposób historię taty.

– Ale jesteś wspaniałym zastępstwem.

Uśmiechnęła się, bo to naprawdę były miłe słowa. Poczła ciepłą dłoń Holdena na dole kręgosłupa. Wiedziała, że w ten sposób chciał podkreślić, że może na niego liczyć. Mina Carmen jednak zrzędała w trymiga, gdy Ivan dorzucił swobodnie, ale całkowicie bez pomysłu:

– Mam nadzieję, że Kai nie sprawiał ci więcej problemów.

Spróbowała się uśmiechnąć, ale zamiast tego na jej usta wkradł się dziwny grymas. Nie mogła przecież zdradzić, że Malachai zamierzał „skończyć z nią” w sposób, którego całkowicie nie rozumiała. Wolłała też nie wspominać o tym, że przez niego zapomniała już, czym tak właściwie był spokój. Przemilczała to, ponieważ przewidywała, że gniew Ivana ściągnąłby na nią jeszcze większy gniew Kaia.

– Ma temperament po ojcu – dokończył mężczyzna, jakby chciał usprawiedliwić niewytłumaczalne zachowania Malachaia.

Zaledwie sekundę później jak na zawołanie z kuchni wyłonił się Malachai. Ruszył przed siebie w towarzystwie Cartera. Rzucił rozbieranym spojrzeniem dookoła, zatrzymał się i zrobił krok w tył. Lodowate spojrzenie spoczęło na Carmen. Nawet nie łudziła się, że patrzy na kogoś innego. Przyglądał się jej z lekko przechyloną głową. Patrzył na ogniste włosy, które kontrastowały z białą zwiewną sukienką. A potem rozchylił usta i do niej pomachał. Nie odwzajemniła tego gestu, choć musiała walczyć z własną ręką, by się nie uniosła. Zamiast tego spuściła wzrok i wbiła go w swoje buty.

Gdy po dłuższej chwili podniosła głowę, Kaia już nie było. W zamian na horyzoncie pojawił się jej brat. James zmierzał prosto na nich.

– Nie wierzę – sapnęła pod nosem, przez co Holden zerknął na nią z konsternacją malującą się na poważnej twarzy. Bez słów pragnął rozszyfrować, co wywołało u niej tę reakcję. Carmen czuła, że powinna uraczyć go chociaż krótkim wyjaśnieniem, jednak zamiast tego warknęła do brata: – Co tu

robisz, Cam?!

– Tata wspomniał, że tu będziesz – oznajmił, poprawiając nerwowo czarny krawat niedbale przewieszony przez szyję. – Pomyślałem, że...

– Nie – syknęła hardo.

– Nie? – zdziwił się. – Przecież nawet nie dokończyłem!

– W tym momencie wszystko, co związane z tobą, jest na nie – wyjaśniła z uśmiechem, jakby chodziło o coś zabawnego, a nie relacje rodzinne. Dłonią poprawiła długie rude włosy, po czym przesunęła się lekko w bok, bo kątem oka dojrzała, że Holden trochę się spiął, jakby czekał na odpowiedni zapalnik.

Carmen nie spodziewała się, że James wybuchnie tak głośnym śmiechem.

– Wiesz, że jesteś egoistką? – zapytał wyraźnie.

W przeciwieństwie do niej nie zważał na fakt, że swoim zachowaniem wzbudził ciekawość pozostałych gości. Przyglądało im się parę osób. Ale jedno spojrzenie szczególnie parzyło. Za plecami Camerona malowała się maksymalnie wyprostowana sylwetka Kaia, a spięte mięśnie na jego twarzy podkreślały mroczną aurę, która go otaczała. Była niemal namacalna, dlatego Carmen przestraszyła się, że lada chwila uderzy w kogoś z ogromną siłą.

– Przypomnieć ci, kto ratował się kosztem innych, gdy...

Odruchowo zacisnęła mocno powieki, czekając na swój koniec. Holden właśnie w ten sposób miał dowiedzieć się, co spotkało Selene. I o tym, że to Carmen była wszystkiemu winna. Nie chciała patrzeć na jego twarz, gdy wreszcie dotrze do niego ta wiadomość. Nie chciała nawet słuchać dalszej wypowiedzi brata. Chciała tylko zniknąć, zniknąć, zniknąć.

– Hej, James! – Męski krzyk przerwał wywód Camerona, który mógł doszczętnie ją pogrążyć. Zdecydowała się otworzyć oczy. Umysł podpowiadał dobrze. To Kai się wtrącił. Najwyraźniej wszystko słyszał i z niewyjaśnionych przyczyn postanowił jej pomóc. Wyhaczyła jego zadowolony wzrok, kiedy przystanął obok zaledwie na sekundy. Później owinał ramię wokół karku Jamesa i grzecznie spytał: – Pokazać ci najkrótszą drogę do drzwi?

Cameron nie wniósł sprzeciwu. Ze spuszczoną głową ruszył równo z Kaiem, ponieważ starcia z nim na pewno nie mógł wygrać. Malachai, szcycąc się swoim małym zwycięstwem, zatrzymał się tuż przy boku Carmen, dzięki czemu bez problemu musnął zaledwie opuszkami palców materiał jej sukienki, a jego cichy szept owinał się wokół jej ucha, kiedy wychrypiał:

– Nie ma za co, Karmelku.

Ręce Carmen trzęsły się niemiłosiernie, co nie umknęło uwadze Holdena. Nie wahając się nawet przez ułamek sekundy, schował je w swoich dłoniach, jakby chciał przejąć to nieznośne drżenie i stłumić w sobie. Wzdrygnęła się, jakby był żarem z ogniska osiadającym na odkrytej skórze – takie biło od niego ciepło. Wlepiała w Holdena spojrzenie szeroko otwartych oczu. Zdążyła zapomnieć, że wciąż stoi przy niej. Tak blisko, że ich oddechy mieszają się w jeden.

– Poruszył niewygodny temat?

Pośpiesznie przytaknęła.

Nagle, gdy tak intensywnie jej się przyglądał, z troską, z jaką nikt nigdy na nią nie patrzył, zapragnęła mu o wszystkim opowiedzieć. Zasługiwał na prawdę, a ona zasługiwała na potępienie. Rozchyliła usta – zadrżały, ale nie wydostał się z nich żaden dźwięk. Jakby nagle straciła mowę.

– Nie musisz o tym mówić, jeśli nie chcesz.

Holden Yordan był czystym zrozumieniem.

Nie czekając dłużej, ponownie ulokował dłoń na dole jej pleców i w ten sposób razem ruszyli do kuchni. W środku na szczęście nikogo nie było, więc Carmen mogła pozbyć się z ust sztucznego uśmiechu. Gdyby mogła, schowałaby go do torebki. Oparła się o blat, na którym przyszykowano najróżniejsze gatunki alkoholi. Dojrzała nawet butelkę z logiem firmy ojca i wcale jej to nie zaskoczyło. Musiał przecież jakoś wynagrodzić swoją nieobecność.

Blondyn podszedł do niej i podał szklankę z drinkiem. Od razu upiła łyk i poczuła, jak alkohol rozgrzewa ją od środka, jakby właśnie połknęła płonąca zapałkę. Rozluźniła się, wypuszczając z ust powietrze, które uparcie wstrzymywała. Zrobiło jej się odrobinę lżej. Buty nie uwierały już tak bardzo jak wcześniej, a głowa nie zalewała się czernią.

Holden stał kilka centymetrów przed nią. Nawet na sekundę nie spuścił z niej wzroku, jakby była cennym skarbem, a on osobą, która miała chronić go za wszelką cenę. Uśmiechał się w sposób, którego nie potrafiła rozgryźć. Wydawało jej się, że niebieskie tęczówki chłopaka miały w sobie drobinki złota. Kosmyk włosów opadł mu na czoło, więc odgarnął go ręką do tyłu.

Patrzyła na niego zbyt długo. Holden najwyraźniej źle to zinterpretował. Zrobił krok w przód, dzięki czemu dzieliły ich zaledwie milimetry. Był od niej wyższy, dlatego zadarła głowę, by ponownie zerknąć na jego twarz. I wtedy bez ostrzeżenia musnęła jej wargi. W bardzo delikatny sposób, jakby bał się, że każdy zuchwalszy ruch ją spłoszy.

Mógłby smakować jak niebo, jak wszystko, co najlepsze, jak bezpieczna przystań. Ale Carmen tego nie poczuła. Nie potrafiła się ruszyć. Nie była w stanie złamać mu serca. Dlatego zaangażowała się w pocałunek z nadzieją, że tym razem coś zaskoczy, że wewnątrz niej wystrzelą fajerwerki, a niebo się przed nimi uchyli.

Nic takiego się nie stało.

Zamiast tego w pomieszczeniu pojawił się diabeł.

– Ups – mruknął od niechcenia. – Wybrałem niewłaściwy moment?

Holden nawet się od niej nie odsunął. Zerknął na brata przez ramię i ciężko westchnął. Potem przeniósł wzrok z powrotem na twarz Carmen. Miała lekko zaczerwienione policzki i oczy, które wtedy przypominały dwie szklane kule. Również na niego patrzyła, chociaż wszystko wewnątrz niej zmuszało ją, by przeniosła spojrzenie na Malachai.

– Cieszę się, że wreszcie dotarłeś do drugiej bazy, braciszku – powiedział Kai z wymuszoną dumą w głosie, gdy Holden wreszcie odsunął się od dziewczyny i stanął twarzą do niego. – Wujek cię szuka. Zawiań do niego swoje napalone cztery litery.

Blondyn przez moment nawet nie drgnął. Na jego twarzy pojawiła się konsternacja, jakby właśnie rozmyślał, co powinien z tą informacją zrobić, by postąpić słusznie nie względem innych, a samego siebie. Rozchylił lekko usta, ale nie zdążył się wydostać z nich żaden dźwięk, ponieważ Kai ponownie się odezwał.

– Spoko. Popilnuję twojej damy.

Carmen miała ochotę krzyknąć, by Holden nigdzie nie odchodził. Pozostanie z Malachaiem zawsze kończyło się tak samo – pękał w niej jakiś mur, który nigdy nie powinien być zburzony. Za każdym razem, kiedy przebywała w jego towarzystwie, budziło się w niej coś nowego, a usychało wszystko to, co kojarzyło się ze spokojem i stabilizacją. Stawała się przy nim... kimś innym: osobą, która nie miała wiele wspólnego z Carmen, jaką usilnie próbowała być. Osobą, którą od zawsze ukrywała głęboko w sobie. Osobą, która przestawała się kontrolować. Osobą, którą śmiało mogłaby nazwać prawdziwą Carmen Clark.

– Zaraz wrócę – powiedział Holden, zerkając na nią z lekkim uśmiechem. Pochylił się nad nią i delikatnie musnęła jej policzek. Trzy sekundy później zniknął za drzwiami. Właśnie wtedy zrozumiała, że bez względu na to, jak bardzo mogła go fascynować, Holden Yordan zawsze postawi wszystkie karty na swoją rodzinę.

Ze zdenerwowania zaczęła skubać skórki przy paznokciach. Czowała, że Kai dokładnie ją lustruje, ale nie chciała dać mu satysfakcji z tego, że również na niego spojrzała.

– Mówiłem ci już, że twój brat to straszny gnojek? – zagaikł luźno, wyciągając z lodówki butelkę red bulla. Zacisnął lewą dłoń na krawędzi szafki i obrócił się tak, by ją widzieć. – Mój jest tylko irytująco dobry. We wszystkim. Chyba... W całowaniu też jest dobry?

Carmen miała nadzieję, że tylko się przesłyszała. Jak w ogóle śmiał o to spytać? Uniosła głowę w samą porę, by napotkać niebieskie tęczówki, które niemal przewiercały ją na wylot. Jedno było pewne: Malachai próbował ją rozgryźć i naprawdę radził sobie świetnie. Miała wrażenie, że jedno zerknięcie wystarczyło mu, by wyczytał z jej twarzy, że to zbliżenie z Holdenem wcale jej się nie spodobało. To właśnie zdradzał jego uśmieszek.

– Nie będę z tobą o tym rozmawiać – powiedziała z irytacją.

– Dobra, wyluzuj – rzucił rozbawiony. Upił kolejny łyk napoju, a potem zakręcił butelkę i odłożył ją na blat. – Chciałem tylko jakoś zagadać. Zacznę od początku. Jak się masz, Karmelku? Jakiś nowy trup w szafie czy póki co udajesz aniołka?

Miała wrażenie, że ziemia ugięła się pod jej stopami, gdy Kai stanął naprzeciwko niej ze skrzyżowanymi na torsie rękoma. Oparł zgrabnie łokcie o kuchenną szafkę. Tylko tyle ich dzieliło – szerokość blatu. Patrzył na nią w całkowitej, niemal przerażającej ciszy, która wdarła się do jej umysłu niczym zaraźliwy wirus. Z pewnością wiedział, że nie zamierza mu odpowiadać.

– Mała podpowiedź – mówił dalej. Nachylił się jeszcze bardziej, jakby chciał wyszeptać jej najgorsze sekrety. – Holden lubi naprawiać innych.

Poczuła się z tą informacją... dziwnie. Trochę tak, jakby spadł jej na głowę kubek zimnej wody. Zauroczenie Holdenem zniknęło na parę chwil, w ciągu których rozważała, czy zainteresował się nią, bo

naprawdę mu się spodobała, czy tylko dlatego, że dostrzegł w jej oczach potrzaskane elementy duszy, które mógłby w jakiś magiczny sposób poskładać.

Kai roześmiał się głośno, jakby nagle przypomniał sobie zabawną historię sprzed lat.

– Co cię tak bawi? – spytała wrogo. Przecież wcześniej nawet się nie odezwała. Nie miał więc powodów, by się z niej jawnie nabijać. To ona go śmieszyła czy sytuacja?

– Kłamałem – odpowiedział zgodnie z prawdą. – Wujek wcale go nie szukał.

Carmen bezwiednie rozchyliła usta, zdziwiona tą wiadomością. Odczuła lekką złość, że nie zdołała przewidzieć takiego scenariusza. Wodziła wzrokiem po twarzy Kaia, na której tylko poszerzał się uśmiech. Zmarszczyła brwi. Znow zmuszał ją do rozmyślań. Nie wiedziała, czym się kierował, odciągając od niej Holdena.

– Kolejna rzecz, którą powinnaś wiedzieć o moim bracie, jeśli jeszcze nie zauważyłaś? Jest sztywniakiem – oznajmił Kai. – Chcesz się stąd wyrwać i naprawdę zabawić?

Instynktownie potrząsnęła głową, zaprzeczając samej sobie. Chciała, ale nie powinna.

– Wyglądasz tak, jakbyś zaraz miała zanudzić się na śmierć.

Zamrugnęła szybciej, niż powinna. Miał rację. Czowała się dokładnie jak jej okropna mina, wyrażająca brak zainteresowania czymkolwiek. Woląла nigdzie nie chodzić z Kaiem, ale rzeczywiście pragnęła wyrwać się z tego miejsca. Najprawdopodobniej nie pasowała do tych ludzi tak samo jak on. Byli parą czarnych pionków na białej planszy. Nawet nie wiedziała, w którym momencie się zgodziła. Jedno było pewne – przy nim działała odruchowo, bez namysłu.

– Wiedziałaś, że Ivan był bokserem? – zagaił, ale nie czekał nawet na odpowiedź, bo od razu kontynuował: – To on pokazał mi wszystkie chwyt. Wiesz, ciężko pozbyć się starych nawyków. Nadal lubi się bić i oglądać, jak inni to robią.

Kiedy wyrwała się z zamyślenia, Kai ciągnął ją za sobą po schodach, które prowadziły do piwnicy. Znow nic nie rozumiała i nie wiedziała też, czego powinna się spodziewać. Sceny jak z horroru? W pomieszczeniu unosił się zapach krwi zmieszanej z potem. Słyszała wiwaty i okrzyki, a gdy wreszcie znaleźli się na dole, zobaczyła tłum ludzi. Głównie byli to mężczyźni, ale wśród nich kręciło się również kilka kobiet. Ivan stał pod ścianą i z zafascynowaniem przyglądał się dwójce facetów, którzy właśnie walczyli na gołe pięści.

Lali się po mordach, jakby to była ich codzienność. A innym się to podobało.

– Co... – wydukała słabo. Nie dokończyła, bo ten widok odjął jej mowę. Czowała się tak, jakby ktoś nagle umieścił ją w filmie, w którym podziemne walki były na porządku dziennym. Kai stanął przed nią i obiegił ją wzrokiem od stóp do głów. Dopiero wtedy zauważyła, że jego włosy odstawały na wszystkie strony, skroń mieniła się przez pot, a na białej koszuli lśniło kilka kropel krwi.

– Impreza na gorze to tylko przykrywka – wyjaśnił podekscytowany, oblizując lekko suche usta. – Tutaj zaczyna się prawdziwa zabawa!

Zarejestrowała tylko tyle, że mrugnął do niej okiem, a następnie znow pociągnął ją za sobą, aż znaleźli się w pierwszym rzędzie. Wzdrygnęła się, gdy jeden z mężczyzn upadł tuż obok jej stóp, brudząc dół jej sukienki krwią, która wypłynęła mu z ust. Jęknęła z obrzydzenia. Tyle wystarczyło, aby Malachai zadarł podbródek mężczyzny swoim butem, by zrównali spojrzenia. Przez moment mierzyli się wzrokiem, nim kopnął go w sam środek żuchwy, niemal wyłączając mu tym samym zasilanie.

Ktoś podbiegł do ledwie przytomnego mężczyzny, pomógł mu wstać i odciągnął go na bok. Drugi, który okazał się zwycięzcą, choć nie była to w stu procentach jego zasługa, uniósł ręce w geście triumfu, ale nawet nie ruszył się z miejsca, jakby czekał na kolejnego przeciwnika. I prędko go znalazł. Przy nim od razu pojawił się Kai, a Carmen momentalnie wstrzymała oddech.

Narastało w nim napięcie. Tak wielkie, jakby za moment miał eksplodować, by pozostała z niego jedynie krwawa miazga. Buzowała w nim adrenalina, która krążąc po organizmie, mogłaby rozerwać żyły na strzępy. Ze skupieniem wsłuchiwał się w muzykę, kiwając do niej energicznie głową. Chciał chociaż na moment zagłuszyć swoje destrukcyjne myśli.

– *Kings never die* – powiedział cicho zgodnie z tekstem piosenki. To było jak znak.

Przymknął powieki, gdy uderzyła w niego fala okrzyków i wiwatów, a kiedy ponownie otworzył oczy, rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu znajomych twarzy. Po przeciwnej stronie dostrzegł Ivana i Cartera. Akurat między sobą szeptali. Carmen nawet nie drgnęła. Wciąż stała w tym samym miejscu i wbijała w niego spojrzenie przepełnione lękiem i zaskoczeniem. Miał wrażenie, że chciała odwieść go od tego pomysłu.

Przejechał dłonią po włosach, jednocześnie odgarniając je do tyłu. Podwinął rękawy koszuli w niedbały sposób i zrobił krok naprzód. Dotarła do niego kolejna chmara krzyków, gdy stanął przed

swoim przeciwnikiem, którego w tym środowisku nazywano „Dzik”. Wreszcie znaleźli się na tyle blisko siebie, że Kai bez problemu mógł spojrzeć mu w oczy, które wydawały się znacznie ciemniejsze i mroczniejsze niż jego własne.

Czekało go ciekawe starcie.

Zacisnął dłonie w pięści w tym samym momencie, w którym Ivan dał znać, że czas zaczynać. Postarał się jak najbardziej wyciszyć swój umysł i całkowicie skupić się na swoim celu. Przez pierwsze sekundy krążyli wokół siebie niczym dzikie zwierzęta. Kai był gotowy przejąć inicjatywę, pokazując wszystkim, że mimo mniejszej masy i niższego wzrostu tak naprawdę on tam rządził. Zanim jednak zdążył podkurczyć ramię, jego wzrok zatrzymał się gdzieś za plecami Dzika. Z tamtego miejsca dobiegł do niego stłumiony pisk, kaleczący uszy.

Carmen Clark okazała się jego zgubą.

Ponieważ gdy tak na nią patrzył, całkowicie skupiony na jej twarzy, wyłączony z otaczającego go świata, przeciwnik zadał pierwszy cios w prawy policzek. Zakreśliło mu się w głowie. Z trudem utrzymał się na drżących nogach, a kiedy udało mu się wyprostować, dostał prosto w podbródek. Potrząsnął głową, powodując, że kosmyki włosów opadły na czoło. Splunął na ziemię śliną zabarwioną na czerwono i uśmiechnął się zadziornie. Wystarczyło kilka szybkich kroków, by zbliżyć się do przeciwnika i uderzyć w jego lewe ramię. Mężczyzna momentalnie się zgarbił, cofając rękę, by nie narażać jej na kolejne ciosy.

Malachai był osobą zawziętą, dlatego w amoku gniewu, który w sobie kumulował, uderzał na oślep, licząc na to, że jak najwięcej ciosów trafi we wrażliwe miejsce. I po niecałej minucie Dzik klęknął na jedno kolano, a Kai stał nad nim z przekreśloną głową i nad nim górował. Nie przypuszczał jednak, że to wcale nie był koniec. Mężczyzna powoli podniósł się do pionu i z całej siły wpadł na szatyna, który z hukiem upadł na ziemię. Poczul paraliżujący ból w dole kręgosłupa, który nie pozwalał mu się skupić.

Dzik wykorzystał ten moment i przekreślił się tak, że bez problemu oplótł rękę wokół gardła chłopaka. Kai starał się unormować oddech, który stawał się coraz bardziej nierówny. Obraz powoli rozmazywał mu się przed oczami. Jego twarz znacznie poczerwieniała. Powieki stały się tak ciężkie, że z trudem utrzymywał otwarte oczy. Wszystkie głosy brzmiały tak, jak dźwięk z zarysowanej płyty, i zlewały się w jeden szum.

– Odklep! – krzyczał przerażony Carter gdzieś z tyłu, ale Malachai nie zamierzał tego zrobić. Przecież nigdy się nie poddawał. – Kurwa, Kai! Odklep, ciulu!

– Misiu, zrób mu krzywdę! – darła się jakaś blondyna, zagłuszając głos Cartera.

Carmen ze stresu zaczęła obgryzać skórki przy paznokciach, aż zdarła jedną do krwi. Nie poczuła się dzięki temu lepiej. W wyluzowaniu się przeszkadzał jej również Carter, mamroczący pod nosem słowa, którymi próbował pocieszyć tylko siebie.

– To Kai. Poradzi sobie. Zawsze sobie radzi. – Tyle zrozumiała. Posłała mu pokrzepiający uśmiech, bo z obawy przed nieracjonalnymi decyzjami przyjaciela cały pobladł, jakby za moment miał pożegnać się z tym światem. – Po prostu lubi się popisywać.

Ale Kai przestawał sobie radzić. Przegrywał z własnym organizmem. Miał wrażenie, że jego płuca się kurczą, pozbawiając go resztek tlenu. Czuł spływający po skroniach pot i to, jak bardzo piekła go twarz. I kiedy powoli tonął w otchłani ciemności, Carmen z całej siły kopnęła Dzika, powodując, że od razu poluźnił swój uścisk. Kai ostatkiem siły przewrócił się na kolana i oparł się na rękach, zachłannie wciągając powietrze. Kaszlał głośno, przez co z jego ust kapała ślina, którą szybko starł wierzchem dłoni.

Kiedy trochę się uspokoił, zatrzymał zamglone spojrzenie na sylwetce Carmen. Nadal wyglądała na przerażoną i zdziwioną swoim postępowaniem, bo poniekąd go uratowała. Łapała gwałtownie oddechy, jakby ktoś za moment miał odciąć ją od dopływu tlenu. Miała rozchylone usta i zielone oczy, które wtedy wydawały się całkowicie przyćmione, jakby zgasły w nich wszystkie światła.

Malachai z trudem podniósł się do pionu, ale podczas tej czynności ciągle patrzył na Carmen. Wyszczrzył się, jakby właśnie wygrał na loterii i znów puścił do niej oczko. Strzepnął z ubrań kurz i piasek, który na nich osiadł. Zrobił krok w przód, jednak szybko zamarł.

Dziewczyna z widowni niespodziewanie pociągnęła Carmen za włosy, a potem popchnęła ją do przodu. Rudowłosa padła na ziemię, ścierając z niej krew obcych ludzi. Poczowała się jak zużyty mop, który nadawał się tylko do wywalenia. Gdy tylko uświadomiła sobie, że zanurza się w czerwonej mazi, zrobiło jej się niedobrze. Spróbowała się podnieść, ale ta sama blondynka, która wcześniej zawzięcie dopingowała swojego chłopaka, powaliła ją na ziemię. Przytrzymała nadgarstki Carmen i usiadła na niej okrajką, uniemożliwiając ruch.

– Tknęłaś mojego faceta! – krzyknęła prosto w twarz rudowłosej.

– Najwyraźniej twój facet to cienias! – odszczekała się Carmen.



Była wściekła. Starła się wyrwać, ale to okazało się znacznie trudniejsze, niż przypuszczała. Niemal niewykonalne. Posunęła się więc do niezbyt czystego zagrania, którego czasami używała w szkole średniej. Ulokowała dłoń na twarzy przeciwniczki i przejechała po niej paznokciami. Dziewczyna odsunęła się na ułamek sekundy, dzięki czemu Carmen mogła uderzyć ją w bok twarzy.

– Złaż ze mnie – wrzasnęła Carmen, po czym z całej siły trzasnęła przeciwniczkę pięścią w plecy. Usłyszała stukot noża upadającego na ziemię, a po chwili ujrzała blask ostrza. Domyślała się, że to Kai próbował jej pomóc. Niewiele myśląc, chwyciła przedmiot i zaczęła wymachiwać nim przed twarzą nieznamomej w taki sposób, jakby doskonale wiedziała, jak obchodzić się z taką bronią. – Złaż ze mnie, bo wcisnę ci to między oczy.

Dziewczyna się roześmiała, ale szybko spoważniała, gdy Carmen zahaczyła ostrzem o skórę na jej ramieniu, z której pociekła niewielka strużka krwi prosto na twarz rudowłosej. Ponownie odczuła mdłości i z trudem zwalczyła w sobie chęć wymiotowania. Nieznajoma wreszcie posłusznie się z niej zsunęła, dzięki czemu Carmen mogła przewrócić się na brzuch. Wstała na chwiejnych nogach.

Spuściła głowę i wlepiła spojrzenie w swoją sukienkę, która nie była już biała. Do cna przesiąkła krwią obcych ludzi. Podobnie jak jej potargane, posklejane włosy. Przypominała Carrie na balu maturalnym, zaraz po tym, jak lunął na nią deszcz świńskiej krwi. I czuła się tak samo – całkowicie upokorzona przed ludźmi, którzy jej nie znali, a i tak oceniali prześmiewczymi, pogardliwymi spojrzeniami. Miała wrażenie, że stoi przed nimi kompletnie naga, wystawiona na pośmiewisko jak ostatnia ofiara losu.

– Nie przejmuj się, Karmelku – szepnął Kai, który nagle się obok niej pojawił. On też gapił się na jej sukienkę, ale jemu zdawało się to podobać, jakby krew dobrze na niej leżała. Przejechał koniuszkiem języka po dolnej wardze, gdy ją podziwiał. – Dam ci swoją koszulę.

Prychnęła pod nosem, gdy rzeczywiście zaczął rozpinąć guziki.

– Przestań! – zagrzmiała jak letnia burza z piorunami, a po tym pomyślała, że nigdy wcześniej nie wrzeszczała tak głośno. Z każdą sekundą narastał w niej krzyk, który mógłby przesunąć całą planetę. – Niczego od ciebie nie chcę.

Zacisnęła zakrwawione, chude palce jednej ręki na jego koszuli. Zaczęła go szarpać i popychać, jakby jej zawadzał. Musiała dać ujście emocjom, by nie rozpaść się na oczach zaciekawionych gapiów. A Malachai wydawał się tym atakiem całkowicie niewzruszony. Tylko stał i uśmiechał się tak, jakby osiągnął to, co planował.

– Skończę cię, Malachai – powiedziała hardo, ostatkiem sił kontrolując głos, który pragnął się załamać wraz z wypowiedzeniem jego imienia. Wzniosła się na palcach, by zbliżyć się do twarzy Kaia, bo dotychczasowy dystans był zbyt wielki. Chciała patrzeć mu w oczy, kiedy uświadomi sobie, że nie żartowała. A potem mina mu zrzednie. Zniknie ten cwaniacki uśmiech.

Tak. Na pewno tak będzie. Szczególnie jeśli sprawiedliwość wreszcie go dopadnie. A tę sprawiedliwość wymierzy Bentley Cole.

Może rzeczywiście powinna poważnie rozważyć przejście na jego stronę, bo na okrągło dopadały ją wątpliwości. Jednak w chwilach takich jak te, gdy Kai górował, udowadniał, że miała w sobie załamek zła, i cieszył się z jej porażki, docierało do niej, że to jedyny sposób na pokonanie mocnego przeciwnika. Nikt nie powiedział przecież, że mają grać fair.

– Spróbuj – mruknął z naturalną pewnością i cieniem rozbawienia, trochę flirciarsko. – Chętnie udowodnię ci, że to niemożliwe.

Przypomniała sobie, że wciąż trzymała należącego do chłopaka nóż. Machnęła nim przed jego twarzą. Była na tyle skrępowana i rozkojarzona, że bez problemu złapał jej nadgarstek, dzięki czemu przyciągnął ją bliżej siebie. Wyszedł Carmen naprzeciw zamiast się odsunąć, bo wyraźnie poczuł na piersi końcówkę własnego noża, i nachylił się ku niej.

Dzięki temu wargi Kaia znalazły się idealnie na wysokości oczu Carmen. I nagle nic już nie miało znaczenia. Straciła czujność oraz skupienie. Wpadła w poważne tarapaty. Miała wrażenie, że za moment przed szeroką publiką rzuca się na siebie niczym zwierzęta pozbawione kontroli i zahamowań. A potem ich usta staną się jednością. Tak wielkie narosło między nimi napięcie.

– Proszę bardzo, Karmelku – wymruczał z entuzjazmem. – Daję ci kolejną okazję. Wykorzystasz ją czy znów wymiękniesz?

Nie miała oporów, żeby zrobić krzywdę dziewczynie, która się na nią rzuciła. Zastanawiała się więc, jakim cudem z takim trudem przychodziło jej zranienie Malachai. Musiała mu coś udowodnić. Chciała wreszcie pokazać, że też jest silna, że nie powinien jej lekceważyć. Spojrzała prosto w oczy pełne mroku i cierpienia, a potem uniosła kąciki ust w zuchwałym uśmiechu. Sunęła ostrzem po jego koszuli, robiąc w niej dziurę, a potem wbiła je lekko w miękką skórę.

Przymknął powieki, ale nawet się nie skrzywił. Nie był to ból, którego nie znał, a raczej taki, z którym byli już niemal przyjaciółmi. Po ciele Kaia rozeszło się przyjemne pieczenie, a na twarz wkradł się radosny grymas. Przejechał językiem po dolnej wardze i zrobił krok do przodu. Nóż jeszcze głębiej wbił się w jego pierś, ale wciąż wyglądał na niewzruszonego. Odgarnął włosy Carmen z ramienia, po czym pochylił się nad jej szyją.

– Widzisz? Jednak jesteś twarda – szepnął.

Kąciki jej ust mimowolnie uniosły się ku górze w ledwo zauważalnym uśmiechu. Była tak bardzo zgubiona, że uznała to za komplement. Z łatwością dała się zepchnąć na przegraną pozycję, tracąc wszelką przewagę, jaką udało jej się do tej pory osiągnąć. Malachai nie przestał patrzeć w oczy Carmen, jakby wskazywały mu drogę podczas wędrówki, a i tak zdołał wysunąć nóż z damskiej ręki. I teraz to ona czuła, że lada chwila to samo ostrze, którym do tej pory mu groziła, rozszarpie jej wnętrzności.

– Co, jeśli skończę z tobą pierwszy?

– Spróbuj – zaproponowała z uśmiechem, nawiązując do jego słów. I to właśnie zamierzał. Odkąd ją poznał. – Chętnie udowodnię ci, że to niemożliwe.

Czar tej chwili prędko prysł, gdy po schodach zbiegł Holden.

– Co tu się, kurwa, dzieje?! – wrzasnął, wyraźnie akcentując przekleństwo, bo to w nim zawarł całą złość, jaka zalała go, gdy tylko zobaczył ten chaos. Wokół była tylko krew. Przepchnął się przez tłum i zatrzymał się za plecami rudowłosej. – Kai?! – warknął upominająco, wlepiając w brata mordercze spojrzenie.

– Ta. Wiem. To jak zawsze moja wina – rzucił szatyn z rozbawieniem. Mrugnął okiem do brata i powoli odsunął się od Carmen, jakby zwracał mu to, co do niego należy.

Serce Carmen biło zdecydowanie za szybko. Była oszołomiona emocjami i wciąż nie rozumiała, co się wydarzyło. Uspokoiła się, gdy poczuła, jak Holden nieśmiało objął ją ramieniem. Zrobił to tak delikatnie, jakby mocniejszy chwyt mógł przyczynić się do tego, że Carmen się pokruszy. Nie potrafiła spojrzeć mu w oczy po tym, co zrobiła. Dlatego wciąż jak zahipnotyzowana patrzyła na Malachaia.

Przyglądała się mu i widziała w nim wszystko, co najgorsze. Wszystko, przed czym wzbraniała się przez całe swoje życie. Wszystko, przed czym ostrzegali ją rodzice. Był jej największą zgubą. Najcięższym grzechem, którego nie potrafiła się pozbyć.

Obiecała sobie, że będzie silna. I próbowała się do tego przekonać, gdy usiadła w niewygodnym fotelu przed terapeutką. Nie wiedziała, jak długo milczała, ale musiała wreszcie się przełamać i odezwać. W głowie Carmen panował ogromny chaos, jakby niedawno przeszło przez nią tornado. Były tylko trzy elementy, na których potrafiła się skupić. Holden. Malachai. To, co zrobiła Selene oraz jej rodzinie.

– Co u ciebie, Carmen? – zagaiła Amanda Lloyd, z gracją zakładając nogę na nogę. Wyrwana z zamyślenia Carmen uniosła głowę i uśmiechnęła się lekko.

– Lepiej – odpowiedziała. – Myślę, że jestem gotowa o tym opowiedzieć.

W pierwszej sekundzie Carmen miała wrażenie, że terapeutka jej nie uwierzyła. Nic dziwnego, skoro wcześniej szła w zaparte i wołała milczeć niż się uzewnętrzniać. Kobieta odłożyła notatnik na kolana i wydeła usta. Z przechyloną głową przyglądała się swojej pacjentce.

– Co sprawiło, że zmieniłaś zdanie? – spytała zaciekawiona, jakby wreszcie w jej głowie pojawiły się odpowiednie słowa.

Carmen nie знаła właściwej odpowiedzi na to pytanie. A może znała, tylko bała się przyznać do tego na głos. Przecież nie mogło chodzić o niego. Nawet jeśli przełamał jej wszystkie bariery i sprawił, że puściły jej hamulce. Nawet jeśli pierwszy raz od dłuższego czasu poczuła przy nim ulgę, bo nie musiała więcej dźwigać tego ciężaru w pojedynkę. Nawet jeśli przy nim mogła być troszkę bardziej sobą niż przy reszcie świata.

– Ktoś udowodnił mi, że potrafię o tym rozmawiać.

– Cieszę się. – Na ustach Amandy zawitał przyjazny, ciepły uśmiech. Splotła ze sobą dłonie na kolanie. – W takim razie zamieniam się w słuch.

Carmen nabrała w płuca powietrza, by później ciężko westchnąć. Policzyła do ośmiu i wreszcie to zrobiła. Słowa wylewały się z jej ust niczym powódź, która nie ma końca. Wspomniała o kłótni Brada, Jamesa i Selene dotyczącej narkotyków, o tym, że ten fakt mógłby zrujnować życie chłopaka, który pochodził z dobrej i szanowanej rodziny, a także wpakować jej brata w jeszcze większe kłopoty. Przyznała, że tylko dlatego się wtrąciła: ponieważ myślała, że powinna ich chronić. Nie spodziewała się jednak, że Selene uderzy ją prosto w twarz – słowami.

„Oni cię tylko wykorzystują. Nie zależy im na tobie”.

Szybko okazało się, że Selene miała rację. Chciała też zacząć nowe życie bez uzależnienia. U boku Holdena, jak się okazało. U boku mężczyzny, który był gwarancją bezpieczeństwa.

Carmen jej to brutalnie odebrała.

– Wtedy ją popchnęłam. Ale... nie chciałam nikogo skrzywdzić. Nie jestem taka. Nie jestem jak... – urwała, kiedy uświadomiła sobie, do czego zmierza.

Nie rozumiała, z jakiego powodu w jej umyśle pojawił się *on*. Nie potrafiła się od niego uwolnić. Nawet jeśli znajdowała się daleko od niego, wciąż jej towarzyszył. I obawiała się, że przeczy samej sobie, bo w głębi duszy, gdzieś na dnie, narodziła się myśl, że może rzeczywiście była jak Malachai Yordan. Rozpuszczona. Lekkomysłna. Zła.

– Właśnie wtedy skończyło się moje normalne życie. Brad... Po wszystkim po prostu mnie zostawił – kontynuowała. Mówiła szybko, trochę bez ładu i składu, byle tylko prędko dotrzeć do końca. Zaczęła płakać, chociaż nie czuła już smutku. Łzy spływały jej po policzkach, wślizgiwały się do ust i moczyły żółty golf. – A James... Nasze relacje się skomplikowały. Myślałam, że stoi za mną murem, ale ostatnio... chciał wykorzystać to przeciwko mnie.

– Co masz na myśli? – ciągnęła ją za język Amanda. W ten sposób przypomniła o swojej obecności.

– Poznałam kogoś, komu Selene była bliska... – wyznała szczerze w odpowiedzi. – Kogoś, kto mógł jej pomóc. Kogoś, kto teraz chce pomóc mi, ale... nie zna prawdy. James prawie mu o tym powiedział. Jak można być takim człowiekiem?

Carmen doskonale znała odpowiedź. Ludzie z natury byli źli.

Miała nadzieję, że dzięki temu wreszcie zrozumie swoje uczucia, które chowały się w niej od tam-

tego feralnego momentu. Chciała wreszcie pozbyć się wyrzutów sumienia i ruszyć do przodu, żyjąc życiem, jakie sobie zaplanowała. Czuła jednak, że bez względu na to, jak bardzo pragnęła normalności, nigdy jej nie zazna. Szczególnie gdy na plecach nieustannie czuła oddech diabła.

Carmen skinęła głową, gdy kobieta postawiła ostatnią kropkę w swoim notatniku, zapewniając, że te wyznania z pewnością wpłyną pozytywnie na całą sprawę. Potem Carmen zgarnęła z podłogi swoją torbę i wyszła. Wydawało jej się, że wszystko wydarzyło się w pobliżu, ale bez jej udziału. Zupełnie tak, jakby obserwowała tę sytuację z boku. Kiedy wyszła z budynku, poczuła się oszołomiona. Słońce raziło ją w oczy, gdy szła przed siebie, dlatego spuściła głowę, omijając popękane płyty chodnikowe.

– Wyglądasz jak ktoś, kto miał bardzo zły dzień. – Usłyszała gdzieś z boku.

Bezbłędnie rozpoznała ten głos, który nieustannie rozbrzmiewał w jej umyśle. Uniosła spojrzenie i tak, jak się spodziewała, ujrzała Malachaia. Siedział na murku ze zwisającymi nogami. Na jego szczęce malował się coraz większy zarost. Miał na sobie czarne spodnie. Czarną bluzkę. Czarne buty. I czarną czapkę z daszkiem. A przy jego nogach siedział czarny pies.

– Mam same złe dni, odkąd cię poznałam – syknęła agresywnie. Kai całą uwagę skupił na jej oczach, których zielona barwa stała się bardziej intensywna przez błyszczące w nich łzy. Nie spodobał mu się ten widok. Zeskoczył z murku.

– Auć. To zabolalo – powiedział, teatralnie przykładając dłoń do lewej piersi. Uśmiechnął się, ale Carmen już na niego nie patrzyła. Zerknęła natomiast z fascynacją na jego pupila. Z wzajemnością.

– Masz świetnego psa – zmieniła temat. Musiała pozbyć się z twarzy Kaia tej urażonej miny. Kucnęła przy zwierzaku i podrapała go za uchem, na co radośnie zamerdał ogonem. – Jak go nazwałeś?

– Mały Szatan – odpowiedział dumnie.

W głosie Kaia zabrzmiała taka powaga, że Carmen z wrażenia zachłysnęła się śliną. Spojrzała na niego z dołu, oczekując tego, że się zaśmieje, ale nic takiego nie nastąpiło. Zażenowana wywróciła oczami.

– Polubił cię – zauważył. Wskazał brodą na amstaffa, który nie spuszczał zafascynowanego spojrzenia z dziewczyny. Kai zamilkł na kilka sekund. Wcisnął dłonie do kieszeni spodni i spuścił głowę. Nie wytrzymał jednak zbyt długo w tej pozycji. Kucnął obok niej, by pogłaskać pupila, zanim wydusił z siebie niepewnym głosem:

– Ktoś wyrzucił go jak śmiecia. Nikt go nie chciał. Tak jak mnie. – Zaśmiał się, ale nie miało to żadnego związku z rozbawieniem. Jego głos zdrzął, jakby szarpały nim jakieś emocje.

Carmen odwróciła głowę i napotkała niebieskie oczy, w których pojawił się żal. Do jej nozdrzy wdarł się zapach perfum chłopaka, a ciepło, które od niego buchało, niemal ją rozpaliło. Chciała coś odpowiedzieć, jednak nie umiała odnaleźć odpowiednich słów. Nie potrafiła się też skupić, gdy kolano chłopaka znajdowało się tak blisko niej. Ich ubrania dotykały się z każdym ruchem.

Malachai nachylił się, przez co poczuła na twarzy jego oddech, a potem szepnął:

– Ludzie to największe kurestwo świata.

Carmen poczuła ucisk w klatce piersiowej. Nie potrafiła się odezwać. Była zaskoczona jego bezpośredniością. Nagle pojawiło się w nim coś ludzkiego, jakby potwór, który w nim tkwił, zniknął. Dostrzegła w nim człowieka, który żył, czuł i przejmował się losem bezbronnego stworzenia. Na krótki moment, zaledwie ułamek sekundy, z jego twarzy spadła maska obojętności, gdy uniosł lewy kącik ust w smutnym uśmiechu.

– Co tak naprawdę tutaj robisz, Malachai? – spytała i spróbowała wstać, jednak pies wskoczył przednimi łapami na jej kolana. Zachichotała, po czym podniosła wzrok, by spojrzeć na Kaia. Jak zwykle na dźwięk tego imienia zacisnął usta w wąską linię, a jeden z mięśni na jego twarzy drgnął ze zdenerwowania. Ale tego nie skomentował, jakby coś go zablokowało. – Łazisz za mną?

– Ta. Bawię się w twójego stalkera – mruknął, dźwigając się na nogach. Trochę z powagą, trochę z irytacją. Chwilę później cmoknął z uznaniem: – Robota marzenie.

Carmen zaczęła szybciej mrugać, aż obraz przed nią lekko się rozmazał. Rozchyliła usta, chociaż nie wiedziała, jak powinna na to odpowiedzieć. Na szczęście Kai odezwał się, zanim z jej ust wydostał się jakikolwiek dźwięk.

– Żartuję, Karmelku. – Roześmiał się swobodnie, tak, jak miał w zwyczaju w jej towarzystwie. – Musisz mieć o mnie naprawdę złe zdanie – westchnął ze smutnym uśmiechem i zerknął na psa, który właśnie rozłożył się na plecach, czekając, aż Carmen pogłaska go po brzuchu. – To tylko przypadkowe spotkanie. Myślisz, że to jakiś znak od wszechświata?

Zerknęła na niego w samą porę, by zobaczyć, jak uśmiecha się, zagryzając przy tym dolną wargę. Carmen przez moment nie potrafiła oderwać od niego wzroku, jakby ktoś zatrzymał czas. Miała wraże-

nie, że w jej płucach urosły kwiaty, przez które nie mogła oddychać. Wstała i tym samym skazała się na smutny wzrok psa.

– Wiesz, kiedy ojciec ostrzegał mnie przed podejrzanymi typami, na pewno miał na myśli ciebie – mruknęła, wbijając palec w miejsce, gdzie niedawno z premedytacją wcisnęła nóż. Spróbowała odejść, jednak Kai złapał jej nadgarstek w nadludzko szybkim tempie, jakby to przewidział. W sumie mogła się tego spodziewać. Serce Carmen zamarło. Jego dotyk sprawił, że odczuła chłód, jakby wewnątrz niej nagle zapanowała zima.

– Ostrzegał cię, bo sam ma układy z Ivanem – odrzekł Kai. – Wiedział, że prędzej czy później się spotkamy. Widzisz, Karmelku? – Trącił ją palcem w nos, po czym wskazał nim na bezchmurne niebo. – Wszechświat ma dla nas plan.

Zastanawiała się, jak powinna w miły sposób poinformować go, że wygaduje bzdury.

– Zostaw mnie. Chcę wrócić do domu.

– Jeszcze nie – powiedział, kręcąc głową. – Najpierw pójdziesz ze mną.

– Z tobą? – prychnęła i zaśmiała się głośno. Ten dźwięk był przyjemny, dlatego Kai pomyślał, że miło byłoby go jeszcze kiedyś usłyszeć. – Nigdy więcej.

– Nie zrozumiałas – mruknęła leniwie – ale ja ci to wytłumaczę.

Podszedł bliżej, by zarzucić rękę na jej ramię. Zrobił to bez pozwolenia, zupełnie zniemacka. Zaskoczona Carmen drgnęła i automatycznie się odsunęła, bo ten dotyk nie tylko bolał, ale, co gorsza, bardziej elektryzował całe ciało. Starła się nie dać po sobie poznać, jak w rzeczywistości na to zareagowała, dlatego przyjęła obojętny wyraz twarzy. Spojrzał na nią z wyдутą wargą tak, jakby bardzo go uraziła.

– Nie pytałem cię o zdanie. Możesz iść dobrowolnie albo sam zaniosę tam twój śliczny tyłek – dodał z naturalną pewnością, ponownie pstrykając ją w nos. Cały czas uśmiechał się półgębkiem, a to doprowadzało ją do szału. Nosił się jak czarny król na pustej planszy szachów.

Stała na palcach, by spojrzeć mu prosto w oczy.

– Idź do diabła, Malachai – szepnęła, a sekundę później kąćki jej ust uniosły się w geście triumfu. Kai oblizał wargi. Coś w jego oczach zaśniło, jakby słowa, które wypowiedziała, bardzo przypadły mu do gustu. Carmen Clark była królową bez korony i królestwa. Najpotężniejszym pionkiem na planszy, bez ruchów do wykonania, dlatego przewróciła stół.

– I mam zostawić cię tu całkiem samą?

Była wściekła, naprawdę wściekła, i widząc to, uśmiechnął się. To rozwścieczyło ją jeszcze bardziej i po prostu go popchnęła. Zrobił mały krok w tył, zaśmiał się i uniosł rękę w geście poddania. Był tak spokojny, że jej awantury sprawiały mu przyjemność. Przymknął powieki i wyteżył słuch. Dobiegł do niego dźwięk jej kołającego ze złości serca, które odbijało się od klatki piersiowej. Nieoczekiwanie złapał ją za rękę i pociągnął w swoją stronę. Dopiero wtedy znalazła się wystarczająco blisko, by dostrzec jego niebieskie tęczęwki skryte pod czapką. Miały w sobie więcej ciemności niż jakiegokolwiek brązowe oczy, które wcześniej widziała.

Malachai Yordan był sumą jej strachów i gorzkich snów.

– Ulżyło ci już czy zamierzasz mnie jeszcze uderzyć? – spytał. – Trochę mnie to jara.

Carmen w odpowiedzi przewróciła oczami.

– Czyli idziemy?

– Nie – powiedziała głośno i wyraźnie. Jej głos brzmiał stanowczo.

– Udowodnić ci, że tak?

Kai przechylił głowę najpierw w prawo, a potem w lewo, prężąc szyję. Poluźnił smycz, którą wcześniej owinął wokół dłoni, by pies miał więcej swobody. Bez ostrzeżenia oplótł ramię wokół talii Carmen, podniósł ją i ruszył przed siebie. Momentalnie zaczęła wierzgać nogami i uderzać rękami w jego bark, jednak w ogóle go to nie ruszyło. W odpowiedzi objął ją jeszcze mocniej, utrudniając jej swobodne oddychanie.

– Cholera, puść mnie – warknęła rozzłoszczona. Kai nie zareagował. Zupełnie tak, jakby słowa przeleciały mu koło ucha. Cały czas brnął do przodu i posyłał przechodniom promienne uśmiechy. Nie widział nic dziwnego w kolejnym porwaniu dziewczyny. To było jak... jego nowe hobby.

Carmen była uwięziona i musiała coś z tym zrobić. Dlatego bez namysłu ugryzła Kaia w kark. Zadziałało od razu. Zatrzymał się w miejscu, poluźnił uścisk i postawił ją na ziemi. Złapał się za szyję i wykrzywił twarz w grymasie bólu.

– Teraz moja kolej na pokazanie klów? – spytał zaczepnie, poruszając zabawnie brwiami. Uśmiechnął się flirciarsko. Jego mina jasno wskazywała na to, że spodobała mu się wizja kłosa smukłej

szyi Carmen, jakby należała tylko do niego. W taki sposób, by już zawsze pamiętała o tym, że to on ją naznaczył. Myślał o tym zbyt długo. A odpowiedź nie nadchodziła.

Carmen podeszła bliżej, dzięki czemu miała idealny widok na niebieskie oczy, w których tańczyły iskry prawdziwego pożądania. Wydawało jej się, że Kai nie miałby najmniejszego problemu, by dobrać się do niej tutaj, w tym momencie, na oczach ludzi. Wreszcie się roześmiała, udając, że ją rozbawił. I brzmiało to tak, jakby otworzyło się niebo.

– Ty zdecyduj, Malachai.

Znów go prowokowała. Znów wytrącała z równowagi. Znów tracił dla niej głowę. Znów nie potrafił się przy niej skupić, gdy tak blisko były jej zielone oczy i czerwone wargi. Przegapił moment, w którym szybko ruszyła z miejsca z nadzieją, że uda jej się odejść. Na szczęście w porę chwycił ją za rękę.

– Nie powiedziałem, że możesz odejść – mruknął posępnie.

Nie potrafiła go wyczuć. Czasami miała wrażenie, że nieszczególnie ją lubił. Innym razem, tak jak wtedy, wyglądało na to, że interesowała go tylko ona. Zdarzało się też, że był całkowicie nieobecny i nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Inni faceci przy nim byli po prostu nudni.

A Malachai Yordan był płonącym domem, w którym mogłaby zamieszkać.

• • •

Okazało się, że Kai miał do zaoferowania więcej niż tajemnicze spotkanie w ciemnym zaułku. Zaprowadził ją na szkolne boisko, gdzie o popołudniowej godzinie było pełno nastolatków oraz dzieci w towarzystwie rodziców. Carmen nie rozumiała, co tam robią, dopóki nie zobaczyła osoby, która na nich czekała. Krótko ścięty blondyn siedział pochylony nad drewnianym stołem i przeglądał coś na telefonie. Biała koszulka opinała mięśnie jego ramion, a spod rękawów wyłaniały się tatuaże.

Carmen, czując narastającą wewnątrz cichą panikę, gwałtownie stanęła i pociągnęła Kaia za rękę. Odwrócił się błyskawicznie, jakby był na to gotowy, po czym lekko pochylił w stronę dziewczyny. Uderzył w nią silny zapach jego perfum, który drażnił nozdrza.

– Nie mogę tam iść – powiedziała tak zniżonym oraz stłumionym głosem, że Kai musiał nieźle wysilić słuch, by dokładnie zrozumieć, co burknęła pod nosem. Zmarszczył brwi.

– Poczekaj, dlaczego szepczemy? – spytał równie dyskretnie.

– To Ryan! – pisnęła cała w emocjach. To zabrzmiało trochę za głośno, przez co siedzący dalej chłopak uniósł głowę i pomachał w ich stronę. Dotarło do niej, że nie ma już innego wyjścia. Oczywiście mogła spróbować odejść, ale była pewna, że Kai na to nie pozwoli. Zaczęła zastanawiać się, dlaczego tak bardzo zależało mu na jej obecności w tym miejscu. Jaki obmyślił dla niej plan? I co miała robić? – Nasze ostatnie spotkanie nie przebiegło zbyt dobrze.

– Wiem, Karmelku – burknął Kai, mrugając do niej okiem. – Pamiętam doskonale, jak wyglądał mój były przyjaciel. – Ostatnie słowo wypowiedział z krzywym grymasem, jakby ohydnie smakowało. – Takiej fałszywej mordy się nie zapomina.

Stała przed nim z rozchylonymi ustami. Nie potrafiła stwierdzić, czy bardziej nie wierzyła w to, że Kai zamierzał spotkać się z osobą, która była w jakimś stopniu powiązana ze śmiercią jego rodziców, czy w fakt, że kiedyś przyjaźnił z Ryanem. Powstrzymała się przed przewróceniem oczami. Kai w tym czasie zdążył zrobić parę kroków do przodu, a gdy zerknął na nią przez ramię, zauważył, że cały czas nie ruszyła się z miejsca. Dorzucił więc zalotnie:

– Daj spokój. Jesteś ze mną bezpieczna.

Wcale nie przekonał jej swoimi słowami, choć brzmiały szczerze.

Wyciągnął w kierunku dziewczyny dłoń, ale Carmen nie zamierzała jej uściśnąć. Wyminęła go, zarzucając rude włosy na prawe ramię w charakterystyczny sposób, jakby chciała tym gestem podkreślić swoją siłę. Kai obserwował ją z podziwem i mimowolnie się uśmiechnął. Gdy dotarł do stołu, Carmen już przy nim siedziała. Zajął miejsce obok niej, naprzeciwko Ryana, a pies usiadł przy jego nodze.

– Proszę, proszę – zaczął blondyn z entuzjazmem w głosie. Brakowało tylko, by prześmiewczo zaklaskał na ich widok. – Czy to dziewczyna, która oblała mnie drinkiem? To nie było zbyt miłe.

Carmen oparła łokcie na stole i pochyliła się do przodu, by spojrzeć Ryanowi w oczy.

– Tknij mnie, a wydlubię ci oczy – syknęła jak żmija, po czym zerknęła wymownie na swoje czerwone, idealnie wypilowane paznokcie. Kai zachłysnął się na te słowa, dlatego zaczął głośno kaszleć, a potem zaśmiał się nerwowo. Ryan mu zawtórował.

– Nie jesteś już z Holdenem? – spytał uszczypliwie. – Wymieniłaś go na gorszy model?

Zerknęła przelotnie na Kaia. Na pierwszy rzut oka wyglądał na nieporuszonego, jednak dostrzegła, jak mocno zacisnął dłoń na smyczy – jakby chciał odciąć dopływ krwi do reszty ręki. Pogodził się

już z tym, że od zawsze wychowywał się w cieniu brata, ale pierwszy raz w życiu pomyślał, że może to był powód, przez który tak bardzo ciągnęło go do światła.

Natomiast u Carmen te słowa z niewiadomego powodu wywołały kolejną burzę. Zagryzła policzek od środka, powstrzymując się przed powiedzeniem czegoś, co mogłoby tylko pogorszyć sytuację. Zaciśnęła palce na materiale spodni, a Kai, widząc to, położył dłoń na jej dłoni. Poczula przeskakujący między nimi prąd, dlatego szybko zabrała rękę.

– Widzisz, Ryan, życie się toczy, a ty nadal jesteś dupkiem – sapnęła. Nie potrafiła nad sobą zapanować, kiedy złość huląca w najlepsze po żyłach.

– Carmen – mruknął ostrzegawczo Kai, posyłając jej spojrzenie spod byka.

– Malachai – odpowiedziała pewnie i zarazem dumnie, czym skutecznie zamknęła mu usta. Przyglądał jej się ze zmarszczką między brwiami, która wskazywała na to, że właśnie intensywnie nad czymś duma. I doszedł do jednego wniosku: Carmen Clark nie żartowała. Była śmiertelnie poważna, gotowa do samoobrony.

Ryan obserwował to wszystko z zaciekawieniem, nie dowierzając własnym uszom.

– Czy ona właśnie nazwała cię...

– Lepiej z nią nie zadzieraj, Ryan – przerwał mu Kai, jakby od niechcenia. W ten sposób uniknął niewygodnego tematu. Spojrzał przelotnie na Carmen, by upewnić się, że ona też na niego patrzy z czymś nieodgadnionym w zielonych tęczówkach. Miała w nich same zagadki. – Przekonałem się na własnej skórze, do czego jest zdolna.

– Och, świetnie. – Machnął ręką znudzony już Ryan. – Mamy problem. Mój... – urwał, bo nie wiedział, na ile może pozwolić sobie przy Carmen. Kai jednak kiwnął głową na znak zgody, dlatego Ryan dodał nieco pewniej: – Mój kontakt się wycofał. Twierdzi, że... to nie wypali. Nie zamierza ryzykować.

– O mój Boże – westchnął załamany Kai. – Miałeś jedno zadanie i nawaliłeś?

– Znajdziemy kogoś innego.

– Nie. Nie znajdziemy – warknął szatyn. Zmrużył oczy, przyglądając się Ryanowi, który tylko uśmiechał się głupkowato. Przycisnął palce do powiek, próbując się skupić. Musiał znaleźć nową, może nawet lepszą opcję. – Załatwię to. Odezwę się, jak to ogarnę.

Ryan podniósł się do pionu. Kai jednak musiał coś dorzucić. Specjalnie.

– Jak twój koleżka? Wylizal się z ran?

Carmen starała się nie wtrącać – siedziała cicho, obserwowała, wyciągała wnioski. Jednak kiedy Ryan odszedł, darując sobie komentarz, ten ogrom informacji zmieszany z wybuchowymi emocjami, jakie wywoływał w niej Kai, pękł. Odwróciła twarz w stronę Kaia, uderzyła go w bark, a potem popchnęła. Tak mocno, że niemal upadł na ziemię. Uratowało go tylko to, że przytrzymał się stołu. Ściągnął czapkę, przejechał dłonią po włosach i z powrotem ją założył – tym razem tył na przód, dzięki czemu Carmen dokładnie widziała jego twarz. Skupiła uwagę na dwóch niewielkich bliznach między brwiami chłopaka.

– Musisz mnie ciągle bić? – westchnął i wygładził dłonią materiał czarnej koszulki. Cały czas przeszywał ją wzrokiem lodowato-błękitnych oczu, jakby pragnął wniknąć w jej umysł. – O co ci chodzi?

– Poważnie, co to miało być? – powiedziała głośno i znów nieco piskliwie, aż zabręczało mu w uszach. Nie umiała w tej sytuacji panować nad głosem. Kai poczuł kolejne szturchnięcie, tym razem mocniejsze i prawdziwsze. Carmen zrozumiała, że przesadziła, gdy w odpowiedzi ciasno złapał jej nadgarstek. – Bratasz się z wrogiem?

– To tylko interesy. Wyluuuzuj – mruknął leniwie i przewrócił oczami. – Poza tym wiem, co robię. Zawsze mam wszystko przemyślane – urwał, by popukać się palcem po skroni. – Ryan nic na tym nie ugra, bo zamierzam go wystawić.

Brzmiało znajomo. Wyszło na to, że oboje mieli ten sam cel.

– Co? Zgłupiałeś? – Uniosła rękę z zamiarem uderzenia go w drugi bark, ale tym razem to wyczuł i złapał jej drugą rękę w powietrzu. W efekcie miał ją pod całkowitą kontrolą. Zauważyła, jak gwałtownie nabierał w płuca powietrze, a potem ciężko wypuszczał je przez nos. Był coraz bardziej zirytowany. – On jest niebezpieczny.

– Ta. Ja też, pamiętasz?

– Idę stąd. Nie wplączesz mnie w to – oznajmiła, gdy po krótkiej szarpaninie z nim wyswobodziła swoje ręce i wstała. Kai podążył za nią wzrokiem. Zatrzymał go na jej twarzy, na której malowało się tylko zdenerwowanie. Była wyprostowana i zaciskała dłonie w pięści, przez co czuła paznokcie wbijające się w skórę. Nie potrafiła znaleźć przyczyny tej nagłej złości. Wiedziała jedynie, że Malachai wywoływał

w niej szereg emocji, których do końca nie rozumiała.

– Nie zamierzam brać udziału w twoich pokręconych gierkach.

– Już wzięłaś w nich udział, Karmelku! – krzyknął.

Nieśmiało ruszyła z miejsca. Podświadomie czekała, aż ją zatrzyma, ale pozwolił jej kawałek odejść. Zanim jednak całkowicie zniknęła mu z oczu, ponownie usłyszała jego głos, który za nią wołał. Przystanęła w pół kroku i nasłuchiwała.

– Oficjalnie to nasza trzecia randka. Na następnej mogę spróbować cię pocałować.

Nie wiedziała, na ile żartował, a na ile mówił od serca, ale i tak uleciało z niej całe powietrze. Nie miała siły tego komentować. Nawet na niego nie zerknęła. Na pożegnanie pokazała mu środkowy palec i postawiła kolejne kroki. Kiedy wreszcie się od niego oddaliła, mogła znów spokojnie zaczerpnąć powietrza.

Wyciągnęła telefon – miała parę nieodebranych połączeń, głównie od ojca, jednak postanowiła je zignorować. Zamiast tego szybko wystukała z pamięci inny numer. Odebrał błyskawicznie.

– Masz coś dla mnie? – spytał od razu. Odniosła wrażenie, że bardzo wyczekiwał telefonu od niej, jakby z góry założył, że wreszcie się odezwie. Ona jednak milczała. Zaczęła się wahać. Może źle robiła? Zerknęła za siebie przez ramię. Kai nie ruszył się z miejsca. Bawił się z psem, przez co wcale nie wyglądał groźnie. – Carmen? Jesteś tam?

– T-tak – wydusiła w końcu, nerwowo poprawiając włosy. Cały czas się wahała, ale postanowiła zaufać temu cichutkiemu głosowi, który próbował przebić się przez wszystko to, co było w niej zepsute. – Chyba mam coś, co może cię zainteresować.

– Świetnie! – Ucieszył się agent Cole. – U mnie czy u ciebie?

Rozważała przez chwile obie opcje. Musiała postępować rozsądnie.

– U ciebie.

Połączenie się urwało.

Miała jeszcze jedną misję. Zanim schowała telefon, napisała krótką wiadomość.

*Do Holden: Musimy porozmawiać.*

Nie widziała go, odkąd ją pocałował. I tak było wygodniej. Musiała jednak wreszcie stawić czoła największemu lękowi, jakim było zranienie tak wspaniałego mężczyzny. Nienawidziła się za to, że nie potrafiła odwzajemnić jego uczuć. Holden Yordan mógł być świetlikiem w jej głowie, drogowskazem, złotą iskierką, która rozświetli ten ponury świat. Ale cały czas padał na niego cień jego młodszej, stokroć gorszej wersji.



Holden wpadł do domu niczym nierozbrojony granat toczący się prosto pod nogi z zamiarem rozsądzenia wszystkiego wokół. Nikt z siedzących w salonie nie zwrócił jednak na niego szczególnej uwagi. Rozsadzała go złość. Płynęła w jego żyłach, mieszając się ze wzburzoną krwią. Od natłoku myśli szumiało mu w głowie. Wystarczyło parę dużych kroków, by znalazł się obok chłopaków.

Kai siedział na kanapie, opierając łokcie na kolanach, i ze skupieniem wpatrywał się w ekran telewizora. Carter natomiast ścisnął w dłoniach pada, starając się kontrolować grę, i co jakiś czas jęczał pod nosem z niezadowolenia. W pomieszczeniu rozbrzmiewała muzyka, zagłuszana przez dźwięki strzelaniny i śmiechy chłopaków.

Ten beztronski widok zirytował Holdena do takiego stopnia, że ciężko było mu nie wyskoczyć z własnego ciała, które strasznie grzało. Odczuł jeszcze większy gniew. Zaszedł brata od tyłu, zamachnął się i z impetem uderzył go z otwartej dłoni w głowę. Kai złapał się za obolałe miejsce, starając się rozmasować tępy ból. Cios nie tylko niespodziewany, ale również dość mocny sprawił, że obraz zawirował mu przed oczami. Czym prędzej odwrócił się i spojrzał na Holdena z wyrzutem.

– Czym sobie na to zasłużyłem? – wysyczał przez zaciśnięte zęby.

– Jesteś kretyńcem! – krzyknął Holden, kipiąc wściekłością.

Dopiero wtedy Carter zatrzymał grę. Obrzucił zdezorientowanym spojrzeniem najpierw Kaia, a potem Holdena. Jak zawsze utknął w samym środku niezniszczalnych żywiołów. Czuł się niezręcznie, dlatego przejechał ręką po kosmykach krótkich włosów. Wolałby zniknąć, niż czekać na nadchodzącą burzę – bez parasola oraz schronienia. A gniew w ich oczach zwiastował to, że za moment cały świat zatrzęsie się od grzmotów.

– Żadna nowość. Ktoś z was miał wątpliwości, że jest inaczej? – odburknął z chłopięcym uśmiechem Kai, po czym odwrócił głowę, całkowicie ignorując brata. On już zakończył rozmowę. Holden jednak nie zamierzał tak łatwo odpuścić. Zawsze to robił, ale nie tym razem. Stanął przed nim, zasłaniając telewizor.

– Naprawdę myślałeś, że się nie dowiem? – warknął blondyn. Miał zmrużone oczy i zaciśniętą szczękę, która drgała ze zdenerwowania. Nadal nie potrafił pojąć ruchów Kaia. Dlaczego zmieniło się jego nastawienie? Co knuł? I przede wszystkim... jakie to przyniesie skutki? – O tym, że spiskujesz z Ryanem?

– Co robisz? – wtrącił się Carter, posyłając przyjacielowi spojrzenie pełne niezrozumienia oraz wyrzutów. Postanowił nie zagłębiać się w temat i dalej udawać niewidzialnego, kiedy oboje zerknęli na niego z rządzą mordy w oczach. Wcisnął się w kanapę. Wolał nie brać udziału w tej kłótni. Wlepił wzrok przed siebie i tylko słuchał.

– Carmen ci doniosła. SZOK! – prychnął Kai. Nie był zaskoczony. Przewidział, że panna w tarapatkach jak zwykle pobiegnie do bohatera. Powoli podniósł się do pozycji stojącej, stając naprzeciwko brata. Patrzyli sobie prosto w oczy. Kai zastanawiał się, czego tak naprawdę spodziewał się po Carmen. Może był trochę naiwny, bo gdzieś w głębi wierzył, że choć raz stanie po jego stronie i będzie siedziała cicho. – Chciałem sam ci o tym powiedzieć.

– Po co się w to pchasz, Kai?

Odpowiedzi było wiele, ale tylko jedna miała większy sens.

– Bo chcę go zniszczyć – odrzekł zgodnie z prawdą. – Tak jak jego ojciec zniszczył naszą rodzinę. Czy to nie oczywiste?

Holden zamilkł, przesywając brata lodowatym spojrzeniem. Patrzył na jego ciemne włosy, na puste oczy i usta wygięte w aroganckim uśmiechu. Próbował odnaleźć w nim dawnego Malachaia, ale dotarło do niego, że on już dawno przepadł. Kai nie dbał o innych, nie odczuwał empatii i uważał, że na całym świecie liczy się tylko on i jego cierpienie. Był zamknięty we własnym piekle, z którego nie chciał uciekać. Istniał po to, by świat trząsł się i rozpadał razem z nim.

– Odpuść – wyszeptał Holden z nadzieją w głosie. Wyciągnął przed siebie rękę. Chciał poklepać brata po ramieniu, ale Kai znów był zimny i wycofany, dlatego zrobił krok do tyłu, tym samym zwiększa-

jąc między nimi dystans. Tak było bezpieczniej. – Proszę cię, Kai. Nie naprawisz siebie przez zniszczenie kogoś innego.

Kai przez parę sekund po prostu stał jak manekin na wystawie. Mrugał szybko, aby powstrzymać łzy złości, które próbowały wydostać się na zewnątrz. Jego usta otwierały się, a następnie zamykały, jakby nagle ulatywała mu z głowy ważna myśl. A później założył swoją maskę, uśmiechając się niczym pacynka. Kolejny raz udowodnił światu, że traci ostatnie resztki samego siebie. Ledwie się już poznawał, kiedy patrzył w lustro.

– Myślisz, że możesz mnie kontrolować? – parsknął. – Nie jesteś moim ojcem, Hol!

Holden poczuł ukłucie w okolicy serca. Kiedy ponownie spojrzął na brata, było w nim coś obcego, jakby ostatecznie wyrzucił do kosza ostatnią rzecz, która trzymała go przy człowieczeństwie. Był czystym złem. W jego oczach płonął ogień piekielny, żarzący się tysiącem spalonych dusz. Nie miał serca z kamienia czy z lodu, bo w ogóle go nie posiadał.

– Masz rację. Nie jestem – westchnął słabo blondyn. Stracił wszelką siłę i chęć walki o resztki dobrej strony Kaia. Najzwyczajniej w świecie się poddał. Pierwszy raz czuł się tak bezradny. – Ale gdyby tata tu był... może byłbyś inny.

Malachai kolejny raz się roześmiał. Tym razem gardłowo. Brzmiał jak antybohater i to trochę przeraziło Holdena. Kai zacisnął usta, widząc, jak Holden pobladł na twarzy. Czuł się tak, jakby ktoś wrzucił mu do serca granat. Jego klatka piersiowa była ścianą ognia. Próbował znaleźć odpowiednie słowa, ale były schowane za daleko.

– Ups, niestety już go z nami nie ma.

Rozejrzał się po pomieszczeniu, jakby starał się kogoś znaleźć. Holden wykorzystał ten moment, by ponownie stanąć bliżej brata. Widział jego zaszklone niebieskie oczy i gwałtownie unoszącą się ze złości klatkę piersiową. Spróbował złapać go za ramiona i przytulić, ale tak jak zakładał, Kai od razu go odepchnął.

– Nie dotykaj mnie, kurwa! – wrzasnął, aż zaboląło go gardło. – Nie. Dotykaj. Mnie.

Coś się w nim przewróciło i nieodwracalnie stłukło. Wszystkie kości, mięśnie, a nawet uczucia. Był już tylko zbiorem niepasujących do siebie elementów. Przepelniała go złość. Tak wielka, że miał ochotę wyrwać sobie palcami ścięgna. Chciał, aby to się skończyło, ten nieustanny pęd w głowie. Pragnął, by jego serce przestało bić, bo jego egzystencja od dawna nie miała sensu. Potrzebował wreszcie poczuć coś innego niż nieprzerwany ból.

W jego żyłach pulsowała agresja. To wszystko się w nim skumulowało. I musiał, po prostu musiał pozwolić, aby wszystkie negatywne odczucia wypłynęły na wierzch, nim strawią go od środka. Z tego powodu zgarnął ze stołu szklankę i rzucił nią przed siebie. Holden schylił się, dzięki czemu szkło zdoczyło się ze ścianą zamiast z jego głową i rozpadło na okruchy. To nie przyniosło oczekiwanej ulgi, dlatego Kai usiłował złapać kolejne naczynie, jednak ktoś chwycił go za ramiona i odciągnął do tyłu.

Przez krótką chwilę wszyscy wstrzymali oddech.

Malachai odwrócił się na czas. W tej samej chwili Ivan, niczym rozkręcające się tornado, złapał go za kołnierzyk koszulki i niemal rzucił nim o ścianę jak nic nieznaczącym przedmiotem, którym najpewniej dla niego był. Dopadł do bratanka, dociskając łokieć do jego gardła. Malachai przełknął ślinę z ogromnym trudem. Oddychał ciężiej, ale wciąż patrzył prosto w lodowate tęczę Iwana.

– Co tu się dzieje?! – warknął mężczyzna. Kai wyprostował się, siląc się na najszerszy uśmiech, na jaki mógł sobie w tej sytuacji pozwolić. Spojrzął na wuja i wzdrygnął się, widząc jego poczerwieniałą ze złości, surową twarz. Na szyi mężczyzny pulsowała gruba, niebieskozielona żyła. To z reguły nie oznaczało nic dobrego.

Malachai poczerwieniał na twarzy. Starał się jednak wyglądać na opanowanego, choć w rzeczywistości wpadał w panikę, bo całkowicie stracił kontrolę nad sytuacją. Myślał o powietrzu, którego nie mógł dłużej wciągać, a to sprawiało, że piekły go płuca, jakby ktoś położył je na ruszcie. Z każdą sekundą coraz bardziej przestawał kontaktować. Osunął się nagle po ścianie, zdołał jednak utrzymać się na drżących nogach. Przez moment cieszył się tym, że może normalnie oddychać. Przejechał dłonią po szyi, na której wciąż czuł duszący uścisk wuja, a potem wyprostował się i wygładził materiał bluzki.

Był skołowany, ale jak zawsze zgrywał pewnego siebie.

– Myślicie, że możecie bezkarnie demolować mój dom? – huknął karcąco Ivan.

Kai prychnął pod nosem. Dla własnego dobra powstrzymał się przed napomknięciem o tym, że to również był dom ich rodziców, dom, w którym żyli i w którym zginęli, a co za tym idzie, mieli do niego takie samo prawo jak Ivan. Miał dość tego, że wszyscy ciągle wiedzieli lepiej, co powinien zrobić i jak miał się zachowywać. Instynktownie zacisnął dłonie w pięści. Cały się spiął, jakby za wszelką cenę pró-

bował się nie rozpaść na malusieńkie kawałki.

Ivan spojrzał mu prosto w oczy. Poczł zimno nawet w czubkach palców.

– Nieważne. I tak właśnie wychodziłem – burknął Kai. Wyminął wujka i ruszył w stronę drzwi, jednak nagle niczym drzewo wyrósł przed nim Holden. Blondyn skrzyżował ręce na torsie. Przez jego twarz przebiegł cień rozczarowania.

– Malachai – westchnął ciężko – jeśli teraz wyjdiesz...

– Malachai nie istnieje, odkąd rodzice nie żyją. Prawda, wujaszku? – burknął Kai, kręcąc głową z rozbawieniem. Zerknął wymownie na Ivana, który przyglądał mu się z dziwnym zamyśleniem na twarzy.

Nienawidził tego imienia. Nienawidził jego brzmienia i pisowni, a także każdej pieprzonej literki, która się na nie składała. – Jest tylko Kai. K. A. I. Zapamiętaj i wreszcie się z tym pogódź.

Po tych słowach trącił Holdena ramieniem i wyszedł, pozostawiając za sobą dźwięk zamykanych drzwi. Miał wrażenie, że wraz z zawiasami zatrzęsło się również jego serce.

• • •

– ...dobrze, czyli Yordan planuje spory przemyt narkotyków? – upewniał się agent Cole. – Ale według ciebie nie wciągnie w to Ivana? Chce zrobić tylko Ryana? W ramach zemsty?

Carmen skrupulatnie kiwała głową w odpowiedzi na każde zadane pytanie. Poza tym nie była zbyt wymowna. Zdawało jej się, że Bentley Cole odznacza w głowie jakieś niewidzialne punkty, gdy potwierdzają się jego teorie. Miał zamyśloną minę, więc przez chwilę nie była w stu procentach pewna, czy wciąż poświęca jej pełnię uwagi, aż wreszcie spytał jeszcze:

– A kim jest dostawca?

Wzruszyła ramionami. Nie wiedziała, ale Bentley wyglądał tak, jakby nie za bardzo w to wierzył. Wydał dolną wargę. Przyglądał jej się tak, jakby za pomocą przenikliwego wzroku mógł odgadnąć, czy mówi prawdę.

– Dlaczego tak bardzo ci zależy, żeby go złapać?

Bentley wzruszył ramionami. Cały czas uśmiechał się do niej jak do dobrej znajomej. Czowała się dziwnie pod wpływem jego intensywnego, przeszywającego do dna spojrzenia, więc by poczuć się choć odrobinę pewniej, otuliła ramionami kolana, przylegając bardziej do ściany. Wbiła paznokcie w materiał spodni.

– Kai myśli, że jest nieuchwytny. Ale sęk w tym, że to on postępuje najmniej rozsądnie. Wbrew pozorom to najsłabsze ogniwo. Ratuje go tylko Ivan – wytłumaczył Bentley, ale brzmiało to tak, jakby recytował z pamięci wiersz. – Jeśli on pójdzie na dno, pociągnie za sobą wszystkich. A ja... cóż, lubię być najlepszy w swoim fachu.

Carmen stłumiła w sobie śmiech.

– Można powiedzieć o nim wiele złego, ale jest lojalny – podkreśliła. – Wątpię, aby wydał najbliższych. Na dno pójdzie sam.

– A jak jest z tobą, Carmen? – ciągnął temat. Stał może metr przed nią, nonszalancko oparty o ścianę. Pierwszy raz widziała go w tak normalnym wydaniu. Eleganckie ubrania zamienił na dresy i luźną, sportową koszulkę, która podkreślała umięśnione ramiona. Wyglądał tak, jakby szykował się do wyjścia na siłownię. – Chciałabyś, żeby był wobec ciebie lojalny?

Uniosła brwi.

– Skąd to pytanie?

Agent Cole znów poruszył obojętnie ramionami, jakby nie znał odpowiedzi.

– Chcę ci tylko uświadomić, że niewiele dla niego znaczysz – rzekł poważnie, choć przez ułamek sekundy lewy kącik jego ust uniósł się ku górze. Odniosła wrażenie, że szczyci się tym, że ma rację. Pewne było przecież to, że Kai tylko się z nią bawi. – Kai może i dba o swoich bliskich, ale tylko o nich. Ty jesteś dla niego tylko...

– Przypadkową dziewczyną? – dokończyła za niego.

Bentley skinął głową, potwierdzając jej najgorsze myśli. Nawet nie wiedziała, dlaczego tak usilnie chciała znaczyć dla Malachaia więcej niż nic, dlaczego tak bardzo łaknęła jego uwagi.

– Mam jeden warunek – rzuciła nagle, prześcigając swoje myśli. Jeśli mieli współpracować, to na jej zasadach. Cole skrzyżował ramiona, wbijając w nią zaciekawiony wzrok. Musiała odkaszać, żeby brzmieć pewnie. – Cokolwiek się stanie, chcę, żeby Holden był bezpieczny.

Agent wydał z siebie cichy dźwięk, który brzmiał prawie jak śmiech politowania. I nagle zaczął głośno klaskać, z taką miną, jakby był z niej dumny.

– Już się bałem, że wybierzesz złego brata – wytłumaczył. Podszedł do drzwi i otworzył je na

znak, że powinna się zbierać. Jak na zawołanie wyprostowała się i ruszyła do drzwi. Gdy stała już w progu, usłyszała jeszcze tuż przy uchu: – Jaki jeszcze jest Kai Yordan?

Przechyliła lekko głowę, by móc spojrzeć na twarz Bentleya, ale na widoku miała tylko zaciśniętą szczękę oraz zapadnięte policzki.

– Jest kontrolujący, zarozumiały i ma lepsze włosy od ciebie.

Bentley parsknął cichym śmiechem, a potem poradził z powagą:

– Wybierz dobrze, w której drużynie chcesz grać.

To ostatnie słowa, jakimi uraczył ją Bentley Cole podczas tajnego spotkania, nim się rozstali. Ta rozmowa tylko sprawiła, że pogubiła się jeszcze bardziej. Nie wiedziała, czy granie na dwa fronty mogło przynieść jej jakiegokolwiek korzyści. Na razie była tylko zmęczona balansowaniem między dobrem a złem i, co gorsza, ta granica powoli się zamazywała, przez co Carmen się gubiła.

Przy drzwiach do jej mieszkania stał Malachai. Ze skrzyżowanymi nogami i dłońmi splecionymi na brzuchu opierał się luzacko o ścianę. Jego twarz była nadzwyczaj blada, przez co kontrastowała z ciemnymi włosami. Miał usta popękane niemal do krwi, jakby nieustannie je obgryzał. Zarost sprawiał, że wyglądał nieco niechlujnie. Nie był już wyluzowany. Wydawał się bardziej spięty, jakby coś zjadało go od środka.

– Cześć, Karmelku – mruknął szorstkim głosem. – Tęskniłaś?

W pierwszej chwili była za bardzo zaskoczona jego niezapowiedzianą wizytą, by cokolwiek odpowiedzieć. Bez słowa wyminęła go, po czym otworzyła drzwi. Pozwoliła, by wszedł za nią, choć to raczej nie był dobry pomysł. Ponownie spojrzała na Kaia, a on nie spuszczał z niej wzroku. Miała zaciśnięte usta, a coś w jej wzroku sprawiało, że poczuł się niezręcznie. Patrzyła na niego intensywnie, jakby próbowała odczytać jego myśli.

– Zawiodłem się na tobie – powiedział cicho, a na jego twarzy pojawił się grymas smutku. Wyglądał szczerze. Bez ostrzeżenia zrobił krok w jej stronę, jednak Carmen od razu się cofnęła. Nie potrafiła znieść jego obecności. – Zaufałem ci. I chciałem, żebyś ty ufała mi. Dlatego nie powiedziałem Holdenowi o twojej znajomości z jego byłą panną. Dlatego odciągnąłem Jamesa, zanim wypaplał wszystkim twój sekret. A ty mnie zdradziłaś. Nieładnie.

Spuścił głowę i lekko się uśmiechnął, przez co przy jego oczach pojawiły się kurze łapki. Gdy ponownie uniósł wzrok, ukazało się w nim coś niepokojącego. Zdrada była dla niego gorsza niż niezły łomot, chociaż w tym przypadku rozumiał, że może nie warto było uchylać tych dawno zamkniętych drzwi przed kimś tak fałszywym jak Carmen Clark. Mogła dokonać tam jeszcze większych szkód.

– Wiesz, co robię z ludźmi, którzy mnie zdradzają?

– Zgaduję, że nie zabierasz ich na randki.

Przewróciła oczami. Kai uniósł lewy kącik ust, a jego oczy dziko zaśniły.

– Łamię ich. W najgorszy sposób – wytłumaczył, choć wcale o to nie pytała. Wolała życie w słodkiej niewiedzy. Kai przez chwilę miał zamyśloną minę. Intensywnie nad czymś dumał i była przekonana, że dojdzie do wniosków, które się jej nie spodobają. – Może jednak powiem Holdenowi o Selene?

Wstrzymała oddech, gdy zawiesił na niej dumny wzrok. Naiwnie łudziła się, że żartuje, ale wszystko w posturze, wyrazie twarzy, uśmiechu oraz oczach zdradzało, że był gotowy to zrobić, aby dać jej nauczkę na przyszłość.

– Proszę, Malachai – szepnęła, stawiając krok do tyłu.

– O co prosisz, Karmelku?

Kai ruszył za nią, dopóki nie wpadła na ścianę. Była jak królik uciekający przed wilkiem. Przełknęła nerwowo ślinę, chociaż nie przerażał jej już tak jak kiedyś. Coś w wyrazie jego twarzy jednak ją niepokoiło. Było w nim coś wrogiego.

Wkurzał się. Po ludzku.

– Nie mów mu prawdy – rozjaśniła sprawę. Oparła dłonie na zimnej ścianie. Straciła drogę ucieczki. Za sobą miała gruby mur, przed sobą bezwzględного drapieznika, który się skradał, osaczał, przedłużał swoją zabawę, ponieważ tak złapana ofiara smakowała najlepiej: pełna strachu oraz niepewności kolejnej chwili. – Przez chwilę pomyśl o nim. Chcesz, żeby cierpiał?

Holden Yordan miał już dość problemów, które były bańkami bólu unoszącymi się nad głową tak wysoko, że nie mógł do nich sięgnąć, by je rozbić.

Dłonie Kaia wylądowały nagle po obu stronach jej głowy. Carmen wodziła wzrokiem od jednej do drugiej, przeklinając się w myślach, że dała się tak podejść. Niemal wystawiła się mu na tacy, a teraz utknęła w pułapce stworzonej przez jego wyprostowane, napięte ramiona.

– Pamiętasz, jak pytałem cię o zdanie? – spytał, przechylając na bok głowę. Obserwował każdy jej

najmniejszy ruch, jakby bał się, że gdy tylko ucieknie od niej spojrzeniem, ona zniknie i już nigdy nie wróci. A z jakichś niezrozumiałych dla niego powodów naprawdę nie chciał się z nią rozstawać. Carmen Clark hipnotyzowała. – Ja też nie.

Odwrócił się i stanął przy oknie. Oparł dłonie na krawędzi parapetu, przez co żyły na jego rękach znacznie się uwidoczniły. Widziała zaledwie plecy chłopaka, a mimo to zauważyła, jak ciężko oddycha. Wykorzystała ten moment, by napisać wiadomość do jego brata o tym, że Kai jest u niej i zachowuje się dziwniej niż zwykle ma w zwyczaju.

– Nie chciałam cię zdenerwować – wydusiła. Jej głos drżał, dlatego musiała odkaszlnąć, by brzmieć naturalnie. Zrobiła krok w jego stronę, ale szybko tego pożałowała, gdy się odwrócił. Jednym ruchem zrzucił ze stojącej przy nim toaletki wszystko, co się na niej znajdowało. Wszystkie kosmetyki, perfumy i ramki ze zdjęciami roztrzaskały się na podłodze. Carmen zadrżała i niemal wcisnęła się w kąt pomieszczenia.

– Złamałem dla ciebie zasady! – wrzasnął, śmiejąc się pod nosem. Nigdy wcześniej nie widziała go w takim stanie. Był bardziej przerażający niż zwykle, ale było w nim też coś ludzkiego. Miała wrażenie, że każdy jej ruch coraz bardziej wyprowadza go z równowagi. – Powinienem cię wtedy zabić.

Malachai Yordan wyglądał tak, jakby mógł gołymi rękami wyrwać serce z jej piersi.

Złapał się za głowę, kopnął odłamki szkła leżące na ziemi i podszedł do drzwi, by znaleźć się bliżej dziewczyny.

– Zrób to – powiedziała pewnie, po czym prowokująco zadarła podbródek. Spojrzał na nią zdziwiony, a kilka sekund później stał tak blisko, że z trudem mogła oddychać. Oparł głowę na jej czole i przejechał palcami po żyłach na szyi dziewczyny. Prawie czuła na skórze dotyk jego warg. Przymknął powieki, jakby to w jakimś stopniu go uspokajało. Napawał się jej bezradnością.

– Nie boisz się, że cię skrzywdzę? – sapnął. Poczuela jego oddech w swoich włosach. Palce Kaia zaczęły zaciskać się na jej smukłej szyi coraz mocniej i mocniej, i mocniej. Wyczuł przyśpieszony puls, a to wywołało na ustach chłopaka uśmiech. Wystarczył krótki moment, by pozbawić ją życia.

Była pewna, że palce Kaia zostawią na skórze czerwone ślady, ale nawet nie próbowała oderwać jego dłoni. Miała problem ze swobodnym nabieraniem i wydychaniem powietrza, jakby jej płuca się skurczyły. Ale się nie bała.

– Nie wszystkie potwory są złe – wydyszała z trudem. – Niektóre z nich są po prostu zagubione. – Cały czas zadzierała głowę i patrzyła prowokująco w jego coraz bardziej szalone oczy. Na oślep ulokowała dłoń na klatce piersiowej Kaia, która falowała gwałtownie.

Oblało go gorąco. Kiedy poczuł jej palce, wzdrygnął się. Od dzieciństwa nie był tak delikatnie dotykany. Kobiety nie były mu obce i czuł ich ręce na każdej części swojego ciała, jednak dotyk Carmen sprawił, że poczuł się tak, jakby znów należał do tego świata.

I nagle potwór w nim zamilkł.

Poluźnił uścisk. Zapadła cisza, ponieważ wszystko zostało już powiedziane. Carmen uniosła kąciki ust do góry, a Kai to odwzajemnił, jednak uśmiech szybko zniknął z jego twarzy. W chwili, gdy z wyrazem ogromnego bólu wpatrywał się w jej oczy, ktoś wbił mu strzykawkę w szyję. Jego oczy stały się puste, a powieki natychmiast zatrzępotały. Głowa Kaia opadła na bok, na co Carmen zamarła. Oślepienie blokowało każdą jej myśl, gdy próbowała pojąć, co się stało. Kai zaczął się osuwać i właśnie wtedy zza jego pleców wyłonił się Holden. Spróbował go podtrzymać, zaciskając silne ramiona pod pachami brata.

Carmen zaczęła panikować. Irracjonalny strach znów pełznął od jej brzucha, przez cały organizm, prosto do mózgu. Co, jeśli Holden stał tam o parę sekund za długo? Co jeśli wszystko słyszał? Może właśnie dlatego tak obco wyglądała w jego jasnych tęczęwkach.

– Przepraszam za niego. Znowu – mruknął bez emocji. Coś się w nim zmieniło. Chłodno się do niej odnosił. Carmen patrzyła na niego w całkowitym oszołomieniu. Nie mogła uwierzyć, że spokojny Holden właśnie wbił coś bratu w tętnicę. To wydawało się irracjonalne. Uderzyła w nią fala zimnego strachu.

– Co ty robisz? – warknęła, odzyskując panowanie nad swoim głosem i ciałem. Przerazenie ustąpiło miejsca złości. Z całej siły, jaką w sobie zebrała, uderzyła Holdena w klatkę piersiową, ale nawet nie drgnął.

– Nakręcał się, odkąd cię poznaliśmy – westchnął posępnie. – A takie coś dzieje się zawsze, gdy się nakręca. To jedyna rzecz, która potrafi go uspokoić.

– Uspokajał się bez tego! Widziałam to! – krzyknęła. – Nie musiałeś tego robić.

Nagle cała sympatia, jaką go darzyła, zniknęła.

– Jestem z nim przez całe życie. Wiem, jak zająć się własnym bratem.

– I to daje ci prawo do tego, aby go czymś szprycować?

Nadal nie mogła w to uwierzyć.

– To jedyny sposób – przekonywał ją do swoich racji Holden, ale pierwszy raz nie podzielała jego zdania. Tym razem całą sobą stawiała po stronie Kaia. – Wybacz, Carmen, ale to nie jest twoja sprawa.

Dlaczego chciała, aby było inaczej?

Holden przerzucił Kaia przez ramię i ruszył do wyjścia, jednak Carmen nie zamierzała się poddać. Zgarnęła z krzesła kurtkę i pobięła za nim. Gdy znalazła się na dole, Holden wkładał bezwładne ciało brata na tylne siedzenie samochodu. Carmen usiadła z przodu. Blondyn wsiadł do auta parę sekund później. Spojrzał na nią ze zmarszczonymi brwiami.

– Jesteście tak samo popaprani – powiedziała ostro. W tej chwili nie widziała między nimi tak wielkich różnic jak wcześniej. Byli zawzięci, gotowi zrobić wszystko, co uważali za słuszne. – Jadę z wami. Nie zostawię go z tobą.

Nie umiała tego racjonalnie wytłumaczyć, ale chciała być przy nim, kiedy się obudzi.

• • •

Malachai syknął z bólu, gdy przyłożył wacik nasiąknięty spirytusem do otwartej rany na policzku. Zmarszczył nos i przymknął oko, starając się przyzwyczaić do pieczenia, które wydawało się bardziej nieznosne niż sam ból po uderzeniu. Po kilku sekundach odłożył watę na stół.

Uniósł głowę i spojrzał na mamę, która kucnęła przed nim z zatroskaną miną. Widział w jej oczach zawód. Znów nawalił. Znów ją zawiódł i to zjadało go od środka, ale taki po prostu był. Niereformowalny. Nie potrafił trzymać się z dala od kłopotów, bo sam był jednym wielkim zlepkiem problemów i ogromnym nieporozumieniem.

Kobieta przyłożyła ciepłą dłoń do twarzy syna, przez co przymknął powieki. To był kojący dotyk.

– Nie mam już na ciebie siły, Malachai.

Otworzył oczy, kiedy dobiegł do niego niski, stanowczy ton. Ian Yordan stał parę metrów dalej, opierając się barkiem o futrynę. Miał skrzyżowane na torsie ręce. W przeciwieństwie do swojej żony nie był zawiedziony zachowaniem syna. Był po prostu zły, bardziej na siebie niż na niego, ponieważ nie potrafił nad nim zapanować.

– Dajcie spokój – westchnął Malachai. – Kiedyś z tego wyrosnę, nie?

Nikt już w to nie wierzył. W szczególności on.

Próbował ich do tego przekonać, chociaż wiedział, że jego słowa najprawdopodobniej nigdy się nie spełnią. Miał już szesnaście lat. Nieustannie wdawał się w bójkę i co najmniej raz w tygodniu wracał do domu cały poobijany. Lubił to, ponieważ ból był jedynym sposobem na to, by mógł wreszcie cokolwiek poczuć. Rany, przecięcia i potłuczenia skutecznie zapełniały pustkę, która od dawna go zżerała. To zdecydowanie nie było normalne, dlatego wołał nie wspominać o tym rodzicom.

– Miałeś z tym skończyć. – Pokręcił głową Ian. – Dlaczego zachowujesz się jak... – Oczy mężczyzny uniosły się ku sufitowi, jakby miał tam znaleźć słowo, które by idealnie pasowało, ale przy okazji nie było zbyt uwłaczające i okrutne.

– Jak co? – krzyknął Malachai. Zaciśnął mocno usta, aż skóra wokół nich pobielała. Za wszelką cenę starał się utrzymać emocje pod kontrolą, choć łzy zaczęły piec go pod powiekami. Wiele miał w głowie określeń, jakimi ktoś mógłby go opisać. – Wynaturzenie? No dalej, powiedz to, o czym wszyscy wiemy.

Mama spojrzała na niego z przerażeniem na twarzy. Nie potrafiła dotrzeć do własnego syna, choć wielokrotnie próbowała. A kiedy stawał przeciwko ojcu, była całkowicie bezradna. Mieli podobne charaktery, a ich temperamenty buchały żywym ogniem. Każdy, kto próbował się do nich przedostać, mógł w bardzo łatwy sposób spłonąć.

– I tak mnie to nie zaboli, bo nic nie czuję.

Kłamał. W tamtym momencie czuł wszystko, jak wtedy, gdy ktoś okładał go po twarzy.

– Jak Ivan. Sprawiasz problemy jak mój brat. Dlaczego nie możesz brać przykładu z Holdena? – kontynuował ojciec, ignorując słowa syna. Chłopak spojrzał na niego, a coś w jego niebieskich tęczęwkach zgasło. Chwilę później zagryzł zęby na wardze i poczerwieniał ze złości. Wstał. – Jest ułożony, poszedł na studia i ma przed sobą przyszłość.

Malachai roześmiał się na całe gardło, chociaż tak naprawdę najchętniej by się rozplakał. Ojciec zabrzmiał tak, jakby nie widział już dla niego żadnego ratunku. Jakby go przekreślił. Jakby nic nie znaczył. Jakby był tylko stratą czasu i miejsca. Jebaną przeszkodą.

Chciał wrzeszczeć z niemocy aż do zdarcia gardła. Chciał wyrwać sobie serce i wyrzucić je do

kosza, by nigdy więcej nie przypominało mu o człowieczeństwie, które sprawiało, że był słaby. Zamiast tego tylko stał i szybko mrugał, chcąc uchronić się przed gorzkimi łzami.

– Och, wybaczcie, że nie jestem idealnym synkiem jak on – warknął.

Miał dość tego ciągłego porównywania do starszego brata. Różnili się. I nie chodziło tutaj tylko o barwę włosów, ale przede wszystkim o szereg cech charakteru, które sprawiały, że byli całkowicie inni. Holden odziedziczył po rodzicach wszystko, co najlepsze, podczas gdy Malachai zgarnął marne resztki.

Holden był ulubieńcem Boga, a Malachai jedynie upadłym aniołem. Zupełnie jak wujek Ivan – razem byli czarnymi owcami w rodzinie.

– Wybaczcie, że mam więcej wspólnego z Ivanem niż z wami!

– Nawet więcej niż myślisz – mruknął Ian, czym zasłużył sobie na karcące spojrzenie żony.

Malachai zaciągnął się powietrzem, które kłuło go w płuca, a potem wydusił słabym głosem to, co od dawna zaprzętało mu głowę i nie pozwalało normalnie funkcjonować:

– Może byłoby wam lepiej beze mnie.

– Malachai... – dopiero wtedy odezwała się Alice Yordan. Spojrzała dużymi oczami na syna i spróbowała złapać go za rękę, ale szybko ją wyszarpnął. Nie zdążyła dokończyć, ponieważ z korytarza dobiegły podejrzane hałasy. Pośpiesznie podniosła się do pionu, zerkając na męża.

Malachai wychylił się zza jej pleców i wtedy to zobaczył. Ktoś stanął za jego ojcem i celował pistoletem prosto w jego głowę. Chciał krzyknąć, rzucić się na pomoc, zareagować, ale tylko stał sparaliżowany strachem i patrzył przed siebie tak, jakby nic nie widział. Gdy ocknął się z tego dziwnego stanu zawieszenia, było już za późno. Bezwładne ciało jego taty upadło na ziemię. Mama spojrzała na niego przez ramię. Na jej twarzy widniały ślady krwi.

Odzyskał panowanie nad ciałem. Ruszył z miejsca, ale nie zdążył nic zrobić. Usłyszał strzał, a sekundę później przed jego nogami upadło kolejne ciało – tym razem mamy. Patrzył z góry na jej wciąż otwarte oczy i nadal dostrzegał w nich rozczarowanie. Odwrócił wzrok i rozejrzał się dookoła, ale był już sam. Nie wiedział, w którym momencie sprawca uciekł.

Stał obok martwych ciał rodziców i patrzył przed siebie, dopóki do domu nie wszedł jego brat. Dopiero wtedy Malachai uświadomił sobie, że ma na sobie ich krew. Ta myśl sprawiła, że w końcu się rozpłakał, a łzy mieszały się z krwią na jego twarzy, wpadały do ust i kapały na panele.

Tego dnia zrozumiał, że przetrwanie nie jest piękne. Nie jest heroiczne, jak opowiadali w bajkach. Jest raczej brudne. Pojął, że przetrwanie to łzy. To krew na jego rękach i twarzy. To jednoczesny strach i uczucie odrętwienia.

Oddychał ciężko, ale wydawało mu się, że umarł razem z nimi.

Carmen wzdrygnęła się, gdy drzwi od pokoju się uchyliły. Czowała się trochę tak, jakby śniła. I może tak było, ponieważ przez ostatnie godziny nie zmrużyła oka. Nie potrafiła tego zrobić, chociaż jej powieki były ciężkie jak kamienie, a głowa co chwila opadała na bok. Zerknęła w tamtym kierunku nieprzytomnym wzrokiem i zobaczyła Holdena. Oparł się barkiem o futrynę, ale nie wszedł do środka, jakby się czegoś obawiał – najprawdopodobniej chodziło o gniew brata.

– Powinnaś wracać do domu – oznajmił beznamiętnym głosem. Nie uraczył jej choćby przelotnym spojrzeniem niebieskich oczu. Jego wzrok fruwał po pomieszczeniu niczym ptaki szukające odpowiedniego miejsca do spoczynku. Wydawało się, że robił wszystko, byleby nie patrzeć na brata. – To może trochę potrwać.

Carmen natomiast bez najmniejszego skrupowania wlepiła wzrok we wciąż śpiącego Kaia, bo był to jedyny moment, gdy na to pozwalał. Wyglądał łagodnie, spokojnie i pierwszy raz ujrzała w nim bezbronność. Klatka piersiowa chłopaka unosiła się, po czym opadała w równym tempie. Kosmyki ciemnych włosów osiadły na czole, dodając mu chłopięcego uroku. Nadal był przerażająco błydy, a jego twarz i kark oblał zimny pot. Przy jego nogach spoczywał wierny pies.

– Zostanę – wycedziła szybko i ostro.

– Dlaczego? – spytał. – Dlaczego tak bardzo chcesz przy nim siedzieć?

Nie wiedziała. Próbowwała odpowiedzieć na to pytanie w głowie, ale nie mogła znaleźć żadnej sensownej odpowiedzi. Mogło chodzić o fakt, że to zajście bardzo nią wstrząsnęło i po prostu musiała upewnić się, że nic mu nie będzie. Albo wiązało się to z tym, że mimo wszystkich okropnych rzeczy, jakie zrobił, było w nim coś, co dało się lubić. Poza tym uważała, że nikt nie zasługiwał na takie traktowanie. Nawet on.

Wzruszyła ramionami.

– Myślisz, że jest mi z tym łatwo?

– Nie wiem, Holden. Wyglądało, jakbyś nie miał z tym problemu – syknęła z wyrzutem. Powiedziała prawdę. Do tej pory nie mogła uwierzyć, że Holden bez zastanowienia zrobił to swojemu bratu. Po jego opanowaniu domyśliła się, że to nie był pierwszy raz. Nagle pojawiła się u niej złość, jednak starała się stłumić ją w sobie.

Holden rozumiał, że nie ma szans ani z nią, ani z własnym bratem. Uzmysłował sobie, że to Kai wygrywa bój o zainteresowanie Carmen. I bez względu na to, jak bardzo starał się Holden, ciężko było prześcignąć przebiegłego diabła. Przyjął z pokorą słowa Carmen, po czym zatrzasnął za sobą drzwi.

Carmen musiała coś ze sobą zrobić, by gniew wreszcie ulotnił się z jej ciała. Nie chciała czuć tej złości, która bez problemu mogłaby przeciąć jej żyły. Wstała gwałtownie i rozejrzała się dookoła.

Pokój wydawał się pusty. Gdyby nie otwarty laptop na biurku, niedbale przewieszona przez krzesło kurtka i podpięta do prądu ładowarka wyglądałby jak nieużywany. Nie było w nim nic osobistego. Tylko meble i puste ściany, jakby zamieszkiwał go duch. Carmen stała na środku i zastanawiała się, jak długo Kai mieszkał w tym chłodnym miejscu i ile czasu się tu męczył.

Wróciła na poprzednie miejsce. Znów na niego patrzyła, jakby próbowała podziwiać dzieło sztuki, którego nie rozumiała. Nie wiedziała, jak długo to trwało, ale wreszcie jego powieki drgnęły. Mięśnie na twarzy mężczyzny się napięły. Carmen pochyliła się nad nim, czekając, aż otworzy oczy. Zanim to zrobił, z jego ust wydostał się jakiś dziwny, niemal nieludzki dźwięk. Uniósł powieki i natychmiast je zamknął. Naturalne światło dnia raniło jego oczy.

– Cześć, śpiąca królewno – szepnęła z niepewnym uśmiechem.

Nie wiedział, co się stało, jaki był dzień i jak długo to trwało. Szumiało mu w głowie, jakby wdarł się do niej potężny wiatr. Gdy ponownie otworzył oczy, zobaczył przed sobą Carmen. To wydawało się tak nierealne, że przez moment myślał, że wcale się nie obudził, a wciąż śni o swoich niespełnionych pragnieniach. Znów zacisnął ciężkie powieki i postanowił chwilę odczekać. Później starał się je uchylić wolniej, bez pośpiechu. Kiedy obraz przed nim całkowicie się wyostrzył, Carmen nadal tam siedziała.

– Patrzysz, jak śpię? To trochę przerażające – powiedział słabym głosem i spróbował się pod-



nieść. Usiadł na krawędzi łóżka i przejechał dłonią po zmęczonej twarzy, a potem wplótł palce w gęste włosy. Pies, który do tej pory grzecznie leżał przy jego nogach, rzucił się na niego, liżąc go w szyję. Kai roześmiał się swobodnie, chociaż przyszło mu to z trudem. – Jak długo mnie nie było?

– Jakieś... – zaczęła, ale musiała spojrzeć na zegarek, by się upewnić. Policzyła w głowie czas i sama nie mogła uwierzyć, że minęło go tak dużo. – Siedemnaście godzin.

– Świetnie. To mój nowy rekord – powiedział z irytacją w głosie.

Wstał i od razu zawirowało mu przed oczami. Musiał przytrzymać się krzesła, by nie runąć na ziemię. Przez moment stał tak i ciężko oddychał. Miał wrażenie, że głowa rozpada mu się na kawałki. Jego wnętrze zdawało się zamarzać. Świat wokół niego zrobił się czerwony, później zielony, aż wreszcie wrócił do naturalnych barw.

– Czuję się tak, jakbym umierał – wyznał.

Zawsze się tak czułem.

Zrobił kilka kroków, aż dotarł do szafy. Wyciągnął z niej czyste ubrania i wyszedł do łazienki. Oparł ręce na umywalce i uważnie przyglądał się swojemu odbiciu. Włosy całkowicie oklapły i oblepiły jego czoło, po którym spływał pot. Twarz nabrała niezdrowej, niemal szarej barwy, a skóra lśniła wilgocią. Drżały mu dłonie.

Było znacznie gorzej niż zwykle. Nie tylko czuł się tak, jakby umierał, ale również tak wyglądał.

– Pozwalasz im na to? – Usłyszał i aż się wzdrygnął. Zdążył zapomnieć, że Carmen wciąż tam jest i w dodatku podążyła za nim. Stała w progu i przyglądała mu się, skubiąc paznokciami skórę na dolnej wardze.

– Czasem muszą mnie wyłączyć, żebym... – nie dokończył. Nagle poczuł mdłości i zanim zdążył o tym pomyśleć, padł na podłogę i zwymiotował do toalety. Wyrzucił z siebie samą żółć. Gdy skończył, cały się trząsnął, ale w głowie mu się przejaśniło. – Żebym się zresetował.

W żołądku Carmen zagnieździł się lęk. Obserwowała, jak Kai powoli podnosił się na nogi. Znowu stanął przed lustrem. Oddychał tak, jakby gryzł powietrze. Splunął śliną o kwaśnym posmaku, umył zęby i dopiero uniósł wzrok, chociaż wiele go to kosztowało. Powoli wracało do niego życie. Ciało wciąż było sponiewierane, ale mrok w duszy jakoś mniejszy.

– Zawsze tak to wygląda? – Carmen dopytywała z ciekawością. Obserwował ją w lustrze. Jej oczy mimo widocznego zmęczenia lśniły i mieniły się wszystkimi odcieniami zieleni. Usta wygięła w grymasie, który miał przypominać uśmiech. Rude włosy lekko falowały, opadając na ramiona. Miała na sobie krótką czarną bluzkę, spódniczkę w kratę, skórzaną kurtkę i buty na obcasie.

Była złą królową. Księżniczką, której nikt nie uratował.

– Raczej tak – mruknął, a następnie oblizał suche usta. – Nigdy wcześniej nie wymiotowałem. To nowość. – Kiwnął głową, jakby z uznaniem, chociaż nie było czego podziwiać. – Wybacz, że musiałaś na to patrzeć.

Dopiero wtedy dotarło do niego, że zwymiotował na jej oczach niczym zwierzę. To musiał być niezbyt przyjemny widok. Było mu trochę głupio, dlatego postanowił zamazać ten obraz w głowie Carmen i zastąpić go czymś znacznie lepszym. Jednym sprawnym ruchem ściągnął z siebie koszulkę i rzucił ją w kierunku dziewczyny.

Carmen się tego nie spodziewała, dlatego nie zareagowała od razu. Koszulka wylądowała na jej twarzy. Zachłysnęła się zapachem perfum Kaia, aż na moment zabrakło jej tchu. Kiedy zabrała ubranie sprzed oczu, miała ochotę z powrotem je na siebie zarzucić.

Malachai stał przed nią w samych spodniach. Przez chwilę siłował się z rozporkiem, aż wreszcie zsunęły się z jego pośladków aż do kostek. Carmen skamieniała. Ślizgała się wzrokiem po jego ciele, podczas gdy Kai uśmiechał się z wyższością. Był dobrze zbudowany, ale nie tak jak mięśniaki z okładek gazet. Raczej jak przeciętny młody i zdrowy mężczyzna. Na jego silnych ramionach rysowały się żyły, a na piersi wciąż widniał ślad po nożu, który sama tam wbiła. Zobaczyła też powoli zablizniającą się ranę na nodze chłopaka.

Carmen odwróciła wzrok. Z zażenowania zakryła twarz dłońmi. Czuła, że cała poczerwieniała, a bardzo nie chciała, by to zobaczył. W tym momencie znów była zawstydzoną nastolatką, nie kobietą, której mężczyźni już nie onieśmielają.

– Muszę się wykapać – oznajmił. – Dołączysz?

W jego głosie rozbrzmiewało rozbawienie. Carmen postanowiła na niego zerknąć. Starła się całą uwagę skupić na jego twarzy. Wciąż się uśmiechał i poruszył zabawnie brwiami. Nie mogła uwierzyć w to, że naprawdę rozważała pozytywną odpowiedź. Jakaś głęboko w niej uśpiona, dzika strona zapragnęła sprawdzić, jak to jest być przy takim facecie. Ledwie się powstrzymała przed popełnieniem błędu.

Zbyt wiele ich już zebrała w swojej kolekcji.

– Spasuję. – Zaśmiała się i było w tym słycać nerwowość. Nie wiedziała, czy z powodu bezradności, czystego rozbawienia czy zawstydzenia.

– Dobra – Kai westchnął ciężko, widocznie urażony. – Tylko nigdzie nie uciekaj. Mamy plany na wieczór.

*My?*, pomyślała. *I jakie plany ma na myśli?*

Odwróciła się na pięcie i zamknęła za sobą drzwi. W głowie znów narosła jej sterta wątpliwości. Ponownie była dziewczyną postawioną na skraju dróg, bez drogowskazu podpowiadającego właściwą. W tej chwili wystawienie Kaia policji nie wydawało się już tak dobrym pomysłem jak wcześniej. Może wcale na to nie zasługiwał. Może był zły, bo dopadł go okrutny świat. Może mrok nie był jego naturą.

Wiedziała jednak, że Bentley Cole nawet przez sekundę nie będzie się nad tym zastanawiał, gdy nadarzy się odpowiednia okazja. Kai był dla niego po prostu zły – bez względu na to, skąd to zło naprawdę się wzięło i jakie historie się za nim kryły.

Nie wiedziała, co powinna zrobić – zostać tam i zobaczyć, co się wydarzy, czy uciekać gdzie pieprz rośnie. Nie potrafiła zmusić się do tego, by wyjść. Ogarnęła ją zbyt wielka ciekawość. Pragnęła dowiedzieć się, co tym razem zaplanował dla niej Malachai. Zdecydowała więc, że w czasie, gdy on się kąpie, trochę odpocznie. Opadła plecami na miękkie łóżko. Pies od razu do niej dołączył, kładąc głowę na jej brzuchu. Wsłuchiwała się w uspokajający szum wody.

Leżała w łóżku diabła. I czuła się jak jego ulubiony demon.

• • •

Odleciała do nieznannej krainy, w której królowało zło i paraliżujący chłód, ale czuła się tam błogo, jakby to właśnie było jej miejsce na ziemi. Zmęczenie wzięło nad nią górę i po prostu przysnęła. Nie wiedziała, jak długo to trwało, ale przebudziła się, gdy poczuła na sobie czyjś dotyk. Raptownie otworzyła oczy, jakby nagle obudziła się z okropnego snu. I to okazało się błędem.

Malachai pochylał się nad nią, opierając rękę obok jej głowy. Drugą delikatnie muskał skórę na szyi dziewczyny. Ze zmarszczonymi brwiami i przejęciem na twarzy przyglądał się czerwonym śladom, które idealnie pasowały do jego palców. Carmen nie spuszczała z niego wzroku. Wyglądał na zatroskanego. Obliznął usta.

– Ja... Ehm... – dukał, jakby nie potrafił znaleźć właściwych słów. – Nie chciałem cię skrzywdzić. Wiesz o tym, prawda?

Carmen skinęła głową i podniosła się na łokciach. To spowodowało, że twarz Kaia znalazła się jeszcze bliżej. Niemal stykali się nosami. Czuła na sobie jego miętowy oddech, który łaskotał jej skórę. Patrzyła mu w oczy z pewnością siebie. Z tej odległości widziała każdy odcień niebieskiego, który składał się na barwę jego tęczęwek.

– Świetnie – mruknął. Odepchnął się ręką i wstał. – Wychodzimy.

Spojrzała na niego zdezorientowana. Usiadła na krawędzi łóżka i bacznie go obserwowała. Jego włosy były wilgotne, przez co stały się znacznie ciemniejsze, niemal czarne. Miał ładnie przystrzyżony zarost. Założył koszulkę w paski, pod którą schował srebrny łańcuszek. Zgarnął z krzesła dżinsową kurtkę i narzucił ją na ramiona. Odwrócił się w stronę dziewczyny i posłał jej wyczekujące spojrzenie.

– Nie powinienes odpoczywać? – wydukała. Kai pokręcił głową z rozbawieniem.

– A co robiłem przez ostatnie godziny?

Miał rację. Przez prawie dobę spał jak zabity. Ale ten fakt wcale nie przekonał Carmen.

Malachai nadal wyglądał mglisto jak szklany kubek pełen dymu.

– Możesz iść ze mną albo zostać z moim nudnym bratem – westchnął po chwili, gdy uświadomił sobie, że nie otrzyma odpowiedzi. Carmen bowiem przyglądała mu się z otwartymi ustami, jakby próbowała odczytać cokolwiek z jego obojętnej miny. Skrzyżował ręce na torsie i uniósł brwi, czekając na jakąkolwiek reakcję z jej strony. Wreszcie wstała, co niezmiernie go ucieszyło.

Ruszył w kierunku okna i przez nie wyjrzał, szacując odległość do ziemi. W końcu usiadł na parapecie i przerzucił nogi na drugą stronę tak, że swobodnie zwisały. Był zwrócony do niej plecami, ale wyobraził sobie jej przejętą i jednocześnie zdezorientowaną minę.

– Nie wyjdziemy jak normalni ludzie? – spytała niepewnie. Dopiero wtedy zerknął na nią przez ramię z cwaniackim uśmiezkiem na ustach. Wiedziała, że to nie zwiastuje nic dobrego.

– Nie jesteśmy normalni, Carmen – odpowiedział i mrugnął do niej okiem. Odwrócił się i delikatnie pochylił do przodu. – Widzimy się na dole.

Po tych słowach straciła go z oczu. Odruchowo ruszyła z miejsca. Prerażona podbiegła do okna i ujrzała, że Kai cały i zdrowy stał na chodniku. Zadzierał głowę do góry, jednak słońce raziło go w oczy,

dlatego musiał przyłożyć dłoń do czoła, żeby cokolwiek zobaczyć. Carmen zwróciła uwagę na to, że pokój nie znajdował się wcale tak wysoko, jak przypuszczała. W dodatku po prawej stronie umiejscowiona była stara, zardzewiała drabina.

– Dalej – jęknął znudzony. – Nie mamy całego dnia.

Wycofała się w głąb pokoju. Spuściła głowę i przypomniała sobie, że włożyła buty na obcasie. Pośpiesznie je ściągnęła i ponownie wychyliła się przez okno. Kai nadal stał zastygły niczym posąg. W końcu przerzuciła nogi przez parapet. Zanim złapała się drabinki, rzuciła przed siebie buty, które wylądowały na torsie chłopaka. Syknął przeciągle i rzucił pod nosem wiązaną przekleństw.

Po parunastu długich sekundach zeskoczyła z ostatniego szczebelka na ziemię. Była zaskoczona, że w ogóle to zrobiła. To było coś nowego. Nigdy wcześniej nie musiała wymykać się przez okno, by gdziekolwiek wyjść.

– Twoje pantofelki, kopciuszku – zażartował Kai, kłaniając się w teatralny sposób.

Podał jej buty, a Carmen natychmiast zaczęła je zakładać. W tym czasie Malachai ruszył przed siebie, stopniowo się od niej oddalając. Zanim podążyła za chłopakiem, po prostu na niego patrzyła. Powoli zaczynała to wszystko rozumieć. Łamał ją. Kawałek po kawałeczku. Wdzierał się do umysłu niczym zaraza, udowadniając, że zło nigdy wcześniej nie smakowało tak dobrze.

Z podziwem obserwowała stół, na którym pojawiała się coraz więcej jedzenia. Malachai zjadał się pizzą, przegryzał ją frytkami i popijał owocowym koktajlem. Był bardzo zaabsorbowany jedzeniem, przez co Carmen czuła się tam całkowicie niepotrzebna. Zaczęła uderzać wypiłowanymi paznokciami o blat, domagając się uwagi. Kai wreszcie uniósł głowę znad talerza, widocznie zirytowany tym dźwiękiem.

– Chcesz trochę? – spytał, ale nawet nie pofatygował się, by zakryć usta ręką. Odłożył nadgryziony kawałek pizzy na talerz i chwycił w dłonie burgera. Carmen miała ściśnięty żołądek i chociaż wiedziała, że powinna coś wreszcie zjeść, powstrzymała się przed tym. Zgarnęła tylko wisienkę z jego napoju i w ostentacyjny sposób włożyła ją do ust. Kai przez moment patrzył na nią jak zaczarowany. Kolor owocu idealnie współgrał z jej czerwonymi wargami. – Podobno dzielenie się jedzeniem buduje więzi. Słyszałaś o tym?

– Zdradzisz mi swój plan? – zmieniła temat, ignorując jego pytanie. Oparła brodę na rękę i zaczęła mu się przyglądać. Chciała go rozszyfrować, ale jego błyszczące oczy i lekki uśmiech świadczyły tylko o rozbawieniu. Przetarł dłonią usta, a sekundę później też wlepił spojrzenie w jej twarz.

– Jaki plan? – Udał zaskoczonego. – Nie mam żadnego planu.

– Raczej nie zabrałeś mnie tutaj, żebym patrzyła, jak się obżerasz.

– Może to nasza kolejna randka? – mruknął, poruszając brwiami. – Pamiętasz, co ci o niej mówiłem? – dodał, po czym cmoknął w powietrze. – Twoja szminka wygląda bardzo kusząco. Smakuje tak samo?

Carmen przełknęła ślinę, bo nagle zaschło jej w ustach. Przewróciła oczami.

– Malachai...

Momentalnie spoważniał. Zaciśnął usta, a jego szczeka się spięła. Carmen zdążyła zapoznać się z tą reakcją. Nie spodobało mu się, że tak go nazwała, ale mimo złości w niebieskich oczach nie skomentował tego. Oparł łokcie na stole, by pochylić się w jej stronę. Carmen zrobiła to samo, przez co dystans między nimi znacznie się zmniejszył.

– Może Holden odpowie mi na to pytanie? – zażartował.

Zgromiła go wzrokiem.

– Po prostu powiedz, co tu robisz.

– Widzisz faceta przy barze? – zapytał, przekręcając głowę w tamtą stronę. Carmen również powiodła tam wzrokiem. Niemal udławiła się śliną, gdy jeden z mężczyzn powoli się odwrócił, i bez wątpienia dojrzała w nim Bentleya Cole'a. Mogła się łudzić, że było inaczej, ale wyglądało na to, że stale ich obserwował. – Ktorego? – westchnęła, zerkając dyskretnie na Kaia, by upewnić się, że jej dziwne zachowanie nie wzbudziło w nim podejrzeń. – Widzę aż trzech.

Tym razem to Kai wywrócił oczami.

– Tego w garniturze, Carmen. To chyba oczywiste – westchnął z nutą kpiny w zniecierpliwionym głosie. Carmen zagryzła wargę, by powstrzymać się przed dogryzieniem mu. Znów zerknęła na agenta. Akurat unosił do ust szklankę z wodą, w której pływał plaster cytryny. Miała ochotę skrzywić się tak, jakby sama go zjadła.

– To Jeff Collins. Rozkręcił narkotykowy interes, więc robi nam konkurencję. Muszę się z nim dogadać. Ale ochrona nie dopuszcza do niego ludzi. W dodatku nie przepada za moim wujkiem – wytłumaczył pośpiesznie, nie wdając się w szczegóły. – Pewnie cię zaskoczę, ale tym razem naprawdę nie mam planu.

– Poważnie? – Zakryła usta dłonią. Chciała wyglądać na zaskoczoną. – Wielki i zły Malachai Yordan nie ma planu. Niemożliwe.

Mięśnie na jego twarzy ponownie się spięły, dzięki czemu wyglądał groźnie. Spojrzał na nią jak nigdy wcześniej. Jego oczy były ciemne i bez dobra. Niespodziewanie złapał ją za nadgarstek z taką siłą, że poczuła, jak jej skóra piecze, jakby palił ją od środka. Spróbowała wyszarpnąć rękę, ale przyniosło to odwrotny skutek. Kai jeszcze mocniej zaciśnął palce. Miała wrażenie, że za moment złamie jej kość.

Skrzywiła się z bólu.

Rzuciła spanikowane spojrzenie w kierunku Bentleya, ale widziała już tylko jego szerokie plecy. Pewne było to, że on jej nie pomoże. Jak zwykle musiała radzić sobie sama, bo faceci ciągle zawadzili.

– Malachai... – jęknęła. – To naprawdę boli.

Było w nim coś, co wskazywało na to, że nie odpuści, jakby utknął w jakimś strasznym miejscu z demonami, które każą mu robić nieprzyzwoite rzeczy. Czuła się tak, jakby niedokładnie przeczytała ostrzeżenie na etykiecie i włożyła rękę prosto do żrącego kwasu.

Pociągnął ją w swoją stronę tak, że niemal wyłożyła się na stole. Zaparła się wolną ręką, by nie polecieć jeszcze bardziej do przodu. Twarz Kaia znajdowała się bardzo blisko, tak blisko, że czuła, jak jego oddech porusza jej włosami. Zajrzał w oczy Carmen i dojrzał w nich strach.

Strach przed nim.

– Nie drwij ze mnie – powiedział, puszcżając jej rękę. Widziała dokładnie tę przemianę, kiedy do jego oczu powróciła iskierka autentyczności. – Nigdy.

Cofnęła się. Była zbyt zaskoczona, by coś odpowiedzieć, chociaż na usta cisnęło jej się milion słów. Poczowała się też lekko zawiedziona, ponieważ zaczęła wierzyć w to, że ta cała złość była tylko kolejną maską, którą zakrywał swoje cierpienie. Ale wtedy znów dojrzała w nim chłopaka, który prowadził ją na śmierć bez mrugnięcia okiem. Chłopaka, który postrzelił przypadkową osobę i nawet się tym nie przejął. Chłopaka, który z przyjemnością znęcał się nad innymi, tylko po to, by poczuć się lepiej we własnym ciele oraz głowie.

Zaczęła rozmasowywać obolałe, zaczerwienione miejsce. Dopiero wtedy wyraz twarzy Kaia złagodniał. Zerknął na nią z wyrazem bólu w oczach, ale szybko odwrócił wzrok, bo zrobiło mu się zwyczajnie głupio, a wzrok Carmen był tak palący, że niemal zostawił mu ognistą bliznę.

– Kurwa – syknął. Był zły na siebie za to, że kolejny raz zrobił coś szybciej, niż pomyślał. Za to, że znów odezwała się jego narwana, nieobliczalna strona. A wcale nie chciał taki być. Nie w stosunku do niej. Nie mógł tak szybko jej odstraszyć, bo coś w niej sprawiało, że pragnął obserwować, jak Carmen Clark płonie. Razem z nim. – Nie...

– Wiem. Nie chciałeś – dokończyła za niego z gniewem w głosie. Wbiła w Kaia spojrzenie, które kłuło niczym miliony igiełek. – Nigdy nie chcesz, a jednak zawsze to robisz.

Lęk kłębiący się w jej żołądku zniknął, ustępując miejsca złości. Naprawdę chciała w niego wierzyć, ale nieustannie udowadniał, że nie warto. Słuchał jej ze spuszczoną głową. Przypominał dziecko, które coś przeskrobało i grzecznie czeka na karę. Przypomniały mu się stare czasy, gdy rodzice żyli, a on odliczał sekundy do momentu, w którym znów poczuje się przez nich odrzucony.

– Nie dam sobą pomiatać, Kai.

Nagle podniósł podbródek i ściągnął brwi. Nie potrafił sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek wcześniej użyła zdrobnienia jego imienia. W jej ustach brzmiało ono dziwnie, jakby w ogóle tam nie pasowało.

Nagle wstała i zgarnęła z krzesła swoją kurtkę z zamiarem wyjścia. Kai nie chciał na to pozwolić. Była od niego niższa i miała krótsze nogi, a mimo tego poruszała się zdecydowanie szybciej. Dogonił ją dopiero przy wyjściu. Stanął przed nią, utrudniając przejście.

Nie tylko on jej zawadzał. Kątem oka wciąż widziała Cole'a. Rytmicznie stukał palcami o ekran telefonu, aż Carmen dostała wiadomość. Zerknęła ukradkiem na wyświetlacz. To on do niej pisał, nie przejmując się faktem, że obiekt jego obserwacji stoi parę kroków dalej. Tak blisko, że gdyby tylko chciał, mógłby przeczytać wiadomość.

*B.C.: Może zmienisz zdanie i wrócisz?*

– Poprawię się – mruknął w międzyczasie Kai ze smutną miną. – Proszę, pomóż mi.

Carmen zadarła głowę, by zobaczyć jego twarz. Nie zrobił na niej wrażenia. Była przekonana, że po prostu gra. Postawiła krok do przodu, próbując go wyminąć. W ostatniej chwili złapał ją za ramię, ale szybko puścił, gdy posłała mu ostrzegawcze spojrzenie. Znów sprawiła, że się wycofał. Jak skarcony pies.

– Dam ci spokój, jeśli mi pomożesz.

To była kusząca propozycja. Tylko że Carmen nie wiedziała, czy naprawdę tego chce.

– Dotknij mnie w taki sposób jeszcze raz, a znowu wbiję ci widelec – odezwała się po krótkiej ciszy. Powoli się do niego zbliżyła, żeby dokładnie ją zrozumiał. – Tym razem w miejsce, które bardziej zaboli i którego będziesz bardziej żałował – dodała i zalotnie mrugnęła do niego okiem. Uśmiechnęła się zuchwale. Jej tęczy zalała się.

Kai przyglądał się dziewczynie z lekko przechyloną głową. Na samą myśl o tym jego twarz

wykrzywiła się w nieprzyjemnym grymasie. Szybko jednak też się wyszczerzył, ponieważ dostrzegł w niej kolejne cechy, które zbliżały go do zrealizowania jego planu. Była zadziorna i nie bała się mu przeciwstawiać, a w jej oczach iskrzyła wrodzona pewność siebie.

– Och, błagam! Zrób to – jęknął błagalnie. – Widelce i ty to moje ulubione połączenie – zakpił, przejeżdżając językiem po wargach.

Przewróciła oczami. Miała ochotę odwrócić się i po prostu odejść, ale jednocześnie pragnęła tam zostać i zobaczyć, co się wydarzy. Nie rozumiała siebie. Kai był najbardziej irytującą osobą, jaką do tej pory poznała, i wciąż się dziwiła, jakim cudem jeszcze się go trzyma. Działo się z nią coś naprawdę dziwnego i trudnego do wytłumaczenia. I może łatwiej było jej żyć bez wyjaśnień, które mogłyby ją tylko pograżyć.

Już otwierał usta, by znów coś powiedzieć, ale w porę przycisnęła dłoń do jego warg.

– Odurzimy go – odpowiedziała, zmieniając temat. Nie była pewna, dlaczego akurat taki pomysł zrodził się w jej umyśle, ale i tak uśmiechnęła się dumnie. – Zgodzi się na wszystko.

Kai zmarszczył brwi, zastanawiając się, dlaczego sam na to nie wpadł. Kiwnął głową z uznaniem, objął ją ramieniem i pochylił się nad nią.

– Carmen Clark, jesteś geniuszem zła – szepnął jej do ucha. Zauważył gęsią skórkę, która pokryła kark dziewczyny, ale postanowił to zignorować, zamiast palnąć jakiś beznadziejny tekst. Wyprostował się. – Jak to zrobimy, partnerko?

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Rzuciłam pomysłem. To ty jesteś od brudnej roboty.

Malachai parsknął śmiechem.

– A wyglądam ci na kogoś, kto nosi przy sobie środki odurzające?

Niepotrzebnie o to zapytał. Może nie wyglądał, bo prezentował się ładnie oraz schludnie. Ale w przeciwieństwie do niej miał z tym do czynienia. Przez chwilę patrzył na nią z politowaniem. Później wsadził rękę w kieszeń i wyciągnął z niej niewielkie pudełeczko z jakimiś tabletkami. Carmen pytająco uniosła brwi.

– To tylko tabletki nasenne – wytłumaczył. – Na wypadek gdybym miał siebie dość – dodał i roześmiał się, jednak był to raczej wymuszony śmiech. Rudowłosa wyciągnęła rękę w jego kierunku, ale zanim położył na niej lekarstwo, mruknął: – Tylko nie przesadz. Chcę, żeby kontaktował.

Skinęła głową i schowała pudełeczko do kieszeni kurtki. W tej samej chwili akurat dojrzała, że Bentley płaci za swoje zamówienie. Z daleka skinął do niej głową, jakby się z nią żegnał, a potem bez skrępowania przemknął tuż obok. I tyle go widziała. Przeniosła wzrok na Kaia, by upewnić się, że wciąż niczego nie podejrzewa. Poprawiła bluzkę tak, by jej biust wyglądał ładniej, po czym wygładziła dłonią materiał spódniczki. Ruszyła do baru, ale w połowie drogi przystanąła i spojrzała na Kaia.

– Pilnuj mnie, Malachai.

Kai wczuł się w rolę na poważnie. Nie spuszczał z niej wzroku, jakby miała w sobie magnes, który nieustannie go przyciągał. Siedziała przy barze z nogą zarzuconą na nogę w towarzystwie mężczyzny w garniturze. To on mówił. Carmen tylko śmiała się, gdy sytuacja tego wymagała, i czasem poprawiała włosy, przenosząc je na prawe ramię. Wyglądała naturalnie i było w niej coś z kokietki. W niczym nie przypominała dziewczyny, która tylko udaje zainteresowanie.

Ale Kai w zasadzie patrzył bardziej na nią niż na niego. Drgnął, gdy ujrzał, jak łapsko mężczyzny łąduje na kolanie Carmen. Nie spodobał mu się ten widok, a fakt, że nie zaprotestowała, jeszcze bardziej go rozwścieczył. Powtarzał sobie, że tylko gra rolę, którą przecież sam obsadził, ale ta myśl nie bardzo pomogła. Zaciśnął palce na krawędzi stołu z taką siłą, że na jego dłoniach momentalnie wyostrzyły się niebiesko-zielone żyły. Odchylił głowę i wywrócił oczy do góry w taki sposób, że przez ułamek sekundy widać było zaledwie jego białka. Wydał z siebie dźwięk obrzydzenia i ponownie na nich spojrzał.

Ale ich już nie było. Zniknęli.

Podniósł się w ułamku sekundy, rzucając spojrzeniem dookoła, ale nigdzie nie zarejestrował burzy rudych loków. Zaklął tak głośno, że kilku klientów posłało mu zdegustowane spojrzenie. Był jednak zbyt zły, aby obdarzyć ich jednym ze swoich sztucznych uśmiechów, które miały wyglądać przyjaźnie.

– Brawo, Kai – jęknął, po czym uderzył się w czoło, chcąc ukarać się za to, że nawalił.

Musiał działać. Ekspresowo. W ciągu paru sekund zebrał myśli, uświadamiając sobie, że nie mogli się bardzo oddalić. W końcu stracił ją z oczu na krótki moment. Wbiegł na pierwsze piętro, gdzie znajdowały się pokoje hotelowe. Ale tam też ich nie znalazł. Liczył tylko na to, że zamknęli się w którymś z pomieszczeń, jednak ta wizja wcale go nie pocieszyła, a raczej zdołowała.

– Gdzie jesteś, Carmen? – westchnął sam do siebie, a następnie oparł się o balustradę i patrzył

w dół na obcych ludzi. Później zerknął na telefon. Nie miał żadnej nowej wiadomości. To mogło oznaczać dwie rzeczy: Carmen nic się nie stało lub wręcz przeciwnie. Wybrał jej numer, lecz odpowiedziała mu poczta głosowa. Ze złości cisnął komórką przed siebie, ale szybko się po nią schylił.

Nienawidził tego, że aż tak się zdenerwował. Miał być obojętny.

Nie potrafił racjonalnie myśleć oraz chłodno oceniać sytuacji. Złość zmieszana z adrenaliną rozsadzała jego żyły. Miał wrażenie, że zamiast krwi pojawił się w nich piasek. Im bardziej próbował się opowiadać, tym więcej czarnych scenariuszy pojawiało się w i tak ciemnym umyśle Kaia. Miał ochotę coś rozwalić, jednak zamiast tego włożył do ust gumę i zaczął ją natarczywie żuć.

I wtedy ktoś wciągnął go do jednego z wielu pokoi.

• • •

Z początku był zbyt zaskoczony, aby coś zrobić. Instynktownie napiął mięśnie, szykując się do ataku. Jednak kiedy dotarło do niego, co się stało, poczuł się tak, jakby potężny gład przygniatający klatkę piersiową zniknął. Popchnął drzwi butem, sprawiając, że zatrzasnęły się z hukiem. W pokoju panował półmrok, a przed nim stała Carmen. Cała i zdrowa. Nadzwyczaj radosna. Z tajemniczym błyskiem w zielonych oczach i uśmiechem stworzonym, by zniszczyć świat. Uśmiechem, za który warto umrzeć.

– Co tak długo? – spytał, udając obojętnego.

Nie mógł przecież dać jej do zrozumienia, że się przejął. Próbował wyglądać na znudzonego, ale uśmiech ulgi sam pchał się na jego usta. W końcu zrobił krok do przodu i bez ostrzeżenia złapał twarz dziewczyny w swoje dłonie, dokładnie jej się przyglądając. Jakby chciał dojrzeć każdy szczegół.

– Zrobił ci coś? – mruknął. Nie zauważył nic szczególnego. Nic, oprócz czerwono-fioletowych śladów na szyi dziewczyny, które sam spowodował.

– Dlaczego miałyby mi coś zrobić? – Zdziwiona nietypowym zachowaniem Kaia zmarszczyła brwi, po czym cofnęła się, przez co wpadła na drzwi od łazienki. Ta bliskość ją przytłaczała. Malachai rozumiał niemy przekaz. Jego ręce opadły swobodnie wzdłuż tułowia. – Nie jest w stanie nawet samodzielnie podnieść głowy.

Kai zajrzał w głąb pokoju. Jeff Collins leżał bezwładnie na łóżku z rękoma przywiązanymi do metalowych ram łóżka i luźno zawieszonym na szyi krawatem, prezentując się po prostu komicznie. Cały czas mamrotał coś niezrozumiałego pod nosem – może nawet był to jakiś nowy zmyślony język. Czasami nawet chichotał. Jego marynarka leżała na fotelu obok, a na stoliku znajdowały się pozostałości po drinkach, parę banknotów zwiniętych w rulon i samary z narkotykami.

– Co dalej? – Carmen stanęła obok chłopaka.

– Nie wiem – wyznał szczerze. Wzruszył ramionami i podrapał się po głowie. Carmen spojrzała na niego z politowaniem wymalowanym na twarzy. Próbował coś wymyślić, ale jego umysł zaciał się na momencie, w którym stracił ją z pola widzenia. I nawet gdy stała obok, nie potrafił o tym zapamiętać. – Rozbierzmy go.

– Co? – Zaśmiała się Carmen, niemal się krztusząc. Odczekała kilka sekund, ale Kai do niej nie dołączył. Zerknął na nią przelotnie, a w jego niebieskich oczach pojawił się diabeł. – Mówisz poważnie? Po co, do cholery, mamy go rozbierać?

– Tego też jeszcze nie wiem. Ale coś wymyślę.

Kai jako pierwszy ruszył się z miejsca. Stanął nad mężczyzną i przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, starając się zmusić do wykonania jakiegokolwiek ruchu. W końcu pochylił się nad nim, jednak nie był w stanie rozpiąć jego koszuli. Usłyszał głośne westchnienie, które wymuskięło się z ust Carmen. Spojrzał na nią w samą porę, by zobaczyć, jak przewraca oczami. Bez wahania zrobiła to, do czego on nie mógł się przekonać. Musiał tylko pociągnąć za rękawy koszuli i nogawki spodni, by Jeff Collins został zaledwie w kolorowych bokserkach, długich skarpetach i krawacie.

– Ugh – jęknął z niezadowolenia Kai, marszcząc nos. Bez problemu zadawał innym ból, ale ta na pozór nietrudna misja trochę go przerosła. – Nigdy nie sądziłem, że będę rozbierał jakiegoś grubasa dla własnych korzyści.

Odwrócił się i jeszcze raz rozejrzał się dookoła. Zgarnął ze stołu pozostałości po narkotykach oraz puste butelki po alkoholu i rzucił wszystko na łóżko. Przekreślił głowę, by obdarować Carmen spojrzeniem szerokich źrenic. Przejechał dłonią po włosach, starając się je ułożyć, a przy okazji cmoknął w powietrze.

– Dobra. Zrób mi z nim zdjęcie.

Carmen parsknęła śmiechem. I pobrzmiwało w tym autentyczne rozbawienie.

– Kręcą cię takie rzeczy? – wybełkotała przez śmiech. Spoważniała, kiedy zobaczyła, jak mięśnie na twarzy chłopaka się spinają, a zmarszczone brwi prawie łączą w jedną linię. Przypomniała sobie, że

nie powinna z niego drwić. Nawet jeśli wydawało jej się, że był w dobrym humorze. Nigdy nie mogła być go pewna, bo jego nastroje zmieniały się tak szybko i często jak w kalejdoskopie.

– Ty mnie kręcisz, Karmelku – mruknął uwodzicielsko i mrugnął do niej okiem. Jego głos był cichy, ale jednocześnie w niepokojący sposób chrapliwy. Nie skomentowała tego, chociaż poczuła, jak jej policzki stają się czerwone. Na szczęście w pokoju było na tyle ciemno, że Kai tego nie dostrzegł. – Ale tobą zajmę się później. Mamy ważniejsze rzeczy do roboty.

Wyciągnął z kieszeni telefon i rzucił go w jej stronę. Carmen, wykazując się dobrym refleksem, złapała go w powietrzu, a w tym samym czasie Malachai kucnął przy ledwie kontaktującym mężczyźnie. Aby nieco go ocucić, wylał na głowę Jeffa resztę wódki z butelki. Ostry zapach alkoholu wcisnął się głęboko w jego nozdrza, przypominając o złych rzeczach, jakie się działy, kiedy sam pił.

Carmen zrobiła zdjęcie, na którym Kai wyglądał tak, jakby krzyczał, a w dodatku unosił dłoń w charakterystycznym geście. Znak szatana. To do niego pasowało.

Wyprostował się, obszedł łóżko i zatrzymał się przy rudowłosej. Zabrał komórkę z jej rąk i przez kilkanaście sekund wlepił spojrzenie w zdjęcie. Skinął głową z uznaniem i bez słowa podziękowania znów stanął nad mężczyzną. Oparł zgiętą nogę na materacu i szarpnął Jeffa za włosy, zmuszając go do uniesienia głowy i skierowania oczu na jego twarz. Miał zaczerwienione białka i nieobecny wzrok, ale Kai postanowił to zignorować.

– Cześć, jestem Kai – powiedział z firmowym uśmiechem na ustach. – Widzisz to zdjęcie? – spytał, jednocześnie machając telefonem przed twarzą mężczyzny. – Byłoby szkoda, gdyby wyciekło do mediów. Na razie zatrzymam je dla siebie, ale wkrótce ci o tym przypomnę. A wtedy zrobisz wszystko, o co poproszę. Umowa stoi?

Mężczyzna nie miał siły odpowiedzieć, dlatego to Kai pokiwał jego głową, a potem puścił ją, przez co bezwładnie opadła z powrotem na materac. Zablokował telefon i wsadził go do kieszeni. Odwrócił się twarzą do Carmen, która przyglądała mu się z widocznym zainteresowaniem, dlatego mrugnął do niej okiem.

– Robota wykonana. Wychodzimy, Karmelku – poinformował. Wyminał dziewczynę, a gdy znalazł się przy drzwiach, uchylił je. Zanim jednak wyszedł, rozejrzał się dookoła. Dwóch ochroniarzy właśnie wchodziło po schodach, ale byli zbyt zajęci rozmową, by zauważyć, że ktoś wymykał się z pokoju ich szefa. – Jesteś naprawdę świetną partnerką w zbrodni.

– Po co właściwie to zrobiliśmy? – spytała. Nie była pewna, czy dla siebie, czy dla agenta Cole'a, który cały czas podążał za nią jak cień.

– Collins jest konkurencją dla Ivana – zaczął Kai, zarzucając rękę na ramiona Carmen, by po krótkiej chwili przycisnąć ją do siebie. Przechylił lekko głowę i zahaczając wargami o ogniste włosy, odpowiedział: – Upiekę dwie pieczenie na jednym ogniu. Pożegnamy nie tylko Ryana, ale również Jeffa. To oni wpadną. My będziemy czyszczyć.

Malachai ruszył naprzód, od razu skręcając w lewo. Przeszedł kilka kroków, a potem odwrócił się przez ramię i zobaczył Carmen stojącą w miejscu ze spojrzeniem utkwionym gdzieś przed sobą. Zawrócił, złapał dziewczynę za rękę i pociągnął w swoją stronę, ale nawet nie drgnęła. Jakby zamieniła się w kamień.

– Co ty wyprawiasz? – warknął. Irytacja powoli wdzierała się do jego żył.

– Obserwują nas – odpowiedziała szybko, po czym oblizwała usta, które zrobiły się nadzwyczaj suche. Za to jej ręce zaczęły się pocić. Czują upał, który rozpalał ją od środka. Była pewna, że ich przejrzeliby. Dopiero wtedy Kai zauważył postawnych ochroniarzy, którzy coś między sobą szeptali. Tych samych, którzy wcześniej wchodziłi po schodach. I rzeczywiście, patrzyli prosto na nich.

– Karmelku, a widziałaś nas? Jesteśmy nieziemsko piękni – zażartował, starając się rozładować atmosferę. Jego ego było niemal namacalne. Widziała, jak rosło i prawie nie mieściło się w pomieszczeniu.

W innych okolicznościach pewnie by coś odpowiedziała, jednak za bardzo skupiła się na fakcie, że mężczyźni ruszyli w ich kierunku. Jej umysł zaczął działać na najwyższych obrotach. Pod wpływem impulsu zacisnęła palce na koszulce Malachaia i pociągnęła go za sobą, aż wpadła na równoległą ścianę, a on odbił się od jej klatki piersiowej.

– Jezu, co ty wypra...

– Graj – szepnęła wprost w jego usta, nie pozwalając mu dokończyć. Kai zmarszczył brwi, ponieważ najzwyczajniej w świecie nie potrafił rozszyfrować, co ma na myśli. – Graj, Malachai. Przecież jesteś w tym mistrzem.

Nie zdążył zareagować na to, że kolejny raz wypowiedziała to przekłete imię.



Kawałek po kawałeczku prezentowała swoje wdzięki. Odgarnęła włosy z ramion, przez co opadły na jej plecy. Kai patrzył na obojczyki dziewczyny, które rozpościerały się od gardła do ramion niczym skrzydła. Były jak ptak przytrzymany przez skórę. Wtedy dotarło do niego, co chodziło jej po głowie. Nie musiała prosić go dwa razy. Przejechał językiem po wargach, by później naciągnąć mięśnie szyi. Zrobił krok do przodu, dzięki czemu jakikolwiek dystans między nimi zniknął. To było tak otępiające, że Carmen mimowolnie wstrzymała oddech.

– Ta spódniczka powinna być taka krótka? – szepnął delikatnym, niemal uwodzicielskim tonem, sunąc palcami po udzie dziewczyny. Dokładnie tak, jakby chciał zapamiętać gładkość jej skóry. Poczul drganie napinanych mięśni, a to sprawiło, że zupełnie przestał panować nad swoimi myślami.

Carmen natomiast miała wrażenie, że za moment wybuchnie. Pod wpływem chwili zarzuciła mu rękę na szyję, a drugą zacisnęła na jego ramieniu. Tak mocno, jakby obawiała się, że za moment runie na podłogę. W rezultacie szczęka Kaia lekko drgnęła, gdy powoli przelatywał ślinę. Jego usta niemal stykały się z jej ustami. I gdy dłoń chłopaka zatrzymała się pod materiałem jej spódniczki, coś w niej pękło. Ten dotyk mógłby eksplodować niczym pole minowe, burząc ostatnią ścianę między nimi.

Nabrała gwałtownie powietrza, jakby za moment miała się udusić. Napięcie, jakie nad nimi wisiało, doprowadzało ją do szału. Miała wrażenie, że przez jego bliskość powoli tracił zmysły. I może tak właśnie było, ponieważ mimo tego, że starała się to zatrzymać, wspięła się na palce i bez zastanowienia złapała w zęby wargę Kaia.

W tej samej chwili dobiegł do niej donośny głos jednego z ochroniarzy, który sprawił, że momentalnie oprzytomniała i zrozumiała, do czego się posunęła.

– Załatwcie sobie pokój.

Na te słowa Malachai się cofnął. Był całkowicie wyprostowany i wyglądał na bardzo spiętego. Może trochę zaskoczonego. W dodatku poczul metaliczny smak w ustach. Przejechał palcami po wardze i zorientował się, że krwawi. Syknął przez zaciśnięte zęby w taki sposób, jakby oparzył się w język.

– Czy ty mnie właśnie ugryzłaś? – spytał z powagą.

Carmen wolałaby zapaść się pod ziemię niż musieć na niego patrzeć. Czuli się tak, jakby została złapana z ręką w słoiku z ciastkami. A jednak nie oderwała od niego wzroku. Oblizwał krew z ust. Wyglądał jak boskie rozgrzeszenie. Nie mogła myśleć, że jest bezpieczna, bo bez problemu mógłby zabrudzić krwią również jej wargi.

– Tylko żartowałem, mówiąc, że następnym razem cię pocałuję. Ale widzę, że wzięłaś to sobie do serca. – Mięśnie na jego twarzy zelżały. Nie przypominał już kamiennego posągu. I nawet się roześmiał. Śmiał się coraz głośniej i głośniej, jakby sens żartu dotarł do niego z opóźnieniem. Dłonią zgarnął rude kosmyki włosów za ucho Carmen. – Teraz wiem, że kiepsko całujesz, więc już mi się nie podobasz.

Carmen zamrugowała gwałtownie. Nie była pewna, czy naprawdę to powiedział.

– Nie bądź dupkiem, dupku – odpowiedziała i uderzyła go w bark. W pierwszej kolejności skupiła się na jego początkowej wypowiedzi, a potem odtworzyła w myślach dalszą część. – Czekaj. Podobam ci się?

– Nie zauważyłaś? – westchnął zawiedziony. – Podoba mi się twoja ciemna strona... – przerwał, by ponownie chwycić między palce kosmyki jej rudych włosów. Mielił je przez chwilę w dłoni, a potem przejechał końcówkami po jej twarzy. – Szkoda, że tak rzadko ją pokazujesz. Do twarzy ci z rogami.

Pochylił się ku niej, by na koniec szepnąć jej do ucha:

– Poza tym bardzo lubię karmel, wiesz? Szczególnie tak gorący jak ty.

Odsunął się na odległość ramion i uśmiechnął się, dumny z siebie. Traktował ten tandetny tekst bardziej jako żart, dlatego roześmiał się, gdy zobaczył zdezorientowanie malujące się na twarzy Carmen.

– Ale teraz to już nieważne. Co powiesz na przyjaźń? To może być początek czegoś wspaniałego – zakończył na jednym tchu. Powiedział to tak szybko, że większość słów zlała się w jedną całość. Carmen nie wiedziała, jak powinna się zachować. Słowa Malachai były całkiem miłe, ale jednocześnie wbiły jej szpilę. Zrozumiała, że całkowicie przepadła, gdy niepewnie i zupełnie nieplanowanie skinęła głową.

– Chodź, przyjaciółko. Kupię ci drinka. Zasłużyłaś – mruknął, a następnie zarzucił ramię na jej szyję i mocno cmoknął ją w policzek.

Carmen poczuła, jak cała drży od środka, ale zrobiła wszystko, aby nie dać po sobie poznać, że Malachai Yordan po prostu ją pokonał.

I nawet nie musiał się starać.

W barze na dole znajdowało się zdecydowanie więcej ludzi niż wcześniej. Dla niektórych właśnie rozpoczynała się impreza. Kai próbował zwrócić na siebie uwagę kelnera, uderzając palcami w blat, jednak zewsząd napierający na niego ludzie to utrudniali. Carmen stała za nim ze spojrzeniem utkwionym w profilu jego twarzy, która powoli przybierała zirytowany wyraz. Miała wrażenie, że Malachai za moment nie wytrzyma, przez co zrobi coś głupiego i nieodpowiedzialnego.

Carmen patrzyła na niego i próbowała odgadnąć, co tak bardzo ją do niego przyciągało. Może chodziło o ten mrok, który tkwił w nim równie głęboko, co w niej. Albo o fakt, że potrafił zabrać ją w miejsca, do których nikt inny nie umiał jej nawet doprowadzić. W każdym razie nie miało to większego związku z jego wyglądem – z ciemnymi włosami, smutnymi oczami i uśmiechem diabła, choć skłamałaby, gdyby uznała go za nieatrakcyjnego. Bardziej wiązało się to jednak z jego bezpośredniością; z tym, jak łatwo przychodziło mu życie na własnych zasadach oraz jak bardzo nie dbał o opinię innych.

Podobnie jak ona był fałszem, ciągnącymi się w nieskończoność kłamstwami. Rzuconą dobrej duszy na ratunek liną, która pękła w nieodpowiednim momencie.

Z zamyślenia wyrwało ją mocne szarpnięcie. Ktoś złapał jej nadgarstek i pociągnął w swoją stronę. Na moment straciła równowagę, ale jakimś cudem nie upadła na podłogę. Była całkowicie zdeorientowana. Włosy opadły jej na twarz, a gdy je odgarnęła, zobaczyła przed sobą potężny męski tors.

Wiedziała, że to oznacza kłopoty.

Uniosła wyżej głowę, żeby ujrzeć coś więcej. Jeden z ochroniarzy stał kilkanaście centymetrów od niej. Przewyższał ją o jakieś trzydzieści centymetrów i był od niej co najmniej dwa razy szerszy. Czuli się przy nim malutka – jak mrówka, którą z łatwością mógłby zdeptać. Przełknęła nerwowo ślinę. W stresie nie potrafiła zdecydować, czy powinna dalej stać w miejscu, czy próbować uciekać.

– To ty – mruknął niskim, trochę przerażającym głosem. – To ty byłaś dzisiaj z szefem. Pójdiesz ze mną. Wyjaśnimy to.

Rozpaczliwie zerknęła przez swoje ramię. Kai pochylał się właśnie nad barem i szeptał coś do barmana. Po minie chłopaka Carmen wywnioskowała, że nie były to miłe słowa. Musiała więc działać sama. Nie mogła przecież liczyć na to, że Malachai zawsze będzie w stanie ją obronić. W końcu umówili się, że po tym wszystkim zostawi Carmen w spokoju. I kiedy ta myśl w nią uderzyła, zrozumiała, że wcale nie chce, aby to się stało.

Zresztą Malachai Yordan nie był jej ratunkiem, tylko zgubą.

Spuściła wzrok, próbując wymyślić wspaniały plan ucieczki. Zatrzymała wzrok na swoich butach i wtedy w umyśle dziewczyny zaświeciła się zielona lampka. Podniosła nogę i z całej siły, jaką w sobie zebrała, nadepnęła mężczyznę, wbijając obcas w jego śródstopie. Syknął z bólu i puścił rękę Carmen, a ona automatycznie się wycofała. Przewaga, którą osiągnęła, nie trwała zbyt długo. Ochroniarz szybko się otrząsnął i niczym czołg ruszył za nią.

– Ty kurwo! – ryknął. – Teraz inaczej sobie pogadamy. Może nawet się zabawimy.

Carmen skuliła się w sobie, kiedy puścił do niej oczko. Bardzo wolno stawiała kroki w tył, aż wpadła na czyjeś plecy. Miała wrażenie, że jej serce za moment wyjdzie przez gardło – tak bardzo się zestresowała. Mężczyzna wyciągnął wielkie łapsko, by ponownie ją chwycić, ale w tej samej chwili Kai zacisnął palce na jego nadgarstku.

– Sorka. Co powiedziałeś? – rzucił ze spokojem. Na ustach szatyna malował się przyjazny uśmiech, jednak Carmen wiedziała, że to była tylko maska, pod którą kryła się masa negatywnych emocji. Fala uczuć, które za moment mogły eksplodować z siłą bomby atomowej i tak samo jak ona pochłonęłyby wszystko dookoła.

– Dobrze słyszałeś – burknął ochroniarz, skupiając całą uwagę na Malachaiu. Był od niego wyższy i znacznie postawniejszy, ale Kai wyglądał tak, jakby w ogóle nie robiło to na nim wrażenia. Cmoknął lekceważąco w powietrze.

– Fakt – mruknął. – Słyszałem cię, ale mój mózg nie przetwarza tyłu głupot naraz.

– Zejdź mi z drogi – sapnął mężczyzna niczym lokomotywa. Lekko odepchnął Kaia, sprawiając

tym samym, że chłopak wpadł na blat, zrzucając na podłogę szklanki.

I to był błąd.

Malachai wyprostował się i nastroszył jak paw. Ściągnął łopatki, jednocześnie rozciągając mięśnie szyi. Coś przeskokowało w jego karku, ale nawet się tym nie przejął. Wydawało się, że wpadł w trans. Całkowicie się wyłączył. Zaciśnął usta i przymknął powieki na ułamek sekundy. Kiedy ponownie otworzył oczy, Carmen przestraszyła się tego, co w nich zobaczyła.

Były pełne zła.

– Stań za mną, Carmen – szepnął tak, że tylko ona mogła to usłyszeć. – Teraz.

Wykonała jego polecenie. Resztę tej sceny oglądała zza jego pleców, które w tamtym momencie wydawały się najbezpieczniejszym miejscem. Wszystko działo się bardzo szybko, jakby ktoś nagle przyspieszył czas. Carmen miała wrażenie, że Kai przez ten krótki moment dokładnie to zaplanował, ponieważ każdy jego ruch wydawał się w pełni przemyślany. Nie działał pod wpływem chwili.

Zgarnął z blatu butelkę szampana, którą ktoś zamówił, a potem rozbił ją z hukiem tak, że w jego dłoni została zaledwie szyjka. Zaciśnął na niej palce. Jeden krok wystarczył, by zbliżyć się do mężczyzny tak, że bez problemu złapał go za kark, zmuszając tym samym do nachylenia się. Bez wahania przyłożył szkło do gardła ochroniarza.

Carmen odniosła wrażenie, że przestała oddychać. Spojrzenia klientów skakały z niej na dwóch chłopaków. Zrobili niezłe widowisko. Każdy zastanawiał się, jak to się potoczy, ale nikt nie miał odwagi, aby to przerwać. Ludzie szeptali między sobą, obstawiając wygranego – nieprzewidywalnego szatyna z rządną mordą w oczach bądź wielkiego ochroniarza.

– Dawno nie składałem obietnic – powiedział Kai, przekręcając głowę w lewą stronę. Niespodziewanie mocniej przycisnął butelkę do szyi mężczyzny, delikatnie rozcinając skórę. Z rany wypłynęła strużka krwi. Usłyszał ciche syknięcie. – Ale przysięgam, tknij ją jeszcze raz, a poderżnę ci gardło z uśmiechem na ustach. A potem wykąpię się w twojej nędznej krwi.

Malachai zrobił krok w tył i powoli zabrał ręce. Szyjka butelki upadła na podłogę i poturlała się pod nogi gapiów. Przestał się ruszać. Zastygł niczym posąg. Po prostu patrzył na obcego mężczyznę, jakby próbował odczytać z jego twarzy, czy na pewno się zrozumieli. Drgnął dopiero wtedy, gdy poczuł na sobie dłoń Carmen.

Spuścił wzrok w samą porę, by zobaczyć, jak zaciska palce na materiale kurtki. Widział, że była roztrzęsiona, a to jeszcze bardziej wyprowadziło go z równowagi. Zamknął oczy, powtarzając w głowie przeklętą datę śmierci rodziców. Dziesiąty czerwiec dwa tysiące trzynastego roku. Próbował się w ten sposób uspokoić.

– Malachai – szepnęła. Obserwowała jego twarz z obawą, że to jeszcze bardziej go zdenerwuje. Nie potrafiła jednak zwrócić się do niego w inny sposób. To było silniejsze od niej. Zauważyła tylko, jak mocniej zaciśnął powieki. Tym razem jednak wydawał się spokojniejszy.

– Powiedz to jeszcze raz – odpowiedział. – Powiedz moje imię.

Carmen była zdezorientowana. Nie rozumiała, do czego to zmierza. Mimo obaw kolejny raz wypowiedziała to beznadziejne imię składające się z ośmiu liter. I od tej chwili już wiedział. Nic nie było takie samo. Wszystko się zmieniło, a droga powrotna runęła w gruzy.

Otworzył oczy. Sztorm w nich natychmiast ustał. Ciemne chmury rozeszły się, ukazując błękitne niebo. Obserwowała jego przemianę z zafascynowaniem. Malachai był jak kameleon, który zmieniał kolor w zależności od okoliczności. Nigdy nie dało się rozszyfrować jego intencji.

Niespodziewanie pociągnął Carmen za sobą w stronę wyjścia. Nim jednak przekroczył próg, odwrócił się i rzucił luzno:

– Pozdrów szefa. Kiedy wróci do rzeczywistości.

Carmen puściła jego rękę, gdy tylko znaleźli się na zewnątrz. Pogoda zlała się z jej nastrojem. Zaczęło padać. Duże srebrne krople spadały na jej policzki, brodę i usta, gdy zadarła głowę ku niebu. Powietrze było rześkie i wilgotne, dzięki czemu mogła znów swobodnie oddychać. Bez słowa brnęła przed siebie tak szybko, jakby za moment planowała zacząć biec jak maratończyk. Potrzebowała przestąpienia.

– O matko – sapnął Kai, starając się dorównać jej kroku. – Jakim cudem tak szybko chodzisz? – podniósł głos na wypadek, gdyby przez dzielącą ich odległość miała go nie usłyszeć. Przystanęła, wciąż podświadomie wściekła. Miała wrażenie, że woda, która lała się z nieba, prędko wyparowywała na jej rozgrzanym ciele.

– Bo jestem zła – westchnęła. Zamknęła oczy i przycisnęła palce do skroni. Czowała pod nimi pulsujące żyły, przez które nie potrafiła pozbierać myśli.

– Zła? – Zmarszczył brwi w konsternacji. – Właśnie zrobiłem dobry uczynek i cię uratowałem, a ty jesteś zła? Myślałem, że to ja jestem skomplikowany. – Podrapał się po karku i pokręcił głową. Powoli udzielało mu się jej nastawienie. A to nie zwiastowało niczego dobrego.

– Groziłeś mu – powiedziała cicho.

– Tak, bo co innego mogłem zrobić? Ty albo on, Karmelku. Tak działa ten świat. Myślisz, że puściliby cię wolno? – Nie kontrolował się, dlatego się roześmiał. Postawił krok do przodu i lekko się do niej pochylił. – Zrobiliby z tobą rzeczy, o których nawet ci się nie śniło. I wiesz co? Tam na pewno nie znalazłby się Holden, żeby ratować ci dupę – mruknął. W jego głosie pojawiła się nuta zdenerwowania. Skrzyżował ręce na torsie. – Wystarczy „dziękuję”.

Prychnęła pod nosem. Nie zamierzała mu dziękować.

– Następnym razem po prostu cię zostawię – dodał, gdy zorientował się, że nie uzyska od niej wyczekiwanej odpowiedzi. Schował dłonie w kieszenie spodni. – Będę miał jeden problem z głowy. Albo wiesz co? Zróbmy to teraz.

Uśmiechnął się głupkowato. Złapał Carmen za rękę i zaczął ciągnąć ją z powrotem do budynku. Nawet nie oglądał się za siebie, choć potykała się o własne nogi, gdy za wszelką cenę starała się go zatrzymać. Była jak marionetka w dłoniach lalkarza, który przygotował dla niej specjalne show.

– Przestań, Malachai! – krzyknęła wreszcie. Przystanął tak gwałtownie, że wpadła na jego plecy. Zerknął na nią przez ramię i, wciąż się szczerząc, powiedział:

– Co tam mamrociesz? Jednak nie chcesz? – Zaniósł się śmiechem, co sprawiło, że okropnie się wściekła. Patrzył na nią z uniesioną brwią i czystym rozbawieniem wymalowanym na twarzy. – Dobra. Wystarczy buziak w geście podziękowania – mruknął, wskazując palcem na swój policzek. Nawet się pochylił, ale Carmen przycisnęła wolną dłoń do jego szczęki i przekreśliła twarz chłopaka w drugą stronę.

Puścił ją, głośno rechocząc. Poprawił rękaw kurtki, który zsunął się z jej ramienia.

– I tylko tyle masz do powiedzenia? Nic więcej?

Nie rozumiał, dlaczego tak na niego naskoczyła. Przecież nie zrobił nic złego. Próbował tylko jej pomóc – na swój własny, popapwany sposób. Ruszył w kierunku rudowłosej, chcąc jeszcze zmniejszyć dzielącą ich odległość. Deszcz zacinął coraz bardziej – wpadał mu do ust i utrudniał widoczność.

Nie potrafił się skupić, kiedy niebo spadało mu na głowę.

– Dobra, chciałbym coś dodać – powiedział z uśmiechem, którego nie potrafiła rozszyfrować. Patrzyła na niego, oczekując chociaż odrobiny skruchy, ale nic takiego nie dostała.

– *Oops... I did it again* – zanucił, naśladując kobiecy głos, ale średnio mu to wyszło. Zachichotał, jednak nieważne, jak głośno się śmiał, zawsze dławił go smutek.

Carmen poczuła, jak zalewa ją złość. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale natychmiast je zamknęła, ponieważ dostała nową wiadomość. Zerknęła na ekran telefonu, chociaż padał na niego deszcz. Odczytała treść i przez chwilę stuknęła paznokciami po wyświetlaczu. Odgarnęła włosy na plecy. Zerknęła przelotnie na Kaia, ale szybko odwróciła spojrzenie.

– Muszę wracać – wyjaśniła, chociaż Kai nie oczekiwał tłumaczeń. Liczyła na to, że nie będzie ciągnął jej za język, a w zamian pozwoli, by odeszła. Tak jak się umawiali. Zauważyła, jak coś w oczach chłopaka załśniło i już rozchyłał usta, by coś powiedzieć, ale mu przerwała, skutecznie gasząc jego zapal. – Sama.

– To raczej nierozsądne, żebyś wracała sama o tej godzinie – burknął. Wyglądał na urażonego. Wcisnął dłonie do kieszeni spodni i lekko się zgarbił. – Ten świat jest pełen pojebów gorszych ode mnie.

Powstrzymała się od śmiechu, ponieważ na tamten moment nie była w stanie wyobrazić sobie kogoś gorszego od niego.

– Zamówiłam taksówkę. Poradzę sobie – odpowiedziała z miłym uśmiechem na ustach, ale Kai tego nie kupił. Nie rozumiał, co się właśnie działo. Przejechał dłonią po włosach, które robiły się coraz bardziej mokre. – Miałaś dać mi spokój, pamiętasz?

Nie wiedziała, dlaczego to powiedziała, bo kilkanaście minut temu nie chciała nawet o tym myśleć. Te słowa w jakimś stopniu w niego uderzyły. Kiwnął głową i zagryzł wargę, przez co rana na nich ponownie się otworzyła. Nie pofatygował się, by zetrzeć krew z ust, bo mieszała się z deszczem i spadała na ziemię.

Chwilę później obok nich zatrzymała się taksówka. Carmen bez słowa wsiadła na tylne siedzenie, podając kierowcy odpowiedni adres. Nim jednak ruszyli z miejsca, Kai zapukał w szybę, pokazując, by kierowca ją opuścił.

– Dowieź ją bezpiecznie na miejsce – powiedział. Wyciągnął z tylnej kieszeni pomięte, trochę mokre pieniądze i dał je kierowcy. Odsunął się i patrzył, jak odjeżdża, czując, że znów ucieka w głąb sie-

bie.

A gdy to się działo, zawsze odkrywał w sobie kolejne piętra piekła.

• • •

Skłamała.

Tak naprawdę nie wracała do domu.

Planowała wreszcie się zabawić, by chociaż na moment zapomnieć o przytłaczającym ją świecie. Chciała zaledwie na parę chwil zapomnieć o chaosie, jaki zapanował w jej życiu, odkąd pojawił się w nim Malachai. Zamierzała chociaż przez moment być zwykłą dziewczyną. Pragnęła wymazać z umysłu zatrute niebieskie oczy, które nieustannie o sobie przypominały.

I na chwilę naprawdę o nich zapomniała, gdy ktoś niespodziewanie pociągnął ją za rękę, utrudniając wejście do klubu. Wpadła w sieć zarzuconą przez brązowe oczy Bentleya Cole'a. Z wrażenia oparła się o ścianę, ciężko oddychając, bo szczerze się wystraszyła. Stał przed nią, kilka kroków dalej, i był w każdym calu rzeczywisty.

– Jak miło znów cię widzieć, Carmen.

Łagodny głos Bentleya tylko potwierdził, że sobie tego nie wyobraziła. Złękniona przesunęła spojrzeniem po najbliższej okolicy, w duchu licząc na to, że nigdzie w cieniu nie kryje się Malachai. Bo jeśli ją rozszyfruje, tym razem naprawdę skończy martwa. Więcej litości już jej nie okaże – cały limit wyczerpała za pierwszym razem.

– Zawsze osobiście pilnujesz informatorów? – wydusiła wciąż w szoku.

Bentley machnął ręką.

– Nah. Ty jesteś wyjątkiem – odpowiedział swobodnie, wlepiając w nią spojrzenie brązowych oczu. I nawet się przy tym uśmiechnął, dzięki czemu wreszcie wyglądał na wyluzowanego. – To źle, że chcę mieć cię na oku? Dla bezpieczeństwa. – Jego ton jak zwykle był spokojny i właśnie z tego powodu potrafił nieźle zirytować. W dodatku mrugnął do niej zalotnie. Gdyby ktoś spojrział na nich z boku, wyglądałoby jak para dobrych znajomych, która może nawet ze sobą flirtuje. Nic nie wskazywałoby na to, że prowadzą konspiracyjną rozmowę.

To właśnie pomyślała Sybil, gdy wysiadając z gracją z taksówki, ujrzała rudą lisicę w towarzystwie przystojnego mężczyzny. Carmen również dojrzała ją w mroku i momentalnie poczuła, jak jej mina diametralnie zmienia się w krzywy grymas. Musiała działać szybko. Wciąż istniała nadzieja, że wcale nie nawiązały krótkiego kontaktu wzrokowego, że tylko jej się wydawało. Niewiele myśląc, zacisnęła palce na białej koszuli Bentleya i pociągnęła go głębiej w cień. Ostatni raz obejrzała się podejrzliwie za siebie.

– Myślisz, że nas widziała? – szepnęła dyskretnie.

– Kto? – zdziwił się agent Cole.

– Sybil! – podniosła nieco głos, jakby dzięki temu Bentley mógł szybciej zrozumieć. Z emocji wyrzuciła ręce w powietrze. – Ona... buja się z Kaiem. Co, jeśli...

– Wymyślisz coś – zbył ją krótko, po czym wrócił do interesującego go tematu: – Jak wam poszło? Misja zakończona sukcesem?

Nie chciała mówić nic na głos, żeby sobie nie zaszkodzić. W zamian skinęła lekko głową, choć może nie powinna od razu odpowiadać zgodnie z prawdą. Powinna zatrzymać coś dla siebie, żeby wreszcie mieć asa w rękawie, którego może wykorzystać w niekomfortowej dla siebie sytuacji, ponieważ do tej pory wszyscy wokół mieli coś, czym mogli ją szantażować, a ona przez cały ten czas nie miała nic sensownego.

– Zdradzisz coś więcej? – ciągnął ją za język.

– Kai chce nawiązać współpracę z jakimś... Ehm... Collinsem? – powiedziała niepewnie.

– Zaskakujące – sapnął agent Cole z uznaniem. – Działa za plecami Ivana?

– Mówiłam – westchnęła z irytacją. Zrozumiała, że może Bentley nie słuchał jej tak uważnie, jak myślała. Wyłapywał tylko to, co miało dla niego znaczenie. – Jest lojalny. Nie wystawi swoich.

Agent kiwnął głową na znak, że przyswoił przekazane informacje.

– Dowiesz się, jak zamierzają działać? Gdzie i kiedy planują zrobić przerzut? – zapytał, choć użył przy tym tonu nieznoszącego sprzeciwu, przez co Carmen odniosła wrażenie, że nie ma żadnego wyboru. Przeknęła ślinę, po czym zacisnęła usta w wąską linię. Znowu odpowiedziała mu jedynie milczeniem i dyskretnym skinieniem głowy.

Agent Cole przesunął się w bok, usuwając się z drogi.

– Miłej zabawy, Carmen.

Uciekła najszybciej, jak się dało. Przesunęła się przez tłum ludzi i dotarła do łóżka. Jednak już z daleka nie spodobało jej się to, co ujrzała. Oprócz nieszczęsnego Camerona, który miał zniknąć z jej

życia, Holdena, którego unikała, oraz Cartera, który akurat niczym jej nie podpadł, przy stole siedział ktoś jeszcze. Był zwrócony do Carmen plecami, ale od razu go rozpoznała. Przez dziesięć sekund zapatrzyła się na dzinsową kurtkę oraz krócej przystrzyżone z tyłu, ciemnobrązowe włosy chłopaka. A potem spróbowała się wycofać, ale Cameron ją dostrzegł i natychmiast do niej pomachał.

W jakim uniwersum ona żyła?

Nie miała innego wyjścia. Z kwaśnym uśmiechem na ustach zatrzymała się tuż przy ich stoliku. Na początku posłała bratu gniewne spojrzenie z nadzieją, że James wyczyta z jej oczu, jak bardzo jest zła. Ona bowiem widziała w jego wzroku nieme przeprosiny, jednak nie wierzyła w to, że naprawdę mu przykro; bardziej stawiała na to, że znów czegoś od niej chce. James nie rozgryzł nerwowego zachowania Carmen. Wzruszył beztrosko ramionami i uśmiechnął się niewinnie.

Na Holdena wołała nie patrzeć, bo to wiązało się z tym dziwnym uczuciem w klatce piersiowej, które uniemożliwiała jej oddychanie. Nie miała też czasu przyjrzeć się Carterowi, ponieważ Kai odchylił do tyłu głowę i wlepił w nią swoje spojrzenie.

Bardzo szybko pożałowała, że w ogóle popatrzyła w jego kierunku, ponieważ uśmiechał się tak, jakby właśnie z nią wygrał, a jego oczy lśniły w świetle kolorowych lamp. Obecność Malachai kolidowała z jej planem. Nie mogła o nim zapomnieć, jeśli był obok.

– Cześć, przyjaciółko – powiedział głośno i wyraźnie, by jego głos nie został przyćmiony przez muzykę. Obliznął usta, nawet na sekundę nie spuszczać z niej oka. – Tęskniłaś?

Carter spojrzał najpierw na Carmen, a potem na Kaia, i zrobił zamyśloną minę. Przyjaciółko? Co to w ogóle miało znaczyć? Wystarczyło, że zerkał na nich zaledwie przez parę sekund, by wiedzieć, że przyjaźń między nimi nie miała prawa istnieć. Mogli być śmiertelnymi wrogami lub idealnymi partnerami. Nic pomiędzy.

Kai w tym czasie poklepał wolne miejsce obok siebie i rzucił w eter:

– Siadaj, Karmelku. Dzisiaj twój brat stawia kolejki!

To nie mogło być prawdą. Carmen za dobrze знаła Camerona, by w to uwierzyć. Dobrowolnie by się na to nie zgodził. Zdziwiona powiodła wzrokiem po podświetlonym kwadratowym stoliku. Carter właśnie odkładał swój kieliszek, później to samo zrobili Holden oraz James. Kai miał przed sobą tylko pustą szklankę.

– Prawda, James? – spytał Malachai, a kiedy zamiast pozytywnej odpowiedzi otrzymał tylko zaskoczone spojrzenie Camerona, klepnął go w plecy. Tak mocno, że ledwie udało mu się utrzymać alkohol w ustach. Wreszcie zmusił się, by kiwnąć głową, co wywołało na ustach Kaia zwycięski uśmiech. Nagle zmienił nastawienie. Zarzucił ramię na barki Jamesa, przyciągnął go do siebie i mruknął: – Super, że się zgadzamy. A teraz spytaj siostry, czego się napije.

– Robaczku, na co masz ochotę?

Malachai wymyślił sobie niezły teatrzyk.

Ale Carmen nie chciała brać w nim udziału.

Przewróciła oczami z zażenowania, a to tylko wywołało na ustach Kaia kolejny dumny uśmiešek. Szarpnęła Malachai za kołnierzyk kurtki z taką siłą, że niemal spadł z pufa. Musiał podnieść się do pionu, a kiedy to uczynił, pociągnęła go w głąb klubu. Patrzyła na niego z wyrzutem, krzyżując ręce na piersi. Przybrała minę, która mogłaby oznaczać „Nie zadzieraj ze mną”, ale jak zwykle nie zrobiło to na nim wrażenia. Wyglądał na obojętnego.

– Co? – jęknął, rozkładając przy tym ręce w geście bezradności.

– Dlaczego tu jesteś? – spytała. Kai tego nie usłyszał, ponieważ tłum zaczął wykrzykiwać coś na polecenie DJ-a. Zmarszczył brwi i spróbował przekazać jej gestami, żeby powtórzyła. Powstrzymała się, by nie przewrócić oczami, ponieważ robiła to zbyt często w jego obecności. Złapała skrawek jego koszulki i szarpnęła go, przez co delikatnie się pochylił. – Skąd wiedziałeś, że będę akurat tutaj?

– Pojechałem za twoją taksówką – odpowiedział w taki sposób, jakby to było oczywiste. Carmen otworzyła szerzej oczy, a to rozbawiło go do tego stopnia, że wybuchnął śmiechem. – Żartuję. Przecież to klub mojego wujka. Myślałaś, że pójde grzecznie spać, bo mnie olałaś?

I rzeczywiście, dopiero wtedy uświadomiła sobie, że właśnie w tym miejscu nastąpił początek końca Carmen Clark. To tutaj zatańczyła z nim po raz pierwszy. Tutaj zagroził, że wytnie swoje imię na jej skórze. Tutaj przyprowadził ją na pewną śmierć, jakby była wygraną w zakładzie. To wszystko uderzyło w nią z taką mocą, że rozboleła ją głowa. Jasne, migające światła nie ułatwiały sprawy.

– Wyobraź sobie, jakie było moje zdziwienie, kiedy okazało się, że James miał dla mnie pierwszą ratę długu – zmienił temat. Carmen rozchyliła usta. To była... zaskakująca informacja. Nie spodziewała się tego, że Cameron wreszcie weźmie odpowiedzialność za swoje czyny. Trochę zaplusował w jej

oczach. – Tatuś sychnął kasą?

Docisnęła palce do powiek.

– Muszę się napić – krzyknęła i tym samym zwróciła na siebie uwagę Kaia, który przez ostatnie kilkanaście sekund kiwał głową w rytm muzyki. Alkohol wydawał jej się jednym sensownym sposobem na zagłuszenie myśli i stracenie panowania nad ciałem. – A ty za to zapłacisz – dodała, trącając palcem bark chłopaka.

Odwróciła się, zarzucając włosy na prawe ramię. Szła z pewnością siebie, jakby chód dodawał jej wyrazistości. Każdy krok Carmen mógłby powodować pożar, a jedynym sposobem na ugaszenie go byłoby wypełnienie chmur krwią i wywołanie deszczu.

Kiedy Kai do niej dołączył, siedziała już na barowym krzeselku. Oparł się o blat, jednocześnie odgradzając ją od nachalnych ludzi. Gestem ręki przywołał barmana, który od razu do nich podszedł z uśmiechem na ustach.

– Cześć, Kai – powiedział głośno, niemal krzyżąc.

To był Rudy, z którym poznali się kilka lat temu, gdy starał się o pracę barmana. Od początku dobrze się dogadywali, dlatego Kai namówił wujka do przyjęcia właśnie jego na tę posadę. Rudy był wysoki i szczupły, ale niezbyt dbał o swój wygląd. Jego brązowe włosy odstawały na wszystkie strony, a spod białej, wygniecionej koszulki wylaniały się liczne tatuaże.

– Co dla was? – spytał, zatrzymując spojrzenie na Carmen. Musiał jednak odczuć, że to nie spodobano się Kaiowi, dlatego szybko odwrócił wzrok.

– Czerwonego byka i... – zaczął Kai, po czym zerknął na Carmen, która wydawała się całkowicie wyłączona z otaczającego ją świata. Patrzyła przed siebie, jakby było tam coś wartego uwagi. – Wybierz coś, czy mam zamówić za ciebie?

Wzdrygnęła się, gdy poczuła na skórze oddech Malachaia. Pochylał się nad nią z ręką opartą na blacie. Uderzył w nią zapach jego perfum, do których nie potrafiła się przyzwyczaić, więc lekko odkaszlnęła. Spojrzała na barmana – właśnie podał Kaiowi red bulla. Potem przyjrzała się alkoholom na półkach. Chwilę wlepiła wzrok w butelkę z logiem firmy jej ojca, ale zdecydowanie nie miała ochoty na whisky.

– Jagerbombę – mruknęła beznamiętnym głosem. – Najlepiej razy trzy.

Malachai słysząc to, zachłysnął się napojem, z którego właśnie upił porządnego łyka. Rudy patrzył na niego, czekając na pozwolenie. Odwrócił się dopiero, gdy Kai skinął dyskretnie głową. Chwilę później przed Carmen stały trzy szklanki z zamoczoną w środku kieliszkiem. Dwie z nich opróżniła nadzwyczaj szybko. Ostatnią zostawiła na później, ponieważ coś niebezpiecznie poruszyło się w jej żołądku.

Kai na nią nie patrzył. Popijał energetyka i ze znudzoną miną przyglądał się ludziom. Bujał się do rytmu, delikatnie ruszając ramionami. Obróciła się na krześle i spojrzała w to samo miejsce, co on. A przynajmniej tak jej się wydawało. Paręnaście metrów przed sobą ponownie ujrzała agenta Cole'a. Nawet nie ukrywał, że ją widzi. Złapała w przelocie wymowne spojrzenie brązowych oczu. Miała wrażenie, że w ten sposób próbował ją pośpieszyć.

– To nie jest przypadkiem twój znajomy? – spytał wyraźnie zaniepokojony Kai.

Zrobiło jej się ciężko na duszy. Czy to możliwe, że Kai go zapamiętał?

– Dlaczego nie pijesz? – krzyknęła do Kaia, pośpiesznie zmieniając temat, by uniknąć wyjaśnień i przy okazji wpadki życia. Trochę za głośno, bo powoli traciła kontrolę nad zmysłami, a w dodatku muzyka stała się nieco łagodniejsza. Pomachał jej przed twarzą puszką red bulla.

– Chodzi mi o alkohol. Nigdy nie widziałam, żebyś pił.

– A co? Chcesz, żebym był łatwiejszy?

– O niczym innym nie marzę – mruknęła z kpina.

Malachai uśmiechnął się tak, jakby właśnie w jego głowie ukazało się przyjemne wspomnienie. Odłożył prawie pustą puszkę energetyka na blat i przekręcił krzesło tak, że Carmen znalazła się centralnie przed nim. Nachylił się, opierając dłonie po obu stronach jej głowy. Była uwięziona. Wbił płonące spojrzenie w jej zielone oczy.

– Po alkoholu jestem znacznie gorszy. Nie chciałybyś mnie takiego widzieć.

Carmen nie mogła przekonać się do tego, że to w ogóle możliwe. Nie potrafiła wyobrazić sobie nic gorszego niż oblicza Malachaia, które zdążyła poznać. Przerazona scenariuszami, które pojawiły się w jej umyśle, bez namysłu wypila ostatnią szklankę. Trunek rozgrzał ją od środka, ale jednocześnie sprawił, że poczuła się tak, jakby ścięto ją z nóg. Przymknęła powieki, próbując zapanować nad ciałem, a gdy na powrót je uchyliła, niewyraźna sylwetka Cole'a przeciskała się przez tłum.

Czyżby w końcu dał jej spokój?

– Chcesz to wytańczyć? – spytał, na co od razu skinęła głową, jakby na to czekała. Powoli zsunęła się z krzesła, przytrzymując się ręki Kaia. Cały czas ją asekurował, dopóki ktoś nie zarzucił mu rąk na szyję.

– Kai! – Usłyszał piskliwy głosik, który tylko upewnił go w przekonaniu, kto stoi za jego plecami. Nietrudno było się tego domyślić. Czasami była jak jego cień. Odwrócił się powoli i obrzucił znudzonym spojrzeniem długonogą brunetkę.

Sybil miała pomalowane na czerwono usta i podkreślone kreską oczy. Jej ciemne włosy falowały, opadając kaskadą na krótką koronkową bluzkę. Bez ostrzeżenia pocałowała go, ale tego nie odwzajemnił. Cały się spiął, ponieważ w jego umyśle zapaliła się czerwona lampka, która przypominała mu o tym, że obok stoi Carmen. Złapał Sybil za ramiona i odsunął ją od siebie, przez co spojrzała na niego zdezorientowana.

– Masz coś dla mnie? – spytała, trzepocząc długimi rzęsami. Kai pokręcił głową. – Odwdzięczę się. Wiesz, że potrafię – dodała, a następnie ulokowała dłoń na jego gwałtownie unoszącej się klatce piersiowej. Sunęła nią aż do szyi chłopaka.

– Nie dzisiaj – syknął przez zaciśnięte zęby. Zrobił krok w bok, jakby chciał zasłonić Carmen widok. To przyniosło odwrotny skutek. Rudowłosa wychyliła się zza jego pleców, a jadowite spojrzenie Sybil spoczęło właśnie na niej. Brunetka przechyliła głowę.

– Kogo my tu mamy? – Wydeła usta. – Twoja nowa zabawka, Kai? – mruknęła, jednocześnie lustrując dziewczynę wzrokiem. Zaczęła od ognistych rudych włosów i niewyraźnego spojrzenia, a skończyła na odkrytych nogach. – Mówiłam już, że jest całkiem ładna?

Carmen również obiegała wzrokiem Sybil, a potem Kaia. Nie wyglądał jednak tak, jakby był zadowolony z jej obecności. Wyraz jego twarzy był poważny, ale nieco złagodniał, kiedy przelotnie spojrzał na Carmen. Sposób, w jaki przyglądał się dziewczynie, różnił się od tego, jak patrzył na wszystkich dookoła.

– Uważaj, do kogo mówisz. – Tym razem to Carmen się odezwała. – Z tego, co zauważyłam, to jedyną zabawką tutaj jesteś ty.

Kai zamrugał gwałtownie, widząc, jak dziewczyna robi krok do przodu i macha palcem przed twarzą Sybil. Rozbawiło go to, lecz powstrzymał się przed śmiechem. Właściwie nie wiedział, jak się zachować. Carmen przypominała trochę tykającą bombę. Nigdy nie mógł przewidzieć, kiedy wybuchnie. A Sybil... Była dziewczyną, która stroniła od kłótni, a tym bardziej od bójek.

– Dokończ swoje sprawy, Malachai. Będę gdzieś... tam. – Carmen wskazała brodą na parkiet i zniknęła w tłumie.

Kai przeniósł spojrzenie na Sybil, która szczerzyła się jak szalona.

– Wow! Czy ona właśnie nazwała cię...

Nie dał jej dokończyć. Przycisnął dłoń do czerwonych ust, a potem z całej siły złapał ją za nadgarstek i pociągnął do siebie. Wpadła na jego tors i zadarła głowę, by spojrzeć mu prosto w oczy. Sybil go prowokowała. Nigdy nie bała się tego, jak daleko mógł się posunąć. Nawet się nie skrzywiła, chociaż jej skóra niemal płonęła, gdy mocniej ścisnął jej rękę.

– Musiałaś odstawić szopkę? – warknął niemiło.

– Myślałam, że kręci z Holdenem – powiedziała ze spokojem, olewając pytanie. Zauważyła, jak mięśnie na twarzy chłopaka drgają ze zdenerwowania, a w jego oczach pojawia się dziwny blask. Rozszyfrowała go, chociaż nawet się nie starała. – O mój Boże. Boisz się, że wybierze lepszego brata?

Zaśmiała się, a ten dźwięk doprowadził go na skraj wytrzymałości.

– Zamknij się – ryknął na pełne gardło. Tracił nad sobą kontrolę. Znalazł się daleko od żywych. Zapadł się gdzieś w głębokie mroki umysłu. Ogarniająca go beznadzieja była jak zimna czeluść. A on w tej przepaści tkwił sam. – Nic już nie mów, Sybil.

Odpowiedział mu chichot. Gdzieś wśród tłumu mignął jej ten sam mężczyzna, którego widziała przed klubem. Nie miała już wątpliwości, że rozmawiał wtedy z Carmen. Musiała to wykorzystać, żeby znów podnieść swoją pozycję w oczach Kaia. Z łatwością wyszarpnęła rękę z uścisku. Kolejny raz cmoknęła Kaia w usta, pozostawiając na nich ślad po szmince, a potem zerknęła na niego z rozbawieniem w oczach.

– A wiesz, kotek, że gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta? – mruknęła obok jego ucha, aż przeszły go ciarki. Paznokciami drapała skórę na karku Kaia. Starał się wyglądać na obojętnego, ale czuł, że coś wewnątrz niego pęka niczym szyba, w którą ktoś rzucił kamieniem.

Swoimi słowami nieco zbiła go z tropu.

– Co masz na myśli?



Sybil uśmiechnęła się kokieteryjnie.

– Nie tylko Holden się nią interesuje – wyjaśniła.

Gdyby ktoś spytał go, z jakiego powodu ta informacja tak nim wstrząsnęła, nie znalazłby właściwej odpowiedzi. Po prostu wnerwił się na samą myśl o tym, że wokół Carmen mógł kręcić się ktoś jeszcze, oraz na siebie, że był w nią tak bardzo zapatrzony, że nawet tego nie zauważył. Zaciśnął mocno szczękę, która rozluźniła się nieco dopiero, gdy Sybil przejechała po niej dłonią.

Dzięki wysokim szpilkom jej wzrok sięgał idealnie do błękitu oczu Kaia.

– Ja zawsze wybiorę ciebie.

Zawsze chciał to usłyszeć. Poczucie, że jest lepszy od innych – przede wszystkim od Holdena, bo w równaniach z nim zawsze kończył na minusie.

– Dlaczego? – spytał niepewnie, uciekając wzrokiem na boki. – Czemu ja, a nie Holden?

Wszyscy zawsze stawiali na Holdena.

– Po prostu – odpowiedziała od razu, po czym przeniosła dłonie na jego rozgrzane od emocji policzki. Musiała chwilę poczekać, aż ich spojrzenia na nowo się spotkają. Dostrzegła w oczach Kaia wątpliwości. Wyglądał tak, jakby potrzebował zapewnienia, że wcale nie jest gorszy. – Jesteś dla mnie najlepszą opcją.

Oddech dziewczyny uderzył w skórę Kaia. Czuł, jak sunęła palcami po jego koszulce, aż wreszcie zaciśnęła na niej palce, a potem wyszeptała mu w usta:

– Nikt inny nie ma przecież szans w starciu z tobą, prawda?

Doskonale wiedziała, jak się z nim obchodzić oraz co mówić, żeby postawić na swoim. Nagle stał się bardziej podatny na bodźce zewnętrzne. Stracił czujność, dlatego zaczęła powoli ciągnąć go za sobą w stronę toalet, a on nawet nie zaprotestował. Pasował mu taki układ. Ruszył za nią bezwiednie, jakby był balonikiem, którego trzymała na sznurku. Zerknął przelotnie na parkiet, nim wpadł do łazienki, gdzie Sybil wciągnęła go do jednej z kabin.

Chciał jej wierzyć. Nie potrafił jednak pozbyć się jednej męczącej myśli.

Nic, co dobre, nigdy przy nim nie zostawało, bo wszystko, co dobre, zawsze należało do jego brata. Dlaczego więc miał się starać?

Miał wrażenie, że wszystkie oceany rozbijały się w jego klatce piersiowej – dokładnie tam, gdzie kiedyś miał serce – ale fale nie mogły go skrzywdzić, bo topił się przez całe życie. Świat wydawał mu się nadzwyczaj ciężki, mroczny i beznadziejny, jednak zebrał poszarpane kawałki siebie i z zaciętą miną zaczął przedzierać się przez tłum. Rozglądał się dookoła, szukając rudych włosów, a kiedy wreszcie je dostrzegł, ktoś się przed nim zatrzymał.

Kai był pewny, że jeśli jeszcze raz ktoś stanie mu na drodze, będzie musiał coś rozwalić.

– Gdzie ty, do cholery, byłeś? – warknął Holden. Kai posłał mu znudzone spojrzenie, a z jego ust wydobyło się nieplanowane ziewnięcie. Blondyn miał na sobie grubą czarną bluzę i kurtkę w tym samym kolorze. Jasne włosy opadały mu na twarz, a mimo to Kai dostrzegł jego markotną minę.

Pomyślał: *Daleko. Na końcu świata i dwa kroki w przepaści.*

– Teraz? Z Sybil. – Wzruszył ramionami szatyn. Spróbował wyminąć brata, ponieważ najwyraźniej w świecie wiedział, do czego to wszystko zmierza. Ostatnio nie potrafili normalnie ze sobą rozmawiać. Kłótnia z Holdenem była ostatnią rzeczą, na jaką miał teraz ochotę. Wystarczyło to, że Sybil porządnie zalała mu za skórę, bo choć potem trochę to wynagrodziła, wciąż był nabuzowany.

– Wiesz, że telefony są po to, by je odbierać?

Tak jak przypuszczał, Holden nie pozwolił mu tak prędko odejść. Znów przed nim stanął. Przez moment lustrował go wzrokiem z zaciśniętymi ustami. Kai znał to spojrzenie doskonale. Czuł się oceniany, a to tylko potęgowało jego irytację.

– Stało się coś? – sapnął Kai z irytacją. Dobre nastawienie, którego chciał się uczepić, wyśliznęło mu się przez palce. – Czy po prostu chcesz mnie kontrolować?

Spojrzał prosto w niebieskie oczy Holdena, które były odzwierciedleniem jego własnych. Zobaczył w nich zmieszanie, więc odpowiedział sobie sam.

– Słuchaj, Hol – westchnął znudzony i zarazem zirytowany. – Wyluzuj trochę, co? Należy ci się. Nianie kiedyś też odpoczywają, wiesz? – dodał, klepiąc brata po ramieniu. Później cmoknął go przelotnie w czoło. Nie czekał na reakcję, bo usłyszał piosenkę, która przypadła mu do gustu. Dlatego tanecznym krokiem minął Holdena, robiąc przy tym obrót wokół własnej osi.

Carter był w swoim żywiole – skakał, odbijał się od przypadkowych ludzi i wykrzykiwał coś do znajomego DJ-a, a krótkie białe włosy świeciły tak, jakby były radioaktywne. James dygotał w tylko sobie znanym rytmie, wymachując rękoma na wszystkie strony. Carmen natomiast była zwrócona do Kaia plecami.

Z daleka można było zauważyć, że trzyma brata na dystans.

Poza tym widział tylko jej falujące włosy, które unosiły się i opadały, gdy Carter z gracją okręcał ją w rytm piosenki. Kai stanął zaledwie krok za nią, akurat kiedy zachwiała się na niestabilnych szpilkach. Położył dłonie na jej biodrach, ale nawet się nie wzdrygnęła, zupełnie tak, jakby się tego spodziewała. Odwróciła się i od razu zarzuciła mu ręce na szyję, nie przestając podskakiwać do muzyki.

– Tak szybko wpadasz mi w ramiona?

– Myślałam, że już nie wrócisz – wydyszała, odgarniając z twarzy nieposłuszne włosy. Wodził wzrokiem za tym niewinnym odruchem. Miał przeogromną ochotę potrzymać te rude pasma w pięści tak, że zaplątałyby się między palcami. A potem pociągnąć.

– Zawsze wracam, Karmelku – powiedział tak cicho, że musiała wyczytać to z ruchu jego warg. – Szczególnie do ciebie.

Wpatrywał się w nią z uśmiechem. Obliznął usta, przesywając wzrokiem każdy milimetr zgrabnego ciała Carmen. Wykonywane przez nią ruchy były pełne gracji i delikatności, a nieustannie opadające na twarz kosmyki ognistych włosów tylko dodawały jej zmysłowości. Oczy Kaia załśniły, gdy nagle przyciągnął ją bliżej siebie. To było silniejsze od niego.

Na wskroś przeszła ją błyskawica. Poruszała się w rytm jego bioder, ludzi tańczących wokół i żaru, jaki narastał w pomieszczeniu.

Nigdy wcześniej nie miała styczności z takim mężczyzną. I tym razem nie chodziło o jego nie-

przewidywalność i ciemną stronę. Żaden z jej poprzednich chłopaków nie był w stanie wytrzymać na parkiecie choćby minuty. Dlatego imprezowała tylko z Cameronem. A Malachai... Miała wrażenie, że był w innym świecie. Nigdy nie gubił rytmu. Skakał równo z nią z przymkniętymi powiekami, a na jego twarzy malowało się coś, czego jeszcze u niego nie widziała – całkowite opanowanie.

Pochylił się nad nią, dociskając zimny policzek do jej skóry tylko po to, by szepnąć:

– Ostatnim razem, gdy razem tańczyliśmy, chciałem cię zabić, pamiętasz?

Carmen momentalnie się spięła. Przełknęła nerwowo ślinę, kiedy nieprzyjemne wspomnienia zaczęły dobijać się do jej umysłu. Poczowała, jak całe jej ciało pokryło się gęsią skórą. Liczyła na to, że Malachai tego nie zauważył. Grając niewzruszoną, położyła dłoń na jego rozgrzanym policzku. A wtedy otworzył oczy. Ich intensywna niebieska barwa niemal powaliła Carmen na ziemię. Były też zaszklone i zaczerwienione. Patrzył na nią przez długą chwilę z niemrawym uśmiechem, jakby nie do końca pojmował, że ona naprawdę tam jest.

– Cieszę się, że jednak tego nie zrobiłem.

Wyczuł, że mu się przyglądała, dlatego trochę się odsunął. Ich spojrzenia się spotkały. Zniewoliły ich. Muzyka pulsowała w Carmen, a w jej podbrzuszu pojawiło się to dziwne uczucie, przed którym próbowała się chronić, ale w zamian tylko rośło. Całowicie się w tym zatraciła, a buzujący alkohol w żyłach uniemożliwiał jej racjonalne myślenie.

Na szczęście Cameron napatoczył się obok i uratował ją przed samozagładą. Odsunęła się od Kaia i zabrała bratu piwo, które dopiero kupił. Wzięła kilka łyków i oddała mu butelkę. Zdecydowanie mogłaby uznać to za jeden z największych błędów w jej życiu. Może nie tak istotny jak zainteresowanie się Malachaiem, ale jednak. Poczowała mdłości. Połączenie piwa z likierem ziołowym i energetykiem ją pokonało.

I chyba było po niej widać, że przesadziła z alkoholem, bo James rzucił rozbawiony:

– Impreza dopiero się rozkręca, a ty już się nawaliłaś?

James Cameron, zamiast stać się jej kołem ratunkowym, znów poleciał po bandzie. W ten oto sposób nieświadomie stracił swoją szansę, by chociaż rozważyła szczerą rozmowę z nim. Obraz przed oczami Carmen zaczął bardziej wirować, przez co wszystko widziała podwójnie, a w dodatku w oczach załśniły jej szczerze łzy. Musiała zmrużyć powieki, by skupić się na zaczerwienionej oraz spoconej twarzy brata, po której wywnioskowała, że sam też musiał wlać w siebie sporo procentów. Zdradzał go rozanielony uśmieszek.

– Zaraz ty możesz się przypadkiem wywalić.

Ten niski, złowieszczy ton Malachaia sprawił, że w głowie Carmen muzyka na moment ustała. Było cicho. Słyszała tylko, jak stojąc za nią, ciężko dyszał. Nieumyślnie zrobiła krok w tył i w efekcie na niego wpadła. Przytrzymał ją za ramiona. Przechyliła głowę, by go zobaczyć, bo jedynie w ten sposób mogła spróbować przewidzieć jego zachowanie. Niewątpliwie był zły, choć może to było za słabe słowo. Był po prostu wkurwiony.

W tym samym czasie Carter pojawił się znikąd i z impetem odbił się od ramienia Malachaia. Carmen przeczuła jednak, że zrobił to specjalnie, żeby ugasić nadchodzący konflikt w zarodku. Przeklął pod nosem, gdy odrobina piwa wylała się na dzinsową kurtkę przyjaciela. Poklepał Kaia po materiale ubrania i uśmiechnął się w najbardziej uroczy sposób, na jaki było go wtedy stać. Kai w zamian posłał mu wkurzone spojrzenie, ale dzięki temu chociaż oderwał ten przeszywający wzrok od Camerona.

– Nie gniewaj się, dobra? Skarbeczku? – szepnął Carter, uwieszając się na ramieniu szatyna. Kai przewrócił oczami, całkowicie ignorując kolegę.

– Spoko, James. Nie przejmuj się siostrą. Odwiozę ją – powiedział bezpośrednio do Jamesa. Zerknęła na niego oburzona, jednak Kai wymieniał porozumiewawcze spojrzenia z Cameronem, jakby właśnie dobijali targu. Nikt nawet nie spytał jej o zdanie. I to wcale nie było dziwne. Już raz była towarem w ich rękach.

– Czekał. Czekał. Co zrobisz? – wtrącił Carter, prawie krztusząc się piciem.

– Tak robią przyjaciele, prawda? Nie do końca wiem, jak to działa – dopowiedział Kai, przejeżdżając dłonią po wilgotnych od potu włosach. Na Cartera nawet nie zerknął, choć czuł na plecach ciężar jego ciała oraz to, jak dla bezpieczeństwa przytrzymał go za wystający spod kurtki fragment koszulki.

– Przepraszam – wtrąciła się Carmen, unosząc rękę jak do odpowiedzi w szkole. – Chyba też mam tutaj jakiś głos. Nie chcę z tobą jechać.

– Nie. Nie masz, robaczku. – Zaśmiał się James i trącił ją palcem w nos. – To przecież Kai Yordan. Zawsze dostaje to, czego chce, prawda?

Słowa Camerona zawisły w gęstym powietrzu. Gdyby Carmen wspięła się na czubki palców,

mogłaby do nich sięgnąć, a potem wyrzucić do kosza, choć Kai i tak z pewnością je usłyszał. Otworzyła szerzej usta, nie wierząc w słowa brata. Nie potrafiła odgadnąć, dlaczego James włączył tryb cwaniaka. Przecież dobrze wiedział, że nie miał z Kaiem szans – nie tylko przez swoją chuderlawą sylwetkę.

– Boże, Cam, co ty wygadujesz? – wydusiła. Nagle oprzytomniała, bo znalazła się między dwoma ciężkimi oraz ostrymi spojrzeniami, które wzajemnie się przecinały, a ich odłamki wbijały się prosto w nią. – Nie prowokuj go.

– Właśnie, James – odrzekł Kai z miłym uśmiechem. Później zaśmiał się, wydając przy tym dziwny dźwięk. Stąpnął przed siebie. Carmen nie zdążyła zagrozić mu drogi, dlatego udało mu się klepnąć Camerona w bark. – Bo następną rzeczą, jaką ty dostaniesz, będzie gruby wpierdol. Już zacieram rączki.

Tego było za wiele. Tym razem spojrzała w stronę szatyna z żądzą mordy w oczach. Zadarła głowę i posłała mu tak nieufne spojrzenie, że aż skręciło go w środku. Nie miała zamiaru dłużej brać udziału w tej dziecinnej przepychance słownej. Wyminęła Kaia bez słowa i zdeterminowana ruszyła w stronę wyjścia.

Poszedł za nią jak cień. Za każdym razem, kiedy ją doganiał, przyśpieszała, jakby próbowała przed nim uciec. Nie słuchała nawet, co miał jej do powiedzenia. Było mu trochę głupio, że znowu się zapomniał i pozwolił, by złość wzięła nad nim górę. Milczenie Carmen nic nie ułatwiało, wręcz przeciwnie – czuł się coraz bardziej zirytowany. Wreszcie zatrzymała się przed wejściem i rozejrzała się dookoła, jednak nigdzie nie zauważyła jego samochodu.

– Gdzie twoje cholerne auto? – Wypuściła z ust powietrze. Usiadła na słupku przed klubem i spuściła głowę. To była pozycja, w której ciało przestało walczyć z alkoholem. – Nie mam siły dalej iść.

Malachai kucnął przed nią. Podniósł kciukiem jej podbródek, by móc spojrzeć w jej zielone oczy, które były zaszkłone. Uśmiechnął się niepewnie. Kosmyki rudych włosów wpadały do ust dziewczyny, ale nie kłopotą się, by je wyciągnąć. Kai zrobił to za nią.

– Zaparkowałem z tyłu. Na pewno nie dasz rady iść? – spytał, drapiąc się po karku. Carmen natychmiast pokręciła głową. Od co najmniej kilku godzin chodziła w butach na obcasach, które zaczęły o sobie przypominać. Jej nogi niemal płonęły.

Kai głośno wypuścił powietrze przez usta. Przez chwilę się wahał, a potem podniósł ją bez ostrzeżenia i zaniósł prosto do auta.

• • •

Podczas tej imprezy Carmen przeżyła wszystkie fazy upojenia alkoholowego. Najpierw było szaleństwo i chęć nieskończonej zabawy. Później złość. Zmęczenie. Załamanie. A na końcu, gdy siedziała już grzecznie w samochodzie, załączyła się u niej niekontrolowana potrzeba bliskości. Brakowało tylko tego, aby rozpląkała się bez powodu.

Przyglądała się Kaiowi z takim skupieniem, jakby co najmniej umieścił na niebie wszystkie gwiazdy. Czuł na sobie jej spojrzenie, dlatego tylko się uśmiechał, chociaż na usta cisnęło mu się wiele słów. Zacisnął pokrytą lekkim zarostem szczękę, by nie palnąć kolejnej nieprzemyślanej głupoty. Uderzał lewą ręką o kierownicę i delikatnie ruszał ramionami równo z muzyką, którą włączył. Była mniej energiczna niż w klubie, ale nadal dało się do niej bujać.

– *If I ever said I'm never scared* – zanucił równo z wykonawcą, a potem przekręcił głowę, by spojrzeć na Carmen. – *Just know I mean it* – dodał, oblizując usta. Carmen wiedziała, że utożsamiał się z tymi słowami, bo idealnie go opisywały. Nie mogłaby na ten temat dyskutować, aby je podważać.

– Jak zamierzasz to rozegrać? – spytała nagle, przypominając sobie o swojej tajnej misji. A skoro Malachai był w dobrym nastroju, mogła to wykorzystać. Wreszcie pojawiła się niewielka szansa na to, że zdradzi jej coś więcej niż półsłówka. Kai spojrzał na nią z niepewnością w niebieskich oczach, jakby nie do końca rozumiał, o czym mówiła. – Sprawę z Ryanem? Nie boisz się, że to on cię wystawi?

– Nie zwracaj sobie tym pięknej główki, Karmelku.

– Myślisz, że cię wydam? – prychnęła urażona.

Świetnie, że o tym wspomniała.

– Po prostu ci nie ufam – Kai zaśmiał się niekontrolowanie. Trochę zbyt nerwowo. Patrzył na drogę, potem na nią i z powrotem przed siebie. Nie potrafił się skupić. Jego myśli rozbiegły się w miejsca, do których nie miał wstępu. – Słyszałem, że ostatnio przyczepił się do ciebie kundel. Uważasz, że jesteś na tyle sprytna, żeby mnie wykiwać? Mnie?

Ostatnie słowo w jego ustach brzmiało jak ryk piekielnych ogierów. Wszystkich naraz.

Wiedział. Kai o wszystkim wiedział, a to oznaczało, że wpadła po uszy. Tylko od kogo? Sybil? Tak, to na pewno ona się wygadała. Nikt poza nią nie miał podstaw, by połączyć Carmen z agentem

Cole'em. A jeśli podrzuciła taką myśl Kaiowi, potem już sam poskładał układankę.

Przez moment na czole Kaia pojawiła się zmarszczka świadcząca o tym, że gorączkowo nad czymś rozmyśla. Przekręcił głowę i znów się roześmiał – tym razem swobodniej, choć wciąż wyglądał na wnerwionego. Swoją brak kontroli próbował obrócić w żart. Przełknął ślinę i westchnął ciężko, jakby coś przygniatało jego pierś. Czuł się... zdradzony. Znów. Powinien przywyknąć do tego uczucia, bo ludzie nadszarpywali jego zaufanie przez lata, a jednak za każdym razem to odciskało na nim kolejne piętno.

Nie mogła uwierzyć, że ją przejrzał. A może bardziej chodziło o fakt, że ubzdurała sobie, że nic nie zauważy. Była głupia i naiwna. Malachai Yordan zawsze stąpał krok przed nią. Nigdy nie potrafiła go przechytryć – nawet na turbodoładowaniu. Niewiele miała wtedy w głowie, oprócz szumu i pojedynczych myśli, które w żaden sposób nie łączyły się w całość.

– Skąd ten pomysł? – Zachichotała nerwowo. Próbowała się ratować, jak mogła, więc dodała pewnym głosem: – Ubzdurałeś to sobie?

Kai zacisnął mocniej dłonie na kierownicy.

– Nie pogrążaj się, Carmen – wycedził tak ostro, że poczuła, jak te słowa przebijają skórę niczym ostrza. Musiała spuścić wzrok, by zobaczyć, czy jej rąk nie pokrywają rany. Przez ramię rzucił jej krótkie spojrzenie. – Zapomniałaś, z kim masz do czynienia? Nie nabierzesz mnie na ładne oczka.

Zagryzła wargę, starając się odnaleźć w umyśle jakiś sensowny plan, który pomógłby jej się uratować, ale ciągle napotykała gruby mur, a za nim tylko pustkę. Odruchowo chwyciła za klamkę, rozpaczliwie za nią szarpiąc, ale Kai to przewidział i już w tej samej sekundzie usłyszała dźwięk przeskakującego zamka. Straciła jedyną drogę ucieczki. I w dodatku tym nerwowym zachowaniem udowodniła, że miał rację.

– Wiedziałem, że skądś go kojarzę – wyjaśnił bez wahania, uderzając pięścią o krawędź kierownicy. – Wystarczyło trochę poszperać. Wiesz, że Sybil wbrew pozorom jest dobrym detektywem? Za to ty... myślałem, że stać cię na więcej.

Strach zakotwiczył się w brzuchu Carmen, sprawiając, że miała ochotę zwymiotować. Wbiła paznokcie w odkryte nogi z nadzieją, że ból przyćmi zdenerwowanie. Bała się spojrzeć w kierunku Malachai, bo wiedziała, że ujrzy najstraszniejszą z jego twarzy. Wyglądał tak, jakby bez zawahania mógł obdrzeć ją ze skóry i spić krwawe soki z umierającego serca.

Postanowiła, że najłatwiejszym wyjściem będzie po prostu szczerość.

– Nie rozumiesz, Kai – jęknęła. Niewiele myśląc, ruszyła ręką, chcąc go dotknąć. Kai jednak momentalnie potrzęsął głową, by tego nie robiła. Nie ufał sobie. Ani trochę. Uraczył Carmen tak zawiedzionym spojrzeniem, że wszystkie jej wnętrzności zadrżały.

– Masz ostatnią szansę, żebyśmy zrozumieli, dlaczego okazałaś się zdrajczynią – burknął niemiło. Usiłował na nią nie patrzeć, bo obawiał się, że kiedy spojrzy w jej oczy, wszystkie negatywne emocje względem niej wyparują. A przecież powinien być na nią zły. To było odpowiednie uczucie w tym momencie, adekwatne do tego, co zrobiła. Nic, tylko ogromny gniew, który rozsadał go od środka jak powiększający się z każdym podmuchem balon. – Co obiecał ci w zamian?

– On... – wydukała. Próbowała zebrać się w sobie i znów być twarda. Musiała opowiedzieć mu o tym we właściwy sposób. Nie tak, jak osoba, która ją ubiegła. Musiała jakoś się wybielić. Sprawić, że przestanie patrzeć na nią w taki sposób, jakby znów chciał ją zabić. Albo gorzej. Przetarła twarz dłonią, wymuszając łzy. – Obiecał, że przymkną oko na sprawę Selene. To moja jedyna szansa...

Malachai przerwał jej histerycznym śmiechem. Z pewnością nie zadowalał go taki argument. Dlatego, choć powinna milczeć, nieśmiało wyznała resztę prawdy:

– I że Holden będzie bezpieczny.

Spodziewał się tego, a i tak zabolalo znacznie mocniej, niż sobie wyobrażał. Jakby wbiła mu nóż w serce i na dobitkę kręciła nim wokół, dotykając każdej tkanki.

Pochylił się, dociskając czoło do kierownicy. Nawet nie zerkał kontrolnie na drogę. Jedyne dociskał gaz, bo to okropne uczucie zazdrości było jak fala uderzeniowa i całkowicie go zaćmiło, może nawet wyrzuciło go z własnego ciała i teraz jak zły duch unosił się w powietrzu. Parsknął pod nosem – gorzko i cierpko. A potem cały się spiął, bo choć prosił, by tego nie robiła, Carmen położyła dłoń na jego drżącym kolanie. Ten niechciany kontakt sprawił, że wściekłość urosła do niewyobrażalnych rozmiarów.

Wyprowadzony z równowagi balansował na krawędzi.

– Zabierz rączkę, Karmelku, bo inaczej się z nią pożegnasz.

Nie zrobiła tego, dlatego wkurzył się jeszcze bardziej. Oderwał jedną rękę od kierownicy i w zamian zacisnął palce na nadgarstku Carmen. Tak boleśnie, jakby to były zbyt ciasno założone kajdanki. Skóra w tym miejscu piekła jak ogień, jednak Carmen się nie odsunęła. Testował ją. Sprawdzał,

czy wciąż pozwoli mu przekroczyć granicę.

A teraz pragnął przekroczyć je wszystkie.

– Wiesz, co ja mogę ci obiecać?

Zdezorientowana potrząsnęła głową.

Ciarki przebiegły w górę jej kręgosłupa, gdy Kai nachylił się do niej, jakby chciał ją pocałować, ale w zamian gwałtownie chwycił ją za kark. Instynktownie spróbowała odskoczyć, ale na to nie pozwolił. Spuściła wzrok, bojąc się na niego patrzeć. Ale Malachai chciał, aby patrzyła mu w oczy. Chciał widzieć w jej zielonych oczach skruchę oraz strach przed nim, bo nie była już jego Karmelkiem. Stała się kimś odległym, kimś, kogo myślał, że zna, ale potwornie się pomylił. Zsunął dłoń na jej żuchwę, zmuszając ją, by jednak obdarowała go złknięm spojrzeniem. I dopiero wtedy szepnął:

– Śmierć.

Coś w nim pękło. Coś ważnego. Miał wrażenie, że za moment eksploduje. Nie wiedział, czy bardziej ze złości, czy z bezsilności. Stracił cierpliwość. Zatrzymał gwałtownie samochód, powodując, że Carmen bezwiednie poleciała do przodu. Na samym środku drogi, wśród wysokich drzew, ciemności i ciszy. Jeśli naprawdę trafiła na jego czarną listę, powinna zwiewać przy pierwszej lepszej okazji. Wiedziała przecież, jak kończą osoby, które działają przeciwko niemu.

– Wsiadaj – warknął bezzwzględnie, odpinając przy tym pasy.

– Nie – odpowiedziała hardo.

– Wsiadaj, Carmen, albo wyciągnę cię na zewnątrz za twoje piękne ogniste włosy.

Władczy ton Kaia tak ją poraził, że od razu wykonała polecenie, bojąc się, że po prostu przegięła i teraz czeka ją tylko śmierć w męczarniach. Kai był wściekły do granic możliwości. Wydawało jej się jednak, że stara się stłumić gniew i zamknąć go głęboko w sobie. A ona chciała, by dał mu upust, bo wcale nie przypominał prawdziwego siebie. Sto razy wolałaby, aby wrzeszczał, zamiast być tak cholernie opanowany.

Gdzie podziała się ta bezwstydną, przepelnioną ogniem dzikość, którą w sobie nosił? Zawsze promieniowała z jego twarzy, współgrając z bezzwładną aureolą nad głową, a teraz Carmen nie mogła jej odnaleźć. Przynajmniej niebieskie oczy wciąż patrzyły na nią z gniewem.

Oparła się o maskę. Obserwowała, jak Malachai okrąża auto i jednocześnie wyciąga ze szlufek od spodni czarny parczany pasek. Zatrzymał się blisko niej. Jego klatka piersiowa niemal stykała się z jej piersiami, a włosy Carmen poruszały się z każdym gorącym oddechem, jaki wydostawał się z jego rozchylonych ust. Wyglądał groźnie. Niebieskie oczy były głodne i bezzwładne – mogłyby rozszarpać gardło, by zaspokoić dzikie pragnienie.

– I co teraz zrobisz, Malachai? – powiedziała z pewnością w głosie, wyraźnie akcentując jego imię. Nie bała się go, chociaż serce podchodziło jej niemal do gardła. Jeszcze moment i mogłaby się nim udławić. Zadarła prowokująco podbródek, gdy oparł napięte ramię na dachu samochodu, tuż przy jej głowie. Miała wrażenie, że z łatwością przebiłby nią metal. – Ukarzesz mnie?

Zaśmiała się, co tylko go zirytowało. Zamknął oczy. Próbę uspokojenia się przerwał mu lekko słodkawy posmak krwi, kiedy po paru sekundach natarczywego zaciskania zębów na wardze, wcześniejsza rana na nich się otworzyła. Carmen patrzyła na jego usta, aż wreszcie przejechała po nich kciukiem, jednocześnie rozmazując dookoła krew. Później oblizwała palec, nie spuszczając wzroku z twarzy Kaia.

Jego czy załśniły dziko. To było... szalone. A Malachai uwielbiał wszystko, co było chociaż w niewielkim stopniu pokręcone tak jak on. Jak miał się na nią wściekać, gdy tak kusiała? Gdy sprawiała, że w jego umyśle otwierały się szafki pełne mrocznych fantazji, które mogłyby spełnić tylko z nią? Uniósł dłoń. Chciał chociaż odgarnąć włosy z jej twarzy, bo niektóre kosmyki osiadły na wargach, ale w porę się wycofał.

Nienawidził się za to, że tak bardzo jej ulegał.

– Udowodnij, że ten pies nas nie słyszy – szepnął, przyciskając ciepły policzek do jej głowy. Przeszły ją dreszcze, co tylko spotęgowało uśmiech na jego ustach. Przypadkiem musnął wargami skórę w okolicach szczęki. Zadrżała, a potem spięła wszystkie mięśnie w ciele, by się przed nim nie roztrząskać, udowadniając, że tak mocno na nią działa.

Sprawiał, że pragnęła ryzykować, rzucać swoje życie na szalę.

– Może sam sprawdzisz? – szepnęła zaczepnie.

Ale Kai nie zareagował. To była granica, której nie zamierzał dobrowolnie przekraczać. Carmen jednak miała inne plany. Ujęła jego dłoń w swoją. Korzystając z momentu, w którym w ciszy rozkładał na czynniki pierwsze ten dziwny prąd, który w nim przeskoczył, gdy ich skóra się dotknęła, ulokowała rękę Kaia pod materiałem spodniczki, a potem sunęła nią coraz wyżej i wyżej, i wyżej, aż zahaczył pal-

cami o majtki.

– Lubisz tak ryzykować, Karmelku? – spytał. Jego dłoń ani drgnęła. Nadal spoczywała w tym samym miejscu, niezdolnie uzmysławiając Carmen, co mógłby nią zrobić. Na samą myśl o tym ścisnęła uda, broniąc się przed uczuciem, które dźgnęło ją w podbrzusze.

To było jego ulubione miejsce.

– Jeśli chcesz zostać królową – szepnął przy uchu Carmen, dotykając płatką dolną wargą – musisz zabić króla.

Obliznął wargi niczym drapieżnik szykujący się do schwytania ofiary. Napięcie między nimi było niemal namacalne – mógłby schować je do kieszeni. Gwałtownie złapał za plecami Carmen jej nadgarstki w jedną dłoń. Automatycznie wyprostowała się jak napięta struna. Cały czas na niego patrzyła z lekko rozchylonymi ustami. I właśnie dlatego nie zareagowała od razu, kiedy obwiązał pasek wokół rąk. Zaczęła się szarpać, ale nie miała siły, by wyslizgnąć się z porządnie zawiązanego supła.

Kai przypomniał sobie, że złość przecież można wykorzystać, bo jest źródłem energii.

– Może to dobrze. Może dam ci ostatnią szansę – stwierdził nagle z uznaniem malującym się na twarzy. Zaskoczona Carmen uniosła lekko brodę, by dosięgnąć jego zabłąkanych oczu. Kai, jakby czytając jej w myślach, zniżył głowę. Ich spojrzenia znalazły się na równej linii. Starła się nie mrugać, gdy skrupulatnie wbijał palce w jej szyję. Były jak niewidzialna obręcz. – Reguła jest prosta. Zawsze wygrywam.

Przechyliwszy głowę, obiegnął wzrokiem usta Carmen, nim wyciągnął spomiędzy nich parę niesfornych kosmyków włosów. Odgarnął je za ucho.

– A ty, Karmelku, będziesz moją tajną bronią.

Spojrzał Carmen w oczy z zadziornym uśmiechem i wyszeptał:

– Jeśli chcesz przeżyć.

Po wszystkim puścił jej oczko.

Zyskała kolejny dowód na to, że Malachai Yordan był przeraźliwym tornadem z ładnymi oczami.

Prawie zasypiała, gdy dotarli pod blok. Kai pomógł jej wysiąść, przytrzymując dziewczynę za łokieć, ale później od razu wystartował do przodu, zostawiając ją w tyle. Nie wiedziała, czy zrobił to specjalnie, czy po prostu zapomniał, że wcześniej związał jej ręce. Zważywszy jednak na to, że był to Malachai Yordan, skłaniała się bardziej ku pierwszej opcji. Nie ruszyła się z miejsca, tylko głośno kaszlnęła. Kai zatrzymał się i zerknął na nią przez ramię.

– Możesz? – powiedziała ze złością w głosie. Mógł.

Ale czy chciał zwracać jej wolność, skoro ona mogła z łatwością odebrać ją jemu?

Aby podkreślić, co dokładnie ma na myśli, odwróciła się i pokazała mu obwiązane paskiem nadgarstki. Przyglądał się Carmen przez dłuższą chwilę, jakby nie rozumiał jej słów. W końcu kiwnął głową i z niewinnym uśmiechem na ustach do niej podbiegł.

– Sorka – mruknął. – Byłaś tak grzeczna, że kompletnie o tym zapomniałem.

Po tych słowach Carmen wreszcie poczuła swobodę. Jej ręce opadły wzdłuż tułowia. Zerknęła na nie, gdy Kai zakładał z powrotem pasek. Widniały na nich lekko czerwone ślady, dlatego zaczęła rozmazywać te miejsca, a kiedy wreszcie uporała się z piekącym bólem, pacnęła chłopaka w tył głowy.

– Nie musiałeś tego robić – warknęła.

– Wiem. Ale bardzo chciałem – szepnął, gdy pochylił nad nią głowę. Zaciśnął zęby na dolnej wardze, wodząc wzrokiem po rozchylonych ustach Carmen. Patrzył na nie tak, że z trudem mogła złapać oddech. – I z chęcią bym to powtórzył.

Carmen westchnęła ciężko i lekko go popchnęła, torując sobie drogę. Ruszyła do przodu i od razu tego pożałowała. Ból nóg znów dawał się we znaki, przez co każdy najmniejszy ruch sprawiał, że odczuwała dyskomfort. Malachai obserwował z rozbawieniem, jak nieudolnie stawiała krocze po krocze, mocno się przy tym krzywiąc.

– W takim tempie dojdiesz tam za tydzień – powiedział przez śmiech. Carmen zerknęła na niego przez ramię. W myślach właśnie go mordowała. – Pomogę ci, tylko się nie przyzwyczajaj, dobra?

Próbowała odgadnąć, co chodziło mu po głowie, ale wyraz twarzy chłopaka, poza rozbawieniem, nie wyrażał zbyt wielu emocji. Podszedł do niej, chwycił stabilnie w pasie i bez ostrzeżenia przerzucił ją sobie przez ramię. Pisnęła, ale nie zrobiło to na nim wrażenia. Przed tym, jak zaczął kierować się w stronę mieszkania, rzucił luźno z lekkim uśmiechem:

– Rączki przy sobie, Karmelku.

Musiała przytrzymać spódniczkę ręką, by nie podniosła się do góry, ukazując światu jej bieliznę. Głowa Carmen nieustannie uderzała w pierś Kaia, kiedy pośpiesznie wchodził po schodach. Postawił ją dopiero pod drzwiami do mieszkania. Poczula się znacznie gorzej niż po wyjściu z klubu. Podłóżce pod nogami Carmen się kołysało, a obraz stał się rozmazany, jakby nagle jej oczy straciły ostrość. Pustka w jej brzuchu była tak ogromna, że wreszcie zgięła się w pół i spróbowała zwymiotować, ale z ust dziewczyny wydostała się tylko gęsta ślina.

Kai w ostatniej chwili chwycił jej włosy, przytrzymał je w górze i odwrócił wzrok.

– O tak. Zdecydowanie mi się nie podobasz – mruknął, marszcząc nos.

Carmen wyprostowała się po paru minutach i posłała mu zde gustowane spojrzenie. Starła wierzchem dłoni resztki czerwonej szminki z ust. Zarzuciła włosy na jedno ramię, znalazła w kieszeni kurtki klucze, po czym otworzyła drzwi.

W mieszkaniu natychmiast opadła plecami na swoje łóżko i nawet nie kłopotowała się, by ściągnąć przepecone, przesiąknięte zapachem tytoniu ubrania. Starła się udawać, że nic się nie stało, ale powoli uderzało w nią poczucie winy, bo próbowała zbliżyć się do Kaia, by go zniszczyć, a im dłużej przebywała w jego towarzystwie, tym częściej utwierdzała się w przekonaniu, że może na to nie zasługiwał.

Może po prostu potrzebował, aby ktoś w niego uwierzył.

Przejechała dłonią po zmęczonej twarzy, czując, jak w kącikach oczu powoli zbierają się łzy. Nie chciała płakać. A raczej nie płakałaby w normalnej sytuacji, ale alkohol, który nadal krążył w jej organizmie, potęgował emocje.



– Chcesz się przebrać? – Przez chmurę niepokładanych myśli w głowie Carmen przebił się łagodny, może nieco zatroskany głos Kaia. Usiadła, ale nie chciała na niego patrzeć. Miała spuszczoną głowę i potargane włosy, które opadły na twarz. Mimo tego Malachai zauważył, że coś się zmieniło. Kucnął, by lepiej przyjrzeć się jej buzi. Oczy Carmen były zaszklone, a makijaż całkowicie się rozmazał. Wyglądała jak siedem nieszczęść. – Płaczesz?

Pokręciła energicznie głową, po czym pociągnęła nosem.

– To przez naszą małą sprzeczkę? – ciągnął temat. Przechylił głowę, przez co czubkiem nosa przesunął po wewnętrznej części uda Carmen. Prawie zadrżała. – Myślałem, że się dogadaliśmy.

Znów zaprzeczyła.

– Na krześle powinna być bluzka – próbowała mówić normalnie, ale jej głos się łamał. Wzięła kilka wdechów, by nieco się uspokoić, chociaż powoli zbliżała się do momentu, w którym mogłaby wybuchnąć. – Możesz mi ją podać?

Najpierw na nią patrzył, próbując zrozumieć, co się stało. Ciężko patrzyło mu się na jej zaczerwienione białka i smutny wyraz twarzy. Nic jednak nie zrobił, bo najzwyczajniej w świecie nie wiedział, co należało robić w takich sytuacjach. Nigdy wcześniej żadna kobieta przy nim nie płakała. Nie tak bezpośrednio, na jego oczach.

Nawet mama zamykała się w sypialni, by w spokoju się wypłakać, gdy przesadzał. Siadał wtedy pod drzwiami, słuchał i powtarzał równo ze szlochem kobiety: „Jestem złym dzieckiem”. Nigdy nie miał jednak odwagi próbować jej pocieszać. Bo co miałby powiedzieć? Że wreszcie się zmieni, choć nikt w to już nie wierzył? Wolał milczeć niż składać obietnice bez pokrycia.

Zgarnął z krzesła T-shirt i podał go Carmen, gdy uporała się ze ściąganiem butów. Podniosła się, rzuciła z siebie kurtkę i bez skrępowania złapała za materiał swojej bluzki, dlatego zamknęła oczy. Wolał na to nie patrzeć, żeby nie pobudzać bardziej wyobraźni, bo już balansował na cienkiej granicy. Uniósł powieki w samą porę, by zobaczyć, jak spódniczka dziewczyny osuwa się na ziemię, a uda zakrywa koszulka.

Poczekał, aż położy się do łóżka, zakrywając się kołdrą niemal po sam czubek głowy. Chciał wyjść. Naprawdę chciał to zrobić, ale coś mu na to nie pozwalało. Przypomniawszy sobie, że Carmen zawzięcie siedziała przy nim, gdy spał przez siedemnaście godzin, chociaż w ogóle na to nie zasługiwał. Nie opuściła go jak wszyscy inni. Dlatego czuł się zobowiązany do tego, by z nią zostać, chociaż przez chwilę. I nie byłoby mu szkoda, gdyby ta chwilka nieco się wydłużyła.

– Gorzkich snów, Karmelku – szepnął, pochylając się nad nią. Carmen poruszyła się niespokojnie, a Kai odskoczył od niej jak poparzony. Usiadł na krześle i oparł nogi na parapecie. Patrzył przed siebie, obserwując, co dzieje się za oknem. Miasto powoli budziło się do życia.

– Malachai? – Usłyszał nagle słaby głos dziewczyny i aż się wzdrygnął. Nie był na to przygotowany. Podejrzewał, że już śpi. Przeniósł na nią spojrzenie. – Przepraszam. Nie zasługujesz na to. Wcale nie jesteś tak zły, jak myślisz, wiesz? Daj sobie szansę.

Ogarnęło go dziwne uczucie. Najpierw wypełniło go ciepło, ale szybko zostało przyćmione przez paralizujący chłód, który doskonale znał. Odchylił głowę do tyłu i zacisnął dłonie w pięści, wbijając paznokcie w skórę. Nawet nie próbował analizować tego, że może jest lepszy, że może wciąż tkwi w nim coś dobrego, ponieważ odkąd pamiętał, dążył do bycia złym.

Stał się najgorszą wersją siebie nie tylko ze względu na to, że musiał. On po prostu chciał być najgorszy. Chciał, aby ludzie czuli przed nim respekt. Chciał, by unikali jego wzroku. Chciał, żeby drżeli na samą wzmiankę o nim. Chciał, aby obawiali się go skrzywdzić. Chciał czuć nieprzemijającą siłę. Chciał pamiętać o duchach w płucach i trupach w swojej szafie. Lubił moment, gdy stawał się diabłem, a diabeł stawał się nim. Lubił wszystko to, co sprawiało, że był zły. I nie zamierzał żadnej z tych rzeczy zmieniać lub porzucać.

Nawet nie wiedział, w którym momencie zasnął. Przebudził się, gdy usłyszał dźwięk otwieranych drzwi. Poderwał się z krzesła tak szybko, że niemal z niego spadł. Wyprostował zeszywniałe od siedzenia w niewygodnej pozycji kości i strzelił karkiem.

James zatrzymał się w korytarzu.

– Kai, wow – powiedział, zaglądając do pokoju. Wydawał się naprawdę zaskoczony obecnością szatyna w ich mieszkaniu. I może nawet trochę złękniiony. Tego na pewno nie przewidywał. – Nie sądziłem, że tu będziesz.

Malachai też się tego po sobie nie spodziewał. Uśmiechnął się niewinnie, zagryzając wargę, a potem schował dłonie do kieszeni spodni i zaczął delikatnie bujać się na piętach. Czuł się nieswojo, kiedy James przyglądał mu się badawczo, jakby chciał zrozumieć, co się stało.

– Nie sądziłem, że będziesz miał tupet, żeby tu przyjść – odbił piłeczkę, sprawiając, że Cameron przymknął usta i przeczesał dłonią włosy. – Carmen nie chce cię widzieć.

James spojrzał na niego, jakby właśnie zobaczył ducha.

– Od kiedy jesteś ekspertem w tym, czego chce moja siostra? – prychnął James, a później zaśmiał się pod nosem, na co Kai zmarszczył brwi. Nie miał jednak siły ani ochoty, by próbować to rozgryźć. – Może najpierw zapytamy ją o zdanie?

Cameron spróbował się ruszyć, jednak Kai momentalnie zablokował mu drogę. W odpowiedzi James złapał go za skrawek kurtki, przysuwając się jeszcze bliżej. Odór przetrawionego alkoholu, który unosił się wokół niego, zaczął rozprzestrzeniać się po korytarzu.

To był zapalnik. Pewne stało się to, że żaden z nich dłużej nie wytrzyma słownych potyczek, udając, że to tylko kumpelskie żarty. Rozpoczęła się wojna.

– Jedyną osobą, której nie powinno tu być, jesteś ty, Kai – rzucił radośnie James. Wyraz jego twarzy stał się obrazem zrozumiałości, która skutecznie wytrąciła Malachaia z równowagi. Jakby już nie był wystarczająco nabuzowany. – Znam swoją siostrę. Jeśli się z tobą buja, musi mieć w tym interes. Spojler alert. Carmen to egoistka i manipularka.

Te słowa rozbudziły w Kaiu ziarenko niepewności, czy Carmen naprawdę nie kręciła się przy nim tylko po to, aby go wykończyć. Bez względu na to, ile prawdy tkwiło w słowach Jamesa, Kai nie zamierzał dłużej tego tolerować. Nie chciał nawet o tym słuchać. Całkowicie stracił resztki samokontroli, które próbował zachować, choćby dla pozorów. Zacisnął zęby na wardze z taką siłą, że od razu przeciął wczorajszą ranę.

– ...zupełnie jak ty, może jednak jesteście siebie warci.

Malachai walczył sam ze sobą, ale ostatecznie tej bitwy nie przeżył nikt.

– Hej, James – mruknął, a potem zaczął powoli się odwracać, jednocześnie podkurczając ramię. Później wszystko nagle przyśpieszyło. Uderzył chłopaka zupełnie niespodziewanie, wkładając w to całą siłę, aż zapiekły go kostki.

Cameron wpadł na ścianę z głośnym hukiem, po czym lekko się po niej osunął, utrzymując ciężar ciała na kolanach. Spojrzał zaszklonymi oczami na Kaia i docisnął dłoń do obolałego, zaczerwienionego miejsca. Cios, który na niego spadł, był na tyle mocny, że na moment go zaćmiło. Nic nie rozumiał.

– Pojebało cię? – wrzasnął w końcu. Nie przejmował się tym, że mógłby tym krzykiem zbudzić połowę sąsiadów. Z szaleńczo bijącym sercem i gwałtownie unoszącą się kłatką piersiową obserwował Malachaia. Szatyn tylko wzruszył ramionami. Nawet na sekundę nie przestał się uśmiechać w charakterystyczny dla siebie, niepokojący sposób.

Kai kiwnął głową z uznaniem. Osiągnął swój cel.

– Potraktuj to jako ostrzeżenie. Albo nauczkę, by nigdy więcej nie wystawiać siostry takim świrrom jak ja.

Cameron niezbyt się kontrolował. Wciąż czuł się tak, jakby utknął we śnie, z którego nie potrafił się obudzić. Wyprostował się i zrobił parę kroków do przodu, aż stanął naprzeciwko Malachaia. Zadał podbródek. Nie chciał pokazać, że w rzeczywistości trochę obawia się tego, co mogło się wydarzyć, jeśli nie będzie trzymał języka za zębami.

– Wiesz, co? Pierdol się, Kai – wyrzucił z siebie, a potem sam nie potrafił uwierzyć w to, że wypowiedział swoje myśli na głos. Kai uniósł kpiąco kącik ust. Coś w Jamesie się zagotowało, dlatego go odepchnął. Szatyn posłusznie zrobił krok w tył, choć wewnętrznie szykował się do ponownego ataku. – Proszę bardzo, skatuj mnie, jeśli to sprawi, że chociaż przez moment poczujesz się lepiej z samym sobą.

Kai nieoczekiwanie zaczął klaskać.

Musiał przyznać: pierwszy raz w życiu zaimponował mu James Cameron.

– Wow, gratuluję, może jednak masz jaja i nie jesteś taką pizdą, za jaką cię miałem.

Cameron czuł się tak, jakby ominęło go kilka minut z życia. Był otumaniony, jakby to jedno uderzenie porządnie zatrzęsło jego umysłem. Mrugał gwałtownie, ale nadal nie rozumiał, co dzieje się wokół. Chciał coś odpowiedzieć, jednak nie mógł znaleźć właściwych słów.

Na szczęście lub nieszczęście z pokoju wyłoniła się zaspana Carmen. Przejechała dłonią po twarzy. Spojrzała najpierw na Kaia, widocznie zaskoczona jego obecnością. Później przeniosła spojrzenie na swojego brata, którego też się tu nie spodziewała, i lekko się przeraziła. Skóra wokół policzka Jamesa była czerwona, jakby nałożył na niego róż. Alkohol najprawdopodobniej wciąż pustoszył jej organizm, ale udało jej się połączyć fakty.

– O Boże. Co mu zrobiłeś? – zwróciła się do Kaia, który zerknął na nią dopiero wtedy, gdy się zbliżyła i szarpnęła go za koszulkę. – Dlaczego? Malachai!

W ułamku sekundy chwycił jej nadgarstki, dzięki czemu mógł ją od siebie odsunąć.

Instynktownie postawiła krok do przodu, chcąc zasłonić sobą Jamesa.

– Przestań mnie tak, kurwa, nazywać! – ryknął, tracąc resztki cierpliwości. Przeraził ją tym tonem. I sam też się zdziwił, że tak na nią nakrzyczał. Puścił ręce dziewczyny, ponieważ bał się, że za moment naprawdę zrobi jej krzywdę. Zaczął się cofać, aż wpadł na drzwi.

Dusił się w swoim ciele. W swojej głowie.

– Nie udawaj, że nie zasłużył na gorsze rzeczy – powiedział łagodniejszym tonem. Carmen wciąż patrzyła na niego ze strachem. Wcisnęła się przed brata, jakby w razie potrzeby chciała go obronić. Mimo wszystkiego, co zrobił, nie mogła pozwolić, by Jamesowi stała się krzywda. Zaśmiała się gorzko i nieszczerze. – Ciesz się, że wciąż żyje.

– Mam ci za to podziękować? – prychnęła.

– Rób co, chcesz.

– Chcę, żebyś wyszedł – mruknęła, czym wyraźnie go zaskoczyła. Miał wrażenie, że za moment swoim spojrzeniem wypali mu wnętrze. On natomiast nie chciał na nią patrzeć. Zaczął obgryzać od środka policzek, aż poczuł w ustach smak krwi.

Serce podchodziło jej do gardła. Mogłaby nim zwymiotować. Mimo strachu, który uwił sobie gniazdo w głowie, podeszła do niego i ponownie go szarpnęła.

– Słyszałeś? Wyjdź stąd, Kai!

Zdecydował się unieść głowę, ale wciąż się nie ruszył, jakby nie rozumiał jej słów. Oczy Kaia były jeszcze bardziej niebieskie, chłodne i pełne ostrych krawędzi przez smutek, który w nich lśnił. Nie potrafiła zbyt długo w nie patrzeć, ponieważ obawiała się, że po prostu to cierpienie pochłonie ją całą i podobnie jak on, straci przez nie swoją duszę.

– Nie jestem dobrym facetem, Karmelku – wyszeptał. – Ani dla ciebie, ani dla siebie. Jestem tym złym. Biorę, co chcę, i robię, co chcę. Nigdy nie postępuję tak, jak należy. – Brzmiał mrocznie, ale na ułamek sekundy uniósł kącik ust, gdy postukał palcem w jej czoło, dodając: – Wbij sobie to do tej pięknej główki.

– Masz rację – westchnęła. – Tylko wszystko rujnujesz!

Słowami zdzieliła go w twarz. W pierwszej sekundzie po prostu stał wyprostowany i jedynie mrugał, ciągle przetwarzając to, co powiedziała. Jej głos huczał mu w głowie, jakby na stałe uwił sobie przytulne gniazdko w umyśle. Nie wiedział, jak się zachować. Ale wiedział, że nie może pokazać, jak bardzo poruszyło go to, że Carmen ma o nim takie zdanie. Dlatego znów pozwolił, by kontrolę przejął zły Kai. Tak było łatwiej.

Było łatwiej rujnować.

– Mam ci pokazać, gdzie są drzwi?

– Spoko. Nie trzeba – odburknął obojętnie. – Już znikam.

Patrzył na nią kilka sekund, a potem na sztywnych nogach ruszył do drzwi. Zanim je otworzył, zerknął przez ramię. Uśmiechnął się niepokojąco, po czym znów się odezwał:

– Ach, jeszcze jedno. Wejdź mi w drogę, James, a nikt nigdy więcej cię nie zobaczy.

Miał ochotę krzyczeć, ale nie potrafił. To był po prostu rodzaj smutnej choroby, kiedy nie mógł poczuć się gorzej.

• • •

W głowie miał tylko jedną myśl: albo „nie był tak zły”, albo „wszystko rujnował”. Ludzie nie potrafili się zdecydować. To zjadało go od środka. Przygniatało klatkę piersiową. Nie pozwalało swobodnie oddychać. Ciągnęło na samo dno. Sprawiało, że czuł się słaby. Próbował wyrzucić z głowy te sprzeczne słowa, ale utknęły tam na tyle głęboko, że nie potrafił się ich pozbyć. Dlatego musiał przekonać się, że był gorszy.

Zanim wysiadł z samochodu, opuścił szybę, by słyszeć muzykę, która w jakimś stopniu niosła mu ukojenie, chociaż była głośna jak głosy w jego głowie. Na zewnątrz od razu założył na nos przeciwsłoneczne okulary, ponieważ wschodzące słońce niemiłosiernie raziło go w oczy. Oparł się o karoserię i skrzyżował ręce na torsie. Czekał.

Przesłuchał trzy piosenki, nim ktoś wyszedł z budynku. A był to ochroniarz, który poprzedniego wieczoru trochę go zdenerwował. I gdy na spokojnie przeanalizował całą sytuację, zrozumiał, że postąpił z nim zbyt łaskawie jak na swoje standardy.

– Hej – krzyknął, odpychając się rękoma od maski auta. Ściągnął okulary i wrzucił je przez uchylone okno na siedzenie. Mężczyzna rozejrzał się dookoła, a w końcu jego zmęczone spojrzenie spoczęło na sylwetce Kaia. Szatyn pomachał do niego z szerokim, trochę niepokojącym uśmiechem. – Pamiętasz

mnie?

– Czego tu jeszcze szukasz, świrze? – spytał i ruszył w stronę Kaia.

Malachai nie poczuł się urażony. Słyszał już wiele obelg, które padały pod jego adresem. Psychol. Popapraniec. Dziwak. Abominacja. Świr zaliczał się do tych najprostszych i może nawet trochę mu to schlebiali, bo idealnie opisywało jego skomplikowany charakter. Dlatego nawet na moment nie przestał się uśmiechać.

– Wrażen – odpowiedział ze spokojem w głosie oraz błyskiem porywczowości w oczach. Ochroniarz zatrzymał się parę kroków przed nim. Kai zauważył kilka plastrów na jego szyi, które nieudolnie kryły ranę po przecięciu.

– Sorka, byłem trochę niedokładny – mruknął, wskazując palcem na gardło mężczyzny. – Następnym razem bardziej się postaram.

– Bawisz się w gangstera? – mruknął mężczyzna, posyłając mu rozbawione spojrzenie. Kai przechylił głowę i zmarszczył brwi, jakby powoli przetwarzał informacje. Na jego twarz szybko wypełznął grymas niezadowolenia.

– Och, nie obrażaj mnie.

Brzmiał poważnie i surowo. Poczł nagły przyptyw złości. On? I gangster? Co to w ogóle za porównanie? Nie grał przecież w filmie. To było prawdziwe życie. Miał ochotę się roześmiać, ale zamiast tego zagryzł policzek od środka. Schował dłonie do kieszeni džinsów, starając się chociaż w niewielkim stopniu przypominać opanowaną osobę.

– Jestem tylko zwykłym psychopatą – rzucił luźno i poruszył delikatnie ramionami – przed którym powinieneś się kłaniać.

Wydawało się, że oczy chłopaka nagle pojaśniały, jakby ktoś zapalił w nich świece. Uśmiechnął się, ukazując rząd zębów i postawił krok do przodu.

– Poważnie, zjeżdżaj stąd, chłoptasiu.

Malachai zaśmiał się gardłowo i pokręcił głową.

– Wczoraj byłeś odważniejszy – westchnął, jakby właśnie bardzo się zawiódł. Mężczyzna tego nie skomentował, tylko odwrócił się z zamiarem odejścia. Kai jednak nie przyjechał tam tylko po to, by wymienili ze sobą kilka zdań. – No dalej, nie chcesz się na mnie odegrać? – kontynuował, krocząc za ochroniarzem. – Stary, prawie poderżnąłem ci gardło, a teraz daję ci szansę na rewanż. Tylko idio...

Nie dokończył, ponieważ mężczyzna odwrócił się i z całej siły uderzył go pięścią w nos. Kai lekko oszołomiony zatoczył się do tyłu. Uniósł głowę i starł wierzchem dłoni krew, która spłynęła od nosa aż do brody, a pojedyncze krople rozbryzgnęły na jego bluzce. Roześmiał się histerycznie, a w niebieskich oczach pojawił się diabeł.

Właśnie tego oczekiwał. Ogarnęła go euforia.

– Nieźle – wydusił z uznaniem, podskakując w miejscu. – Chcesz spróbować jeszcze raz?

Nie musiał zbyt długo czekać na kolejny cios. Nawet się nie bronił. Tym razem oberwał w bok twarzy. Tak mocno, że zobaczył gwiazdy. Skóra na brwi pękła, a krew ponownie zalała jego twarz. Rana paliła niczym ogień, ale Kai nawet się nie skrzywił. Zamiast tego cały czas się śmiał, czym zbił przeciwnika z tropu.

Malachai to wykorzystał. Trochę chwiejnym krokiem ruszył w kierunku mężczyzny, a gdy znalazł się wystarczająco blisko, wymierzył mu cios w wątrobę. Tak, jak zawsze uczył go Ivan. Przeciwnik momentalnie osunął się na ramię Kaia. Jednym ruchem pchnął go tak, że upadł na ziemię. Kucnął przy nim, mrużąc jedno oko, po którym wciąż spływała krew.

– Jezu – jęknął. – Myślałem, że takiego goryla stać na więcej.

Mężczyzna patrzył na Kaia nieco rozbieganym wzrokiem, jednocześnie zwijając się z bólu. Uderzenie sprawiło, że na moment stracił oddech. Malachai podniósł się do pionu, czując wibracje telefonu. Spojrzał przelotnie na ekran, a potem ponownie wbił mroźne spojrzenie w ochroniarza. Przez krew na palcach udało mu się odebrać dopiero przy czwartej próbie.

– Cześć, Karmelku – powiedział radośnie z uśmiechem na ustach, choć ich wcześniejsza rozmowa nie przebiegła zbyt dobrze. Kai zamierzał jednak zachowywać się tak, jakby nic się nie stało. Tak było łatwiej. Czubkiem buta trącił mężczyznę, sprawdzając tym samym, czy nadal kontaktuje. – Wytrzeźwiałaś i zrozumiałaś, że popełniłaś błąd?

Carmen przez kilka sekund milczała, jakby nagle zrezygnowała z rozmowy.

– Musimy porozmawiać.

– O tym, jak bardzo, bardzo, bardzo masz przechłapane za kablowanie psom? – zapytał, udając zamyślnego. Odpowiedziała mu cisza, którą przerwał dźwięk przypominający przełykanie śliny. – Tro-

chę przykro, że się na mnie wypięłaś.

– Nie możesz włączyć do mojego mieszkania i bić mojego brata – westchnęła z wyrzutem. Wolą pominąć temat, który narzucił Kai. Trochę ochłonęła, odkąd wyszedł, ale powoli znów narastała w niej złość. Nie wiedziała nawet, dlaczego chciała z nim to obgadać. Powinna to zostawić, jednak zdawała sobie sprawę z tego, że Malachai i tak nie zamierza dać jej spokoju.

– Och – sapnął Kai. – O tym chcesz rozmawiać.

Wcale mu się to nie podobało.

– Poskarżyłaś się już kundlowi? – rzucił z ironią.

Carmen pozostawiła to bez odpowiedzi.

– Możesz próbować mnie złamać. Mam to gdzieś, ale proszę cię, Ma... Kai – przerwała, by nabrać w płuca powietrza. Poczł się dziwnie, gdy znów zwróciła się do niego tak jak wszyscy, choć sam o to prosił. – Nie dotykaj więcej Camerona. Ja też potrafię być zła, jeśli ktoś zadziera z moimi bliskimi.

– Tylko na to czekam, Karmelku – odpowiedział z ekscytacją w głosie. – Ukarzesz mnie teraz za nieposłuszeństwo? Zwiążesz? Albo nie... – zrobił pauzę, chcąc wprowadzić trochę napięcia. – Wbijesz mi gdzieś widelec?

– Czy ty kiedykolwiek potrafisz być poważny?

– Mam to traktować jako „nie”? – westchnął ze smutkiem. – Szkoda.

Spoważniał na moment, gdy ochroniarz wydał z siebie niemal nieludzki dźwięk, jednocześnie przypominając o swojej obecności. Prawie zapomniał, że wciąż leży obok. Kai bez wahania przycisnął do jego twarzy but, czym utrudnił mu wydawanie z siebie kolejnych jęków.

– Co to za dźwięki? – spytała.

Malachai przez ułamek sekundy wahał się, czy wyznać jej prawdę. Ale przypomniał sobie, że przyjechał tu głównie przez nią, bo ona uważa, że „nie jest taki zły”. Mimo tego, że miliony razy pokazywał jej drzemiące w nim demony. Chciał znów udowodnić, że wciąż kryło się w nim uosobienie zła, przed którym powinna uciekać.

– Pamiętasz tego goryla, który wczoraj był dla ciebie niemiły? – Nie czekał na odpowiedź, bo najprawdopodobniej skinęła głową, czego nie mógł zobaczyć. W zamian przycisnął mocniej podeszwę buta do ust mężczyzny, z których wypłynęła krew. – Chciałby się przywitać, ale aktualnie krew zalewa mu usta.

– Co ty znowu wyprawiasz? – Carmen miała przejęty głos. Kai zamyślił się, przywołując w wyobraźni jej niezadowoloną minę.

– Widzisz, wszyscy dookoła wmawiają mi, że jednak jestem dobry – mruknął, robiąc znaczącą pauzę. – Ale ty, Karmelku, miałaś rację. Tylko rujnuję. Dlatego nie pozostało mi nic innego, jak udowodnić im, że się mylą.

– Nie musisz...

– Carmen, uwielbiam te nasze małe pogawędki, ale muszę dokończyć to, co zacząłem – wciął się w jej zdanie z uśmiechem na ustach. – Później opowiesz mi o swoim kumplu psie. Postaraj się nie tęsknić zbyt mocno – dodał na koniec i cmoknął w powietrze. Nie czekając na odpowiedź, rozłączył się.

Ponownie kucnął przy mężczyźnie. Chwyił go za głowę, wyszczerzył się i zrobił sobie z nim zdjęcie, a następnie przesłał je do Carmen z dopiskiem „Wygrałem”. Jego komórka niemal od razu zaczęła wibrować, a na ekranie wyświetliło się jej imię. Nie miał jednak siły wysłuchiwać pouczających gadek, dlatego schował telefon z powrotem do kieszeni dżinsowej kurtki.

– Świetnie ci szło – bąknął i poklepał mężczyznę po ramieniu. Później pomógł mu usiąść. – Ale ciężko ze mną wygrać.

Wstał i ruszył przed siebie, wycierając twarz rękoma. Przystanął, gdy dobiegł do niego słaby, ledwo słyszalny głos.

– Jesteś chory.

– Cieszę się, że to zauważyłeś – odpowiedział od razu. Zerknął na ciężko dyszącego mężczyznę i mrugnął do niego, unosząc kącik ust.

Zostawił go samego na parkingu. Gdy wsiadł do auta, od razu zerknął w lusterko. W świetle słońca jego tęczęwki wydawały się bardzo jasne, chociaż było w nich coś dzikiego i nieludzkiego. Włosy miał potargane, przez co odstawały na różne strony. Przetarł dłonią twarz, powodując, że zastygnięta na niej krew zaczęła się kruszyć.

Odpalił silnik i odjechał z piskiem opon.

Dalej! Kto następny? – krzyknął Malachai, a jego głos rozniósł się po całym pomieszczeniu. Podskakiwał w miejscu, by chociaż na sekundę nie przestawać się ruszać. Był rozgrzany i nabuzowany. Miał w sobie nadzwyczaj dużo energii, która go rozpierała, niemal rozciągając wnętrze. Musiał w jakiś sposób ją wyładować. Najlepiej na kimś. Do krwi.

Rozejrzał się dookoła. Jego dotychczasowy przeciwnik próbował się podnieść, ale szybko osunął się z powrotem na matę wykończony i zakrwawiony, przegrany.

– Nie, ty nie – mruknął do chłopaka, cmokając w powietrze. – Tobie już dziękujemy.

Kai tego dnia powalił dwóch mężczyzn i wciąż nie miał dość.

– Gdybyś trochę im odpuścił, nadal miałbyś z kim walczyć – zauważył Ivan niskim i chłodnym tonem. Przez cały ten czas bacznie obserwował poczynania bratanka. Nie był zadowolony z tego, że Kai tak łatwo sobie z nimi radził, ale jednocześnie rozpierała go duma, bo sam go tego uczył. Widział w nim siebie sprzed lat.

– Gdybyś nie przysyłał mi takich ciot, nadal miałbym z kim walczyć, wujaszku – odburknął Kai, podchodząc bliżej Ivana. Dzieliła ich zaledwie siatka, na której zacisnął poranione od serii uderzeń palce. Rzucił spojrzeniem po sali. Zatrzymał je na znajomej twarzy i momentalnie szeroko się wyszczerzył.

Carter od razu pokręcił głową.

– Nie ma szans. Zabijesz mnie.

Malachai przewrócił oczami.

– Nie zabiję – zapewnił. – Przecież cię kocham, skarbeczku.

– Nie. Ma. Szans – powtórzył ostrzej Carter.

– Holden? – rzucił do brata, który do tej pory siedział na krześle i kompletnie niezainteresowany sytuacją przeglądał coś na telefonie. Zaskoczony uniósł głowę, przez co kosmyki włosów przesłoniły mu widok. Wzdrygnął się na widok Kaia, całego spoconego i nakręconego niczym zabawka. Przypominał robota stworzonego do zniszczenia.

– Nigdy – powiedział z lekkim uśmiechem i wrócił do poprzedniej czynności. Nie zamierzał się w to mieszać. Był tam tylko po to, by w razie potrzeby jakoś zapanować nad bratem, bo tykał jak bomba. Ale nie istniał żaden scenariusz, w którym miałby stanąć przeciwko niemu. A przynajmniej wierzył w to z całego serca.

– Widzisz, wujaszku? – westchnął Kai. – Nie ma tu dla mnie godnego przeciwnika.

– Jest. – Ivan uśmiechnął się, ukazując zęby. Coś w wyrazie jego twarzy się zmieniło. Pojawiło się w niej coś niepokojącego, dzięki czemu Malachai zdał sobie sprawę z tego, że w głowie wujka pojawił się plan samego diabła.

– Niby kto? – prychnął, po czym kolejny raz przeleciał wzrokiem całe pomieszczenie, jednak nie znalazł żadnej osoby, która zwróciłaby na siebie uwagę.

Kątem oka zauważył, że Ivan się poruszył. Jednym zwinnym ruchem zrzucił z siebie koszulkę, pozostając jedynie w czarnych sportowych spodenkach. Kai przyglądał się płynnym ruchom wytatuowanych ramion, gdy mężczyzna obwiązywał dłonie bandażami. Wiedział, do czego to zmierza i wcale nie był z tego zadowolony.

– Ja – odpowiedział wreszcie Ivan, wskakując na ring. Na pierwszy rzut oka Malachai miał przewagę, ponieważ był wyższy, więc również zasięg jego rąk był większy, ale mimo tego ważył kilka kilogramów mniej. Nigdy nie potrafił pokonać wujka. W starciu z nim zawsze przegrywał. I nawet nie łudził się, że tym razem będzie inaczej.

Stuknęli się pięściami. Kai zamierzał to wykorzystać. Zaatakował jako pierwszy. Zamachnął się od razu, trafiając w lewy policzek wujka. Włożył w to tyle siły, że udało mu się rozciąć skórę. Wyszczzerzył zęby w uśmiechu.

Zniknął on jednak z jego ust tak szybko, jak się pojawił. Ivan nigdy nie pozostawał dłużny. Był jak idealnie zaprogramowana maszyna. W ciągu kilku sekund na Kaia spadła lawina potężnych ciosów.

Już pierwsze uderzenie roztrzaskało mu nos. W kącikach oczu zebrały się łzy, których nie kontro-

lował, a na wargach poczuł znajomy smak krwi. Prawy, lewy i znowu prawy. Kai jakimś cudem zdołał je zablokować, ale kiedy sam się zamachnął, Ivan zwinnie się uchylił, przez co Kai trafił w powietrze. To trochę go zgubiło. Wujek zdołał złapać go za kark, powodując, że mimowolnie się pochylił. Kolano Ivana wbiło się w jeden bok, a następnie w drugi, objając zebra, przez co Kaiowi zabrakło tchu.

Ivan pchnął go na siatkę, jakby był szmacianą lalką. Nawet na sekundę nie przestawał napierać na bratanka. Gdy ten, oszołomiony, odbił się plecami od ringu, bez ostrzeżenia zarył pięścią w brzuch. Kai instynktownie spał mięśnie z nadzieją, że staną się czymś w rodzaju tarczy. Musiał działać szybko. Ruszył na Ivana, chcąc go przewrócić, ale to on był pierwszym, który padł na plecy. Wujek dosiadł go bez najmniejszego problemu, wymierzając kolejne ciosy w twarz. Kai powoli przestawał kontaktować. Jego oczy przewracały się w tył, a głowa bezwładnie opadała na boki.

– Jeśli chcesz być najlepszy, Kai... – wydyszał Ivan, zmniejszając częstotliwość uderzeń.

– ...muszę pokonać najlepszych – dokończył Kai, gdy wujek wreszcie się z niego zsunął.

Wyprostował się i kiwnął głową na potwierdzenie słów chłopaka.

Malachai czuł, jak każdy mięsień w jego ciele niebezpiecznie pulsuje i drży. Mimo tego dźwignął się na nogach. Próbował ustać w miejscu, jednak nieustannie chwiało się na boki. Splunął poza ring śliną zmieszaną z krwią i wyszczerzył się dumnie.

– Ej, wujaszku – krzyknął. Mężczyzna przystanął i zmrużył groźnie brwi. – Jeszcze nie skończyłem. Widzisz? Wstałem – dorzucił luźno, po czym rozłożył szeroko ręce, jakby zapraszał Ivana do kolejnego starcia. Nie musiał zbyt długo czekać na reakcję wujka. Ruszył w jego stronę lekko zgarbiony, dzięki czemu na jego karku uwidoczniły się przerośnięte mięśnie.

Kai nawet nie zarejestrował, w którym momencie Carter znalazł się między nimi.

– Wyluzuj – wyszeptał do przyjaciela. – Chcesz, żeby cię zabił?

Szatyn wzruszył obojętnie ramionami. Prawda była taka, że ledwo ogarniał, co działo się wokół niego, jakby jego umysł już dawno się wyłączył. Przesunął rozbieranym wzrokiem po okolicy, ale nigdzie nie widział Holdena. Cieszył się w duchu, że Carter go podtrzymawał, bo w innym wypadku mógłby paść z powrotem na matę.

Mimo przeszkody, jaką stanowiło ciało Cartera, Ivan chwycił mocno szczękę bratanka.

Kai spojrział na niego nieprzytomnie. Wciąż uśmiechał się z wyższością.

– Wściekły umysł to wąski umysł, Kai – wysyczał gniewnie, a następnie go puścił i się wycofał. Carter odetchnął z ulgą. – Swoim lekkomyślnym zachowaniem sam siebie zgładzisz.

Chłopak roześmiał się pod nosem, opierając czoło na ramieniu przyjaciela. Ivan zawsze potrafił sprowadzić go do parteru. Dosłownie i w przenośni.

• • •

Holden był przejęty i jednocześnie przerażony tym, co działo się z jego bratem. Nie potrafił sobie tego racjonalnie wyjaśnić. Z bezsilności wydzwaniał do Carmen, dopóki nie zgodziła się na spotkanie.

Nagle wyłoniła się zza najbliższego zakrętu. Od razu rzucił się jej w oczy. Stał, opierając zgiętą nogę o ścianę. Ruszył się, kiedy ją zobaczył.

– Co jest tak ważne, że kazałeś mi tu przyjść? – spytała, chociaż nadal dzieliła ich spora odległość. Holden też zrobił kilka kroków w przód, zmniejszając dystans między nimi. Carmen zatrzymała się przed nim i zadarła lekko głowę, by spojrzeć na jego twarz. Miał ściągnięte brwi i zacisniętą szczękę. Wyglądał na zmartwionego.

– Kai – powiedział tak cicho, że bardziej przypominało to ciężkie westchnienie. Carmen bacznie mu się przyglądała, czekając na dalsze słowa. – Kai zaczyna wariować. Pomyślałem, że... – przerwał, by przeczesać kosmyki włosów, które zaplątały się w jego palce – że może ty jakoś na niego wpłyniesz. Zanim będę musiał zrobić to, co trzeba.

Carmen zmrużyła oczy, chcąc wyglądać nieco groźniej. Holden domyślił się, że to miało znaczyć mniej więcej „Oszalałeś?”. Mimowolnie się roześmiała. Znów nie potrafiła uwierzyć, że Holden, ten chłopak z dobrym sercem, robił coś tak okropnego własnemu bratu. Jego opanowanie w tej sytuacji doprowadzało ją niemal do szału.

– Nawet nie próbuj – warknęła niczym wściekły pies, chociaż w jej przypadku przypominało to bardziej ujadającego ze złości yorka. Wymierzyła w Holdena palec, machając nim przed jego oczami. – Gdzie on jest?

Holden skinął głową w stronę drzwi pokrytych kolorowymi naklejkami. Później minął ją i wszedł do środka. Podążyła za nim. W środku z metalowych haków nieruchomo zwisały worki. Na zaporowanych lustrach pojawiały się nieczytelne wzory. Ring był pusty. Ivan rozwiązywał zakrwawione bandaże, które miał na dłoniach i nadgarstkach. Carter po prostu kręcił się po pomieszczeniu, jakby nie potrafił

znaleźć sobie zajęcia.

A na środku on.

Z początku widok Kaia tak ją zszokował, że nie mogła się ruszyć. Siedział, opierając łokcie na kolanach i tępo wpatrywał się w swoje dłonie. Na zmianę zaciskał i rozprostowywał palce. Dzięki temu jego żyły naprężyły się do tego stopnia, że bez problemu dałoby się je wyczuć pod palcami. Ich jasnyniebieska barwa przebijała się przez skórę, kontrastując z zaczerwionymi kostkami.

– Malachai – powiedziała Carmen twardo, robiąc kolejny krok w jego stronę.

Nie słyszał jej. Zauważyła, że ma w uszach słuchawki, a muzyka z nich dudniła tak głośno, że Carmen, stojąc dalej, doskonale ją słyszała. Piosenka miała bardzo mocne brzmienie, co najprawdopodobniej idealnie pasowało do nastroju chłopaka.

– Malachai – powtórzyła, a jej głos był silny i wyraźny. Znowu nie otrzymała żadnej reakcji, dlatego wyszarpnęła słuchawki z jego uszu i upuściła je na ziemię.

Dopiero wtedy uniósł głowę.

Wyglądał znacznie gorzej, niż przypuszczała. Zdarte knykcie były zaledwie kroplą w oceanie otarć. Miał paskudną, wciąż lepką ranę na brwi, delikatne rozcięcie przy kości policzkowej, zalane krwią lewe oko i lekko opuchnięty nos. Pot spływał spod jego włosów, po nosie i brodzie, lądując na szarej koszulce na ramiączkach.

Najpierw łypnął na nią, a potem na Holdena, który stał za jej plecami. Ten widok go zdenerwował. Nie chciał jej widzieć – szczególnie w tak wybornym towarzystwie. Kolejny raz poczuł się przez nią zdradzony, a to skłoniło go do rozważań nad tym, co miała w sobie, że nieustannie poddawał się jej urokowi. Narósł w nim jeszcze większy gniew. W ułamku sekundy podniósł się do pionu. Zmierzył brata przeszywającym spojrzeniem.

To jemu miał jak zawsze najwięcej do zarzucenia. Carmen przecież nieustannie dostawała od Kaia czystą kartę. Jeden uśmiech i zapominał o wszystkich przewinieniach.

– Spiskujesz z nią za moimi plecami? – syknął, a potem się roześmiał, chociaż nie było w tym ani grama rozbawienia. – Kiedy wreszcie dasz mi święty spokój, Hol? Nie potrzebuję jebanej niańki!

Złość, która nim kierowała, sprawiła, że bez namysłu popchnął brata.

Carmen znajdowała się w samym epicentrum nadchodzącego trzęsienia ziemi. Ślizgała się spojrzeniem od Holdena do Kaia, dokładnie śledząc ich reakcje. Holden jak zawsze był oazą spokoju, co wyprowadzało Malachaia z równowagi. On natomiast był całkowitym przeciwieństwem opanowania. Jego klatka piersiowa unosiła się gwałtownie, a nozdrza rozszerzały za każdym razem, gdy głośno nabierał powietrza.

– Co jest, braciszku? – mruknął z kpina Kai. Dalej prowokował, dlatego uderzył Holdena w bark. Starał się wyprowadzić blondyna z równowagi, chociaż wiedział, że to graniczyło z cudem. – Tak bardzo boisz się utraty nade mną kontroli, że ściągasz tutaj nawet ją?

Poczuła na sobie spojrzenie Kaia. Też przeniosła na niego wzrok, ale nie spodobało jej się to, co zobaczyła. Wydawał się inny. Odległy i zimny.

– Tak się składa, że ostatnio tylko ona cię interesuje.

Malachai wybuchnął głośnym śmiechem.

– Tak jak ciebie – burknął Kai. Rzucił przelotne spojrzenie w kierunku Carmen, a gdy je chwyciła, uderzyło w nią dziwne przecucie, że to, co Malachai ma jeszcze do powiedzenia, wcale jej się nie spodoba. W tej chwili jednak Kai nie przejmował się za bardzo tym, że mógł jej zaszkodzić. – Powoli zaczynam to rozumieć. Ma więcej wspólnego z Selene, niż ci się wydaje. Prawda, Karmelku?

Malachai Yordan uwielbiał wbijać w nią szpilki jak w zaczarowaną lalkę voodoo. Już na nią nie patrzył. Jego niebieskie oczy utknęły gdzieś na twarzy brata, gdy ten przechylił głowę. Było w nim coś nieludzkiego, kiedy uśmiechał się szeroko z nieobecnym wzrokiem.

– Co masz na myśli? – dopytywał Holden z wyraźną konsternacją na twarzy. Skakał spojrzeniem od brata do Carmen i z powrotem. Z sekundy na sekundę wyglądał na coraz bardziej zaintrygowanego tą tajemniczą wymianą zdań. – Coś mnie ominęło?

– Powiemy mu? – Kai nachylił się nad Carmen, trącąc ją łokciem w ramię. Momentalnie wbiła w niego ostry wzrok i dyskretnie pokręciła głową. Łudziła się, że Kai bez słów zrozumie to, jak bardzo w tym momencie błagała go, by trzymał język za zębami. Ale pomimo tego, że wymieniali się wymownymi spojrzeniami przez dłuższą chwilę, i tak ją zawiódł, dodając radośnie:

– Carmen, tak jak Selene, leci na smutnych chłopców.

Nagle zabrakło jej tchu, jakby te słowa zamieniły się w kamienie i spadały z nieba wprost na jej klatkę piersiową. Naprawdę była gotowa na to, że Kai bez ceregieli wyzna Holdenowi prawdę, dlatego



z nerwów wbiła paznokcie w skórę, a dłonie stały się nieznośne lepkie. I chociaż Malachai zachował jej sekret dla siebie, widać było po nim, że jak zwykle wspaniale się bawi: tylko on tak szeroko się szerzył, że aż miała ochotę mu za to przywalić.

Najwyraźniej nie była jedyna. Twarz Holdena mieściła w sobie paletę najróżniejszych emocji, ale najbardziej z nich wyróżniała się irytacja. Stał ciągle w tym samym miejscu, nie ruszając się nawet o milimetr. Zauważyła tylko, jak niemal niedostrzegalnie wsuwa dłoń do kieszeni spodni. Mógł to zrobić z wielu powodów, a jednak w głowie Carmen pojawił się tylko jeden. Przerażona tym, że za moment wyciągnie strzykawkę, wcisnęła się między nich.

– Przestańcie! – krzyknęła. Spojrzeli na nią, jakby nagle przypomnieli sobie, że też tam stoi. Wyraz twarzy Holdena trochę złagodniał, ale Kai nadal wyglądał jak ktoś, kto zamierza zniszczyć świat. Dlatego odwróciła się twarzą do niego, położyła dłoń na jego piersi i stanęła na palcach. – Przystopuj ze swoim szaleństwem, bo za chwilę Holden je zakończy.

Blondyn uważnie im się przyglądał. Widział sposób, w jaki Kai na nią patrzył, jakby była jedyną rzeczą, o jaką kiedykolwiek chciał się troszczyć. Ona natomiast patrzyła na niego ze strachem w oczach, jakby za moment miał po prostu odejść.

– A co on może mi zrobić? – zaśmiał się Kai, jednak szybko spoważniał, gdy uzmysłowił sobie, co miała na myśli. Mięśnie w jego ciele trochę się rozluźniły. Spojrzał na nią z wdzięcznością. Burzliwe chmury w tęczówkach Kaia rozmyły się, pozostawiając jedynie czyste, błękitne niebo. – Nie ma, kurwa, mowy – warknął do Holdena. – Jestem twoim bratem, a nie cholerną zabawką, którą możesz wyłączać i włączać, kiedy ci się podoba!

W głosie Malachai pojawiło się przygnębienie i może nawet smutek. Brzmiał szczerze. Stał całkowicie wyprostowany z zaciśniętymi pięściami, gotowy do najodważniejszych czynów. Patrzył na Holdena tak, jakby oczekiwał zapewnienia, że to nigdy więcej się nie stanie.

– Kai, zrozum. Czasami nie dajesz mi wyboru.

Malachai jeszcze przez chwilę był poważny, aż wreszcie zaniósł się głośnym śmiechem, tym samym zwracając na siebie uwagę wszystkich w pobliżu. Uderzył dłonią w kolano, pokazując, jak bardzo go to rozbawiło.

– Słyszałaś? – zwrócił się do Carmen. Trącił ją w ramię. Nie przewidziała tego. Zachwiała się i asekuracyjnie postawiła jedną nogę do tyłu. – A ty? – Spojrzał ponownie na brata. – Dajesz mi kiedykolwiek jakiś wybór? Spytałeś, czy pasuje mi to, że szprycujesz mnie jakimś gównem? Nie? – Westchnął, kiedy nie otrzymał odpowiedzi. – No właśnie, Hol. Ubzdurałeś sobie, że musisz mnie zmienić, ale wiesz co? Wcale nie chcę być inny.

Sam nie wiedział, z jakiego powodu te wszystkie słowa wylały się z jego ust. Od dawna wołał w tych kwestiach trzymać język za zębami, ale kiedy to z siebie wyrzucił, poczuł się lżej, jakby ktoś ściągnął mu z barków kurestwo, które wiecznie dźwigał. Nie zmieniło to jednak faktu, że znów się nakręcał. Poczzerwieniał na twarzy, a na jego szyi uwidoczniła się żyła. Postawił krok w przód, zbliżając się do brata. Carmen utknęła między ich naprężonymi ciałami.

– Chciałbym tylko, żebyś wreszcie mnie zaakceptował.

Holden stał sztywno i po prostu na niego patrzył z oczami pełnymi łez i żalu.

– Chodź. Pokażesz mi, jak boksować? – wtrąciła Carmen, starając się odwrócić uwagę Kaia od brata. Przechylił głowę, dzięki czemu mógł jej się lepiej przyjrzeć. Rude włosy spięła w wysoką kitkę. Miała lekko podkreślone brwi i maźnięte tuszem rzęsy. Poza tym się nie pomalowała. – Chyba że przeszkadza ci to, że laska skopie ci tyłek.

Kai pokręcił głową, jakby właśnie się przesłyszał. Chwilę później wyszczerzył się z błyskiem w oku. Zadziałało. Carmen wiedziała, że jeśli urazi jego męską dumę, Kai zrobi wszystko, by udowodnić, że się myli. Podniósł koszulkę i przetarł nią twarz, pozostawiając na materiale nie tylko pot, ale także krwawe ślady. Pociągnął ją za sobą.

Obserwował, jak Carmen wskakuje na ring w bardzo obcisłych kolarkach i w znacznie za dużej czarnej bluzce opadającej na prawe ramię. Gdy się do niego zbliżyła, jego oczy załśniły z rozbawieniem. Rozciągnął usta w uśmiechu, jednocześnie przygryzając dolną wargę.

Od razu przeszła do rzeczy. Uniosła rękę i spróbowała wymierzyć pierwszy cios, ale Kai bez żadnego problemu łagodnie się przed nim uchylił. Podniósł brew. Spróbowała kolejny raz, a on znów zrobił unik. To była dla niego łatwizna.

– Musisz trzymać ręce nieco wyżej – poinstruował z powagą, jakby naprawdę wczuł się w rolę trenera. Podeszedł bliżej i uniół jej ramię. Carmen to wykorzystała. Wyprowadziła cios, dzięki czemu pięść zderzyła się z jego twardą szczęką. Skrzywiła się i na moment opuściła rękę, machając nią, jakby to

miało spowodować, że ból zniknie. Usłyszała śmiech Kaia. Miała wrażenie, że to sprawiało mu przyjemność. I w sumie wcale by się nie zdziwiła, gdyby to okazało się prawdą.

Pomyślała, że pewnie będzie tego żałować, ale musiała o to spytać.

– Dlaczego jesteś tak dobry w robieniu sobie krzywdy?

Zorientowała się, że Malachai stoi już na środku ringu, a ona tylko go okrąża. Wiedziała, że pod względem siły nie ma z nim szans, ale liczyła na to, że nieco go rozproszy i po prostu przyłoży mu za wszystko, co zrobił. Zaslugiwał na to jak nikt inny.

– Lubię ból. – Wzruszył ramionami. Wydawał się rozbawiony, gdy nieustannie wyprowadzała nieudane ciosy. Z łatwością złapał jej rękę i opuścił ramię. Otoczył dłoń Carmen palcami, pokazując, jak poprawnie powinna zaciskać ją w pięść.

– Lubisz ból, bo uważasz, że na niego zasługujesz? – spytała, próbując dosięgnąć jego wzroku, jednak Kai zerkał gdzieś wysoko ponad nią.

– Nie, głuptasie. – Pokręcił głową. – Lubię ból, bo mogę zmienić go w siłę.

Chciała go zaskoczyć, dlatego uderzyła ręką prosto w jego brzuch, który momentalnie się napiął. Poczowała ból w kłykciach. Kai wydawał się zaskoczony tym, że w ogóle go trafiła. Szybko jednak chwycił pięść rudowłosej, gdy znów spróbowała zaatakować. Przyciągnął ją do siebie, a potem obrócił tak, że z łatwością oplótł łokieć wokół jej szyi.

– Cały czas popełniasz ten sam błąd – powiedział, kiedy się nad nią pochylił. Lekko dyszał prosto do jej ucha, a to sprawiło, że jej serce trochę przyspieszyło. Wmawiała sobie, że to przez wysiłek fizyczny. – Próbujesz patrzeć mi w oczy, Carmen. Nie rób tego, jeśli cię to peszy.

– Nie peszy – zaprzeczyła z pewnością w głosie.

Kai oparł brodę na jej barku i swobodnie się zaśmiał. Miała wrażenie, że wtedy w jej organizmie pojawił się rój owadów, które żywcem pożerały ją od środka.

– Dalej, Karmelku! *Hit me with your best shot* – zanucił jej zmysłowo do ucha.

Zacisnęła palce na jego ramieniu, ale nie była w stanie odciągnąć go od swojego gardła. Dołożyła drugą dłoń, dzięki czemu mogła uwiesić się na ręce chłopaka. Z tej pozycji łatwiej przyszło jej wypchnięcie bioder i położenie nogi za nim. Odwróciła się bez problemu, zamachnęła się i uderzyła piętą w udo Kaia. Na moment stracił czujność. Poluźnił uścisk, dzięki czemu mu się wymknęła.

Podniosła ręce w geście triumfu, pewna swojej wygranej. Jednak błyskawicznie zeszła na ziemię. Dosłownie. Kai złapał ją ciasno w pasie, delikatnie unióś i w sekundę sprawił, że runęła prosto na plecy, ciągnąc go za sobą. Wylądował na niej swoim ciężkim, smukłym oraz umięśnionym ciałem. Nim zdążyła zareagować, pochylił się nad nią z cwaniackim uśmiechem na ustach. Chwycił oba nadgarstki Carmen w zaledwie jedną dłoń, ulokował je nad jej głową, a na koniec jeszcze bardziej zniżył głowę, tak, że dotknął jej nosa czubkiem swojego, gdy tłumaczył leniwie:

– Na tym właśnie polega obalenie, Karmelku. Trzeba zadać taki ból, żeby zmusić przeciwnika do kapitulacji.

Zaczęła chaotycznie poruszać nogami, próbując się spod niego wysunąć. Nie musiała jednak zbyt długo z nim walczyć, ponieważ Kai przekręcił się na plecy, jakby oddawał walkę, a ona nagle znalazła się na nim. Bezcelnie ulokował dłoń na dole jej pleców, zahaczając dwoma palcami o gumkę spodni. Zacisnęła powieki przerażona tym żarem, który w niej rozbudził. Całe ciało Carmen nieplanowanie zdrząło pod wpływem tego dotyku, a skóra błyskawicznie cierpła w miejscach, które nadzwyczaj łagodnie muskał opuszkami.

Sama nie była pewna, czy chciała, aby jego ręce kontynuowały wędrówkę wzdłuż wygiętego kręgosłupa, coraz niżej i niżej, coraz bliżej lędźwi, czy bardziej pragnęła choć raz przejąć nad nim pełną kontrolę. Wyobraźnia Carmen szalała, podobnie jak ciało, gdy w umyśle pojawiła się wizja, jak brutalnie przyszpila mu nadgarstki nad głową, ograniczając ruchy, tak, że staje się zdany na jej łaskę. Chciała, aby poczuł się bezbronny jak ona, by wielki, zły wilk wreszcie zamienił się w owieczkę. Jednak ten Malachai, który wciąż pod nią leżał, wcale nie wyglądał niewinnie. Patrzył na nią wygłodniałe jak drapieżnik. Ślizgał się wzrokiem od twarzy do piersi i szczyrzył kły, jakby szykował się, by ze smakiem pożreć każdą jej cząstkę.

– Ja się nie poddam – zarzekła się zaczepnie. Niesiona nieoczekiwaną pewnością siebie, która emanując od Kaia, wniknęła prosto w nią, położyła rękę na jego prawym ramieniu i docisnęła do maty. Nachyliła się nad nim, przyciskając swoją pierś do jego piersi, jakby chciała zdradzić ważną tajemnicę. Blisko, bliźutko, tak, że ich usta znajdowały się na równej linii. Nie przestając patrzeć mu w oczy, drugą dłonią zjechała na jego udo, sprawiając tym samym, że napiął mięśnie.

Usiłował się bronić, bo Carmen Clark była naprawdę niebezpieczna.

– A może ty chcesz? – wyszeptła, częstując Malachaia oddechem ze swoich ust, które od razu wchłonał, rozchylając swoje. Prowokowała go. Specjalnie nachylała się coraz niżej, aż pozostały zaledwie milimetry, które dzieliły ich od zetknięcia warg. Im dłużej to trwało, tym bardziej modliła się o to, by wreszcie przejął inicjatywę i ją pocałował, bo może dzięki temu to ciężące uczucie na dnie żołądka w końcu by zniknęło. – Chciałbyś się poddać, Malachai?

Przymknęła powieki, kiedy wyciągnął szyję, burząc ostatnią ścianę między nimi. Jego nos niemal boleśnie wcisnął się w jej kość policzkową, a spragnione, wilgotne wargi zatrzymały tuż przy jej ustach, lekko się ocierając, gdy oddychał. Jednocześnie wyswobodził swoją rękę spod uścisku Carmen i w zamian ulokował ją u szczytu jej ramienia, a potem zsunął ją w dół, zatrzymując się na pośladku, który klepnął dokładnie dwa razy na znak kapitulacji. To, co poczuła, to wcale nie były motylki w brzuchu, tylko płomyki wysyłające miliony iskierek aż po czubki palców.

Płonęła.

Cała płonęła.

Kai wyprostował się gwałtownie, opierając dłonie za plecami. Tak niespodziewanie, że zsunęła się niżej, objając się o jego biodra. Dzieliły ich zaledwie milimetry. Jego oddech muskał jej skórę, a zapach potu zmieszanego z krwią wdierał się do nozdrzy. Włosy miał wilgotne i potargane – tak kuszące, że zapragnęła wpleść palce między ciemne kosmyki i mocno pociągnąć za końcówki. Ten widok podsycił tylko wzbierające w niej uczucia.

– Złazisz ze mnie czy liczysz na coś więcej? – spytał i jeszcze bardziej się ku niej pochylił, zabierając ostatnie skrawki przestrzeni. Czuła wyraźnie rytm jego serca, który nie współgrał z jej własnym, gdy napierał na piersi. Zarost chłopaka kłuł ją w twarz, podsuwając chęć pogłaskania go po szorstkim policzku. – Bo trochę mnie to podnieciło – szepnął, po czym spróbował ugryźć Carmen, ale w porę się odsunęła.

Wzdrygnęła się, kiedy lekko unióś biodra, udowadniając prawdziwość swoich słów. Poczuła coś twardego i naprężonego, coś, co przez materiał spodni przyjemnie ocierało się o jej podbrzusze, coś, co zdecydowanie za bardzo się przy niej ożywiało. Przez kilkanaście sekund patrzyła na Malachaia z rozchylonymi ustami, bo najzwyczajniej w świecie nie wiedziała, co zrobić. Nie mogła jednak tak łatwo odpuścić i kolejny raz pozwolić mu górować. Mimo że ciało pragnęło dać ponieść się chwili, o czym świadczyła wilgoć zbierająca się między jej udami, umysł stawiał opór. Zaciśnęła palce na jego szczęce i zbliżyła się do niego tak, że gdyby ktoś ją popchnął, wpadłaby prosto na usta Kaia.

Aby nie dać się ponieść wyobraźni, zamiast ugryźć jego dolną wargę, zaciśnęła zęby na swojej, delikatnie skubiąc zębami skórę. Próbowwała wyglądać na zawstydzoną. A kiedy zerknęła na niego spod długich, czarnych rzęs, wyglądając w każdym calu jak bogini zła, o której każdy zapomniał, zapragnął zrobić z nią coś niestosownego.

– Zostaw – poprosił. – Jeszcze zrobisz sobie krzywdę. A tylko ja mogę cię krzywdzić.

Zanim się od niej odsunął, kciukiem uwolnił zaczerwienioną wargę spod nacisku jej zębów. Tylko tyle mógł. To było najbliższe jego fantazjom, które spuścił nieco ze smyczy i przez to zaczynał wariować. Stał się rozdrażniony. Sam chciał być powodem zarumienienia na tych ponętnych ustach, chciał wbić w nie kły, przegryźć, przepołować. Chciał sprawdzić, jak delikatne są, jak łatwo byłoby je zranić i posmakować płynącej w nich krwi, jak prędko pozostawiłby po sobie ślady w postaci wyraźnych siniaków. Ale w zamian tylko im się przyglądał.

– Chcesz to zrobić, Malachai? – spytała nieśmiało. – Skrzywdzić mnie?

– Na wiele sposobów, Karmelku.

Widziała dokładnie małe srebrzyste iskiereczki pożądania w jego lodowato-niebieskich oczach, gdy wypowiadał te słowa. Spojrzeniem na moment powędrował do jej ust. I znów się pojawiła; brzęcząca elektryczność kumulująca się między ich ciałami. Kai wyglądał tak, jakby właśnie rozwiązywał w myślach długie równanie matematyczne. Wyraz jego twarzy niemal zdradzał to, jak wiele myśli kotłowało się pod jego czaszką, ale jedna niemal wrzeszczała, zagłuszając inne.

Musiał.

To.

Przerwać.

Carmen jednak niczego nie ułatwiała.

– Udowodnisz?

Z początku pomyślał, że tylko się zgrywała, a później, że chce zobaczyć jego reakcję. Nie podejrzewał jednak, że Carmen mówi poważnie. Ale ona uśmiechała się tak przebiegle, jakby naprawdę tylko czekała na ruch ze strony Kaia, a w jej zielonych oczach mógł zobaczyć wszystkie demony wodzące go

na pokuszenie, które zebrały się w jednym miejscu.

– Jesteś gotowa na bliskie spotkanie z diabłem? – spytał, oblizując usta.

Dał jej ostatnią szansę na wycofanie się, ale w zamian odpowiedziała z uśmiechem:

– Gdzie mam podpisać cyrograf?

Kai uśmiechnął się chytrze. Rozejrzał się po całym pomieszczeniu – Carter i Holden żywo dyskutowali w kącie, Ivan omawiał technikę z jednym z nowicjuszy. Kai, korzystając z momentu nieuwagi, pośpiesznie wstał i podał Carmen rękę. Ścisnęła ją bez krzty wahania i to było jak przypieczonecowanie tajnej umowy. Pozwoliła, aby pociągnął ją za sobą prosto do biura Ivana, które na szczęście było puste. Zatrzasnął za nimi drzwi i zasłonił żaluzje, by nikt z siłowni ich nie zobaczył. Obszedł dziewczynę i rozsiadł się wygodnie na obrotowym krześle, kręcąc się na boki.

Wyglądał jak władca piekła na swoim tronie.

– Nie ma lepszego miejsca na robienie interesów niż biuro, nie sądzisz?

Carmen przełknęła ślinę, która zdawała się parzyć jak świeżo zagotowana woda. Próbowwała wmówić sobie, że plan, na który wpadła, był dobrym pomysłem. Ale im dłużej o tym myślała, tym bardziej obawiała się, że jej ciało przestanie współpracować z umysłem i w ten oto sposób zwycięży z rozsądkiem. Jej dłonie stały się lepkie od potu. Serce odbijało się od klatki piersiowej, aż słyszała je w głowie. Wiedziała jednak, że jeśli znów ulegnie tchórzostwu, już zawsze będzie umierać ze strachu. Do końca swoich dni.

Intensywne spojrzenie Malachaia wcale nie pomagało.

Wbijalo się w miejsce, do którego nie powinien mieć dostępu. W miejsce, którego przed nim bronila, a i tak zdołał przedrzeć się przez mury bezpieczeństwa, jakie wokół siebie wzniosła.

– Nie przeszkadza ci to, że się przyjaźnimy? – spytała słabym głosem, akcentując ostatnie słowo.

W ten sposób chciała pokazać mu, że jednak rezygnuje. Zerknęła nawet na drzwi, sprawdzając, jak szybko może się stąd wydostać. Zaszło jej w ustach. Czuła się tak, jakby przez pół dnia nic nie piła.

– Mogę zrobić wyjątek – powiedział, wzruszając ramionami. – Jeśli mnie przekonasz.

Usadowił się wygodniej na krześle, patrząc na nią wyzywająco. Obserwował ją tak, jakby była towarem na sprzedaż, a on zastanawiał się, czy warto było wydać na nią pieniądze. Leniwie wodził spojrzeniem za każdym, nawet najmniejszym ruchem, jaki wykonywała. Przechylił głowę, dzięki czemu mógł bez problemu lustrować ją od stóp do głów. Stopniowo pozbawiał ją odwagi – zrzucał ją jak ubrania Carmen w wyobraźni. Uderzyła w nią fala gorąca, szczególnie gdy niemal rozbierał ją wzrokiem, zadziornie się przy tym uśmiechając.

Grał. Tak jak ona. A ona musiała zrobić wszystko, aby tym razem zwyciężyć.

Tym razem to ona będzie drapieźnikiem.

Powoli ruszyła w jego stronę jak pantera podczas polowania. Łagodnie, lecz prowokująco kołysała biodrami, aż zapragnął chwycić je w dłonie i samemu nadać im odpowiedni rytm. Bardzo starał się patrzeć Carmen w oczy, ale to było niemal niemożliwe. Była wizją czystej pokusy błagającej o zbadanie. Ocknął się z zapatrzenia. Mimowolnie rozsunał nogi, czekając z zadartym podbródkiem, aż wpadnie w tą pułapkę, by mógł ją mieć już tylko dla siebie.

– Zamknij oczy – rzuciła, starając się brzmieć pewnie. Kai uniósł jedną brew w pytającym geście.

– Zamknij oczy, Malachai.

W końcu ponownie wzruszył ramionami i przymknął powieki. Miała zaledwie krótki moment, by znaleźć coś, co mogłoby pomóc jej zrealizować plan. Rozpaczliwie rozglądała się po niewielkim pomieszczeniu pełnym papierów, bandaży i bokserskich rękawic. Znów rzuciła spojrzeniem dookoła, dzięki czemu zobaczyła kilka skakanek rzuconych w kąt. Zgarnęła z podłogi dwie z nich i podeszła do Kaia.

– Już? – spytał. – Chciałbym cię widzieć.

– Moment – wyszeptała, przybliżając twarz do jego policzka.

Musiała szybko myśleć. Bez ostrzeżenia wślizgnęła się mu na kolana niczym łaknąca uwagi kotka, rozpylając wokół zapach damskich perfum. Kompletnie nie spodziewał się, że Carmen posunie się tak daleko, dlatego automatycznie się spiął, udowadniając, że wcale nie jest tak odporny na jej wdzięki. To wywołało na ustach Carmen triumfalny uśmiech, który jednak zniknął szybciej, niż się pojawił, ponieważ to Kai na nowo przejmował kontrolę, owijając silne ramiona wokół jej talii tak, że przez moment nie mogła się ruszyć. Później, gdy na to pozwolił, chwyciła najpierw prawą, a potem lewą rękę i związała je sznurkami skakanek za jego plecami.

Wyprostował się, ocierając swoimi biodrami o jej biodra, aż musiała wstrzymać oddech. Wciąż jednak miał zamknięte oczy. Brakiem jednego zmysłu tłumaczył sobie to, że reaguje ze zdwojoną siłą na

dotyk Carmen, a ona nie odpuszczała i tylko podsycala ogień. A potem skutecznie gasiła każdą iskierkę. Jęknął przeciągle, gdy zsunęła się z niego, bo nie zdążył jej zatrzymać. Okrążyła go dwa razy, przez co poczuł mocno wbijającą się w skórę, maksymalnie napiętą linkę. Spróbował się poruszyć, ale nie potrafił. Zupełnie tak, jakby zrósł się z tym krzesłem.

– Wow – sapnął. – Jednak lubisz się tak bawić.

– Zamknij się, Malachai – powiedziała stanowczo, z ogromnym nieposłuszeństwem, ale mu się to podobało. Stanęła za nim, wplotła palce w jego ciemne włosy i szarpnęła nimi, przez co musiał odchylić głowę w tył. – Nie będziemy się bawić – dodała, po czym puściła go i zatrzymała się ponownie przed nim. Zajrzała do szuflad biurka i wyszczerzyła się, gdy w jednej z nich dojrzała nożyczki. Obróciła je między palcami. – Cóż, przynajmniej ty nie będziesz się bawił.

– Skąd ta pewność?

Odpowiedź przyszła wcześniej, niż się spodziewał. Poczuł, jak coś rozrywa jego skórę. W tym samym miejscu, w którym kiedyś utkwiał widelec. Zabolało podwójnie, jednak zacisnął usta, tłumiąc w sobie jęk niezadowolenia. Otworzył oczy pełne czystej niegodziwości. Stała przed nim, opierając się o biurko, oblizując fascynująco usta, jakby diabeł kusił na dobranoc. Zielone tęczęwki Carmen miały w sobie blask, którego nigdy dotąd nie widział.

Była trucizną. Nikt nie zabijał go tak jak Carmen Clark.

Pochyliła się nad nim, specjalnie opierając jedną dłoń na nożyczkach, które wciąż tkwiły w jego udzie. Przeszyła go kolejna błyskawica pełna bólu. Zacisnął szczękę tak mocno, że zaczęła niespokojnie drżeć. Z rany na nowo sączyła się krew wsiąkająca w szare dresy.

– Och, czy to cię boli? – szepnęła, zbliżając się jeszcze bardziej.

– Mocniej, Karmelku – rzucił luźno, mimo dyskomfortu, jaki odczuwał. Poruszył się na tyle, na ile mógł. Zaledwie sekundy później przedmiot wbił się głębiej i tym razem Kai jęknął przeciągle, wykrzywiając twarz w grymasie bólu. Szybko jednak się opanował. Wyciągnął szyję, dzięki czemu ich twarze dzieliły tylko milimetry. Nie odsunęła się, choć przeszył ją dreszcz. – O, proszę. Tutaj jesteś. Prawdziwa ty. Potwór jak...

– Nie kończ – mruknęła słabym głosem.

Chwilę zajęło jej wzięcie się w garść. Nie mogła pozwolić mu wdrzeć się do jej umysłu. Nie miał racji. Nie była potworem. W przypiływie nagłej złości zacisnęła dłoń na gardle chłopaka, wbijając paznokcie w skórę. Czują, jak jego jabłko Adama się porusza, gdy powoli przełykał ślinę.

– ...ja – wyszeptał ze zwycięskim uśmiechem.

Nie mogła pojąć, jakim cudem był taki opanowany, bo ona cała drżała w środku. Wydawał się niewzruszony, jakby w ogóle nie odczuwał bólu, który starała się mu zadać. Zamiast tego był nadzwyczaj pewny siebie. I uśmiechał się jak diabeł, gdy udaje mu się pojąć na własność kolejną zagubioną duszę.

– Buzi na zgodę?

Przestraszyła się, gdy przekręcił głowę, jeszcze bardziej zmniejszając między nimi dystans. Prawie poczuła jego usta na swoich. Gorący oddech Kaia poruszył jej włosami. Odskoczyła od niego jak poparzona z sercem podchodzącym do gardła.

– Nie? – szepnął zawiedziony, opadając plecami na oparcie krzesła.

– Chciałeś tego, prawda? – spytała, gdy wszystko powoli zaczęło stawać się jasne. Nawet przez sekundę nie miała nad nim przewagi. Pragnął, aby tak myślała. To on przez cały czas rozdawał karty. Malachai Yordan kolejny raz ją wykiwał.

– Oczywiście, Karmelku – odpowiedział momentalnie, jakby tylko na to czekał. – Myślałaś, że uwierzę w to, że nagle chcesz się ze mną obściskować?

Musiała stamtąd wyjść, bo miała wrażenie, że za moment wybuchnie. Zaczęła się cofać.

– Nigdy nie wygrasz z diabłem.

– Do zobaczenia, Malachai – powiedziała z uśmiechem przyklejonym do twarzy. Próbowwała wciąż wyglądać na dumną i pewną siebie. Nie mogła kolejny raz dać mu powodu do radości. – Mam nadzieję, że nie będziesz musiał tu zbyt długo siedzieć.

Odwróciła się, zarzucając kitkę na jedno ramię. Ruszyła do drzwi.

– Czekaj! – mruknął, na co się zatrzymała, tylko po to, by posłuchać, jak ją błaga. Zerknęła na niego przez ramię. Mina mu zrzędła. – Daj spokój, Karmelku. Naprawdę mnie tutaj zostawisz?

– Poradzisz sobie – odpowiedziała i chwyciła za klamkę.

– Carmen! – ryknął, aż się wzdrygnęła. Do tamtej chwili nie wiedziała, że ktokolwiek potrafi tak głośno wrzeszczeć oraz że jej imię w czyichś ustach może tak wściekle brzmieć.

Nawet na niego nie spojrzała. Po prostu wyszła. Podparła się o ścianę, by spokojnie zaczerpnąć

powietrza. Cały czas słyszała, jak wściekle wykrzykuje jej imię, szamocząc się jak opętany. Próbowала wyrzucić te dźwięki z głowy, ale nie potrafiła.

To było jako krzyk tysiąca demonów.

Wszystkich naraz.

Carmen z każdą kolejną sekundą odczuwała coraz większy strach. Lęk owinał się wokół jej umysłu, podsuwając same najgorsze wizje, które kończyły się śmiercią. Ciągłe słyszała za sobą rytmiczne kroki. Przyśpieszały i zwalniały równo z nią, jakby urzeczywistnił się jej cień. A ona po prostu bała się odwrócić, by sprawdzić, kto tak zawzięcie za nią podąża.

To przecież mogła być tylko przypadkowa osoba zmierzająca w tym samym kierunku.

Carmen jednak nie potrafiła się do tego przekonać. Może uwierzyłyby w to jakiś czas temu, ale na pewno nie po tym, jak poznała mroczną stronę tego miasta. Od tej pory wszystko się zmieniło. Nic nie pozostało takie samo. Świat nie był już tylko czarno-biały, ale momentami zmieniał się po prostu w szarość pełną zła, które wyciągało łapy po niezdrowione dusze. Takie jak jej.

Skręciła w uliczkę, która prowadziła bezpośrednio pod blok. Jak na złość wokół nie było żywej duszy, choć pora była poranna. Wyciągnęła telefon, po czym wybrała numer brata, bo, o zgrozo, jedynie on przyszedł jej do głowy w pierwszej chwili, ale oczywiście nie odebrał. Tak właśnie mogła na niego liczyć – nigdy. Przeklęła Jamesa Camerona w myślach.

Zacisnęła palce na pęku kluczy, który miała w kieszeni kurtki, gdy kroki za nią stały się głośniejsze, co oznaczało, że ktoś się do niej znacznie zbliżył. Policzyła do pięciu, zbierając się w sobie. Postanowiła się odwrócić, ale nie zdążyła tego zrobić. Poczowała dłoń na ustach, przez co oddychała z coraz większym trudem. Napastnik oplótł drugą rękę wokół jej talii i zaczął ciągnąć do tyłu. Wpadła w panikę. Miała ochotę się rozpłakać, jednak powtarzała sobie, że jeśli chce to przetrwać, musi być silna.

Docisnął policzek do jej twarzy, kiedy próbowała wydać z siebie krzyk.

– Ciii – szepnął.

Nie myślała zbyt wiele. Nie skupiła się na tym, że to był znajomy głos. To był nawet znajomy zapach perfum. Stres wszystko przyćmił, dlatego nie skupiała się na bodźcach zewnętrznych. Wyciągnęła dłoń z kieszeni. Kopnęła napastnika w krocze, a potem na oślep spróbowała wbić klucz w jego ciało. Puścił ją w ułamku sekundy, przez co automatycznie się cofnęła, potykając się o własne nogi. Z szaleńczo bijącym sercem odgarnęła włosy z twarzy i na niego spojrzała.

Strach zniknął, a zamiast niego pojawiła się złość.

Ktoś wywinął jej okrutny, nieśmieszny żart. Tą osobą był Malachai Yordan.

– O, kurwa – sapnął. – To tylko ja!

Zgiął się w pół, dociskając dłoń do swojego przyrodzenia. Jego twarz wygięła się w grymasie bólu i niezadowolenia. Nawet na nią nie patrzył. Miał zamknięte oczy przez kilkanaście długich sekund. W końcu się wyprostował, choć wciąż wykrzywił twarz. Spojrzał na klucz, który leżał pod jego stopami. Ledwo drasnął go w rękę, pozostawiając po sobie jedynie niewielkie zadrapanie.

– Musisz przestać dźgać mnie dziwnymi przedmiotami – powiedział nienaturalnym, trochę piskliwym głosem. Zakasłał, chcąc pozbyć się tej dziwnej manieri. – To było zabawne za pierwszym razem. Teraz zrobiło się nudne.

Carmen zamrugwała szybko, nie pojmując, co się dzieje. Miała wrażenie, że ktoś właśnie nagrywa ich z ukrycia, by wrzucić ten filmik do internetu i w ten sposób zrobić z nich gwiazdy.

– Co ty sobie myślałeś, kretynie? – krzyknęła. Zrobiła dwa kroki, dzięki czemu znalazła się na tyle blisko, żeby uderzyć go pięścią w klatkę piersiową. Jak zwykle po prostu się uśmiechnęła, co jeszcze bardziej wyprowadziło ją z równowagi.

– Właściwie to sam nie wiem. – Wzruszył beztrząsramionami. – Trochę dystansu, Karmelku. Było całkiem zabawnie.

Miała dość. Marzyła tylko o utarciu mu nosa. Dlatego postanowiła grać.

– Przestraszyłeś mnie – jęknęła żałośnie, pociągając nosem. Przywołała w głowie same najgorsze wspomnienia, głównie związane z matką, która nigdy jej nie doceniała, wywołując tym samym ogromny smutek. Robiła tak zawsze, kiedy próbowała rozpłakać się na zawołanie. Podziałało. W jej oczach zalśniły łzy.

Kai wyglądał na zdezorientowanego i nieco spłoszonego.

– Myślałam... myślałam, że... o mój Boże, że zginę... – wychlipała, zakrywając twarz dłońmi. Znow pociągnęła nosem. Kai poruszył się niespokojnie i bez zastanowienia położył dłoń na ramieniu Carmen, lekko je pocierając, jakby chciał dodać jej otuchy.

– Kurde – westchnął. – Wcale nie chciałem, żebyś płakała. Możesz przestać? – Potrząsnęła głową i wybuchnęła jeszcze większym płaczem. To była dla niej łatwizna. Malachai nie miał pomysłu na to, jak powinien się zachować. Zagryzł wargę.

– Uhm. Powinienem cię teraz przytulić? Tak to działa? – spytał.

Odciągnęła dłonie od twarzy i spojrzała na niego zaskoczona. Wciąż miała łzy w oczach, a on czuł się naprawdę źle z tym, że tak ją wystraszył i w efekcie znow przy nim płakała. Uśmiechnął się pokrzepiająco, ale tego nie odwzajemniła. Skinęła dyskretnie głową. Przeklął w myślach swój głupi pomysł. Wcale nie chciał się tak do niej zbliżyć, ale coś przyciągało go jak magnes.

– Och, okej – westchnął. – Więc teraz cię przytulę, dobra? – zadał pytanie. Wolał się upewnić, czy na pewno tego od niego oczekuje.

Pokiwała głową, przecierając wierzchem dłoni oczy. To było coś nowego i nieznanego, przez co cały się spiął. Jego organizm odmawiał posłuszeństwa. Wyciągnął przed siebie zeszywniałe ręce i z trudem oplótł je wokół talii dziewczyny. Bez wahania docisnęła policzek do klatki piersiowej Kaia. Słyszała chaotyczne uderzenia jego serca, co tylko utwierdziło ją w przekonaniu, że tak jak ona był tylko kruchym człowiekiem, który chował się za maską potwora.

Czuł się niezręcznie. Nie wiedział, gdzie powinien patrzeć, więc utkwiał spojrzenie na niebie, obserwując różnokształtne chmury. Chciał, aby to się jak najszybciej skończyło.

– Lepiej? – mruknął, pochylając głowę. Jego usta zetknęły się z włosami Carmen.

Milczała, co nieco go zmartwiło, ale wreszcie się roześmiała. Zbiła go z tropu.

– Naprawdę w to uwierzyłeś? – spytała przez śmiech. Odsunęła się, przez co znow poczuł, że jego dłonie należały do niego. Zadarła głowę, dzięki czemu dokładnie widziała minę chłopaka, która tylko dodatkowo ją bawiła. Nie mogła rozstrzygnąć, czy był bardziej zdeorientowany, czy wściekły.

– Wkręcałaś mnie? – mruknął posępnie. Ten cień łagodności, który wcześniej się u niego pojawił, zniknął błyskawicznie. Najprawdopodobniej na zawsze. Zagryzł wargę, a dłonie zacisnął w pięści. W przeciwieństwie do niej nie było mu do śmiechu, wręcz przeciwnie – stał się śmiertelnie poważny.

– Mamy remis, kochanie – powiedziała z rozbawieniem, wspinając się na palce. Chciała patrzeć mu w oczy, gdy będzie do niego docierało, że przegrał. – Wcale nie jesteś takim dobrym graczem, Malachai.

Przymknął oczy, mocniej gryząc usta. Po chwili uniósł powieki i w tej samej sekundzie chwycił ją za podbródek, bo nie zdążyła się nawet odsunąć. W niebieskich tęczęwkach, wśród trupów i popiołu, tańczył potężny gniew. Jego nozdrza rozszerzały się z każdym oddechem. Przechylił głowę, jeżdżąc wzrokiem po oczach i ustach Carmen. Miała wrażenie, że nad czymś rozmyśla.

– Nie wiem, co z tobą zrobić, Karmelku – odezwał się wreszcie. – Wnerwiasz mnie. Carter miał niezły ubaw, kiedy wczoraj znalazł mnie przywiązanego do jebanego krzesła.

– Nie dziwię się – wtrąciła. – To było zabawne.

Spiorunował ją lodowatym spojrzeniem. Zignorowała to.

– Wyglądałeś tak, jakby ci się podobało – dopowiedziała, mrugając do niego okiem.

– Pozwalam ci na zbyt wiele – stwierdził, nie zważając na jej słowa. – Poczulaś władzę i teraz panoszysz się jak królowa, ale wiesz co? – Nachylił się. Był blisko. Tak blisko, że czuła na wargach jego oddech. W środku cała drżała. Wciąż ją stresował, ale mimo to zacisnęła palce na nadgarstku chłopaka, tuż obok zegarka. – To ja tu jestem diabłem.

– To było zabawne za pierwszym razem. Teraz zrobiło się nudne – przedrzeźniła go, starając się brzmieć jak on, czyli szyderczo. Znow patrzyła mu w oczy, szukając w nich odpowiedzi na nurtujące pytania. Ale widziała tam tylko cierpienie, przykryte grubą warstwą kłamstw. – Przecież mnie nie skrzywdzisz. Mogłeś to zrobić, jednak...

– Jezu, bądź wreszcie cicho – jęknął i znow docisnął dłoń do ust dziewczyny. Próbowwała coś mówić, ale wyszedł z tego tylko niewyraźny bełkot. – Masz rację. Nie skrzywdzę cię, bo co z tego będę miał? Spokój, no tak... – westchnął. – To może jednak skrzywdzę? – zastanawiał się na głos z zadumaną miną. – Nie. Jesteś zbyt podobna do mnie. Lubię z tobą pogrywać.

Mrugnął do niej okiem.

Carmen stała grzecznie, bo wiedziała, że szarpanie się z nim nie miało sensu.

– Skoro wszystko sobie wyjaśniliśmy... – mówił dalej, podczas gdy ona musiała milczeć. Najchętniej ugryzłaby go w rękę, jednak w ostatniej chwili się powstrzymała. – Porywam cię, Karmelku i...



o nie, żadnego „ale” – przerwał, czując, jak na te słowa się spięła. – Będzie fajnie, obiecuję!

Niespodziewanie pochylił się i docisnął wargi do swojej ręki. Gdyby nie jego dłoń, pocałowałby ją w usta, a ona wreszcie dowiedziałaby się, czy Malachai Yordan smakuje jak niebo, czy jak piekło.

• • •  
Stukot obcasów Carmen odbijał się echem od betonowych płyt, gdy okrążała auto. Stała obok Kaia i tak jak on zaczęła rozglądać się po okolicy. Znajdowali się na samym środku... niczego. Z każdej strony otaczały ich drzewa. Jediną drogę do tego miejsca stanowiła leśna ścieżka przypominająca trasę rodem z horrorów – drogę bez powrotu.

Wokół nie było żywej duszy. Zdziwiło ją to, ponieważ Carter i Holden jechali za nimi prawie przez całą drogę, a jednak tam nie dotarli. To ją trochę zaniepokoiło. Gdzieś głęboko w niej pojawiła się obawa przed tym, że Malachai kolejny raz planuje coś diabelskiego. Coś, co mogło jej się nie spodobać.

– Dlaczego właściwie wywoziłeś mnie na to pustkowie? – spytała. Kai przeniósł na nią spojrzenie i omiół ją wzrokiem. Jej rude włosy powiewały na wietrze, a kilka pojedynczych kosmyków przyklejało się do lśniącego drobinkami błyszczczyka, który zdobił jej pełne usta.

– Zmieniłem zdanie – odpowiedział niemal od razu. – Jednak cię zabiję.

Odepchnął się rękoma od maski samochodu i stanął przed nią. Miał na sobie ciemne spodnie i białą koszulkę z napisem „Freaks come out at night”. Wyglądał poważnie. Nawet się nie uśmiechał, a jego oczy wydawały się puste. Carmen zaśmiała się nerwowo. Nie przestając na nią patrzeć, wyciągnął z kieszeni nóż, który załśnił w promieniach słońca.

Obracał go przez chwilę między palcami, a później zerknął na ostrze, nim przyłożył je do szyi Carmen. Sunął nim wzdłuż karku, linii szczęki i policzka. Zahaczył o materiał bluzki z dekoltem, zjeżdżając na odkryte uda. Carmen wzdrygnęła się, czując chłód przedmiotu na skórze. Spróbowała się wyślizgnąć, ale Kai złapał jej nadgarstki w jedną dłoń, blokując dalsze ruchy.

– Tutaj nikt nie usłyszy twoich krzyków – szepnął z lekkim uśmiechem.

– Bardzo śmieszne – mruknęła, przewracając oczami. Przysunął ostrze do palca, robiąc na skórze maleńką ranę. Sprawdzał ją. Obserwował reakcję dziewczyny, ale nawet się nie skrzywiła. W zamian poczuła coś dziwnego. Mieszkankę adrenaliny i lęku z nutką podniecenia.

– Gdyby to miało być śmieszne, dodałbym „cha, cha” – rzucił luźno. Oderwał wzrok od ostrza i spojrzał na twarz dziewczyny z dzikim blaskiem w oczach. – Nie nazywam cię partnerką w zbrodni bez powodu.

– Nigdy się na to nie zgodziłam – burknęła, jakby oburzona.

– Przecież to lubisz. – Roześmiał się w odpowiedzi i pokręcił głową. Wrócił nożem na kark Carmen, mocniej wciskając ostrą końcówkę w skórę. Doskonale znał granicę, której w tym wypadku nie mógł przekroczyć. Puścił jej nadgarstki. – Prawda?

Miał rację. Nieważne, jak bardzo się przed tym broniła, naprawdę lubiła adrenalinę krążącą w żyłach, gdy przebywała w jego towarzystwie. Podobało jej się poczucie władzy i całkowitej wolności. Przy nim nigdy nie wiedziała, co dokładnie się wydarzy, dzięki czemu całe jej ciało przyjemnie mrowiło. Wyzwał ją jak nikt inny.

Potrząsnęła głową, jakby chciała odgonić od siebie owady. Niespodziewanie uderzyła w nią fala gorąca. W ustach odczuła nagłą suchość, dlatego przełknęła nerwowo ślinę. Położyła dłoń na jego piersi i lekko go odepchnęła. Potrzebowała przestrzeni, bo powoli znów przestawała racjonalnie myśleć.

Obrócił nóż tak, że rękojeść znalazła się po jej stronie, a on sam trzymał w dłoni ostrze. Podsunął przedmiot bliżej, jakby domagał się, by go od niego odebrała. Po chwili namysłu zrobiła to, choć nie miała pojęcia, co było tego powodem. Jego twarz wreszcie złagodniała i nawet się uśmiechnął. Drapieźnie. Zbliżył się do niej, by bardzo powoli i delikatnie wyciągnąć kosmyki rudych włosów z jej ust. Chciał się ponownie schylić, ale poczuł na szyi ostrze noża. Uśmiechnął się, jakby jeden, nawet nieplanowany ruch, wcale nie mógł go skrzywdzić.

Teraz ona miała pełną władzę.

Oboje uśmiechali się tym gorzko-słodkim uśmiechem, z jakim wyobraża się coś, czego pragnie serce, ale czego obawia się głowa.

Patrzeli na siebie w ciszy, aż obok zatrzymał się czarny, terenowy samochód. Kai odwrócił się w samą porę, by zobaczyć, jak z wozu wyskakuje Ryan, a tuż za nim łysy chłopak z tatuażem przy skroni, którego widział po raz pierwszy w życiu. Machinalnie ścisnął dłonie w pięści, a potem schował je do kieszeni, zanim Ryan przed nim stanął. Tak blisko, że niemal stykali się czołami. Blondyn otworzył usta, by coś powiedzieć, ale zrezygnował, widocznie zainteresowany czymś za plecami Malachaia.

– Och – sapnął Ryan z wyuczoną arogancją. – Musisz być naprawdę głupiutka. Zdajesz sobie

sprawę z tego, że on jest tym złym? Tym, który nie ratuje takich księżniczek jak ty.

Zwracał się bezpośrednio do Carmen. Uniosła głowę, słysząc zachrypy, szczydzący głos Ryana, na dźwięk którego miała ochotę rzucić w mężczyznę kamieniem. Albo lepiej – nożem. Zadarła podbródek i zmierzyła go wyniosłym spojrzeniem. Ryan wzbudzał w niej wszystkie najgorsze emocje. Był jak karaluch wypełzający z ciemności. Gdy patrzyła na jego głupkowaty uśmiech, narastała w niej irytacja spleciona ze złością.

Carmen Clark tak naprawdę nie potrzebowała ratunku. Wołała chaos i zniszczenie.

– Siedź cicho, Ryan – odpowiedziała z uśmiechem na ustach. – Bo ten nóż przypadkiem wbije ci się w gardło.

Kai odwrócił się w samą porę, by zobaczyć, jak Carmen pokazuje Ryanowi środkowy palec, a zaraz po tym na potwierdzenie swoich słów machnęła nożem. Mimowolnie parsknął, a potem odchrząknął głośno, kiedy blondyn na niego zerknął.

– Wyszczekana – stwierdził Ryan, kiwając głową z uznaniem. – Pasuje do ciebie, kumplu. Bardziej niż do mięczaka Holdena.

Ręka Ryana wylądowała na barku szatyna.

– Od dawna nie jesteśmy kumplami – warknął Kai, robiąc krok w tył. Dzięki temu strzepnął z siebie jego dłoń. Mimo tego wciąż czuł na sobie jego nieprzyjemny dotyk. Przymknął na moment oczy, a kiedy je otworzył, posłał chłopakom krzywy uśmiech.

Malachai nienawidził Ryana bardziej niż samego siebie, a to był wyczyn.

Nienawidził barwy jego oczu, wyrazistego uśmiechu, jasnych włosów oraz tatuaży zdobiących ramiona. Nienawidził jego paskudnego charakteru i tego, że wciąż więcej ich łączyło, niż dzieliło. Najbardziej jednak nienawidził tego, że za każdym razem, gdy patrzył Ryanowi w twarz, w głowie niczym kadry z filmu przewijały się wspomnienia dobrych czasów, nim świat Kaia rozpadł się na kawałki.

– Powiedz jeszcze jedno słowo o moim bracie, to przestanę być miły.

Blondyn roześmiał się swobodnie, jakby usłyszał żart.

– Skoro powitanie mamy za sobą, gdzie masz towar, Yordan? – zmienił temat, marszcząc brwi. – Mamy już kilku klientów. Z dostawą do paczkomatu.

– Nie mam. – Wzruszył ramionami Kai. Zaobserwował, że mięśnie na twarzy Ryana się napięły. Zmierzył szatyna ostrym spojrzeniem. – Jeszcze.

– Jak to, kurwa, nie masz? – Blondyn podniósł głos, który rozniósł się echem wśród drzew. Był zdenerwowany. Świadczyły o tym drżące dłonie, krótki oddech i bruźda na czole. – Ludzie czekają! Gonią mnie terminy.

Jednych goniły terminy, drugich, tak jak w przypadku Kaia, goniły demony.

– Co ty taki niecierpliwy? – zaśmiał się Kai. – Nie starcza ci do pierwszego?

Ryan przewrócił teatralnie oczami.

– Do pierwszego starcza – westchnął – ale do drugiego czasem nie.

– Potrzebujesz kieszonkowego?

Ryan nie zmienił swoich nawyków. Nadal wzdychał ociężale, kiedy coś nie szło po jego myśli. Kai widział w nim chłopaka, z którym przyjaźnił się przez lata, ale nie potrafił przypomnieć sobie, jak to było żyć do niego pozytywne uczucia. Ryan był już tylko szkodnikiem. A oglądanie niemocy na jego twarzy wielce go satysfakcjonowało. Gdyby mógł, wyrzuciłby sobie ten obraz w głowie, by odtwarzać go w momentach, gdy traci dobry humor.

– To wymaga czasu. Myślisz, że towar spada z nieba? – prychnął Malachai i z rozbawieniem pokręcił głową. Zrobił krok do przodu. – Pozwól, że cię oświecę. To trochę bardziej skomplikowane. Jakieś ludki muszą go dostarczyć. Ciężko przewieźć tyle gówna przez granicę. Chyba że wolisz ryzykować i zrobić to osobiście. Droga wolna!

Ryan nachylił się do swojego koleżki i szepnął mu coś do ucha, chyba w innym języku. Kai miał wrażenie, że to język ze wschodu Europy. Słowa Ryana spowodowały, że wciąż bezimienny chłopak wyciągnął pistolet zza pleców i wycelował go wprost o w Kaia.

Carmen była przerażona. Jej serce biło tak mocno, jakby przed chwilą przebiegła maraton. Nie wiedziała, co począć, ale nie chciała tak po prostu stać i się im przyglądać. Instynktownie poderwała się z miejsca, ale Malachai odsunął ją ręką z powrotem w tył. Zrobił to lekko, żeby jej nie skrzywdzić, ale i tak wpadła na maskę samochodu, obijając sobie kość ogonową.

– Nie pogrywaj ze mną, Yordan – warknął Ryan. – Myślisz, że tu rządzą??!

Kai się cofnął i uniósł ręce tak, by Ryan doskonale je widział.

– O Boże. Błagam, nie strzelaj! Jakoś się dogadamy – powiedział łamiącym się głosem i przełknął

nerwowo ślinę. Patrzył na Ryana, starając się wyglądać na przerażonego. To sprawiało, że blondyn uśmiechał się dumnie, jakby właśnie osiągnął pozycję lidera.

Malachai nie wytrzymał. Zaniósł się głośnym śmiechem, który wypełnił go od stóp do głów. Śmiał się nieprzerwanie przez kilkanaście długich sekund, aż rozbolał go brzuch.

– Sorka – wybełkotał, machając dłonią przed twarzami chłopaków. Nabrał w płuca dużą ilość powietrza, by trochę się uspokoić. Wreszcie się wyprostował i zrobił krok do przodu, przez co lufa niemal stykała się z jego czołem. Musiał zrobić zeza, żeby dokładnie ją widzieć. – To cholernie zabawne, jeśli naprawdę myślisz, że ta szopka robi na mnie wrażenie.

– Na twoim miejscu nie zgrywałbym bohatera. Twoja panienska raczej cię nie obroni.

– A chcesz się przekonać? – krzyknęła Carmen zza pleców Kaia i znów ruszyła z miejsca, jednak szatyn ponownie skutecznie powstrzymał ją ręką. Jej reakcja go rozbawiła, ale musiał wyglądać poważnie, dlatego stłumił w sobie kolejną falę śmiechu.

– Nie sądziłem, że jesteś aż tak głupi, Ryan – westchnął Malachai. – Uważasz, że przyjechałem tu sam? Jeśli tak, to słabo mnie znasz – dodał z udawanym smutkiem, po czym wreszcie się uśmiechnął. Zobaczył Holdena i Cartera. Wyłonili się zza drzew i zatrzymali za plecami chłopaków, przykładając pistolety do ich głów. – Lepiej powiedz koledze, żeby opuścił broń, bo zaraz się wkurwię i nasza umowa przepadnie.

Ryan ponownie szepnął coś do kolegi, który spuścił rękę i schował pistolet za pasek spodni. Kai wyszczerzył się triumfalnie i zrobił kolejny krok do przodu, dzięki czemu znalazł się bliżej blondyna.

– Zapamiętaj na przyszłość. Nie wygrasz ze mną – szepnął tak, że tylko on mógł go usłyszeć. Ryan skinął głową dla własnego dobra, chociaż wcale w to nie wierzył. – Spadajcie. Odezwę się, jak wszystko załatwię.

Chwilę później mężczyźni weszli do samochodu i odjechali z piskiem opon. Kai odwrócił się, czując na plecach znaczący ciężar. To Carter uwiesił się na nim tak, jakby oczekiwał, że Malachai weźmie go na barana. Szatyn poruszył się gwałtownie, przez co przyjaciel osunął się i stanął z powrotem na ziemi.

– Warto było – rzucił Carter, klepiąc Kaia po barku. – Minęło tyle lat, a wkurwiony Ryan to wciąż zabawny Ryan.

Kai parsknął pod nosem na te słowa, a potem spojrział na Holdena, który stał z niewyraźną miną i milczał. Począł, aż brat uniesie głowę i powiedział:

– Dzięki, Hol.

– Nie ma sprawy – odpowiedział i od razu się uśmiechnął. Tylko tego potrzebował. Odrobiny wdzięczności. – Jesteśmy w tym razem. Jak zawsze.

Malachai odwzajemnił uśmiech, a sekundę później zerknął na Carmen. W jej zielonych oczach krył się strach. Patrzyła na niego tak, jakby właśnie zobaczyła ducha, ale musiała na moment oderwać wzrok, bo przez cały czas czuła wibracje telefonu. Zerknęła na ekran. Dobijał się do niej Bentley Cole, z którym nie rozmawiała, odkąd Kai dowiedział się o ich współpracy. Włączyła tryb samolotowy, żeby dał jej spokój. Przez moment nie mogła się ruszyć, a kiedy wreszcie zapanowała nad drżącymi nogami, podeszła do Kaia.

– To nie odwaga, Malachai. Tylko totalna głupota – westchnęła i ze złości uderzyła go w bark. Nie zareagował, dlatego bez namysłu zarzuciła mu ręce na szyję i przyciągnęła do siebie, jakby chciała sprawdzić, czy na pewno nic mu się nie stało.

Stał całkowicie sparaliżowany, bo najzwyczajniej w świecie nie wiedział, jak się zachować. Od długiego czasu nikt go nie przytulał. Zamiast tego zawsze dostawał od życia pudełko pełne bólu i ostrych przedmiotów. Nikt oprócz Holdena i Cartera nawet nie przejmował się jego losem. W końcu położył dłoń na dole jej pleców, przyciskając ją do swojej klatki piersiowej, i zaciągnął się zapachem perfum dziewczyny.

– To naprawdę urocze, że próbowałaś mnie bronić, ale wiesz, że jesteś ode mnie mniejsza?

Zaśmiał się do jej ucha. Przymknęła powieki, napawając się tym dźwiękiem.

Malachai Yordan był największym ryzykiem, jakie podjęła. I najlepszą nagrodą.

Po wejściu do klubu skierowała się do toalety. Oparła dłonie na krawędzi umywalki, próbując ochłoniąć po tym, co się stało. Widok Kaia z pistoletem przy głowie wrył się tak głęboko w jej umysł, że widziała to za każdym razem, kiedy tylko zamykała oczy. Potrząsnęła głową, starając się odpędzić nieprzyjemne wspomnienie.

Nagle drzwi jednej z kabin się otworzyły. Carmen uniosła głowę i zerknęła w lustro w samą porę, by zobaczyć Sybil. Brunetka posłała jej szybkie spojrzenie. Później odwróciła się twarzą do niej z zadziornym uśmiechem na ustach. Carmen domyślała się, że to nie zapowiadało niczego dobrego.

– Gdzie twój żołnierz? – spytała Sybil z przekąsem. – Nadal z tobą czy już cię zostawił?

– Może sama sprawdzisz? – westchnęła Carmen.

Sybil przeglądała się w lustrze. Poprawiła włosy i nałożyła na usta kolejną warstwę ciemnobrązowej pomadki, która podkreślała jej niemal czarne oczy.

– Nieźle go ostatnio urządziłaś – zmieniła temat brunetka, lekko się uśmiechając. – Dziwne, że tak po prostu ci to odpuścił, ale z drugiej strony... on to przecież lubi, nie?

Zachichotała, trącąc Carmen łokciem, jakby były przyjaciółkami, które właśnie zdradzały sobie największe sekrety i przy okazji plotkowały o przystojnych facetach. Sybil spojrzała na rudowłosą, a ona uśmiechnęła się krzywo. To wystarczyło, aby od razu ją rozszyfrowała.

– Och, jeszcze z nim nie spałaś? Nie wyglądasz na cnotkę – mówiła z coraz większą arogancją w głosie. – Ale to wyjaśnia, dlaczego wciąż się przy tobie kręci. Jesteś dla niego tylko wyzwaniem. Po wszystkim wróci do mnie. Zawsze to robi.

Carmen przymknęła powieki, starając się opanować. Te słowa trochę w nią uderzyły. Zasiały w niej ziarno niepewności. Zdażyła przywyknąć do tego, że Kai uczestniczy w jej życiu i chociaż był najbardziej pokręconą osobą, jaką знаła, nie chciała, by zniknął. Zaciśnęła usta. Nie mogła dać się sprowokować, chociaż gniew buzował w jej żyłach z taką mocą, jakby chciał je rozerwać. Zrobiła krok do przodu, by spojrzeć prosto w oczy Sybil.

– Przekonajmy się.

Zarzuciła rude włosy na ramię i wyszła.

Była z siebie dumna. Wygrała. I tym razem nie dała ponieść się emocjom.

Rozejrzała się dookoła. Malachai siedział naprzeciwko brata z odchyloną głową i przymkniętymi powiekami. Świątował swoje małe zwycięstwo. Znów przekonał Ryana, że tak naprawdę on tutaj rządzi i może zrobić, co tylko chce. Był królem, a Ryan tylko nic nieznaczącym pionkiem na planszy. I lada moment zamierzał to ostatecznie wykorzystać.

Otworzył oczy, gdy usłyszał stukot obcasów. Carmen zatrzymała się przy kanapie. Przez chwilę patrzyła na stół, aż wreszcie chwyciła butelkę whisky z logiem firmy ojca. Dla odwagi wzięła tak duży łyk, że kilka kropel trunku spłynęło po jej brodzie. Szybko je starła i wyciągnęła drugą rękę w stronę Kaia. Spojrzał na nią zdziwiony, nie rozumiejąc, czego od niego oczekuje.

Wahał się chwilę, zanim ścisnął dłoń dziewczyny i podążył za nią prosto na parkiet. Zatrzymali się obok Cartera i Rudego, którzy odbijali się od siebie, wykrzykując słowa piosenki. Kai szturchnął zalotnie ramię przyjaciela, a kiedy ten wreszcie na niego spojrzał, kiwnęli do siebie głowami.

Carmen coraz częściej odnosiła wrażenie, że całe życie Malachaia było jedną wielką imprezą. Stał po ziemi tak, jakby cały czas się bawił, udając przy tym, że tak naprawdę nie jest zraniony.

Choć zraniony był do granic możliwości.

Zarzuciła mu ręce na szyję. Dzięki wysokim butom nie musiała zadzierać głowy, żeby lepiej go widzieć. Jego wilgotne ciemne włosy opadły na czoło, dodając mu niewinnego uroku. Cały czas na niego patrzyła, a on czuł się z tym nieswojo. Coś blokowało go przed tym, żeby jej dotknąć. Zwinął palce w pięść. Przed oczami stanęły mu wydarzenia z siłowni. Musiała to zauważyć, ponieważ złapała jego dłoń i ulokowała je na dole swoich pleców, niebezpiecznie blisko pośladków. Przez jej ciało przeszedł dreszcz, którego się nie spodziewała.

Kai zmarszczył brwi, bo coś w jej zachowaniu mu nie pasowało. Próbował ją rozszyfrować

i udało mu się to dopiero, kiedy Carmen wychyliła się zza jego ramienia i pomachała komuś ze zwyczajnym uśmiechem na ustach.

Złapał ją za rękę i okręcił, a potem przyciągnął do siebie tyłem. Przycisnął swoje napięte ciało do pleców Carmen, a ich splecione dłonie ułożył na jej podbrzuszu. Poczula w tym miejscu intensywny napór oraz mrowienie, jakby kumulował się tam ogień. Szybkim ruchem odgarnął rude włosy z ramienia Carmen, opierając na nim brodę, a rękę umieszczając na biodrze. Zamarła na ułamek sekundy. Był tak blisko, że idealnie widział ciarki pokrywające jej skórę, a także pulsującą tętnicę. Miał ochotę ją ugryźć.

– Kogo chcesz wkurzyć? – szepnął, skubiąc delikatnie opuszek ucha Carmen. – I dlaczego moim kosztem?

Już bez żadnych zastrzeżeń wzmocnił uścisk na jej biodrach. Poczul na wybrzuszeniu swoich spodni jej miękkie pośladki, którymi lekko ocierała się o niego w rytm muzyki. Gdyby tylko mu pozwoliła, na oczach wszystkich zadarłby jej spódniczkę, by poczuć ich gładkość, a potem wbiłby w nie palce, zostawiając siniaki. Aż uśmiechnął się pod nosem na tę myśl. Póki co jednak zaczął kołysać się równo z nią.

Z każdym ich wspólnym ruchem powietrze między nimi elektryzowało się jak dwa przeciwne ładunki. Byli jak dwie masy powietrza. Ona – ciepła i wilgotna. On – zimny i oschły.

Nie odpowiedziała. Udawała, że nie ma pojęcia, o czym mówi. Właśnie wtedy dostrzegł brunetkę, która groźnie im się przyglądała, i nagle wszystko zrozumiał. Ponownie obrócił Carmen tak, że znów stali twarzami do siebie, dzięki czemu nie mogła już nic przed nim ukryć. Nawet jeśli usiłowała zakryć pasmami rudych włosów zaczerwienioną ze wstydu twarz, Kai widział ją całą. Uniósł dłoń i bardzo delikatnym ruchem odgarnął kosmyki na bok.

– Zgaduję, że urządziłaś sobie miłą pogawędkę z Sybil?

Kolorowe światła przelatywały po ich sylwetkach, zmieniając je w krainę tęczy. Carmen patrzyła na opanowaną twarz Kaia, która mieniła się różnymi barwami. Zastanawiała się, czy w ogóle powinna o to spytać, ale jednocześnie nie potrafiła się powstrzymać. Pytanie uciekło z jej ust szybciej, nim zdążyła się zdecydować.

– Czemu z nią jesteś?

Na twarzy Kaia pojawiło się rozbawienie, co tylko ją zdenerwowało.

– W jakim sensie, Carmen? – spytał beznamiętnie. – Nigdy nie byliśmy parą.

– Dobrze wiesz, w jakim sensie – westchnęła ze złością. Zaczęła żałować, że o to spytała. Mogła przewidzieć, że nie uzyska od niego takiej odpowiedzi, jakiej oczekiwała. Przewrócił oczami. Od początku doskonale wiedział, co miała na myśli, ale nie mógł poradzić nic na to, że uwielbiał się z nią drażnić. Lubił widzieć, jak powoli się irytuje. Od tego robił się bardziej twardy.

Przyciągnął ją bliżej siebie, okręcił wokół własnej osi do rytmu piosenki, a ona, całkowicie na to nieprzygotowana, wpadła wprost na jego pierś. Położyła na niej dłonie, po czym odchyliła głowę w tył, dzięki czemu znów widzieli swoje twarze w pełnej okazałości, przepełnione surowością, wadami oraz niedoskonałościami.

Muzyka przestała jazgotać i nabrała łagodniejszego tonu. Światła migąły na biało, dzięki czemu wydawało się, że świat nagle zwolnił. Czula bicie jego serca. Carmen zamrugła, jakby to miało sprawić, że nabierze ostrości i dokładniej dojrzy Malachaia. Oparł czoło o jej czoło. Oddychali jak jedność. Przez kilkanaście sekund nie przestawał patrzeć w zielone oczy, a potem przymknął powieki i znów ciężko westchnął.

Kto by pomyślał, że Malachai Yordan jednak ma serce.

Patrzeli na siebie tak, jakby wzajemnie czegoś od siebie oczekiwali, ale nie mogli odnaleźć w sobie odwagi, żeby coś z tym zrobić. Kai uśmiechnął się, jednak przypominało to bardziej grymas. Chciał się tylko ponownie wyłączyć, ale coś mu na to nie pozwalało. Próbował się wyciszyć, bo wszystko zaczęło go przytłaczać, a myśli podryfowały w niewłaściwym kierunku.

– Sybil po prostu zawsze była blisko – mruknął. Carmen zamknęła oczy, skupiając się na jego głosie. Starła się opanować drżenie nóg, które Kai wywołał zaledwie przelotnym muśnięciem palców po jej nodze, gdy wślizgnęły się pod materiał spódniczki i tym samym lekko zadarły ją ku górze. – Wytrzymała ze mną. I z moją naturą.

Zamierzał zabrać rękę, ale Carmen przytrzymała ją w miejscu, może nawet sprawiła, że jeszcze mocniej naparła na odkrytą, wrażliwą skórę, przyprawiając samą siebie o lekki zawrót głowy. Malachai nie był już delikatny. Chwytał mocniej, wbijając palce w udo aż do bólu, chcąc usłyszeć, jak grzechoczą kości.

– Prowokujesz mnie, Karmelku – wymruczał, ponownie skubiąc ją zębami w ucho. Narastało

w niej nabrzmiałe, wzbierające uczucie, które rozsadzało podbrzusze jak mina. Czowała się tak, jakby zerwało się połączenie między jej ciałem a świadomością, jakby nie była już kierowcą, tylko pasażerem.

Zapragnęła się do niego przysunąć. Odrobinę.

Usta Kaia były na granicy uśmiechu, a jego niebieskie spojrzenie było jak pierwszy letni deszcz. Intrygujące. Tajemnicze. Gwałtowne. Po prostu piękne. Puścił jej oczko, uśmiechając się półgębkiem. Obliznął usta. Później spuścił wzrok, jakby się zawstydził. Carmen też powiodła tam spojrzeniem. Zrobiła coś, czego w zasadzie się po niej nie spodziewał. Był przekonany, że się wycofa, a jednak chwyciła za szlufki jego spodni i przyciągnęła go bliżej siebie, chociaż to było prawie niemożliwe.

– Naprawdę? – mruknęła mu w usta. – Wybacz. Już przestaję.

Chciała odejść, ale w porę złapał ją za nadgarstek i z powrotem przyciągnął do siebie.

– Nie uciekaj mi – powiedział cicho, błagalnie, aż zmiękły jej kolana.

Czekała na jego dalsze ruchy, chociaż kręciło jej się w głowie od nadmiaru przytłaczających uczuć. Stała jak sparaliżowana, a moment, w którym się nad nią pochylał, trwał wiecznie. Czowała żar, jaki od niego bił. Milczeli. Kai wodził wzrokiem po rozchylonych wargach Carmen. Chciałby zobaczyć, jak wyglądałyby skąpane we krwi. Najlepiej jego krwi. Zaraz po tym, jak sama wbiłaby zęby w miękką, różową skórę. Tak jak wtedy, w hotelowym holu. Tylko mocniej.

Nie zamierzał jednak wykonywać pierwszego ruchu. Był jak wąż w rajku kuszący Ewę, by sięgnęła po zakazany owoc.

– Nie pocałuję cię – szepnął.

Serce Carmen dudniło ogłuszająco. Nie chciała spuszczać z niego spojrzenia ani nie zamierzała okazywać tego, jak źle na nią działał. Uniosła dumnie podbródek i też zaczęła mu się przyglądać. Patrzyła na jego ciemne włosy, mocno zarysowane brwi, czarne rzęsy zdobiące jasnoniebieskie oczy, mocne kości policzkowe i drgającą żuchwę. Z każdą upływającą chwilą rozumiała, że to był tragiczny pomysł.

W oczach Kaia było coś gorącego, coś, co podpowiadało, że mógłby pokazać jej, jak naprawdę żyć. A kiedy cichutko zachichotał, poczuła ten śmiech głęboko w sobie, gdzie nikt nie powinien sięgnąć.

– I dobrze. Nie chcę, żebyś mnie całował.

– Wspaniale, że się zgadzamy. – Kiwnął głową z drapieżnym uśmiechem na ustach.

Wiedział, że kłamała.

Wreszcie, po upływie dłużących się sekund, ponownie odgarnął jej włosy do tyłu. Przycisnął głowę do szyi Carmen. Poczowała, jak rozchyła usta. Drażnił jej skórę miękkimi, wilgotnymi muśnięciami, aż wreszcie porządnie ją ugryzł. Coś się w niej stłukło. Poczowała przyjemny skurcz w dole brzucha. Przyciągnęła jego głowę jeszcze bliżej, odruchowo wplątując palce w gęste włosy. Pachniał zabójczo – męsko, bezwzględnie. Traciła głowę. Powoli i stopniowo puszczały jej wszelkie hamulce. Ciało stało się niemal bezwładne, płonęło, jakby miało się roztopić – za to jej majtki były mokre. Odruchowo szarpnęła biodrami, szukając ulgi.

W takich momentach wydawało jej się, że miała na jego punkcie obsesję. Ogarnęła ją dziwna fascynacja pokręconym życiem Malachaia. On i wszystkie złe rzeczy, które robił, okazały się być jej najgorszymi nawykami. Nie potrafiła tego zrozumieć. Był koszmarem, którego powinna unikać, a jednak rozbudzał całe jej ciało. Liczyła, że jeśli zbliży się do niego wystarczająco blisko, by zaspokoić swoje chore potrzeby, niezrozumiałe uczucia względem niego znikną.

Chwycił pośladki Carmen, z powrotem przyciskając ją do swojego ciała. Gniótł je dużymi, szorstkimi dłońmi, jakby tylko czekał, aż się pokruszą. Resztkami racjonalności bronił się przed tym, by nie rzucić jej na blat, zapleść rude włosy wokół pięści i ciągnąć za nie, podczas gdy brałby ją od tyłu. Aby choć trochę zaspokoić swoje brudne myśli, szarpnięciem odgiął głowę Carmen, odsłaniając ponętą szyję, w którą ponownie się wgrzyzł.

W tej samej sekundzie poczuła popchnięcie, które wcale nie pochodziło ze strony Kaia. W efekcie zderzenia ich ciał przypadkowo rozciął zębem skórę na jej szyi, pozostawiając po sobie niewielki ślad. Carmen złapała się za kark, a później odwróciła się, by spojrzeć na sprawcę całego zamieszania.

Sybil stała paręnaście centymetrów dalej z wydętą wargą.

– Przepraszam, niezdara ze mnie.

Dopiero po chwili Carmen poczuła coś zimnego i lepkiego na spódniczce, a gdy spuściła wzrok, zobaczyła mokre plamy na materiale. Najbardziej jednak wkurzyło ją to, że jej ulubione buty były zalane kolorowym napojem.

– Zrobiłaś to specjalnie, idiotko! – krzyknęła Carmen, zwracając na siebie uwagę. Sybil zatrzepotała długimi rękami. – Lepiej je wyczyść, bo są warte więcej od ciebie! – dodała i ponownie spojrzała na czerwone szpilki pokryte plamami, w dodatku klejące się do podłoża.

Sybil w odpowiedzi się roześmiała.

Carmen wiedziała, że tym razem nie uda jej się wyjść z tej sytuacji z godnością. Bez ostrzeżenia popchnęła brunetkę, która lekko zatoczyła się w tył i wpadła na Cartera. Chłopak przytrzymał ją za ramiona, a potem zerknął na przyjaciela, jakby próbował namówić go do tego, by zareagował.

Kai potrząsnął głową. W przeciwieństwie do innych bawił się świetnie.

– Zabierz te brudne łapska, wariatko! – Tym razem to Sybil krzychała. A raczej piszczała. Rozejrzała się dookoła, a jej spojrzenie wreszcie spoczęło na szatynie, który stał za plecami rudowłosej. – Widzisz, Kai. To prostaczka. Nie ma ani trochę klasy.

Wszyscy przyglądali im się z zainteresowaniem i zarazem lekkim przerażeniem. Carmen poczuła, że coś w niej pękło. Jeden duży krok wystarczył, by stanęła przed nosem Sybil. Później zamachnęła się i z całej siły zdzieliła ją w twarz. To był porządnie wymierzony policzek. Głowa brunetki przechyliła się w bok. Wyprostowała się szybko i złapała za obolałe, zaczerwienione miejsce. Spojrzała na Carmen z zaskoczeniem i nagle w jej oczach pojawiły się sztuczne łzy.

– Kai, pozwolisz na to? – spytała łamiącym się głosem. Wlepiała w niego duże brązowe oczy z nadzieją, że stanie po jej stronie.

Wzruszył ramionami. Nie zamierzał się w to angażować. Zauważył, że Carmen poruszyła niespokojnie ręką, aby zadać kolejny cios. Widok tak brutalnej Carmen z krwią ciekącą po jej szyi był wart zapamiętania, choćby po to, aby niegrzecznie oddać mu hołd w samotne wieczory. Aż szkoda mu było to przerywać. Oplótł ręce wokół pasa rudowłosej i odciągnął ją w tył. Mimo tego, że była mniejsza, kolejny raz udowodniła mu, że miała w sobie ogromne pokłady siły. Jego niegrzeczny Karmelek. Ledwo udało mu się ją utrzymać, tak bardzo wymachiwała rękoma i nogami. Zaśmiał się jako jedyny. Cała reszta wyglądała poważnie.

– Dalej. Chodź tu, zdziro! – krzychała Carmen jak opętana. Kai cały czas obserwował ją z szeroko otwartymi oczami. Było w niej coś dzikiego. Uwolniła swoje szaleństwo i bardzo mu się to spodobało. Była trochę jak jego damska wersja.

– Boże – sapnęła Sybil, przykładając dłoń do piersi. – Czy ktoś wreszcie zabierze stąd tą wariatkę, zanim znów zrobi mi krzywdę?

– Chętnie przyłożę ci jeszcze raz. Może wreszcie zmądrzejesz – warknęła rudowłosa.

Kai nie wytrzymał i głośno się roześmiał. Przyciągnął Carmen bliżej siebie i dał jej całusa w policzek tak, że doskonale czuła jego uśmiech.

Carter, słysząc wymianę zdań kobiet, również parsknął śmiechem. Zawsze działali jak jeden organizm. W tym samym momencie boczne drzwi się otworzyły, a z wnętrza wyłonili się Ivan i Jeff Collins – co było bardzo nadzwyczajnym widokiem. Towarzyszył im jeszcze jeden tajemniczy mężczyzna.

Nagle zapanowała całkowita cisza, którą przerwał zachrypty, zgorzkniały głos.

– Mogłem spodziewać się, że w samym środku zamieszania znajdę swoją córkę – odezwał się nieznajomy. Carmen momentalnie się uspokoiła. Spojrzała w kierunku mężczyzn i rozchyliła usta ze zdziwienia. Tego na pewno się nie spodziewała.

– Tato? – spytała, chociaż odpowiedź była oczywista. Michael Clark miał na sobie czarny garnitur i różową koszulę, a ciemne włosy były idealnie ułożone. Wyraz jego twarzy nie zaskakiwał. Zawsze wyglądał tak, jakby się na niej zawiódł. Nawet nie uśmiechnął się na jej widok, co tylko przypomniało Carmen o tym, że ich relacja była po prostu służbowa, jakby nie dzielili wspólnej krwi oraz genów.

– Papa Clark? – szepnął Kai do jej ucha. – Zaczyna robić się ciekawie.

– Ochłoń, Carmen – powiedział ostro mężczyzna. – Czekam na zewnątrz. Mamy rodzinne sprawy do obgadania.

Obserwowała plecy taty, dopóki nie zniknął za drzwiami. Przestała się spinać i rozluźniła mięśnie, dlatego Kai wreszcie postawił ją na ziemi. Przeniosła wzrok na szatyna. Patrzyła tylko na niego, chociaż zdawała sobie sprawę, że cała reszta wlepią w nią spojrzenia. Wzięła parę głębokich wdechów, a potem wypuściła powietrze przez usta. Złość powoli odpływała z jej organizmu, ale wiedziała, że rozmowa z ojcem ponownie ją spotęguje.

Bez słowa ruszyła do wyjścia ze spuszczoną głową. Na dworze zrobiło się ciemno. Światła jedynego odpalonego samochodu na parkingu poraziły jej oczy. Chciała iść w tamtym kierunku, ale poczuła, że ktoś za nią stanął.

– Co powiedziała ci Sybil? – To był Kai. Wyłonił się z cienia, przez co światła lamp padły na jego twarz. Stał sztywno z rękoma schowanymi w kieszeniach dżinsów. – Czym tak bardzo cię zdenerwowała?

Carmen nie chciała odpowiadać na to pytanie. Gdyby tylko wypowiedziała na głos to, co zaprzą-

tało jej myśli, okazałaby słabość. Ale wzrok Kaia był intensywny, przeszywający. Nie zamierzał pozwolić odejść Carmen bez wyjaśnień.

– Zniszczyła moje ulubione buty. To tyle. – Wzruszyła ramionami. Nie uwierzył.

– Oboje wiemy, że poszło o coś więcej – mruknął i zrobił krok do przodu. Carmen natomiast się cofnęła. Również w sobie. Była przerażona tymi wszystkimi emocjami, które się w niej gotowały, gdy tylko Kai pojawiał się w pobliżu. Wiedziała, że to niewłaściwe, ale w żaden sposób nie mogła się ich pozbyć. Były jak drzazga. Ciągle o sobie przypominały. – To tylko buty. Mogę kupić ci takie same, jeśli chcesz.

– Nic od ciebie nie chcę.

Próbowała się do tego przekonać.

– Możesz wreszcie odpowiedzieć na moje pytanie? – W jego głosie pojawiła się nuta irytacji. Wyciągnął jedną rękę z kieszeni, przejechał nią po włosach i z powrotem schował. Zaciśnął usta, dzięki czemu na jego buzi ujawniły się dołeczki.

– Powiedziała, że nadal się przy mnie kręcisz, bo chcesz mnie przelecieć. – Odruchowo się roześmiała, ale zabrzmiało to bardzo nerwowo i sztucznie. Kai zmarszczył brwi, jakby próbował dokładnie przeanalizować jej słowa.

– A uwierzyłaś jej, bo...? – Przechylił głowę. Wyglądał na zaskoczonego, ale również na poirytowanego. – To idiotka. Ma więcej doczepionych włosów niż punktów IQ.

– Zawsze wybierasz idiotki czy czasem robisz wyjątki? – Zaśmiała się gorzko. Sama nie wiedziała, dlaczego to powiedziała, ale pojawiła się w niej silna potrzeba dogryzienia mu.

Przewrócił oczami tak mocno, że przez ułamek sekundy było widać tylko jego białka.

– Dobrze wiesz, że miałem wiele okazji, żeby zaciągnąć cię do łóżka. Zrobiłem to? – spytał, ignorując jej słowa. Carmen od razu pokręciła głową. – Właśnie. Nie zrobiłem. Myślisz, że czekałbym tak długo, gdybym naprawdę chciał to zrobić?

Carmen nie odpowiedziała. Za bardzo skupiła się na jego słowach.

– A nie chcesz? – wyszeptła po chwili i brzmiało to smutno.

Patrzyli na siebie tak, jakby byli prawie kochankami, jakby mieli się pocałować i kochać, i wspólnie śmiać, ale w zamian wybrali bycie przyjaciółmi. Patrzyli na siebie z tym wszystkim, co mogliby mieć, oraz z sercami pełnymi żalu.

W tej samej chwili samochód ojca Carmen zatrzymał się tuż przy nich. Michael Clark ze swoim grobowym nastrojem wydawał się lepszym towarzystwem niż Malachai oraz niedopowiedzenia wiszące nad ich głowami niczym toksyczny smog. Nie czekała na reakcję ze strony Kaia, bo wydawał się nadzwyczaj zaskoczony. Wsiadła do auta. Wzrok Kaia ustabilizował się na tyle, że ze ściśniętym sercem mógł obserwować, jak znikala mu z oczu.

Czasami najgorszym miejscem, w jakim mógł być, była jego własna głowa. A teraz panowało w niej istne pobożowisko. Znał odpowiedź na zadane pytanie, ale wolał nie wypowiadać jej na głos. Nigdy nie zakładał, że polubi Carmen na tyle, by chciał zatrzymać ją w swoim życiu. To się po prostu stało. Z niezrozumiałego powodu pragnął, by ta znajomość przetrwała. Dlatego musiał trzymać dystans. Najwyczejniej w świecie się bał.

Bał się siebie krzywdzącego ją.

Ponieważ Malachai Yordan był zbyt chory na zdrowe relacje.



Coroczny bankiet u Clarków zawsze wzbudzał wiele emocji. W Carmen wzbudzał jedynie wstręt.

Stała w swoim starym pokoju w rodzinnym domu, choć najchętniej zmyłaby się do własnego mieszkania, gdzie nie ma miejsca ani dla jej ojca, ani brata, którego niestety minęła już na korytarzu. James kiwnął do niej głową na powitanie, ale poza tym nie zamienili ani słowa, jakby byli sobie bardziej obcy niż wcześniej. Może wciąż miał do niej żal o to, że Kai zdzielił go w twarz, głównie z jej powodu, choć niemal pewne było, że Malachai szukał jedynie pretekstu. Prędzej czy później i tak by to zrobił. Po prostu nadarzyła się dobra okazja.

Pozostawała jeszcze kwestia Michaela. Ostatnio dosadnie przypomniał jej o nadchodzącej rocznicy istnienia ich destylarni i nie był skory przyjąć żadnych protestów. Po prostu musiała pojawić się w domu i jak to bywało w takich sytuacjach, zgrywać córkę roku; nie tylko przed najbliższą rodziną, ale również przed wszystkimi znajomymi ojca, może nawet przed samą sobą. Spodziewała się co najmniej setki gości. Michael Clark podobnie jak ona kochał być w centrum uwagi i jeśli organizował imprezę, robił to z ogromnym rozmachem. Z tego powodu od samego rana w ich domu przewijali się obcy ludzie zajmujący się cateringiem, dekoracjami i muzyką.

Przyglądała się odbiciu w lustrze. Długie ogniste włosy opadały kaskadą na ramiona i plecy. Pełne usta pomalowała krwistoczerwoną szminką. Wygładziła dłonią materiał obcisłej sukienki z odkrytymi plecami w kolorze pasującym do warg, która spływała po smukłej sylwetce. To była magiczna kiecka – sprawiała, że wyglądała na wyższą, lżejszą, dodawała również objętości w okolicach dekoltu.

Carmen Clark wyglądała tak, jakby właśnie wymusnęła się szatanowi z piekła.

Usłyszała za sobą kroki, a chwilę później po pomieszczeniu rozniósł się znajomy głos. To było tak nieoczekiwane, że aż podskoczyła w miejscu.

– Czerwony dobrze na tobie wygląda – odezwał się. Brzmiał pewnie oraz szczerze.

Nie musiała się odwracać, bo idealnie widziała w lustrze jego wysportowaną, długą sylwetkę, chociaż wcale się go tam nie spodziewała. Opierał się barkiem o futrynę i z lekkim uśmiechem zdobiącym wąskie usta lustrował ją łagodnym spojrzeniem. Wyglądał nienagannie w granatowym garniturze i czarnej koszuli. Te kolory podkreślały odcień jasnoniebieskich tęczówek. Blond włosy zaczesał do tyłu, ale pojedynczy kosmyk opadał mu na twarz.

Carmen posłała mu miły uśmiech, chociaż coś w jej żołądku się ścisnęło.

– Możesz mi pomóc? – spytała, zerkając na niego przez ramię. Nadal nie mogła poradzić sobie z zawiązaniem sukienki. Holden poderwał się z miejsca, stanął za nią i jednym sprawnym ruchem zawiązał z tyłu kokardkę, napinając przy tym materiał na jej brzuchu. Uderzył w nią intensywny zapach męskich perfum. Przez moment nie była w stanie się poruszyć, gdy palcami przesunął po odkrytej skórze. W ciszy wpatrywała się w skupioną twarz Holdena. – Rozumiem, że gdzieś tutaj kręci się też Kai?

Holden spoważniał i zrobił krok w tył, tym samym zwiększając dystans między nimi, jakby nagle przypomniał sobie, że to nie jego miejsce.

Z jej ust wymusnęło się westchnienie. Musiała to wiedzieć, by przygotować się na spotkanie z Malachaiem. Od ostatniej wizyty w klubie po prostu go unikała. Próbowwała zrozumieć swoje uczucia do niego, ale to wydawało się niemożliwe. Było jej również wstyd za to, że dała się ponieść naglej żądzy. Kai dzwonił do niej kilka razy, ale nie miała siły z nim rozmawiać. W końcu odpuścił. A teraz musiała stawić mu czoła.

Nie chciała tego, bo nie wiedziała, co powinna mu powiedzieć.

„Boję się tego, co przy tobie czuję”.

„Muszę wytrwać, więc znikaj, proszę cię”.

– Robimy za przyzwotki Ivana – odpowiedział Holden i wzruszył ramionami. Odwróciła się do niego z krzywym uśmiechem na ustach. Cały czas na nią zerkał, a to spojrzenie prawie bolało. I uśmiechał się jak ktoś, kto bardzo za czymś tęsknił. – Idziemy? – spytał, przerywając niezręczną ciszę, która między nimi zapanowała. Carmen skinęła głową.

Złapała go pod rękę i ruszyli przed siebie. Już z daleka słyszała donośny głos taty, który zaczął

wznosić toast. I wcale jej się to nie spodobało. Przyśpieszyła kroku i już trzy sekundy później znalazła się na szczycie schodów. Zamarła, gdy zobaczyła na dole Kaia. Stał przy Carterze i znudzonym Ivanie i gadał jak nakręcony, co jakiś czas śmiejąc się pod nosem – najprawdopodobniej ze swoich głupich żartów.

Michael Clark trzymał już kieliszek w dłoni, gotowy do przemowy. Tuż przy nim wiernie stał James, uśmiechając się przyjaźnie do gości. Na jego widok Carmen miała ochotę głośno prychnąć, bo znów bawił się w idealnego synka, który tak bardzo wspiera rodzinny interes. Kiedy jednak rzeczywiście był potrzebny, zawsze znikał.

– Tatusiu, myślałeś, że możesz zacząć imprezę beze mnie? – powiedziała głośno i wyraźnie, przesadnie słodkim głosem, przez co zwróciła na siebie uwagę większości gości. Ludzie zaczęli między sobą szeptać, oceniając ją od stóp do głów. Przywykła do tego, dlatego tylko czarująco się uśmiechnęła.

Kai również na nią spojrział. Wreszcie zamilkł, jakby nagle zabrakło mu słów. Napił się wody, ale stanęła mu w gardle, więc zaczął kaszleć, czym wystawił się na spojrzenia innych. Poklepał się po mostku i posłał wszystkim przyjazny uśmiech.

Sekundę później spoważniał. Rozbawienie zniknęło z jego twarzy w mgnieniu oka. Nie przypominał już chłopczyka, tylko prawdziwego mężczyznę. Wyprostował się jak napięta struna. Obserwował, jak z wrodzoną gracją Carmen schodziła po schodach. Towarzyszył jej Holden i ten fakt trochę go zdenerwował. To powinien być on. Czuł, że to było jego miejsce – u boku Carmen. Tworzyli przecież niezły duet. Zaciśnął dłoń na szklance z taką siłą, że jego kłykcie pobieleły.

Kiedy Carmen zeszała z ostatniego schodka, zgarnęła od kelnera szklankę wypełnioną złocistym trunkiem. Wypiła go w całości za pierwszym razem, lekko się krzywiąc. Wszyscy wciąż patrzyli na nią, jakby była atrakcją dnia. Z tego powodu uśmiechnęła się triumfalnie, a potem mrugnęła okiem do ojca, który marszczył groźnie brwi. Podeszła do taty, by mocno ucałować go w policzki. Zrobiła to na pokaz. Ona też potrafiła grać – zupełnie jak James. Nauczyli się tego od ojca. Cała rodzina Clarków mogłaby wystawić spektakl na Broadway'u na temat pogrążania się w obłudzie.

Zostawiła Holdena bez słowa i wyszła na zewnątrz.

Na Malachaię nawet nie spojrzała.

• • •

Z wnętrza budynku powoli zaczęli wychodzić goście, co wiązało się z tym, że Michael najprawdopodobniej skończył już jedno ze swoich słynnych kilkunastominutowych przemówień. Nie chciała znów ich słuchać, bo za każdym razem brzmiały podobnie. Zawsze dziękował za przybycie, opowiadał porywającą historię powstania firmy, a na końcu rzucał nieśmiesznymi żartami. Prawie znała je na pamięć.

Carmen opierała łokcie na okrągłym, wysokim stoliku i stuknęła paznokciami o pustą szklankę po alkoholu. Miała znudzoną minę, dopóki nie zobaczyła, jak z budynku wyłania się Ivan, a zaraz za nim Holden. Nigdzie jednak nie zobaczyła Kaia, co trochę ją zaniepokoiło. Chciała mieć go na oku, by udało jej się w porę przed nim uciec. Pragnęła kontrolować sytuację, ale zamiast tego całkowicie traciła nad nią panowanie.

Cała zeszytniała, gdy ciepły oddech owiał skórę na jej nagich ramionach. Od razu pojawiła się na nich gęsia skórka. Miękki materiał spodni otarł się o udo Carmen. Stał za nią. Wiedziała, że to on. I w zasadzie mogła to przewidzieć. Przecież to był Kai. Nie podszedłby do niej jak każdy inny chłopak. Preferował niestandardowe sposoby. Wolał wziąć ją z zaskoczenia i zająć od tyłu, gdy najmniej się tego spodziewała.

Działo się to, czego Carmen najbardziej się obawiała. Nie miała wyboru.

Musiała z nim porozmawiać.

– Unikasz mnie? – spytał.

Głęboko wciągnęła powietrze zmieszane z zapachem jego perfum niczym przyprawiający o dreszcze narkotyk. Może to przez whisky albo przez to, że nagle zrobiło jej się słabo, oparła się wygodnie o stół. Nie chciała się odwracać. Wreszcie zniecierpliwiony okrążył ją i stanął przed nią. Napotkała aksamitne spojrzenie niebieskich oczu.

Mylili się. Wcale nie chciała, by zniknął.

Kai błędził wzrokiem nie tylko po jej twarzy, ale również po sylwetce. Obliznął usta i zagryzł wargę, dokładnie lustrując obcisłą czerwoną sukienkę, która idealnie podkreślała zgrabną figurę Carmen.

– Wyglądasz w tej sukience prawie tak gorąco jak ja w garniturze – zmienił temat, bo zrozumiał, że nie uzyska odpowiedzi na pytanie, które zadał. Puścił do niej oczko. Carmen poczuła, że jej twarz, szyja i dekolt nabierają czerwonego koloru, prawie zlewając się z ubraniem. Tego też powinna się po nim

spodziewać. Sprawił jej komplement, ale jednocześnie nie zapomniał wspomnieć również o sobie.

Dopiero wtedy zdecydowała mu się lepiej przyjrzeć. Ciemnobrązowe włosy były roztrzepane, a ładnie przycięty zarost podkreślał mocną linię szczęki. Miał na sobie świetnie skrojony czarny garnitur. Nie założył krawatu, a dwa górne guziki białej koszuli zostały odpięte, dzięki czemu widziała część jego obojczyków i zwisający z szyi łańcuszek. Lewy nadgarstek chłopaka zdobił srebrny zegarek, który współgrał ze spinkami do mankietów w kształcie jego inicjałów.

Wyglądał nieziemsko. Jak młody bóg.

Był dowodem na to, że nawet najpiękniejsze rzeczy w życiu mogą zmieniać się w prawdziwe zło.

Zauważył, że bacznie go obserwuje. Spuścił głowę, by spojrzeć w to samo miejsce co ona. Przyglądała się srebrnym spinkom, ponieważ dziwiło ją to, że pierwsza literka pochodziła od jego pełnego imienia. Nie musiała nawet zadawać na głos pytania. Od razu domyślił się, co zaprzęta jej umysł.

– Dostałem je od mamy na szesnaste urodziny – powiedział nagle. Przełknęła ślinę i szybko zamrugła. Miała wrażenie, że się przesłyszała. Nie mogła uwierzyć w to, że Malachai Yordan trochę się przed nią otworzył. – Dokładnie dwa tygodnie później zginęła.

Powiedział to bez emocji, jakby to nie była jego historia, tylko kogoś obcego. Zgrywał niewzruszonego, choć jego oczy i lekko drżąca warga temu przeczyły.

Nie wiedziała, jak się zachować, chociaż czuła, że powinna coś zrobić.

– Hej, tylko nie mów, że ci przykro – mruknął oschle, zanim zdążyła odpowiedzieć. Widział, że coś w wyrazie jej twarzy się zmieniło. Patrzyła na niego spojrzeniem, którego nienawidził. Inni zawsze obdarowywali go takim wzrokiem, gdy wspominał o rodzicach. Dlatego wołał o nich milczeć. Schował dłonie do kieszeni spodni. – Ludzie ciągle mi to mówią, chociaż nie mają o tym pojęcia. Nie musisz mi współczuć, żeby poczuć się odrobinę lepiej.

W ułamku sekundy wrócił denerwujący Kai, w którym nie było nic ludzkiego.

– Nie zamierzam ci współczuć – rzuciła, chcąc brzmieć obojętnie, choć to wyznanie naprawdę ją poruszyło. – A teraz możesz już iść i być irytujący w innym miejscu?

Kai wyszczerzył się dumnie, a jego oczy zaślnęły jak gwiazdy na nocnym niebie.

– Flirtujesz ze mną czy zaczynasz kłótnię?

Nie wiedziała. W grę mogły wchodzić obie możliwości.

Położyła dłonie na jego klatce piersiowej i sunęła nimi w kierunku skórzanego paska od spodni. W końcu jednak przesunęła jedną z nich na jego kark. Jej palce delikatnie musnęły kołnierzyk koszuli Kaia. Dotknęła jego skóry. Tak ciepłej, że momentalnie się rozgrzała. Nie przepadała za tym, że jej serce zabiło mocniej, ale zignorowała to i wsunęła palce w krótkie ciemne włosy u podstawy jego czaszki.

– Okej. W takim razie ja pójdę – powiedziała wreszcie i zabrała rękę. Kai spojrzął na nią tak, jakby właśnie odebrała mu coś bardzo cennego. Odwróciła się, zarzucając rude włosy na jedno ramię, dzięki czemu niektóre kosmyki musnęły skórę na jego twarzy.

Zrobiła zaledwie parę kroków i zamarła w bezruchu. Kiedy zobaczyła, kto zmierza w jej stronę, zaczęła się wycofywać, aż wreszcie się odwróciła. Ale Kai już za nią nie stał. Obrzuciła zrozpaczonym spojrzeniem okolicę, próbując go namierzyć. Wreszcie zobaczyła go przy stole z jedzeniem. Nakładał na talerz wszystko, co popadnie, a gdy znalazła się tuż za nim, maczał palce w czekoladowej fontannie.

Szarpnęła go za ramię, ale nie raczył się odwrócić.

– Malachai – sapnęła. Tym razem pociągnęła go za rękaw marynarki. Nadal nie zareagował, a to zaczęło wyprowadzać ją z równowagi. Stres zmieszany ze złością zawładnął jej ciałem. Obejrzała się za siebie. Osoba, której próbowała unikać za wszelką cenę, z każdą sekundą się do niej zbliżała. Nie była na to gotowa. – Kai, błagam.

Ostatni raz pociągnęła go za rękę. Wreszcie się odwrócił.

– Co? – jęknął z irytacją, odłożył talerz na bok i oblizał resztki czekolady z palca. – Myślałem, że aktualnie się olewamy. Zdecyduj się wreszcie. – Przewrócił oczami i westchnął ostentacyjnie. Miał zmarszczone brwi i lekko zmrużone oczy, jakby raziło go słońce. – Już za mną zatęskniłaś?

Zaśmiał się, jednak Carmen mu nie zawtórowała. Nie było jej do śmiechu.

– Musisz zostać moim chłopakiem na jakieś pięć minut – powiedziała błagalnym tonem. Kai odchrząknął głośno, by znów nie wybuchnąć śmiechem. Przechylił głowę i przez kilka sekund po prostu na nią patrzył, jakby zabrakło mu słów.

– Nic nie muszę, Karmelku – mruknął z rozbawieniem i pstryknął ją zalotnie palcem w nos. – Poza tym nie chcę być twoim chłopakiem. Nawet na sek...

Nie dokończył, ponieważ Carmen splotła ze sobą ich palce tak mocno, jakby chciała je połamać. Uśmiechnął się krzywo i zmarszczył nos. Próbował się wyszarpnąć, ale wreszcie odpuścił. Starał się prze-

analizować sytuację i zrozumieć, co się działo.

– Możesz wytłumaczyć mi, co ty wyprawiasz? – sapnął, zerkając niepewnie na ich splecione dłonie. Czuł się z tym nieswojo. Carmen przekroczyła jego strefę komfortu i nawet się tym nie przejęła. Zaczął się wiercić, bo nagle poczuł się tak, jakby nie był w swoim ciele. To do niego nie pasowało. Nie pozwalał się tak po prostu dotykać. Nie, jeśli sam nie miał na to ochoty. I nie łąpał się z dziewczynami za rączki niczym zakochane dzieciaki.

To była dziwna niechęć. Nie lubił być dotykany, bo tak naprawdę najmocniej tego pragnął. Chciał być mocno trzymany, żeby znów się nie rozpaść.

– Jesteś mi to winien – szepnęła. – Chciałeś mnie zabić, pamiętasz?

– Ale tego nie zrobiłem, pamiętasz? – Jego usta opuściło ciężkie westchnienie. To był argument, z którym nie mógł walczyć, nawet jeśli bardzo chciał. Zerknął na nią i nagle go olśniło. – Och, nie zgrywaj aniołka. Dźgnęłaś mnie. DWA razy. To chyba wyrównuje rachunki.

Carmen spojrzała na niego przelotnie z niemałą prośbą w zielonych oczach.

– Dobra. Jedna przysługa i jesteście kwita.

Prychnęła.

– Czeka cię jeszcze wiele przysług, zanim będziemy kwita.

– Uważaj, bo zaraz się rozmyślę – zagroził, ale mimo to uśmiechnął się zadziornie – albo tym razem ja cię dźgnę – szepnął w jej włosy, delikatnie się pochylając. Przez moment na jego twarzy pojawił się rozmarzony wyraz, jakby wyobrażał sobie coś przyjemnego.

Wyprostował się, gdy Carmen wbiła łokieć w jego żebra. Spojrzał na nią z zażenowaniem. Do ust dziewczyny przykleił się dziwny uśmiech, jakby czegoś się wstydziła i zarazem bała, ale próbowała to ukryć. Uniósł głowę, żeby widzieć to samo, co ona.

Zobaczył młodego chłopaka, który zmierzał w ich stronę.

Serce Carmen biło szybko, a jej skóra wydawała się tak cienka, że równie dobrze mogłaby zostać przebita, przez co za sekundę ujrzałaby swoje serce na ziemi. Cała się trzęsła, jakby stała nago w środku ulewy. Uderzyły w nią te dziwne uczucia, które chciała ukryć przed światem. Najlepiej na dnie głębokiej studni.

Miała wrażenie, że to wszystko trwało wieczność. Zupełnie tak, jakby chłopak zbliżał się do nich w zwolnionym tempie. Wreszcie się przy niej zatrzymał. Wyglądał tak samo, jak zapamiętała. Burzę kruczoczarnych włosów pozostawił w nieładzie. Miał ostre rysy twarzy i widoczną żyłę na środku czoła. Lustrował ją czarnymi oczami. Cieszyła się, że Kai wzmocnił uchwyt na jej ręce, bo inaczej z wrażenia mogłaby osunąć się na ziemię.

– Brad. – Zachichotała nerwowo, choć to imię w ustach Carmen brzmiało sztywno. Wolną dłonią poprawiła rude włosy. – Co tutaj robisz?

Kai zmarszczył czoło, jakby gorączkowo nad czymś rozmyślał. W efekcie między jego brwiami pojawiła się pionowa zmarszczka. Brad. Brad. Brad. Coś mu to mówiło. I kiedy trochę nad tym pomyślał, zrozumiał, dlaczego Carmen tak bardzo się spięła. Ogarnęła go ekscytacja.

– To ten kretyn, który cię zostawił? – wycedził bez namysłu. Uzmysłował sobie, że powiedział to na głos, gdy Carmen posłała mu jedno ze swoich spojrzeń, które miało wyglądać groźnie. Uśmiechnął się niewinnie, kiedy brunet przeniósł na niego wzrok. Był zdezorientowany sytuacją tak samo jak Kai.

– Malachai – jęknęła dziewczyna. – Bądź miły.

– Jaki? – rzucił zdziwionym głosem. – Nie wiem, co to znaczy być miłym.

Wzruszył ramionami. Cały czas kątem oka obserwował Brada, który z kolei ślizgał się spojrzeniem po sylwetce Carmen. I to był znak, że Kai powinien wreszcie coś zrobić. Stanął za nią i oplótł ręce wokół jej bioder, jednocześnie przyciskając ją do swojego ciała.

Carmen miała wrażenie, że Kai w ten sposób pokazywał światu, że teraz jest z nim.

Brad zatrzymał na nim zagubione spojrzenie.

– Co tutaj robisz? – spytała ponownie.

– Twój tata zaprosił moich rodziców. Chyba mają wspólne interesy – odpowiedział chłopak i w geście zakłopotania podrapał się po głowie. Nie czekał na reakcję ze strony Carmen. Znał ją i wiedział, że najprawdopodobniej ta informacja ją rozwścieczyła. Postanowił zmienić temat. – Co u ciebie? Wyglądasz... och, świetnie. Naprawdę świetnie.

Malachai odruchowo przewrócił oczami. Powstrzymał się przed ziewnięciem. Zbierało mu się na wymioty. Nie pisał się na branie udziału w beznadziejnej i nudnej rozmowie byłych kochanków. Byłoby zabawnie, gdyby chociaż na siebie pokrzyżeli, ale zamiast tego stali, usilnie próbując podtrzymać konwersację. Dlaczego? Nie wiedział.

– Wygląda świetnie bez ciebie – prychnął wreszcie, przerywając niezręczną ciszę. Chciał ich trochę podjudzić i zobaczyć, jak rozwinie się sytuacja. Carmen nie wiedziała, jak się zachować i co mówić. Uspokoiła się trochę, gdy Kai musnął ciepłymi ustami skórę na jej ramieniu. Jednocześnie była na niego zła, bo jak zwykle bez namysłu rzucał głupimi tekstami. – To znaczy, że ty byłeś problemem.

Brad spojrział na niego, a w jego ciemnych oczach pojawiło się coś dziwnego.

– Wybacz, a kim ty w ogóle jesteś?

– Osobą, z którą nie chcesz zadzierać – burknął Kai.

Carmen poczuła, że mięśnie w ciele Kaia napięły się do granic możliwości. Słyszała, jak jego oddech przyspieszył. Szczęka zaczęła niezdrowo drgać przez to, że mocno ją zacisnął. Włączył tryb „Jestem nieustraszony i wszystko mi wolno”. Brakowało kilku sekund lub słów, by całkowicie go rozjuszyc. Carmen nie mogła pozwolić na to, by rzucił się na Brada, dlatego zacisnęła palce na jego ramionach, starając się przyciągnąć je do siebie tak blisko, że nie miałby możliwości się ruszyć.

– Powiniennem chyba iść – powiedział brunet. Zrozumiał przekaz.

– Zdecydowanie powinienes. – Kai wyszczerzył się triumfalnie. Carmen spojrzała na niego przez ramię i przewróciła oczami. Naprawdę nie mogła zrozumieć, dlaczego nie umiała trzymać się od niego z daleka. Był narwany, zły i kontrolujący.

Kiedy Brad zniknął w tłumie, puściła ręce Kaia i stanęła przed nim. Miała zaciśnięte w wąską linię usta, a w jej zielonych tęczówkach tańczył potężny gniew. Skrzyżowała ręce pod piersiami, przyjmując obronną postawę. Chłopak, w przeciwieństwie do niej, wydawał się rozbawiony. Był z siebie dumny.

– Gdybym miał uczucia, to nawet byłoby mi go żal – powiedział i zagryzł wargę. Patrzył na nią z góry. – Biedak właśnie rozumiał, jak bardzo nawalił tym, że cię zostawił – mówił dalej, ponieważ Carmen była dziwnie milcząca. Przeszywała go groźnym spojrzeniem, ale skutecznie to ignorował. – Ale na szczęście ich nie mam, więc nie muszę przejmować się tym śmieciem.

– Nie musiałeś być takim chamem – westchnęła.

Kai zamilkł na moment.

– Chamem?! – uniósł się. – W zasadzie to była moja najmiłsza wersja, Carmen.

Przyglądał jej się intensywnie, jakby nadal nie rozumiał żadnego ze słów, które wypowiedziała. Przez jego twarz przebiegł cień zawodu, a potem pojawiła się tylko złość.

– Czego się po mnie spodziewałaś? – rzucił po chwili ciszy. Coś się w nim zmieniło. Słońce przestało tańczyć na jego twarzy. Przypominał trochę pogodę przed burzą. Nie przypuszczała, że swoją wypowiedzią tak go zdenerwuje. – Myślałaś, że poklepię go po ramieniu i pogratuluję, że cię zostawił?

Nie wyglądał już na zdenerwowanego. Bardziej tak, jakby świat runął u jego stóp, a on mógł tylko stać i się temu przyglądać. Carmen postawiła krok w stronę Kaia, ale od razu się cofnął. Spuścił głowę, jakby nie chciał dłużej na nią patrzeć. To ją zabolowało, choć nie potrafiła powiedzieć, z jakiego powodu się tak poczuła.

– Dobrze wiesz, jaki jestem, dlatego nie rozumiem, czemu jesteś taka zaskoczona – westchnął. Przymknął powieki i przyłożył dłonie do skroni. Miał w głowie tyle myśli, że pragnął je tylko uciszyć. Zaczął kreślić butem różne wzorki na ziemi. – Mogłaś iść do Holden'a, jeśli chciałaś dobrego chłopaka.

Stała z rozchylonymi ustami. Nie wiedziała, co powinna zrobić, by go uspokoić.

– Kiedy wreszcie pojmiiecie, że nie będę kimś, kim nie jestem? Nie zmienię się – kontynuował na jednym wydechu. Miała wrażenie, że ciążyła mu dusza. Wreszcie uniósł głowę. Miał w oczach coś gorszego niż żal czy smutek. Było w nich coś, czego nie potrafiła opisać, ale to niemal wcisnęło ją w ziemię. – Nie zrobię tego dla Holden'a, a tym bardziej nie zrobię tego dla ciebie. Chcesz mnie ratować? – Zaśmiał się, kręcąc głową. – Najpierw spójrz na siebie.

Ciężko było jej uwierzyć, że naprawdę to powiedział, ale nie mogła też temu zaprzeczyć. Nie miała żadnego prawa do tego, by próbować na niego wpłynąć. Nie była Holden'em. Nie była nawet Cart'em. Była tylko przypadkową dziewczyną, która napatoczyła mu się pod nogi. I od początku doskonale wiedziała, jaki mrok w nim tkwi. Był tylko trochę bardziej zrujnowany niż ona, więc jak mogła próbować mu pomóc, skoro sama nie radziła sobie ze sobą?

Musiał uciec. Jego smutne oczy patrzyły prosto w jej oczy. Bała się spytać, co to oznacza, gdy tak ciężko oddycha. Widziała po twarzy Kaia, że go zraniła, a on pragnąc to jak najszybciej ukryć, uniósł kąciki ust w niemrawym uśmiechu. Odwrócił się na pięcie i zaczął zwawym krokiem zmierzać w sobie tylko znanym kierunku. Zerkał jedynie pod nogi – chował głowę w piach, to był strach przed porażeniem. W pewnym momencie wpadł z impetem na zaciekawionego hałasami Jamesa. Kai nawet nie zauważył, że to on.

Moment, gdy patrzył na nią ostatni raz, na dobre zapadł jej w pamięć. Ten nieobecny wyraz twarzy. To piekło w oczach. Ten smutny uśmiech. Kroki, gdy odchodził, nadal dudniły jej w uszach, a słowa, których nie wypowiedziała, wisiały nad nią jak przekleństwo.

Bez wątpienia był w destrukcyjnym nastroju.

Malachai Yordan dążył to samozniszczenia. Kochał ból – nie tylko swój, ale również innych. Czerpał z niego siłę. Był niepoprawny. Nie słuchał. Na zmianę był zły i smutny. Nie wiedział, jak ufać swoim głęboko ukrytym uczuciom, skoro tak szybko znikwały i tak łatwo mógł nimi manipulować. Nie był nawet pewny, czy to wciąż były jego uczucia.

Był bestią składającą się tylko ze złości. W jego żyłach płynął czysty chaos, w którym powoli się zatracił. Miał dość. Był zmęczony tym, że ludzie ciągle mówili mu, co powinien robić i jak się czuć. Dobro nigdy nie leżało w jego naturze – nawet wtedy, gdy rodzice żyli. Po prostu w tamtych czasach starał się być lepszym. W rzeczywistości jednak od dobra dzieliła go ogromna przepaść, której nigdy nie zamierzał przeskakiwać.

Robił to dla siebie, ponieważ chciał. I nie miał zamiaru więcej nikogo słuchać.

Zimną wodą oblał twarz, która wydawała się piec ze złości. Mokrą ręką przejechał po ciemnych włosach, przez co zaczęły bardziej sterczeć. Uniósł głowę i wlepił niebieskie oczy w swoje odbicie. Oddychał tak gwałtownie, że lustro zasnuło się mgłą. Jeszcze moment, a niczego by nie odbijało. Kai jednak idealnie widział okropny wyraz swojej twarzy. Jakby nie był pewny tego, czy powinien znajdować się na świecie.

Ktoś szarpnął za klamkę i wszedł do środka, dlatego Kai automatycznie cię cofnął. Omiótł wzrokiem sylwetkę, która zatrzymała się przy drzwiach. Jedno spojrzenie na czarne włosy i pulsującą żyłkę na środku czoła wystarczyło, by rozpoznał w tej osobie Brada.

*Lepiej być nie mogło*, pomyślał. Powstrzymał się przed przewróceniem oczami.

– Wybacz, nie wiedziałem, że ktoś...

– Spoko. Właśnie wychodziłem – powiedział szybko, zanim Brad zdążył skończyć swoją wypowiedź. Wyminął go z nadzieją, że brunet po prostu pozwoli mu odejść. Jak zwykle się przeliczył. Gdy stał niemal na korytarzu, usłyszał za plecami jego głos.

– Nowy facet Carmen? – spytał. Kai zatrzymał się wpół kroku. Przeczuwał, że to nie skończy się na zwykłej pogawędce. Nie miał ochoty na wdawanie się z nim w żadną rozmowę. Szczególnie w taką, która mogłaby go jeszcze bardziej zdenerwować.

– We własnej osobie.

Nie ruszał się przez kilka sekund, czekając na dalszy rozwój sytuacji.

I wtedy Brad nieświadomie sprowadził na siebie ogień piekielny.

– Nie jesteś w jej typie – mruknął z pewnością w głosie.

Kai przymknął oczy, starając się sprowadzić swoją złość na jak najniższy poziom. Policzył do dziesięciu i wreszcie się odwrócił. Posłał chłopakowi sztuczny uśmiech.

– Jestem w typie każdego – mruknął. Zmarszczył brwi i obrzucił Brada znudzonym, pogardliwym spojrzeniem. Brunet był od niego niższy o jakieś dziesięć centymetrów. Stał sztywno ze skrzyżowanymi na torsie ramionami, które opinały czarną koszulę. Przypominał mu trochę zagubionego wilka.

– Carmen nie jest jak każdy. Powinieneś to wiedzieć.

Malachai wypuścił powietrze przez usta. Narastała w nim frustracja i wiedział, że prędzej czy później będzie musiał ją z siebie wyrzucić. Brad sam mu się podkładał. Był idealnym celem. I gdyby nie fakt, że za dużo czekał, Kai pewnie by odpuścił. Teraz jednak nie mógł przejść obok niego obojętnie.

– Słuchaj – westchnął szatyn. Zrobił krok do przodu i położył dłonie na ramionach Brada, powodując tym samym, że chłopak obrzucił go pogardliwym spojrzeniem. – Nie jestem w nastroju na głupie zaczepki. Odpuść.

– Czemu? – dociekał.

*Bo nie tykam śmieci.*

– Boisz zmierzyć się z kimś, kto może cię pokonać? – zaśmiał się Brad i zrzucił z siebie dłonie szatyna. To było zbyt wiele. Przegiął. I nawet nie wiedział, jak bardzo mógł pożałować swoich słów. Malachai też się roześmiał. Głośniej, niemal paranoicznie.

– Jak chcesz. – Wzruszył ramionami Kai. – To twój pogrzeb.

Długo mierzyli się spojrzeniami, które mogłyby zabijać. Malachai wydawał się opanowany. Nie zamierzał wykonywać pierwszego ruchu. Po prostu stał z pogardą wymalowaną na twarzy, której towarzyszył cwaniacki uśmiech. Brad musiał zadzierać głowę, by sięgać spojrzenia Kaia.

– Dalej, mały wilczku. Pokaż, na co cię stać!

Przerwał ciszę, którą wcześniej zakłócały tylko ich przerywane oddechy. Wykonał gest ręką, zachęcając Brada, by podszedł bliżej. I tak jak się spodziewał, chłopak od razu na niego ruszył. Kai znał ten typ. Sam nim był, ale z czasem nauczył się kontrolować. Brad był porywczy, a w dodatku nie pannał za bardzo nad złością. Takie rzeczy gubiły nawet najodważniejszych.

Brad rzucił się na niego niczym rozjuszony byk. Kai odbił się od ściany z taką siłą, że poczuł przeszywający ból w kręgosłupie. Nie miał okazji nawet się skrzywić, ponieważ od razu dostał w szczękę, aż coś w niej zabręczało. Osunął się po kafelkach, utrzymując ciężar ciała na zgiętych kolanach. Przejechał dłonią po wargach, ale nie było na nich śladów krwi. Uniósł głowę i zaczął głośno kłaśkać.

Brunet znów go uderzył. Kai chwycił się za nos i rozejrzał przytomnie, spoglądając z wyrzutem na Brada. Tym razem krew spłynęła po jego palcach, dlatego wytarł je w czarne spodnie. To był koniec jego opanowania. Jednak zanim zdążył coś zrobić, chłopak wbił pięść w jego brzuch, ale Kai prawie nie zareagował. Jakby Brad uderzył w drzewo.

Spróbował wymierzyć kolejny cios. Malachai w porę zatrzymał pięść przeciwnika w powietrzu, a potem uderzył go łokciem w twarz. Brad zatoczył się w tył i potknął. Zadzzwoniło mu w uszach, jakby ktoś walnął go młotem. Gdy usiłował złapać równowagę, Kai chwycił go za ramiona i wbił kolano w jego brzuch. Brad otworzył szeroko usta, przez co splunął ciepłą krwią na białą koszulę szatyna.

– Ja pierdolę – jęknął jadownicie Kai, popychając Brada tak, że odbił się od przeciwległej ściany. – Ubrudziłeś mi koszulę swoją pospolitą krwią – dodał, zerkając w lustro. Odkręcił zimną wodę i jak gdyby nigdy nic próbował zetrzeć czerwone ślady. W efekcie tylko pogorszył sytuację, bo plama na materiale się powiększyła.

Zobaczył w odbiciu, jak Brad podnosi się na nogi i z determinacją rusza w jego stronę. Odsunął się w bok, a potem złapał chłopaka za tył głowy i uderzył nią w lustro, które momentalnie pękło. Brad wymamrotał coś niezrozumiałego pod nosem, a potem padł na ziemię jak trup.

Kai wyrócił oczami, a potem przy nim kucnął. W ustach czuł słony smak krwi, która cały czas płynęła z jego nosa, a na twarzy obrzęk. Piekł go policzek, a gdy przejechał językiem po jego wnętrzu, zorientował się, że ma tam rozcięcie. Złapał Brada za włosy i pociągnął tak, że chłopak uniósł głowę. Miał zamglone, nieobecne spojrzenie i ranę na skroni.

– Gratuluję odwagi, wilczku. Albo głupoty – powiedział Kai z uznaniem, po czym puścił jego głowę i wstał. Zaczął krążyć po pomieszczeniu, jednocześnie pocierając palcami powieki. – Po co ci to było, co? – spytał, po czym westchnął. Zerknął na bruneta, który wciąż leżał w bezruchu. – No tak, przecież mi nie odpowiesz, bo, kurwa, zemdlałeś – kontynuował na jednym wydechu, przez co słowa zwały się w niewyraźną całość.

Nie zdążył powiedzieć nic więcej, ponieważ ktoś wpadł do środka niczym potężny podmuch wiatru. Carmen zamarła. Rozejrzała się dookoła i rozdziawiła usta. Krew była wszędzie, a Kai się w tym zatracił. Oddychał krwią, nie powietrzem. Brad leżał twarzą do ziemi, a Malachai po prostu nad nim stał. Było coś nieludzkiego w sposobie, w jaki się odwrócił. Z przekrzywioną szyją i niepokojącym uśmiechem. Krew spływała po jego nosie, ustach i brodzie. Miał potargane włosy. Koszula, którą założył, przestała być nieskazitelnie biała – widniały na niej plamy krwi. Była pognieciona i w połowie wysunęła się z jego spodni.

– Cześć, Karmelku – wydyszał ochryple.

– O mój Boże – jęknęła żałośnie, przykładając dłoń do ust. – Co tu się stało?

Malachai wyszczerzył się, ukazując zęby, które pokrywała krew. To właśnie był chłopak, na którym z jakiegoś dziwnego powodu jej zależało. Trochę niechlujny. Trochę zrujnowany. Był piękną katastrofą, tak jak ona. Zrobiła krok do przodu, spojrzała jego demonom w oczy i się uśmiechnęła. Akceptowała to, czego powinna się bać.

– Nie wiem – westchnął ciężko. Przejechał dłonią po twarzy, jednocześnie rozmazując na niej krew. – Wyglądał tak, kiedy przyszedłem.

Carmen padła na kolana przed Bradem. Jakimś cudem udało jej się przewrócić go na plecy. W ciszy przyglądała się, jak jego klatka piersiowa powoli unosi się i opada przy każdym oddechu. Trochę jej ulżyło, ponieważ w pierwszej chwili miała wrażenie, że Kai po prostu go załatwił – raz na zawsze.

– Poważnie? – Podniosła głos. Odwróciła głowę i spojrzała z dołu na szatyna. Również na nią patrzył z rozbawieniem na twarzy i błyskiem w oczach. Krew dobrze na nim wyglądała. Podkreślała jego niebieskie oczy. – Był nieprzytomny? To dlaczego się tak cieszysz?

Musiała odwrócić wzrok, ponieważ mina Kaia wyprowadzała ją z równowagi. Miała ochotę zedrzeć arogancki uśmiech z jego ust i najlepiej przyłożyć mu w twarz za ten bałagan, którego narobił.



Zaczęła trochę panikować, gdy pomyślała o tym, że w każdej chwili ktoś nieproszony mógł wejść do środka i zobaczyć ten burdel.

– To ty tu jesteś geniuszem – odburknął niemiło.

W tamtym momencie granica między jej spokojem a złością się zatarła. Podniosła się z klęczek i zatrzymała parę centymetrów przed chłopakiem. Wbiła w niego palące spojrzenie, a potem go popchnęła. Wpadł na umywalkę. Uniósł ręce w obronnym geście i się roześmiał. Musiała przymknąć powieki, by się uspokoić. Oddychała gwałtownie, wciągając powietrze wielkimi haustami. Miała wrażenie, że w jej kościach płynie prąd. Na usta cisnęło się mnóstwo przekleństw, ale postanowiła się opanować.

– Gdzie w takim razie byłeś? – wycodziła przez zaciśnięte usta. Wiedziała, że od początku kłamał, ale zdecydowała, że zagra w jego grę.

– Gdzie byłem? To bardzo dobre pytanie. – Kiwnął głową i odwrócił wzrok, jakby zastanawiał się nad poprawną odpowiedzią. Żadne słowa jednak nie opuściły jego ust. Znów na nią spojrzął i mrugnął do niej okiem. Położyła zimne dłonie na jego lepkich od krwi policzkach. Na moment zeszytniał, nie spodziewając się kontaktu fizycznego.

– Malachai, ty naprawdę nie masz serca. – Zaśmiała się, chociaż w tej sytuacji nie wypadało. Prawie zapomniała o tym, że Brad leży pod jej nogami. To było niewłaściwe zachowanie. Powinna raczej płakać nad tą sytuacją, zamiast gapić się w oczy samego diabła. Nie potrafiła jednak zaradzić temu, że powoli zatracala się w tym całym mroku. Do granic możliwości.

Patrzył na nią ze skupieniem. Widziała w jego niebieskich tęczówkach coś więcej – coś, co czuł, ale nie chciał o tym mówić. I kiedy ich oczy się spotykały, to tak, jakby byli ze sobą połączeni. Carmen wiedziała, że nikt oprócz nich tego nie zauważa. To było jak ich wspólny sekret, jak miejsce, do którego się przenosili, gdy wszystko dookoła było zbyt skomplikowane.

Gdy patrzyli na siebie w ciszy, mówili najwięcej.

– Może dla innych. Ale nie dla ciebie – powiedział tak cicho, że przez chwilę zastanawiała się, czy dobrze go usłyszała. Nie patrzył na nią, gdy to mówił, dlatego wiedziała, że naprawdę miał to na myśli. Posłała mu ciepły uśmiech.

Odchrząknął, widocznie zmieszany. Nie planował tego powiedzieć. Miał ochotę sam się uderzyć za te głupoty, które wygadywał.

Carmen na szczęście nie ciągnęła go za język, by spróbować choć w jednym procencie zrozumieć, co dzieje się w jego głowie. Myśl, że osoba tak bezwzględna oraz bezduszna jak Malachai Yordan mogła darzyć ją sympatią, może nawet czymś więcej, sprawiła, że lekko się uśmiechnęła, jednak prędko ukryła to za kosmykami włosów. Kiwnęła głową na znak, że go zrozumiała. Wciąż jednak czuł się jak idiota.

Później stało się to, czego Carmen najbardziej się obawiała. Ktoś z impetem wszedł do środka. Odskoczyła od Kaia jak poparzona, bo przecież robili coś niestosownego. Przyłożyła dłoń do piersi, w której szaleńczo biło jej serce. Odetchnęła z ulgą, gdy zobaczyła, że to Holden.

Rzucił zde gustowanym spojrzeniem dookoła. Patrzył chwilę na Carmen, a potem przeniósł lodowaty wzrok na brata. Dосkoczył do niego w ułamku sekundy, dociskając go do ściany za kołnierzyk koszuli. Kai w odpowiedzi zadarł głowę i głośno się roześmiał.

– Jesteś z siebie dumny? – krzyknął Holden. Carmen chyba pierwszy raz widziała w nim tyle złości. Napierał na brata z taką siłą, że twarz Kaia momentalnie poczerwieniała. Szatyn wciąż się śmiał, chociaż przychodziło mu to z coraz większym trudem. Wreszcie zacisnął palce na nadgarstku brata, starając się go odciągnąć.

– Bardzo – parsknął Kai.

Carmen była przerażona. Nienawidziła, gdy skakali sobie do gardeł.

– Holden – szepnęła, zaciskając rękę na ramieniu chłopaka. – Zrobisz mu krzywdę.

– Może ktoś wreszcie powinien mu porządnie przywalić w ten głupi łeb – odpowiedział blondyn. Wciąż zaciskał szczękę z taką siłą, że mięśnie na jego twarzy drgały. Przez chwilę patrzył na brata z piorunami w oczach, a potem go puścił.

Kai zgiął się wpół i złapał za obolałą szyję, wciągając do płuc powietrze.

– Chyba wszyscy wiemy, że tego nie zrobisz – odezwał się Malachai, gdy oddychanie przestało mu już sprawiać problem. Wyprostował się i posłał Holdenowi oskarżycielskie spojrzenie. Blondyn na nowo zacisnął dłonie w pięści. – To ja jestem tym złym.

Miał rację. To Kai zawsze uderzał. Holden tylko przyjmował ciosy jak ostatnia ofiara losu.

– Przestań, Malachai – warknęła Carmen, po czym do niego podeszła. Nieśmiało położyła obie dłonie na jego piersi, która wibrowała wraz z gwałtownymi uderzeniami kamiennego serca. Zaczęła go

delikatnie pchać, bez pośpiechu, tak, by to zaakceptował, dzięki czemu zaczął stawiać małe kroczki w tył.  
– Holden tylko chce ci pomóc.

Śmiech, jaki wydostał się z ust Kaia, stawiał włosy dęba.

– Co za, kurwa, nowość! – ryknął nad jej uchem, a siła tego dźwięku wprawiała ciało Carmen w niecodzienne wibracje. Czuła głos Kaia w każdej części ciała, bez wyjątku. Był w środku, jak zabójcza choroba wyniszczająca organizm. I na zewnątrz, jak plaga gryzących do krwi owadów. Błyskawicznym ruchem zrzucił z siebie dłoń Carmen. Zachowawczo stąpnął w tył. – Zawsze go bronisz! Dlaczego nigdy nie stajesz po mojej stronie?!

Przegapił moment, w którym tak bardzo się uniósł i przy okazji uzewnętrznił. Znów czuł się jak największy przegrany. Machnął ręką, jakby nagle ten uwierający temat przestał go interesować.

Carmen Clark nigdy nie sądziła, że piękno może istnieć w samozniszczeniu. Potem poznała Malachaia. A jego oczy opowiadały historie o tym, jak sprawiał, że mroczne rzeczy były piękne, a piękne rzeczy stawały się po prostu mroczne. I całkowicie ją to pochłonęło.

Bez żadnej reakcji obserwowała, jak znów przed nią uciekał. Każda cząsteczka jej pokruszonego serca wrzeszczała, by za nim pobiegła, ale umysł podpowiadał, że może powinna pozwolić mu odejść. Może sama powinna dać mu spokój, oddać skradzioną wolność, ponieważ każde ich spotkanie było ryzykiem i tylko zachowanie Malachaia decydowało o tym, co Carmen chciała zrobić z tą burzliwą znajomością, od początku spisaną na straty.

Uwolnić go czy pogrążyć?

Dać mu szansę czy na zawsze przekreślić?

Chronić przed prawem czy oddać w ręce sprawiedliwości?

Wszystko zależało już tylko od niego.

Nie powinnaś tu przyjeżdżać.

Głos Kaia został w tyle. On sam wpadł do swojego pokoju, jakby zależało od tego całe jego życie. Pośpiesznie ściągnął z siebie marynarkę i niechlujnie rzucił ją gdzieś na podłogę. Miotał się po kątach, jakby tylko czekał, aż coś podsunie mu się pod nogi, by mógł to kopnąć i rozwalić. Carmen obserwowała go, opierając się o ścianę. Zastanawiała się, jak powinna zacząć rozmowę. Myślała nad tym przez całą drogę, ale do głowy nie wpadł jej żaden genialny pomysł.

– Hej, co jest z tobą? – powiedziała ze spokojem, by dodatkowo go nie rozwścieczać, choć sama też kipiała od emocji. Brzmiała jak głosy, które słyszy się w głębokim śnie. Kai odwrócił się i posłał jej zdezorientowane spojrzenie. Zrobił parę kroków do przodu, zmniejszając dystans między nimi. Zatrzymał się kilkanaście centymetrów przed nią i przechylił lekko głowę, jakby chciał jej się lepiej przyjrzeć.

– Zadaję sobie to pytanie od zawsze. Daj znać, jeśli poznasz odpowiedź.

Nastąpiła cisza. Carmen cały czas przyglądała mu się ze skupieniem. Kai znał to oskarżycielskie spojrzenie. Dokładnie tak samo patrzył na niego Holden za każdym razem, gdy nawalił. To zawsze podnosiło mu ciśnienie.

– Naprawdę musiałeś postawić na swoim? Musiałeś go bić?

– Nie – wycedził momentalnie i na ułamek sekundy złagodniał, gdy ich oczy znalazły wspólną drogę. Prędko jednak odwrócił wzrok. – Nic nie musiałem. Po prostu chciałem. I nie będę za to przeproszać. Taki jestem, dobrze wiesz. – Wzruszył ramionami, a sekundę później uśmiechnął się, ukazując rząd zębów. – Sam się prosił, chociaż...

Przerwał i jednocześnie zacisnął usta w wąską linię. Milczał przez dłuższą chwilę, zastanawiając się, czy w ogóle powinien to powiedzieć. Na jego czole pojawiła się zmarszczka, gdy ściągnął brwi w zamyśleniu. Moment później w oczach zawitał jakiś groźny i ostry kontur. Potrząsnął głową, jakby odganiał od siebie rój wściekłych os, które się na niego uwzięły.

– W zasadzie mogłem mu podziękować – wydusił w końcu dziwnym tonem. Z jakiegoś powodu głos Kaia zaczął drżeć, dlatego odkasznął głośno, by znów brzmieć naturalnie. Odchylił głowę w tył, dociskając dłonie do twarzy, jakby chciał sam zablokować sobie dostęp do tlenu. Stał tak przez niecałą minutę, zanim znów na nią spojrział. Miał w oczach żal, który uderzył w serce. Nie ugięła się. Patrzyła hardo w jego tęczołki, nie przejawiając lęku, choć w środku strach wykręcał jej organy. – Bo dzięki jego głupiej decyzji jesteś tutaj. Ze mną.

Ta wypowiedź ledwo ułożyła się w wyraźne słowa. Brzmiała bardziej jak rozmyty szum. Kiedy dotarło do niego, że naprawdę to powiedział, musiał zacisnąć mocno usta, bo odniósł niepokojące wrażenie, że za moment zwymiotuje. Zrobił krok w tył, aż wpadł na krawędź łóżka. Spuścił wzrok. Nie miał odwagi na nią spojrzeć po tym nieplanowanym wyznaniu.

– Nie rozumiem... – szepnęła. Nie spuszczała z niego wzroku. Było w nim coś nowego. Wydawał się zawstydzony i trochę wycofany. Nigdy wcześniej nie widziała go w takiej wersji.

– Ja... – jęknął, ale szybko zamilkł. Podniósł głowę i wbił w nią spojrzenie niebieskich oczu, które mroziły ją do szpiku kości. Walczył sam ze sobą. Był na krawędzi. Uczucia, których wcześniej nie znał, zalewały go tak intensywnie, że mógłby w nich utonąć. – Ja pierdolę – westchnął słabo i zaczął masować powieki, jakby to miało pomóc mu się skupić.

– Po prostu to powiedz – zachęciła go, lokując dłoń na jego ramieniu. Wzdrygnął się.

– To jest żart roku. – Zaśmiał się gorzko, kręcąc głową. – Nie potrzebuję kolejnej osoby, która może mnie zranić. Nie chcę, żebyś mnie obchodziła, i nie chcę cię obchodzić. Powinnaś już dawno zwać – mówił bardziej do siebie niż do niej, jakby wpadł w amok. – Dlaczego ode mnie nie uciekłaś? – szepnęła w tak łagodny i cichy sposób, że przez chwilę nie był pewny, czy te słowa naprawdę opuściły jego usta.

Odpowiedziała mu cisza.

– Dlaczego ode mnie nie uciekłaś, Carmen? – powtórzył pewniej. Chciała mu odpowiedzieć, ale straciła oddech, gdy stanął jeszcze bliżej i chwycił jej podbródek między dwa palce. – Nie wiem, czy jesteś bardziej głupia, czy odważna, ale mnie to kręci, wiesz? To, że się nie boisz, chociaż nie raz pokaza-

łem ci, że powinnaś. To, że nadal tu stoisz, choć znasz mnie prawie z najgorszej strony. I wcale mi się to nie podoba. Chcę, żeby to ustało, bo to okropne. – Ponownie na nią spojrział, a w jego oczach pojawiła się nieudawana obawa. – Teraz.

Zacząła szybciej mrugać. Z początku miała wrażenie, że tylko się przesłyszała, bo to nie były zdania, które powiedziałby Malachai Yordan. Zacząła się też zastanawiać, czy była na to gotowa, czy chciała znosić jego zmienne nastroje, niepokoje i lęki. Słowa Kaia wisiały nad nią niczym chmura burzowa, z której za moment mógł lunąć niszczycielski deszcz.

Umysł Carmen stał się pusty. Wyłączyła wszystkie myśli, bo były zbyt rozprasające. Nie chciała myśleć. Chciała tylko poczuć. Ale nawet to nie sprawiło, że zapomniała o wszystkich złych rzeczach, jakie spotkały ją, odkąd go poznała.

– Nie wiem, czy chcę być znowu ze złym chłopakiem – szepnęła. Cofnęła się i wpadła na ścianę. Musiała złapać oddech i przerwać to, do czego zmierzała ta sytuacja. Ale gdy tylko Kai wlepił w nią smutne, nieco zawiedzione oczy, ziemia roztrzaskała się pod jej nogami, a to ciemna dziura prawie ją pochłonęła.

Oddech Carmen był zbyt głośny, a serce biło zdecydowanie za szybko.

*Co ja zrobiłam?*, pomyślała. *Glupia szczerłość. Glupia prawda.*

To był błąd. Pożałowała swoich słów w tej samej sekundzie, w której opuściły jej usta. Stała tam i cała drżała. Nie miała pojęcia, o czym myślał Kai, ale wyraz jego twarzy zdradzał, że zablądził w ciemnych zakamarkach swojego umysłu. Ogarnęło ją przerażenie, gdy natknęła się na nieobecne spojrzenie chłopaka. Oczy mu pociemniały, a oddech stał się głębszy. To były jedyne oznaki tego, że rozumiał, co powiedziała.

– W takim razie co tu jeszcze robisz? – odezwał się wreszcie, a potem się roześmiał, kręcąc przy tym głową. – Czemu jesteś tu ze mną zamiast z dobrym Holdenem? Oświeć mnie, Karmelku, bo sam już, kurwa, nie wiem, w co pogrywasz.

Coś w nim pękło. Coś dosyć znaczącego. Czuł trochę więcej niż zepsutą przeszłość i to ścięło go z nóg. Czuł trochę więcej i niekoniecznie było to coś dobrego.

Nie odpowiedziała. Przełknęła nerwowo ślinę i spuściła głowę, gdy zatrzymał się tak blisko, że niemal stykali się nosami. Lustrował ją przeszywającym spojrzeniem, które wbijało w nią miliony igiełek. Bała się cokolwiek zrobić. Była sparaliżowana strachem przed jego reakcją.

– Na co czekasz? – warknął. Ton jego głosu ją przeraził. Zebrała w sobie odwagę i uniosła głowę. Zaciskał szczękę z taką siłą, jakby chciał ją złamać. Wzrok Kaia tylko podkreślał to, że właśnie zamieniał się w swoją najgorszą wersję. – Wybieraj. Ja czy Holden? Holden czy ja? A może chcesz nas obu? – prychnął z rozbawieniem. – Mamy się wymieniać?

Kai dokładnie wiedział, w jaki sposób ranić innych, nawet jeśli były to tylko słowa. Carmen poczuła łyzy, które próbowały znaleźć ujście. Nie zamierzała jednak pokazywać mu, że znów wygrywa. Oprócz smutku zaczęła kotłować się w niej złość i właśnie na niej chciała się skupić. Zamachnęła się i uderzyła go w twarz. Stanął jak wryty. Złapał się za policzek, ale nie był tym zbyt zaskoczony.

– Ułatwię ci to, Karmelku – zaczął, odgarniając z jej twarzy kosmyki włosów. Mimo złości w głosie zrobił to w bardzo delikatny sposób. – Idź do niego!

To już nie był krzyk, tylko głośny ryk. Dawał jej wybór – mogła sama podjąć decyzję, co zrobić. Jedną już podjęła, i ona przywiodła ją tutaj, do jamy zła. Bała się. Wiedziała, do czego to wszystko zmierza. Ostrzegał ją. Wszyscy ją ostrzegali, a i tak postąpiła odwrotnie. Dygnęła w miejscu, a rozszerzone strachem oczy patrzyły wprost na Kaia, nie chcąc niczego przeoczyć. Wypuścił z ust powietrze, po czym schylił się i szepnął miłym tonem:

– Ale nie wracaj do mnie, bo do mnie się nie wraca, Karmelku.

Wycofał się. Carmen znów mogła oddychać.

Była pewna tylko jednego.

Opętał ją jakiś dziwny, irracjonalny urok Malachai Yordana, przez który nie potrafiła podejmować słusznych decyzji. To prowadziło do kolosalnych błędów, z którymi później musiała jakoś żyć. Ale taka już była. Carmen Clark zawsze wybierała to, co dla niej najgorsze i najbardziej niszczące.

– Nie chcę do niego iść – powiedziała słabym głosem, jakby za moment miało odebrać jej mowę. Kai ponownie się roześmiał. Nie potrafiła tego rozszyfrować. Podszedł do niej, ulokował dłonie po obu stronach jej głowy i pochylił się nad nią. Była uwięziona.

– Widzisz, nie chodzi o to, że nie chcesz być ze złym facetem – mruknął, po czym oparł czoło o jej czoło i przymknął powieki. Trzymał ją tak blisko, że mógłby ją pocałować, wyszeptać wszystkie tajemnice lub zabić. Ale tego nie zrobił. W zamian położył zimną dłoń na jej karku, nakierowując spoj-

rzenie dziewczyny na swoją twarz. – Po prostu boisz się do tego przyznać, bo to oznaczałoby, że jesteś taka sama jak ja. Popsuta, zła i...

Carmen nie panowała nad swoimi myślami, a co dopiero odruchami. Zaciśnęła palce na jego ramionach, odepchnęła go, a potem znów spróbowała uderzyć go w twarz. Kai w porę chwycił ją za rękę i dłonią unieruchomił jej nadgarstek. Była tak zaskoczona, że bez najmniejszych oporów popchnął ją z powrotem na ścianę, zasłaniając widok. Miała przed sobą tylko jego. Wielkiego, wściekłego wilka, który autentycznie marzył o tym, by schrupać Czerwonego Kapturka.

– Naprawdę mnie chcesz i tego nienawidzisz – szepnął w jej usta, a potem uśmiechnął się dumnie. Przyłożył dłoń do policzka Carmen, krążąc kciukiem po skórze. Odetchnęła głęboko, próbując uspokoić rozszalałe serce. – A ja uwielbiam, kiedy mnie nienawidzisz. Proszę, Karmelku, nienawidź mnie bardziej.

– Zamknij się, Malachai – jęknęła i kolejny raz go popchnęła. Zrobił krok do tyłu, uniósł ręce w geście poddania i przez dłuższą chwilę po prostu się śmiał. Jego zachowanie skutecznie wyprowadziło ją z równowagi. Uderzyła go pięścią w bark. – Zamknij się.

*Zamknij mnie, krzyczały jego myśli.*

Kai całym swoim atletycznym ciałem, szczególnie biodrami, przygwoździł ją do ściany tak mocno, że z trudem chwytała oddech. Na plecach poczuła chłód betonu, na piersi rozgrzany tors. Był tak blisko, jak to możliwe. Bez dotykania jej. Silne ramiona wsparł przy jej głowie, zamykając ją w niewidzialnej klatce. Osaczył ją. Jak pająk wił pajęczynę wokół jej ciała drżącego ze strachu. Rozszerzone źrenice Malachaia zjrzały w oczy Carmen, szukając ostatniej linii oporu do zerwania. Miał nad nią władzę. A Carmen nie chciała, aby to się kończyło.

*Czymkolwiek to było, pragnęła więcej.*

*To się stawało prawdziwą obsesją.*

– Zmusz mnie – powiedział z uśmiechem na ustach. Jego oddech był ostry, pourywany, natomiast oddech Carmen... nie istniał.

Nagle świat rozwalił się na pół. Powoli pękał most między nimi, gdy spojrzął na nią tak, jak nigdy nie powinien, tak, że przestała wierzyć w istnienie silnej woli. I to właśnie był jej koniec.

Zrobiła to. Pocałowała go. Bez ostrzeżenia. Bez pozwolenia. Bez zawahania. Nawet się na to nie decydując. Posunęła się do tego, ponieważ nic innego nie mogła począć. Zrobiła się nagle miękka jak kaszmir, welur, aksamit. On wciąż był jak przemoc, dynamit.

Poczuł dokładnie każdy kilometr na godzinę, jakim pędził niezgodnie z przepisami w ciągu całego swojego życia, każdą nocną przejażdżkę z opuszczoną szybą, wiatrem we włosach oraz ciarkami na skórze. Zesztywniał na ułamek sekundy. Odsunął się od niej, by obrzucić zdziwionym spojrzeniem jej rozgrzaną niemal do czerwoności twarz. Spodziewał się niemal wszystkiego, ale na pewno nie tego. Wyglądał jak ktoś, kto dokładnie analizuje swoje ruchy, by nie podjąć pochopnej decyzji. Wreszcie pochylił się i musnął w odpowiedzi jej ciepłe, słodkie od pomadki wargi. Smakowała jak każda mroczna myśl, jaką kiedykolwiek miał.

*Nadal stała sztywno pod ścianą. Nie mogła uwierzyć, że to naprawdę się dzieje.*

Całował ją tak, jakby świat miał stoczyć się z urwiska, a on próbował się utrzymać i postanowił chwycić się jej; jakby nigdy nie wiedział, że tak dobrze było przy kimś być; jakby był to pierwszy raz, kiedy naprawdę coś poczuł. A jego wargi były przesiąknięte strachem, kurzem, ogniem, domem i polem walki.

*Byli jak niepasujące do siebie ogniwa, które ktoś dla niepoznaki złączył jednakową nicią.*

Docisnął Carmen do ściany jeszcze ciaśniej, jeszcze mocniej, jakby chciał, by wszystkie filary domu się zachwiały. Uniósł ją na wysokość swoich bioder, wokół których instynktownie owinęła nogi, a jej ręce objęły jego napięte ramiona. Sunąc dłonią od kolana aż po uda, niegrzecznie zadarł materiał sukienki tak, że znalazła się na jej brzuchu. Nie było w tym nic łagodnego, tylko kusząca brutalność. Nie było też słów. Tylko niespokojne oddechy.

Wplotła palce w jego włosy. On zanurzył swoje w rudych pasmach, nie przestając za nie ciągnąć. Po chwili Carmen przeniosła dłonie na jego pierś i delikatnie go popchnęła, sprawiając, że zaczął stawiać kroki w tył, aż poczuł pod nogami krawędź łóżka. Milczała. To jej ciało mówiło najgłośniej – chciało z nim rozmawiać, a Kai czekał, by przekonało go, że w ogóle powinien odpowiadać. Zanim bezwiednie opadł plecami na materac, Carmen rozdarła jego koszulę. Guziki rozsypały się dookoła. Później stała nad nim przez kilkanaście sekund. Po prostu na niego patrzyła. I wiedziała już, że to była ta chwila.

*Moment, w którym całkowicie wyciszyła umysł.*

*Moment, w którym zawładnęły nią tylko uczucia i pożądanie.*

*Moment, którego mogła żałować, ale nie potrafiła już odpuścić. Musiała sprawdzić, jak to jest*

naprawdę z nim być.

Dokładnie obserwował każdy zgrabny ruch Carmen. W tej chwili liczyła się tylko ona – jej zaokrąglone ramiona, smukła szyja, pięknie wyrzeźbione usta, chłodna skóra, której nie potrafił przyrównać do niczego, czego kiedykolwiek dotykał. Oczy Kaia załśniły dziko, gdy zobaczył, jak zsuwa z siebie majtki. Zagryzł wargę i uroczo się uśmiechnął. Bez ceregieli rozsunała nogą jego uda, ułatwiając sobie sprawę. Kai dłonią przejechał wzdłuż jej pleców, aż dotarł do pośladków, nim usiadła mu na kolanach. Carmen pochyliła się nad nim, przez co kosmyki jej długich włosów łaskotały go w twarz.

Jednym zwinnym ruchem sięgnął po nią, przyciągając Carmen do swojej piersi. Jej żebra znalazły się idealnie pod jego dłońmi. Żar spływał z kręgosłupa w dół – znowu i znowu, i znowu. Puls pędził jak szalony, aż z trudem łapał powietrze. Jej smukłe palce wędrowały po jego nagiej klatce piersiowej, przyprowadzając o przyjemne lodowate dreszcze, przez które marzył już tylko o jednym: mieć Carmen Clark dla siebie. Pocałował ją z niecierpliwości – znacznie goręcej niż wcześniej, ale nie mniej intymnie niż za pierwszym razem. To, co między nimi wybuchnęło, było zagadką, ale wreszcie czuł coś więcej niż opary śmierci.

W końcu nieco się wycofał, jakby nagle zrozumiał, że popełniają błąd.

– Jesteś pewna? – sapnął na jednym wydechu. – To wszystko zmieni.

Spojrzała na niego zawiedziona. Nie знаła właściwej odpowiedzi na to pytanie. Na tamtą chwilę była tego pewna, bo mogła się opanować już tylko resztką sił. I niczym wosk z sekundy na sekundę topniał jej opór, każda wątpliwość zamieniała się w pożądanie. Ale czy w ogóle mogła być pewna tej decyzji? Zdecydowanie nie. Zignorowała to, ponieważ bliskość tego faceta sprawiała, że wariowała. Nie potrafiła racjonalnie myśleć, kiedy był obok.

– Tylko raz – szepnęła, całując jego szyję, tuż pod uchem.

Sunęła dłonią do jego skórzanego paska, rozpięła go, a potem to samo zrobiła z rozporkiem. Zsunęła jego spodnie do kolan i ponownie usiadła na nim okrakiem. Otworzyła prezerwatywę, którą jej podał, i zwinnie wsunęła ją na właściwe miejsce. Poruszyła się niespokojnie. Wreszcie poczuła, jak wypełniał ją do granic i nagle poczuła się kompletna. To było uwalniające. Nagle opuściły ją wszelkie wątpliwości co do słuszności tego, że właśnie posiadała diabła. Ona. Carmen Clark. Nikt inny.

Nie zdążyła westchnąć, ponieważ Kai szarpnął ją za włosy.

Jęknęła zawiedziona. Pragnęła, by nadal ją całował. I dusił. Bo przez tę ulotną, krótką chwilę Malachai Yordan, zbyt przystojny jak na zwykłego człowieka, należał do niej.

– Po przyjacielsku? – spytał, zagryzając usta do środka. Oddychał tak ciężko, że musiała spojrzeć mu w oczy, by sprawdzić, czy wciąż jest obecny; wyraz jego twarzy, te lśniące oczy i zaczerwienione od pocałunków usta, jasno sygnalizowały, że gdzieś odleciał. I bardzo podobał jej się fakt, że to dzięki niej.

Podniecało ją podniecanie go. Jego zapach, gdy był gotowy przekraczać granice, jakie sobie postawił. Jego usta na jej ustach. To, jak na nią reagował. Sprawdzała, jak bardzo może go rozpaścić. Jaki dotyk? Gdzie? Kiedy? Co sprawi, że diabeł straci głowę? Każdej myśli w umyśle Carmen towarzyszył zmysłowy, niemal niemy jęk, który raz za razem wymykał się Kaiowi z ust.

– Po przyjacielsku – przytaknęła.

Odnalazła wilgotne, gorące oraz głodne wargi Malachaia i mocno je pocałowała. Kilkundniowy zarost drażnił jej podbródek, gdy zaciskała dłoń na szyi chłopaka, odchylając swoją głowę w tył. Dominowała. To była dla niego nowość, ale się temu oddał. I nawet mu się spodobało. Carmen niemal nie odrywała się od jego ust i wcale mu to nie przeszkadzało. To paliło go żywcem.

Przejechała dłonią po jego nagiej klatce piersiowej, pozostawiając na niej czerwone ślady po paznokciach. Jego palce odnalazły jej włosy. Pociągnął za nie i podniósł się do pozycji siedzącej. Obniżyła głowę, by pocałować idealnie zarysowany obojczyk, a potem spojrzała mu w oczy, które płonęły czystym pożądaniem.

– Od zawsze wiedziałem, że jesteś diabolicą – wyznał, chowając głowę w zagłębienie jej szyi. Zaczął ją podgryzać i lizać. Odchyliła głowę, dając mu lepszy dostęp do tego miejsca, bo to, co robił językiem, było niezziemskie. – Piekielnie gorąca. – Szczerzość w jego głosie sprawiła, że poczuła się tak, jakby ścisnął ją za serce. Pocałunkami znać ścieżkę. Zaczął od karku, minął dekolt i zatrzymał się przy materiale jej sukienki. Dłoń Kaia prześlizgnęła się wzdłuż sznurków, w górę, a potem w dół, rozsiewając przyjemne ciepło.

Odsunęła się od niego. Nie spodziewała się, że kiedykolwiek usłyszy od niego takie słowa. Kai najwyraźniej też tego nie przewidział, bo zmarszczył brwi i spiął szczękę.

– Powtórz – sapnęła, łapiąc go za kark. – Głośniej.

– Piekielnie. Gorąca. Diablica – wymruczał dźwięcznie do jej ucha, słowo za słowem, zahaczając

wargami o płatek. Po ciele Carmen rozeszły się przyjemne dreszcze.

Kai poruszał się coraz szybciej, stopniowo budując w nich napięcie. Cały czas ścisnął mocno podskakujące pośladki Carmen. Całował ją tak, jakby chciał ją wchłonąć. Jego oddech przyśpieszył, gdy ponownie wtulił głowę w zagłębienie między jej szyją a ramieniem. Zacisnął zęby na skórze dziewczyny, czując, jak rozkosz powoli się w nim kumuluje. Carmen niecierpliwie ruszyła biodrami, ale złapał ją w pasie i kontrolował pehnięcia. Czowała go całego, z każdym ruchem, z każdym wsunięciem i wysunięciem, które zamieniało się w napięcie rosnące między jej nogami.

– Jesteś moim największym grzechem – szepnęła. Wplotła palce w jego włosy, szarpiąc za nie, dzięki czemu na nią spojrzał. Miał zamglone spojrzenie i kropelki potu na skroniach. Przez moment patrzyła władczo w jego niebieskie tęczęwki. W oczy oceanu pełnego wzburzonej zaborczości. Wzrok Kaia działał na nią jak prywatny narkotyk, kolejna działka dla ćpuna, kieliszek dla alkoholika, przez co wydawało jej się, że była na niezłym haju. Uśmiechnął się łagodnie, gdy szepnęła:

– Malachai.

Przez dwadzieścia sześć lat nikt nie wypowiadał jego imienia w taki sposób.

Każdy jej ruch przybliżał go do całkowitego oderwania się od świata. Jedyłą realną rzeczą były ich demony, które krążyły wokół. Roztopiał się w dotyku drobnych kobiecych dłoni. Przyłgął do niej w szczytowym momencie, dzięki czemu mógł ujrzeć zielone spojrzenie, choć nie na długo, bo odchyliła głowę do tyłu, cicho jęcząc z rozkoszy. On sam też wydał z siebie cichy pomruk.

To było niebo w samym środku piekła.

Carmen w ciszy podziwiała ciało Kaia. Oglądała mięśnie, ścięgna i mocno zarysowane linie. Położyła głowę na jego piersi, wsłuchując się w bicie serca, które powoli się wyrównywało. Przytulił ją. Oplótł ramiona wokół niej tak mocno, jakby nie miał zamiaru nigdy więcej jej puszczać. To też było dla niego czymś nowym. Nigdy tego nie robił. Szczególnie po seksie. Zawsze obawiał się takich czułości.

Carmen próbowała zapanować nad swoimi myślami, które niespodziewanie wdarły się do jej umysłu i zaczęły ją przytłaczać. Kiedy wszystkie pozytywne uczucia, które do tej pory jej towarzyszyły, rozmyły się, zrozumiała, że popełniła kolejny znaczący błąd. Sama kopała pod sobą głębokie dołki, z których nie było wyjścia.

Nie chciała się podnosić.

Nie chciała tego przerywać.

Nie chciała, aby to wszystko zniknęło.

Nie chciała wracać do rzeczywistości, w której nie mogli być tak blisko.

Wreszcie zdecydowała się unieść. Pocałowała go delikatnie, jakby to miał być ich ostatni raz. I może tak było, ponieważ w głowie Carmen zaczął wyć alarm, który przestrzegał ją przed niszczycielskim ogniem, do którego się zbliżyła. W jej umyśle wszystko krzyczało jego imię, które było ostrzeżeniem przed końcem.

Malachai Yordan był kolejnym krokiem Carmen w kierunku prawdziwego piekła. Była pewna, że czekało tam na nią specjalne miejsce.

Zsunęła się z niego i usiadła na krawędzi łóżka. Zbierało jej się na płacz, jakby zrobiła coś naprawdę złego. Pociągnęła nosem i przetręła dłonią twarz, sprawdzając, czy aby na pewno się nie rozpląkała. Jej policzki były suche, ale w kącikach oczu pojawiły się słone łzy.

– To było... niespodziewane – stwierdził Kai, naciągając spodnie na tyłek.

Wyprostował się i obrzucił ją spojrzeniem. Uśmiechał się, ale ten uśmiech automatycznie zniknął z jego twarzy, gdy zobaczył jej zaszkłone oczy. Poczł się z tym dziwnie. Parę razy otwierał usta, a sekundę później je zamykał, bo nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. Nie rozumiał, co się dzieje.

– Carmen? – szepnął z wahaniem i położył dłoń na jej drżącym kolanie. – Zrobiłem ci krzywdę? – spytał, przyglądając się czerwonym śladom po ugryzieniach na szyi. Czasami tracił nad sobą kontrolę, dlatego zaczął się obawiać, że przesadził. Pokręciła głową. Bała się na niego patrzeć. Nie wiedziała, jak spojrzeć mu w oczy po tym, co się stało.

Samochody wciąż trąbiły. Młodzież śmiała się, idąc na imprezę. Psy szczekały. Muzyka wydobywała się z przejeżdżającego obok samochodu. Miasto żyło własnym życiem, a Carmen miała wrażenie, że cały jej świat właśnie się rozpadł. Nad głową latał kruk – czarne myśli.

– To moja wina – jęknęła i pociągnęła nosem. – To ja zrobiłam sobie krzywdę.

Rozpląkała się jak dziecko, które runęło na ziemię podczas zabawy. Schowała twarz w dłonie i zanosła się głośnym szlochem. Kai siedział sztywno i przyglądał się dziewczynie z niemrawą miną, podczas gdy ona zaciskała mocno zęby, powtarzając w myślach statystyki dowodzące, że relacje z socjopatami zawsze kończyły się zranieniem. Znowu nie wiedział, co powinien zrobić, by ją uspokoić. Uloko-

wał dłoń na jej ramieniu, które drgało za każdym razem, kiedy nabierała w płuca powietrza.

– Powiesz mi, co się dzieje?

Wstał i przed nią kucnął, uśmiechając się przyjaźnie. Cofnęła się, gdy spróbował ją dotknąć, ale to nie powstrzymało go przed tym, by chwycić jej podbródek. Zmusił Carmen do tego, żeby na niego spojrziała. Zajrzała w jego oczy, starając się jak najlepiej je zapamiętać.

– Naprawdę nie mogę znieść, kiedy tak płaczesz – powiedział niezwykle łagodnie. – Uśmiechnij się dla mnie, dobrze? Wyglądasz piekielnie dobrze, gdy się uśmiechasz.

Nie potrafiła.

– Przepraszam – szepnęła.

Wstała gwałtownie, założyła swoje majtki i poprawiła sukienkę. Ruszyła do drzwi, ale Malachai złapał ją za nadgarstek. Ten dotyk nie tylko palił, lecz sprawiał również, że zapragnęła z nim zostać, byle tylko połączyła ich wieczność. Spojrzała na niego. Niebieskie oczy były zgubą i zatraceniem, dlatego nie mogła więcej w nie patrzeć. Milczała. On milczał tak jak ona, choć wydawało się, że chciał zaprotestować. Z jego twarzy jednak dało się idealnie odczytać to, nad czym rozmyślał.

*Zostań przy mnie, doprowadź do oblędu, nie zostawiaj samego w tej otchłani beznadziejności.*

Posłała mu smutny uśmiech.

– Przepraszam, naprawdę muszę stąd wyjść.

Zostawiła go w tyle i zbiegła po schodach. Nie patrzyła przed siebie, tylko pod nogi. Łzy skutecznie przysłaniały jej widok na świat. W końcu na kogoś wpadła. Uniosła głowę i zobaczyła przed sobą Holdena. Przytrzymał ją za ramiona. Przyglądał jej się z troską i konsternacją wymalowaną na twarzy.

– Co się dzieje? – spytał z powagą. Obiegł wzrokiem jej czerwone, mokre od łez policzki i rozmazany na nich czarny tusz. Później zerknął nieco wyżej. Kai stał na korytarzu i wlepił w nich palące spojrzenie. Miał rozerwaną koszulę, czerwone ślady na klatce piersiowej i rozpięty rozporek. Holden połączył fakty. – Czy... – urwał, bo najzwyczajniej w świecie bał się usłyszeć odpowiedź – czy Kai cię skrzywdził?

Od razu pokręciła głową.

– Możesz mnie stąd zabrać? – Jej głos brzmiał słabo. Holden oczywiście się zgodził.

Ulokował dłoń na dole jej pleców i puścił ją przodem. Ruszył za nią niczym wierny cień.

Kai więcej jej nie zatrzymywał. Nie powiedział nic, chociaż nigdy wcześniej nie doświadczył nic podobnego. Wydawało mu się, że z premedytacją oblali go wrzątkiem, przez co skóra płonęła żywym ogniem. Nie mógł się nawet poruszyć. Czy to wciąż był on? A może demon znów wyrwał się na powierzchnię?

Malachai patrzył, jak odchodzą, i nie mógł nic z tym zrobić. Czuł się tak, jakby wbijali mu nóż w pierś. Coraz głębiej, głębiej i głębiej, coraz bliżej serca.

*Jak niebezpiecznie, pomyślał. Mieć kogoś, kogo można stracić.*



Nie mogła się skupić. Wpatrywała się w obraz za szybą, starając się odciąć od swoich myśli, a było ich naprawdę wiele. Napierały na nią, przytłaczały i torturowały. Trochę się uspokoiła. Już nie płakała, chociaż jej serce biło, jakby właśnie przebiegła bardzo duży dystans. Trzymała drżące dłonie na kolanach i wbijała paznokcie w skórę. Liczyła, że dzięki temu jej ulży.

– Chcesz o tym porozmawiać? – Głos Holdena przebił się przez tysiące chaotycznych myśli w umyśle Carmen. Brzmiał trochę tak, jakby mówił do niej z innego pomieszczenia. Mogłaby spytać „O czym?”. Miała wiele tematów, które chciałyby poruszyć, ale trzymała język za zębami, bo musiałaby zacząć mówić o swoich niepojętych uczuciach, o Kaiu oraz o tym, że w jej głowie wciąż siedział agent Cole, który podpowiadał jej, by podjęła słuszną decyzję.

I kiedy sobie o tym przypominała, na nowo pomyślała o tym, że to może być dobry wybór dla niej. Jedyne rozwiązanie, aby pozbyć się Kaia i nigdy więcej do niego nie wracać.

Spojrzała na Holdena nieprzytomnie, całkowicie zagłębiona w wątpliwościach, które stopniowo ją topiły, ale szybko odwróciła wzrok, bo patrzenie na niego sprawiało, że coś piekło ją w środku. Poprawiła włosy tak, że zasłaniały połowę jej twarzy. Czowała wstyd. Nie chciała o tym myśleć, a co dopiero rozmawiać.

– Możemy po prostu razem pomilczeć? – spytała i spróbowała unieść kąciki ust, lecz zamiast tego na jej buzię wkradł się paskudny grymas, który miał niewiele wspólnego z uśmiechem. Holden skinął głową. Była mu za to wdzięczna.

– Możesz ze mną rozmawiać albo nie, ale jestem tutaj – rzucił spokojnie. Przypomniła sobie, jak kiedyś powiedziała mu to samo. Zerknęła na niego i tym razem udało jej się posłać mu krzywy uśmiech.

Patrzyła w niebieskie oczy Holdena, które przepełniały troską i dobro. Próbowała zrozumieć, co z nią nie tak. Holden był chłopakiem, w którym zakochiwały się dziewczyny, spokojnym, uprzejmym i czystym. Był dziełem sztuki, podziwianym przez miliony, ale ona postanowiła zamknąć oczy. Był złym, a ona preferowała srebro. I była dla niego zbyt popsuta, dlatego nieustannie wybierała złego brata.

Holden natomiast spoglądał na nią, potem na drogę i znów na nią. Ciężko przychodziło mu oglądanie Carmen w takim stanie. Starła się uśmiechać, ale wewnątrz niej zostały tylko strzępki nerwów. Obawiał się tego, do czego posunął się jego brat. Wolał nawet nie myśleć o tym, co mogło doprowadzić ją na krawędź wytrzymałości.

Carmen Clark zaliczała się do silnych kobiet, ale wtedy wydawała się krucha jak róża. Holden pragnął się nią zająć - już wtedy, gdy zobaczył ją w pociągu. Ale później Malachai sobie ją przywłaszczył, a Holden mógł tylko stać z boku i próbować ratować ją przed zniszczeniem. Z czasem zrozumiał, że był tylko przypadkową osobą na jej drodze do Kaia. Wierzyła w jego brata, a to sprawiło, że Holden przypomniał sobie, że kiedyś też pokładał w nim nadzieję.

Spojrzał w boczne lustro i coś mu się nie spodobało. Zaciśnął dłonie na kierownicy z taką siłą, że żyły na jego rękach się uwydatniły. Cały czas nerwowo zerkał za siebie, co nie uszło uwadze Carmen. Wreszcie skręcił w uliczkę, która zdecydowanie nie prowadziła do jej mieszkania. Zaczął przyśpieszać i wymijać każdy napotkany po drodze samochód.

– Coś nie tak? – spytała.

– Ktoś za nami jedzie – mruknął posępnie.

Carmen odwróciła się przez ramię i zobaczyła szare auto, które jechało niebezpiecznie blisko nich. Znała ten model. Doskonale wiedziała, kto jeździł takim samochodem, ale nie mogła mówić o tym na głos. Zaciśnęła usta. Dopadła ją bezradność. W tym czasie Holden wyciągnął z kieszeni swój telefon i podał go Carmen.

– Dzwoń do Ivana – polecił. Skinęła głową, wybrała właściwy numer i włączyła tryb głośnomówiący. Za każdym razem odpowiadała poczta głosowa. – Cholera, Ivan! – warknął Holden, uderzając otwartą dłonią w kierownicę. – Jak zaraz nie odbierzesz, to przysięgam, że pociągnę cię za sobą na dno.

Za nimi zaczęło migać niebieskie światło, a wokół rozległy się policyjne syreny, sygnalizując, że dzieje się coś poważnego. Holden przeklął siarczysto pod nosem. Auto wyminęło ich, skutecznie odgra-

dzając im dalszą drogę ucieczki. Z wnętrza samochodu natychmiast wyskoczyło dwóch mężczyzn. Jeden z nich od razu zatrzymał się przy drzwiach od strony Holdena.

– Nie ruszaj się stąd, Carmen – powiedział spokojnie blondyn. – Tylko błagam, tym razem mnie posłuchaj.

I tak nie wiedziała, co mogłaby zrobić. Zgodziła się.

– Policja! – krzyknął mężczyzna, waląc pięścią w szybę. – Wysiadaj, Yordan.

– Dobrze, że mówisz. Sam bym na to nie wpadł – zakpił blondyn.

Holden posłusznie wykonał ich polecenie. Stał przed jednym z funkcjonariuszy, który od razu nakazał mu położyć dłonie na masce, by mógł go przeszukać. Drugi wysiadł z samochodu i krocąc dumnie, niemal w zwolnionym tempie, z dłońmi schowanymi w kieszeniach długiego płaszcza, patrzył trochę zbyt długo na Carmen. Uśmiechnął się, co od razu podpowiadało, że to nieprzypadkowe spotkanie.

Odwrociła wzrok, bo nie chciała dać po sobie poznać, że przecież go zna. Bardzo dobrze. Kai już o tym wiedział. Holden nie musiał. Była przerażona nie tylko całą stresującą sytuacją, ale także faktem, że znów wpadła w sidła Bentleya Cole'a, ale zgrywała pewną siebie.

– Nudzi wam się? Nic na mnie nie macie – prychnął pod nosem Holden, kiedy drugi policjant rozsunął jego nogi, by stanął w rozkroku. Dzięki temu z łatwością założył mu kajdanki. – Hej, uważaj! To drogie buty.

Carmen zachichotała, słysząc ten komentarz, ale szybko spoważniała. Skarciła się za to w myślach. To nie była odpowiednia pora na żarty. Zaczęła się zastanawiać, jakim cudem ich znaleźli, skąd wiedzieli, że będą tamtędy przejeżdżać, i dlaczego akurat w tym momencie. Musiało chodzić o coś znacznie poważniejszego niż zwykle wykroczenie. Carmen to wiedziała. I była pewna, że głównym powodem całego zamieszania był Ivan i jego lewe interesy.

Albo najprościej – ona.

– Chyba jednak mamy! – zaśmiał się Bentley, gdy wyciągnął z zapasowego koła w bagażniku owiniętą taśmą paczuszkę. Holden spoważniał. Kolejny raz przeklął w myślach wujka.

We dwóch poprowadzili Holdena do policyjnego samochodu, rzucając go na maskę. To był koniec spokoju Carmen. Poderwała się z miejsca i wybiegła na zewnątrz. Nie mogła akceptować tego, jak go traktowali. Nawet jeśli wzrok Holdena niemal krzyczał, żeby tego nie robiła.

– Nie możecie tak! – krzyknęła, obserwując, jak jeden z policjantów szarpnął Holdena za włosy, gdy ten rzucił do niego jakimś lekceważącym tekstem i zaśmiał się pod nosem. Agent Cole natomiast spojrzał na nią, a ona poczuła się tak, jakby za moment miała zapaść się pod ziemię.

– W porządku, Carmen – odezwał się Holden, zerkając w jej stronę. Posłał dziewczynie łagodny uśmiech. – Pozwól tym łebkom chociaż raz popracować. – Znów się roześmiał, za co dostał z otwartej dłoni w tył głowy. Carmen ponownie drgnęła, ale powstrzymała się przed wykonywaniem dalszych ruchów. – Po prostu zadzwoń do Kaia. On mnie wyciągnie, dobra?

Skinęła głową. To była ostatnia rzecz, jaką chciała zrobić. Ale musiała mu pomóc.

Stała tam całkowicie bezradna, obserwując, jak Holden wsiada do radiowozu. Właśnie wtedy zrównała krok z agentem, powstrzymując się, by w rozpaczy nie złapać go za nadgarstek. Na szczęście i bez tego odwrócił się, by posłać jej zadowolone spojrzenie.

– Obiecałeś, że Holden będzie bezpieczny! – uniosła się.

A Bentley Cole wcale się tym nie przejął.

Uśmiechnął się cwaniacko i rzucił tak, żeby tylko ona to usłyszała:

– Też potrafię grać nieczysto, Carmen. Szkoda, żeby cierpiał za grzechy brata, prawda?

• • •  
Otaczała go cisza. Czuł, jak jej długie ręce zaciskają się na jego gardle jak obręcz. A z każdą mijającą, ulotną sekundą chwytala coraz mocniej, coraz bardziej, coraz głębiej.

Malachai parsknął pod nosem, żeby wreszcie w jego głowie odbił się jakiś dźwięk. Odwrócił się i z impetem uderzył otwartą dłonią o futrynę, przez co wzdłuż jego ramienia przebiegł bolesny prąd. Ledwie kilka sekund później zrzucił z szafki wszystkie przedmioty, które z hukiem odbiły się od podłogi. Kopnął ramę łóżka i rzucił w przestrzeń „kurwa” jakieś dwadzieścia razy.

Wreszcie usiadł na łóżku, oparł łokcie na kolanach i schował twarz w dłonie. Pies wbiegł za nim do pokoju i najwyraźniej zauważył, że ma zły dzień, bo od razu znalazł się obok, starając się wcisnąć łeb między jego ręce. Kai ułatwił mu to, prostując się. Wpłótł palce we włosy i zaczął ciągnąć za ich końce.

Był zły. Wkurwiony. Wciąż się potykał i nieustannie wycierał pierśią dno.

Bez celu patrzył przed siebie, aż przeniósł wzrok na łóżko. Przez kilkadziesiąt sekund gapił się w kilka rudych włosów, które kontrastowały z białą pościeli. To rozdrażniło go do tego stopnia, że jed-

nym szybkim ruchem strzepnął je na podłogę. Zrobił to z taką siłą, że pies podniósł łeb i spojrzał na niego nieco zdezorientowany i trochę przestraszony.

– Sorka – mruknął, po czym go pogłaskał. To zawsze go uspokajało. – Nie chciałem cię przestraszyć.

Przymknął powieki, starając się zapanować nad pędzącymi w jego głowie myślami. Nadal nie wiedział, co poszło nie tak. Zaczął analizować całą sytuację tak dokładnie, że po pewnym czasie sam nie był pewny, co naprawdę się wydarzyło, a co w ogóle nie miało miejsca. Odpląnął w głąb swojego umysłu i nawet nie zauważył, że ktoś stanął w progu drzwi.

– Jezu, Kai – jęknął Carter, robiąc krok do przodu.

Dopiero wtedy Kai obrzucił go spojrzeniem. Chłopak miał na sobie jaskrawopomarańczową, luźną bluzę, która współgrała z jasnymi włosami. Carter też ze skupieniem przyglądał się koledze. Ślady krwi, które miał dosłownie wszędzie, wcale nie były najgorsze. To wyraz jego twarzy sprawił, że poczuł dziwny niepokój. Kiedy Kai wyglądał na tak roztrząskanego, zawsze działo się coś fatalnego w skutkach.

– Wyglądasz tak, jakby ktoś zabił ci psa.

Mały Szatan uniósł głowę i pisnął z niezadowolenia pod nosem.

– Nawet tak nie mów – sapnął Kai.

– Dobra. Co się dzieje? – spytał Carter i zajął miejsce obok Kaia. Cały czas bacznie mu się przyglądał, a szatyn czuł się z tym po prostu źle. Sam nie był w stanie spojrzeć na kolegę, dlatego wlepił wzrok w rude włosy, które wcześniej zrzucił z łóżka. Patrzył na nie tak intensywnie, jakby to miało sprawić, że zaraz wyrośnie przed nim Carmen.

– Nic. Nic się nie dzieje.

Carter powinien odpuścić i po prostu zamilknąć. Ale tego nie zrobił.

– Kiedyś w takiej sytuacji zaproponowałbym ci schlanie się do nieprzytomności – powiedział z niewinnym uśmiechem na ustach. – Ale teraz to raczej zły pomysł.

– Ta. Najgorszy z możliwych. – Zaśmiał się Kai.

Malachai niestety nie mógł wlać w siebie litrów alkoholu, by uciszyć myśli, ponieważ to sprowadziłoby na ziemię prawdziwy chaos. Nikt nie był bezpieczny, gdy pił. Holden nie raz porządnie oberwał tylko dlatego, że krzywo na niego spojrzał. Carter nawet wylądował w szpitalu, bo Kai w szale popchnął go z taką siłą, że chłopak zarył głową o kant drzwi i padł na ziemię jak kłoda. Picie Malachaia kończyło się zawsze tak samo – ogromnymi uszkodzeniami, za które płacił kilkunastogodzinną drzemką. Nie mógł sobie na to pozwolić.

Zaczął się zastanawiać, dlaczego Holden i Carter wciąż przy nim trwali przez tyle lat gówna, przez tyle litrów przelanej krwi, przez tyle godzin krzyków.

Wzdrygnął się, gdy usłyszał dźwięk nadchodzącego połączenia. Odruchowo sięgnął dłonią do kieszeni, ale nie było w niej telefonu. Rozejrzał się i zobaczył, że komórka leży pod jego nogami. Chwycił ją i spojrzał na wyświetlacz. To była Carmen. Odebrał od razu, pokazując Carterowi, by siedział cicho.

– Cześć – rzucił łagodnie. Wcześniej nie wiedział, że potrafił mówić w taki sposób. Nie miał pojęcia, co powinien jeszcze powiedzieć, dlatego czekał, aż ona się odezwie. Milczała przez dłuższą chwilę. Słyszał szum, choć liczył na jej głos. – Jesteś tam? – spytał, gdy w głowie pojawiła mu się myśl, że może to było tylko przypadkowe połączenie i że tak naprawdę nie chciała do niego zadzwonić.

Pragnął usłyszeć, co zrobił źle. Gdzie popełnił błąd. Dlaczego to się tak skończyło. W czym tkwił problem. Nie zamierzał zostać z samymi znakami zapytania wokół. Nienawidził, gdy ludzie porzucali go bez wyjaśnień, jakby nic nie znaczył. To go stopniowo, kawałek po kawałeczku, wyniszczało, dlatego tak bardzo bronił się przed przywiązywaniem się do innych osób. Zawsze kończyło się tak samo: po prostu go zostawiali, a on musiał sobie z tym radzić na wszelkie najgorsze sposoby.

– Tak – mruknęła. Jej głos brzmiał obco. Odchrząknęła. – Zatrzymała nas policja. Oni... zabrali Holdena.

Malachai z wrażenia stanął na równe nogi.

– Co?! – krzyknął, przez co Carter spojrzał na niego ze zmarszczonymi brwiami, domagając się wyjaśnień. Jak miał cokolwiek wytłumaczyć Carterowi, skoro sam niewiele rozumiał? I nie mógł pozbyć się myśli, że to nieplanowane zdarzenie było sprawką Carmen.

Carter bacznie obserwował przyjaciela, jakby dzięki temu miał zrozumieć, co się dzieje. Kai zacisnął dłonie w pięści, aż paznokcie wbiły się w skórę, dlatego Carter zrozumiał, że to nie była tak błaha sprawa, jak na początku się wydawało, tylko coś poważnego, a złość malująca się na twarzy Malachaia musiała mieć znaczący powód. Choć ten wszechobecny gniew momentami wyglądał jak rozżalenie.

– To twój kundel go sprzątnął? – Nie pozwolił, by się odezwała. To on ryknął do słuchawki, tra-

cać kontrolę nad ciałem i umysłem. Te domysły go zjadały. Zaczął nerwowo krążyć po pokoju z nadzieją, że wydepcze dziurę prowadzącą do piekła. – Planowałeś to?! Chciałeś uspić naszą czujność? To dlatego dzisiaj... – zawahał się, szukając odpowiednich słów, by nie brzmieć wulgarnie, ale przecież to ona pierwsza go skreśliła, więc wycedził:

– To dlatego dzisiaj tak chętnie wskoczyłaś mi do łóżka? Myślałem, że...

Co tak właściwie myślał? Że to miało znaczenie? Że Carmen nagle zmieniła zdanie i postanowiła dać mu szansę, jakiej nigdy wcześniej od nikogo nie dostał? Że dojrzała w nim coś, w co warto było uwierzyć? Potrząsnął głową, śmiejąc się bezradnie. Musiał pozbyć się z głowy tej okropnej myśli, że pozwolił, aby Carmen Clark go zniszczyła. Jak domek z kart.

Carter w porę stąpnął w tył. Potem wysypały się przed nim ciuchy z wywróconej przez Kaia szafki. Milczał, oglądając, jak jego przyjaciel znów walczy ze swoimi demonami. Uchylił się, gdy Malachai z rozmachem rozbił na ścianie obok flakonik z perfumami. Chciał coś powiedzieć, ale znał Kaia doskonale. W takich chwilach lepiej było milczeć. Szczególnie gdy wyglądał jak czarna burzowa chmura, która zwiastowała krwawą ulewę oraz śmiertelne błyskawice.

– Uspokój się – poprosiła. A on nakręcił się jeszcze bardziej, bo nie było nic gorszego, niż usłyszenie w trudnym momencie, że powinno się opanować. W jego przypadku się nie dało. Gdy ogarniała go złość, była tylko ona i nic poza tym. – To nie ja.

– Nie wierzę ci – sapnęła ciężko. W jego gardle wzbierał histeryczny śmiech. Wypuścił go ustami wraz z powietrzem pełnym kłamstw. Miał wrażenie, że ktoś zrzucił kamień na jego pierś, przez co nie mógł swobodnie oddychać. Zagryzł wargi do środka. – Wiesz dlaczego?

Cisza z jej strony była odpowiedzią.

Nie miała pojęcia, co dzieje się w jego głowie, i strasznie się przez to bała.

– Bo jesteś kłamliwą zdzirą!

Niefortunnie dobrał słowa. Przesadził i wiedział to doskonale. Milczenie, które dobijało się do drzwi, było dowodem na to, że tymi obraźliwymi słowami nie zaskoczył tylko siebie, ale również Carmen. Nie wiedziała nawet, jak to skomentować, ani czy w ogóle powinna próbować się bronić. Malachai i tak wydał już osąd. W jego oczach była winna.

– Postaraj się go wyciągnąć, dobrze? Liczy na ciebie.

Dała mu krótką chwilę na przemyślenia, zanim dodała ostro:

– I nigdy więcej nie pokazuj mi się na oczy.

– Nie – parsknął. To on podejmował decyzje, nie ona. W tym wściekłym amoku nawet nie zastanawiał się nad tym, co mówi. Chciał ją zranić. Chciał, by poczuła się równie fatalnie, co on sam. Chciał, by znów drgała na samą myśl o tym, że mogą się spotkać. – To ty, Karmelku, módl się o to, żeby nie napatoczyć mi się pod nogi. Jesteś skończona, rozumiesz? Kiedy znów się zobaczymy, będziesz martwa...

Przycisnął zęby do dolnej wargi, niemal rozcinając ją do krwi. Nie miał możliwości powiedzieć nic więcej, ponieważ dobiegł do niego dźwięk przerwane połączenia. W złości cisnął przed siebie telefonem, który upadł na ziemię, ale na szczęście się nie rozbił. Ryknął, a ten dźwięk wibrował głęboko w brzuchu, sprawiając, że musiał odchylić głowę do tyłu, by w całości się go pozbyć. Ten gardłowy wrzask hulał po pomieszczeniu jak echo przeszłości.

– Psy mają Holdena. Musimy go wyciągnąć – powiedział Kai na jednym wydechu, przypominając sobie, że Carter wciąż stoi obok i wszystko obserwuje. Kai pośpiesznie zrzucił z siebie pobrudzoną koszulę, zwinął ją w kłębek, po czym rzucił z agresją o podłogę. Z szafki wyciągnął czystą czarną koszulkę. Zanim ją na siebie założył, z zafascynowaniem przyjrzał się czerwonym śladom na swoim brzuchu i piersi.

– I dlatego zmieszałaś Carmen z błotem? – zdziwił się Carter, jakby wcześniejsza informacja nie zrobiła na nim tak wielkiego wrażenia jak rozmowa, którą słyszał aż za dobrze, choć może nie powinien. – Kurwa, Kai, grubo cię poniosło, wiesz? Cokolwiek zrobiła, nie zasłużyła na takie traktowanie...

Kai spojrzał na przyjaciela z wyrzutem. Był zły, że tak łatwo wziął stronę Carmen, chociaż nie miał pojęcia, jak bardzo nawaliła. Oparł wyprostowaną rękę na komodzie i pochylił głowę, patrząc w podłogę. Próbował odgonić od siebie lawinę myśli, która spadała mu na głowę.

– Powiesz wreszcie, co się dzieje? – spytał przejętym głosem Carter. Powoli tracił cierpliwość. Z reguły po prostu czekał, aż przyjaciel postanowi się przed nim otworzyć, ale teraz czuł, że to nieprędko się stanie, więc musiał zacząć na niego naciskać. – Kai?

– Zapomnij o niej – odburknął z niemrawą miną. Przyłożył dłoń do piersi, jakby zabolalo go serce. – Nie jest z nami. Nigdy nie była.

To chyba uwierało go najbardziej: myśl, że podstępem skradła mu kawałek zaufania. I że nawet przez krótki moment to, co się między nimi działo, nie było szczere. Był tylko środkiem do osiągnięcia jej celu. Nie mógł uwierzyć, że dał się tak podejść. Gdzie się podziała jego czujność? Najwyraźniej zniknęła od razu, kiedy w pobliżu pojawiała się Carmen Clark.

Mina Cartera zdradzała, że wciąż nic nie rozumie. Potrzebował, by Kai wszystko mu wyjaśnił, zamiast rzucać strzępkami historii, które razem niewiele znacząły.

– Wydała nas – oznajmił niecierpliwie. – Poszła na układ z psami.

– Po co? – mruknął Carter, drapiąc się po karku. – Co miała na tym zyskać?

Kai posłał przyjacielowi przelotne spojrzenie.

– Wolność, Carter, wolność.

– Ale to nie ma sensu, Kai – westchnął. – Jak przymknięcie Holdena miałyby jej pomóc? Przecież za chwilę go wypuszczą. Nie mają nic, co wkopałoby go na dłużej. Ivan od razu go wyciągnie. Byłaby głupia, gdyby się na to zgodziła. Nie widzisz, że coś się tu nie klei?

*Przekłęty Carter Evans*, pomyślał Malachai. *I jego umiejętność patrzenia na sprawę trzeźwym okiem.* Kai przecież widział tylko czerwień złości. Ukrywając fakt, że może się pomylił, przewrócił oczami i wyszedł bez słowa. W tamtym momencie miał na głowie ważniejsze rzeczy, niż rozważanie tego, co oznaczały uczucia próbujące wydostać się z klatki, w której je zamknął.

Musiał ratować brata tak jak on zawsze ratował jego.

• • •

Carmen zastanawiała się, czy wskazówki tego przekłętego zegara na ścianie nagle stanęły, bo odkąd zawzięcie na nie patrzyła, leniwie poruszyły się tylko kilka razy. Przeniosła wzrok na swoje dłonie, które oparła na stole – wciąż niemiłosiernie drżały z nerwów i nie potrafiła tego zatrzymać. Prawie podskoczyła wraz z niewygodnym krzesłem, kiedy drzwi naprzeciwko wreszcie się otworzyły, wpuszczając do niewielkiego pomieszczenia trochę więcej światła.

Bentley Cole westchnął na jej widok.

– Myślałaś, że wspaniałym pomysłem będzie przychodzenie tutaj i krzyczenie, że to twoje narkotyki? – zaczął ostrym tonem. Przystanął kawałek przed nią. Widać było, że jest roztargniony. Świadczyły o tym potargane włosy oraz rękawy koszuli podwinięte do łokci. – Kiedy nad głową wiszą ci zarzuty o morderstwo w afekcie?

Przełknęła ślinę. Miał rację. To nie było zbyt rozsądne.

Drgnęła, gdy rzucił na stół papiery.

– Podpisuj i znikaj.

– Co to? – spytała, pochylając się nad plikiem.

– Twoje zeznania – wyjaśnił oschłym tonem, po czym doradził, choć może bardziej brzmiało to jak polecenie: – Nic nie widziałaś. Nic nie słyszałaś. Ogólnie nic nie wiesz. To był przypadek, że siedziałas w tym samochodzie z Yordanem.

Carmen wpatrywała się w zapisaną kartkę i nie potrafiła zdecydować, co począć. Musiała jednak postawić na siebie. Z myślą, że z pewnością tego pożałuje, złożyła podpis i podniosła się do pionu. Gdy usiłowała przemknąć obok agenta Cole'a, chwycił ją delikatnie za łokieć, domagając się odrobiny uwagi.

– To dobra decyzja, Carmen – stwierdził. Przesunął się w bok, odgradzając jej przejście. – Twój ojciec czeka na korytarzu.

– Jesteś z siebie zadowolony? – rzuciła jeszcze. – Kai więcej mi nie zaufa. Myśli, że to ja wydałam Holdena. Będzie chciał się zemścić.

– Zmieni zdanie, zobaczysz.

Agent Cole był nadzwyczaj pewny swoich racji. Carmen ani trochę nie podzielała jego optymizmu. W głowie przewijała już wszelkie możliwe metody, w jakie Kai może pozbyć się jej ciała w taki sposób, by nikt więcej się nią nie zainteresował.

– Nie znasz go! – wycedziła gniewnie. – On nie odpuszcza. Dosadnie podkreślił, że następnym razem mnie zabije.

– Już raz ci to obiecywał, prawda? – zauważył Bentley. – Yordan ma do ciebie słabość. Wyjedź na chwilę. Niech zatęskni. I zapomni. Później przyjmie cię z powrotem z otwartymi ramionami.

– A jeśli nie?

– Nie zaprzataj tym sobie główki, Carmen – poprosił łagodnie policjant. – Odpocznij.

Przepuścił ją w drzwiach. Prześlizgnęła się pod napiętym męskim ramieniem. Ostatni raz rzuciła spojrzeniem w kierunku sali, w której siedział Holden.

Był zmęczony i znudzony. Ostatnią noc spędził w celi na niewygodnej pryczy. Nawet się nie

zdrzemnął. Odliczał w głowie sekundy i minuty, by zająć czymś głowę. Podniósł się do pionu, gdy potężne metalowe drzwi wreszcie się otworzyły. W progu stanął jeden z policjantów, którzy go zatrzymali. Ten bardziej wyszczekany i narwany.

– To twój szczęśliwy dzień, Yordan – mruknął pośepnie z niezadowoloną miną. – Mam nadzieję, że kiedyś wasze znajomości was zawiodą.

Blondyn uśmiechnął się dumnie. Ruszył przed siebie, jednak zanim wyszedł, spojrzął przez ramię za siebie. W kącie pomieszczenia siedział mężczyzna. Przyciskał dłonie do spuchniętego nosa, z którego ciekła resztką krwi. Holden nie był typem osoby, którą łatwo wyprowadzić z równowagi. Nie używał pięści przy pierwszej lepszej okazji. Ale musiał się bronić, gdy ten facet – najprawdopodobniej napuszczony przez gliniarzy – rzucił się na niego z łapskami.

– Do widzenia – powiedział grzecznie, kłaniając się w kierunku mężczyzny. I wyszedł.

Na zewnątrz musiał zasłonić słońce dłonią, by cokolwiek zobaczyć. Ivan stał parę metrów dalej, rozmawiając ze znajomym policjantem. Nie wyglądał na zadowolonego, wręcz przeciwnie. Żył na jego szyi niebezpiecznie pulsowała. Miał groźnie zmrużone oczy i podniesiony ton głosu. To świadczyło o tym, że był bardzo zły. Holden zaczął nawet współczuć mężczyźnie, który miał pogawędkę z Ivanem, bo prawdopodobnie ta rozmowa nie należała do najprzyjemniejszych.

Kai ściągnął z nosa przeciwsłoneczne okulary, gdy dostrzegł w oddali sylwetkę brata. Odepchnął się od maski samochodu i ruszył przed siebie. Na jego twarz wkradł się grymas zaskoczenia, gdy zobaczył rozcięty łuk brwiowy Holdena. Bez ostrzeżenia złapał twarz blondyna w dłonie i dokładnie jej się przyjrzał.

– Kto ci to zrobił? – syknął. Holden znał ten ton głosu Kaia, przepełniony determinacją i gniewem. Gdyby tylko mógł, najprawdopodobniej wparowałby na komisariat i dopadł każdego, kto chociaż raz nieprzychylnie spojrzął na jego brata.

Razem mogliby napisać poradnik o tym, jak wzajemnie przyłożyć sobie w twarz, a potem opatrzyć do serca.

Blondyn się roześmiał.

– Spokojnie – powiedział i zrobił krok w tył. Ręce Malachai opadły swobodnie wzdłuż tułowia. – Nie widziałeś, w jakim stanie go tam zostawiłem.

Malachai kiwnął głową z uznaniem.

– Jednak płynię w nas ta sama krew. – W głosie Kaia pojawiło się coś na wzór dumy. Dzięki temu nawiązała się między nimi jakaś więź, którą dawno temu zerwali. Malachai poczuł, że nie tylko on nosi w sobie diabelskie nasienie. Z przyjemnością objął Holdena ramieniem i zaczął prowadzić go w kierunku auta. Szybko jednak przystanął w miejscu, gdy z budynku wyłonił się ten sam policjant, z którym spiskowała Carmen.

Kai momentalnie zacisnął dłonie w pięści.

Ivan wolał zainterweniować niż pozwolić na rozpętanie kolejnej awantury, która tylko sprowadziłaby na nich kłopoty. Stanął bliżej bratanka i zaczął popychać go w kierunku samochodu. Malachai jednak nawet na sekundę nie spuścił złowrogiego spojrzenia z policjanta, pokazując mu przy tym środkowy palec.

– Nie wiedziałem, że psiarnia tak wyje z desperacji! – ryknął na całe gardło, po czym roześmiał się histerycznie. Obiegł wzrokiem sylwetki najbliższych. Podskoczył w miejscu, zarzucając ramiona na brata oraz Cartera, po czym przysunął dłoń do ucha i dodał: – Słyszycie?

Malachai wydał z siebie dźwięk przypominający wycie wilka. Nie musiał długo czekać. Najpierw dołączył do niego Carter, a potem, po kilku szturchnięciach w ramię, również Holden. I przez następne kilkanaście sekund w trójkę wyli jak do księżycy.

Zanim Kai zdążył się rozkręcić na dobre, wujek pchnął go z całej siły, aż zachwiał się na nogach, niemal wpadając na Cartera. Podtrzymał się kolumny, chroniąc się przed zderzeniem z ziemią. Wyprostował się i nastroszył jak paw. Chwilę mierzył się z Ivanem chłodnymi spojrzeniami, jakby brali udział w konkursie, kto pierwszy mrugnie. Żaden z nich nie zamierzał odpuścić i przegrać. Byli tak samo uparci. Ivan wreszcie do niego podszedł, złapał go za szczękę, mocno ją ściskając.

– Oduść – warknął złowrogo.

Ten niepokojący ton wystarczył, by Kai przeniósł wzrok na twarz wujka. Jego usta zarysowały trzy słowa, które nadzwyczaj uradowały Kaia. „Dorwiemy go później”. Tyle mu wystarczyło. Uczepił się przyjemnej wizji, w której to oni wygrywają. Cofnął się, dzięki czemu wydostał się z uścisku. Ivan w odpowiedzi pokręcił zrezygnowany głową, podkreślając, że jak zawsze jest załamany jego nastawieniem.

– Robią na nas obławę – poinformował potajemnie o tym, co udało mu się wyciągnąć od znajomego gliniarza. – Od teraz jesteście grzeczni. Trzymacie się z dala od kłopotów. Nie przejeżdżacie na czerwonym świetle. Nie przebiegacie przez ulicę. Nie sikacie w miejscu publicznym... – wymieniał, jednak Kai zdawał się go nawet nie słuchać. Cały czas tylko tupał nerwowo nogą, dopóki łapsko Ivana nie przygniotło jego barku. – Mówię głównie do ciebie, Kai. Koniec z twoimi wybrykami, rozumiano? Teraz sprzątną nas za każdą pierdołę.

– Ale...

– Chcesz być gwiazdą telewizji? – mruknął Ivan z irytacją w niskim głosie. – Z czarnym paskiem na oczach? Kręci cię kryminal?

– A co ty, kurwa, nagle jesteś święty Ivan?

– Spróbuj zrobić coś za moimi plecami, Kai, a pozwolę ci zgnić w więzieniu – odpowiedział Ivan wiarygodnym tonem, celując w niego palcem. Malachai przełknął ślinę, nie spuszczać z wuja uważnego spojrzenia. Czekał, aż przez twarz Ivana przemknie chociaż cień radosnego grymasu, ale nic takiego się nie stało. Ivan był śmiertelnie poważny. Zdradzały to jego chłodne oczy, zaciśnięte usta i groźnie ściągnięte brwi. – Wiesz, co tam robią z takimi ładnymi buźkami jak twoja?

Kai przymknął odruchowo powieki, gdy Ivan, nie szczędząc na sile, niby dla rozluźnienia, poklepał go otwartymi dłońmi bo obu policzkach, aż zatrzęsło mu się w głowie. Kiedy otworzył oczy, Ivan szedł już w kierunku samochodu, zostawiając za sobą jedynie rechot. Kai niechętnie zrównał krok z Holdenem, który do tej pory był parę kroków przed nim.

– Zajmę się nią – wyszeptał do brata. – Zapłaci za to, co nam zrobiła.

– Kto? – spytał zaskoczony Holden, posyłając Kaiowi dezorientowane spojrzenie.

– Carmen – odpowiedział natychmiast, chociaż to imię z wielkim trudem prześlizgnęło się przez jego gardło. Kłuło go niczym sztylety. – Wiem, że to ona cię wsadziła.

Holden zarechotał rozbawiony.

– Skąd ten głupi pomysł?

Wychodziło więc na to, że Holden nie miał pojęcia o zdradzie Carmen. Czy Kai powinien powiedzieć mu prawdę i tym samym zgasić kolejną świeczkę, która dawała Holdenowi nadzieję? A może po prostu powinien dokładniej przeanalizować słowa Cartera o tym, że w stresie zbyt pochopnie wyciągnął wnioski?

Nie musiał brać się za to sam. To Holden rozwiązał resztki wątpliwości, mówiąc:

– Przecież siedziała ze mną. Próbowwała wziąć winę na siebie.

– Kurwa – sapnął Kai pod nosem. Do siebie, nie do brata.

Posłał mu tylko krótkie spojrzenie, zanim bez wyjaśnień rzucił się biegiem w wyznaczonym w głowie kierunku z nadzieją, że jeszcze zdoła wszystko naprawić. Kiedy dotarł pod blok Carmen, ledwie łapał oddech, pot spływał mu po skroni, a w ustach czuł jedynie męczącą suchość. Aby nieco uspokoić szaleńczo bijące z wysiłku i nerwów serce, oparł dłonie na drzwiach. Dopiero po paru chwilach zaczął w nie rozpaczliwie walić.

– Carmen, proszę, otwórz – krzyknął, dociskając spocone czoło do drewna. Kątem oka dojrzał, że w mieszkaniu pali się światło, więc musiała być w środku, ale po prostu go olewała. Słusznie. Sam też nie dałby sobie drugiej szansy. – Wiem, że nawaliłem, okej? Możesz dać mi za to w mordę, tylko proszę, wyjdź do mnie.

Nie liczył czasu, ale miał wrażenie, że minęła wieczność, zanim usłyszał dźwięk przekręcanego zamka. Odsunął się na krok, wbijając wzrok przed siebie.

Ale to nie Carmen mu otworzyła.

Jednak jeśli rzeczywiście wybaczyła Jamesowi, to może dla niego też była jeszcze nadzieja.

– Tak myślałem, że ktoś tu żałośnie skamle – rzucił zaczepnie James, uśmiechając się wrednie. Dla bezpieczeństwa nie wyszedł na zewnątrz. Stał w progu przy uchylonych drzwiach. – Ale nie sądziłem, że to będziesz ty. Od kiedy Kai Yordan się tak płaszczy?

Malachai zacisnął pięści. Gniew znów zaczął w nim wzbierać. Gdyby nie myśl, że w środku może chować się Carmen, pewnie przywaliłby mu w głowę po raz czwarty i na pewno nie ostatni, bo nie mógł dłużej znieść tego cwaniackiego błysku w zielonych oczach Jamesa.

– Gdzie jest Carmen? – spytał niecierpliwie Kai. Z nerwów mięsień w jego udzie strzelał jak popcorn w mikrofalówce. – Muszę z nią pogadać.

– Spóźniłeś się – zakomunikował Cameron. – Wyjechała.

Miał wrażenie, że nagle ziemia osunęła mu się spod nóg. Wpadał w panikę. Może nie wrywał sobie włosów z głowy ani nie płakał, ale w zamian zagryzł usta tak mocno, że poczuł rozchodzący się po

wardze elektryzujący ból. Z całej siły walnął pięścią w najbliższą ścianę. Nie poczuł ani trochę ulgi, tylko kolejny wstrząs bólu rozprzestrzeniający się od nadgarstka po ramiona. Uderzyła w niego cała paleta emocji, ale najbardziej czuł wściekłość. Rozdzierała go od środka, starając się wypuścić na wolność potwora, który w nim drzemał.

– Dokąd?! – uniósł głos. Brzmiał jak wszystkie czarne charaktery naraz. James jednak próbował wyglądać na niewzruszonego, choć przemianę Kaia można było wyraźnie zaobserwować. W odpowiedzi wzruszył ramionami. Zgodnie z prawdą. A i tak tego pożałował.

Kai bez zastanowienia nad tym, że ponownie sobie zaszkodzi zamiast pomóc, w ostatniej chwili zacisnął palce na bluzce Jamesa, sprawiając tym samym, że ten nie zdążył zatrzaskać mu drzwi przed nosem. Wytargał go na zewnątrz jak szmacianą lalkę, a potem nawet nie mrugając, przycisnął jego plecy do metalowej poręczy ogradzającej piętro. Cameron się skrzywił. Jego kręgosłup zawrzał czerwonym ogniem, kiedy Kai odciągnął go na ułamek sekundy, a potem z powrotem rzucił na poręcz.

– Adres! – ryknął Malachai wprost w przerażoną twarz Camerona. Już się tak dumnie nie uśmiechał, gdy śmierć zaglądała mu w oczy. To Kai szczerzył się rozanielony, jakby właśnie wyobrażał sobie, że przerzuca go na drugą stronę, a jego cherlawe ciało toczy się parę piętrowo w dół, roztrzaskując się na chodniku jak upuszczone jajko.

– Nieznany! – pisnął James. – Serio nie wiem, gdzie ją wywiało.

Kai nie czuł się już tak, jakby uderzył w niego tir. Ale nie raz. Czuł się tak, jakby przejechał po nim parę razy i na dobitkę wycofał, by upewnić się, że poprawnie wykonał zadanie.

– To lepiej się zastanów – mruknął Kai – bo zaraz nauczysz się latać.

Nie walczył z Jamesem, ale z własną głową. Cameron miał być tylko przypadkową ofiarą. A skoro nadal milczał, Kai z uciechą uderzył go wierzchem pięści w bok twarzy tak, że kolana lekko się pod nim ugięły. Huknął go tak, jakby wbijał gwóźdź w ścianę.

– Myślałem, że to kumpelska rozmowa – bąknął niewyraźnie Cameron.

– Ta – mruknął Malachai bez większych emocji. Przez jego usta przewinął się tylko zadziorny uśmiešek. Dłonią wygładził pogniecioną od ścisku koszulkę Jamesa, a potem lekko poklepał go w klatkę piersiową. – Dlatego po kumpelsku dostałeś w mordę. A skoro się kumplujemy, to na pewno dasz mi znać, kiedy Carmen się odezwie, prawda?

James, chcąc nie chcąc, pokiwał twierdząco głową, by odzyskać spokój.

Kai wyszczerzył się zadowolony z siebie. Odwrócił się na pięcie. Usłyszał za sobą, jak James gwałtownie zaciąga się powietrzem, jakby przez cały ten czas nie mógł oddychać. I nagle znów zapragnął odebrać mu dech, więc zagroził jeszcze:

– Kiedyś cię zapierdolę, James. Przysięgam.

Malachai roześmiał się dziko, co brzmiało jak potwierdzenie obietnicy. Pokręcił głową. Spuścił ją i wpatrywał się w swoją dłoń, którą na zmianę rozprostowywał i zaciskał w pięść. Przeklął pod nosem.

Pękła mu skóra, gdy uderzył bezwartościową mordę Jamesa.



Kai opierał czoło o zimną kierownicę. Z zamkniętymi oczami wsłuchiwał się w jazgot odpalnego silnika i ryczącą muzykę, byle tylko nie słyszeć chaotycznych uderzeń własnego serca. To tylko przypominałoby mu o tym, że pierwszy raz od dawna stracił czujność. Dobiegł do niego stłumiony dźwięk otwieranych drzwi, a sekundę później poczuł na twarzy lekki powiew.

– Dobrze się czujesz, kotek? – spytała zatroskana Sybil, od razu zajmując miejsce pasażera.

Malachai nie czuł się wcale. Milczał przez długi moment, jakby nic nie usłyszał.

– Nie pytaj – mruknął wreszcie bez przekonania. Przekręcił głowę tak, że mógł ją zobaczyć. Sybil przyglądała mu się z troską, której nie chciał. Nie potrzebował od niej litości. Już dawno znienawidził wszystkich, którzy mu współczuli. Potrzebował jedynie, aby ktoś przy nim był, gdy potwór na nowo nad nim zapanuje, bo wtedy nie mógł sobie ufać. – Muszę się wyżyć, ale nie chcę iść do klubu. Jakies pomysły?

Wyprostował się, dociskając plecy do fotela. Nie patrzył już na Sybil, tylko przed siebie.

– Ryan podobno robi imprezę – powiedziała niepewnie. Nie wiedziała, czy w ogóle powinna o tym wspominać, ale rozluźniła się, gdy Kai zerknął na nią z błyskiem w niebieskich oczach, choć na sam dźwięk tego imienia wstrząsnął nim dreszcz obrzydzenia. Nie był zły, tylko zainteresowany. Postanowiła więc kontynuować. – Wyobraź sobie jego minę, gdybyś się tam pojawił.

Malachai wiedział, że to beznadziejny pomysł, ale ostatnio wszystko, co robił, było pozbawione jakiegokolwiek sensu. Pomyślał, że to całkiem dobra okazja, by ponownie udowodnić Ryanowi, że niewiele znaczy w tym mrocznym świecie. Poza tym dobrze pamiętał wielkie imprezy w jego domu i to, że zawsze kończyły się podobnie – zapominał o problemach. A wtedy tym problemem była Carmen, dlatego dał się skusić.

Posłał Sybil cwaniacki uśmiech, który jednoznacznie oznaczał to, jaką decyzję podjął. Odjechał spod bloku dziewczyny, a siedem minut później znaleźli się na obrzeżach miasta w dość bogatej dzielnicy. Musiał zaparkować nieco dalej, bo pod domem Ryana wszystkie miejsca były zajęte.

Nie był tam od dziesięciu lat – właśnie tym tłumaczył sobie to, że wszystko wewnątrz niego skręciło się w bólu. Zblokował się. Miał wrażenie, że ktoś z góry nie pozwalał mu nawet drgnąć. Gdyby nie Sybil, która pociągnęła go za rękę, pewnie nadal nie ruszyłby się z miejsca przez następnych parę minut. Stał przed drzwiami i powoli przełknął ślinę. Czuł, jak jego ręce stają się lepkie od potu, co strasznie go irytowało. Przecież się nie stresował! Opanował się i wszedł do środka jak do siebie.

Próbował wyglądać na wyluzowanego, ale fakt, że wystrój domu wcale się nie zmienił, sprawił, że stopniowo zalewała go fala wspomnień. Zamknął oczy, policzył do dziesięciu, a gdy z powrotem je otworzył, wmówił sobie, że jest już innym człowiekiem. Tym gorszym.

Ruszył wąskim korytarzem przed siebie, mijając obściskujące się pary. Oczy szczypały go od dymu unoszącego się w całym pomieszczeniu. Nienawidził duszącego zapachu papierosów. Ledwo widział własne ręce, gdy uparcie brnął przed siebie. W końcu dotarł do wielkiego salonu. Zatrzymał się gwałtownie, gdy zobaczył Ryana.

Blondyn siedział na środku kanapy, otoczony z każdej strony przez ludzi. Śmiał się, popijając alkohol, aż jego rozbiegane spojrzenie nieumyślnie zatrzymało się na sylwetce stojącej w progu. Przełknął pozostałości drinka, uważając, by z wrażenia się nie udławić, a potem odstawił pustą szklankę na stół.

– Albo się tak naćpałem, albo naprawdę stoi przede mną Yordan – powiedział z zachwytem i zaczął odgarniać sprzed twarzy kłęby siwego dymu.

– Ta. To ja – mruknął niemrawo Malachai. Zrobił krok do przodu i schował dłonie do przednich kieszeni dżinsów. Wszyscy spojrzeli na niego, jakby był kimś sławnym. – We własnej osobie. Zaskoczony?

– Wow. To dla mnie zaszczyt. Zdradzisz, co cię do mnie sprowadza? – spytał Ryan. Zgarnął ze stołu czystą szklankę i nalał do niej whisky. Podsunął naczynie w kierunku gościa, ale Kai nie zamierzał pić, dlatego pokręcił głową. Mimo to nie odsunął od siebie alkoholu. Wpatrywał się w trunek. Może jed-

nak powinien odpuścić sobie bycie trzeźwym?

Wtedy przynajmniej przestałby myśleć.

– Szukam rozrywki. – Wzruszył od niechcienia ramionami. – Pamiętasz swojego kumpla? No, wiesz, tego, który przystawiał mi lufę do głowy? Przemyslałem to i doszedłem do wniosku, że strasznie mnie wkurwił. Tacy ludzie nie kończą zbyt dobrze.

– Och, przykro mi. – Ryan próbował wyglądać na smutnego. Rozejrzał się po twarzach osób znajdujących się wokoło, jakby kogoś szukał. – Niestety dzisiaj go z nami nie ma.

Kai przeklął się w myślach za to, że w ogóle się tu zjawił. Zaciśnął usta do środka. Zerknął przez ramię, by upewnić się, że Sybil wciąż za nim stoi. W pośpiechu złapał ją za nadgarstek i odwrócił się z zamiarem wyjścia. Zatrzymał go jednak głos Ryana.

– Tak szybko wychodzisz, kumplu? – rzucił rozbawiony blondyn. – Może w zamian zmierzysz się ze mną?

Usłyszał podekscytowane szepty i kilka okrzyków. Ludzie byli głodni widowiska. Odwrócił się. Ryan już stał i wlepił w niego przenikliwe spojrzenie. Uśmiechał się w charakterystyczny, głupkawy sposób.

– Nie chcę cię zabić, Ryan – burknął Malachai. Odruchowo zaciśnął dłonie w pięści.

Jeszcze, dodał w myślach.

– Jak za dawnych czasów, Kai? – przekonywał go Ryan, całkowicie ignorując jego wypowiedź. – No, weź, zawsze wiedzieliśmy, kiedy przestać. – Blondyn obszedł stół i zatrzymał się naprzeciwko szatyna. Szturchnął go zaczepnie w ramię, a potem skrzyżował ręce na torsie, zwracając się do tłumu:

– Chcecie tego?

Ludzie zaczęli wiwatować, klaskać i wykrzykiwać niezrozumiałe słowa.

Malachai się wahał. Nie był pewny, czy uda mu się powstrzymać, gdy będzie miał Ryana na wyciągnięcie ręki. A na razie zamierzał trzymać się swojego planu, który zakładał utrzymanie blondyna przy życiu. Czuł jednak na sobie kilkanaście ciekawskich spojrzeń, dlatego w końcu skinął dyskretnie głową.

– Tylko oddaj swoją zabaweczkę Sybil – powiedział Ryan, ruszając z miejsca. Zatrzymał się w części salonu, która była mniej zagracona, niedaleko wyjścia na taras. Przesunął drzwi, tym samym wpuszczając do środka świeże powietrze. – Chyba nie chcemy powtórzyć sytuacji sprzed lat, nie?

Kai stłumił w sobie groźny pomruk. Wyciągnął z kieszeni nóż i wcisnął go w drżące ręce brunetki, która przyglądała mu się z niezadowoleniem. Nie popierała tego, jednak Kai jak zawsze nie przejmował się jej zdaniem. Posyłając jej ostatnie spojrzenie, wyszedł z Ryanem na zewnątrz, a zaraz za nimi podążył zaciekawiony tłum. Przez dłuższą chwilę po prostu wokół siebie krążyli z uniesioną gardą. Żaden z nich nie chciał wykonać pierwszego ruchu.

– Co u tatuśka w więzieniu? – rzucił zaczepnie Kai. Prowokował, bo wyszedł z założenia, że jeśli oberwie jako pierwszy, wścieknie się, co tylko doda mu siły. Ryan w odpowiedzi uniósł kącik ust w lekceważący sposób.

– Dobrze. Fajnie, że pytasz – odpowiedział niewzruszony blondyn. Nawet się nie skrzywił, jakby ta zaczepka nie zrobiła na nim wrażenia. Postawił krok do przodu, dzięki czemu stali nos w nos. – Co u rodziców? Nadal martwi?

Malachai nie potrafił nad sobą panować, gdy ktoś grzebał w jego przeszłości. Nawet jeśli chciał, nie mógł pozostać opanowanym. Wyłączył się. Jediną rzeczą, na której się skupił, była złość, która powoli sięgała zenitu. Zamachnął się, wbijając pięść w bok twarzy Ryana. Chłopak tylko zarechotał i od razu zareagował, wymierzając cios w żebra Kaia. Dwoma szybkimi uderzeniami trafił go jeszcze w szczękę.

Szatyn utrzymał się na nogach, otrząsnął się i ponownie stanął przed Ryanem. Ten ból przyniósł mu ukojenie, więc postanowił zmienić swoją strategię. Całkowicie opuścił gardę. Jego ramiona zwisały luźno przy bokach. Ściągnął brwi i zmrużył groźnie oczy. Był głodny kolejnego uderzenia, na które nie musiał zbyt długo czekać.

Ryan bez ostrzeżenia wbił pięść w jego brzuch, a potem hakiem trafił ponownie w szczękę. Kai poruszył nią, starając się zorientować, czy wciąż jest w całości. Przyjął ciosy z ogromną lekkością. Patrzył na przeciwnika z uwagą, jakby błagał o więcej.

Wydawał się samobójczy.

Nie był już nawet wściekły.

Był jak puste naczynie.

W błyskawicznym tempie wylądowały na nim kolejne uderzenia – w korpus oraz żebra. Sam jed-

nak nie zadał żadnego. Nadal nie podniósł gardy. Miał w oczach odwagę, gdy wbijał płonące spojrzenie w Ryana. Podszedł do niego, jakby wyzywał go do następnego ciosu.

Kai nie uderzał. Wcale.

Ryan był coraz bardziej zdezorientowany, jednak nie zamierzał nad tym rozmyślać. Prawym prostym wałnął chłopaka w twarz. Od siły uderzenia Kai opadł na kolana. Zaniósł się głośnym śmiechem, kiedy Ryan zrobił krok w tył, by lepiej mu się przyjrzeć. Krew zalewała połowę jego twarzy i spływała po zębach, gdy się szczyrzył. Blondyn złapał go za kołnierzyk koszulki, siłą stawiając go do pionu.

– Dlaczego się nie bronisz, Malachai? – szepnął tak, że tylko ich dwójka mogła to usłyszeć.

– Nie nazywaj mnie tak – syknął Kai, po czym splunął śliną zmieszaną z krwią na twarz blondyna. Ryan się wściekł. Starł maź ze skóry i zaczął na oślep wyprowadzać proste ciosy w głowę szatyna.

Kai padł twarzą na glebę. Jego ramiona i bluzkę pokrywała rozmazana krew. Dyszał, walcząc o oddech, jednocześnie drżąc przy każdym z nich. Był wykończony i obolały, a mimo tego położył na ziemi jedną dłoń, potem drugą, i spróbował się podnieść. Kopnięcie prosto w brzuch sprawiło, że ponownie wylądował na ziemi. Splunął jeszcze większą ilością krwi, wymieszaną z piaskiem i pojedynczymi źdźbłami trawy.

Kolejną próbę dźwignięcia się, przerwał mu potężny cios w skroń, od którego jego głowa odgięła się w bok. Obraz przed nim zawirował, a krew tryskająca z otwartych ran dodatkowo utrudniała patrzenie.

– Dlaczego się nie bronisz, Kai?! – wrzasnął niecierpliwie Ryan, szarpiąc szatyna za włosy. Malachai w odpowiedzi wyszczerzył się, pokazując zęby zabarwione na czerwono. Ledwie widział sylwetkę przeciwnika, która wtedy stanowiła jedynie niewyraźną plamę.

Blondyn odsunął się i dał mu parę sekund, by wreszcie stanął na nogach.

Malachai zamierzał walczyć, dopóki nie będzie w stanie wstać.

W powietrzu rozmywały się odgłosy kolejnych ciosów, które nieprzerwanie lądowały na ciele Kaia, popychając go w stronę tarasowych drzwi. Oparł się plecami o okno, próbując nieco odsapnąć.

– Tylko na tyle cię stać, Ryan? – wybełkotał. – Słabo. Widzisz? Nadal stoję.

Tymi słowami ponownie rozjuszył blondyna. Tak bardzo, że ten z dzikim rykiem trafił go w twarz. Włożył w to tyle siły, że Malachai przebił się przez szybę, wpadł do pomieszczenia i znów wylądował na ziemi. Odłamki szkła powbijały się w jego ramiona. Przewrócił się na brzuch. Podpierając się drżącymi dłońmi, chciał podnieść się do pionu, ale wtedy Ryan docisnął go z powrotem do posadzki. Pochylił się nad nim i szepnął:

– Co ty odpierdalasz?

Kai nie zdążył zareagować.

W ich pobliżu znalazła się Sybil, która próbowała odciągnąć blondyna na bok.

– Zabijesz go, Ryan! – krzyknęła rozpaczliwie, ciągnąc Ryana za rękę w tył, by ustąpił. Była przerażona sceną, która się przed nią rozgrywała. Jej serce zamierało za każdym razem, gdy Malachai przyjmował cios, jakby na to zasługiwał. Miała dość. Łzy spływały po jej policzkach, lądując na koszulce i rozmazując makijaż. Nie mogła oglądać go w takim stanie. – Proszę, zostaw go. Widzisz? On nawet nie chce walczyć.

Te słowa olśniły Ryana. Odsunął się, jednocześnie odpychając brunetkę na bok. Kucnął przy przeciwniku, a potem wyciągnął do niego dłoń. Kai patrzył na nią ze zmarszczonymi brwiami. Nic nie rozumiał. Wreszcie, po przeanalizowaniu wszystkich za i przeciw, mocno się jej chwycił i usiadł, opierając czoło o kolana.

– Zjeżdżaj stąd, Kai – powiedział Ryan znacznie łagodniejszym tonem. – Nienawidzę cię, ale nie jestem na tyle głupi, by wykończyć cię, kiedy nie chcesz się bronić.

Odszedł, zostawiając Malachaia sam na sam z destrukcyjnymi myślami. Nie potrafił stwierdzić, jak długo siedział w miejscu, próbując zebrać się w sobie i wstać. Ocknął się, kiedy Sybil przed nim uklękła. Ledwie widział jej zaczerwienioną buzię zalaną strumieniami łez. Płakała przez niego. A on miał to gdzieś.

– Nie dotykaj mnie – fuknął, gdy poczuł na sobie dłonie dziewczyny. Zrzucił je w ułamku sekundy. Była tym gestem tak zdezorientowana, że poleciała w tył.

Podniósł się. Nikt na niego nie patrzył. Chwiejąc się na nogach, postawił pierwszy krok, a potem następny i następny. Cały drżał od środka. Był zdewastowany, ale poczuł się lżej.

Czasami po prostu musiał się trochę bardziej zrujnować, by później jakoś żyć.

• • •

Holden bawił się swoimi palcami, gdy zestresowany siedział na korytarzu. Sam właściwie nie

wiedział, po co tam przyszedł, ale czuł, że powinien to zrobić. Musiał działać, jeśli chciał choć w niewielkim stopniu pomóc bratu. Po tym, jak tydzień wcześniej zobaczył go nad ranem, całego we krwi, zadrapaniach i siniakach, śmiertelnie się przeraził. Potworny strach wbił w niego szpony, nie pozwalając normalnie funkcjonować.

Właśnie z tego powodu odważył się na radykalny, ostateczny krok.

Czekał na nią przed gabinetem. Jasne włosy przysłaniały mu twarz, gdy uparcie gapił się na dłonie. Uniósł głowę, kiedy tylko usłyszał skrzypnięcie drzwi i stukot obcasów. Momentalnie odgarnął włosy do tyłu i podniósł się do pionu.

Carmen przystanąła i otworzyła usta zaskoczona. Nie spodziewała się, że po kolejnej wizycie u terapeutki ujrzy właśnie Holdena. Przyjrzała mu się z lekko przechyloną głową. Od razu zauważyła, że wygląda na zmartwionego. Utkwił w niej spojrzenie smutnych niebieskich oczu, jakby była ostatnią deską ratunku. Posępne linie, jakie dojrzała na twarzy chłopaka, tylko ją w tym utwierdziły.

– Cześć – powiedział, oblizując usta. – Nieźle się ukrywałaś.

Posłała mu miły uśmiech na powitanie.

– Możemy... możemy pogadać?

Nie potrafiła mu odmówić.

– Jasne. – Skinęła głową, gdy znalazła się bliżej. Ruszyli do wyjścia. Holden przepuścił ją w drzwiach. Milczał, choć miała wrażenie, że chciał jej wiele przekazać. Na dworze było chłodniej niż wcześniej, dlatego zarzuciła na ramiona czerwoną skórzaną kurtkę, którą na szczęście zabrała z domu. Szli w stronę parkingu. – Chodzi o niego, prawda?

Musiała się upewnić, choć odpowiedź była oczywista.

Próbowała się odciąć, ale cały czas o nim myślała – przez wszystkie dni, w każdej przestrzeni i każdym wymiarze. Nic tylko on. Wszędzie on. Wszystko było nim i on był wszystkim. Zlekceważyła zdolność Malachai do równania wszystkiego z ziemią. Roztrzaskał jej duszę na kawałki. Zgniół w dłoni serce. Spalił jej sanktuarium. Zniszczył spokój, który pielęgnowała w sobie przez ostatnie lata. Wpadła prosto w jego sidła, gdzie czekały na nią tylko ciemność i zgorzenie.

Holden przytaknął. Próbował zebrać myśli i odpowiednio dobrać słowa, by jej nie spłoszyć. Przyglądał się Carmen, jakby naprawdę była tego warta, jakby znaczyła dla niego więcej niż ktokolwiek inny. To zjadało ją od środka, bo nie potrafiła tego odwzajemnić. Parę razy otwierał i zamykał usta. Nie był pewny, czy w ogóle powinien zaczynać ten temat.

– Masz coś we włosach – powiedział wreszcie z lekkim uśmiechem na ustach. Przegrał sam ze sobą. Carmen przystanąła i na niego zerknęła. Przeczesała palcami rude kosmyki, ale to wcale nie pomogło. – Mogę? – spytał, na co skinęła głową.

Była pod wrażeniem jego uprzejmości i łagodności. Sposób, w jaki dotykał jej włosów, gdy wyciągał z nich liść, był uspokajający. Przymknęła powieki, napawając się tą chwilą. Nagle usłyszała głośne chrząknięcie. To zdecydowanie nie był Holden. Otworzyła oczy, rozejrzała się dookoła i od razu zrobiła krok w tył.

Ktoś opierał się o maskę samochodu, którym przyjechał Holden.

– Spoko – burknął. – Nie krępujcie się. Mnie tu nie ma.

Malachai stał ze skrzyżowanymi na torsie rękoma i ściągniętymi brwiami. Włosy skrył pod czapką z daszkiem, którą założył tył na przód. Rękawy kurtki dżinsowej w szarym odcieniu podwinął do łokci, dzięki czemu można było dostrzec gęsią skórę i niewielkie strupki na jego przedramionach. Najbardziej jednak poraził Carmen widok siniaków na twarzy, które tworzyły paletę najróżniejszych kolorów.

Przełknęła ślinę. Musiała uszczypnąć się w udo, by przekonać się, że to dzieje się naprawdę. Malachai wydawał się nierzeczywisty, jakby był tylko postacią z książki, którą wyobrażała sobie w głowie; jakby był piękną fantazją.

Był hałaśliwy, wyraźny i ciemny.

– Co... się... stało? – wydyszała, choć nie wiedziała, czy jest gotowa, by poznać prawdziwą odpowiedź. Nagle zabrakło jej tchu. Kai zerknął na nią przelotnie, a to niemal ścięło ją z nóg. Szybko jednak wrócił spojrzeniem do twarzy brata.

– Holden, zostaw nas. – Jego niski, zachrypły głos kolejny raz przeciął ciszę. Carmen poczuła, jak dreszcze przebiegają wzdłuż jej kręgosłupa.

– Nie musisz... – jęknęła żałośnie i posłała blondynowi błagalne spojrzenie. Zrobił krok do przodu, ale zatrzymał się, gdy chwyciła skrawek jego koszuli, jakby był ostatnią rzeczą, którą mogła chwycić przed ostatecznym upadkiem w przepaść.

Zostawanie sam na sam z Kaiem ją przerażało. Nie była na to przygotowana. Ani trochę.

– Wsiadaj do tego jebanego samochodu, Hol! – Podniósł głos tak, jakby za moment miał zacząć przeraźliwie wrzeszczeć.

Carmen wzdygnęła się na ten dźwięk. Widziała, że Kai coraz bardziej się irytuje, a to zwiastowało wszystko, co najgorsze. Odepchnął się od samochodu i zatrzymał tuż przed sztywno stojącym Holdenem, mierząc go lodowatym spojrzeniem.

– Masz kilka sekund, zanim komuś stanie się krzywda – dodał, po czym rozejrzał się dookoła. Jego spojrzenie spoczęło gdzieś za plecami Carmen. – Może padnie na tę słodką parkę. Mam dość takich widoków. – Przewrócił oczami i wydał z siebie dźwięk obrzydzenia, jakby za moment miał zwymiotować.

Holden nie mógł być pewny tego, że Kai blefuje, dlatego się wycofał.

Carmen spróbowała wykorzystać tę sytuację na swoją korzyść. Zrobiła wielki krok do przodu, próbując bez słowa wyminąć Kaia. Jak zawsze za bardzo wierzyła w swoje umiejętności skradania się. Szatyn szybko złapał jej nadgarstek i pociągnął tak, że znów stał przed nią.

– Nigdzie nie pójdziesz, Carmen – powiedział, a w jego głosie pojawiło się coś szorstkiego. Nie lubiła go takiego. Nie wiedziała, czego się po nim spodziewać, bo był najgorszą wersją siebie. Tą, która chciała ją zabić. – Nie, póki ze mną nie porozmawiasz.

– Czego ode mnie chcesz, Malachai? – westchnęła. Na nic innego nie było jej stać. Kai cały czas zaciskał palce na ręce dziewczyny tak mocno, jakby bał się, że Carmen mu ucieknie i już nigdy więcej jej nie zobaczy. Czują pieczenie skóry, ale starała się nie skrzywić.

– Wszystkiego.

Serce Carmen stanęło na moment lub dwa. Nie potrafiła się odezwać.

Schowwał drugą dłoń do kieszeni spodni. Jego oczy świeciły jak wschód słońca w piekle. Miał to spojrzenie, które sprawiało, że wszyscy chcieli przed nim uciekać. Ale nie ona. Zrobił krok do przodu, odbierając jej oddech. Zadarła głowę i wlepiła w niego spojrzenie nieodgadnionych oczu, które teraz były tak smutne, że Kai poczuł, jak coś ściska go za serce.

– Chciałem tylko przeprosić – powiedział. – Okropnie cię potraktowałem.

– Jesteś najgorszy – wtrąciła niepewnie.

– Ta – westchnął. – Powiedz mi coś, czego nie wiem.

– Jesteś najgorszy – powtórzyła. – A ja... czuję coś, czego nie powinnam – wydusiła na jednym wydechu. Kai otworzył usta, jakby się tego nie spodziewał. – To przez ciebie. To wszystko twoja wina!

*To zawsze jest moja wina, pomyślał.*

Nie spodziewał się, że to usłyszy, dlatego nie wiedział, jak powinien zareagować. Był tak zaskoczony, że poluźnił swój uścisk. Carmen go wyminęła. Nie odeszła jednak zbyt daleko. Czują jego palące spojrzenie na swoich plecach, aż rozgrzało ją od środka.

Ból w jego płucach był nie do zniesienia. Pragnął powiedzieć jej wiele rzeczy, ale miał wrażenie, że ktoś przykłada mu nóż do gardła. Chciał wyznać, że na jej najmniejszy gest był w stanie zliczyć wszystkie chmury na niebie albo zabić; że była piękna, odważna i lepsza od wszystkiego, na co zasługiwał. Że był skrzywiony, pokręcony i nieposłuszny, ale nie tak bardzo popsuty, by nie być dla niej odpowiednim mężczyzną.

Prawie to powiedział. Całe jego życie mogłoby się zmienić, gdyby to zrobił. Ale ostatecznie żadne z tych myśli nie opuściły ust.

– Nigdy nie bawiłem się w uczucia. Nie wiem jak.

Złamał się.

Jego głos. Jego wzrok. Jego wyraz twarzy.

Po prostu się złamał.

W jej serce uderzyło trzęsienie ziemi, rozrywając je na pół. Carmen nie mogła złapać tchu, gdy ponownie odwracała się w jego stronę. Miał zaczerwienione i zaskakująco niebieskie oczy, które lśniły powściągliwymi emocjami. Twarz Kaia była obrazem ogromnego bólu. Ledwo wysilił się na uśmiech, ukazując dołeczki w policzkach.

Niewątpliwie był najpiękniejszą osobą, jaką widziała. Nawet z posiniaczoną twarzą.

Ale wolałaby go nigdy nie spotkać, ponieważ coś w jej sercu się rozpadało, gdy na niego patrzyła. Czują strach, który smakował jak panika, lęk i desperacja. Nie chciała widzieć go w ten sposób. Nigdy nie zakładała, że zacznie traktować go inaczej niż potwora. To było niewłaściwe. Zbyt szybko przesuwała się w jego kierunku i nie mogła znaleźć drogi powrotnej. Pojawiła się w niej dziwna, przerażająca wiara w to, kim naprawdę był. Widziała w nim chłopaka, który kochał swojego psa. Chłopaka, któremu zale-

żało na rodzinie. Chłopaka ze skomplikowaną przeszłością. Chciała go zrozumieć. Rozgryźć. Pragnęła wierzyć, że był kimś więcej niż bezdusznym draniem.

Milczała. Dla Malachaia to też była odpowiedź.

– Jestem dla ciebie tylko tragedią, prawda? – spytał słabym głosem. – Jestem czarną owcą. Wadliwym bratem, którego nikt nie chce. Nawet ty... – kontynuował, jednocześnie stawiając kroki w jej stronę. – Nawet ty, chociaż jesteś tak samo popsuta – przerwał, gdy zorientował się, że Carmen na niego nie patrzy. – Hej, spójrz na mnie! – krzyknął, po czym szarpnął ją za rękę. Zbyt mocno. Uniosła głowę i spojrzała na niego zaczerwienionymi, zaszklonymi oczu. Brakowało kilku słów, by po prostu się rozpląkała.

Cofnął się. Również w sobie.

Jakaś szalona, zdezorientowana część mózgu Carmen naprawdę chciała z nim zostać i wysłuchać, co miał jej jeszcze do powiedzenia. Chyba naprawdę zwariowała. Ale nadal się nie ruszyła.

– Przepraszam – szepnęła. Kai miał wrażenie, że ktoś wrzucił mu granat do serca. Ostatni raz czuł się tak, gdy zobaczył martwe ciała rodziców. Potem całkowicie się odciął. I dopóki jej nie poznał, trzymał swoje uczucia w klatce. Ale wtedy wydostały się na zewnątrz i zaczęły dociskać go do dna. Musiał się ich pozbyć.

– Co... – sapnął, jakby brakowało mu tchu. Kai mrugał szybko, a jego głos był delikatny i nierówny. – Co to w ogóle znaczy?

Odsunęła się i na niego spojrzała, chociaż sprawiało jej to ogromny ból. Miał pusty wyraz twarzy, puste oczy i pusty głos. Zupełnie tak, jakby był domem, z którego wszyscy lokatorzy postanowili się wyprowadzić na zawsze.

– Próbowалам. Naprawdę próbowałam – wyszeptała. – Ale nasza relacja jest toksyczna, nie widzisz? Byłeś dla mnie okropny. Chciałeś mnie zabić. Dwa razy! I pobiłeś mojego brata. Znowu. A ja i tak próbuję cię usprawiedliwić! Nie mogę się ciebie dłużej trzymać, jeśli chcę pokochać siebie.

Patrzył na nią, jakby jednocześnie był głuchy i niewidomy.

– Nie – mruknął jedno złamane słowo. Ledwo brzmiało to jak dźwięk. Pokręcił głową i odwrócił od niej wzrok. Ściągnął czapkę i zacisnął dłoń na włosach. Carmen przestraszyła się tego, co działo się w jego oczach. Widziała w nich piekło, płonące dusze i spalone nadzieje. – Nie odejdziesz. Nie zostawisz mnie, bo jeszcze z tobą nie skończyłem.

Cała łagodność, jaką w sobie miał, zniknęła. Został tylko wielki, zły i szczery Kai. Oddychał tak gwałtownie, że Carmen nie mogła oderwać spojrzenia od jego klatki piersiowej z obawy przed tym, że za moment Kai straci dech. Założył z powrotem czapkę i schował dłonie do kieszeni. Wyprostował się i zacisnął szczękę. Już na nią nie patrzył, bo jej widok sprawiał mu ból i tym razem nie potrafił zamienić go w siłę.

– Nie mogę przy tobie zostać, Kai – szepnęła. – Niszczysz mnie.

Malachai potrząsnął głową, jakby próbował wyprzeć te słowa. Było w tym coś szalonego. Kiedy podniósł spojrzenie, wyglądał jak swoja najgorsza wersja. Musiał znów się nią stać, by zagłuszyć cierpienie, jakie na nowo w nim zakwitło, niczym pierwsze kwiaty po zimie. I nagle się roześmiał. Bawiło go to, odczuwał też żal, bezradność i zażenowanie.

– Och, kochanie – szepnął ze współczuciem. – Byłaś zrujnowana na długo przed tym, jak pojawiłem się w twoim życiu.

Zrobił duży krok do przodu, odbierając jej resztki przestrzeni osobistej. Bez ostrzeżenia złapał mocno podbródek Carmen, dzięki czemu zmusił ją, by niepewnie na niego zerknęła. Miała łzy w oczach. Połyskiwały jak drobinki słońca. Nawet go to nie ruszyło.

– Lubisz władzę i siłę. Lubisz ranić ludzi i jesteś w tym całkiem niezła. Przyznaj, Carmen – mruknął do jej ucha, gdy się do niej schylił, po czym odgarnął rude włosy z ramienia na plecy. Ciepły oddech mężczyzny powirował wzdłuż jej szyi i po prostu się po niej rozsypał, już na zawsze wszczepiając się w delikatną skórę. – Podobało ci się bycie przy mnie.

– Daj mi wreszcie spokój – warknęła. Zaczęła się nieudolnie szarpać, aż w końcu, po wielu próbach, znalazła w sobie wystarczająco siły, aby się od niego odsunąć. A może po prostu sam na to pozwolił. Odwróciła się z zamiarem oddalenia się w jak najszybszym tempie, bo bliskość Malachaia na nowo sprawiała, że nie była w stanie oddychać, jakby trzymał jej oddech na uwięzi.

– Nic nie czułem – krzyknął za nią.

Na te słowa przystanęła w pół kroku, ale nie miała odwagi się odwrócić i spojrzeć mu w oczy, w których właśnie za karę spalał jej duszę. Wiedziała, że jeśli to zrobi, to cała silna wola zniknie. Przejechała dłonią po twarzy, zgarniając z niej łzy, które przestała kontrolować.

– Nigdy. Nic. Nie. Czułem – powtórzył, wyraźnie akcentując każde słowo. – Och, myślałaś, że to

było prawdziwe? To tylko gra. Chciałem cię złamać. Pokazać, że jesteś w stanie zrobić rzeczy, za które spłoniesz – kontynuował na jednym wydechu.

Carmen nie poruszyła nawet palcem. Była sparaliżowana słowami, które uderzały w nią jak pociski. Z tym wyjątkiem, że one trafiały prosto w serce. Chciała, aby to okazało się tylko okropnym snem. Uszczypnęła się w rękę, ale wcale nie obudziła się z krzykiem. Wciąż stała w tym samym miejscu, czując za sobą mroczną aurę bijącą od Malachaia. Drgnęła, gdy uderzył w nią przepelniony rozbawieniem głos chłopaka.

– Witaj w piekle, Karmelku! – krzyknął z dumą.

Dopiero wtedy odważyła się na niego spojrzeć. Ostatkiem sił wydusiła:

– Gratuluję. Zrobiłeś to. Złamałeś mnie. A teraz daj mi spokój.

W ciszy obserwował, jak powoli znikawała mu z oczu. Nie mógł się ruszyć, jakby jego ciało nie należało już do niego. Czuł się tak, jakby wszystkie kości, mięśnie i myśli się topiły. Zacisnął palce na nożu, który miał w kieszeni. Robił to tak długo, aż wreszcie poczuł ogromny ból, który niemal zwałił go z nóg. Zgiął się w pół i jęknął przeciągle. Ból całkowicie wypełnił jego organizm, skutecznie wypłukując smutek. Została tylko złość, z którą musiał coś zrobić.

Holden wyskoczył z samochodu i znalazł się przy nim w mgnieniu oka.

– Chodź. Zabiorę cię do domu – powiedział, widząc, w jakim stanie jest Kai, jak zwykle łagodnym tonem, który doprowadzał Kaia do jeszcze większego szaleństwa. Holden zacisnął dłoń na materiale kurtki brata i spróbował pociągnąć go w stronę samochodu. Malachai jednak zaparł się z taką siłą, że nie poruszył się żaden mięsień w jego ciele. Po prostu stał i pustym wzrokiem patrzył przed siebie. – Proszę cię, Kai.

Dopiero wtedy przekręcił głowę i na niego spojrział. Zarechotał głośno, ale był to rodzaj smutnego śmiechu, który kończył się w tej samej sekundzie, w której się zaczął.

Malachai był granatem, który Carmen nieumyślnie odbezpieczyła.

– Nigdzie z tobą nie idę – warknął i zrobił krok w tył. Zerkał na Holdena z nieodgadnionym bólem, jakby wszystko było jego winą. – Wygrałeś. Wybrała ciebie.

– Co ty wygadujesz? – oburzył się Holden. Wcale mu na tym nie zależało. Wolał cierpieć, oglądając ich razem, niż kolejny raz próbować podnieść Kaia z dna. – Nie wybrała żadnego z nas. Po prostu zrobiła to, co dla niej najlepsze. Odeszła.

Malachai znów wybuchnął głośnym, niemal histerycznym śmiechem. Pokręcił głową i wreszcie wyciągnął dłoń z kieszeni. Tą samą, którą wcześniej zaciskał na ostrzu noża. Krew wciąż wypływała z paskudnej rany, powoli zastygając między palcami. Holden przeraził się, widząc ten widok. Złapał brata za rękę, dokładnie przyglądając się rozcięciu, ale Kai szybko się wyszarpnął i z całej siły go od siebie odepchnął.

– Wybrała – odparł, oblizując usta. – Po prostu jak zwykle to nie byłem ja.

Emocje były dla niego nadzwyczaj trudne, ponieważ tym razem były prawdziwe.

Czuł się tak, jakby ktoś nagle puścił balonik, który był jego życiem. Uczucia zaćmiły jego umysł. Nie kontrolował swoich myśli, a tym bardziej odruchów. Miał wrażenie, że ktoś zawładnął jego głową, by nim kierować. Nie był sobą. Serce Kaia przypominało ogromny port, w którym tonęły wszystkie smutki. Powoli zdierał z siebie kolejne warstwy odczuć, ale zaczął się obawiać, że gdy tylko dojdzie do końca, nic tam nie będzie. Tylko czarna dziura.

Wpadł na korytarz z głośnym hukiem. Obecni tam ludzie obrzucili go zde gustowanym spojrzeniem, ale wcale się tym nie przejął. Ruszył do recepcji, gdzie za ladą siedziała urocza blondynka. Posłał jej przyjazny uśmiech, który od razu odwzajemniła. Wyraz jej twarzy jednak diametralnie się zmienił, gdy położył przed nią zakrwawioną dłoń. Nie zrobił tego specjalnie. Po prostu o tym zapomniał, bo zdążył przyzwyczaić się do piekącego bólu.

– Wszystko w porządku? – spytała drżącym głosem. – Potrzebujesz pomocy?

Pokręcił głową.

– Muszę pogadać z tą babką... – urwał, zastanawiając się, co właściwie powinien powiedzieć. Nawet nie znał nazwiska tej kobiety. Podrapał się po głowie. – Przed chwilą była u niej dziewczyna. Rude włosy, niezbyt wysoka – dodał, pokazując ręką, że osoba, o której mówi, sięgała mu mniej więcej do ramion. Blondynka wydeła usta, ślizgając się spojrzeniem po jego sylwetce.

– Chodzi ci o doktor Lloyd? – spytała, przeżuwając leniwie gumę.

– Nie wiem. – Wzruszył ramionami. – Chyba.

– Mogę zapisać cię na najbliższą środę. Pasuje?

Malachai roześmiał się głośno i pokręcił głową. W jego policzkach pojawiły się dołeczki. Przez chwilę wyglądał uroczo, ale gdy na nią spojrzał, jego oczy płonęły nie tylko czystym rozbawieniem, ale również gniewem.

– Nie zrozumieliśmy się, złotko – mruknął, pochylając się w stronę dziewczyny. Przełknęła ślinę, kiedy bez skrępowania zajrzał w jej oczy, przejeżdżając językiem po ustach. – Muszę porozmawiać z nią TERAZ. Który pokój?

– Nie możesz tam wejść bez umówionej wizyty.

– Który pokój? – powtórzył niecierpliwie przez zaciśnięte zęby. Wyciągnął z kieszeni nóż i położył go na blacie. Był coraz bardziej roztargniony, zły i zirytowany. To łączyło się w wybuchową mieszankę, która bez problemu mogłaby zmieścić każdą osobę, która stanęłaby mu na drodze. – Powiedz, to nie będę musiał tykać tej ładnej buźki – dodał z szerokim uśmiechem na ustach i mrugnął do niej okiem. – Byłoby szkoda, gdyby pojawiła się na niej paskudna blizna.

Nie zamierzał się nad nią znęcać. Liczył na to, że jego mała groźba zadziała.

– Dziewięć – szepnęła i spuściła wzrok. Nie miała odwagi dłużej na niego patrzeć. – Gabinet numer dziewięć.

Posłał jej kolejny uśmiech, uderzył palcami w blat, po czym ruszył w stronę odpowiedniego pokoju. Wszedł do środka bez ogródek. Zobaczył tam grubszego mężczyznę i kobietę w średnim wieku, która słuchała go z zainteresowaniem, gdy on opowiadał o swoich łóżkowych problemach. Kai skrzywił się. Ledwie parę sekund później za jego plecami stanęła blondynka z recepcji.

– Przepraszam. Nie chciał czekać...

Dopiero wtedy pozostała dwójka na niego spojrzała. Kobieta ściągnęła brwi, a mężczyzna nagle zamilkł. Na jego twarzy pojawiło się zakłopotanie. Najwyraźniej nie spodobało mu się to, że ktoś podsłuchał jego osobistą, trochę krępującą rozmowę.

– Wypierdalaj – powiedział Kai ze spokojem w głosie. Mężczyzna nawet nie drgnął. Przeniósł spojrzenie na swoją terapeutkę, która zaalarmowana podniosła się do pionu. – Głuchy jesteś? Wypierdalaj! – ponowił rozkaz, czując rozsadzającą go od środka frustrację oraz złość. Nieznajomy zamrugnął energicznie, jakby nie rozumiał żadnego słowa. – Bo odetnę ci język i już więcej nie opowiesz nikomu, jak kiepski jesteś w łóżku – westchnął, wymachując nożem, jakby był zwykłą zabawką.

Nieznajomy wreszcie stanął na równe nogi. Zerknął przelotnie na terapeutkę, jakby czekał na jej



pozwolenie. Ruszył się z miejsca, kiedy dyskretnie skinęła głową. Nim jednak wyszedł, zatrzymał się przy drzwiach i wlepił ślepią w sylwetkę młodego chłopaka.

– Zapłaciłem za całą sesję. Zostało mi czterdzieści minut – powiedział.

Trochę zaimponował mu odwagą. Malachai pokręcił z uznaniem głową i głośno się zaśmiał. Sięgnął do kieszeni po portfel. Wyciągnął z nich banknot o jakimś większym nominale. Podał go mężczyźnie.

– Bierz te jebane pieniądze i zjeżdżaj.

Przez moment obserwował, jak nieznajomy znika za drzwiami i zamyka je za sobą. Przeniósł wzrok na terapeutkę. Spróbował się uśmiechnąć, ale zamiast tego jego usta wygięły się w nieprzyjemnym grymasie. Zrobił krok do przodu.

– Wiesz, kim jestem? – spytał. Amanda Lloyd wydawała się być opanowana. Nie przerażał jej, choć w jego zachowaniu było coś niepokojącego. Pokręciła głową. – Jestem Kai.

Znała to imię. Słyszała je parę razy, ale nie mogła dać tego po sobie poznać.

– Czy... Czy Carmen coś o mnie mówiła?

Kobieta powoli usiadła na swoim poprzednim miejscu i gestem ręki pokazała, by Kai uczynił to samo. Nie zrobił tego. Wolał niespokojnie krążyć po gabinecie. Na moment ściągnął czapkę, wplótł palce w kosmyki włosów i zaczął ciągnąć ich końcówki, jakby ten delikatny, niemal nieodczuwalny ból miał przynieść mu ulgę.

– Niestety nie mogę mówić o tym, co ustaliłam z pacjentką podczas sesji – odpowiedziała zgodnie z prawdą Amanda. Zarzuciła nogę na nogę i wzięła do rąk notes oraz długopis. Z zafascynowaniem przyglądała się młodemu chłopakowi, który wyglądał tak, jakby za moment miał się przed nią rozpaść.

– Muszę wiedzieć, co mówiła – wycedził przez zaciśnięte zęby. Zatrzymał się w miejscu i zaciśnął dłoń na oparciu fotela, pozostawiając na nim krwawy ślad. Terapeutka sięgnęła po chusteczkę. Chciała mu ją podać, ale Kai postanowił wytrzeć brudną rękę w swoje spodnie.

– Może w zamian porozmawiamy o tobie, Kai? – spytała niepewnie. Szatyn spojrzał na nią i zaczął szybciej mrugać, jakby nagle dostał tiku nerwowego. – W czym tkwi problem?

Malachai zaśmiał się pod nosem, ale bardziej przypominało to prychnięcie.

– We mnie – mruknął, patrząc w ścianę. – Zawsze we mnie.

Sam nie wiedział, dlaczego to powiedział i czemu wdał się w rozmowę z kimś obcym. Nie przyszedł tam rozmawiać o sobie, a jednak jakimś cudem nie mógł się przymknąć, jakby kobieta rzuciła czar rozplątujący język. Zaciśnął usta do środka, by nie palnąć kolejnych głupot. Był zły, więc wyrzucał z siebie rzeczy, którymi nigdy wcześniej się nie przejmował.

– Dlaczego tak czujesz?

*Nie czuję. Po prostu to wiem, przeszło mu przez myśl. Wzruszył ramionami.*

– Odpycham wszystkich, na których mi zależy, bo jeśli... jeśli pozwolę im się zbliżyć, skończą gorzej ode mnie – wydusił najgłębsze obawy tak cicho i szybko, że przez moment nie zorientował się, że naprawdę wypowiedział je na głos.

Przeklął się w myślach.

– Kurwa! Przymknij się, Kai! – krzyknął do siebie, uderzając się kilka razy otwartą dłonią w bok twarzy, przez co czapka spadła się na podłogę. Jego ciemne włosy roztrzepały się dookoła głowy niczym mroczna aureola.

Amanda Lloyd patrzyła na niego tak, jakby za moment miała powiedzieć „Wszystko się ułoży”. Nienawidził tego litościwego spojrzenia. Nie zależało mu na uzyskaniu od niej fałszywych obietnic. Chciał, żeby powiedziała mu, że umrze, że słońce wybuchnie, że świat się kończy i nie będzie mógł z tym nic zrobić. Zacząłby krzyczeć, gdyby jeszcze raz usłyszał, że będzie dobrze.

– Jesteś beużyteczna – powiedział wreszcie, przerywając ciszę. – A ci kretyńki płacą za twoje beznadziejne porady.

Zaśmiał się i przewrócił oczami tak mocno, że jego oczy zdrząły. Skierował się do wyjścia w tej samej chwili, w której do pokoju wszedł ochroniarz. Kai kiwnął do niego głową z głupkowskim uśmiechem na ustach.

– Nie musisz mnie dotykać. Właśnie wychodzę.

Wyminął mężczyznę i zaczął szybko brnąć przed siebie. Na odchodne puścił oczko do blondynki z recepcji, która bacznie go obserwowała. Wyszedł z korytarza na schody. Oparł się o ścianę i osunął się po niej na ziemię. Podsunął kolana niemal pod brodę, po czym zagryzł zęby na zaciśniętej pięści, by nie zacząć krzyczeć.

Coś ostatecznie się w nim stłukło. Ten cienki mur, który odgradzał go od cierpienia.

Starał się wziąć w garść. Znów być twardym i silnym. Ale zamiast tego zaczął płakać, naprawdę płakać, a płacz ten miał w sobie wszystkie powstrzymywane przez lata łzy. Szloch wzbierał w nim z samego brzucha. Płakał długo i niepowstrzymanie. Płakał i płakał, ponieważ pustka w nim miała w sobie więcej łez niż cokolwiek innego.

Był już tylko ludzkim wrakiem wypełnionym cierpieniem i bólem.

• • •

Musiał zacząć od nowa.

Unikać uczuć.

Nie radził sobie z nadmiarem emocji, które narosły w nim niczym wysokie góry osnute wiecznym lodem przesywającym serce. Absolutnie sobie nie radził. Dlatego robił wszystko, by ponownie zagłuszyć swoje człowieczeństwo i ukryć je pod grubą warstwą kurzu.

Zapiął rozpiętkę, a potem schylił się, by zgarnąć z podłogi wygniecioną koszulkę. Założył ją na siebie i zerknął w kierunku Sybil, która właśnie do niego zmierzała. Trzymała w dłoni kolejną butelkę whisky. Z każdym krokiem kołysała zmysłowo biodrami. Jej kruczoczarne loki opadały swobodnie na odkryte ramiona i podskakiwały delikatnie wraz z pierściami.

Tego dnia nadzwyczaj mu się podobała. Nie wiedział, czy spowodował to alkohol, czy fakt, że nie miał już kontaktu z Carmen. Bezwiednie oblizał usta, a potem szybkim ruchem przyciągnął dziewczynę z powrotem do siebie. Zadarł głowę, a ona pochyliła się nad nim, by sięgnąć jego ust. Nim udało jej się osiągnąć zamierzony cel, ktoś wszedł do środka.

Kai wychylił się w samą porę, by zobaczyć dwójkę młodych ludzi – dziewczynę w towarzystwie chłopaka. Kojarzył ich, bo często pojawiali się w klubie, nie tylko po to, by się zabawić, ale czasami wpadali też po narkotyki.

– Chodźcie, dzieciaki! – powiedział z entuzjazmem, jakby naprawdę ucieszył go widok gości. Ruchem ręki zachęcił, by podeszli bliżej. Odsunął Sybil na bok, bo chciał ich lepiej widzieć. Zarzucił nogę na nogę, a ręce rozłożył na oparciu kanapy. Rozsiadł się jak król na tronie. – Czego wasze zbłąkane duszyczki szukają u samego diabła?

Dziewczyna spuściła wzrok, gdy Kai zaczął świdrować ją gorącym spojrzeniem. Było w nim coś, co momentalnie peszyło. Przewrócił oczami i przeniósł spojrzenie na jej towarzysza. On też patrzył w podłogę, zataczając czubkiem buta kółeczka.

– Hej! – mruknął zirytowany Kai. – Potraficie mówić?

– Spokojnie – wtrąciła Sybil. Okrążyła skórzaną kanapę i stanęła za Malachaiem. Zaplotła ręce wokół szyi chłopaka, a potem pochyliła się i docisnęła swój policzek do jego. – W rzeczywistości wcale nie jest taki straszny – zażartowała, cicho się śmiejąc.

Kai posłał jej złowrogie spojrzenie. Odsunął się od niej, opierając łokcie na kolanach.

– No? – ponaglił. Zgarnął ze stołu butelkę whisky, odpięczętował ją i trochę upił. Poczł pieczenie w gardle, ale było ono przyjemne. Wypalało w nim wszystkie niepotrzebne uczucia. Miał nadzieję, że dzięki temu wreszcie znikną i nigdy więcej nie wrócą. – Zgaduję, że chcecie coś ugrać, ale im dłużej milczycie, tym bardziej się wkurwiam.

Patrzył wyczekująco na dwoje nastolatków. Chłopak drgnął niespokojnie i wreszcie uniósł wzrok. Pożałował tego w okamgnieniu, gdy zauważył, że Kai okręca w dłoni nóż, który później docisnął do skóry. Jak gdyby nigdy nic zaczął obracać nim dookoła, jakby to była tylko atrapa. Nawet na sekundę się nie skrzywił. Żaden mięsień na jego twarzy nie drgnął z bólu, choć ostrze nacięło skórę. Lekko się uśmiechał, przez co wyglądał tak, jakby czerpał z tego przyjemność.

– Bo... Ehm... Wiesz... – dukał chłopak, drapiąc się po głowie. – Obląłem egzaminy. Ojciec odciął mnie od kasy, więc...

– A muszę o tym słuchać, bo...? – westchnął Malachai. Oderwał wzrok od ulubionej zabawki i niechętnie zerknął na chłopaka. Dziewczyna, która stała obok, złapała go za rękę. – Och, jak słodko! – powiedział miłutkim głosem, natychmiast zapominając o poprzednim temacie. Wyszczrzył się, jakby ta wiadomość niezmiernie go ucieszyła. – Jesteście parą?

W odpowiedzi oboje zgodnie pokiwali głowami.

– Cóż, możecie się ze sobą pożegnać... – mówił dalej. Goście wymienili między sobą dziwne spojrzenia. – Jedno z was nie wyjdzie z tego cało – wytłumaczył dosadnie, jakby to było oczywiste. Wzruszył ramionami i podniósł się do pionu. – Tylko błagam, darujcie sobie macanki i długie pocałunki. To mnie brzydzi.

Milczeli. Odczekał prawie minutę, nim wrzasnął na całe gardło:

– Na kolana!

– I do pana! – Zaśmiała się Sybil z za jego pleców.

Uderzyła zalotnie Malachaia w pierś, a potem niemal skacząc, ruszyła do dwójki gości, którzy posłusznie klęknęli na sam dźwięk władczego tonu Kaia. Stała za chłopakiem i palcem odchyliła jego podbródek tak, że miała idealny widok na twarz. Wydęła usta, przyglądając się brązowym oczom, zaczerwienionym policzkom i blond loczkom.

– Tylko nie ruszaj buźki – zwróciła się do Kaia. – Jest ładniutki.

Malachai wywrócił oczami w reakcji na ten komentarz. Również do nich podszedł, a potem kucnął, by doskonale widzieć ich złężnione twarze. To sprawiało mu satysfakcję. Uniósł oczy ku górze i podparł brodę na dwóch palcach, zastanawiając się, co powinien z nimi zrobić. Trafili na niewłaściwy dzień. Może w innych okolicznościach dałby im nawet drugą szansę. Ale wtedy był wściekły i w dodatku zraniony.

– Oglądaliście *Igrzyska śmierci*? – spytał, udając zamyślonego. Nawet nie dał im czasu na odpowiedź. – Głupie pytanie. Na pewno tak. Każdy to oglądał. – Machnął ręką i cicho się zaśmiał. – Zabawimy się w coś podobnego, dobra? Tylko jedno z was przetrwa, a wygra ten, kto... – zrobił pauzę, ponieważ chciał nadać sytuacji jeszcze większej dramaturgii – ...złapie pierwszy za nóż!

Po tych słowach rzucił swój nóż w ich kierunku. Po pomieszczeniu rozniósł się dźwięk metalu zderzającego się z parkietem. Odsunął się nieco, obserwując reakcję pary. Byli przerażeni i wydawało się, że w ogóle go nie zrozumieli, bo nawet nie drgnęli.

– No, dalej! – powiedział podniesionym tonem. – Miłość nie istnieje. Jestem pewny, że ktoś z was chciałby uratować swoją dupę. Ostatnia szansa! – krzyknął, po czym wstał i stanął do nich plecami. Wyrzucił ręce w powietrze, a potem klasnął w dłoń. – Raz... Dwa... Trzy!

Diabeł patrzy.

Zerknął na nich przez ramię i momentalnie się wyszczerzył. Dziewczyna trzymała nóż w drżących dłoniach, a chłopak patrzył na nią z szeroko otwartymi oczami. Szczerze mówiąc, Kai się tego nie spodziewał. Prędzej stawiał na to, że blondas wybierze siebie, bo wyglądał na egoistę. Mile go zaskoczyli.

– Widzisz? – rzucił do chłopaka, patrząc mu prosto w oczy. Później odebrał swoją zabawkę od jego towarzyski. – Nigdy nie ufaj kobietom.

Kiwnął głową do Sybil. Zrozumiała przekaz. Złapała dziewczynę pod rękę, zmusiła do wstania i zaprowadziła na kanapę. Sam natomiast szarpnął blondyna za kaptur bluzy i podniósł go do pionu. Przyglądał mu się z przechyloną głową, jakby intensywnie nad czymś rozmyślał. I nagle doznał olśnienia – chwycił butelkę alkoholu, tylko po to, by całą zawartość wylać na głowę chłopaka. Zaczął grzebać w kieszeni, aż wreszcie znalazł zapalniczkę. Odpalił ją.

– Masz dobre serce – stwierdził, błędząc wzrokiem po przerażonej twarzy chłopaka. Machnął mu płomieniem przed oczami, które uważnie wodziły za iskrami. Kai pochylił się lekko, by szepnąć do niego zachrypłym, niskim tonem: – Ale dobrzy ludzie zawsze kończą źle.

Chłopak stłumił w sobie pisk. Przełknął powoli ślinę.

– Skarbie, co powiesz na podpalenie twojego chłoptasia? – rzucił Malachai w kierunku nieznajomej dziewczyny. Zesztywniała, gdy zobaczyła ogień. Nie potrafiła się ruszyć. Podobnie jak Sybil. – Halo! – krzyknął zirytowany, machając w jej kierunku. – Milczenie też jest odpowiedzią.

Przystawił zapalniczkę do ubrania chłopaka, które od razu zajęło się ogniem. Wokół rozległ się krzyk, wywołujący ciarki na ciele. Pomarańczowe jęzory powoli docierały do ciała blondyna. Kai niemal słyszał skwierczącą skórę i czuł zapach spalenizny. Ale to go nudziło, Dlatego z impetem kopnął chłopaka w brzuch. Nieznajomy potknął się o własne nogi i padł na ziemię. Wciąż wierzgał rękoma, starając się ugasić pożar, który rozprzestrzenił się nie tylko po jego ubraniach, ale również ciele.

– Już ci pomagam – odezwał się Kai i kolejny raz wbił podeszwę buta w klatkę piersiową chłopaka. Kopał go kilka razy, jakby był tylko petem do zgaszenia. Po parunastu uderzeniach ogień osłabł. Chłopak przekręcił się na bok, plując krwią.

– To twoja wina! – krzyknął do swojej dziewczyny. – Jak... jak mogłaś?

Malachai roześmiał się głośno, gdy zauważył, że nieznajoma z całej siły dociska dłoń do uszu. Podszedł do niej i szarpnął ją za ramię, zmuszając do wstania. Nie patrzyła na niego. Za bardzo bała się tego zimnego spojrzenia. W jej oczach pojawiły się pierwsze łzy, przez co niedbale pociągała nosem.

– Właśnie, skarbie, jak mogłaś? – zastanawiał się Malachai.

Z ust dziewczyny wydostał się drżący szloch.

– Przyjrzyj się! – ryknął Kai, sprawiając, że drgnęła. Nie posłuchała go, co tylko go podburzyło. Nienawidził być ignorowany. Pociągnął ją za sobą i popchnął z taką siłą, że wpadła na lepką, poparzoną skórę swojego chłopaka, niemal się do niej przyklejając. – Sama tego chciałaś, skarbie.

Szatyn ruszył w ich kierunku niczym opancerzony czołg.

Sybil doskoczyła do niego, próbując mu przeszkodzić.

Wiedziała, że to już zbyt wiele i jeśli go nie powstrzyma, będzie mieć na sumieniu kolejną niewinną duszę, a trochę ich już było, odkąd poznała Malachaię Yordana.

– Zostaw – powiedziała łagodnie. Przeraziła się tego, co zobaczyła w jego oczach, gdy na nią spojrział. To zdecydowanie nie była osoba, na której jej zależało, która dbała o nią przez lata i nie pozwalała, by pakowała się w kłopoty. Wtedy był kimś zupełnie obcym. Zaciśnął palce na nadgarstku brunetki, ale szybko cofnął rękę, kiedy zobaczył w brązowych tęczęwkach strach.

– Wybrali zły dzień na wkurwianie mnie – odpowiedział, wymijając ją. Przystanął jednak przy jej boku, musnął przelotnie w policzek, mrużąc przy tym: – Dopiero się rozkręcę. Dołączysz?

Wyciągnął do niej dłoń, obdarowując ją uśmiechem, do którego miała słabość, odkąd zobaczyła go pierwszy raz. Nawet się nie wahała. Ścisnęła ją, czując, że to właśnie było jej miejsce. Przy nim. Wiedziała, że to skończy się w najgorszy z możliwych sposobów i nic nie mogła na to poradzić, ponieważ bez względu na to, jak bardzo ją przerażał, wciąż kurczowo się go trzymała. Pozwalała na to, by próbował rządzić światem, bo chciała być jego złą królową.

• • •

To było jak sceneria z koszmaru.

Holden był przerażony tym, co zobaczył po wejściu do klubu. Miał wrażenie, że utknął w tafli lodu, która powoli się roztapiała, przez co zapadał się prosto do piekła. To był widok, który najprawdopodobniej zapadnie w jego pamięci tak głęboko, jak widok martwych rodziców. Zamrugał szybko z nadzieją, że to okaże się tylko nieśmiesznym żartem. Muzyka jednak nadal dudniła mu w uszach, mieszając się z głośnym śmiechem i dziewczęcym chichotem, a obraz przed nim wcale się nie rozmył.

Malachai od zawsze był schowany w cieniu, a Holden nieudolnie próbował wyciągnąć go na słońce. Ale wtedy Kai całkowicie zatracił się w ciemności. Złał się z nią i stał się jej stałym elementem. Już na zawsze. Stracił nad sobą kontrolę. To działo się zawsze, gdy wchodził w tryb bycia nieustraszonego i zranionego.

Holden obawiał się, że tym razem droga powrotna spłonęła razem z duszą jego brata.

Zrobił krok do przodu, gdy za plecami poczuł obecność Cartera, który tylko rozchylił usta zaskoczony. Kai nawet nie zauważył, że weszli do środka. Nadal wirował na parkiecie z zamkniętymi powiekami, głową odchyloną do tyłu i do połowy opróżnioną butelką whisky w ręce. Obok niego kręciła się uradowana Sybil.

Ale to nie było najgorsze.

W pomieszczeniu znajdowały się jeszcze dwie osoby. Dziewczyna i chłopak. Oboje przywiązani grubymi sznurami do drewnianych krzeseł. Ich głowy były opuszczone. Na pierwszy rzut oka wyglądali na nieprzytomnych. Holden zrobił kolejny krok w przód, dzięki czemu zobaczył rozcięcie na kolanie nieznanego chłopaka oraz to, że ma podpalone ubranie oraz paskudne rany po poparzeniu na twarzy.

W tym momencie granica jego opanowania i cierpliwości została przekroczona.

– Kai! – wrzasnął, aż zabolowało go gardło. Mimo tego ryku nie udało mu się zagłuszyć wyjącej muzyki. Podszedł do brata i szarpnął go za ramię, powodując, że butelka, którą szatyn trzymał w dłoniach, upadła na podłogę i rozbiła się na kawałki. Kai otworzył gwałtownie oczy i spojrział na Holdena zamglonym wzrokiem. – Pogięło cię? Co ty wyprawiasz?

– *It's a party in the USA!* – zaśpiewał Kai, śmiejąc się kretyńsko pod nosem. Rozłożył ręce, jakby próbował objąć nimi cały lokal. Holden musiał się wysilić, by go zrozumieć, bo po alkoholu plątał mu się język. – Wszyscy jesteście mile widziani. Nie krępujcie się. *Mi casa es su casa!*

Podszedł do Cartera i zalotnie uderzył go w bark, jednak włożył w to tyle siły, że ten lekko zatoczył się w tył. Carter posłał Kaiowi złowrogie spojrzenie i odruchowo złapał przyjaciela za ramię. Pokręcił głową, wyrażając w ten sposób to, że nie spodobało mu się jego zachowanie. Kai spuścił głowę, by spojrzeć na dłoń Cartera.

– Zabierz łapkę, skarbeczku. Nie jestem w nastroju na czułości – warknął Malachai przez zaciśnięte zęby. Spojrział wyczekująco na przyjaciela, ale ten nie zamierzał się poddać. Przez moment mierzyli się wzrokiem, jakby przeprowadzali potajemną rozmowę bez słów. – Zabierz. Łapę. Carter.

– To ty stoisz mi na drodze.

Atmosfera zrobiła się gęsta. Carter potrząsnął głową, czym przekroczył ostatnią granicę oddzielającą Kaię od wpadnięcia w furję. Szatyn szarpnął ramieniem, a gdy to nie podziałało, zaciśnął dłoń na bluzie przyjaciela, przyciągając go bliżej siebie. Przestrzeń między nimi prawie nie istniała. Malachai dyszał ciężko, coraz bardziej się nakręcając, kiedy obserwował niewzruszonego Cartera z lekceważącym

wyrazem twarzy.

– No i co, skarbeczku? Uderzysz mnie? – rzucił zaczepnie Carter. Prowokował go przez cały czas, ponieważ wiedział, że nic takiego się nie stanie.

Malachai toczył ze sobą walkę. Buzująca w nim złość podpowiadała, by to zrobić, ale jednocześnie coś go przed tym powstrzymywało. Nie potrafił go uderzyć. Wycofał się i wygładził dłonią materiał jego ubrania. Momentalnie zmienił się ze złego wilka w owieczkę. Wysilił się nawet na miły uśmiech.

– Oczywiście, że nie.

Jeszcze przez chwilę przyglądał się przyjacielowi, a potem go wyminął. Zabrał zza baru nową butelkę whisky. Otworzył ją i wziął tak wielkiego łyka, że część trunku pociekła mu po brodzie, mocząc granatową koszulkę. Przetarł usta dłonią. Wyszczерzył się, ukazując rząd zębów.

– To chyba koniec imprezy – jęknęła smutno Sybil, podchodząc do Kaia. – Przyszli Pan Nudziarz i Pan Odpowiedzialność.

– I kto to mówi? – parsknął Carter. To po prostu wyrwało mu się z ust. Spojrzał niepochlebnie na Sybil. – Pani Dam Dupy?

– Możecie nie psuć mi zabawy? – prychnął pod nosem Kai. Pochylił się nad Sybil, lokując głowę w zagłębieniu jej szyi. Cały czas patrzył jednak na Cartera. Ugryzł brunetkę w ramię, a potem mrugnął do brata prawym okiem i uśmiechnął się półgębkiem.

– Zabierz ją stąd – odezwał się wreszcie Holden, gdy odzyskał panowanie nad głosem i tym samym przerwał bezsensowną wymianę zdań między pozostałą trójką. Zwrócił się do Cartera, który wlepił w niego zdezorientowane spojrzenie i stał w ciszy, myśląc o tym, że właśnie tak wyglądałoby piekło Holdena. Skinął posłusznie głową, złapał Sybil za ramię i siłą wyciągnął ją na zewnątrz, choć mamrotała coś pod nosem.

Kai prychnął z niezadowolenia.

– Zawsze wszystko psujesz – prychnął Kai. Popchnął Holdena, który zagradzał mu drogę. Blondyn jednak nie zamierzał odpuścić. Chwycił brata za ramię i zmierzył go spojrzeniem, w którym trzaskały potężne pioruny. Kai również na niego patrzył. Lekceważąco. Niebieskie oczy kontra niebieskie oczy.

– Zawsze wszystko spierdolisz.

Malachai uśmiechnął się, jakby Holden sprawił mu niecodzienny komplement.

– Tobie też mam wytłumaczyć, że masz mnie nie dotykać?

Atmosfera między braćmi stała się tak ciężka, że mogłaby przygnieść ich do ziemi. Trwali w milczeniu przez kilka dłużących się minut. Ciszę przerywały tylko ich nierówne oddechy. Kai wyprostował się i wypiął klatkę piersiową, by wyglądać na wyższego, a przy okazji również szerszego. Zadarł też podbródek, patrząc bratu prosto w oczy. Nie wytrzymał zbyt długo z poważną miną. Wreszcie wybuchnął głośnym śmiechem.

– Co tu się stało? – spytał Holden, ignorując dziecinne zachowanie Kaia. Przesunął spojrzeniem dookoła i zatrzymał je na dziewczynie, która nieznacznie się poruszyła.

– To zabawna historia. – Kai pokręcił głową z rozbawieniem. Przyłożył butelkę do ust, by upić kolejnego łyka. Tym razem jego organizm nie przyjął zbyt dobrze alkoholu. Skrzywił się i zamknął oczy. Przez chwilę walczył sam ze sobą, aby nie zwymiotować na podłogę, bo cała zawartość żołądka podeszła mu do gardła.

– Skończyłeś już pić – wymamrotał Holden, po czym zabrał mu butelkę z dłoni. Kai przewrócił oczami, ale nie zamierzał się o to kłócić. I tak wypił wystarczająco, by odciąć swoją uczuciową część. Tylko na tym mu zależało. Chciał przestać czuć. Teraz był tylko pustym naczyniem.

– Dobra, słuchaj – powiedział z podekscytowaniem, machając zbywająco ręką na znak, że nie przejął się nadopiekuńczymi poczynaniami brata. Odwrócił się plecami do Holdena i ruszył do swoich ofiar. Kucnął przed dziewczyną i kciukiem uniósł jej głowę. Patrzył na nią przez chwilę, jakby próbował odgadnąć, czy wciąż jest nieprzytomna. W końcu się poddał i wstał. – To dłużnicy Ivana, sami do mnie przyszli.

Stanął za ich plecami i ulokował dłoń na ramieniu chłopaka, stopniowo zaciskając na nim palce, jakby chciał wbić w niego ostre szpony.

– Zakład, że ich związek tego nie przetrwa? – rzucił ze smutną miną. Przeniósł beznamiętny wzrok na Holdena i uśmiechnął się rozmarzony. – Każda piękna historia zawsze kończy się tak samo. Śmiercią.

– Co w tym zabawnego? – burknął Holden.

Obrzucił brata zde gustowanym spojrzeniem. Zwyczajnie miał dość.

– Zemdlał, jak próbowałem wyciąć swoje imię na jego nodze – powiedział Kai jakby od niechce-

nia i trącił chłopaka w głowę. – Niestety dotarłem tylko do „K” – westchnął ciężko, przewracając oczami.

Holden spojrział na nieznanego chłopaka, zatrzymując wzrok na rozcięciu w okolicy kolana, z którego wciąż sączyła się krew. Rzeczywiście miała kształt wspomnianej litery.

– Wiem. Żenada. A w dodatku ona zemdląła na widok krwi. – Roześmiał się, jakby właśnie skończył opowiadać żart, głośno, na całe gardło. – Czekaj. A może zemdląła, gdy go podpaliłem? Nie pamiętam. Wszystko mi się już miesza.

Holden spiorunował go wzrokiem. Czasami całkowicie nie rozumiał swojego brata. W tamtej chwili miał wrażenie, że Kai po prostu zwariował. Jego postępowanie i zmienne nastroje zawsze były niepokojące, ale teraz wyszły sporo poza skalę. Zachowywał się tak, jakby sam szatan zstąpił na ziemię tylko po to, by przybrać jego postać.

– Czemu się nie śmiejesz, Hol? – spytał Kai, gdy na moment przestał rechotać.

Holden go zignorował. Zamiast odpowiedzieć, podszedł do pary i zaczął poluzniać sznury. Kai szarpnął brata za rękę, starając się mu to utrudnić. Blondyn był nieustępliwy, więc Malachai ze złości kopnął jedno z krzeseł, które wraz z nieprzytomnym chłopakiem przewróciło się z hukiem na podłogę. Nieznajomy otworzył gwałtownie oczy i jęknął przeciągle.

– Stul pysk – warknął Malachai. Kiedy te słowa nie podziałały, docisnął but do ust nastolatka. Holden znów próbował rzucić się na pomoc, ale Kai natychmiast go odepchnął. – Przestań. Nie skończyłem się bawić.

– Bawić?! – wrzasnął Holden. To był niemal nieludzki krzyk, jakby pochodził prosto z najgłębszych czeluści piekła, a nie z gardła blondyna. Poderwał się z miejsca, a gdy znalazł się przy bracie, szarpnął go za kołnierzyk koszulki. – Czy ty siebie słyszysz?

– Ta. Doskonale.

Kai tylko stał ze wzrokiem wbitym w swoje buty i z cynicznym uśmiechem na ustach. To doprowadzało Holdena do białej gorączki. Nie miał już żadnych hamulców. Zacisnął palce na materiale koszulki brata i przyciągnął go do siebie tak, że dzieliły ich zaledwie milimetry. Dopiero wtedy Kai raczył obdarować go spojrzeniem, w którym kryło się czyste rozbawienie.

– Przysięgam, że zaraz ja z tobą skończę – wyszeptał Holden.

Malachai zrobił krok w tył i uniósł ręce w geście poddania. Znowu się zaśmiał.

– Groźby nie działają, gdy dwoisz mi się w oczach, braciszku – rzucił luźno, uśmiechając się półgębkiem. Chwiał się na boki, ledwo utrzymując równowagę. Alkohol, który w siebie wlał, krążył po żyłach i mieszał w zmysłach. Kręciło mu się w głowie, dlatego przymknął jedno oko, jakby to miało sprawić, że obraz wreszcie zleje się w całość. Mimo to wciąż widział rozmazaną twarz brata.

Holden schował dłoń do kieszeni spodni i zacisnął palce na strzykawce. Powtarzał sobie, że musi to zrobić, by odzyskać brata, a przynajmniej jego ludzką część. To było jedyne wyjście, a on był jedyną osobą, która powinna się tym zająć. Zrobił kilka kroków w przód, by ponownie zbliżyć się do Kaia.

– Nawet nie próbuj – warknął szatyn. Bezbłędnie odczytał intencje Holdena. Jego smutne oczy i konsternacja na twarzy zdradzały wszystko. To zawsze był ostatni obraz, jaki Kai widział przed zapadnięciem w długą drzemkę. – Koniec z tym. Mam dość, rozumiesz? Mam dość traktowania mnie, jakbym był nic niewart.

Blondyn skinął głową. Wyciągnął rękę z kieszeni, gdy zobaczył, że Kai obraca w dłoni nóż, sprawnie balansując nim między palcami. Nie spuszczał go z oczu, ponieważ bał się, że gdy tylko to zrobi, stanie się coś złego. Podciągnął spodnie za szlufki, kiedy delikatnie zsunęły się z jego bioder. Później uniósł ręce, by Kai mógł je widzieć.

– W porządku – powiedział łagodnie i szczerze się uśmiechnął. Malachai odwzajemnił ten gest. Patrzeli na siebie w ciszy, a słowa, które powinni powiedzieć, wisiały nad nimi niczym chmury. Holden dostrzegł w niebieskich oczach Kaia to, czego szukał. Prawdziwy Kai wciąż tam był. Musiał go tylko odzyskać.

Skinął dyskretnie głową, gdy za plecami szatyna pojawił się Carter. W ułamku sekundy doskoczył do przyjaciela, popychając go na ścianę. Docisnął dłoń do ramienia Kaia, by nie zdołał mu uciec. Kai nawet na niego nie patrzył, więc chwycił go za szczękę, nakierowując na siebie jego spojrzenie. Niebieskie oczy niemal wywiercały dziurę w twarzy Cartera. Spoglądał na niego tak, jakby szukał w nim odpowiedzi na pytania, które kłębiły się w jego umyśle, jakby oczekiwał od niego wsparcia, bo dłużej nie mógł radzić sobie sam.

To był przecież Carter Evans, najlepszy przyjaciel, drugi brat, tylko on mógł go zrozumieć, dlatego nie chciał się dłużej przed nim chować.

– Zrób to – odezwał się Malachai. Nie chciał więcej rozmawiać, bo znów budziło się w nim pie-

kło, od którego pragnął się oderwać chociaż na chwilę, na krótki moment, na sekundę. Postawił krok do przodu i przechylił głowę na prawą stronę, przez co jedna z żył na jego szyi znacznie się uwypukliła.

Carter poczuł ścisk żołądka, gdy zrozumiał, o co chodziło.

– Nie chcę. – Pokręcił głową.

– Po prostu to zrób! – ryknął Malachai na całe gardło. Jego pusty, groźny głos odbił się głuchym echem od ścian budynku. Bez wahania popchnął Cartera, który w efekcie się zachwiał i postawił krok w tył, by utrzymać równowagę. – Zrób to. Mam siebie dość, rozumiesz? Chcę odpocząć.

Carter obserwował go z szaleńczo bijącym sercem. Patrzył w niebieskie oczy przyjaciela – ich barwa stała się bardziej intensywna przez lśniące w nich łzy. Przypominała tafnię lodu, a to idealnie odzwierciedlało to, jak czuł się w środku. Ten kolor był jedynym jasnym punktem w otaczającym ich mroku. I czasami, w takich momentach, Carter obawiał się, że ten błękitny błysk zniknie na zawsze.

Postawił niepewny krok do przodu, ponownie zmniejszając odległość, jaka ich dzieliła. Wyciągnął przed siebie ramiona i w ułamku sekundy przyciągnął do siebie sztywne, napięte do granic możliwości ciało Kaia. Przytulił go i pozwolił na to, by Malachai w tym uścisku pękł. Przestał być silnym mężczyzną. Stał się jedynie trzęsącymi się z rozpaczki kawałkami, które Carter próbował utrzymać w całości.

– Możesz to zrobić, Carter – wyszeptał. Oparł głowę na barku przyjaciela i pociągnął nosem. Powoli tracił kontrolę nad łzami, które pojawiły się w kącikach oczu. Obraz przed nim się rozmazywał. Był zmęczony. Oddałby wszystko za moment spokoju. – Proszę, zrób to.

Głos Kaia drżał od gromadzonych wewnątrz emocji, które próbowały wypłynąć na wierzch, by pożreć go w całości. Podobnie jak on były utrzymane w morderczym nastroju. W następnej sekundzie znów się odezwał, ale brzmiał żałośnie smutno, jakby każde słowo sprawiało mu niewyobrażalny ból.

– W porządku, Carter. Wybaczę ci to.

Carter walczył ze sobą, by się nie rozplakać. Musiał być silny za nich obu. Nie mógł pokazać, jak bardzo przeraża go sama myśl o tym. Skinął dyskretnie głową. Zamknął oczy, wciskając dłoń do kieszeni spodni. Wyciągnął strzykawkę, którą wcześniej wręczył mu Holden. Przestał kontaktować, jakby nagle uleciał z niego duch, bo nie chciał brać w tym udziału.

Cierpiał. Cierpiał razem z Malachaiem.

– Przepraszam – powiedział, choć ledwie brzmiało to jak słowo, bardziej jak cichy szelest liści. Zaciśnął powieki, hamując napływające łzy i wbił igłę w szyję przyjaciela.

Z ust Kaia wydostał się cichy pomruk zwiastujący spokój. Zaciśnął palce na koszulce Cartera, kiedy zaczął tracić kontrolę nad mięśniami. Powoli przyjemny mrok zabierał go w swoją otchłań, więc całkowicie się temu oddał. Ciężkie jak ołów kończyny odmówiły mu posłuszeństwa. Bezwiednie osunął się na Cartera, który przytrzymał jego ramiona. Nie miał jednak odwagi, żeby bardziej się poruszyć.

Stał jak kłoda, ściskając Kaia, jakby całe jego życie od tego zależało. Jakby został zesłany na Ziemię tylko po to, by przy nim być. Zaczął płakać. Naprawdę płakać, gorzkimi łzami, które spływały po policzkach niczym niekończąca się ulewa pełna nienawiści do samego siebie.

Gdyby ktoś spytał ją, dlaczego tam przyszła, nie potrafiłaby odpowiedzieć, ponieważ nie istniało żadne rozsądne wytłumaczenie, z jakiego powodu zgodziła się na spotkanie z Holdenem. Nie potrafiła jednak odmówić, gdy jego głos przez telefon brzmiał tak beznadziejnie smutno.

Wejście do klubu było zamknięte, co nieco ją zdezorientowało. Zaczęła uderzać w metalowe drzwi pięścią, aż w końcu usłyszała dźwięk przekręcanego zamka. W progu powitał ją smutny Carter. Coś w jego wyglądzie ją zaniepokoiło. Nie był już wesołym chłopakiem ze szczerym uśmiechem, który zarażał swoją nietypową energią. Przeciwnie: miał nietęgą minę i żal w zielonych oczach. Nie odezwał się słowem – nawet się nie przywitał. Nie otrzymała od niego nic prócz szybkiego skinienia głową. Później zrobił duży krok w bok, by ułatwić jej wejście do środka. Miała wrażenie, że wcale jej do tego nie zachęcał.

Carmen Clark od razu tego pożałowała. Z wrażenia zakryła usta dłonią, by nie pisnąć. Z początku była zbyt zaskoczona, aby się odezwać. Wokół działo się tyle złego, że nie wiedziała, na czym powinna skupić się w pierwszej kolejności. Carter minął ją – wciąż bez słowa. Wrócił do sprzątanania z podłogi kawałków szkła oraz resztek rozlanego alkoholu, a to i tak było zaledwie niewielką częścią burdelu, jaki ich otaczał.

Mniej więcej na środku pomieszczenia znalazła Holdena. Kucał przy dwojce nieznanym jej osobom i ścierał ręcznikiem krew spod ich stóp. Był nieobecny, jakby wpadł w jakiegoś rodzaju trans. Wykonywał płynne ruchy ze spojrzeniem wbitym przed siebie. Pozlepiane od potu włosy opadały na jego twarz, ale nie kłopotał się, by je odgarnąć. Wreszcie wstał, szybkim ruchem poluźnił sznury, które oplatały parę nastolatków, a potem wbił tępe spojrzenie w Carmen.

Ona natomiast utkwiała wzrok za jego plecami. Z tego wszystkiego najbardziej poraził ją widok Kaia. Leżał bezwładnie na kanapie, a z jego twarzy niemal emanował spokój. Miał lekko rozchylone usta, a ciemne włosy rozsypały się dookoła głowy, kontrastując z bladą twarzą. W ciągu sekundy poczuła się tak, jakby ktoś odciął jej tlen. Zrobiło jej się niesamowicie duszno, a serce w klatce piersiowej waliło tak mocno, jakby chciało połamać wszystkie żebra.

Musiała stamtąd wyjść. Wycofała się i wybiegła na dwór. Wiatr uderzył ją w twarz, sprawiając, że nieco ochłonęła. Pochyliła się, opierając dłonie na kolanach. Zaczęła głęboko oddychać. Rude włosy opadały jak firanki wokół krągłej buzi. Poddała się rozpacz, która w niej narastała. Czowała, jak wypełniała ją całą, aż po brzegi.

– Carmen. – Usłyszała jak przez ścianę. Dopiero wtedy zdecydowała się unieść wzrok, choć musiała się do tego zmusić. Stał przed nią Holden, który przypominał zaledwie cień. Smutek w jego niebieskich oczach był tak wielki, że niemal powalił ją na ziemię. – W porządku?

– Nie – warknęła ostro jak brzytwa. Postanowiła się wyprostować. Odgarnęła z twarzy włosy i odrzuciła je swobodnie na plecy.

Była na niego wściekła za to, że ją tam ściągnął, że kazał jej na to patrzeć, że miał czelność zadać to beznadziejne pytanie. Czy po tym, co zobaczyła, cokolwiek mogło być w porządku?

– Po co kazałeś mi tu przyjść? Naprawdę nie chciałam tego widzieć. Co się właściwie stało? – wyrzucała z siebie słowa na jednym wydechu, bo coraz trudniej łapała w płuca tlen. Holden otworzył usta, ale nie pozwoliła mu się odezwać, machając ręką przed jego zmartwioną twarzą. – Lepiej nie mów. Chyba nie chcę wiedzieć. Czy... Czy oni...

– Żyją – odpowiedział, zanim zdążyła dokończyć. Kiwnęła głową.

– A Malachai?

Nie mogła udawać, że jego widok jej nie ruszył, bo było wręcz przeciwnie. Chciała tylko upewnić się, że nic mu nie jest. Chciała tam zostać i poczekać, aż się obudzi. Chciała przy nim być, gdy otworzy oczy. Ale nie mogła się złamać. Nawet jeśli każda część jej ciała i umysłu była gotowa do niego wrócić.

– Poradzi sobie. Jak zawsze – mruknął Holden, poprawiając klamrę paska. Patrzył na nią przez parę minut w całkowitej ciszy. Carmen widziała, jak walczy sam ze sobą, czy powinien się jeszcze odezwać. I kiedy wydawało jej się, że zamilkł na wieki, zrzucił na nią bombę.



Atomową.

– Kai niesie w sobie więcej gniewu i bólu, niż ktokolwiek inny mógłby znieść. Został oszukany, zdradzony i zraniony. Dosłownie przekroczył piekło. Ale w jego oczach pojawia się spokój, gdy cię widzi.

– Przestań – jęknęła z żalnością. – Nie możesz mówić mi tych wszystkich rzeczy.

– Od dawna nie widziałem go w takim stanie. To... to nie jest on. – Zignorował jej słowa. Musiał to z siebie wyrzucić. Był zobowiązany zrobić wszystko, by go uratować. – Właśnie dlatego nie dopuszcza do siebie ludzi. Bo kiedy odchodzą, nie panuje nad sobą. Zostawiłaś go, Carmen, a on... Kai dba bardziej o ciebie niż o mnie.

To było smutne. Wiedziała to ona i wiedział to Holden.

– Jesteś jego bratem – powiedziała. – Zależy mu na tobie.

– Wiem. – Skinął głową. – Ale nie tak jak na tobie. Tylko jeszcze tego nie pojął.

Carmen przez moment nie mogła się odezwać, jakby jej głowa nie należała już do niej, jakby ktoś inny rządził myślami, jakie kotłowały się w umyśle jak w rozgrzanym piecu. Stała z otwartymi ustami, analizując każde słowo Holdena. Nie mogła w to uwierzyć. Kai wyraził się wystarczająco jasno, gdy mówił, że nigdy nic do niej nie poczuł.

– Chyba jest za wcześnie na takie słowa. Znamy się... – przerwała, starając się przeliczyć w głowie czas, jaki upłynął, odkąd spotkali się po raz pierwszy. Nie potrafiła dokończyć, bo odnosiła wrażenie, że minęła wieczność. – Za krótko.

– Daj spokój, Carmen – westchnął Holden, po czym przecesał dłonią włosy. W jego głosie pojawiła się nuta irytacji. Niecierpliwił się. – To przecież Kai. Czas nie ma dla niego żadnego znaczenia.

Carmen to wiedziała, bo w gruncie rzeczy dla niej też nie miało to najmniejszego znaczenia. Od dłuższego czasu zmagala się z tym dziwnym uczuciem, które w niej narastało, gdy Kai pojawiał się w pobliżu. Doskonale zdawała sobie sprawę, do czego to zmierzało. Była tym śmiertelnie przerażona, dlatego postanowiła się wycofać i go zranić.

– Muszę iść – wycedziła, niewiele myśląc. Zabrzmiała żalnością. Nie czekała na reakcję Holdena. Odwróciła się i żwawo ruszyła przed siebie. On jednak nie zamierzał tak łatwo jej puścić. Musiał walczyć za Kaia.

– On nie jest okropnym człowiekiem. Po prostu się pogubił – powiedział z opanowaniem, ale w jego głosie i tak pobrzmiwało czyste przygnębienie. – Słyszałem wszystko, co ostatnio ci powiedział. Przykro mi, że musisz przez niego tyle cierpieć.

– Mnie też jest przykro, Hol – odpowiedziała tak cicho, że ledwo ją usłyszał. Zrobiła kolejny krok, chociaż jej nogi drżały z nadmiaru emocji. Przystanęła, kiedy znów usłyszała słaby, prawie załamany głos Holdena. Jej serce kolejny raz pękło na pół.

– Proszę, Carmen. Nie skreślaj jeszcze mojego brata.

• • •

Malachai biegł przed siebie tak szybko, jakby chciał prześcignąć czas. Potykał się na prostej drodze, ale nie mógł się zatrzymać. Zimny wiatr nieustannie uderzał go w twarz, jakby próbował postawić go do pionu. Chociaż temperatura na zewnątrz ledwo przekraczała dziesięć stopni, Kai płonął od środka. Nie odczuwał chłodu, choć miał na sobie zaledwie koszulkę z logiem szkoły.

Jego czaszka pulsowała od nadmiaru emocji, a wszystkie myśli uciekły z głowy. Wypełniała go adrenalina oraz strach. Słyszał doskonale syreny policyjne, jakby wyły w jego głowie, nie na zewnątrz, i widział mieniące się w oddali niebieskie światła. W przeciągu kilku minut dotarł na miejsce. Oparł dłonie na kolanach, starając się zapanować nad urywanym, ciężkim oddechem. Stał tam przez moment, który wydawał się wiecznością.

Później nieudolnie próbował przebrnąć przez tłum zgromadzonych wokół gapiów. Po omacku wciskał się w wolną przestrzeń, aż wreszcie znalazł się w pierwszym rzędzie. I wtedy to zobaczył. Dwóch policjantów wyprowadzało z domu tatę jego przyjaciela. Mężczyzna nawet nie protestował. Szedł pochylony ze wzrokiem wbitym w swoje buty. Gdy wreszcie uniósł spojrzenie, napotkał na swojej drodze zagubione, nieco przerażone, niebieskie oczy Kaia.

– Przepraszam, Malachai – powiedział tak cicho, że tylko chłopak zdołał go usłyszeć. – Musiałem to zrobić.

Kai nic nie rozumiał. Obrócił się wokół własnej osi i zobaczył obok Ryana. Miał w oczach łzy, które niedbale ścierał zbyt długim rękawem bluzy. Podbiegł do niego, szarpnął mocno za ramię. Dopiero wtedy blondyn uraczył go smutnym spojrzeniem pozbawionym wyrazu.

– Musiał zrobić co? – wrzasnął. Z całej siły starał się nie dopuścić do siebie tej przerażającej

myśli, która zagnieździła się w jego umyśle. To przecież nie mogło okazać się prawdą. – Ryan! – krzyknął, ponownie szarpiąc kolegę za ramię. Głos mu się łamał. Chłopak w odpowiedzi posłał mu jedynie nikły uśmiech.

To wystarczyło, by zrozumiał, co naprawdę się stało. Poczuł przez to paraliż każdego mięśnia w ciele, łącznie z sercem, które na moment stanęło.

Od tego czasu Kai starał się unikać Ryana, a Ryan przestał wchodzić mu w drogę.

Ich przyjaźń przestała istnieć.

Kai myślał o tym, odkąd zmusił się do tego, aby wyjść z pokoju. Nadal czuł się tak, jakby za moment miał skonać. Jego umysł walczył z ciałem. Nie miał jednak na tyle siły, by wziąć się w garść i przeboleć to dziwne klucie w sercu. Tym razem rozpadł się w miejscach, do których nie zamierzał wracać. Siedzenie we własnej głowie stało się dla Malachai'a zbyt męczące.

Chciał się tylko uwolnić od samego siebie.

– Kai, słuchasz mnie w ogóle? – W jego umyśle nagle rozbrzmiał głos Holdena. Uniósł głowę, wlepił zaskoczone spojrzenie w twarz brata i skinął głową. Holden jednak mu nie uwierzył. – Mówiłem, że pójdziemy z tyłu. Za wujkiem.

– Przecież wiem – westchnął niemrawo. – To, że na ciebie nie patrzę, nie znaczy, że cię nie słucham.

Holden postanowił, że nie będzie dalej w to brnął, ponieważ to nie miało sensu. Malachai był uparty, dlatego nigdy nie przyznałby, że tak naprawdę cały czas myślami był w innym miejscu. Skinął głową od niechcenia i ruszył za Ivanem.

Kai szybko ich dogonił. Wlepił spojrzenie w plecy wujka. Dziwnie patrzyło mu się na tę wersję Ivana, bez garnituru lub chociażby eleganckiej koszuli. Tego dnia Ivan Yordan wyglądał jak większość przeciętnych mężczyzn w jego wieku. Miał na sobie jasne dżinsy, sportowe buty i czarną koszulkę, która opinała jego umięśnione ciało. Blond włosy Ivana pozostały w nieładzie, przez co prezentował się nieco niechlujnie.

Kai rzucił spojrzeniem dookoła, gdy zatrzymali się pod właściwym adresem. Okolica nie przypadła mu do gustu, bo kojarzyła się z najbardziej szemranymi typkami. Zaczął zastanawiać się, co właściwie tam robią, ale zanim zdążył się odezwać, wujek zaczął walić w drzwi, które otworzył chłopak z drewnianymi. Szybko spróbował je ponownie zamknąć, ale Ivan nie zamierzał na to pozwolić. W następnej sekundzie odchylił głowę do tyłu, by później z całej siły uderzyć czołem w nos nieznajomego. Chłopak zatoczył się i wpadł na ścianę, przykładając dłonie do obolałego miejsca. Krew zaczęła przelewać się między jego palcami.

Kai otworzył usta z wrażenia, a potem roześmiał się na cały głos, przez co śmiech ten rozniósł się echem po obskurnej klatce schodowej. Bez wahania wszedł do mieszkania za bratem, gdzie powitał go odór spoconych ciał, alkoholu oraz palonej marihuany. Zrobiło mu się niedobrze. Musiał zakryć nos kawałkiem koszulki i wdychać zapach własnych perfum, by powstrzymać odruch wymiotny.

– Czy wam też się wydaje, że ktoś tu zdechł? – rzucił z obrzydzeniem, ale nie uzyskał odpowiedzi. Szedł za Holdenem i rozglądał się dookoła. Niewątpliwie trafili do najgorszej z najgorszych melin. Pod jego stopami wały się puste puszkę i butelki po alkoholu, które nieustannie kopał, odgradzając sobie drogę. W każdym pokoju roilo się od ledwo kontaktujących nastolatków. – Jezu, to chyba jakaś apokalipsa ćpunów.

– Cicho, Kai – warknął Holden, odwracając się do niego przez ramię. Szatyn przewrócił oczami, po czym oburzony prychnął pod nosem.

I może by zamilkł, ale ktoś złapał go za nogę.

Z jego ust wydobył się niekontrolowany krzyk. To było tak niespodziewane, że jego serce momentalnie przyspieszyło, a do głowy uderzyła mu adrenalina. Powoli zerknął za siebie, dzięki czemu zobaczył znacznie młodszego chłopaka, który zaciskał palce na jego kostce. Mamrotał coś niezrozumiałego pod nosem, patrząc na Kai'a nieprzytomnym wzrokiem. Szatyn zaczął wierzgać nogą, by wydostać się z ciasnego uścisku, ale ten ćpun był nadzwyczaj silny. W końcu Kai zdenerwował się tak bardzo, że wziął zamach z zamiarem kopnięcia go w twarz, jednak Holden pociągnął go za łokieć.

– Daj spokój, to tylko jakiś dzieciak.

Kai patrzył na brata przez kilka długich sekund, a potem przeniósł wzrok na nastolatka. Pochylił się nad nim i lekko popchnął, przez co ten bezwładnie osunął się po ścianie na podłogę. Połuźnił uścisk, więc Malachai mógł ruszyć przed siebie.

W tym czasie Ivan zniknął z zasięgu ich wzroku. Znaleźli go w pokoju na końcu korytarza, gdzie w skupieniu przyglądał się chłopakowi w rybackim kapeluszu, który liczył pieniądze. Uderzył palcami

o futrynę, zwracając na siebie uwagę.

– Ivan Yordan – mruknął nieznamy niemal z podziwem. Kai zauważył, że z jego szyi zwisał łańcuch z napisem Brandon, więc uznał to za jego imię. – Jesteś tutaj sławny. Co cię do mnie sprowadza? Jeśli potrzebujesz towaru to *mi casa es su casa* – dodał, rozkładając szeroko ręce, jakby zapraszał do uścisku.

Kai miał ochotę parsknąć, gdy Ivan wyszczerzył się głupekowato. Nie spuszczał zamglonego, nieco niepokojącego spojrzenia z chłopaka. Bacznie obserwował każdy jego ruch z lekko rozchyłonymi ustami, jakby szukał słabego punktu.

– Chciałbym wiedzieć – zaczął Ivan spokojnym głosem – dlaczego panoszysz się na moim terenie, eleganciku?

– Masz z tym jakiś problem?

Malachai starał się nie wtrącać. Stał obok brata. Obaj w ciszy przyglądali się wujkowi, a Ivan wyglądał wtedy tak, jakby za moment miał eksplodować. Poczzerwieniał na twarzy. Jego niebieskie oczy zaszyły mgłą. Każdy mięsień w ciele się napiął, a żyła na szyi zaczęła pulsować. Zrobił krok do przodu. Kai momentalnie się wyprostował, gotowy ruszyć za nim, ale Holden powstrzymał go ręką. W tamtym momencie nie potrzebował dwóch szaleńców u boku.

– Myślisz, błaznie, że zarobisz na moim terenie? – ryknął Ivan. W błyskawicznym tempie znalazł się przy chłopaku, podniósł go z krzesła za kołnierzyk bluzy i rzucił na biurko. Momentalnie przyłożył pistolet do jego klatki piersiowej. Brandon pisnął przerażony, unosząc ręce w geście poddania.

– Czego chcesz? – wydyszał, biorąc głębokie wdechy. Rozejrzał się dookoła i zatrzymał błagalne spojrzenie na braciach. – Nie pozwólcie mi zginąć.

– Sorka, koleś. Masz przejebane – zaśmiał się Kai i pokręcił głową z rozbawieniem. Holden spiorunował go wzrokiem, a Kai w odpowiedzi wzruszył beztrząsramionami. Mówił prawdę. Ivan wpadł w prawdziwy szal, a kiedy to się działo, nikt dookoła nie był bezpieczny. Nawet oni, bo wujek wymachiwał pistoletem, gdzie popadnie.

Ivan wyprostował się, zarechotał głośno, złowieszczo, po czym schował spluwę za paskiem spodni. Drugą rękę cały czas zaciskał na ubraniu chłopaka. Pociągnął go za sobą z taką siłą, że Brandon niemal padł na glebę. Ivan się tym nie przejął. Ruszył przed siebie, nie puszczać swojej ofiary.

– Spakujcie kasę – polecił chłodno.

Holden chwycił torbę i zaczął wrzucać do niej pieniądze.

Kai natomiast wyszedł z pomieszczenia i powoli skierował się do wyjścia. Miał dość tego miejsca, a także odrzucającego zapachu, którym pewnie do cna przesiąkł. Musiał się przebrać. Minął pokój, w którym obściskiwala się jakaś para, jednak szybko się cofnął. Usłyszał chichot, w którym rozpoznał coś znajomego. Zajrzał do środka, dzięki czemu od razu zacisnął dłonie w pięści, wbijając paznokcie w skórę. Nie spodziewał się, że ją tam spotka.

– Kurwa – sapnął na tyle głośno, że facet, który do tej pory napierał na dziewczynę, odwrócił się i wlepił w niego nieobecne spojrzenie.

– To prywatna sesja – mruknął, czym jeszcze bardziej wyprowadził Kaia z równowagi. Szatyn zrobił krok do przodu i siłą zrzucił go z dziewczyny. Zobaczył ledwo kontaktującą Sybil, która momentalnie zakryła się ręką i poprawiła potargane włosy. Chwilę później poczuł za sobą czyjąś obecność.

– Czas najwyższy się przebadać, braciszku – rzucił Holden z szerokim uśmiechem na ustach. Kai zerknął na niego przelotnie, ale postanowił to zignorować. Przeniósł spojrzenie z powrotem na brunetkę. Zacisnął palce na jej ramieniu i podniósł ją do pionu.

– Ubieraj się, Sybil. Wychodzimy – warknął. Czuł się zobowiązany, żeby ją stamtąd wyciągnąć. Znał ją od kilku lat i nie mógł pozwolić na to, by upadła tak nisko. Posłusznie przytaknęła, zgarnęła z podłogi swoją bluzkę i szybko ją na siebie założyła.

– Przepraszam. Nie chciałem zrobić mi nic złego – szepnęła, gdy znalazła się przy Kaiu. Zacisnęła dłoń na jego spiętym ramieniu. – Po wszystkim miał mi dać działkę.

Kai miał ochotę porządnie nią potrząsnąć. Z początku odniósł wrażenie, że tylko się przesłyszał, ale poważna mina Sybil temu zaprzeczała.

– Błagam cię, szanuj się, Sybil – powiedział z powagą. – Nie łatwiej było przyjść do nas, zamiast szlajać się po melinach z chuj wie kim?

– Ostatnio nie byłeś zbyt rozrzutny. – Wzruszyła ramionami.

– Bo, kurwa, przesadzasz. Kiedy ostatni raz byłeś trzeźwa, co?

Próbował przypomnieć sobie, kiedy widział dokładnie kolor jej oczu zamiast powiększonych źrenic i przekrwionych białek, ale nieustannie natrafiał na ścianę. Nagle dotarło do niego to, jak źle z nią

było, i poczuł się fatalnie z myślą, że wcześniej nawet tego nie zauważył, choć powinien, ponieważ był jedyną osobą, która w ogóle o nią dbała.

– To twoja wina – mruknęła. – Dobrze o tym wiesz.

Miała rację i kiedy to zrozumiał, wnerwił się. Był sprawcą wszystkich nieszczęść, które na nią spadły. Wplątał ją w toksyczne życie, chociaż była tylko niewinną dziewczyną z bogatego domu, która chciała mu zaimponować. Wykorzystał to i doszczętnie zniszczył wszystko dookoła niej – łącznie z nią samą.

Znów szarpnął Sybil za ramię tak, że znalazła się przed nim. Położył dłoń na dole jej pleców i delikatnie pchnął ją, by ruszyła się z miejsca. Chciał wyjść za dziewczyną, ale przerwał mu niedoszły partner brunetki.

– Mała rada. Do niektórych zdir przemawia tylko bat – rzucił luźno.

Malachai cofnął się i powolnie odwrócił w jego stronę. Wystarczyło parę sekund, by z całej siły walnąć go pięścią w bok twarzy. Zegarkiem, który miał na nadgarstku, nieumyślenie przeciął skórę na policzku mężczyzny. Potem złapał go za koszulę i wyszarpnął na zewnątrz.

Holden przyglądał mu się z zaskoczeniem wymalowanym na twarzy.

– No co? – burknął, zanim Holden zdążył o cokolwiek zapytać. – On też chce jechać na wycieczkę do lasu.

Carmen Clark znów nie potrafiła odpowiedzieć na pytanie, dlaczego pojawiła się tego wieczoru w klubie. To było silniejsze od niej. Kiedy weszła do środka, od razu poczuła ogromny stres. Ręce stały się nieprzyjemnie lepkie, a serce biło szybciej niż zwykle. Było jej również nadzwyczaj gorąco, jakby rozpałała wewnątrz siebie ogień. Wszystkie dźwięki zlewały się w jedno, przez co nie potrafiła się skupić.

Podeszła do baru, gdzie zobaczyła Rudego. Chłopak na jej widok uśmiechnął się przyjaźnie i machnął ręką na powitanie. Jego mina jednak szybko zrzędła, gdy utkwił spojrzenie gdzieś za plecami dziewczyny. Przełknęła nerwowo ślinę i postanowiła się odwrócić.

Jej serce stanęło. Znów zabiło. I ponownie stanęło.

Zobaczyła Malachaia.

Wyszedł z zaplecza tuż za Sybil, która brnęła do przodu, ściskając mocno jego rękę. Carmen nie wiedziała, jak długo na nich patrzyła, ale miała wrażenie, że minęły lata. Nie potrafiła się ruszyć ani odezwać. Przestała słyszeć muzykę. Jej serce rozdarło się na pół, a Kai był jedyną nicią pod kolor, którą mogła załatać tę wielką dziurę.

– Carmen! – Ocknęła się, kiedy usłyszała swoje imię.

Zamrugnęła energicznie i wlepiła spojrzenie w Sybil, która właśnie do niej machała. Starła się zapanować nad drżeniem nóg, ale wydawało jej się, że za moment się pokruszy. Próbowwała wyglądać na niewzruszoną, chociaż do ust przykleił jej się paskudny sztuczny uśmiech.

– Nie sądziłam, że jeszcze cię zobaczę – dodała, trzepocząc rzęsami. W następnej sekundzie przejechała kciukiem po kącikach ust, a potem je oblizała, jakby starała się coś zasugerować. Na pokaz ścisnęła mocniej dłoń Kaia, niemal wbijając w nią szpony.

Carmen miała wrażenie, że za moment zemdleje. Starła się nie patrzeć na Sybil. Zamiast tego zerknęła na Kaia, ale stał ze spuszczoną głową i wzrokiem wbitym w parkiet. Próbowwała wyczytać cokolwiek z jego kamiennej twarzy, jednak napotykała tylko maskę obojętności.

– Ta. Ja też – wymamrotał słabym głosem. Był spokojny, jakby na świecie nie istniało nic, co planował tego dnia zrobić. Wreszcie uniósł głowę i na nią spojrzął. To niemal ją powaliło. Każda kość, każdy mięsień i nerw w jej ciele się stopił. Nie mogła zbyt długo odwzajemnić tego spojrzenia, bo coś piekło ją w klatce piersiowej.

Nie wiedziała, jak się zachować. Złość zmieszana z żalem całkowicie zawiązała jej ciało. Postawiła parę kroków przed siebie, tym samym zmniejszając między nimi dystans. Im bliżej niego się znajdowała, tym ciężiej jej się oddychało, ale nie mogła odpuścić. Gdzieś po drodze odepchnęła na bok Sybil, która automatycznie nieco się odsunęła.

Zatrzymała się przed nim. Zadarła podbródek, by spojrzeć w jego niebieskie oczy. Ale Kai nie zamierzał na nią patrzeć. Uciekał wzrokiem na bok. Niesiona pewnością siebie uderzyła go w twarz z taką siłą, że przed oczami zabłysły mu gwiazdy. Minęło dobre pół minuty, zanim odzyskał wzrok. Przyjął cios z pokorą, jakby na to zasługiwał. Potrzęsął głową i odruchowo przyłożył rękę do zaczerwienionego policzka, na którym pozostał również ślad po paznokciach Carmen.

– Miała rację – wydyszała cicho. – Od razu do niej wróciłeś.

Przez moment na jego twarzy błąkał się grymas smutku. Oczy Kaia stanowiły paletę najróżniejszych emocji, których nie potrafiła rozszyfrować. Wreszcie wbił w nią palące spojrzenie, które mogłoby spalić ją żywcem. W ułamku sekundy wszystkie uczucia, jakie mu towarzyszyły, zniknęły.

– I co z tego? – powiedział beznamiętnym głosem. – Nie chciałaś mnie, pamiętasz? A ja nie ugamiam się za ludźmi, którzy nie chcą mnie w swoim życiu – kontynuował, chociaż przychodziło mu to z trudem, bo miał wrażenie, że ktoś ściska go za gardło. – Ona mnie chce. Zawsze. Tylko tyle się liczy.

Kai nigdy nie przyznałby tego na głos, ale jak każdy człowiek potrzebował w swoim życiu kogoś, kto nie zostawi go przy pierwszej lepszej okazji. Kogoś, kto będzie przy nim trwał bez względu na okoliczności, na dobre i na złe. Chciał jedynie, aby komuś zależało na tyle, by zostać. Carmen Clark najwyraźniej nie była tą osobą. Może po prostu się co do niej pomylił.

Carmen nie mogła uwierzyć w to, że naprawdę tak myślał. Chciała się roześmiać, ale powstrzy-

mała się w ostatniej chwili. Zrobiła krok w tył. Wszystko dookoła zaczęło ją przytłaczać do takiego stopnia, że czuła się coraz mniejsza, coraz mniej wyraźna. Kai używał słów jak broni. Wycelował prosto w jej serce.

– O mój Boże. Naprawdę jestem idiotką – jęknęła, sprawiając, że zmarszczył brwi, jakby zastanawiał się nad sensem jej wypowiedzi. – Przyszłam tu, żeby powiedzieć ci, że... – zrobiła pauzę i na niego spojrzała. Coś w wyrazie jego twarzy się zmieniło. Stała się łagodniejsza, ale nadal pozostawała w niej nuta obojętności. – To już nieważne. Właśnie po raz kolejny udowodniłeś mi, że nie warto. Dziękuję ci za to, Malachai!

Nie czekała na reakcję z jego strony, bo przewidywała, że najprawdopodobniej nic nie zrobi. Odwróciła się na pięcie, odrzucając włosy na jedno ramię w charakterystyczny sposób i na sztywnych nogach ruszyła przed siebie. Gdy dotarła na zewnątrz, musiała podeprzeć się ściany, by nie runąć na ziemię. Ciało odmawiało jej posłuszeństwa, a myśli przygniatały ją do ziemi. Oddychała z coraz większym trudem, jakby dostała ataku paniki.

Wyprostowała się, kiedy usłyszała za sobą ciężkie kroki. Bała się odwrócić. Była przerażona tym, że jeśli jeszcze raz spojrzy w jego oczy, to po prostu się rozpadnie. Dlatego stała w tym samym miejscu, udając, że nie poczuła za sobą obecności Kaia.

*Nie bój się. To tylko ja, gdy nie wierzę już w nic,* pomyślał, gdy zobaczył, że drży.

– Co chciałaś mi powiedzieć? – spytał cicho.

Zebrała w sobie resztki siły i wreszcie postanowiła się obrócić. Kai stał niebezpiecznie blisko niej. Dzieliły ich zaledwie centymetry. Uderzył w nią intensywny zapach jego perfum, od którego zawirowało jej w głowie. Dłonie schował w kieszeniach dżinsów i lekko się zgarbił.

Nie było w nim nic z silnego mężczyzny. Pozostał jedynie zagubiony chłopak.

– To już bez znaczenia – odburknęła, starając się brzmieć jak najbardziej obojętnie. Uśmiechnęła się i włożyła w ten uśmiech wszystko to, co zamierzała przemilczeć. Przez chwilę patrzyli na siebie tak, jakby nic się nie zmieniło, jakby nic ich nie podzieliło, jakby wciąż się przyjaźnili i byli nawet kimś więcej. – Przecież i tak o to nie dbasz.

Kai wydawał się zmieszany. Spuścił głowę i wlepił wzrok w nierówny chodnik. Carmen odniosła wrażenie, że nie zamierzał nic mówić, dlatego postanowiła odejść, tym razem bez odwracania się za siebie. Nie pozwolił na to. Dogonił ją, wyminął i stanął przed nią, utrudniając dalszą drogę ucieczki.

– Proszę. Chcę to usłyszeć.

Jego głos brzmiał na tyle pewnie i silnie, że postanowiła to zrobić.

– Nienawidzę cię – wydusiła. – Tak bardzo cię nienawidzę. Próbowalam cię za to wszystko obwinąć, ale miałaś rację. Do niczego mnie nie zmuszałeś. Jestem popsuta. Tak bardzo, że nie umiem trzymać się od ciebie z daleka, chociaż próbowałam cię zabić. Coś jest ze mną bardzo nie tak. – Słowa wylewały się z niej rwącym potokiem. Oddech grzązał w gardle. Przymknęła powieki. – Wiesz, co zrobiłaby normalna dziewczyna? Uciekłaby przed tobą – prychnęła. – A ja? Proszę bardzo, stoję przed swoim największym koszmarem i nawet się nie boję!

Powstrzymywała się przed tym, by nie wybuchnąć płaczem, który wstrząsnąłby nie tylko nią, ale również całą okolicą. Starła się zrozumieć, co jest z nią nie tak. Malachai Yordan od początku doskonale wiedział, co zamierzał z nią zrobić i że to ją zrani. Ale to go nie powstrzymało. A ona znów przed nim stała, lustrując go wzrokiem. I nadal widziała w nim piękne rzeczy, które reszta świata ignorowała. Roześmiała się z bezradności.

Kai milczał. Wszystkie słowa wysypały się z jego głowy i roztrzaskały na bruku.

– Chciałabym cię zranić w taki sam sposób, ale nigdy nie będę tak okrutna.

– Nie umiem inaczej, Karmelku – wymamrotał pod nosem. Tylko na tyle było go stać. Postanowił zrobić krok w jej kierunku. Nie potrafiła jednak wytrzymać tak blisko niego. Cofnęła się. – Ranię ludzi, okej? I chciałem też zranić ciebie, ale... ale pozwoliłaś mi na to. Dopuściłaś mnie do siebie. Zobacz, jak na tym skończyłaś. Jesteś tak samo zrujnowana jak ja.

– To już nie ma znaczenia – powtórzyła swoje wcześniejsze słowa. Zrobiła następny krok w tył. Musiała uciec, zanim dopadną ją uczucia, a potem powalą i wbiją w ziemię jak gwoździe. – Wszystko to, co ostatnio powiedziałeś... Przez cały ten czas... to była tylko gra, prawda?

– Taki miałem plan – wyznał. – Nie zamierzam ściemniać.

Kiedy dojrzał zawód malujący się na twarzy Carmen, odniósł wrażenie, że cały świat znów wymyka mu się przez palce i kolejny raz nie może temu zaradzić.

– Chciałem cię zepsuć. To wychodzi mi najlepiej.

– Chcesz się dalej bawić? – prychnęła z pewnością w głosie. Zrobiła krok w jego kierunku, dzięki

czemu znalazła się wystarczająco blisko, by spojrzeć mu głębiej w oczy. Ich wargi niemal się stykały. Mogłaby bez problemu go pocałować. Kai przymknął powieki, gdy szeptała wprost między jego wargi:

– W porządku. Zabawmy się. Złap mnie, jeśli potrafisz, Malachai.

Posłała mu najpiękniejszy uśmiech, jaki kiedykolwiek widział.

Obserwował, jak stopniowo znika mu z oczu. I wtedy wewnątrz niego zapanowała prawdziwa zima. W samym środku lata i gdzieś wewnątrz niego spadły pierwsze płatki śniegu.

Dla niej był gotowy podjąć to wyzwanie.

Nie wiedział jednak, że Carmen Clark również miała swój plan, który narodził się w jej głowie właśnie w tym momencie. Ona też zamierzała go zniszczyć. Dzięki pomocy agenta Cole'a.

• • •

Kai przekroczył próg lokalu z niemrawą miną. Przypominał bardziej swój cień niż samego siebie. Jego brwi marszczyły się gniewnie, włosy na czubku głowy falowały, opadając na lewą stronę czoła, a spojrzenie chowało się za szklami przeciwsłonecznych okularów, choć na dworze prawie zmierzchało. Uniósł głowę, rozglądając się z roztargnieniem po okolicy i momentalnie zdębiał. Zatrzymał się gwałtownie, chociaż do tej pory pędził przed siebie, jakby chciał ścigać się z czasem, jaki pozostał mu do końca świata.

Siedziała tam, a on nie był gotowy na to spotkanie.

Momentalnie zapomniał, po co w ogóle przyszedł do klubu.

Odwrócił się za siebie, szacując odległość, jaka dzieliła go od wyjścia. Naprawdę miał ochotę stamtąd zwać. W dodatku bez słowa, jakby nawet na moment się tam nie zjawił. Cofnął się, a w rezultacie zarył nogą w kant jednego ze stołów. Wokół rozniósł się głuchy odgłos, a zaraz po tym pomieszczenie wypełniło się przekleństwami, które w przyływie złości Kai z siebie wyrzucił.

Poczuł na sobie jej wzrok, intensywny i gorący. Odliczył w myślach do trzech, wysilił się na krzywy uśmiech i jak gdyby nigdy nic uniósł głowę, odwzajemniając spojrzenie Carmen. Przez kilka sekund patrzył w zielone oczy – widział w nich wahanie i jednoczesną ulgę, ale nie zamierzał się w to zagłębiać.

– Cześć, Karmelku – powiedział tylko, drapiąc się po karku, a już sekundę później oderwał od niej wzrok i ruszył przed siebie. Przeszedł obok niej, jakby ledwie się znali. Kątem oka zauważył, że drgnęła, gotowa się podnieść, jednak ostatecznie odpuściła. Nawet nie odpowiedziała. – Co tu robisz?

Kai zwalczył w sobie chęć ponownego zerknięcia w jej kierunku.

– Tata prosił, bym dopilnowała dostawy – odpowiedziała obcym głosem. Dopiero kiedy zrozumiał sens jej słów, dojrzał kartony alkoholu, które powoli tworzyły wieżę w kącie głównej sali, tuż przy bocznych drzwiach. Kiwnął głową.

Odetchnął z ulgą, gdy zatrzymał się przy barze. Usiadł na krzeselku, oparł łokcie na blacie, a potem docisnął palce do skroni, lekko je masując. Po upływie zaledwie parunastu sekund odpuścił sobie walkę z samym sobą. Przechylił głowę tak, że znów ją widział. Im dłużej na nią patrzył, tym wyżej unosiły się kąciki jego ust, aż wreszcie zastygły w figlarnym uśmiechu. Zacisnął zęby na dolnej wardze, lustrując ją wzrokiem.

Mocne, władcze i wygłodniałe spojrzenie chłopaka trochę peszyło Carmen, ale zarazem zmusiło ją, by również zerknęła na niego przez ramię, choć obiecała sobie, że będzie go ignorować. Z zakłopotania piekły ją policzki, na których pojawił się rumieniec. Kai wydawał się rozbawiony tym widokiem, bo cicho parsknął. Wpłótł palce we włosy, ciągnąc za ich końce, dzięki czemu zaczęły bardziej sterczeć.

Wreszcie zeskoczył z krzeselka. Zaszedł ją od tyłu. Przez moment patrzyła na jego odbicie w lustrze. Starła się zapanować nad oddechem, który momentalnie przyśpieszył. Przyśpieszyło również jej serce, jakby to był pierwszy raz, gdy był tak blisko. Przełknęła ślinę, która zaczęła parzyć. Idealnie widziała niebieskie oczy oraz potargane włosy, jakby nieustannie mierzwił je ręką. Uparcie zaciskał zęby na dolnej wardze.

– Zawsze ze mną walczysz. Opierasz się. Chcesz, żebym błagał? Podobałoby ci się to? Gdybym padł przed tobą na kolana?

Spojrzał na nią spod półprzymkniętych powiek.

– Zrobiłbyś to, Kai? – zastanawiała się na głos. – Gdybym poprosiła?

Przez minutę zerkał na nią w całkowitej ciszy. Rozbawienie ulotniło się z jego twarzy, ustępując miejsca dziwnemu grymasowi. Ściągnął brwi w niemal jedną linię. Oddzielała je zaledwie pionowa zmarszczka. Coś najwyraźniej zaprzętało mu głowę, jednak Carmen nie chciała kolejny raz próbować wniknąć do ciemnego umysłu chłopaka.

– Malachai – powiedział słabo, jakby za moment miał paść i wyzionąć ducha. – Dla ciebie zawsze

Malachai.

Carmen w pierwszej sekundzie miała wrażenie, że się przesłyszała. To imię brzmiało w jego ustach... nierealnie, jakby nie miał prawa wypowiadać go na głos. Zachłysnęła się wodą, którą zaczęła popijać, dlatego musiała głośno zakaszczyć. Zastanawiała się, czy to naprawdę się dzieje. Trudno było jej uwierzyć w fakt, że ten sam chłopak, który zaciskał wargi i poważniał na dźwięk swojego imienia, chciał, aby go tak nazywała.

Potrząsnął głową, jakby coś z siebie zrzucił.

– Pogadamy? – spytał wreszcie, czym przerwał ciszę, która nieproszenie się między nich wślizgnęła. Przyglądał się rudowłosej z pełną uwagą, jakby chciał odczytać jej myśli.

Wziął głęboki oddech, gdy nie uzyskał od niej odpowiedzi. Wciąż siedziała w tym samym miejscu i ze znużoną miną zaczęła skubać skórki przy paznokciach. Chciała go ponownie zdenerwować, choć wciąż nie rozumiała, dlaczego to zawsze sprawiało jej taką przyjemność.

– Dobra, ja będę mówił – mruknął tak cicho, jakby sam nie był pewny, czy powinien się odezwać. Rozejrzał się po opustoszałym pomieszczeniu. W następnej sekundzie zupełnie niespodziewanie obszedł ją i kucnął między jej nogami. Ich twarze znalazły się na tym samym poziomie, kiedy zacisnął dłonie na krawędzi po obu stronach ciała Carmen.

Nachylił się. Carmen jednak zareagowała błyskawicznie, kładąc podeszwę szpilki na jego piersi, przez co mogła go zalotnie odepchnąć. Nieprzygotowany na taki obrót sprawy, lekko się odsunął. A potem zaatakował. We własnym, unikalnym stylu. Chwycił łydkę Carmen i z łatwością przyciągnął do siebie, tak, że zjechała na krawędź kanapy, jej noga wylądowała na barku Kaia, a on sam wślizgnął się między jej uda.

Miała na niego idealny widok z góry. Błądziła spojrzeniem po jego twarzy, jakby starała się dokładnie zapamiętać każdą zmarszczkę i niedoskonałość. Przelknęła powoli ślinę, gdy jej serce nieoczekiwanie przyspieszyło. Nie potrafiła już patrzeć na niego tak jak kiedyś.

– Skup się, bo pewnie nigdy więcej tego nie powiem – polecił.

Cały czas utrzymywał z nią kontakt wzrokowy, a to zaczynało ją powoli przytłaczać. Czowała się całkowicie skępowana, jakby spojrzeniem powoli odkrywał kolejne maski, pod którymi próbowała się skryć. Dusila się we własnym ciele. Zerknęła w lewo, potem w prawo i znów na niego. Nie miała żadnych szans na ucieczkę, choć tylko tego pragnęła. Próbowała przewidzieć, do czego zmierza, jednak nie potrafiła rozszyfrować kamiennego wyrazu jego twarzy.

– Lubię cię, Karmelku. A to się rzadko zdarza, dlatego... – urwał nagle. Coś się w nim zmieniło. Powieka Kaia drgnęła, gdy unosił kącik ust. Miała wrażenie, że właśnie odliczał w głowie sekundy, a ona zrobiła to razem z nim. Jedna... Dwie... Trzy... – Proszę, nie zostawiaj mnie więcej. Nie w taki sposób. To najgorsze, co mogłaś zrobić.

Słowa wylały się z niego z prędkością światła. Ledwie zrozumiała, co chciał jej przekazać, a to całkowicie ją zaćmiło. Z wrażenia rozchyliła usta, a potem docisnęła do nich dłonie, upewniając się, czy szczęką nie opadła jej aż do ziemi.

Nie wiedziała, co powiedzieć.

Nie wiedziała, jak się zachować.

Nie wiedziała nawet, jak dalej oddychać.

Odruchowo położyła dłonie na jego klatce piersiowej, wciskając mocno palce w materiał jego bluzy, a potem sunęła nimi po ramionach aż do karku chłopaka.

– Co ty robisz? – spytał zdziwiony, unosząc brwi.

– Sprawdzam, czy to na pewno ty. – Zaśmiała się, wsuwając palce w krótsze włosy u podstawy jego czaszki. Zawtórował jej i równocześnie docisnął policzek do twarzy Carmen. Swoim zarostem przyjemnie łaskotał skórę. – Powiedziałaś, że mnie lubisz.

Wycofał się, by obieć zdezorientowanym spojrzeniem jej twarz.

– Wcale nie.

– Powiedziałaś. Dosłownie kilka sekund wcześniej.

Kai przewrócił oczami.

– Przesłyszałaś się – odburknął z pełną powagą i wzruszył ramionami.

Złapał w dłoń kosmyk rudych włosów Carmen, owijając go wokół palca. Trwali tak w milczeniu, ale wcale mu to nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie, ta cisza kołała jego zszargane nerwy. W końcu pochylił się, opierając brodę na ramieniu dziewczyny. Jego ręka sunęła wzdłuż jej kręgosłupa, rozsiewając po całym ciele dreszcze.

– Malachai? – szepnęła wprost do jego ucha. – Policja.



Odsunął się w tył. Patrzył na twarz Carmen, próbując odgadnąć, co dzieje się w jego chorej głowie. Nic z tego nie rozumiał, więc ściągnął brwi w niemal jedną linię.

– Policja wciąż cię obserwuje – wyznała. Z nerwów oblizła usta, bo wydawały się bardzo suche. Było jej głupio, więc uciekła wzrokiem w bok, ale Kai chwycił między dwa palce jej podbródek, przez co znów musiała na niego spojrzeć.

Zamrugła znacznie szybciej niż normalnie. Przez to nie zarejestrowała dokładnie momentu, w którym Kai ponownie się nad nią pochylił, prostując ręce, na których zaczęły rysować się żyły. Miała wrażenie, że za moment ją pocałuje, ale tego nie zrobił. Zamiast tego cmoknął ją w policzek, mrużąc cicho:

– Wiem. Ale to my wygramy.

Malachai krążył niespokojnie po pokoju. Nie potrafił się skupić, ponieważ w jego głowie zagnieździł się jakiegoś rodzaju lęk. Obawa przed tym, że coś wymknęło się spod kontroli, a on nie był w stanie temu zaradzić. Minęła ponad godzina, odkąd kontakt z Holdenem i Carterem się urwał. Ta myśl zżerała go od środka i ciągnęła go w najgłębsze zakamarki piekła.

Carmen obserwowała go w ciszy, ale powoli udzielało jej się zdenerwowanie Kaia.

– Możesz się uspokoić? – spytała podniesionym tonem, by skutecznie przebić się do jego umysłu. Był nadzwyczaj roztargniony i nieobecny. Przystanął, spojrzął na nią i wplótł palce we włosy, ciągnąc za ich końce. – Zaraz wydepczesz dziurę w panelach.

– Sorka – mruknął i pokręcił głową, jakby to miało sprawić, że wszystkie złe myśli z niej wypadną. – Po prostu się martwię. Nie odzywają się... – urwał, by zerknąć na zegarek – zbyt długo. A jeśli coś się stało? Cholera, mogłem z nimi jechać.

Carmen podniosła się z łóżka, złapała go za rękę i stanęła przed nim. Nie patrzył na nią. Cały czas wlepił spojrzenie w swój telefon, który leżał na toalecie. Niestety to nie spowodowało, że zadzwonił. Carmen, trochę podirytowana, położyła dłonie na jego rozgrzanych policzkach, czym zmusiła go do tego, by wreszcie przeniósł wzrok na jej twarz.

– To dorośli faceci. Na pewno sobie poradzą – zapewniła z lekkim uśmiechem na ustach. Brzmiała jak anioły, które jako dzieciak wyobrażał sobie przed snem.

– Nie rozumiesz – westchnął, po czym roześmiał się z nerwów. Złapał ją za nadgarstki i odciągnął jej ręce od swojej twarzy. Poczula się tak, jakby właśnie ją odrzucił, ale nie mogła go za to winić, bo był wtedy tą wersją Kaia, która dbała o najbliższych. – Zawsze jesteśmy razem, jeśli coś się stanie... – Zagryzł wargę i przyklnął powieki. – Powinienem z nimi być.

– Skąd u ciebie tyle czarnych myśli?

Nie zrozumiał pytania. Przecież zawsze w nim tkwiły. Nie ustępowały nawet na chwilę.

Wzruszył ramionami. Nie chciał przyznać na głos, że śmiertelnie bał się utraty kolejnych osób, na których mu zależało. Tym razem nie miałyby siły znów podnosić się z dna. Był przerażony wizją życia, w której by ich zabrakło. Potrząsnął głową, starając się odpędzić od siebie te ohydne wyobrażenia. Musiał skupić się na czymś innym.

– Carmen – sapnął niepewnie. Złapał drobną rękę i przyciągnął ją do siebie, tak niespodziewanie, że z impetem wpadła na jego tors. Dotyk Carmen sprawił, że przebiegł przez niego ładunek elektryczny. Uniosła głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. Wpatrywał się w nią z intensywnością, która przebijała ją na wylot. – Co tak właściwie we mnie lubisz?

Nie spodziewała się tego. Rozchyliła usta, by wypchnąć z siebie powietrze, które więzło w gardle. Kai wyglądał jak ktoś, kto potrzebował zapewnienia, że naprawdę coś znaczy. Wydęła usta, udając, że zastanawia się nad odpowiedzią.

– Uśmiech – mruknęła. – Masz nieziemski uśmiech.

Kai jak na zawołanie uniosł kąciki ust i delikatnie rozchylił wargi, ukazując zęby. W jego policzkach pojawiły się dołeczki, a wokół oczu ujawniły się zmarszczki. Był pociągający w każdym calu. I gdy tak na niego patrzyła, niemal poczuła, że się rozlewa. Coś ścisnęło ją za serce. Uderzyła w nią myśl, że mogłaby za ten uśmiech wylądować w piekle, byle tylko móc go oglądać na ustach tego konkretnego mężczyzny.

– Poważnie? Tylko tyle? – jęknął zawiedziony. Przesunął dłonie w dół jej pleców, a jego palce pozostawiły po sobie mroźno-ognisty ślad.

Stanęła na palcach, by zbliżyć się do jego twarzy.

– Trochę kręci mnie to, z jaką łatwością potrafisz kogoś skrzywdzić – wyszeptała niemal w usta Kaia. Niebieskie tęczęwki chłopaka zalśniły dziko. Jednym zwinnym ruchem chwycił kark Carmen, chcąc upewnić się, że wciąż będzie na niego patrzyła.

– Gdzie byłaś przez całe moje życie? – spytał, trochę z powagą, trochę z rozbawieniem. Cały czas miał ją pod nosem, a jednak nigdy wcześniej na siebie nie wpadli.

– W piekle – powiedziała, lokując dłonie na jego piersi. Odsunęła się, a on zdziwiony takim obrotem spraw, zmarszczył brwi. – Twoja kolej. Co ci się we mnie podoba?

Kai przechylił głowę i lekko rozchylił usta. Błądził spojrzeniem po twarzy dziewczyny, jakby miał z niej odczytać właściwą odpowiedź.

– Nic. Nawet cię nie lubię. – Wzruszył ramionami i wystawił figlarnie język.

Carmen przewróciła oczami. Zaciśnęła dłoń w pięść i zalotnie trąciła go w ramię. W efekcie oparł się o biurko. Jego udo znajdowało się pomiędzy nogami Carmen. Z każdym ruchem bioder odczuwała rozkoszne tarcie, od którego przechodziły ją dreszcze. Kai oblizwał usta, a następnie pochylił się nad dziewczyną i szepnął:

– Uderz mocniej, Karmelku, to może się podniecę.

Szturchnęła go, wkładając w to znacznie więcej siły, a on w odpowiedzi tylko się roześmiał. Wyciągnęła więc szyję, chcąc sięgnąć jego ust, by wreszcie się przymknął, ale momentalnie się cofnęła. Złapał Carmen za ramiona i lekko odsunął. Obiegł ją wzrokiem, w którym kryło się rozbawienie.

– Może lepiej nie? – spytał, szczerząc się od ucha do ucha. – Nie chcę, żebyś później znowu wybiegła z płaczem. – Pochylił się ku niej i cmoknął ją w policzek. Czowała, jak się przy tym uśmiechał. Przesunął usta na linię jej szczęki, jednak szybko się oderwał. Ledwie to poczuła. Oparł dłonie za swoimi plecami, patrząc w oczy Carmen.

Spojrzała na niego, jakby właśnie dojrzała w nim coś nowego.

– Mam ci obiecać, że to się nie powtórzy? – mruknęła i specjalnie zagryzła wargę.

– Obiecanki macanki, Karmelku. – Jego radosny chichot rozniósł się po pomieszczeniu, gdy pstryknął ją w czubek zgrabnego nosa.

– To nie tak szło, Ma...

Przycisnął wskazujący palec do ust dziewczyny, tym samym zamykając jej buzię. Przeniósł dłoń na plecy Carmen, powoli zjeżdżając na pośladek, który ścisnął. Dzięki temu przyciągnął ją jeszcze bliżej. Przywarła do niego, naciskając na napięte do granic możliwości mięśnie. Ponownie złapał Carmen za kark, utrudniając jakikolwiek ruch. Nachylił się, zatrzymując usta zaledwie milimetry od niej.

– To jak, chcesz tego buziaka czy nie? – spytał wciąż rozbawiony.

Zwalczyła w sobie chęć przewrócenia oczami. Tak bardzo ją denerwował, że ledwo mogła to znieść. Policzyła w myślach od pięciu w dół, zbierając się w sobie. Ponownie wspięła się na palce, zaciśkając przy tym dłoń na bluzie Malachaia. Spojrzała mu w oczy i zbliżyła twarz. Ich usta się zetknęły, jednak żadne z nich nie zamierzało być pierwszą osobą, która wykona ruch.

– A ty chcesz? – szepnęła. Kai kiwnął dyskretnie głową. Oparł swoje czoło o jej czoło i naparł na nią ciałem, popychając ją w kierunku łóżka. W porę się od niego odsunęła. Poczul się tak, jakby znowu mu coś odebrano. – Poproś, Malachai.

Zaniósł się śmiechem. Nie zamierzał tego robić. Zaciśnął usta do środka. Z pełną koncentracją obserwował, jak Carmen zwinnie rozpina swoją kurtkę i rzuca ją na materac. Stała przed nim w różowej bluzce na cienkich ramiączkach i uśmiechała się zadziornie. Próbował nie dać się sprowokować, być opanowanym i trzymać swoją nieracjonalną stronę na smyczy. Ale wtedy Carmen odgarnęła rude włosy na plecy i powoli zsunęła jedno ramiączko.

Przełknął ślinę. Niespodziewanie, również dla siebie, postawił krok w przód, zmniejszając dystans między nimi. Jednym gwałtownym ruchem przyciągnął ją z powrotem do siebie. Uniósł dłoń i przejechał kciukiem po rozchylonych ustach Carmen, ścierając z nich przy okazji smakowy błyszczyk. Oblizwał palec, nie przestając patrzeć jej w oczy.

Carmen miała wrażenie, że za moment wybuchnie.

– Widzisz, Karmelku – zaczął niskim głosem. Założył kosmyk włosów za jej ucho, by następnie się do niej schylić. – Ja nie proszę. Jeśli bardzo czegoś chcę... – dodał, sunąc dłonią po szyi dziewczyny. Bez ostrzeżenia szarpnął ją za włosy, dzięki czemu przechyliła lekko głowę, ułatwiając mu dostęp do kuszących ust. – Po prostu to robie.

– Więc na co cze...

Nie dokończyła. W końcu przywarł ustami do jej warg, nachalnie i ostro, bez żadnego wahania czy niepewności, z pasją, która wręcz ocierała się o granicę rozkosznego bólu. Stał nieruchomo, przez co nie była pewna, czy powinna to kontynuować. Mimo to chwyciła mocno jego kark, jakby był jej ratunkiem.

Telefon na biurku zadzwonił, sprowadzając ich z powrotem na ziemię. Przez moment nawet się nie poruszyli. Kai odsunął się jako pierwszy. Na oślep zgarnął komórkę, odebrał i przyłożył do ucha.

– Fajnie, że wreszcie oddzwoniasz – wysapał, starając się unormować oddech. Ale usta Carmen

były oddalone zaledwie o centymetr od jego policzka. Czuła, jak jego zarost muska jej wargi. – Wcale się, kurwa, nie martwiłem.

Carter zaczął coś opowiadać, jednak Kai przestał go słuchać. Odsunął telefon od ucha i złapał między zęby dolną wargę Carmen, ciągnąc ją w swoją stronę. Nieoczekiwanie wsunęła dłoń za gumkę jego dresowych spodni. Jej palce jeździły od jednego biodra do drugiego, rozsiewając po ciele chłopaka przyjemne ciepło.

– Kai, jesteś tam? – Głos Cartera przebił się do jego głowy, przerywając tym samym wyścig skołowanych myśli. Z powrotem przysunął komórkę bliżej ucha. – To nie czas na zabawę w głuchy telefon.

– Jestem – sapnął. Ciężko było zapanować mu nad językiem, gdy Carmen zaczęła szarpać jego bluzę, razem z koszulką. Chciała poczuć więcej skóry Kaia. – Kurwa. Jestem.

– Przyjedziesz, tak?

– Po co? – Zagryzł wargi, wciągając gwałtownie powietrze. Tym razem wsunęła dłoń pod jego koszulkę i wbiła paznokcie w skórę. Drgnął niespokojnie. Wykorzystała ten moment i ugryzła go w szyję. Z taką siłą, że odczuł ból. Prowokowała go. Tak bardzo go prowokowała, że powoli przestawał racjonalnie myśleć. Musiał to natychmiast przerwać. Szarpnął ją za włosy, sprawiając, że się wyprostowała. Pokręcił głową.

– Ja pierdolę – westchnął Carter. – Nie wiem, w jakim świecie żyjesz, ale mówiłem o tym przez minutę. Chcą gadać tylko z tobą.

– Dobra. Nie krzycz. Zaraz będę – mruknął niezadowolony. Nie czekając na odpowiedź, rozłączył się i cicho przeklął pod nosem. Carmen patrzyła na niego z uniesionymi brwiami, domagając się wyjaśnień. – Wybacz, Karmelku. Musimy to przełożyć.

Poprawił dresy, które zdążyły nieco zsunąć się z jego pośladków, a potem cmoknął ją w usta. Przez moment patrzyła za nim zszokowana. W końcu po przeanalizowaniu całej sytuacji pośpiesznie założyła kurtkę oraz trampki i wybiegła na zewnątrz.

Wsiadła do samochodu w tej samej sekundzie, w której odpalił silnik.

– Co ty wyprawiasz? – spytał zaskoczony, kiedy zatrzasnęła za sobą drzwi i wygodnie rozsiadła się w fotelu. Zmarszczył brwi, oczekując odpowiedzi.

– Jadę z tobą – oznajmiła ochoczo w taki sposób, jakby to było oczywiste. Przykryła dłoń Malachaia swoją i z lekkim uśmiechem dodała: – Teraz to też moi ludzie. Jesteśmy w tym razem.

• • •

Nie wiedział, co go podkusiło, by zabrać ze sobą Carmen.

Siedział w ciszy i po prostu patrzył przed siebie z nieobecny wyrazem twarzy. Minęło trochę czasu, odkąd zatrzymali się pod ogromnym budynkiem, a on wciąż milczał. Miał lekko rozchylone usta i ściągnięte brwi, jakby bardzo intensywnie nad czymś rozmyślał. Zaciskał dłonie na kierownicy, a jego klatka piersiowa falowała z każdym zaczerpniętym oddechem.

– Idziesz tam czy...

Nie dokończyła, ponieważ odwrócił głowę w jej stronę i wlepił w nią spojrzenie niebieskich oczu, w których kryło się nadzwyczaj dużo troski. Odniosła wrażenie, że to nie były te same chłodne oczy, którymi zawsze na nią patrzył. Zacisnął usta do środka, pokazując dołeczki w policzkach. Nadal milczał, uparcie przyglądając się Carmen.

– Ziemia do Malachaia! – Zaśmiała się, po czym pomachała ręką przed jego twarzą. – Jesteś tam jeszcze?

– Cokolwiek się stanie, nawet nie próbuj wysiadać – odezwał się wreszcie. Pierwszy raz słyszała w jego głosie taką powagę. Przez moment zaczęła się obawiać, że ten doniosły ton zmiecie ją z powierzchni ziemi. – Zabiję cię, jeśli to zrobisz.

Carmen zamrugwała gwałtownie. Liczyła na to, że za moment Kai się uśmiechnie, a z jego ust wydostanie się śmiech, ale wciąż był śmiertelnie poważny. Nie umiała przewidzieć, co działo się w głowie Kaia, a co za tym idzie, nigdy nie mogła być pewna jego słów.

– Nie odważyłbyś się – mruknęła pół-żartem, pół-serio.

– Nie prowokuj mnie, dobra? – Brzmiał już znacznie łagodniej. – Wolałbym sam cię zabić, niż być świadkiem tego, co mogą z tobą zrobić, więc... nigdzie się nie ruszaj.

Skinęła głową, jednak nie mógł tego zobaczyć, ponieważ zaczął grzebać w kieszeniach. Wreszcie złapał ją za rękę, położył na niej swój nóż, a potem zacisnął na nim palce Carmen. Zdziwiona spojrzała najpierw na swoją dłoń, a potem na twarz Kaia.

– Dajesz mi swój nóż? – spytała. – Nigdy się z nim nie rozstajesz.

– Nie wiem, co tam się dzieje – stwierdził. To go martwiło. Rozmyślał o tym przez całą drogę,

jednak nie udało mu się wpaść na żaden trop. Pewne było tylko to, że raczej nie zostanie tam przyjemnej pogawędki przy herbatce. – Będzie łatwiej, jeśli nie będę musiał przejmować się twoim bezpieczeństwem. To po prostu na wszelki wypadek.

Carmen rozprostowała palce i z zaciekawieniem zaczęła przyglądać się srebrnemu ostrzu. Największą uwagę zwróciła na wygrawerowany na rękojeści napis.

– Poradzisz sobie?

– To raczej nie jest zbyt skomplikowane – westchnęła i wywróciła oczami. Okręciła w dłoni nóż, co okazało się błędem, ponieważ nieumyślnie wbiła ostrze w skórę. Skrzywiła się, czując lekkie pieczenie. Zachichotała pod nosem, jakby zrobiła to dla żartu. Ale Kai wciąż patrzył na nią z politowaniem.

– Właśnie widzę – prychnął. – Następnym razem zabiorę dla ciebie widelec, bo z nim radzisz sobie lepiej – dodał, a jego usta rozciągnęły się w lekkim, chłopięcym uśmiechu.

Pochylił się w jej kierunku, by sięgnąć do schowka, z którego wyciągnął broń. Carmen na ten widok wciągnęła gwałtownie powietrze i otworzyła szerzej oczy.

– Myślałaś, że pójde tam z koszykiem powitalnym?

Carmen nie zamierzała tego komentować. W ciszy obserwowała, jak Kai mruczy coś do siebie, upewniając się, czy w magazynku znajduje się odpowiednia ilość naboju. Potem wyprostował się, wyciągnął pistolet przed siebie i go załadował. Przekręcił głowę na ułamek sekundy, by uraczyć Carmen dumnym uśmiechem. Zerknął przelotnie na zegarek i mruknął:

– Czas na rozpiardol, Karmelku.

Chociaż sytuacja była poważna, nie mogła się powstrzymać i po prostu się roześmiała. Malachai wysiadł z samochodu, schował pistolet za spodnie i przykrył go materiałem szarej bluzy. Ruszył przed siebie, ale w połowie drogi zawrócił. Otworzył drzwi samochodu i zajrzał do środka.

– Poważnie, Carmen. Bądź grzeczna. Nie chcę cię zabijać – mruknął. Przez moment był poważny, ale w końcu się uśmiechnął. – Jeszcze.

Zalotnie mrugnął do dziewczyny okiem. Nie czekał na jej reakcję. Tym razem nawet nie odwrócił się za siebie. Wystarczyło kilka dużych kroków, by znalazł się przy wejściu do dużego opuszczonego magazynu. Policzył w myślach do pięciu, wypuścił z ust powietrze i otworzył drzwi z rozmachem.

Nie spodobało mu się to, co tam zastał.

W ułamku sekundy sięgnął po pistolet. Przekroczył próg pomieszczenia i niemal od razu wystrzelił w pustą przestrzeń. Momentalnie spojrzenia wszystkich zebranych spoczęły na jego sylwetce. Naprężył mięśnie szyi, strzelając kośćmi karku, a potem wyszczerzył się niczym diabeł.

– Cześć – powiedział ze spokojem, po czym pomachał do uczestników spotkania. – Jestem Kai.

Dźwięk wystrzału odbił się od pustych ścian magazynu głośnym echem. Nie czekał zbyt długo. Ponownie strzelił, tym razem tuż obok stopy mężczyzny, którego widział po raz pierwszy. Usłyszał brzęk pustych łusek zderzających się z ziemią, a zaraz po tym dotarł do niego specyficzny zapach spalonego prochu.

Kai jeszcze raz rozejrzał się dookoła, by dokładniej rozeznaczyć w sytuacji, nad którą niestety nie miał żadnej kontroli. Carter i Holden posłusznie klęczeli na glebie, a jeden z obcych mężczyzn czuwał nad nimi ze spluwą. Obydwoje mieli ślady krwi na twarzach i wymięte ubrania, jakby się z kimś szarpali.

Na ten widok Malachai zacisnęła usta ze złości.

Brat wlepił w niego przerażone spojrzenie. Holden nie bał się tego, co mogło go spotkać. Odczuwał strach przed tym, do czego posunie się Malachai, żeby go uratować.

– Nie trafiam tylko wtedy, gdy tego chcę – powiedział wreszcie szatyn. – Kolejna kulka powędruje w twój głupi łeb – dodał, wskazując lufą pistoletu na mężczyznę, który stał najbliżej chłopaków.

Czuł na sobie czyjś natarczywy wzrok. Ponownie zeskanował pomieszczenie wzrokiem i zatrzymał go na osobie, którą znał. Ochroniarz z hotelu bacznie mu się przyglądał z nietęgą miną. Kai pomachał do niego, triumfalnie się przy tym szczerząc.

– Kolega wie, do czego jestem zdolny, prawda? – zwrócił się bezpośrednio do ochroniarza, który niechętnie kiwnął głową. – Świetnie, więc jaki mamy problem?

Nim uzyskał odpowiedź, w magazynie pojawiła się kolejna osoba. Jeff Collins zatrzymał się na środku, tuż przy Kaiu. Miał na sobie najprawdopodobniej drogi garnitur, który nieco maskował jego tuszę. Przeszedł obok szatyna, cmokając w powietrze. Podszedł do drewnianej ławki i usiadł na niej, zakładając nogę na nogę.

– Dobrze cię wreszcie poznać, Kai. Na trzeźwo – powiedział. – Słyszałem, że jesteś narwany, ale nie sądziłem, że aż tak bardzo.

Malachai przewrócił oczami i jednocześnie prychnął pod nosem. Cały czas zerkał w kierunku

brata oraz przyjaciela, jakby chciał się upewnić, że na pewno nic im nie jest. Nie wybaczyłby sobie, gdyby ucierpeli. W końcu on ich w to wplątał, bo zachciało mu się zemsty.

– Chciałem, żebyśmy sobie coś wyjaśnili – kontynuował mężczyzna. Kai starał się go słuchać, chociaż myślami był w całkowicie innym miejscu. Nie mógł się skupić, kiedy ktoś celował w jego bliskich. – To jedyny raz, kiedy wam pomagam. I nie robię tego ze względu na to, że postanowiłeś mnie szantażować. Swoją drogą, nieźle to zaplanowałeś.

– Dzięki – mruknął Kai.

– Po transakcji się rozchodzimy. Potem po ciebie przyjdziemy.

– Powiniennem się bać? – roześmiał się Kai, unosząc dłonie w geście poddania. Tak go to rozbawiło, że oczy zaszczyły mu łzami. Przetarł je wolną dłonią. Później odniósł wrażenie, że ogląda film w przyspieszonym tempie; tak szybko wszystko się działo.

Holden na słowa Jeffa poderwał się z miejsca. Przez to oberwał pistoletem w bok twarzy od jednego z goryli. Skóra na jego policzku została przecięta, a z rany wypłynęła krew. Carter wykorzystał ten moment, by uderzyć mężczyznę w udo. Kai również musiał działać w nadzwyczaj szybkim tempie. Zrobił wielki krok do przodu, dzięki czemu udało mu się zapleść łokieć wokół szyi ochroniarza. Dociskał go coraz mocniej, aż twarz mężczyzny zrobiła się czerwona. Przyłożył lufę broni do jego skroni.

– I po chuj go dotykałeś? – warknął do ucha nieznajomego. – Nie dostałeś pozwolenia.

Zaledwie kilka sekund później usłyszał dźwięk przeładowywanej broni. Poczł coś zimnego z tyłu głowy. Rozejrzał się dookoła w samą porę, by zobaczyć, jak Holden sięga po swoją broń i wymierza ją w osobę za plecami brata. Carter natomiast celował w ochroniarza z hotelu, który trzymał na muszce blondyna.

– Zajebiecie! – krzyknął Kai z podekscytowaniem. Marzenia jednak się spełniały. – Zawsze chciałem zagrać w rosyjską ruletkę!

Nie czuł strachu. Za długo był duchem, by bać się, że go zabiją.

Po prostu stał sztywno z uśmiechem na ustach. Żaden mięsień jego twarzy nawet nie drgnął. Doskonale słyszał urywany oddech Holdena i pojękiwanie faceta, którego wciąż przy sobie trzymał. Napiętą atmosferę przerwało głośne klaskanie. Jeff podniósł się z ławki i ruszył w ich stronę. Zatrzymał się w samym środku sztormu.

– Jestem pod wrażeniem – powiedział z uznaniem. – Panowie, opuście broń.

Obstawa Jeffa posłusznie wykonała polecenie. Kai jeszcze przez chwilę przykładł lufę do skroni swojej ofiary. Policzył do trzech, połuźnił uścisk i odepchnął go od siebie z taką siłą, że mężczyzna stracił równowagę i upadł na kolana. Holden i Carter w końcu stanęli obok, dzięki czemu poczuł odrobinę ulgi.

– Możecie iść – zwrócił się do nich Jeff. Holden skinął głową i mrugnął do mężczyzny, jakby z wdzięcznością. – Do zobaczenia wkrótce, Malachai.

Kai nie potrafił tego zrozumieć. Trochę się zdenerwował, bo nienawidził, gdy ktoś mu rozkazywał. Wpływ na to miała również adrenalina, która wciąż wypełniała jego żyły, oraz serce chaotycznie odbijające się od klatki piersiowej. Przymknął na moment powieki. I wtedy usłyszał za sobą ciężkie kroki.

– Ej, szefie! – krzyknął ktoś niskim, gardłowym głosem. – Zobacz, kogo tu mamy.

Malachai powtarzał sobie w kółko, że nie powinien się odwracać. Automatycznie na nowo napiął każdy mięsień w ciele. Otworzył oczy i zerknął na Holdena, który wlepił spojrzenie gdzieś za jego plecami. Mina blondyna nie zwiastowała niczego dobrego. Kai wiedział już, że stało się to, czego najbardziej się obawiał. Zaciśnął palce na pistolecie tak mocno, że pobieleły mu knykcie.

– Zostaw mnie, zboczeńcu!

Uderzył w niego damski głos. I wtedy coś się w nim stłukło. Zagryzł dolną wargę z taką siłą, jakby chciał zrobić w niej dziurę. Powoli się odwrócił. Z wrażenia niemal ugięły się pod nim nogi. Kolejny z goryli Jeffa szedł w ich stronę, trzymając w ramionach Carmen, która wierzgała nogami oraz rękoma, chcąc się uwolnić.

– Co ona tu robi? – jęknął przestraszony Carter. Jego oczy przypominały dwie monety. – Kurwa, Kai, nie gadaj, że ją tu zabrałeś!

Kai nie odpowiedział. Odliczał w myślach do dziesięciu, by nieco się uspokoić. Ale każda komórka w jego ciele była przepełniona chęcią walki. Przepływało przez niego wibrujące uczucie mocy, a wibracje te wkrótce przerodziły się w złowrogi pomruk.

– Co z nią zrobimy, szefie? Może trochę się zabawimy?

Nie myślał zbyt racjonalnie. Wycelował w nieznajomego mężczyznę. Był tak wściekły, że nie potrafił na nią spojrzeć, chociaż czuł na sobie jej błagalny wzrok. Jeff podszedł bliżej, dzięki czemu bez

problemu złapał szczękę dziewczyny, dokładnie przyglądając się jej ładnej twarzy.

– Zaraz możesz zabawić się z własnymi wnętrznościami – wycedził Malachai przez zaciśnięte zęby. Nie panował nad sobą. Był bardzo blisko tego, by wystrzelić, ale Holden zacisnął palce na jego ramieniu, tym samym opuszczając rękę brata. Odpowiedział mu głośny, głupkowaty rechot, który jeszcze bardziej go zdenerwował.

Wreszcie zdecydował się na nią spojrzeć, mimo tego, że coś piekło go w klatce piersiowej, jakby rozpałił w niej nieokiełznany ogień. Carmen miała potargane włosy i nieco zaczerwienione oczy, ale wyraz jej twarzy nie zdradzał strachu. Również wbiła w niego spojrzenie, jakby chciała telepatycznie przekazać mu wiadomość. Skinął głową z lekkim, ale smutnym uśmiechem.

Uznała to za pozwolenie. Zacisnęła palce na nożu, który cały czas trzymała w dłoni. Policzyła w myślach do siedmiu i się zamachnęła. Na oślep trafiła między żebra mężczyzny. Momentalnie ją puścił i ryknął głośno z bólu. Malachai od razu przyciągnął ją do siebie i zrobił krok do przodu, by znalazła się za jego plecami. Resztę wydarzeń Carmen obserwowała z tamtego miejsca. Widziała, jak koszulka nieznanego powoli nasiąka krwią, która tworzyła na niej coraz większą plamę. Padł na kolana i złapał się za ranę.

I wtedy stało się coś, czego nikt nie przewidział.

Ranny mężczyzna w odwecie zdołał wyciągnąć pistolet. Wystrzelił, niedbale celując w szatyna. Kai tego nie zauważył, bo przyglądał się dziewczynie z czystą wściekłością. Nie zdążył się nawet odsunąć. To Carter wpadł na niego z ogromną siłą, złapał go w pasie i razem runęli z hukiem na ziemię.

Carmen w ostatniej sekundzie cofnęła się, wpadając prosto w ramiona Holdena, który mocno przycisnął ją do siebie.

Kai poczuł na sobie ogromny ciężar przygniatający go do brudnego podłoża. Z trudem przekręcił się na plecy, patrząc z wdzięcznością na twarz przyjaciela. Mina jednak szybko mu zrzędła, kiedy poczuł coś lepkiego na brzuchu. Uniósł lekko głowę i zobaczył czerwoną plamę na swojej bluzie. Nic go jednak nie bolało. Ostrożnie uniósł ubranie. Nie miał żadnego zadrapania, a to zmroziło mu krew w żyłach. To nie on był ranny. Przełknął nerwowo ślinę i obiegił przerażonym spojrzeniem sylwetkę Cartera, który powoli się z niego podnosił.

Carter nie wyglądał na przejętego. Nawet się uśmiechał, choć jego bluza zaczęła nasiąkać krwią. Kai dopadł do niego, podciągając rękaw ponad łokcie. Jego oczom ukazała się niewielka rana. Na szczęście kula tylko go drasnęła. Kai pośpiesznie zrzucił z siebie koszulkę i docisnął ją do przedramienia chłopaka, rozpaczliwie próbując zatamować krwawienie.

Dopiero wtedy Carter spuścił wzrok, uświadamiając sobie, że przez cały ten czas to była jego krew. Pierwszy raz w życiu dostał kulę. Próbował zachować się w tej sytuacji jak Malachai – chciał być z tego dumny. Ale powoli bladł na twarzy i ogarniały go mdłości. Jak przez dźwiękoszczelną szybę usłyszał spanikowany głos przyjaciela.

– Hej, skarbeczku, nie mdlej – mruknął Kai, trącając go w ramię. – Patrz na mnie. Nie na krew – poleciał, po czym chwycił go i pomógł wstać. Carter kiwnął głową. – Patrz na mnie, jak będę wyrywał tchawicę temu skurwysynowi.

Malachai ruszył z miejsca w kierunku rannego ochroniarza, zaciskając mocno pięści.

– Koniec przedstawienia! – krzyknął ktoś, kto wkroczył do magazynu. Kai znał ten głos doskonale. Nie musiał się nawet odwracać, by wiedzieć, kim była ta osoba, ale mimo tego przekręcił głowę. Tak, jak przypuszczał, zobaczył Ivana, a to nieco zbiło go z tropu. Znow spotęgowała się w nim złość.

– Byłeś tutaj cały czas? – zwrócił się do wujka, który od razu pokiwał głową twierdząco. Ruszył przed siebie z zawziętą miną. Ivan odepchnął go, jakby nic nie ważył. – I nie pomyślałeś, że wypadałoby nam trochę pomóc?

– Chciałem sprawdzić, jak sobie beze mnie radzicie – mruknął tonem, który wywoływał ciarki na ciele. – Narobiłeś niezłego bałaganu. Twoja zuchwałość kiedyś cię pograży. Niestety masz to po ojcu. Nawet nie wiesz, jak bardzo jesteś do niego podobny.

Malachai miał wrażenie, że świat wokół niego nagle przestał istnieć. Został tylko on i wszechobecna ciemność, która zaczęła go pochłaniać.

Holden obserwował go z przerażeniem. Często widywał go w stanach ogromnej złości, ale tym razem miał wrażenie, że prawdziwy Kai uciekł gdzieś daleko, a kontrolę nad nim przejął sam władca piekła. W jego oczach niemal odbijał się ogień, który mógłby spalić całą planetę.

– Co ty, kurwa, powiedziałeś?! – wrzasnął tak głośno, aż zabolalo go gardło. Nie myślał. W ogóle. Dopadł do wujka, przyciskając lufę pistoletu do jego żuchwy. Ivan zadarł podbródek, ale nie wyglądał na zdenerwowanego. Bardziej wyglądał tak, jakby często przeżywał podobne sytuacje. – Powtórz, to chętnie

rozkurwię ci głowę, wujaszku.

Ivan prychnął pod nosem. Zacisnął dłoń na nadgarstku bratanka, delikatnie go wykrzywiając, dzięki czemu bez problemu odciągnął pistolet od swojej twarzy.

– Trzymaj język za zębami, Kai, zanim powiesz o jedno słowo za dużo – odpowiedział. Malachai roześmiał się głośno, jak wariat.

– Chciałeś rozmawiać, więc proszę – kontynuował, rozkładając szeroko ręce – porozmawiajmy! O tym, że to przez ciebie zginęli! – Przez moment machał ręką, a potem docisnął pistolet do klatki piersiowej Ivana. – To ty powinieneś zginąć. Nie oni.

Pierwszy raz w życiu powiedział mu to prosto w twarz. I poczuł ulgę, jakby w końcu uwolnił się z klatki własnego umysłu.

Ktoś położył dłoń na jego plecach. Zerknął przez ramię i wbił rozbiegane, niewyraźne spojrzenie w zrezygnowanego Cartera. Chłopak pokręcił głową ze smutnym uśmiechem.

– Carter to jedyne dobro, jakie tu ze sobą przywlokłeś – fuknął Kai, robiąc krok w tył.

Ivan zarechotał złowieszczo.

– Beze mnie byłbyś nikim, Kai. Tylko złamanym chłopczykiem – powiedział mężczyzna z dumnym uśmiechem. – To ja cię stworzyłem. Dałem ci władzę i pozycję. Uwierzyłem w ciebie i zobaczyłem twój potencjał, podczas gdy dla rodziców byłeś tylko problemem. Zapomniałeś już, jak cię traktowali? Jak zwykłego...

– ...śmiecia? – urwał Kai, by parsknąć bezsilnym śmiechem. – Pamiętam. Doskonale. Powinieniem ci podziękować, że łaskawie się mną zaopiekowałeś? Że dałeś mi nową tożsamość? Że wyhodowałeś we mnie potwora, zamiast się go pozbyć?

Kiedy w końcu to z siebie wyrzucił, poczuł ogromną ulgę, jakby ktoś w końcu ściągnął z jego pleców okropnie ciężki krzyż, który symbolizował wszystkie jego cierpienia; jakby wreszcie się uwolnił i po długiej zimie wreszcie wyszedł na słońce; jakby po latach spędzonych w ciemności zobaczył na końcu tunelu światło.

Odwrócił się. Chciał to za sobą zostawić – raz na zawsze.

Miał wrażenie, że jego płuca się skurczyły. Nie mógł oddychać, dlatego zaczął się dusić. Łzy napłynęły mu do oczu, więc mrugał gwałtownie, żeby je odgonić. Potrząsnął głową i się roześmiał. Z bezradności. Zacisnął usta, chcąc uchronić się przed płaczem, który w nim wzbierał niczym fala uderzeniowa.

Holden, widząc nietypową reakcję brata, pociągnął go w stronę wyjścia. Ale Kai nie zamierzał tak po prostu odejść. Nie mógł, chociaż wydawało mu się, że za moment rozpadnie się na oczach wszystkich, pokazując słabości, które zawsze w sobie krył. Zaparł się, przez co blondyn musiał zatrzymać się w połowie drogi.

– Słyszałeś to, kurwa? – jęknął Malachai przez śmiech. – Wujek roku się znalazł.

Ivan nie odpowiedział. Wyminęli go, a gdy znaleźli się na powietrzu, Holden zdzielił brata w tył głowy. Włożył w to tyle siły, że Kai zachwiał się i poleciał do przodu. Gdy ponownie złapał równowagę, wyprostował się i posłał blondynowi gniewne spojrzenie.

– Zwariowałeś? Rzucasz się do Ivana? Do Ivana?! – spytał Holden podniesionym tonem. W jego głosie pojawiła się złość, chociaż twarz tego nie zdradzała.

– Obraził tatę. W przeciwieństwie do ciebie, nie będę tego tolerował, więc daj mi spokój.

Usłyszeli za sobą stukot butów. Kai odwrócił się w samą porę, by ponownie spojrzeć na twarz Ivana, który grzecznie przeprosił resztę towarzystwa, prosząc przy okazji, by zostawili go jedynie z Kaiem. Nikt nie protestował. Nawet Malachai był ciekawy, czego jeszcze mógł dowiedzieć się na swój temat.

– Czego nie rozumiałeś, gdy mówiłem, że masz się nie wychylać? – buchnął Ivan twardym głosem, a potem z jego oczu trysnęło lodowatym złem. Kai poczuł chłód w każdej części ciała, jakby wujek był czarnym charakterem z mocą zamieniania innych w bryły lodu.

– Och, rozumiałem wszystko – westchnął Kai. – Po prostu cię nie posłuchałem.

Ivan parsknął głupkowato. Jeśli miałby przypisać do siebie jeden odgłos, to byłby to właśnie ten śmiech. Pokręcił głową, podkreślając swoje rozbawienie. Dwa szybkie kroki, jak podczas rozgrzewki, wystarczyły, by znalazł się przy Malachaiu. Z zaskoczenia chwycił jego twarz w dłonie, zmuszając go, by nawiązali kontakt wzrokowy.

– Jesteś do mnie bardzo podobny, Kai – mruknął z dziwnym rozanieleniem na twarzy, jakby przypominał sobie miłe chwile. – Charakter masz po mnie, nie po Ianie. W twoim wieku też byłem porywczy. Rozrabiałem. Nie słuchałem. Pchałem się w kłopoty. Myślałem, że świat należy do mnie, bo wzbudzałem



w ludziach strach. Ale wiesz co nas różni?

Kai potrząsnął energicznie głową.

– Ty zginiesz, jeśli się nie opanujesz – wyjaśnił, oblizując spuchnięte wargi. Zabrał ręce z twarzy bratanka i lekko go odepchnął. To było jak silniejszy podmuch wiatru, a Kai i tak zachwiał się na piętach. Zachichotał nerwowo. – A ja nie chcę chować kolejnego członka rodziny. Więc może, kurwa, zmądrzejesz, co? I zaczniesz myśleć jak biznesmen, nie szczeniak?

Ivan splótł ramiona na torsie. Bacznie obserwował każdy ruch Kaia, jakby wołał go pilnować niż znów spuścić ze smyczy.

– Jeśli masz kiedyś przejąć po mnie biznes – mówił dalej, bo nic nie wskazywało na to, że Malachai mu odpowie. Był zbyt zdziwiony tym nagłym uzewnętrznieniem się wujka. Ivan zawsze wydawał mu się taki zobojętniały, jakby nic nie czuł. Nigdy. – Przystopuj ze swoim egocentryzmem. Buduj przyjaźnie. Trzymaj wrogów blisko. Niech myślą, że mają przewagę. A potem atakuj.

Kai kiwnął głową na znak, że zanotował wszystkie rady w głowie.

– Opłacało się? – spytał ni stąd, ni zowąd, zbijając wujka z tropu. Krzaczasta brew Ivana podjechała do góry. – Porzucić tytuł mistrza i karierę bokserską dla lewych interesów?

– Życie pisze różne scenariusze. – Mężczyzna wzruszył ramionami. – Miałem ważne powody. Wtedy to wydawało się słuszne, teraz... może bym został.

– Powody? – Podłapał zaciekawiony Kai. – Jakie powody?

Ivan puścił mu oczko.

– Tak wielkie jak ty.

Trzasnął drzwiami. Powoli docierało do niego, co się stało, a to odbierało mu dech w piersi. Chciał krzyczeć z bezsilności, aż poczuje ból gardła, ale Carmen wślizgnęła się za nim do środka i swoim spojrzeniem niemal wypalała w nim dziurę. Położyła dłoń na jego drżącym ramieniu, jednak nie przyniosło mu to ukojenia. Wokół panowała grobowa, pełna napięcia cisza.

– Jesteś zły? – spytała cicho. Nie była jednak pewna, czy w ogóle powinna przerywać mu przeżywanie tego, co tak bardzo w niego uderzyło. Słyszając jej głos, uniósł głowę. Spojrzał na nią intensywnie niebieskimi oczami, w których kryło się pełno sprzecznych uczuć. Zaśmiał się z bezradności.

– Nie. Nie jestem zły – mruknął. – Jestem kurewsko wściekły. – Nabrał w płuca powietrza i wypuścił je przez usta. Pragnął jak najszybciej zapomnieć o tym, czego się dowiedział, więc dając ujście emocjom, wyrzucił błyskawicznie: – Dlaczego mnie nie słuchasz, Carmen? Pomyślałaś w ogóle, co by się stało, gdybym nie dał ci tego jebanego noża? Nie jestem cholernym superbohaterem.

Pierwszy raz mówił do niej takim tonem. Niemal krzyczał, chociaż jego głos się łamał. Oddychał gwałtownie i płytko, co Carmen interpretowała jako gniew. Zaciskał dłonie w pięści. Ramiona drgały mu nierytmicznie. Czula się wtedy mała, malutka, malusieńka. Skuliła się pod ścianą, jakby to miało sprawić, że nagle zniknie mu z oczu.

– To ty wpadłeś tam, strzelając jak opętany – odparła ze spokojem.

– Kurwa – krzyknął, uderzając otwartą dłonią o ścianę, na co Carmen wyraźnie się wzdrygnęła. – Ale to jestem ja. Od dawna nie dbam o to, co się ze mną stanie, ale ty... masz być bezpieczna. Rozumiesz, czy ci to rozpisac?

Carmen się roześmiała. Zdezorientowany zmarszczył brwi.

– Och, wybacz, że dbam o to, żebyś ty też był bezpieczny.

– Nie prosiłem cię o to.

Zapadła cisza. Mózg Carmen zaciął się na tym, co powiedział, chociaż próbowała w to nie wierzyć. Odwróciła od niego wzrok. Poczula się tak, jakby właśnie ją zdeptał, wbijając głęboko w ziemię. Oczy zaczęły ją nieznośnie szczypać, dlatego zamrugwała szybko, by odgonić łzy.

– To prawda? – spytała, zmieniając temat. Wolą nie próbować rozszyfrować jego wcześniejszych słów, żeby bardziej się nie skrzywdzić. – O Iwanie?

Spojrzał na nią szeroko otwartymi oczami. Odetchnął z ulgą, gdy dokończyła:

– ...i twoich rodzicach?

Nie wiedziała, czy w ogóle powinna o to pytać. Był cały roztrzęsiony i jednocześnie nabuzowany. Obawiała się jego reakcji, ale ku jej zaskoczeniu tylko skinął głową. Nie zamierzał o tym rozmawiać, bo za każdym razem, gdy grzebał w przeszłości, kończył jeszcze bardziej zraniony. Oparł czoło na kierownicy i odwrócił się tak, by widzieć Carmen. Przez cały czas na jego ustach błąkał się smutny uśmiech.

– A Carter? To jego syn?

Kai parsknął głośno, jakby opowiedziała mu głupi żart.

– Nie – burknął sucho. – Ivan był z jego matką, gdy mieszkał w Anglii. Przedawkowała, a on wpadł w niezłe długi, więc zabrał go ze sobą do nas. Miałem dziewięć lat, kiedy pojawił się w progu naszych drzwi. I wiesz co? Wcale go nie polubiłem. Wkurwiał mnie bardziej niż Holden. Łaził za mną i nie pozwalał pakować się w kłopoty.

Carmen rozchyliła usta zaskoczona, bo całkowicie się tego nie spodziewała.

– Ale teraz... jest moim drugim bratem. Mam tylko ich. Dlatego się martwiłem.

Po tych słowach zamilkł na moment. Walczył z myślami, ponieważ nieustannie podrzucały mu okropny pomysł, który byłby zadośćuczynieniem Ivana za tyle lat kłamstw.

– Zadzwoń do swojego kumpla psa – rozkazał wreszcie. Carmen z zaskoczenia rozchyliła usta. Wydostało się z nich jedynie krótkie „Co?“, bo nic już nie rozumiała. Wpatrywała się w Kaia, choć on patrzeć na nią nie chciał. Wyglądał niewyraźnie jak świeżo namalowany obrazek, na który ktoś z premedytacją wylał szklankę wody. – Skończymy to.

– Czy... coś się stało? – Pragnęła, by podzielił się z nią swoimi troskami, ale zmuszenie go do

mówienia zawsze było trudnym zadaniem. – Chcesz... Chcesz o tym porozmawiać? – Głos jej zdrzął i przez moment miała wrażenie, że nie należał do niej. Zakasłała. – Możesz mi powiedzieć.

Wzruszył ramionami. Schował dłonie w kieszenie spodni. Na zmianę rozchyłał i zaciskał usta. Wyglądał tak, jakby coś zjadało go od środka, a on nie potrafił się tego pozbyć. Miał w głowie większy bałagan niż w swoim życiu.

– Przepraszam – mruknął słabo, jakby ten głos nie należał do niego. Wciąż uparcie gapił się w ziemię. Carmen postanowiła wstać i do niego podejść. Wsunęła palce między jego włosy. Uniósł głowę, ale wzrokiem błędził po całym pomieszczeniu. Jego niebieskie oczy były wszędzie, ale ani razu nie zatrzymały się na niej. – Przepraszam, że cię naraziłem. To było głupie, lekkomyślne i...

– Co się z tobą dzieje? – przerwała mu, robiąc krok w tył. Omiotła wzrokiem całą jego sylwetkę. Przypominał smutnego szczeniaka, którego nikt nie chciał pokochać.

– Nic. – Ponownie wzruszył od niechcienia ramionami. Ten gest zaczął ją irytować. – Nadal jestem sobą. Po prostu wcześniej nie miałem się o kogo martwić w ten sposób.

Szczerłość w jego głosie sprawiła, że wypełniło ją przyjemne ciepło. Nie mogła dłużej tylko stać i mu się przyglądać. Zbliżyła się na tyle, by pocałować go w policzek, a następnie w szyję. Nie odwzajemnił tego, nawet lekko się odchylił, jakby nie podobał mu się ten dotyk, dlatego sięgnęła po jego dłoń i musnęła jej wewnętrzną część.

– Dalej, Malachai – jęknęła, niemal żałośnie. Wciąż nie zareagował, dlatego w przypływie frustracji zamachnęła się, celując w jego pierś, by zmusić go do działania. Tak, jak przypuszczała, złapał jej nadgarstek w powietrzu, kolejny raz udowadniając, że miał nad nią przewagę. Skrzywiła się, bo to był naprawdę mocny uchwyt, pozbawiony jakiegokolwiek delikatności, aż pomyślała, że z łatwością połamaby jej kości. Bez mrugnięcia okiem. Carmen, ignorując ból, przysunęła się bliżej, wspięła na palce i z prowokacją wyszeptowała przy rozchylonych ustach mężczyzny:

– Zrób coś.

Przez usta Malachai prześlizgnął się grzeszny uśmiech.

– Co mam z tobą zrobić, Karmelku? – rzucił zaczepnie. Jego mina wskazywała na to, że świetnie się bawił, oglądając kwitnącą na jej twarzy dezorientację. – Sprecyzuj.

Nieświadomie zwilżyła usta, a on wodził dokładnie za zmysłowym ruchem jej języka. W tym momencie zrozumiał, że nie wyjdzie z tego pokoju bez sponiewierania nie tylko jej ciała, ale również duszy. Myślał już jedynie o tym, by zmoczyć jej wargi swoją śliną, aby po tym wysuszyć je urwanym oddechem, a potem to powtórzyć i znów, znów, znów, aż przesiąkną jego smakiem i zapachem. O tym, by po prostu ją dotykać, muskać, ssać i gryźć, aż skóra zacznie ją piec. Spojrzał w oczy Carmen dziwnym, nieodgadnionym wzrokiem. Ledwie kilka sekund później jego niebieskie tęczęwki załśniły dziko.

– Skrzywdź mnie, Malachai.

Samymi słowami sprawiła, że stwardniał, a jeszcze nawet nie zaczął jej dotykać. Zepchnęła go z krawędzi i bardzo mu się to podobało, bo na końcu czekała ona: słodka destrukcja. Rozchylił usta, unosząc ich kąciaki w wygłodniałym uśmiechu, z wyraźną satysfakcją. Szybkim ruchem, bez ostrzeżenia, odwrócił ją tak, że stała zwrócona do niego plecami. Nim się obejrzała, popchnął ją na szklany stół, a już sekundę później jej nabrzmiałe piersi dotykały zimnego blatu, który potęgował odczucia. Nie było ucieczki. Złapał ją jak tygrys, a ona z przyjemnością tonęła w jego ostrych pazurach. Przymknęła powieki, drżąc z emocji. Czuła, że stanął za nią – udami dotknął jej ud ściśniętych ze sobą. Najpierw zanurzył dłoń w rudych włosach, a potem oplótł potargane kosmyki wokół swojej dłoni i mocno nimi szarpał, sprawiając tym samym, że Carmen musiała unieść podbródek i otworzyć szeroko oczy.

– Patrz na mnie, Karmelku – wymruczał, pochylając się nad nią. Wsunął dłoń w znikomą przestrzeń między jej ciałem a blatem, szarpiąc szczupłe biodra tak, by wygiąć jej pupę w odpowiedni dla siebie sposób. Później równie bezczelnie, ale zarazem powoli, jakby szczylił się każdym zdobytym centymetrem jej skóry, zadarł jej spódniczkę i klepnął ją w pośladek, raz, drugi i trzeci, tak mocno, że aż zagryzła wargi, a w oczach pojawiły się łzy. Ciężko było jej pojąć, dlaczego ten ból rozbudził w niej najmroczniejsze pożądanie.

Wydała z siebie zduszony jęk, gdy po kręgosłupie, który Malachai gładził drugą dłonią, przebiegł dreszcz podniecenia. Zalało ją płynne gorąco. Myśli topiły się w umyśle, krew paliła w żyłach, bicie serca wrzało w głowie, a pożądanie płonęło w podbrzuszu. Malachai Yordan był jej mroczną stroną, cudowną torturą, ostateczną pokusą. I nie potrafiła się mu oprzeć.

– Lubię, kiedy na mnie patrzysz.

Z początku nie zrozumiała, co miał na myśli, zbyt wiele bodźców do niej docierało, ale chwilę później zauważyła przed sobą lustro. Było na tyle duże, że widziała w nim swoje odbicie – włosy w nieła-

dzie, owijające się wokół jego palców, zaczerwienione od przygryzania usta oraz zaszklone oczy. Malachai wciąż stał za nią, wyprostowany i cały naprężony. Wpatrywała się w niego jak zaszarowana – w złościbrazowe bicepsy oraz szeroką klatkę piersiową rysującą się wyraźnie pod koszulką, w sznur żył biegnący od jego przedramion aż do dłoni, gdy podciągał jej dzinsową spódniczkę jeszcze wyżej. W niebieskich oczach mignęło uwielbienie. Zmierzył ręką ciemne włosy, dzięki czemu trochę je potargał. Drugą dłonią powędrował do swoich spodni, chcąc je zsunąć.

Ale wtedy ktoś z hukiem wpadł na drzwi.

Kai odsunął się i od razu podciągnął dresy. Carmen wyprostowała się jak struna. Pośpiesznie obciągnęła spódniczkę. Mogła to przewidzieć. Sybil zachichotała głośno. Chwiejnym krokiem przekroczyła próg pomieszczenia i obiegła ich sylwetki wzrokiem.

– Wybaczcie. – Znów się zaśmiała. – Nie sądziłam, że tu będziecie. To kiedyś było nasze miejsce, prawda, Kai?

Zacisnęła usta i posłał Sybil spojrzenie przepęchnione gniewem. Patrzył na nią tak, jakby chciał bez słów przekazać jej, by wreszcie się przymknęła. Sybil jednak doskonale wiedziała, co robi, i nie zamierzała tego przerywać, bo bawiła się świetnie, wbijając mu szpilę.

– Prawda, Kai? – przedrzeźniła ją Carmen, starając się, by jej głos zabrzmiał nadzwyczaj słodko.

Wywróciła oczami, a potem wbiła w niego oskarżycielskie spojrzenie. Zerknął na nią z krzywym uśmiechem na ustach. Coś zmieniło się w jego oczach – wyparował z nich błysk, przez co stały się mętne, martwo szare. Może wywołało to oświecenie, ale wyglądał prawie tak, jakby umierał. Nie mógł temu zaprzeczyć, jeśli chciał być z nią szczerzy.

– Och, świetnie.

– Lisico, musisz wreszcie pogodzić się z faktem, że zawsze będę dziewczyną przed tobą – rzuciła Sybil z zalotnym uśmiechem, tak, jakby za chwilę miała się swobodnie roześmiać. – A on zawsze będzie moim pierwszym. Tego nie zmienisz.

Carmen z wrażenia otworzyła szerzej oczy. Miała wrażenie, że się przesłyszała. Zawisła nad nimi krępująca cisza. Znów spojrzała na Malachai, licząc na to, że zaprzeczy, ale jego ściągnięte brwi, spięta szczeka i nieobecny wzrok wskazywały na to, że Sybil mówiła prawdę. Carmen wyminęła go. Spróbował złapać ją za rękę, ale w ostatniej chwili zrobiła kolejny krok do przodu.

Wyszła. Kai chciał za nią pójść, ale pędziła tak szybko, że nie miałby jak jej dogonić. Niechętnie został więc z Sybil, przekonując się jednocześnie do tego, że nadeszła pora, by wyjaśnić wszystko, co między nimi było.

– Przepraszam, zrobiłam coś nie tak?

Buzowała w nim złość. Miał ochotę coś rozwalić, dlatego obrócił się wokół własnej osi, szukając idealnego obiektu. W końcu walnął pięścią w ścianę, a z jego ust wydostała się wiązanka przekleństw. Próbował nad sobą zapanować, ale zatarła się w nim granica spokoju. Dwa kroki wystarczyły, aby znalazł się przy Sybil. Zacisnął palce na jej ręce i szarpnął tak, że stanęli ramię w ramię.

– Lubię, kiedy jesteś taki brutalny, wiesz? – Oblizła drapieźnie wargi, jakby zapraszała go do zabawy. Cały czas patrzyła na niego z zadziornym uśmiechem na ustach i oczami pełnymi rozbawienia. Przejechała wolną ręką po klatce piersiowej Kaia. Swoim zachowaniem doprowadzała go niemal do furii i doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

– Przegięłaś – syknął. – To koniec. Wynoś się stąd.

Zaskoczył ją tak bardzo, że wreszcie spełniła jego wolę – przymknęła się. Kai z obojętną miną puścił jej ręce i ruszył przed siebie, ale usłyszał za sobą jej głos, który mimo wszystko zmusił go, by przystanął.

– Nie możesz mi tego zrobić, Kai!

– Nie wiem, co się z tobą dzieje, ale mam dość – burknął. W jego oczach była złość. Nic innego. Tylko złość. – To nie jesteś ty, Sybil. Tylko jakaś wredna dziewczucha, której nawet nie lubię.

– Ha! – krzyknęła, klaszcząc w dłonie z grymasem niezadowolenia. – To przecież twoja wina. To przez ciebie taka jestem!

Zdenerwował się, bo miał dość słuchania w kółko o tym samym. Wystarczyło to, że momentami sam katował się myślami o tym, jak bardzo nawalił w jej kwestii. Zmniejszył dzielący ich dystans, chwytając ją mocno za ramię i przyciągając do siebie. Chciał mieć pewność, że będzie na niego patrzyła, choć nie mógł wiedzieć, czy rzeczywiście go widzi, bo w oczach kryła łzy.

– Nie musisz się powtarzać. Wiem to.

I żałował tego. Jak cholera.

Zwrócił Sybil wolność – dosłownie oraz w przenośni. Ale nie zamierzała się z tym pogodzić. Była

zropaczona. I gotowa na wszystko. Dobiegła do niego w nadzwyczaj szybkim tempie i szarpnęła za rękaw bluzy. Nie chciał się odwracać, dlatego spojrział na nią przez ramię. Na młodej twarzy brunetki malował się strach, a ciemne oczy błyszczały od łez. Wiedziała, że bez niego sobie nie poradzi.

– Miałas swoją szansę, ale ją spierdoliłaś – mruknął, robiąc kolejny krok. Sybil jednak ciągle zaciskała palce na materiale jego ubrania, ciągnąc go z całych sił z powrotem w swoją stronę, jakby już nigdy miała go nie puścić. – Grzecznie cię proszę, wyjdź stąd i daj mi wreszcie spokój.

– Kai, proszę – jęknęła. Brzmiała żałośnie, jak ktoś, komu właśnie doszczętnie zawałił się świat. – Mam tylko ciebie. Nikogo więcej. Tylko ciebie. Przecież wiesz...

Dopiero wtedy się odwrócił, przez co poluzniła uścisk.

– Powtórzę, bo najwyraźniej twój przećpany mózg tego nie zrozumiał – zaczął niskim, niepokojącym tonem. Sybil poczuła, jak na jej ciele pojawiają się ciarki. Pierwszy raz odczuła bijący od niego chłód. – Wynoś się. Jeśli jeszcze raz cię tu zobaczę, to sam cię stąd wyrzucę.

Patrzył na nią, oczekując reakcji. Mrugała szybko, jakby gorączkowo analizowała jego słowa, jedno po drugim.

– Mam nadzieję, że dotarło, bo znudziło mi się bycie miłym.

Zostawił ją. Nawet się nie obejrzał, chociaż słyszał, jak pociągała nosem. Próbował przekonać samego siebie, że postąpił słusznie. Nadal widział w niej zagubioną dziewczynkę, którą poznał, gdy miała zaledwie piętnaście lat. Przez kolejne lata próbował o nią dbać, chociaż często udawała, że tego nie potrzebuje. Zawsze jednak wracała, a Kai nie potrafił długo się na nią złościć. Tym razem wszystko wskazywało na to, że ta toksyczna znajomość dobiegła końca.

Nie poczuł ulgi, choć powinien. W zamian poczuł się tak, jakby nagle i bezpowrotnie stracił kilka lat swojego życia.

• • •

Kiedy Malachai zszedł na dół, Carmen siedziała znów na kanapie. Była sama, ponieważ chłopacy rozbiegli się po całym klubie. Kai zajął miejsce obok niej, ale niezbyt się tym przejęła, lub przynajmniej chciała wyglądać na nieprzejętą. Zerknęła na niego przelotnie oczami pełnymi zawodu, przez co poczuł się nieswojo, ale jednocześnie ogarnęła go złość.

– Będziesz się o to gniewać? – spytał, opierając rękę za jej plecami. Koniuszkami palców musnął delikatnie ramię Carmen. Pochylił się w kierunku rudowłosej, dzięki czemu nie mogła tak po prostu dalej go ignorować. Odwróciła głowę i natknęła się na jego niebieskie tęczęwki. – Nie warto tracić na nią czasu.

– Ty chyba straciłeś na nią dużo czasu – prychnęła pod nosem. Nie chciała wyjść na zazdrosną. To się po prostu stało. Odsunął się od niej, jakby nieoczekiwanie przyłożyła mu nóż do gardła, i spojrział na nią ze zmarszczonymi brwiami.

– Dobra, chcesz prawdy? – westchnął ciężko. Cały czas na nią patrzył, tak intensywnie, że Carmen poczuła się z tym dziwnie i zaczęła wiercić się w miejscu. – Byłem jej pierwszym. Miała siedemnaście lat, gdy ją rozdziewiczyłem. Ale co z tego? – kontynuował spokojnie. Obliznął usta, ale nawet na sekundę nie stracił z Carmen kontaktu wzrokowego. – Jebać pierwsze razy, Karmelku. Liczą się tylko te ostatnie.

Carmen przez dłuższą chwilę rozchyliła i zamykała usta, jakby nagle z jej głowy uciekły wszystkie sensowne myśli. Mrugała szybko, próbując dokładnie przeanalizować jego słowa.

– Po prostu nie zabieraj mnie w miejsca, w których byłeś z nią. To nie jest fajne.

Malachai ponownie się nad nią nachylił. Oddech chłopaka delikatnie poruszał włosami Carmen, a mocny zapach perfum wdarł się do jej gardła tak głęboko, że musiała odkaszlnąć.

– W takim razie powinnaś wstać z tej kanapy – szepnęła obok ucha rudowłosej, a sekundę później się roześmiała. Carmen spojrziała na niego zdezorientowana. Odepchnęła go od siebie i gwałtownie wstała. Nie miała siły nawet tego komentować. Na zmianę czuła zawód i złość. Próbowwała go wyminąć, ale w porę złapał ją za rękę i przyciągnął do siebie, przez co wylądowała prosto na jego kolanach. – Tylko żartowałem, Karmelku.

– Jesteś dupkiem, Kai! – jęknęła i uderzyła go w bark, na co wywrócił oczami.

– Malachai – westchnął ciężko, trochę się przy tym krzywiąc. To imię wciąż z trudem przechodziło mu przez gardło, jakby było najostrzejszą żyłką. – Trułaś mi tym dupę, więc teraz ładnie powtórz.

Carmen na moment ściągnęła brwi i zmarszczyła nos w zastanowieniu, jakby wypowiedziane przez niego słowa były zadaniem matematycznym, które próbowała rozwiązać. W końcu przekrzywiła głowę na prawą stronę i uśmiechając się zwycięsko, mruknęła:

– Malachai, jesteś dupkiem.

Słyszając te słowa, opuścił brodę niemal do mostka i poruszył bezradnie ramionami, jakby się załamał. Zaciśnął usta do środka, walcząc z samym sobą, by się nie roześmiać, ale dołeczki w policzkach i zmarszczki przy oczach od razu go zdradziły. Potrząsnął głową i zakasłał.

– Ta. Już to gdzieś słyszałem. Możemy już przestać się kłócić? – Ponownie zwrócił się do niej twarzą. Położył dłoń na biodrze Carmen i przyciągnął ją bliżej siebie. Drugą rękę ulokował na jej udzie, wsuwając ją delikatnie pod materiał spódniczki. Musiał zadrzeć podbródek, by dokładnie widzieć oczy dziewczyny. – I przejść do tego, co przyjemniejsze, czyli do godzenia się?

– Wcale się nie kłócimy, więc nie musimy się godzić – odpowiedziała, wystawiając język.

Zacząła wiercić się na jego kolanach, by podnieść się do pionu, ale skutecznie to utrudniał.

Wyprostował się, by znaleźć się jeszcze bliżej i bezwstydnie ugryzł ją w ramię. Nic nie powiedziała, ale zauważył, że jej oddech się zmienił. Z każdą sekundą opór Carmen malał. Nie rozumiała, dlaczego nie potrafi mu odmówić. Zupełnie tak, jakby miał nad nią kontrolę. Wreszcie podniosła rękę i objęła jego kark, przyciągając go do siebie. Powędrowała ustami w kierunku szyi Kaia i tym razem to ona lekko go ukąsiła. Odruchowo przesunął dłoń na pośladki Carmen. Zarzuciła mu nogę na biodro, a on przycisnął ją jeszcze bardziej, dzięki czemu mogła poczuć, jak bardzo jest podniecony. Odsunął się tylko na sekundę, by spojrzeć w zielone oczy.

I wtedy czar przysł niczym bańka mydlana.

– Och, co za wspaniały widok. – Usłyszeli.

Carmen momentalnie się wyprostowała, a Kai zmarszczył brwi. Znał ten głos zbyt dobrze. Z tego powodu nie chciał się odwracać. W zamian zerkał na rudowłosą z niepewnością.

– Tylko nie mów mi, że to...

– Ryan – dokończyła za niego słabym głosem.

Malachai momentalnie poderwał się z miejsca, nieumyślnie zrzucając z siebie Carmen. Powiół spojrzeniem dookoła, aż wreszcie zatrzymał je na sylwetce blondyna. Ryan stał parę metrów dalej z chytym uśmiechem na ustach. Skrzyżował ręce na torsie i po prostu przyglądał im się z uniesioną brwią.

– Naprawdę się cieszę, kumplu, że wreszcie znalazłeś dziewczynę, która akceptuje twoje... – zrobił znaczącą pauzę, jakby zastanawiał się nad odpowiednim słowem – szaleństwa.

Sam widok Ryana wyprowadził Kaia z równowagi. Automatycznie zaciśnął dłonie w pięści, aż zatrzęszczało w stawach. Tak mocno, że poczuł wbijające się w skórę paznokcie. Wstrzymał oddech. Napiął mięśnie twarzy, jakby chciał, żeby zmieniły się w twardą maskę. Jego żebra zaczęły gwałtownie unosić się pod ubraniem.

– Carmen, poczekaj na zewnątrz – wymruczał.

Spojrzała na niego widocznie zaskoczona.

– Dlaczego?

– Nie każ mi tego powtarzać.

Tym razem jego głos brzmiał bardziej stanowczo i zdradzał nutkę zdenerwowania. Skinęła głową, gdy podał jej kluczyki do auta. Patrzyła na niego jeszcze przez kilkanaście sekund, zanim zdecydowała się odejść. Była przy drzwiach, gdy Ryan obdarował ją gorącym spojrzeniem i cmokając w powietrze, rzucił w jej kierunku:

– Narka, Carmen! Szkoda, że tak krótko...

Wyszła, więcej go nie słuchając. Kiedy zniknęła Kaiowi z oczu, wypuścił z ust powietrze.

– Trochę nierozważnie z twojej strony, że przyszedłeś tu sam, kumplu – zwrócił się do Ryana, wyraźnie akcentując ze złości ostatnie słowo. Blondyn wciąż się uśmiechał. Był to uśmiech, który doprowadzał Kaia na skraj urwiska. Jeszcze moment i mógłby z niego skoczyć na główkę.

– Kto powiedział, że jestem sam? – odpowiedział Ryan i rozejrzał się dookoła, jakby szukał swoich towarzyszy. – Może ktoś z moich ludzi właśnie zatyka Carmen tę wyszczekaną buźkę – dodał i wzruszył bez troski ramionami.

To było jak zapalnik. Ryan doskonale o tym wiedział, dlatego postanowił to wykorzystać. Kai poczerwieniał na twarzy ze złości. W ułamku sekundy doskoczył do blondyna i zaciśnął dłoń na materiale jego koszulki, by móc go do siebie przyciągnąć. Wolną ręką sięgnął do kieszeni po nóż, ale szybko zorientował się, że wciąż nie odebrał go od Carmen. Ryan tylko się roześmiał.

– Boże, wyluzuj – powiedział przez śmiech, łapiąc nadgarstki Kaia, by go od siebie odciągnąć. – Jesteś taki przewidywalny. – Wywrócił oczami, gdy Kai poluzował uścisk i zrobił krok w tył. Teatralnie wygładził dłonią materiał koszulki. – Przecież mamy rozejm, nie? Chyba że coś się zmieniło, odkąd obłem ci morde.

– Obileś mi morde, bo ci na to pozwoliłem – westchnął szatyn. Nie spuszczał wzroku z Ryana,

który wciąż triumfalnie się uśmiechał. – Po co tu przylazłeś?

Poczuł za plecami czyjąś obecność. Domyślał się, że to Holden.

– Siema, Holden! – rzucił luźno Ryan, ignorując wcześniejsze pytanie. – Jak leci? Nadal dzielisz się dziewczyną z bratem? Chłopaki, to trochę niepokojące...

Malachai drgnął. Był gotowy ruszyć na blondyna i po prostu zobaczyć, co się wydarzy. Ale Holden niemal od razu pociągnął go za koszulkę z powrotem w tył. Kai zerknął na niego przelotnie, posyłając mu przy tym smutny uśmiech.

– Chociaż Malachai chyba lubi trójkąty, nie? – kontynuował. Przyłożył dłoń do podbródka i wydał wargi, jakby na moment odpłynął myślami gdzieś daleko. Zatrzymał spojrzenie pełne rozbawienia na sylwetce szatyna. – Pamiętasz, jak kiedyś przystawiałeś się do mojej dziewczyny? To nie było zabawne.

Kai się wściekł. Przejechał dłonią po brodzie i ustach, by upewnić się, czy nie pociekła mu ślina. Miał wrażenie, że wszystko w nim wrze. Niekoniecznie z powodu zaczepek Ryana, bardziej przez to, że wypowiedział imię, którego nienawidził. Emocje wzięły górę. Drgnął niebezpiecznie z zamiarem kopnięcia blondyna w kolano. Holden jednak jak zawsze uratował sytuację, stając przed bratem.

– Ja bawiłem się z nią nie-ziem-sko – burknął pod nosem Kai. – Potrafiła robić takie coś z językiem. Też ci pokazała?

– Przestań pierdolić i powiedz wreszcie, co tu robisz? – wtrącił się Holden, zagłuszając brata. Musiał jakoś zapanować nad sytuacją, bo po czerwonej twarzy i zaciśniętych pięściach Kaia, wywnioskował, że to mogło skończyć się w tragiczny sposób.

– Chciałem sprawdzić, jak idą nasze interesy.

Malachai wyczuł idealną okazję.

– Świetnie – odpowiedział ze sztucznym uśmiechem na ustach. Dopiero wtedy postanowił spojrzeć na brata. Holden stał sztywno z zaciśniętą szczęką. Kosmyki jego jasnych włosów opadały mu na twarz, ale był zbyt zdenerwowany, by je odgarnąć. – Za mną, Ryan. Czas na twoją działkę.

Wychodząc, niby przypadkiem szturchnął Ryana w ramię.

• • •

Carmen nie spodziewała się tego, że po wyjściu z klubu zobaczy płaczącą Sybil. Wahala się. Nie była pewna, czy powinna tam po prostu stać i udawać, że nic nie widzi, czy podejść i okazać trochę współczucia. Ciche łkanie, które nieustannie do niej dobiegało, zmusiło ją do tego, by ruszyła się z miejsca. Podeszła do brunetki i przechyliła głowę, żeby lepiej jej się przyjrzeć.

Sybil siedziała na krawężniku. Łzy kapały na jej kolana, ręce i ziemię pod jej stopami. Miała potargane włosy, które zasłaniały połowę okrągłej twarzy. Makijaż nieco się rozmazał. Przypominała wtedy wszystkie nieszczęścia świata, które nagle nabrały kobiecych kształtów.

– Nie patrz na mnie – mruknęła niezrozumiale, ponieważ głos jej się łamał. Przyłożyła dłoń do twarzy, jakby chciała zakryć się przed całym światem. – Wyglądam okropnie.

Carmen mogłaby się z tym zgodzić, ale uparcie milczała.

– Dlaczego płaczesz? – spytała wreszcie, gdy wszechobecna cisza, przerywana jedynie przez szloch, zaczęła ją krępować. Sybil wzdrygnęła się na te słowa, jakby całkowicie zapomniała, że ma towarzystwo. Uniosła głowę, a w jej ciemnych oczach krył się smutek wielki jak czarna dziura. Przez moment Carmen bała się, że w nim zniknie.

– A jak myślisz? – prychnęła brunetka. – Zostawił mnie. Był jedyną osobą w moim życiu, która nigdy mnie nie opuściła – mówiła na jednym wydechu, krztusząc się łzami, które wpadały jej do ust. – Nawet nie wiem, gdzie są teraz moi rodzice. Jedyną rzeczą, która nas łączy, jest przelew bankowy.

Coś ścisnęło Carmen za serce. Nie powinna tego czuć, ale zawładnął nią żal. Pierwszy raz ujrzała w Sybil ludzką stronę. Patrzyła teraz na kruchą dziewczynę ze zniszczonymi marzeniami, która po prostu chciała coś znaczyć. Dopiero wtedy zrozumiała, dlaczego Sybil miała w sobie tyle jadu. Zagryzła policzek od środka. Nie wiedziała, co powinna powiedzieć, dlatego tylko przed nią kucnęła i złapała ją za rękę w geście otuchy.

– Możesz z nim porozmawiać? – kontynuowała Sybil. Ponownie podniosła głowę i wlepiała spojrzenie w twarz Carmen. – Żeby dał mi szansę?

– To raczej nie jest dobry...

– Proszę – załkała. Niespodziewanie złapała Carmen za nadgarstek. – Posłucha cię. Na pewno. Kai liczy się z twoim zdaniem. Ja... Nie chcę zostać sama. Nie mogę go stracić. Tylko on o mnie dbał. Ja...

Sybil nagle zamilkła, ponieważ w pobliżu pojawiła się kolejna osoba. Roztargniony Kai wyszedł

na zewnątrz. Tuż za nim dreptał Ryan. Kai rozejrzał się dookoła, po czym szepnął coś do znajomego, a potem się rozeszli. Wyraz jego twarzy diametralnie się zmienił, gdy oprócz Carmen zobaczył również brunetkę. Obliznął pośpiesznie usta i ruszył w ich kierunku, zaciskając bezwarunkowo pięści.

– Co tu jeszcze robisz? – rzucił podniesionym głosem.

Carmen wzdrygnęła się na sam dźwięk tego tonu. Wstała w samą porę, by zobaczyć, jak Malachai przeczesuje dłonią włosy w geście roztargnienia. Zatrzymał się przed Sybil, złapał ją za ramię i podniósł do pionu. Kiedy jednak zerknął na jej zaczerwienione policzki i przekrwione oczy, uderzył w niego niemal powalający smutek. Stłumił go w zarodku.

– Ile razy mam ci jeszcze powiedzieć, że nie chcę cię tu widzieć?

Sybil stała ze spuszczoną głową i pociągała nosem. W ciągu kilkunastu minut cały jej świat runął w gruzach i nie potrafiła nic z tym zrobić. Mogła tylko stać i patrzeć, jak ostatnie mury pękają i bezpowrotnie zamieniają się w miazgę.

– Porozmawiaj z nią – wtrąciła Carmen. Ulokowała dłoń na jego ręce i powoli ją opuściła, przez co poluznił ciasny uścisk, w którym trzymał Sybil. Zerknął na nią, jakby właśnie zobaczył ducha, i rozchylił usta. Był zdezorientowany.

– Jezu, przed chwilą chciałaś, żebym z nią skończył, a teraz każesz mi z nią gadać?

– Wysłuchaj jej – dodała z lekkim uśmiechem. – Czekam w aucie.

W całkowitym szoku obserwował, jak znika mu z oczu. Wreszcie przeniósł palące spojrzenie na Sybil. Skrzyżował ręce na torsie, dzięki czemu jego ramiona wydawały się znacznie potężniejsze. Zaciśnął usta do środka, czekając na jakąkolwiek reakcję ze strony brunetki, ale wciąż milczała, wlepiając wzrok w ziemię.

– Hej – sapnął zirytowany. Złapał ją za nadgarstek i lekko nim szarpnął, zmuszając ją do tego, by w końcu podniosła głowę. Tusz wraz z łzami spływał po krągłej twarzy czarnymi strumieniami. – Mów. Nie mam w sobie tyle cierpliwości, żeby sterczeć tu do usranej śmierci.

– Nie zostawiaj mnie – wychlipała, co zabrzmiało po prostu żałośnie. – Obiecuję, że nie będę wchodzić wam w drogę. Mogę na ciebie poczekać. Przecież kiedyś ją zostawisz – mówiła bez ładu i składu, krztusząc się kolejnymi łzami. Zgarnęła je ręką z twarzy. Złapała go mocno za nadgarstki, jakby był jedynym ratunkiem, jaki jej pozostał. Stał niewzruszony, choć piekło go serce. – Mam cię błagać? Tego chcesz?

Była gotowa przed nim uklęknąć, ale w porę ją chwycił i podniósł do pionu.

– Boże, przestań się poniżać, do cholery! – krzyknął w przestrzeń.

– Ja... – urwała, by bardziej zebrać się w sobie. – Kocham cię, Kai.

Jego mózg zaciął się na tych słowach. Nie zdążył odpowiedzieć, bo niespodziewanie się w niego wtuliła. Stał sztywno z oddechem więznącym w gardle. Czuł, jak jego koszulka powoli nasiąka jej łzami. Kiedy wreszcie otrząsnął się po szoku, jaki wywołało wyznanie Sybil, złapał ją za ramiona i odsunął od siebie. Zrobił krok w tył, jakby go parzyła.

– Naprawdę cię kocham. Od dawna. Proszę, nie zostawiaj mnie.

– Nie możesz mówić mi takich rzeczy – powiedział. Było w nim coś szorstkiego.

Przestraszył się jej słów, dlatego uciekł w najciemniejsze zakamarki umysłu.

– Dlaczego? – spytała i ulokowała dłonie na biodrach. Cały czas na niego patrzyła, a on pod wpływem tego spojrzenia czuł się mały. – Nie jesteś głupi. Na pewno o tym wiedziałeś.

Nie miał pojęcia, co powiedzieć. Że było mu zwyczajnie przykro, bo nie potrafił tego odwzajemnić? Że nie był zdolny do miłości, nawet jeśli bardzo się starał? Że nie mógł być dla niej tym, kim chciała, by był? Że nie potrafił wykrzesać z siebie chociaż odrobiny dobra? Wydawało mu się, że wszystkie właściwe słowa leżały zbyt daleko, aby mógł po nie sięgnąć. Stał więc w całkowitej ciszy przez kilkanaście długich sekund. Zagryzał wargę tak intensywnie, że w końcu poczuł na języku smak krwi.

– Nie – westchnął, dociskając palce do powiek. – Nie kochasz mnie. A ja nie kocham ciebie. To tylko chora więź, którą musimy wreszcie zerwać.

– Naprawdę łudziłeś się, że przez tyle czasu nic do ciebie nie poczuję?! – krzyknęła przez łzy, odpychając go od siebie. Wściekła się i przez złość zapomniała, jak bardzo była zraniona. – W jakim świecie ty żyjesz, Kai? Jeśli jeszcze tego nie wiesz, to cię oświecę. Dziewczyny zakochują się w takich facetach jak ty.

– Ja... po prostu... – jąkał się, bo najzwyczajniej w świecie go замуrowało.

Nie potrafił udzielić sensownej odpowiedzi. Przestał na nią patrzeć, bo to przez niego zmieniła się w ruinę. Wyminął ją z bólem w klatce piersiowej i na sztywnych nogach ruszył przed siebie. Słyszał za plecami jej żałosne nawoływania i płacz, ale powtarzał sobie, że nie powinien się odwracać. Kiedy dotarł



do samochodu, mógł z powrotem swobodnie oddychać. Wsiadł do środka, położył dłonie na kierownicy i pochylił się do przodu. Miał ogromny bałagan w głowie, którego w żaden sposób nie potrafił posprzątać.

– Wszystko okej? Co ci powiedziała? – spytała z troską Carmen.

Malachai przypomniał sobie, że siedzi obok. Uniósł głowę, by obdarować ją spojrzeniem szerokich źrenic.

– To... nieważne.

Próbował przekonać do tego samego siebie. Sybil kolejny raz miała rację. Domyślał się, że czuła do niego znacznie więcej niż on do niej, ale cały czas to ignorował. Dopiero kiedy powiedziała to na głos, zrozumiał, co naprawdę ich łączyło. Słowa Sybil utknęły mu w głowie. Chciał je pochować głęboko pod ziemią, ale nie potrafił o nich zapomnieć. Były jak nóż, który rozgrzebywał jego wnętrze.

„Kocham cię, Kai”.

„Kocham cię”.

„Kocham”.

Nie rozumiał, jakim cudem to było możliwe, bo on sam nie potrafił siebie pokochać.

– Zadzwoń na psy? – zmienił temat, by zagłuszyć destrukcyjne myśli. Był teraz dla nich łatwym kąskiem. Carmen niechętnie skinęła głową. Nie wiedziała, co knuł Kai, ale nie musiał przecież wiedzieć, że zrobiła to na długo przed tym, jak o to poprosił. – Świetnie. Czas na plan A.

Carmen obracała w dłoni nóż, który należał do Kaia. W ciszy przyglądała się wygrawerowanemu napisowi. Dokładnie odczytywała w głowie każdą literkę składającą się na jego nazwisko. Yordan. Yordan. YordanYordanYordan. Jej umysł się zaciął. Patrzyła przed siebie i widziała tylko ostrze, lśniące w ostatnich promieniach słońca. W końcu, niewiele myśląc, przyłożyła je do dłoni i napała nim na skórę, delikatnie ją nacinając. W momencie, w którym zawładnął ją ból, ocknęła się z tego dziwnego stanu zawieszenia.

– Chyba powinnam ci to oddać – odezwała się, przerywając ciszę.

Dopiero wtedy Kai, który od kilku minut obejmował ją silnymi ramionami, odsunął się i obrzucił ją spojrzeniem. Najpierw ujrzał niezwykłą konsternację wypisaną na jej twarzy, a potem skupił się na niezbyt głębokim rozcięciu na dłoni dziewczyny. Syknął przez zęby, jakby to jemu stała się krzywda. Chwytny Carmen za rękę, przybliżył ją do swojej twarzy i delikatnie musnął ustami ranę, ścierając z niej krew. Cały czas patrzył jej prosto w oczy, niemal rozbierając ją do naga. Ten gest dziwnie na nią zadziałał. Wciągnęła powietrze przez usta, gdy poczuła nutę podniecenia.

Nie rozumiała, co się z nią dzieje, i chyba wołała w tym nie grzebać, by nie ubrudzić sobie rąk. Nie potrafiła wyjaśnić, dlaczego robiła z nim rzeczy, o których wcześniej nawet by nie pomyślała. Nie wiedziała też, z jakiego powodu sprawiało jej to ogromną przyjemność. Zupełnie tak, jakby wciągnął ją w ciemną otchłań, gdzie mrok utulił ją do snu. I wcale nie chciała stamtąd uciekać.

– Zdecydowanie powinnaś – mruknął z lekkim uśmiechem na ustach.

Nie potrafiła się skupić, gdy wpatrywała się w jego miękkie wargi, na których wciąż znajdowały się ślady jej krwi. Poruszyła się niespokojnie na kolanach chłopaka. I przestała myśleć. Nachyliła się nad nim i złączyła ich usta. Kai momentalnie ulokował dłoń na jej plecach, napierając na nią, by znalazła się jeszcze bliżej. Stopniowo przeniósł pocałunki na jej szyję, więc odchyliła się nieco i przymknęła powieki.

Miała wrażenie, że w środku niej wybuchł nieokiełznany pożar. Wsunęła dłonie pod jego koszulkę i pociągnęła paznokciami po skórze. Później powędrowała do paska spodni Kaia i powoli go rozpięła. Zaśmiała się i oparła się plecami o kierownicę. Kai patrzył na nią przez trzy sekundy, zanim w jego oczach pojawiło się coś dzikiego, niemal zwierzęcego.

Puścił jej ręce i jednym sprawnym ruchem podciągnął obcisłą sukienkę, odkrywając jej uda. Carmen opadła na jego klatkę piersiową. Czuł szybkie uderzenia serca – nie tylko Carmen, ale również swojego. Zaczął dokładniej badać ciało rudowłosej, sunąc dłońmi wzdłuż jej talii, w górę i w dół, w dół i w górę. Chichotała, kiedy całował ją przy uchu i wiła się, gdy dmuchał ciepłym oddechem w szyję. Zsunął ramiączko jej sukienki. Carmen wsunęła palce w jego włosy, przyciągnęła go do siebie i ponownie dotknęła wargami jego ust.

Całowali się coraz namiętniej, coraz zachłanniej, coraz rozpaczliwiej, jakby świat miał się obrócić w gruzy, gdy się od siebie odsuną. Powietrze stało się gęste i wilgotne od ich urywanych oddechów.

Od stóp do głów przeszedł Carmen przyjemny dreszcz, kumulujący się w jej podbrzuszu. Bez namysłu położyła dłoń na jego gardle. Odchylił się w tył i przełknął powoli ślinę, ale nawet przez sekundę nie wyglądał na zaskoczonego – bardziej tak, jakby to mu się bardzo podobało. Czuła, jak jego jabłko Adama porusza się leniwie w górę i w dół. A potem wydał z siebie ciche mruknięcie, które wywołało wewnątrz niej lawinę skrajnych emocji.

Musiała to wreszcie przyznać. Polubiła uczucie bezgranicznej władzy, jakie ogarniało ją w jego towarzystwie. Patrzyła mu prosto w oczy, napierając palcami na szyję z coraz większą siłą, a on po prostu się uśmiechał. Już nie musiała obawiać się tego, że Kai wraz z kolejnym swoim ruchem pozbawi ją życia. Bo w niewielkim stopniu, kawałek po kawałeczku i w pełni świadomie, oddawał władzę nad sobą w jej ręce.

Kiedy Malachai podniósł się, by lekko zsunąć spodnie, ktoś z impetem uderzył w szybę. Drgnął instynktownie i w efekcie zarył głową w dach. Jęknął przeciągle, rozmasowując obolałe miejsce i przekręcił głowę. Czuł, jak Carmen momentalnie się spięła, a to sprawiło, że w jego umyśle zapaliła się czerwona lampka.

– Och, znów się obściskujecie?

To był Ryan. Irytujący jak zawsze. Zaglądał do środka przez szybę z durnym uśmiechem, który od razu zirytował Kaia do granic możliwości. Dla świętego spokoju wysiadł z samochodu, a Carmen zaraz za nim. W samą porę, by zobaczyć, jak zadowolony Ryan zaciera rączki.

– Gdzie moje dragi?

– Gdzie moja kasa? – Naśladował go Kai.

Ryan prędko się zreflektował. Machnął ręką, jakby całkowicie o tym zapomniał. Zaczął stawiać małe kroczki w tył, aż dotarł do bagażnika, z którego bardzo powoli wyciągnął czarną torbę. Rzucił ją pod nogi Kaia, który niestety nie miał szansy przejrzeć zawartości. Za plecami poczuł czyjąś obecność, dlatego prędko kopnął worek pod koło.

– Wreszcie się spotykamy, Yordan.

Kai odwrócił się przez ramię. Od niechcenia uniósł obie dłonie na wysokość brzucha. Wzrokiem obiegnął mężczyznę przed sobą. Bentley Cole mógł być w podobnym wieku, ale dzięki białej koszuli, krawatowi i długiemu płaszczowi wyglądał znacznie poważniej. Zatrzymał wzrok na sylwetce Kaia, po czym uśmiechnął się zuchwale, dzięki czemu uwydatniła się mocna linia szczęki.

– Nie przypominam sobie, żebyśmy byli na „ty” – rzucił z ironią Malachai. – Ehm. Sorka. Przedstawisz się? Nie mam pamięci do imion.

– Agent Bentley Cole – powiedział Cole niskim tonem, odsłaniając fragment płaszcza, by ukazać wszystkim błyszczącą odznakę. – Twoja zmora. Wiesz, nie odpuszczam łatwo, więc pewnie będziemy się często spotykać.

Malachai parsknął głośno, jakby właśnie usłyszał świetny żart.

– Super. Zawsze chciałem mieć kumpla psa – odpowiedział, unosząc kąciki ust w aroganckim uśmiechu.

Postawił krok w przód, a wtedy poruszył się również Bentley. Dystans między nimi skurczył się w przeciągu kilku sekund. Napięcie buchało od nich niczym para z rozgrzanego pieca. Stali wyprostowani i maksymalnie spięci, unosząc dumnie podbródki, jakby za moment mieli skoczyć sobie do gardeł.

– Czemu zawdzięczamy taką wspaniałą wizytę? – szepnął Kai, przerywając grobową ciszę, po czym rozłożył szeroko ramiona. Zerknął na Ryana, który zaczął się nerwowo zachowywać. – Ryan, nie bądź niekulturalny, przywitaj się – dodał miło i jednocześnie trącił znajomego w ramię. Ryan machnął niechętnie ręką.

– Plotki głoszą, że macie tu coś nielegalnego – odpowiedział Bentley, prostując się jeszcze bardziej, dzięki czemu przez ramię Kaia mógł swobodnie zajrzeć do bagażnika, gdzie znajdowały się dwie czarne sportowe torby. – Co tam macie?

– Może sprawdzisz?

Ryan zadławił się śliną, gdy Kai, cicho chichocząc, zszedł policjantowi z drogi, ułatwiając dostęp do samochodu. Bentley, przechodząc obok, klepnął Kaia w ramię. Z każdą kolejną sekundą wokół nich żarzyło się coraz więcej iskier, które mogłyby podpalić całą okolicę. Znowu mierzyli się gniewnymi spojrzeniami, jakby toczyli walkę o to, kto dłużej nie mrugnie. Przypominali samców, którzy prowadzą spór o władzę w stadzie.

Carmen, która od dłuższego czasu się nie udzielała, przyglądała im się, myśląc, że są do siebie całkiem podobni. Nie tylko pod względem wzrostu i muskulatury, ale również charakteru przesiąkniętego do cna arogancją i poczuciem wyższości. Złapała przelotny kontakt wzrokowy z Bentleyem. Nie potrafiła określić, co działo się w jego oczach, ale to zdecydowanie nie było nic przyjemnego. Wydawały się chłodne i obojętne.

– Cześć, Carmen – powiedział, odwracając do niej twarz. Przełknęła nerwowo ślinę, kiedy Ryan spojrzał na nią z zaskoczeniem. Nie miała odwagi odpowiedzieć.

– Co tu się, kurwa, dzieje? – odezwał się Ryan, unosząc dłoń jak do odpowiedzi w szkole. Wszyscy na niego spojrzeli, przypominając sobie nagle o jego obecności. On jednak patrzył wprost na Carmen spojrzeniem tak przenikliwym, że odniosła wrażenie, że mogłby nim po prostu ją zabić. I chyba o tym właśnie marzył w tamtej chwili. – Twoja suka trzyma z psami?!

Malachai spojrzał na twarz Ryana, przeczuwając, do czego zmierza ta sytuacja. Blondyn ruszył gwałtownie z miejsca, jakby naprawdę szykował się, by wbić pazury w gardło Carmen w ramach zemsty, powodując, że automatycznie wycofała się za plecy Malachaia. Widząc zmieszanie na jej twarzy, Kai w porę odepchnął Ryana w tył, przez co ten wpadł tyłkiem na maskę auta.

– Wiedziałem, że nie zainteresowałyby się tobą bez powodu – prychnął Ryan, jednocześnie kręcąc z politowaniem głową. Kai zacisnął dłonie w pięści. Ręce świerzbiły go, by uderzyć Ryana za te brednie,

które wygadywał. Ale musiał przecież zgrywać przykładnego obywatela, który płaci podatki i pomaga starszkom z zakupami. Wyprostował się nieco, lokując splecione dłonie na klamrze paska od spodni.

– Panowie, zostawmy damę w spokoju – zaproponował Bentley. – I porozmawiajmy jak dżentelmeni.

– Panie Psie, ja wiem, że stoimy na zakazie – zaczął uprzejmie Kai, zerkając szybko na znak, który zakazywał parkowania w tym miejscu – ale proszę nam wybaczyć. Tylko sobie gadaliśmy. Już się zawijamy.

– Mało wam pracy, że zaczepiacie uczciwych ludzi w ciemnych uliczkach? – dorzucił od siebie Ryan. Przysunął się do Kaia. Stali ramię w ramię jak partnerzy. Zupełnie tak, jak za dawnych czasów, gdy przyszło im mierzyć się ze wspólnym wrogiem. Wtedy nikt nie miał z nimi szans.

– Bandziory wyglądają teraz znacznie przyjemniej niż kiedyś, wiecie? – Agent Cole rozejrzał się dookoła, nie omijając żadnego szczegółu. Szukał dowodów na to, że Carmen dała mu cynk z właściwego powodu, że nie przyjechał tu na marne i przede wszystkim... że nie wyciągnął swojego asa z rękawa na marne. Jeśli kłamała... całą akcję, którą przygotowywali miesiącami, w sekundę trafiłby jasny szlag. Złączył dłonie za plecami, przeszedł się wzdłuż prostej linii, aż zatrzymał się centralnie przed Kaiem. – Nigdy nie wiadomo, na kogo się trafi. Każdy może trzymać w sobie demona.

– A ty, Panie Psie? – zaczepił Kai, patrząc mu prowokująco w oczy. – Gdzie masz swojego demona?

– Ty nim jesteś, Malachai.

Bentley wsunął dłonie do kieszeni płaszcza, czekając na reakcję chłopaka, ponieważ doskonale wiedział, że samo wypowiedzenie na głos tego imienia najprawdopodobniej nieźle go wkurzy. I wcale się nie pomylił. Kai momentalnie zacisnął pięści. Spojrzał w stronę Carmen, gdy w jego umyśle pojawiła się okropna myśl, że to ona zdradziła policjantowi, jak bardzo nie lubi, kiedy ktoś się do niego zwraca w ten sposób. Nie potrafił jednak nic wyczytać z jej grobowej miny. Wciąż była z nim? Czy jednak cały czas grała? Odchylił głowę w tył, patrząc w niebo.

Pogrążone w ciszy miasto mogłoby zostać zbudzone przez gardłowy śmiech, który wypełznął z ust Malachai niczym robactwo, które atakuje wszystko na swojej drodze.

– Zabawne – mruknął. – Niestety zawiodę cię, bo nie mam nic do ukrycia.

Tymi słowami Kai sprawił, że Bentley posłał mu szybkie spojrzenie przez ramię. Zajrzał do bagażnika. Odrzucił na bok koc, apteczkę i jakieś ubrania. Otworzył jedną torbę, potem drugą i... natknął się jedynie na pustkę. Odwrócił się, wbijając palące spojrzenie w Carmen, bo domyślił się, że miała z tym wiele wspólnego. To ona była sprawczynią całego zamieszania. I wtedy dotarło do niego, że wcale nie grała w jego drużynie. Był nią zawiedziony – to właśnie zdradzała jego mina, gdy stał przed nią i w ciszy mierzyli się spojrzeniami.

I nagle...

Jeden wystrzał. Tyle wystarczyło.

Ciało policjanta osunęło się tuż przed nimi. Krew rozbryzgnęła się dookoła. Kai poczuł ją na twarzy, a nawet w ustach, więc splunął na ziemię, by uwolnić język od charakterystycznego metalicznego smaku. Próbował zrozumieć, co dokładnie się stało, bo czuł się tak, jakby ktoś wrzucił go na plan zdjęciowy całkowicie innego filmu niż ten, w którym grał główną rolę.

Zerknął przelotnie na ciało Bentleya. Kulka wbiła się w jego pierś, rozszarpując skórę wokół. Rana prezentowała się więc paskudnie, szczególnie że wypływało z niej dużo krwi, która wokół tworzyła czerwone jezioro. Klatka piersiowa ledwie się unosiła, co jasno sugerowało tylko jedną myśl. Bentley Cole nie miał tyle szczęścia, by przeżyć. Kai przekroczył zwłoki, aby znaleźć się bliżej Carmen. Złapał ją za dłonie, ale nawet na niego nie spojrzała. Uciekała wzrokiem na boki, aż wreszcie zatrzymała go na powiększającej się kałuży krwi.

– Ja pierdołę! – ryknął Kai na całe gardło. Doskoczył do Ryana, od razu łapiąc go za koszulkę, dzięki czemu bez problemu docisnął go plecami do samochodu. Obaj oddychali ciężko, patrząc sobie w oczy z czymś wrogim. Ledwie się powstrzymywał, by nie sprawić, że Ryan skończy podobnie jak agent Cole. – Odjechało ci, Ryan?! Strzelasz do psów?

– Inaczej by nas wkopał! – odburknął Ryan, zaciskając palce na nadgarstku Kaia, by jak najszybciej odciągnąć go od swojego ciała. Ale Malachai był tak zawzięty, że tylko bardziej na niego napierał. Coraz mocniej. A w jego oczach był tylko gniew.

– Za co, idioto? – wykrzyczał wprost w zmieszaną twarz blondyna. – Za puste torby? Za dragi, których nie mamy? Czy stanie na zakazie? Miałem wszystko pod kontrolą!

– Wiedziałeś, że tu przyjedzie? – sapnął Ryan w odpowiedzi, a potem wybuchnął histerycznym

śmiechem. Oderwał wzrok od pełnych szaleństwa oczu Kaia i zerknął za jego plecy, wprost na Carmen, która cała drżała, jakby stała nago w ulewie. – Ha! Miałem rację! Gadałaś z psami, suko?

– Carmen, wsiądź do samochodu – polecił Malachai, nie spuszczać wzroku z twarzy Ryana. On w przeciwieństwie do Kaia wydawał się nieprzejęty bałaganem, jakiego narobił. Kai, patrząc mu w oczy, zastanawiał się, czy tak właśnie czuł się Holden za każdym razem, gdy sam broił. Zauważył, że Carmen rozchyliła usta. Chciała zaprotestować, ale ubiegł ją, mówiąc bardziej niecierpliwie: – Wsiadaj do samochodu, Carmen! JUŻ.

Ledwie poruszyła się z miejsca, gdy po okolicy ponownie rozniósł się donośny głos Ryana:

– Dlaczego jeszcze jej nie odjechałeś, Kai?! To szkodnik!

Obserwowała ich z boku z szaleńczo bijającym sercem. Ryan wodził spojrzeniem po twarzy Kaia, który za wszelką cenę starał się pozostać obojętny. Nie chciał, aby zdradziło go choćby niekontrolowane drżenie mięśnia lub mruknięcie okiem.

– Och, serduszek zabiło mocniej? – zakpił Ryan, klepiąc kolegę otwartą dłonią po lewej piersi. – Nie potrafisz się nią zająć? Chętnie ci pomogę!

Carmen podskoczyła w miejscu, kiedy Ryan wymierzył w nią pistoletem. Zesztywniała wpatrywała się w otwór lufy, a przed oczami przewijały jej się wszystkie sceny z życia – smutne, radosne, pełne płaczu lub uśmiechów. Zamrugała błyskawicznie, by pozbyć się spod powiek gorzkich łez przerażenia. Serce łomotało w klatce piersiowej Carmen, stając się jedynym dźwiękiem, jaki dokładnie słyszała. Nawet głos Kaia, choć stał bardzo blisko, nie był tak wyraźny.

– Sam to zrobię – burknął Malachai, wywracając oczami. Łokciem uderzył w wyprostowane ramię Ryana, dzięki czemu blondyn z triumfalnym uśmiechem opuścił broń. To jednak nie sprawiło, że Carmen odetchnęła z ulgą, bo nim zdążyła odsapnąć, to Kai celował w jej głowę. Widziała dokładnie rysy jego skupionej twarzy, które odbijały się w kałuży. Wyglądał w każdym calu tak, jakby był gotowy to zrobić.

Pomyślała, że może tak właśnie miał wyglądać jej koniec, bo romanse, które zaczynały się krwią, z reguły kończyły się krwią.

Ta chwila była jak policzek wymierzony wszystkiemu, czym byli.

Ze smutkiem spojrzała głęboko w niebieskie oczy, pragnąc przesyć jego duszę na wskroś, bo najwyraźniej wciąż za mało o nim wiedziała. On też świdrował ją uważnym wzrokiem. Było jej zimno i niedobrze. Wszystko na raz. Czowała się zdradzona. Wypełniał ją wstręt do samej siebie, bo podarowała mu swoje zaufanie, a on je zdeptał i wyrzucił. Była głupia, jeśli myślała, że diabeł może mieć uczucia, skoro nie ma serca. Żal zaczął ją wykańczać – kawałek po kawałeczku.

Kai poruszył ręką. Instynktownie zacisnęła mocno powieki. Czowała, że stanie się to, co ma się stać, i w żaden sposób tego nie powstrzyma. Nie chciała jednak patrzeć na niego, gdy strzela, bo wiedziała, że nie mrugnąłby przy tym okiem. Stała i czekała, aż kula przetnie jej ciało niczym błyskawica, ale nic nie poczuła. Usłyszała tylko głuchy odgłos, a potem jęk. Strach podpowiadał, że nie powinna otwierać oczu, ale ciekawość była silniejsza. Utkwiła wzrok przed sobą. Ryan dociskał palce do pękniętej skóry przy brwi, a Kai chował pistolet za pasek spodni, drugą ręką sztywno przytrzymując nadgarstek znajomego. Domyśliła się, że wcześniej musiał zdzielić Ryana rękkojeścią.

Nie czekała na żadne słowa. Zatroškany wzrok Malachaija jasno wyrażał, że powinna już zniknąć im z oczu, nim rozpęta się jeszcze większe piekło.

Został sam z Ryanem. Dopiero wtedy poczuł, jak bardzo boli go głowa. Poluzował uścisk na ubraaniu Ryana, przez co ten mógł się odsunąć. Dłonią wygładził materiał pogniecionej koszulki, a Kai w tym czasie przykucnął przy Bentleyu. Było źle. Bardzo źle. Krew wypływała mu już z ust i spływając po bokach twarzy, nikła w czarnych włosach. Kai, niewiele myśląc, docisnął dłoń do rany. Jasne oczy agenta z paniką błędziły po zamyślonej twarzy Kaia, który próbował znaleźć wyjście z tej patowej sytuacji.

– To twój burdel, Ryan! – warknął, zerkając na znajomego. Spiorunował go wzrokiem. Ale Ryan tylko krążył dookoła, cały nabuzowany, jakby za moment miał eksplodować.

– Ta. Ale ty mnie w to wpakowałeś! – odpowiedział wściekle. Obszedł ciało, po czym oparł dłoń na spiętych barkach Kaia i nachylił się nad nim, by widzieć dokładnie twarz policjanta. – I co, psie? Czas na uśpienie?

Ryan znów machnął pistoletem tuż przy głowie Kaia, a ten w odpowiedzi złapał w powietrzu jego nadgarstek. Narobił już zbyt wiele głupot jak na jeden wieczór. Nie mogli przecież pograżyć się jeszcze bardziej. Zmierzyli się gniewnymi spojrzeniami.

– Kiedyś byliśmy jak szluga z jednej paczki. A teraz chciałeś mnie wystawić? Tanie zagranie, Kai. Mogłem za to dostać z dziesięć lat!

– Teraz możesz dostać dożywocie, idioto! – prychnął Malachai. Powtarzał sobie, że musiał odegrać rolę, choć cały plan się posypał. – Byłem tu z tobą! Cały czas! Poszlibyśmy na dno razem!

I może to byłoby właściwe, bo Malachai Yordan od zawsze miał zarezerwowane miejsce na samym dole piekła, gdzie regularnie płonęła jego zniszczona dusza.

Drżącą ręką wyciągnął z kieszeni telefon, wybrał numer alarmowy i przyłożył go do ucha. Usłyszał trzy sygnały, po których rozległ się kobiecy głos. Odkasznął, nim wydusił stłumionym tonem:

– Strzelanina. Przy starej przepompowni. Ciężko ranny... Ehm. Funkcjonariusz.

Tylko tyle. Nic więcej nie powiedział. Rozłączył się, nim kobieta zdążyła zapytać o szczegóły. Zerknął przelotnie na Ryana, który mamrotał pod nosem, że wzywanie służb ratunkowych to nie jest dobry pomysł. Potem znów spojrzał na Bentleya. Wzrok miał bardziej mętny. Kai nie był pewny, czy wciąż go widział. Wcisnął dłoń mocniej w jego pierś. Krew przelała mu się przez palce.

– Dawaj koc z bagażnika – poleciał Ryanowi. W tym czasie starał się przypomnieć sobie jakiegokolwiek podstawy udzielania pierwszej pomocy, ale nikt nigdy nie nauczył go, jak radzić sobie z raną postrzałową.

– Zwariowałeś? – warknął Ryan. – Nie mamy czasu. Spadamy stąd.

– Nie zostawię go tak, więc dawaj ten jebany koc!

– A co ty nagle taki miłosierny, Kai? – zakpił Ryan. Mimo niechętnego nastawienia wyciągnął wzorzysty koc i podał go koledze. Malachai ulokował go tam, gdzie wcześniej spoczywała jego ręka. Przycisnął materiał do krwawiącego miejsca, po czym położył na nim wiotką dłoń policjanta. – Nawróciłeś się?

Może po prostu liczył na to, że w ten sposób będzie o jeden krok bliżej do zbawienia.

• • •

Trzasnęła drzwiami. Dopiero wtedy dopuścił do siebie emocje – przypominały dzikie konie, musiał je uwolnić. Było ich tak wiele, że powoli się w nich topił, a nigdzie nie było miejsca, by mógł wypłynąć z powrotem na powierzchnię i zaczerpnąć powietrza. Zebrało się w nim za dużo gniewu oraz frustracji, żeby poczuł cokolwiek więcej. Podejrzywał jednak, że wystarczą zaledwie minuty, by uświadomił sobie, co tak naprawdę się wydarzyło i jak ogromne konsekwencje to ze sobą przyniesie.

Carmen pośpiesznie przetarła twarz rękawem, a potem zerknęła przelotnie w lusterko, żeby upewnić się, czy Kai na pewno nie dojrzy u niej żadnych śladów po płaczu. Gdy wsiadła do samochodu, a towarzyszące jej emocje puściły, pękła jak bańka mydlana. Przez chwilę widziała tylko łzy, które były jak krople deszczu na szybie. Pozostawiły po sobie rozmazany tusz, który osiadł na policzku, więc prędko starła go kciukiem.

– Czy on...? – szepnęła Carmen, przyglądając mu się z boku. Tymi słowami przypomniawszy mu o tym, że jest obok. Przekrzywił głowę, by ją ujrzeć, ale ani trochę nie spodobało jej się to, co zobaczyła. To nie był Malachai Yordan, którego znała. Nawet go nie przypominał. Gapił się na nią tępym wzrokiem. Niebieskie oczy zaszyły mu lśniąca mgłą, usta drgały w roztargnieniu, oddech nieustannie się urywał, a twarz wciąż zdobiły rozbrzydki krwi.

– Nie wiem – odpowiedział krótko. – Ivan mnie zabije – mamrotał do siebie. Oparł czoło o kierownicę, wplątując palce we włosy z tyłu głowy. – Kazał trzymać się z dala od kłopotów, a ranny policjant jest poważnym problemem! Będą szukać sprawcy. Będą szukać... mnie.

Carmen położyła dłoń na jego udzie. Poczwała, jak mięsień drga nerwowo, jakby miał przebić skórę na wylot. Kiedy oglądała go w takim stanie, czuła łzy wzbierające w kącikach oczu. Powtarzała sobie, że w tym momencie to on jest najważniejszy, więc nie mogła pograć się we własnych przygnębiających uczuciach. Nawet jeśli walczyły w piersi jak zapalnicy.

– Dlaczego go nie posłuchałem?!

Przysunęła się na krawędź swojego fotela, a potem nachyliła się nad nim jeszcze bardziej, wbijając mocniej palce w jego nogę. Drugą dłonią sięgnęła do jego twarzy, błagając, by znów uraczył ją niebieskim spojrzeniem. Kai jednak nawet nie drgnął. Wciąż siedział ze zwieszoną głową jak zbity pies.

– Hej, spójrz na mnie, Malachai – poprosiła. Pogładziła szorstki od zarostu policzek, usiłując zetrzeć z niego zaschniętą już krew. – Wpadasz w panikę.

– Och, sorka, a powinienem się cieszyć? – prychnął sarkastycznie. Spojrzał na nią. Oczy miał szeroko otwarte, a usta rozchylone, żeby głębiej oddychać. To, co on uznał za deszczową chmurę, w rzeczywistości było jej sercem rozpadającym się na tysiące kawałeczków żalu. – Z tego, że mam przejebane?

Starła się do niego dotrzeć. Jednym ze sposobów było wywołanie w nim jakichkolwiek reakcji, złych lub dobrych, bo przypominał sklepowego manekina na wystawie, który stał tam od lat. Pochyliła się, zarzucając ręce na jego spięty kark. Nie przeszkadzał jej nawet zapach krwi, który unosił się wokół

niego. Musnęła ustami policzek, ale nawet ten lekki dotyk nie sprawił, że oprzytomniał. Przesunęła więc wargi na skroń, przyciągając go do siebie jeszcze bliżej. A potem jej usta znalazły się na jego ustach i... Nic.

Westchnął ciężko. Odniosła wrażenie, że walczy sam ze sobą, aż niespodziewanie chwycił ją za kark, zmuszając, by z paniką zajrzała mu w bezwzględne oczy. Poczwała żar bijący od niego jak od ognia.

– Będiesz moim alibi, Karmelku? – wyszeptał. Niewiele rozumiała, dlatego uniosła pytająco brwi. – Jeśli będą zadawać pytania, powiesz, że byłem z tobą. U ciebie.

Śmiech wymknął się jej z ust.

– Jak bez podejrzeń wyjaśnię gliniarzom, że dziedziczka alkoholowego imperium buja się z Kaiem Yordanem? – spytała na poważnie, błędząc wzrokiem po pełnej konsternacji twarzy towarzysza.

Kącik jego ust drgnął i wreszcie uniósł się ku górze. Wolną dłonią przejechał po jej wygiętym kręgosłupie, zostawiając po sobie elektryzujące iskry, a kciukiem musnął odkryte przez zadartą spódniczkę udo, bo chciał znów poczuć aksamitną skórę Carmen. Drugą wciąż trzymał ją mocno za szyję, sprawiając, że nie mogła się ruszyć. Przeszedł ją dreszcz, aż zadrżała. Z wyższością obserwował, jak jej ramiona pokrywały się gęsią skórą.

Wzruszył ramionami.

– Powiedz, że ze sobą sypiamy – mruknął. Jego głos stwardniał. Oddech Malachaia wdarł się do jej płuc. W ustach odczuła suchość, a między nogami wilgoć. Była zbyt zaskoczona, aby mówić. – Opowiedz, jak cała drżałaś – mówiąc to, oparł głowę o jej pierś, drażniąc skórę ustami – na samą myśl o moich dłoniach... na twoim ciele.

Carmen wydawało się, że wyciągał z jej umysłu myśli, których się wstydziła, jak z zapomnianej szuflady. Odruchowo wsunęła palce w jego włosy. Zareagował ekspresowo, odchylając się w tył, dzięki czemu widziała dokładnie niebieskie oczy pełne grzechu. Gdyby mogła, przyciągnęłaby go tak blisko, że wniknąłby w nią i staliby się jednością.

– Albo że się kochamy. Cokolwiek. Bylebym dobrze wypadł.

Odplynęła tam, gdzie świadomość była niemal wyłączona. Stała się bezbronnym króliczkiem w szponach złego, łaknącego krwi wilka, który zbliżył się jeszcze bardziej. Wcale nie chciała uciekać. Pragnęła, by ją pożarł. W całości. Ponieważ każdy najmniejszy dotyk Malachaia był tak boski, że nikt w niebie nie potrafiłby tego wymyślić. Dlatego pochodził z piekła.

– Zrobisz to, Karmelku? – spytał tak błagalnie, że cała się niemal przed nim rozlała. Ten ton zawsze budził w niej coś elektryzującego oraz gorącego. Spojrzenie niespokojnych niebieskich oczu przebiegło po jej twarzy. – Dla mnie?

Nie potrafiła odmówić. Odpowiedziała poważnym skinieniem głowy.

Malachai wyszczerzył się. Nic więcej nie powiedział. Zabrał dłonie z jej ciała, tym samym zostawiając ją z dziwną, zimną pustką. Chciała się sprzeciwić, sprawić, że znów podaruje jej odrobinę uwagi, ale w zamian odwróciła głowę, patrząc w szybę. Nie zamierzała się przed nim płaszczyć. Nawet jeśli ciało nadal domagało się jego dotyku jak ćpun kolejnej dawki.

Pogłośnił muzykę, odjeżdżając z miejsca zbrodni, gdy w oddali ciemne niebo połyskiwało niebiesko-czerwonymi światłami. Ledwie ponownie włączył się do ruchu drogowego, a jego komórka się rozdzwoniła, wyciszając tym samym piosenkę. Odebrał, włączając tryb głośnomówiący. Nawet nie spojrzał na wyświetlacz.

– No? – rzucił obojętnie, zagryzając usta. Zatrzymał się na czerwonym świetle.

Obserwował bacznie sygnalizację, jednocześnie uderzając otwartą dłonią o kierownicę.

Usłyszał niewyraźny szum, a zaraz po tym to, jak ktoś w pośpiechu pociąga nosem. Dopiero wtedy kątem oka zerknął na ekran i coś natychmiast się w nim zagotowało. Z nagłego zdenerwowania zaczął zgryzać z dolnej wargi cieniutki naskórek, aż poczuł przyjemne pieczenie.

– Sybil? – spytał niepewnie. Gdy wypowiedział to imię, spojrzał na Carmen, bo widocznie się ożywiła. Patrzyła na niego z czymś niezrozumiałym w oczach. – Co się stało?

Wypuściła z ust powietrze, jakby szykowała się do trudnej odpowiedzi.

– Proszę... Możesz... przyjechać? – wychlipała niewyraźnie. – Proszę, Kai, przyjeźdź.

– Co. Się. Stało. – Wycedził przez zaciśnięte usta. Musiał to wiedzieć. Natychmiast.

Z tego wszystkiego nawet nie zauważył, w którym momencie światło zmieniło się na zielone. Nie ruszył jednak z miejsca, choć ktoś za nim zaczął natrętnie trąbić. To tylko dodatkowo go zirytowało. Opuścił szybę, wystawił przez nią rękę i pokazał osobie z tyłu środkowy palec. Auto wreszcie go wymięło, a dziewczyna w środku popukała się w czoło, posyłając mu zde gustowane spojrzenie.

Malachai miał to gdzieś, dlatego przewrócił oczami.

– Przyjedziesz? – Sybil zadała znów pytanie. Głos jej się łamał.  
Zrozumiał, że nie otrzyma od niej odpowiedzi, której oczekiwał.

– Jasne. Zaraz będę – mruknął bez przekonania, a następnie się rozłączył. Zgodził się, bo co innego mógłby zrobić? Nie potrafił zostawić jej na lodzie. Nawet jeśli nie miał żadnych podejrzeń co do tego, co mogło się wydarzyć. Sybil była dla niego ważna i nie raz zapewniał ją, że może na niego liczyć.

Ponownie obdarował Carmen smutnym spojrzeniem. Szczerze bał się jej reakcji. Nie wiedział, co powinien powiedzieć, więc czekał z nadzieją, że sama odezwie się jako pierwsza.

– Słuchaj... – zaczął, ale szybko przycichł. Próbował znaleźć odpowiednie słowa, ale wysypały się z jego głowy i nie był w stanie po nie sięgnąć. Westchnął ciężko, jakby coś przygniotło mu klatkę piersiową. – Przepraszam. Sprawy się skomplikowały, muszę to załatwić. Odwiozę cię.

Odpowiedziała mu cisza. Cisza, w czasie której obserwował, jak światło ponownie zmienia się z zielonego na czerwone. Cisza, w czasie której musiał słuchać chaotycznych uderzeń własnego serca.

– Och. Okej – powiedziała wreszcie. Posmutniała, choć starała się brzmieć normalnie.

– W porządku.

Nie przekonała go.

– W porządku? – powtórzył za nią. – Nie musisz przede mną udawać.

– Nie udaję – zapewniła stanowczo. – Wcale nie chciałam z tobą posiedzieć, bo wciąż jestem przerażona tym, co się stało, a tylko przy tobie czuję się... Och, nieważne. Po prostu odwieź mnie do domu.

Poczuł okropne ukłucie w okolicy serca. Nienawidził siebie za to, że musiał ją wystawić.

– Jak się przy mnie czujesz? – sapnął. Miał wrażenie, że za moment się udusi, tak ciężko mu się oddychało. Jakby ktoś z premedytacją ścisnął jego płuca.

Kolejny raz wsłuchiwał się w ciszę, która zaczęła go paraliżować. Jej milczenie było jak mroźna zima, a on w tym chłodziu stał sam.

– Jak się przy mnie czujesz? – powtórzył z determinacją. Domyślał się, że ta odpowiedź najprawdopodobniej jeszcze bardziej go zniszczy, ale musiał ją poznać. Od zawsze było w nim coś z masochisty.

Zaciągnęła się gwałtownie powietrzem, zanim wyszeptała:

– Stabilnie. Czuję się przy tobie stabilnie.

To było jak zderzenie ze ścianą. Poczuł się tak, jakby ktoś porządnie uderzył go w twarz, z tą różnicą, że zabolowało go całe serce. Najchętniej wyrwałby je z piersi gołą ręką i wyrzucił gdzieś po drodze, przejeżdżając po nim kilkaset razy, aż zostałaby z niego tylko krwawa miazga.

– Postaram się przyjechać – mruknął. – Poczekasz?

Tym razem odpowiedziała ekspresowo.

– Nie kłopotz się. Po prostu daj znać, czy wszystko w porządku.

Wbiła w niego spojrzenie tak intensywne, że niemal zmiotło go z powierzchni ziemi. Oprócz złości w jej zielonych tęczówkach krył się zawód i to zaczęło zjadać go od środka. Oderwał od niej wzrok i wbił go w swoje buty. Carmen zauważyła, że coś go męczy, ale była zbyt wściekła, by się tym przejmować. Zacisnął usta do środka. Znów na nią spojrzął, a w jego niebieskich oczach lśnił niesamowity smutek. Patrzył na nią tak, jakby walczył sam ze sobą, jakby do końca nie wiedział, co powinien zrobić.

– Naprawdę muszę...

– Rób, co chcesz, Kai.

Nie chodziło o to, że chciał. Bardziej o to, że naprawdę musiał.

Wysiadła z samochodu, gdy stanęli pod blokiem. Po prostu, jakby nic się nie stało, jakby Malachai nie zostawił jej dla Sybil. Nawet się nie pożegnała. Dźwięk zamykanych drzwi oraz obcasów stukających o asfalt rozbrzmiewał w jego głowie głośno i wyraźnie, jakby utknął tam na zawsze. Zacisnął dłonie na kierownicy, zamknął oczy i zaczął wyrzucać z siebie wszelkie możliwe błuznierstwa. Robił to przez kilkanaście sekund, aż zabrakło mu śliny w ustach.

W końcu w pełnym roztargnieniu wcisnął pedał gazu niemal do podłogi i gwałtownie ruszył z miejsca, zawracając. Dojechał na miejsce w nadzwyczaj szybkim tempie, olejając po drodze wszelkie zasady ruchu drogowego. Wbiegł na pierwsze piętro i od razu zobaczył Cartera, który siedział pod ścianą. Holden krążył w kółko, skubiąc skórkę na ustach. Kai nie wiedział dokładnie, co się dzieje, ale ich nerwowe zachowanie zwiastowało poważne kłopoty.

– Co jest? – mruknął, robiąc kolejne kroki w ich stronę. Holden wreszcie się zatrzymał, a Carter wstał i wlepił w niego dziwne spojrzenie.

– Co jest? – naśladował go prześmiewczo Holden. Wzrokiem błędził po śladach krwi na ubraniu oraz twarzy i rękach Malachai. – Co znowu odjechałeś?



Kai wzruszył ramionami. Postanowił, że o szczegółach wypadku opowie im później. Teraz ważniejsza była dla niego Sybil. Zerknął wyczekująco na Cartera z nadzieją, że chociaż on zatrzyma wścibskie pytania dla siebie i w zamian opowie mu, co się, do cholery, dzieje.

– Sybil dzwoniła pół godziny temu. Nieźle bełkotała. Nie wiem, chyba znowu się naćpała – powiedział Carter, po czym przejechał dłonią po krótkich włosach w geście zdenerwowania. – Teraz nie otwiera.

– I nie pomyśleliście, kretyni, żeby spróbować wejść tam siłą? – odpowiedział Kai i wywrócił oczami. Wziął zamach, by następnie z całej siły kopnąć w drzwi. Zadrżały pod wpływem tej siły. Uderzył kolejny raz. – Serio, nawet ty na to nie wpadłeś, Hol? W tej nieświętej trójcy z reguły tylko ty racjonalnie myślisz.

Holden wzruszył ramionami i postanowił pomóc bratu. Carter również do nich dołączył i wreszcie po kilkunastu próbach drzwi wypadły z zawiasów. Kai ruszył jako pierwszy, chociaż coś w jego żołądku zaczęło się niebezpiecznie wiercić. Obawiał się tego, co mógł tam zobaczyć. Gdy wszedł do jej sypialni, zamarł w bezruchu, przez co Carter z impetem wpadł na jego plecy.

Nie mógł się ruszyć, chociaż powtarzał sobie, że powinien to zrobić. Całe jego ciało odmawiało posłuszeństwa. Nie był w stanie poruszyć nawet palcem. Stał sztywno, podczas gdy Holden go wyminął i dopadł do ledwie przytomnej dziewczyny. Była przerażająco blada, jej powieki nieustannie drgały, a usta miała wysuszone. Wokół niej leżały rozsypane tabletki i opakowania po nich. Malachai przymknął powieki. Pragnął, aby to okazało się tylko chorym snem.

– Kurwa, Kai! – krzyknął Carter, szarpiąc go za ramię. – Zrób coś!

Dopiero wtedy odzyskał panowanie nad ciałem. Zignorował głos w swojej głowie, który cały czas przypominał mu o tym, że to jego wina, dlatego to on musiał jej pomóc. Nogi mu drżały, gdy wreszcie zrobił parę kroków do przodu. Rzucił się na materac i przyciągnął do siebie Sybil. Przez parę sekund obserwował, jak jej oczy wywracają się tak mocno do tyłu, że widział zaledwie dygocące białka. Bał się, że po prostu umrze w jego ramionach, zostawiając go z ogromnym poczuciem winy.

– Co mam robić? – spytał niepewnie. Nigdy wcześniej, na szczęście, nie był w takiej sytuacji. Nie musiał pomagać ludziom, bo z reguły po prostu ich ranił.

– Musi zwymiotować – oznajmił Holden, patrząc wyczekująco na brata. Kai niekontrolowanie się zaśmiał, chociaż wiedział, że to nie były żarty.

– O, nie – jęknął i pokręcił głową. – Nie będę wsadzał jej paluchów do ust.

– Jezu, Kai. Wcześniej wkładałeś tam coś innego i ci nie przeszkadzało – dodał Carter.

Malachai wywrócił teatralnie oczami. To była ostatnia rzecz, jaką chciał wtedy robić, ale musiał działać, póki nie było za późno. Rozchylił usta Sybil i wcisnął w nie palec, starając się podrażnić tylną ścianę gardła. Robiąc to, odwrócił głowę i zmarszczył nos.

– To chyba nie...

Nim zdążył skończyć zdanie, dobiegł do niego nieznośny dźwięk, jakby ktoś się dławił. Ledwie sekundy później Sybil nabrała gwałtownie powietrza w płuca. Udało mu się ją obrócić na bok w samą porę. Zwymiotowała na pościel. Nigdy nie pomyślałby, że ten nieprzyjemny widok sprawi, że poczuje ulgę. Wreszcie odetchnął, jakby zrzucił z siebie ciężki ładunek.

– Kai? – szepnęła, powoli odzyskując świadomość. Obraz przed nią wciąż był rozmazany, ale zdążyła dostrzec błyszczące niebieskie oczy pełne strachu i troski. – Przyjechałeś...

Kiwnął głową. Sybil drgnęła niespokojnie. Wyglądała na przerażoną i trochę zaskoczoną, jakby sama nie rozumiała, co się stało. Objął ją ramionami, by poczuła się bezpieczniej. Z każdym uderzeniem jej serca ogarniała go coraz większa ulga.

Nie zginęła przez niego.

– Nie rób tego nigdy więcej, Sybil – warknął. – Nigdy, rozumiesz?

Ledwie kiwnęła głową. Na nic więcej nie miała siły.

– Skąd masz to gówno? – spytał jeszcze, bo nie przypominał sobie, aby w ostatnim czasie dawał jej towar.

– Od... Ryana – wydusiła słabo. – Chciał mi pomóc...

Malachai zacisnął pięści i ze złości przygryzł język. Miał wrażenie, że przez bużującą w żyłach wściekłość cały poczerwieniał na twarzy. Jeszcze nie wiedział, co zrobić z tą informacją, ale była kolejną cegiełką na szali Ryana, która mogła zadecydować o jego życiu. Na razie skupił się na Sybil. Chciał, aby znów poczuła się bezpiecznie, bo najwyraźniej zawiódł po całości.

Patrzył na nią i myślał o tym, że sam się w to wpakował. Utknął z nią na własne życzenie i co gorsza, nie był pewny, czy kiedykolwiek uda mu się uwolnić.

Carmen Clark niełatwo było zdziwić, ale niemal podskoczyła, kiedy przekroczyła próg swojego pokoju. Odruchowo przyłożyła dłoń do piersi, starając się unormować bicie serca, które nagle przyśpieszyło. Mimo że nie zapaliła od razu światła, doskonale widziała kontury jego sylwetki. Na oślep odnalazła włącznik, a sekundę później wokół nastąpiła jasność.

Malachai siedział na krawędzi łóżka i opierał łokcie na kolanach. Był lekko pochylony i tępo wpatrywał się w podłogę, przez co jego ciemne włosy nieco opadły mu na czoło. Uniósł głowę, gdy tylko usłyszał kroki. Wlepił w nią spojrzenie, które niemal sprawiło, że ziemia pod jej stopami się rozstała. Z trudem uniknęła upadku w głąb smutków, jakie kryły się w oczach Kaia. Były złamane żalem. Carmen miała wrażenie, że mogłaby się pokaleczyć o te ostre krawędzie.

Bolało ją oglądanie go w tym stanie, ale złość, którą wtedy do niego żywiła, była znacznie większa i potężniejsza – nie mogła tak po prostu zniknąć.

– Wow. Sybil wreszcie spuściła cię ze smyczy? – powiedziała z przekąsem, gdy odkładała do szafy torebkę. Założyła na siebie maskę bezwzględnej kobiety, bo najzwyczajniej w świecie czuła się zraniona.

Kai w odpowiedzi zarechotał. I był to gorzki śmiech osoby, która powoli pękała pod ciężarem negatywnych emocji.

– Wiesz, czemu tam pojechałem? – spytał. Przestał się śmiać i w ułamku sekundy spoważniał. Miał w spojrzeniu coś, co zmroziło ją całą.

– Średnio mnie to interesuje – odburknęła. Stanęła do niego plecami i zaczęła ściągać z siebie biżuterię. Słyszała skrzypnięcie łóżka, które świadczyło o tym, że Kai wstał. Nie miała jednak odwagi się odwrócić i kolejny raz spojrzeć w jego smutne oczy, bo to roztopiało jej gniew, a przecież powinna być na niego zła.

– Hej – mruknął, a potem zacisnął palce na jej ramieniu. Nawet nie drgnęła. – Możesz przestać zgrywać obrażoną i mnie wysłuchać?

Zacisnęła usta w wąską linię. Chwilę temu miała ochotę porzucić złość, bo nie potrafiła się na niego gniewać, gdy wyglądał jak zbity szczeniak. Ale wtedy wściekłość, która się w niej kotłowała, osiągnęła ogromne rozmiary i musiała wreszcie coś z nią zrobić. Odwróciła się, obrzuciła go spojrzeniem, w którym trzaskały pioruny, i lekko go od siebie odepchnęła.

– Nie. Nie mogę, Kai – podniosła ton, jakby to miało sprawić, że te słowa uderzą w niego ze znacznie większą siłą. – Nie musiałeś tu przychodzić i nie musisz tu zostawać.

– Poważnie? – Zaśmiał się gorzko. – Naprawdę chcesz, żebym wyszedł?

Wzruszyła ramionami. Właściwie tego nie chciała, ale była całkowicie zaślepiona złością. Gniew w niej buzował i wzbierał z każdą kolejną sekundą. Furia wchodziła jej do ust i skutecznie blokowała przemyślenia, powoli przedostając się prosto do serca.

Nie odezwała się, ale milczenie też było dla niego odpowiedzią. Ruszył z miejsca, lecz szybko zrozumiał, że nie może tak łatwo odpuścić. Oparł rękę o futrynę i mocno zacisnął na niej palce. Stał tak z opuszczoną głową przez kilkanaście sekund, zanim zawrócił. Przystanął przed nią, krzyżując ręce na torsie, dzięki czemu na jego odkrytych przedramionach pojawiły się wystające żyły.

– Nigdzie się nie wybieram.

To tylko jeszcze bardziej ją rozjuszyło. W tamtym momencie pragnęła, żeby zniknęła, a jednocześnie potrzebowała, by już zawsze obok niej stał.

– Wyjdź! – wrzasnęła pod wpływem nagłej pewności siebie. – Wyłaż stąd, do cholery!

Uniosła dłonie zaciśnięte w pięść i zaczęła uderzać go w barki, klatkę piersiową i brzuch. Coraz mocniej i mocniej. Tylko go to rozbawiło. Śmiech chłopaka doprowadzał ją do szału, a mimo tego nagle przestała się rzucać. Zbliżyła do niego twarz i warknęła z pogardą:

– Och, wiesz co? Pieprz się, Malachai!

Najpierw uśmiechnął się figlarnie i mrugnął do niej okiem. Gorące spojrzenie Kaia spoczęło na ustach Carmen. Sunął dłonią po jej szyi i brzuchu, żeby wreszcie boleśnie ścisnąć jej udo. Stała tam jak

sklepowy manekin, wyprostowana i sztywna, z ramionami wzdłuż ciała. Ten dotyk palił ją żywcem. Czowała się tak, jakby po długim czasie abstynencji wróciła do nałogu, w którym po prostu się zatraciła.

Później spoważniała, kiwając głową, jakby popierała to, co powiedziała. Mięśnie na twarzy Kaia się napięły, wyglądał teraz na skonsternowanego. Między jego brwiami pojawiła się pionowa zmarszczka, która zawsze uwidaczniała się, gdy intensywnie nad czymś rozmyślał. Bez problemu złapał jej dłonie w powietrzu, gdy nieudolnie próbowała wymierzyć kolejny cios.

– Nakrzycz na mnie jeszcze raz, a dam ci prawdziwy powód do krzyku – powiedział całkiem poważnie. Puścił ręce Carmen i zrobił krok w tył. Wiedziała, że nie blefował, ale nie potrafiła się kontrolować. Zgarnęła z toaletki pierwszą lepszą rzecz i rzuciła nią przed siebie. Kai odsunął się, unikając zderzenia z przedmiotem, który roztrzaskał się o ścianę.

– Pieprz się, Malachai! – powtórzyła, patrząc mu prosto w oczy. – Pieprz...

Nieoczekiwanie szarpnął ją za nadgarstek. Naprawdę ją to zabolalo, ale za wszelką cenę starała się panować nad mimiką. Wpadła na niego, dlatego automatycznie się cofnęła. Wciąż jednak była wystarczająco blisko, by czuć we włosach jego oddech. Zamrugała szybko i zadarła podbródek. Nie zamierzała nawet na sekundę odwracać wzroku, chociaż uśmiech Kaia pełen arogancji i pewności siebie jeszcze bardziej wytrącał ją z równowagi.

– Jesteś całkiem słodka, kiedy się tak złościśz, Karmelku.

Zamknęła oczy, licząc w głowie od dziesięciu w dół, powstrzymując się tym samym przed wrzaskiem. Miała wrażenie, że za moment wybuchnie i nic z niej nie zostanie.

– Och, naprawdę? W takim razie zaraz będę cholernie słodka! – powiedziała głośno i wyraźnie. Odwróciła na chwilę głowę, aby zlokalizować kolejny przedmiot, którym mogłaby rzucić. Złapała w dłonie butelkę perfum. Zamachnęła się i...

Kai zaniósł się śmiechem, ale Carmen wciąż była śmiertelnie poważna. Zabrał buteleczkę z jej drżących dłoni i na osłep rzucił ją na łóżko. Sekundę później zacisnął palce na jej nadgarstku i jednym płynnym ruchem pociągnął dziewczynę za sobą. Opadł na materac, a w efekcie tego Carmen wpadła prosto na jego kolana. Spojrzała na niego pytająco, zaciskając mocno usta.

– I co teraz zrobisz, Carmen? – szepnął, przybliżając do niej twarz. Poczowała na policzkach ciepły oddech, który poruszał lekko kosmykami rudych włosów.

– Puszczaj, Kai! – pisnęła. – Słyszysz?! Przestań!

Cały czas bezskutecznie się szarpała z nadzieją, że uda jej się wyswobodzić, ale uścisk Malachaia był niczym ciasno zawiązane supeły. Mimo tego, nakręcana tylko złością wierzgała chaotycznie rękoma ile sił w mięśniach, aż ostatecznie przejechała paznokciami po jego karku. Przyłożył jedną dłoń do zaczerwienionej skóry, sycząc cicho przez zaciśnięte zęby. Potrząsnął głową z dezaprobatą.

– Nic dziwnego, że nikt z tobą nie wytrzymuje.

– Słucham? – spytała zbyt piskliwym głosem. Uniosła brwi.

Zapomniała, z jakiego powodu tak bardzo się złościła, bo Kai trafił tymi słowami prosto w jej pokaleczone, ledwie dyszące serce. Nie potrafiła przekonać do siebie ludzi. Na końcu zawsze kogoś traciła. Odchyliła się, obdarowując Malachaia spojrzeniem pełnym szczerzej obawy przed tym, że on również odejdzie. Dopiero gdy zobaczył, że ten gniew, który się w niej tlił, przerodził się w smutek, pojął, jaką głupotę palnął.

– Hej, nie martw się – odpowiedział natychmiast, po czym delikatnie odgarnął z jej twarzy włosy, którymi przestała się przejmować, choć wpadały jej do oczu. Przyciągnął ją jeszcze bliżej. Niemal wpadła na jego rozchylone usta, gdy szepnął zmysłowo: – Ja wytrzymam. Wiesz dlaczego?

Puścił do niej oczko. Zapadła cisza, w której Carmen pragnęła przepaść. Potrząsnęła głową.

– Bo też czuję się przy tobie stabilnie.

Zamknął oczy przerażony swoim wyznaniem. Słyszała go. I to doskonale. Ta myśl mroziła i sprawiła, że serce zabiło mocniej w piersi. Starał się opanować i po prostu przestał się ruszać. Przeklął się za to, że znów się uzewnętrznił. Ale wtedy Carmen delikatnie wsunęła rękę pod jego dłoń, lekko splatając ich palce. I dzięki temu poczuł się tak, jakby następnego dnia czekało na niego coś więcej niż zwykle jutro.

– Próbowала się zabić – powiedział Kai po chwili, przerywając niekomfortowe milczenie. Carmen zmarszczyła brwi, próbując zrozumieć sens jego słów. – Sybil próbowała się zabić. Przeze mnie.

Z początku nie potrafiła się odezwać. Tego na pewno się nie spodziewała. Uderzyły w nią wyrzuty sumienia, bo jej narwana strona nie pozwoliła mu dojść do słowa.

– Przez ciebie? – powtórzyła po nim i zaśmiała się z bezradności. – Jesteś ślepy czy naiwny? Ona tobą manipuluje, Malachai. Przez chwilę nawet było mi jej żal, ale teraz wiem, że zrobi wszystko, abyś

tylko był obok.

– Nic nie rozumiesz – westchnął i pokręcił głową. – Czuję się za nią odpowiedzialny. Wpakowałem ją w to gówno. Miała tylko piętnaście lat, a ja ją zepsułem.

Bez ostrzeżenia oparł swoje czoło o jej czoło. I po prostu pękł. Stał się tylko milionem duszących się kawałków, które próbowała utrzymać. Wtedy obiecała sobie, że będzie go tak podtrzymywać, dopóki nie opuści go cały ból, tortury i cierpienie. Dopóki Kai nie da sobie szansy na życie, w którym nie pozwoli się tak głęboko zranić. Dopóki nie uwolni się od życia, którego nie wybrał.

– Do niczego jej nie zmuszałeś – szepnęła. – Rozumiem, że czujesz się winny, ale... ale nie chcę mieć cię tylko w połowie.

– Ja pierdolę! – krzyknął i odsunął się od niej na odległość ramion. Zabrał ręce z jej ciała i oparł je za swoimi plecami. – Kiedy wreszcie zrozumiesz, że to o ciebie staram się dbać, chociaż totalnie nie wiem jak? Ledwo radzę sobie z uczuciami, a mimo tego nadal tu jestem, choć codziennie mam ochotę spierdolić.

Carmen miała wrażenie, że spada ze szczytu wysokiej góry i nie ma na to żadnego wpływu. Sądziła, że takie słowa nigdy nie opuszczą jego ust, a jednak to zrobił: powiedział to, o czym intensywnie myślała przed snem. To, czego najbardziej się obawiała. Jego słowa niemal uderzyły ją o ścianę.

Malachai bacznie ją obserwował i był śmiertelnie przerażony tym, że wypowiedział te bez nadziejne słowa; tym, że naprawdę zaczynał to czuć, choć wciąż tego nie rozumiał; tym, że może Carmen wcale tego nie odwzajemniała. Tym, że tylko się zbłąźnił.

– Powiedz coś – poprosił.

Zawzięcie milczała, chociaż nie chciała milczeć. Próbowwała znaleźć odpowiednie słowa, ale wysypały się z jej głowy i uciekły zbyt daleko, by mogła je dogonić. Na zmianę rozchylała i przymykała usta.

– Ja... – zaczęła głosem tak słabym, jakby za moment miała paść na podłogę i umrzeć. Pokręciła głową, bo nagle zmieniła myśl. – Spłonę przez ciebie w piekle, Malachai.

– Karmelku – szepnął, łapiąc jej rękę. Brzmiał łagodnie i miękko, a to trochę ją zdziwiło. Nie pasowało do niego. Uniósł głowę, lekko się uśmiechnął i mrugnął do niej okiem. – Piekło jest tutaj, a ty jesteś ulubienicą diabła. Nie pozwolę ci przecież spłonąć.

• • •

To był ważny dzień.

Dzień, dzięki któremu miał wreszcie pokonać demony swojej przeszłości, które od lat zatruwały mu organizm i nie pozwalały funkcjonować w społeczeństwie tak, jak powinien. Demony, które wraz z łańcuchem konsekwencji ciągnął u nóg aż do śmierci. Demony, z którymi nauczył się żyć, chociaż czasami, kiedy był całkowicie zaślepiiony przez złość, myślał, że to wcale nie przypominało życia. Oddychał. Rozmawiał. I nawet się uśmiechał. Ale bez względu na to w środku wciąż czuł się martwy.

Krażył niespokojnie po leśnej ścieżce. Jego buty zapadały się w nieco mokrej od rosy trawie, przez co w kostkach czuł ukłucia zielska. Było mu gorąco, chociaż dopiero pół godziny wcześniej słońce pojawiło się na horyzoncie, wprowadzając na ulicę światło. Gdzieś z tyłu głowy, a może i w uszach, czuł coraz silniejsze łomotanie serca. Na czole pojawiły się pierwsze krople potu. Stresował się, chociaż od dawna miał wszystko zaplanowane.

Obszedł dom, szukając najlepszego wejścia. Drzwi tarasowe były uchylone. Odpalił fajerwerki i wrzucił je do salonu. Wokół zrobiło się bardziej szaro, dźwięk nierównomiernych wybuchów odbijał się od ścian, a nieprzyjemny zapach spalenizny wdzierał się do nozdrzy. Usłyszał pisk. Równocześnie z nim kopnął w szkło. Raz, drugi i trzeci, aż stłukło się w drobny mak, lądując na podłodze.

Zgrabnie ominął kilka ostrych krawędzi i wszedł do środka. Muzyka nieco ucichła, a w zamian rozniósł się stukot ciężkich butów, który stopniowo się zbliżał, aż na horyzoncie pojawił się młody chłopak z piekielnym ogniem w tęczówkach i z diabelskim uśmiechem zdobiącym usta. Jego sylwetka wyłoniła się z siwego dymu, który powoli bladł i opadał do stóp. Wyglądał jak czarna zjawa wśród mleczno-białej mgły. W niepokojący sposób rozciągnął szyję, strzykając przy tym kośćmi.

Rozejrzał się po pomieszczeniu. Ryan siedział na kanapie w puchowym szlafroku, dociskając dłoń do uszu. Obok niego siedziała dość ładna kobieta. Miała na sobie zaledwie czarne koronkowe majtki. Widząc intruza, automatycznie zakryła piersi rękoma, wciskając się w róg kanapy. Ryan natomiast uśmiechnął się z blaskiem w oczach, jakby właśnie zobaczył skrzynię pełną złota.

Ciało Kaia instynktownie się spięło, ale mimo tego wyszczerzył się sztucznie.

– Wow! – krzyknął, odgarniając sprzed twarzy resztki szarych spalin. Razem z tym oparł się barkiem u futrynę, która lekko zaskrzypiała. – Ale macie tu wystrzałowo. Normalnie petarda! – Zaśmiał się

z własnego tekstu. Pozostała dwójka jednak nawet się nie uśmiechnęła. – Czaicie? To żart.

W przeciwieństwie do niego nie wyglądali na rozbawionych. Westchnął, bo ten fakt strasznie go zasmucił. Zawiedziony pokręcił głową.

– Chciałem rozładować atmosferę, ale skoro takie z was smutasy...

Wsunął jedną dłoń do kieszeni dzinsów. Drugą cały czas trzymał za plecami. Postawił krok w przód. W tym samym momencie Ryan podniósł się do pionu, zasłaniając ciałem swoją partnerkę. Zatrzymał wzrok na sylwetce Kaia. Mimika jego twarzy zaczęła się stopniowo zmieniać, gdy dotarło do niego, że Ryan w odpowiedzi roześmiał się głośno, jakby właśnie oglądał kiczowatą komedię.

To nie był dobry moment na denerwowanie go, bo nie zostało w nim ani trochę cierpliwości i samozaparcia. Napędzała go tylko chęć zemsty, która w nim żyła.

Z tego powodu bez ostrzeżenia wyciągnął zza spodni pistolet i w mgnieniu oka strzelił do tysego kolegi Ryana, który akurat napatoczył się na jego drodze, wyłaniając się z kuchni. Zrobił to nadzwyczaj szybko. Trafił prosto w kolano, przez co chłopak zgiał się w pół i przewrócił na podłogę, dociskając ręce do rany. Kula przeszła na wylot. Wierzgnął nogą niczym zwierzę na uwięzi. Dźwięk wystrzału zmieszany z donośnym krzykiem utknął w ścianach, jakby będąc w stanie je powalić.

– Fajnie się tu bawicie, ale przyszedł czas rozrachunku – rzucił Kai z uśmiechem, po czym splótł dłonie przy pasku od spodni, prezentując również kastet na palcach. Wydawał się niewzruszony i może trochę szczęśliwy. Mięśnie jego twarzy nawet nie drgnęły, z wyjątkiem ust, które wygięły się w szerokim, rozmarzonym uśmiechu zwiastującym kłopoty.

– Jezu, wyluzuj – szepnął zaskoczony Ryan.

– Schlebiasz mi, ale wystarczy „Kai” – odpowiedział. Pierwszy cios wymierzył z zaskoczenia, przez co Ryan zachwiał się, poślizgnął na wypolerowanych panelach i padł twarzą na podłogę, niedaleko swojego kolegi. Kai syknął przez zęby, krzywiąc się, jakby to on właśnie dostał w pysk. – Musiało zaboląć.

Kai roześmiał się swobodnie. Brzmiał jak wszystkie czarne charaktery w jednym. Jak piekło na ziemi. Jak sam diabeł. Później na chwilę zapanowała cisza. Przerwały ją dwa kolejne wystrzały. Kai czuł w mięśniach odrzut broni. Kucnął przy Ryane i zgarnął z podłogi należący do chłopaka pistolet, który spadł z kanapy.

Malachai był całkowicie skupiony, jeszcze bardziej zebrany w sobie i zaangażowany. Pochylił się do przodu, złapał Ryana za ramię i przewrócił na plecy. Zacisnął palce na materiale szlafroka, dzięki czemu mógł przyciągnąć go bliżej siebie. Uderzył kolejny raz. Gdyby go nie trzymał, pewnie Ryan ponownie opadłby na panele.

– Hej, czy to będzie zabawne, jeśli zabiję cię z twojej broni? – spytał Kai ze zmarszczonymi brwiami. – Zabawne czy smutne? Te uczucia zawsze mi się mylą.

Kai spuścił na moment dłoń. Przechylił lekko głowę, dokładnie lustrując wzrokiem twarz Ryana, która przez rany i otarcia nabierała czerwonego koloru. Potem tylko się uśmiechnął, kiwając głową z uznaniem. Usiadł na nim okrakiem, blokując jego ręce swoimi kolanami. Wymierzył kolejną serię ciosów, które spadały niczym rój meteorów. Uderzał prawą ręką, potem lewą i znów prawą. Zachowywał się jak idealnie zaprogramowany do tego robot. Głowa Ryana odskakiwała na boki, jakby utrzymywała ją tylko sprężyna.

Stracił rachubę. Przestał liczyć, ile razy wbił pięść w szczękę znajomego. Trafień musiało być jednak wiele, ponieważ mężczyzna stopniowo przestawał siebie przypominać. Jego twarz została już tylko odzwierciedleniem krwawego, ponacinanego mięcha. Kai spojrział na niego jak przez mgłę i wzdrygnął się. Ryan miał tak bardzo opuchnięte oczy, że ledwo dało się je zobaczyć.

Ten widok go nie powstrzymał. Zarył kastetem o łuk brwiowy, potem w bok twarzy i żuchwę. Nie dbał nawet o to, że krew tryskała dookoła jak z podwórkowego zraszacza. Był zaślepiiony złością, która przejęła nad nim pełną kontrolę.

Bawił się świetnie.

Uderzał nieprzerwanie przez kolejne minuty. Tak długo, aż stracił siłę w rękach.

Wypuścił kastet z dłoni, czując, że dłużej nie jest w stanie go ścisnąć. Metalowy przedmiot upadł na podłogę z głośnym brzękiem. Kai oddychał nierównomiernie, bo złapanie chociażby jednego oddechu sprawiało mu niewyobrażalny ból. Miał sucho w gardle, a obraz przed nim rozmazywał się do tego stopnia, że przez chwilę widział zaledwie niewyraźne kontury. Spojrział na swoje sztywne, pokryte krwią dłonie. Wyglądały tak, jakby włożył je do czerwonej farby. Beznamiętnym wzrokiem wpatrywał się w czerwoną kałużę, aż w końcu wcisnął w nią palce, a potem przybliżył dłoń do twarzy, jakby próbował sprawdzić, czy krew jest prawdziwa.

Z trudem podniósł się do pionu o własnych siłach. Rozejrzał się dookoła. Tak jak przypuszczał, krew nie była tylko na nim, ale również na panelach, ścianie i na ubraniach. Ryan leżał u jego stóp z szeroko rozłożonymi rękoma. Ledwie oddychał, wypluwając z ust gęstą szkarłatną substancję, która zatykała mu gardło. To była jedyna oznaka, że wciąż żyje.

Malachai bez wahania docisnął podeszwę buta do wciąż krwawiącej, otwartej rany na ramieniu Ryana. Wypłynął z niej kolejny strumień, który zabrudził na czerwono jego buty. Zamachnął się i trafił butem prosto w szczękę chłopaka, niemal ją łamiąc. Ryan przekręcił się na bok z oddechem, który utknął mu w gardle. Kolejne kopnięcie wymierzył w nerkę, przez co blondyn zwinął się z bólu, jęcząc wniebogłosy, czym jasno zasygnalizował, że wciąż żyje.

– Błagaj, Ryan – mruknął przez zaciśnięte zęby. Trącił butem ciało chłopaka, przewracając go z powrotem na plecy. Obserwował krew wypływającą z ust, którą Ryan się dusił, i nie czuł nic. Zupełnie tak, jakby byli dla siebie obcymi. Jakby nie przyjaźnili się w przeszłości.

– Może moje martwe serce trochę zmięknie. Próbuj!

– Prze-prześć, Kai – jęknął blondyn ostatkiem sił. Przekręcił głowę, by splunąć na ziemię gęstą śliną zmieszaną z krwią. – Przez wzgląd na dawne czasy, nie rób tego...

– Słabo ci poszło – westchnął zawiedziony. Przycisnął dłoń do lewej piersi, w której chaotycznie biło serce. – Nawet nie drgnęło.

Nadszedł moment, który miał ostatecznie uwolnić Malachaia od męczącej przeszłości. Przymknął na chwilę powieki, rozkoszując się cichym stękanem Ryana, o którym od dawna marzył. Wiele razy wyobrażał sobie to, jak z nim kończy. Czasami podrzynał mu gardło, innym razem strzelał prosto w serce. Nigdy jednak nie czuł przy tym takiej ekscytacji i siły jak teraz.

– To koniec, *kumplu* – powiedział, akcentując ostatnie słowo z pełnym spokojem, jakby przed momentem nie rozpętał wojny. – Czasem wygrywasz, a czasem przegrywasz. Z wyjątkiem mnie – zrobił znaczącą pauzę, chcąc wprowadzić nieco napięcia. – Ja zawsze wygrywam.

Malachai zamarł nagle, gdy dotarł do niego znajomy głos.

– KURWA, KAI! – wrzasnął Carter, gdy obraz, który miał przed sobą, dotarł do jego mózgu. Zamarł na moment, a potem ruszył do przodu ze zdwojoną siłą.

Mózg Kaia się zaciął.

Carter.

Carter tam był.

Dlaczego Carter tam był?!

Kai od niechcienia kopnął Ryana w głowę, jakby była piłką, którą próbował trafić do bramki. Wyszczерzył się na widok przyjaciela, choć Carter wyglądał tak, jakby za chwilę miał go zamordować.

– O mój Boże – jęknęła przez łzy partnerka Ryana, o której Kai zdążył zapomnieć. Przyzwyczał się do jej płaczu. Spuścił wzrok w samą porę, by zobaczyć, jak trzyma w dłoniach bladą twarz Ryana, która kontrastowała z krwią na skórze. Potrząsnęła nim, ale nie zareagował, więc ponownie zaszlochała. – Chyba go zabiłeś.

Kai zacisnął usta. Nie potrafił się poruszyć. Przesadził – to było pewne. Spróbował rozprostować dłoń, a w efekcie tego z jego ust wyskoczył jęk bólu. Zaciskał pięści tak długo, że zeszytywniałe mięśnie odmawiały mu posłuszeństwa. Albo po prostu przypadkowo złamał jakąś kość.

– On chyba... nie żyje – wychlipała kobieta. – Zabiłeś go, rozumiesz? Zabiłeś go! Zabiłeś...

Kai docisnął dłoń do uszu, nie mogąc dłużej słuchać tych pisków i rozpaczliwego płaczu. Stał spokojnie, podczas gdy kobieta podniosła się z klęczek. Zacisnęła palce na jego bluzce i zaczęła nim szarpać, jakby chciała zafundować mu wstrząśnienie mózgu. W końcu odpuściła, ale w zamian zacisnęła pięści, uderzając na oślep w klatkę piersiową Kaia. Nie wytrzymał. Z wściekłością ścisnął jej nadgarstki, przez co zapiekła ją skóra.

Odciągnął od siebie dłonie kobiety i spojrzał na nią z wyrazem obrzydzenia.

– Prześć – sapnął. – Przecież żyje.

Kiwnął głową w kierunku leżącego ciała. Nie był jednak pewny, czy pierś Ryana rzeczywiście się unosiła, czy tylko sobie to wyobraził. Odepchnął jego partnerkę na bok, stawiając krok w przód. Przechylił głowę, uważnie przyglądając się znajomemu, a potem trącił go czubkiem buta w żebra.

Nie poruszył się.

– Przecież żyje – powtórzył, ale nie brzmiał już pewnie. – Żyje. Prawda, Carter? – Z paniką w oczach zerknął na przyjaciela, który wydawał się nieobecny.

Carter miał wrażenie, że czas na moment się zatrzymał. Nie wiedział, jak długo stał w miejscu, ale wydawało mu się, że było zdecydowanie za późno, gdy wreszcie się ruszył. Plan wydarzeń, który próbo-

wał ułożyć sobie w głowie, przytłoczył go do tego stopnia, że jego żołądek zawiązał się w supeł. Patrzył na połyskującą krwią podłogę i musiał przycisnąć dłoń do ust, by nie wymiotować.

Wreszcie odwzajemnił spojrzenie Malachai. W zielonych oczach Cartera zabrakło charakterystycznego błysku radości, został tylko zawód i Kai poczuł się z tym okropnie.

Kolejny raz poważnie nawalił.

– Stój tam grzecznie, bo zaraz ci zapierdolę za ten burdel! – wrzasnął Carter, po czym szturchnął przyjaciela w ramię. Nie spodziewał się, że jest w stanie tak krzyczeć. Kai wzdrygnął się na ten odgłos i zmarszczył brwi, gdy Carter pogroził mu palcem. Nic nie odpowiedział. Posłusznie spuścił głowę i wlepił zbląkane spojrzenie w swoje buty.

Nogi Cartera drżały z nerwów i jednocześnie były strasznie sztywne, gdy próbował nachylić się nad ciałem. Kucnął z trudem, dociskając dwa palce do żyły na szyi Ryana, by sprawdzić, czy wciąż pulsuje. Nabrał gwałtownie powietrza i wypuścił je ustami, a potem zerknął przez ramię na przyjaciela.

– Masz szczęście, ciulu – mruknął. – Żyje.

Malachai kiwnął głową z krzywym uśmiechem.

Ten wieczór potoczył się w okropnym kierunku.

Carter nachylił się nad Ryanem i zaczął klepać go w policzki, chcąc go ocucić.

– Dalej. Wstajemy – powiedział. Zacisnął jedną dłoń na jego ramieniu i lekko nim potrząsnął. Powieki chłopaka zaczęły drżeć, aż w końcu je unióś. Spojrzenie miał zamglone i nieobecne. Błądził wzrokiem po twarzy Cartera, próbując zrozumieć, co się stało, bo czuł się tak, jakby na dłuższy moment stracił przytomność. – Super, wróciłeś. Pomogę ci wstać.

Wyciągnął rękę. Ryan złapał się jej dopiero po dłuższej chwili zastanowienia. Carter postawił krok w tył, podciągając tym samym chłopaka do góry. Ryan wyprostował się, ale wciąż przed oczami widział ciemne smugi, a nogi z trudem utrzymywały ciężar jego ciała, dlatego przytrzymał się mocniej ramienia Cartera.

– Co się stało? – spytał, przejeżdżając dłonią po twarzy. Starł z niej krew, którą później wytarł w spodnie. Przeniósł wzrok na swoją dziewczynę, która od razu do niego podbiegła, oplatając ramiona wokół jego pasa. W następnej sekundzie spojrzął na Kaia i wszystko powoli ułożyło się w całość. – Nie daruję ci tego, Kai.

Malachai prychnął pod nosem, ale nadal stał w miejscu, które wskazał Carter.

– Och, uważaj, bo się rozplączę ze strachu. – Przewrócił teatralnie oczami, śmiejąc się głupekowo. – Mam nadzieję, że podobało ci się w zaświatach, bo zaraz możesz tam wrócić.

Carter odwrócił się, wbijając mordercze spojrzenie w twarz przyjaciela. W samą porę, ponieważ Malachai drgnął z zamiarem ponownego rzucenia się na Ryana. Kiedy ich wzrok się spotkał, automatycznie cofnął się na poprzednie miejsce.

– Kurwa, Kai! Kocham cię, ale chociaż raz zamknij mordę. Dla dobra ogółu.

Malachai w odpowiedzi znów się roześmiał.

– Teraz moja kolej, Kai. Dorwę cię – zarzekł się Ryan.

Kai zaczął się wycofywać i właśnie wtedy usłyszał nasilający się dźwięk syren policyjnych. Spojrzał z wyrzutem na kobietę, zastanawiając się, czy w całym tym szale mógł przegapić moment, w którym zgłosiła napad. To było prawdopodobne. Ledwie pamiętał ostatnie minuty swojego życia.

Malachai Yordan bez problemu radził sobie z wrogami, ale Carter musiał chronić go przed samym sobą.

Nawet nie pamiętał, jak znalazł się pod jej blokiem. Dojechał tam instynktownie, jakby całe jego ciało i umysł tego pragnęły. W amoku wysiadł z samochodu i chwiejnym krokiem ruszył do drzwi. Wbiegł po schodach, oparł dłoń na kolumnie i pochylił się, próbując unormować oddech. Miał wrażenie, że już dawno uleciało z niego całe powietrze, a wraz z tym uderzyła w niego fala mdłości. Z trudem powstrzymał się przed tym, by nie zwymiotować.

Nie wiedział, czy było mu niedobrze przez ból czy stres, który się w nim zalęgł niczym kokon pełny obrzydliwych robali, mogący pęknąć w każdym momencie.

Na samą myśl o tym jego żołądek ponownie się ścisnął.

Niewiele myśląc, sięgnął do kieszeni po telefon niesprawną ręką, przez co przeszedł go kolejny dreszcz bólu. Docisnął zęby do wargi, starając się nie wydusić z siebie żadnego dźwięku. Przycisnął czoło do zimnej kolumny i zaczął wystukiwać na klawiaturze wiadomość, ale przez uraz dłoni zajęło mu to znacznie więcej czasu niż zwykle.

*Do Carmen: Wpuścisz mnie?*

Stał w miejscu przez minutę, a potem usiadł na schodkach. Było mu już wszystko jedno. Mógł tam siedzieć nawet do rana, chociaż na zewnątrz było cholernie mroźno, a on miał na sobie tylko czarną koszulkę. Zimno przeszywało go na wskroś, ale dzięki temu powoli przestawał czuć swoje poharatane dłonie. Patrzył na nie intensywnie, próbując odgadnąć, czyja krew bardziej je pokrywała – jego własna czy Ryana. Poruszył palcami i od razu tego pożałował. Miał wrażenie, że wraz z tym ruchem wszystkie jego kości się pokruszyły.

Usłyszał dźwięk przekręcane go klucza w zamku, dlatego obejrzał się za siebie przez ramię. W tym samym momencie jasne światło, którego się nie spodziewał, poraziło go w oczy, więc lekko przy- mknął powieki. Kiedy białe plamy zniknęły sprzed jego twarzy, ujrzał Carmen. Stała przed nim w spię- tych włosach i dużej kremowej bluzie, z zaróżowionymi policzkami i przerażeniem łagodnie malującym się na twarzy. Lampa oświetlała jej sylwetkę, sprawiając, że wyglądała jak jego jedyne zbawienie.

Podniósł się do pionu, potykając się przy tym o stopień. Nie runął na ziemię tylko dlatego, że pod- parł się bolącą dłonią, która wygięła się, przyprawiając go o kolejne cierpienie.

– Cześć, Karmelku – powiedział łagodnie i wysilił się na uśmiech.

Carmen zamruwała gwałtownie. Patrzyła na niego i próbowała pojąć, co się wydarzyło. Malachai Yordan nie przypominał siebie, bardziej osobę, którą coś próbowało wciągnąć w bezdenną otchłań pełną demonów. Uśmiechał się, ale wydawało jej się, że to sprawiało mu ból. Oczy lśniły niesamowitym błęki- tem. Wyglądał tak, jakby za moment miał się rozplakać, ale za wszelką cenę starał się tego uniknąć.

Zacisnął usta do środka, gdy górna warga zaczęła drżeć. Przejechał dłonią po twarzy, ścierając z niej pozostałości po krwi, która zastygła i zaczęła się kruszyć. Znów się uśmiechał, pokazując dołeczki w policzkach. Wydał jednak przy tym dziwny dźwięk, przypominający stłumiony szloch.

– Nie będę pytała – powiedziała. Zrobiła krok w bok, by zrobić mu przejście.

– Prawie zatłukłem Ryana – mruknął cicho.

Oparł się o krzeselko w kuchni, a Carmen w tym czasie namoczyła ręcznik zimną wodą. Starła resztki krwi z jego twarzy, a później szyi. Wodził wzrokiem po jej skupionej buzi.

– Czekałem na to pół życia, ale... – urwał, krzywiąc się, kiedy dotarła do dłoni. Z każdą sekundą wyglądały coraz lepiej, choć wciąż widać było zdarte kostki, a na środku jednej z nich zaczął uwidacz- niać się paskudny krwiak. To tylko utwierdziło go w przekonaniu, że mógł nieświadomie złamać kość. – Nie poczułem się lepiej.

Carmen przestała go wycierać. Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy całkowicie zaskoczona tym, co powiedział. Zmarszczyła brwi. Uderzyła w nią cała chmara pytań, ale postanowiła milczeć. Chyba wolała pozostać w niewiedzy. W roztargnieniu nieświadomie opuściła ręce, trącąc przy tym dłoń Kaia.

Jęknął głośno, zamykając oczy. Pobladł na twarzy i znów odczuł mdłości.

– Skurwiel ma twardą szczękę – powiedział, kiedy nieznośny ból na moment odpłynął w niepa- mięć. Spuścił głowę. Już nawet nie próbował ruszać ręką, bo to kończyło się źle.



Obserwował dokładnie, jak Carmen przykładła lód w miejsce, w którym pojawił się krwiak. Poczul przyjemny chłód, który stopniowo zwalczał gorączkę przebiegającą po całym ciele. Carmen trwała tak w milczeniu przez kilkanaście sekund, aż w końcu owinęła dłoń bandażem, by nieco ją usztynnić. Wszystkie jej ruchy były delikatne i przepełnione czułością, dzięki czemu całe jego ciało wreszcie się odprężyło.

– Coś jeszcze cię boli? – spytała.

Odsunęła się, ale nie na długo. Tym razem to on, zupełnie niespodziewanie, złapał jej rękę i docisnął do lewej piersi tak mocno, jakby chciał, aby ją przebiła i wyrwała mu serce. Czowała, jak rytmicznie i spokojnie drgało pod materiałem koszuli i grubą warstwą skóry.

– Cały czas – wyszeptał, przelękając powoli ślinę.

Rozczulił ją tym. Tak bardzo, że miała ochotę pocałować go w usta i z całej siły przytulić. Ale z obawy przed tym, co mogłoby stać się później, nie zrobiła tego. Stała jedynie z otwartymi ustami. Kai najwyraźniej wyczuł to, że ją skrępował, bo puścił jej rękę.

– Mogę tu dzisiaj zostać? – spytał nagle, zmieniając temat.

Kolejny raz tej nocy ją zadziwił. Nie zdążyła nawet domknąć ust, a znów szerzej je otworzyła. Oblizwała wargi i splotła ręce pod piersiami, jakby próbowała sama się objąć.

– Tutaj? Ze mną? Na noc?

Ta myśl ją przerażała.

Patrzyła na niego wzrokiem, którego nie znał, jakby chciała jednocześnie się roześmiać i rozpłakać. Jakby sama nie była pewna swoich myśli. Walczyła sama ze sobą. To przecież nie mogło się źle skończyć. Byli dorośli. Byli też przyjaciółmi, którzy potrzebowali wzajemnego wsparcia. Tylko tyle. Nic więcej. A przynajmniej to próbowała sobie od dawna wmówić.

• • •

Malachai poruszył się niespokojnie, jakby właśnie męczył go zły sen. Wybełkotał coś niezrozumiałego, nim mięśnie na jego twarzy się napięły. Z trudem podniósł powieki, które zdawały się ważyć więcej niż on. Światło na szczęście nie raniło jego oczu, dlatego postanowił od razu podnieść się do pozycji siedzącej. Zakręciło mu się w głowie, a świat nabrał dziwnych kolorów, ale postanowił to ignorować.

Przesunął się na krawędź łóżka. Przejechał dłonią po włosach, a później oparł łokcie na kolanach. Przez kilkanaście sekund wpatrywał się w podłogę, próbując przypomnieć sobie, co właściwie się stało i dlaczego się tu znalazł. Nie potrafił jednak się skupić, bo nadal czuł pulsujący ból dłoni, jakby zarył nią w ścianę. Przyłożył palce do skroni, lekko je masując z nadzieją, że to pozwoli mu pozbierać myśli.

Do jego uszu dobiegło głośne chrząknięcie. Uniósł głowę i napotkał zielone tęczęwki, w których krył się strach zmieszany z gniewem. Uśmiechnął się w najłagodniejszy sposób, ale nawet to nie sprawiło, że oczy Carmen złagodniały.

– Cześć – mruknęła zaspanym głosem. Zrobiła to tak miękko, jakby obawiała się, że nieco bardziej szorstki ton sprawi, że Kai się przed nią rozpadnie. Poza tym uparcie milczała, przewiercając go na wylot lodowatym spojrzeniem, które zmroziło go do szpiku kości, jakby właśnie wpadł w śnieżną zaspę. Miała zaciśnięte usta i groźnie zmrużone oczy. Wściekłość buchała z niej niczym ogień. Nikt w pobliżu nie mógł czuć się bezpiecznie.

– Nie rób takiej miny. Wszystko ze mną w porządku – kontynuował nieco chłodniejszym i bardziej opanowanym tonem. Lekko się krzywiąc, rozprostował palce poranionej dłoni. – Diabeł jeszcze nie potrzebuje zastępstwa w piekle.

Carmen wreszcie się poruszyła. Pochyliła się w jego kierunku, a potem z całej siły trzasnęła go pięścią w ramię, a później w kolano. Drgnął i instynktownie syknął przez zęby, chociaż wcale go to nie zabolalo.

– Liczyłem na miłsze powitanie – jęknął i też przysunął twarz bliżej. – Może jakieś buzi?

Przewróciła oczami. W odpowiedzi złapała podbródek Kaia, by mieć pewność, że na pewno na nią patrzy. Była zła i przerażona, a fakt, że zachowywał się, jakby nic się nie stało, dodatkowo wyprowadzał ją z równowagi. Wypuściła przez usta powietrze, które od dłuższego czasu rozsadało jej płuca. Zanim jednak zdołała się wreszcie odezwać, usłyszała trzask drzwi i skrzypnięcie paneli.

W progu pokoju pojawił się Holden. Wyglądał tak, jakby ostatnie wydarzenia dodały mu paru lat. Po skroni blondyna spływał pot, a wilgotne włosy przylegały do jego czoła. Oddychał gwałtownie, jakby przed chwilą skończył intensywny trening.

– Wstawaj, Kai – polecił. – Musimy uciekać. Ryan zniknął z dragami, a przez twój głupi plan szuka cię całe miasto.

– C-c-całe mi-miasto? – wydusiła Carmen.

Była pod wrażeniem tego, że w tej sytuacji Holden zachowywał całkowite opanowanie. Zastanawiała się, jakim cudem był tak spokojny, bo jej serce po tych słowach zaczęło bić znacznie szybciej. Czuła się zaćmiona. Nie umiała zebrać się w sobie, by wstać. Milczała, obserwując uważnie Kaia, który w przeciwieństwie do niej momentalnie podniósł się na nogi.

– Mogłem go dobić – westchnął Kai. Momentalnie ruszył z miejsca, jednak Holden natychmiast odepchnął go do tyłu, blokując dalszą drogę. Malachai zmrużył oczy i zacisnął zęby na dolnej wardze.

– Odupuć – westchnął ciężko Holden, jakby ogromny głąz przygniatał mu klatkę piersiową. – Musimy wiać, jeśli chcesz przeżyć.

Malachai zamilkł. Kilka razy rozchyłał wargi, a potem je zamykał. Nie odezwał się. Zamiast tego z jego ust wydostał się głośny, głupkowaty rechot, który wywoływał ciarki. Przeskakiwał spojrzeniem od Holdena do Carmen i z powrotem.

– Dlaczego wszyscy próbują mnie ratować? Nie prosiłem o zbawienie.

Holden miał wrażenie, że brat właśnie go nadepnął i wbił głęboko w ziemię. Zamrugał szybko, odpychając od siebie smutek, który zapukał do jego serca. Trwał w milczeniu, ponieważ najzwyczajniej w świecie nie wiedział, jak powinien się zachować. Brakło mu sił. Nie miał pojęcia, w jaki sposób powinien uratować Kaia przed samozniszczeniem. Powoli rozpacz rozplywała się w jego żyłach, ustępując miejsca nerwom.

Nie myślał racjonalnie. Zbyt wiele się wydarzyło. Wydawało mu się, że nagle stracił kontrolę nad swoim ciałem, że ktoś go kontrolował, a on był tylko obserwatorem. Zacisnął dłoń w pięść i bez zastanowienia uderzył brata w bok twarzy. Włożył w to tyle siły, że kiedy opuścił rękę, zapiekły go kostki. Zatrzymał zamglone spojrzenie na Kaiu, który wbił wzrok w podłogę. Miał rozciętą wargę, ale nie kłopotał się, by zgarnąć krew z kącika ust i brody.

– Wow. Tego się nie spodziewałem – powiedział Kai, poruszając szczęką.

Carmen wreszcie się podniosła i stanęła między nimi. Nie mogła pozwolić im się wzajemnie pozabijać. Na tamtą chwilę stanowiła jedyny głos rozsądku, choć sama nie myślała zbyt racjonalnie.

– Czy ty kiedykolwiek pomyślałeś o mnie? – wrzasnął Holden. Oddychał z coraz większym trudem, jakby za moment miał stracić dech. – O tym, że potrzebuję swojego małego braciszka? Żywego, a nie trupa! – Głos mu się łamał, a łzy, które zalśniły w kącikach oczu, utrudniały patrzenie. – Proszę cię, chodź ze mną, jeśli chociaż trochę ci na mnie zależy.

Malachai czuł się sparaliżowany. Każdy oddech sprawiał mu ból, jakby miał w płucach nóż. Patrzył na brata, próbując zapanować nad szaleńczo kołatającym sercem. Wypełniło go ciepło, które później zmroziło krew. Ostatni raz widział Holdena w takim stanie, gdy znalazł go przy martwych rodzicach. Nigdy więcej nie dostrzegł tyle żalu w jego jasnych oczach ani nie słyszał tylu emocji w głosie. Nie mógł być obojętny.

Zrobił krok do przodu. Holden momentalnie wypuścił z ulgą powietrze.

– Malachai... – Usłyszał słaby głos za plecami. Dopiero wtedy przypomniał sobie, że Carmen cały czas obserwowała ich w całkowitej ciszy. Odwrócił się do niej przez ramię.

– Idziesz z nami czy... – urwał, widząc minę dziewczyny.

Odpowiedź była niemal oczywista. Wyraz jej twarzy zdradzał, że nie mogła tego zrobić, ale oczy temu przeczyły. Widział w nich łzy i to sprawiło, że uderzyła w niego kolejna fala smutku. Stanął tak, że dzieliły ich zaledwie centymetry. Starł kciukiem krew z ust, nim złapał twarz rudowłosej w dłonie. Delikatnie cmoknął ją w czoło.

Miała wrażenie, że za moment się przed nim rozpadnie. W geście rozpaczycy zacisnęła palce na bluzce chłopaka, mocno ją gniotąc, jakby starała się go powstrzymać przed skokiem w bezdenną przepaść. Wmawiała sobie, że to nie mogło działać się naprawdę.

– Nie – sapnęła. Głos Carmen się załamał. – Proszę... Nie...

– Muszę – wyszeptał. – Obyśmy jeszcze się spotkali, Carmen Clark.

Przełknął powoli ślinę. Słowa, które wypowiedział, były jak papier ścierny ocierający się o język. Zniżył głowę. Prawie czuła na sobie jego usta, ale jej nie pocałował, jakby ten gest miał być obietnicą, że jeszcze kiedyś ich drogi się skrzyżują.

Na sztywnych nogach ruszył przed siebie. Cały czas walczył ze sobą, by po prostu nie zostać. Powtarzał sobie, że musi to zrobić. Dla brata. Musi wreszcie stanąć po stronie Holdena. Musi wybrać go tak, jak on zawsze wybierał jego. Przyśpieszył z nadzieją, że to ułatwi mu sprawę. Udało mu się wyjść na zewnątrz, ale miał problem z oddychaniem.

– To tyle? Po prostu odejdziesz? – rzuciła z wściekłością Carmen, a sekundę później roześmiała się z bezradności. Zatrzymał się wpół kroku. – Jestem tylko głupią dziewczyną, która nic dla ciebie nie

znaczy?

Postanowił się odwrócić, chociaż wiedział, że to mogło okazać się wielkim błędem. Stała przed nim i cała drżała z żalu i rozczarowania.

– A co mam, kurwa, zrobić? – rzucił podniesionym tonem. Zerknął w bok i zobaczył, że Holden siedzi już w samochodzie w towarzystwie Cartera. Pies wychylał łeb przez okno auta, dysząc z gorąca. – Słyszałaś Holdena. Oświeć mnie, jeśli masz lepszy plan – mówił na jednym wydechu. Musiał przymknąć powieki, bo patrzenie na nią sprawiało mu ból. – To mój brat, Carmen. Możesz iść ze mną albo...

Nie dokończył. Wokół rozległ się dźwięk wystrzału. Ten odgłos tak zaskoczył Carmen, że momentalnie odskoczyła w bok i wpadła na chropowatą ścianę budynku, zdzierając tym samym skórę z łokcia. Oszołomiona rozejrzała się dookoła, a to, co zobaczyła, ścięło ją z nóg. Przyłożyła dłoń do ust, próbując stłumić krzyk, który w niej narastał i powoli rozsadał gardło.

Świat się zatrzymał. I wcale nie chciała, by znów przyspieszył.

To była najgorsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziała.

Malachai ledwo trzymał się na nogach. Jego wzrok wydawał się nieobecny, a niebieskie tęczęwki stały się wyblakłe, jakby za długo patrzył na słońce. Otworzył usta, z których trysnęła krew. Mimo to cały czas na nią patrzył z lekkim uśmiechem. Przycisnął dłoń do brzucha, zerkając nieśmiało na ranę, a potem kolana się pod nim ugięły i zaczął osuwać się na ziemię.

Carmen doskoczyła do niego i złapała jego ręce. Był tak ciężki, że oboje opadli na beton. Przycisnęła go do siebie tak mocno, aż jej ramiona osłabły. Przestała się kontrolować. Łzy spływały jej po policzkach, wciskały się w usta i lądowały na czerwieniejącej koszulce Kaia. Próbowwała ścierać je ręką, ale tylko brudziła sobie twarz jego krwią.

– Zawsze chciałem zobaczyć, jak dławisz się własną krwią, Yordan.

Carmen uniosła zamglone spojrzenie i dopiero w tamtej chwili zobaczyła przed sobą Ryana. Opierał się o barierkę i przyglądał im się z dumnym uśmiechem. Wyglądał na zadowolonego, choć sam ledwo trzymał się na drżących nogach. Miał bladą twarz pełną ran oraz suche usta.

Coś się w niej roztrzaskało. Spróbowała wstać, ale Malachai zacisnął dłonie na jej ramieniu w nie-mej prośbie. Zignorowała więc obecność blondyna. Musiała w pełni skupić się na Kaiu.

– W porządku – mruknął. – Nic mi nie jest – zapewnił, po czym lekko unióś głowę i znów zerknął na ranę, z której wciąż sączyła się niemal czarna krew. Kaszlał i się krztusił. Rana paliła go żywym ogniem, ale starał się wyglądać na niewzruszonego. – Och, to zaczyna boleć.

– Oddychaj. Proszę, oddychaj. – Na ostatnim słowie głos Carmen się złamał. – Nie rób mi tego. – Uśmiechnęła się, ale to było chwiejne. Jej serce pękło. Dosłownie słyszała trzask w swojej klatce piersiowej. – Nie powinnam mówić ci tego w takiej chwili, wiesz? Ale wygrałeś, Kai. Złamałeś mnie i w tym wszystkim... O Boże – westchnęła. Nie była pewna, czy wypowiadała odpowiednie słowa, bo nagle w jej głowie zapanował chaos. – Uratowałeś mnie i... zależy mi. Proszę, nie zamykaj oczu.

Wyciągnął rękę i delikatnie założył kosmyk włosów za jej ucho. Pierwszy raz twarda, lodowata maska odpadła od twarzy Kaia, pozostawiając jedynie panikę i desperację. Nie chciał tak umierać. Czuł, że się wymyka... życiu... rzeczywistości... Holdenowi... Carterowi...

Jej.

– Proszę, nie rezygnuj ze mnie.

Pod koniec głos Carmen był tylko ledwo słyszalnym szeptem. Wszystkie zmysły Kaia się rozproszyły. Nie mógł zmusić się do walki z uczuciem ośpienia i słabości. Nie mógł już mówić ani poruszać mięśniami. Miał wrażenie, że cały wykonany był z ołowiu. Ogarniała go ciemność. Zamknął oczy. Był bardzo zmęczony.

– Spokojnie – wybełkotał, dławiąc się krwią. – Spotkamy się w piekle, Karmelku.

A potem nie było już nic.

Malachai Yordan nigdy nie przypuszczał, że tak będzie wyglądał jego koniec.